

Michael PEINKOFER

WIGILIA



ORKI

POWRÓT ÓRKÓW



WIGILIA

ORKOWIE POWRACAJĄ!

Znany autor bestsellerów Michael Peinkofer budzi do życia najdziksze istoty Śródziemia i opisuje fascynujące przygody dwóch prawdziwych orków – Balboka i Rammara.

Który gatunek w Wojnie Ludów jest najwaleczniejszy? Ludzie, elfy, a może krasnoludy?

Gdybyś zapytał o to Balboka i Rammara, bez namysłu odpowiedzieliby, że ORKOWIE. Swojego zdania nie zmieniają nawet po przegranej potyczce z gnomami, a także po pełnej przygodzie podróży. Wyrusz z nimi, by spotkać potwory, magów, przemytników i elfią arcykapłankę...

DYNAMICZNA FANTASY
O WALECZNYCH BRACIACH,
ZAPŁĄTANYCH W PRASTARĄ
PRZEPOWIEDNIĘ.

Partnerzy medialni:



www.horse.pl
Cena: 34,99 zł



OTCHŁAN

Michael PEINKOFER

Tłumaczenie
JOANNA FILIPEK



ORKO

POWRÓT ORKÓW



Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Powstanie tej książki nie byłoby możliwe bez pomocy kilku osób, którym chciałbym w tym miejscu serdecznie podziękować.

Podziękowania kieruję do Carstena Polzina oraz szczególnie do Friedel Wahren z Wydawnictwa Piper za okazane mi zaufanie, do Petera Thannischa za wspaniałą współpracę przy redakcji tekstu i do Daniela Ernie za cudowne opracowanie mapy.

Na koniec dziękuję oczywiście mojej Rodzinie, która towarzyszyła mi w tej awanturycznej wyprawie do Łądu i wspierała mnie z całych sił.

Spis treści

KSIĘGA 1

KASLARUR'SHAKARA (MAPA SHAKARY)

PROLOG... 13

1. IOMASH NAMHAL 17
2. EUGASH KOUM 33
3. OSHDA UR'BRUNIRK'HAI 59
4. KORZOUL UR'DHRUURZ 79
5. UR'TORGA SGUDAR'HAI 97
6. BOGASH-CHGUL'HAI III
7. FEUSACHG'HAI ANN IODASHU 129
8. DARRAOCHG'HAI 151
9. TOUMPOL UR'SHAKARA 167

10. KIOD UR'SUL'HAI-COUL 183
11. BUUNN'S RUCHG213

KSIĘGA 2

BOURTAS URTIRGAS LAN (SKARB Z TIRGAS LAN)

1. KOMANASH UOOURTAS-KOUM 253
2. FEUSACHG'HAI ANN ABHAIM 291
3. KOLL UR'ROWNA 317
4. BOL UR'SUL'HAI-COUL 351
5. KORZOUL UR'BAS 373
6. R'DHRUURZ TULL 395

7. ANN KUNNART UR'KRO 407
8. OINSOCHG! 431
9. OUNCHON-AIRUN 445
10. UR'KURUL LASHAR'HAI 459
11. UR'MORORTULL 487

EPILOG 495

ZAŁĄCZNIK A-MOWA ORKÓW 499

ZAŁĄCZNIK B - BRU-MILL BALBOKA 513

KSIĘGA 1
KASLAR UR'SHAKARA
(MAPA SHAKARY)

PROLOG

Świat miał wiele nazw.

Wiele wieków temu, kiedy był jeszcze młody i nieprześląknięty krwią niezliczonych bitew, elfy ochrzciły go mianem *amber*.

Krasnoludy nazwały go *durumin* - od olbrzyma, pilnującego niegdyś skarbów świata, nim powodowane zazdrością smoki nie strąciły go w głębiny Ziemi i tam nie pogrzebały.

Ludzie, jeszcze młodzi i ubodzy zarówno w mity, jak i w przeszłość, na swój prosty i nieskomplikowany sposób nadali mu nazwę *Ląd*.

Orkowie wreszcie nazwali go *sochgal*.

Sięgał od dzikich krain zachodu po królestwa ludzi, ciągnące się na wschód po drugiej stronie Gór Ostrych, od Lodowej Krainy na północy po chlupoczące falami o wybrzeże na południu morze, za którym według elfów leżał Daleki Brzeg.

Taki był świat, który dzielili między sobą - od dawna już nie pokojowo. Pokój panował tylko w owe złote dni, kiedy elfy

rządziły Łądem same; potem światło czasu zbladło i niebo nad Łądem zaciągnęło się chmurami mrocznego losu. Elfy nie spostrzegły, że dokonano haniebnej zdrady, wkroczyli orkowie, a wraz z nimi na Łądzie pojawiły się dwulicowość i wojna.

Przez manię wielkości i żądzę władzy pewnego wiarołomnego elfa doszło do Pierwszej Wojny Ludów, po długich latach krwawych walk wygranej przez elfów. Był to czas, kiedy wzniesiono dumne twierdze Tirgas Dun i Tirgas Lan, górujące nad lasami i równinami niczym strażnicy nowego pokoju. Jednak i on nie trwał wiecznie.

Pojawiły się nowe ludy. Krasnoludy i gnomy wyszły z czeluści ziemi, a z ludźmi zbratał się inny gatunek, jakiego wcześniej na Łądzie nie znano. Ludzi bowiem, choć chcieli dobrze, łatwo było zwieść w ich młodzieńczej porywczowości i niefrasobliwości. I tak doszło do tego, że posłużył się nimi duch Ciemnego Elfa. Wraz z orkami, z którymi się zbratali, wtargnęli do Krain Krasnoludów i Królestwa Elfów. Wtedy na nowo rozgorzała wojna.

Tylko mądrości i dzielności elfów trzeba zawdzięczać, że wojna nie rozstrzygnęła się na korzyść Mocy Chaosu. Mobilizując wszystko i na wszystko się ważąc, elfowie w decydującym starciu zdołali rozbić armię orków i ludzi. Pierwszych wygnano do bezimiennej krainy za Czarnymi Górami, drugich na wschodnią wyżynę, będącą od tamtej pory ich domem.

Orkowie nie uznawali swego błędu i nie wykazywali skruchy, ale poglądy ludzi zmieniły się i wzrastali pod opieką elfich królów. Kiedy czas elfów, po dwóch krwawych wojnach o los świata, chylił się ku końcowi, na wschodzie powstały królestwa ludzi, z każdym pokoleniem rosnące w siłę i wpływy. Elfowie zaczęli tęsknić do Dalekiego Brzegu, z którego niegdyś przybyli do Łądu i gdzie panowały wiecznie szczęście i radość.

Jednak im bardziej oddalali się od świata, tym wyraźniej wi-
dać było, że ludzie nie wyciągnęli wniosków z tej nauki. Nadal
rządziły nimi zazdrość oraz chciwość i, zamiast przejąć dziedzic-
two elfów, woleli toczyć między sobą wojny o władzę. Ludy
Chaosu - orkowie, gnomy i trolle - potrafiły to wykorzystać i
opuściły swe wygnanie za górami, krwawo znacząc trasy swych
wypraw do krain Łądu.

Orkowie walczyli przeciw gnomom, gnomy przeciw ludziom,
ludzie przeciw orkom. Nastąpiły czasy bezsensownej rzezi, a el-
fowie - jedyni zdolni położyć kres temu krwawemu chaosowi -
nie przejmowali się nim. Ładowi groziło, że pogąrzy się w za-
męcie, i tylko kwestią czasu było, kiedy ponownie zbudzi się
cień Ciemnego Elfa, by przejąć władzę.

Tym razem jednak jego plan był inny...

1. IOMASH NAMHAL...

Nadchodzą.

- Ilu ich jest?

Wyślany przez Girgasa zwiadowca zrobił głupią minę. Zmarszczył ciemne czoło, przewrócił żółtymi oczami i wyglądało na to, że usilnie się zastanawia. Nie znalazł jednak odpowiedzi. Dowódca zacisnął pięść i przymierzył ją do krzywego nosa żołnierza, zmieniając go w bezkształtną, krwawą masę.

- Głupek! - wrzasnął Girgas. - Nie umiesz liczyć?

- Nie - odpowiedziało mu nosowe mamrotanie.

- Na flaki Torgasa! Czemu muszę dowodzić taką bandą debili? Możesz mi zdradzić, ty glisto, jak mam rozpracować strategię wroga, skoro nie znam nawet jego siły?

Szpieg uznał, że lepiej będzie nie odpowiadać. Girgas słyszał ze swych wybuchów złości i zdarzało się już, że skracał podwładnych o głowę z daleko błahszych powodów. Zachowując resztkę godności, ork cofnął się, a iskrzące wściekłością oczy

przywódcy zaczęły rozglądać się za nowym zwiadowcą.

- Do kroćset, czy nie ma tu żadnego, co by umiał liczyć? Czy Graishak wysłał mnie do walki ze zgrają bezmózgich *umbal'hai*?

- Ja umiem liczyć! - rozległ się (niepobawiony dumy) głos z ostatniego szeregu.

Wojownicy zgromadzeni wokół dowódcy rozstąpili się ze zdziwieniem, tworząc ścieżkę. Na jej końcu ukazał się ork, którego Girgas dotąd nie widział. To znaczy pewnie widział, ale tylko mimochodem, nie dostrzegając naprawdę, gdyż wódz drużyny - jak wszyscy orkowie - w pierwszej kolejności troszczył się o własne interesy.

Żołnierz miał krzywy nos, był uderzająco błydy, a do tego niezwykle wysoki i chudy jak na orka. Spod hełmu tłustymi strąkami zwisały rzadkie włosy, a w spojrzeniu wielkich oczu, wpatrujących się wyczekująco w Girgasa, była jakaś naiwność. Ork miał na sobie zardzewiałą kolczugę, o wiele na niego za dużą i płaczącą się między patykowatymi nogami, a jego *saparak* wyglądał, jakby przez jakiś czas > leżał na dnie Stęchłego Morza.

- Ty? - spytał poważnie zdziwiony Girgas. - Jak cię zwa?

- Moje imię Balbok - zabrzmiała odpowiedź, skwitowana wybuchem śmiechu wojowników. Orkowie mają zwyczaj ^ przybierać imiona od swoich cech charakteru, a to zdradzało, że jego właściciel nie należy do najmądrzejszych.

- I ty umiesz liczyć, Balboku?

Wojownik chciał odpowiedzieć, lecz sąsiad z szeregu dał mu takiego kuksańca pod żebro, że Balbok prawie się przewrócił.

- Nie słuchaj go, Girgasie - powiedział ork, który uderzył chudzielca. Był jego dokładnym przeciwieństwem: niski, krępy, niemal równie szeroki, co wysoki i z okrągłą głową, sterczącą

wprost z tłustego tułowia. Ogromne brzuszysko, zwisające nad krótkimi i krzywymi jak u świni nogami, opinały pierścienie kolczugi. - Wierz mi, wygaduje bzdury.

- Ach tak? - wyzywająco spytał Girgas. - A skąd ty to wiesz, jeśli można spytać?

- Bo jest moim bratem - wyjaśnił po prostu mały i uklonił się skwapliwie, co przy jego posturze wyglądało dość pociesznie. - Nazywam się Rammar.

- Czemu dziś wszyscy chcą mi się przedstawiać? - burknął Girgas. - Dopóki walczyacie jak należy i nie otwieracie mordy, nie interesują mnie wasze imiona! Zrozumieliście?

- Tak jest, wielki Girgasie.

- No to jak? Ta tyczka umie liczyć czy nie?

- Nie - stwierdził Rammar, choć w tej samej chwili dało się słyszeć wyraźne „tak” jego brata.

- Co to za głupoty? - wściekł się Girgas. - Robicie ze mnie idiotę?

- Umiem liczyć! - oznajmił Balbok.

- Nie, wcale nie umiesz! - sprzeciwił się jego brat.

- Właśnie, że umiem!

- Nie umiesz!

- I to jeszcze jak!

- Nie, do piorunów! - By dodać wagi swoim słowom, Rammar chwycił za dzidę, ale Balbok nie dał się zastraszyć.

- Nasza drużyna składa się z dwudziestu ośmiu orków - policzył. - Wliczając dowódcę Girgasa. To daje pięćdziesiąt dwie stopy i czterdzieści osiem oczu, uwzględniając amputowane nogi i jednookich.

Na to jego brat nie znalazł odpowiedzi. Pozostali orkowie również byli pod wrażeniem. Już samo zliczanie głów uznawano za sztukę, ale umiejętność rachowania była zarezerwowana dla starców i mędrców. A tylko bardzo niewielu orków dożywało tego błogosławionego wieku.

Girgas odezwał się pojednawczo:

- Świetnie, przekonałeś mnie. Pójdiesz zbadać siły gnomów. A ty, Rammar, będziesz mu towarzyszył!

- Ja... ja mam mu towarzyszyć? - Rammarowi brakło tchu.
- A... ale, wielki Girgasie...

- *Kriok!*

Tymi słowami dowódca zamknął dyskusję. Każdy, kto jeszcze zechciałby się sprzeciwić, musiał wiedzieć, że ryzykuje całością swoich członków.

Rammar odwrócił się, mamrocząc cicho pod nosem. Bracia ruszyli, by wypełnić misję, odprowadzani pełnymi ulgi i radości spojrzzeniami towarzyszy.

Opuścili pośpiesznym krokiem polanę, na której odbywało się zgromadzenie orków, i zniknęli w zaroślach. Obaj uzbrojeni byli w *saparaki* - zakończone zadziorem dzidy, ulubioną broń orków, nadającą się również do walki w zwarciu. Balbok miał prócz tego strzały i łuk, a za pas zatknął poręczny topór bojowy. Obrali drogę wybieraną również przez innych zwiadowców, osłoniętą z obu stron gęstymi paprociami i stromymi skałami.

- Ty durny synu jeszcze durniejszej matki! - wściekał się Rammar, zapominając, że obraża tym samym również własną rodzicielkę. - Nie rozumiesz, coś narobił? Teraz my dwaj mamy na głowie to niebezpieczne zadanie!

- Więc? - lakonicznie spytał Balbok.

- Więc?! Nie życzę sobie, żeby przez ciebie posiekały mnie na kawałki wściekłe gnomy! Próbowałem chronić cię przed twoją własną głupotą, ale ty musiałeś się popisywać, jakbyś był mądrym Anartumem we własnej osobie. A teraz zobacz, coś narobił. Nie tylko sam pakujesz się w kłopoty, ale jeszcze wciąż gasz w to mnie!

- Nie wciągamy, sam idziesz! I nie prosiłem, żebyś szedł ze mną.

- Jakbyś musiał, po tym, jak na mnie spojrzales! Miałeś w oczach błaganie o moją pomoc. Pytam tylko, czym sobie na to zasłużyłem. Całe życie wciąż to samo. I tylko dlatego, że jestem z nas dwóch starszy i z woli Kurula zostałem wypłuty do *sochgal* wcześniej niż ty! Powinien rozpruć ci brzuch i nakarmić twoimi flakami błotne koboldy, żebyś się wreszcie nauczył, jak...

Zamilkł w połowie zdania, bo nagle dobiegł ich głuchy dźwięk bębnow. Zatrzymał się tak gwałtownie, że Balbok wpadł na jego plecy i popchnął go jeszcze dwa, trzy kroki do przodu.

- Słyszysz? - szepnął Rammar i nastawił swoje i tak odstające uszy.

- Tak - zabrzmiała naiwna odpowiedź. - To gnomy.

- Głupek! - Kolejny tęgi cios pod żebra. - Sam wiem, że to gnomy. Skąd dobiega bębnienie? Nie da się powiedzieć...

- Stamtąd - oznajmił zwięźle Balbok i wskazał odpowiednią stronę.

- Skąd niby wiesz?

- Czuję zapach - odparł chudzielec, dotykając swojego długiego nosa.

- Co to ma znaczyć, że czujesz zapach? Nikt nie może wywąchać gnomów z takiej odległości!

- Ja tak.

- I twierdzisz, że stamtąd?

Balbok skinął głową.

- Więc dobrze - warknął z niechęcią Rammar. - Więc chodźmy sprawdzić. Ale uważaj: jeśli okaże się, że robisz mnie w trolla, moja pięść zadba, żebyś nigdy więcej niczego nie wywąchał.

Balbok chciał ruszyć przodem, ale brat powstrzymał go i sam przejął dowodzenie. Skradali się przez gęstwinę, wytyczając zmysły. Z każdym krokiem, jaki pokonywali we wskazanym przez Balboka kierunku, stawało się jasne, że jego nos ich nie zwiódł.

Bębnienie było coraz głośniejsze, aż w końcu i Rammar zdołał wyczuć cuchnącą obecność gnomów.

W obliczu bliskości wroga zaniechał dręczenia brata dalszymi wyrzutami. Im bliżej podchodzili do obozu gnomów, tym ostrożniej się poruszali. Balbokowi, którego szczupła postać prześlizgiwała się między paprociami i skałami, udawało się to znacznie lepiej niż jego bratu, który wciąż o coś zahaczał, rzucając półgłosem przekleństwa. Wreszcie gęstwina się przerzedziła.

Bracia opadli na czworaka i skradali się dalej aż po skraj lasu, gdzie paprocie znikwały w porastającej opadające stromo zbocze wysokiej trawie. Przed orkami otwierał się widok na dolinę, otoczoną ciemnymi zboczami i szarymi skałami. Na wschodzie, gdzie słońce posyłało swoje pierwsze promienie nad szorstkim grzebieniem Gór Zachodnich, dudnił wodospad wlewający się do jeziora. Wokół niego zgromadziły się gnomy - niewysokie, zielonoskóre postacie w czarnych zbrojach. Nawet ktoś, kto nie umiał liczyć, mógł stwierdzić jedno: było ich wiele!

Bardzo wiele...

Kiedy Rammar mamrotał przekleństwa i zadawał sobie pytanie, czy dwudziestu ośmiu orków to dość wobec takiej przewagi sił, Balbok zaczął już liczyć. Nie było to łatwym zadaniem, gdyż gnomy, zebrane na dnie doliny, biegały i przepychały się tak, że ork nigdy nie był pewny, czy tego bądź tamtego już liczył, czy nie. Ciągłe musiał zaczynać od początku. Tymczasem jego brat obserwował zatroskany, jak gnomy szykują się do wymarszu.

- Skończysz zaraz? - syknął Rammar. - Są uzbrojeni po zęby i nie wyglądają, jakby przyszli tu na spacer.

Zamiast odpowiedzi dobiegł go szept:

- ...czterdzieści dwa, czterdzieści trzy... czterdzieści cztery...

- Mają łuczników i kilka wargów. Kiedy te bestie nas zwietrzą, będziemy zgubieni. Więc pośpiesz się z łaski swojej!

- ...sześćdziesiąt siedem, sześćdziesiąt osiem, sześćdziesiąt dziewięć...

- Zastanawiam się, czego te zielone typy szukają tak daleko na południe. Każdy wie, że Stęchła Marchia należy do orków. Ale może po prostu ich zapchłone mózdzki są za małe, żeby to zrozumieć?

- ...osiemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt sześć, osiemdziesiąt... - Balbok nagle przerwał.

- Co jest? - zainteresował się jego brat.

- Nic. Już prawie skończyłem.

- To na co czekamy, synu nędznego pożeracza wszy? Znikajmy!

- To niemożliwe.

- Co? - Rammar z trudem się opanował. - A czemu nie?

- Bo nie widzę dobrze tych w trawie - wyjaśnił mu zwięźle brat. - A skoro ich nie widzę, to nie mogę policzyć.

- Co ty wygadujesz? O jakich gnomach mówisz?

- O tych tam - odpowiedział Balbok i wskazał na lewą stronę zbocza.

Na pierwszy rzut oka Rammar nie mógł nic dostrzec. Chciał już odwołać brata, gdy zauważył, że w niektórych miejscach wysokie trawy podejrzanie się poruszają, jakby ktoś skradał się w nich na czworakach.

- Na płomień Kurula! - wyrwało mu się. - Zwiadowcy gnomów! Odkryli nas!

Jakby na potwierdzenie jego słów dał się słyszeć przeraźliwy świst i tuż przed Rammarem, tylko o dłoń od jego kłocowatej czaszki, w miękką ziemię wwierciła się strzała.

- Na trzewia Torgasa!

Nim któryś z dwu orków zdołał zareagować, z trawy wyrzużyły się raptownie cztery wykrzywione nienawiścią zielone mordy. Z szablami i łukami w dłoni gnomy pokonały pozostałą część wzgórze. Skłębione czarne włosy powiewały wokół głów, oczy błyszczały ze złości i zapału do walki, a rozdziawione usta wydawały dzikie, bojowe okrzyki.

- Widzisz teraz, coś narobił? - napadł na brata Rammar.

Ale pierwszy gnom już był przy nich. Tłusty ork przywitał go swoim *saparakiem*.

Dzida wbiła się napastnikowi w pierś i przewierciła ciało. Zakrwawiony grot, zakończony straszliwym, opatrzonym zadziarami hakiem, wyszedł plecami.

Miotając przekleństwa, Rammar z zadowoleniem strząsnął rzucającego się gнома z broni, zaś jego brat bez namysłu chwycił łuk i położył strzałami dwu napastników. Sprawność Balboka w obchodzeniu się z łukiem i strzałami zawsze budziła zazdrość Rammara i choć nigdy się do tego nie przyznał, irytowała go. Teraz jednak był niezwykle rad.

Ostatni ze skradających się gnomów runął na nich z ochrypłym wrzaskiem, lecz ledwie zbliżył się do orków, topór Balboka rozłupał mu głowę. Wojownik upadł, zalewając się potokami zielonej krwi.

- Trzech już załatwiłem! - krzyknął triumfująco Balbok.

- Nie wyobrażaj sobie za wiele! - parsknął na brata Rammar. - I tak z nas dwóch ja jestem lepszym wojownikiem!

Z dna doliny dobiegły podniecone krzyki. Wartownicy gnomów oczywiście widzieli walkę i podnieśli alarm, na co dwunastu wojowników natychmiast ruszyło w górę zbocza wśród wściekłych wrzasków.

- Co teraz? - prostodusznie spytał Balbok.

- Głupie pytanie - warknął jego brat. - Biegiem!

Rammar zawrócił i ruszył najprędzej, jak krótkie nogi były w stanie nieść niemałą korpulencję. Balbok wsunął trzon topora za szeroki pas, wziął łuk i puścił kilka strzał w dół zbocza. Ponieważ gnomy wspinały się szerokim frontem, nie kryjąc się, wszystkie pociski trafiły do celu. Nie zatrzymało to jednak napastników. Przeciwnie, z każdym położonym strzałą orka towarzyszem, ich wściekłość rosła jeszcze bardziej. Zatrważająco szybko wbiegali na zbocze, a na górnym odcinku, gdzie było bardzo stromo, wspinali się na czworakach. W ciemnych zbrojach, z których wystawały długie, chude członki, wyglądali jak wielkie chrząszcze.

Balbok i Rammar rzucili się do ucieczki tą samą drogą, którą przyszli. Pędzili przez las. Rammarowi na krótkich nogach było daleko trudniej przeskakiwać głązy i korzenie niż jego szczupłemu bratu. Nieraz zaczepił o coś stopami, padł jak długi i wił się na ziemi niczym insekt, póki Balbok nie pomógł mu stanąć na nogi. Potem biegli dalej, z kwikiem i wyciem gnomów za plecami.

- Rammar? - rzucił w biegu Balbok.
- Tak?
- Muszę ci coś powiedzieć.
- *Umbal!* - wydyszał brat. - Teraz nie jest odpowiednia chwila na zwierzenia. Ale jeśli chcesz to koniecznie usłyszeć, też się cieszę, że byłeś moim bratem.
- Nie o to mi chodzi.
- Nie?
- Nie. Tylko przyszło mi do głowy, że nie wypełniliśmy zadania. Wciąż nie wiemy, ilu jest gnomów, a...
- Myślisz, że to ma jeszcze jakieś znaczenie?
- Doliczyłem do osiemdziesięciu siedmiu. Tych czterech, których zabililiśmy, nie muszę dodawać. I trzeba odjąć tych, których położyłem strzałami. Więc razem...
- Balbok?

- Tak, Rammar?
- Wyświadcz mi przysługę - wysapał, z trudem łapiąc oddech. - Zamknij do kroćset gębę, rozumiesz?
- Tak, Rammar. Ale ilość gnomów...
- Jeszcze jedno słowo o liczbach i nie będziesz już musiał w ogóle przejmować się gnomami, bo JA cię zabiję, nędzny *umbalu!* To wszystko wyłącznie twoja wina!

Gnali przez las tak szybko, na ile pozwalały krótkie nogi Rammara. W końcu dotarli do polany, na której czekali na nich Girgas i reszta zastępu. Zobaczywszy ich, dowódca od razu wiedział, że coś jest nie tak.

- Co się dzieje? - krzyknął, wychodząc im naprzeciw. - Wyglądacie, jakbyście spotkali Kurula we własnej osobie.
- Gnomy!... - to było wszystko, co Rammar zdołał wychrypieć, łapczywie łykając powietrze.
- Co z nimi?
- One... one... odkryły nas i...
- Odkryły was? - Wódz wytrzeszczył oczy.
- Tak, wielki Girgasie - zaskrzeczał Rammar. - Ubiliśmy sporo, ale teraz idą tutaj. Musimy szybko uciekać i...

W tej chwili dał się słyszeć wrzask pogoni. Las zdawał się drżeć pod tupotem licznych stóp.

Orkowie spojrzeli po sobie z przerażeniem. Kilku chciało rzucić się do ucieczki, jak radził Rammar, ale Girgas stanął im na drodze, z mieczem w dłoni. Plamy zaschniętej krwi na wyszczerbionej głowni - zielonej posoki gnomów, czerwonej ludzi, a nawet czarnej orków - świadczyły o zwycięskich walkach.

- Stać, glisty! - wrzasnął. - Dokąd to, tchórze?
- Daleko, jak najdalej! - krzyknął jeden z wojowników, na co Girgas jednym szybkim cięciem skrócił go o głowę. Płasnęła na wilgotne poszycie, nie tracąc wyrazu przerażenia na twarzy.

- Nikt nie ucieka z polany! - ryknął Girgas, przekrzykując coraz głośniejsze wrzaski gnomów. - Nędzne psy, zostaniecie tu i będziecie walczyć. Pokażemy tym przeklętym gnomom, co to znaczy być orkiem, i skąpiemy nasze głowy w ich cuchnącej, zielonej krwi. Zrozumiano?

Odpowiedzią było ochryple szczekanie. Większość wojowników nie zdołała wydobyć z siebie nic więcej, po tym, jak poczuli krew swojego towarzysza. Ich żółte oczy przewracały się dziko w oczodołach, wielu wyszła na pyski piana. Ściskając miecze i dzidy, zwrócili się w kierunku, z którego nadchodziły gnomy. Girgas przecisnął się do pierwszego szeregu.

- Więc ile ich jest? - spytał stojącego przy nim Balboka.

- Nie wiem dokładnie - przyznał zmieszany chudzielec. - Trochę ponad osiemdziesiąt, jak mi się wydaje.

Girgas chwilę się zastanawiał.

- Czy to więcej niż tuzin? - spytał wreszcie.

- Ja myślę.

Po poranej bliznami twarzy Girgasa przemknął grymas.

- W takim razie naprawdę jest ich wiele...

Nagle z lasu dobiegło przeciągłe, wrogie warczenie. Orkowie, jak skamieniali, wbili wzrok w ciemną zieleń. Dźwięk zabrzmiał ponownie, a po nim dał się słyszeć trzask łamanych gałęzi i konarów. O jedno uderzenie serca później z zarośli wypadło coś wielkiego i szarego.

Girgas, widząc nacierającego wielkiego warga, wydał głośny okrzyk bojowy. Wargi nie były zwykłymi wilkami - raczej nadnaturalnej wielkości bestiami, obdarzonymi zabójczymi łkami. Powołała je do życia czarna magia w czasie Drugiej Wojny. Niegdyś służyły orkom za wierzchowce, jednak z biegiem wieków również inne rasy nauczyły się je sobie podporządkowywać. Zręcznością w ich ujeżdżaniu szczyciły się zwłaszcza gnomy.

Siedzący na wąskim grzbiecie warg wojownik śmiał się i pisał jak opętany, poganiając bestię w kierunku Girgasa.

Dowódca orków zareagował bez zwłoki.

Z zadziwającą jak na osobnika jego postury szybkością, pobiegł naprzód i wznosił miecz w górę, dokładnie w momencie, kiedy warg dotarł do niego i wspiął się na tylne łapy. Girgas wbił broń w pierś bestii aż po trzpień, jeszcze nim dotknęły go zabójcze pazury. Kreatura nie od razu pojęła, że to już jej koniec - stała dalej wyprostowana i ryczała na orka. Gdy Girgas szybkim cięciem rozplątał wargę wzdłuż tułowia, ryk przeszedł w gulgotanie.

Wnętrznosci zwierzęcia wylały się na Girgasa, co jeszcze bardziej go rozsierdziło. Kiedy warg upadł przed nim, ściął głowę nieszczęsnego jeźdźca, nim ten pojął, co zaszło.

Z ociekającą krwią klingą w dłoni Girgas wydał triumfalny wrzask, do którego przyłączyli się pozostali wojownicy zastępu. Rozbrzmiał on nad polaną i jak fala poniósł się naprzeciw gnomom, które w tym momencie wypadły z gęstwiny.

Girgas miał rację, było ich naprawdę wiele. Z lasu wylała się pancerna zielona inwazja. Choć gnomy pod względem wielkości ustępowały orkom, ich widok napawał lękiem: gęby rozdziawione w bojowym wrzasku oraz pałające nienawiścią oczy, wlepione w formujących falangę i kierujących przeciw nim morderczą broń orków.

- Łucznicy! - krzyknął jeszcze Girgas, jednak nie wszyscy orkowie zdążyli postać z cięciw pierzastą śmierć. Ale niektórym się to udało (wśród nich Balbokowi) i gnomy z pierwszego szeregu jakby uderzyły w niewidzialną ścianę. Niestety zbliżała się już następna fala napastników i orkowie zostali wciągnięci w zaciętą walkę wręcz.

- Naprzód, gnidy! - słychać było donośny krzyk Girgasa. - Chcecie może żyć wiecznie?

Wrogie szeregi zwały się ze straszliwą zawziętością. Nie było mowy o żadnym szyku bojowym. U orków, bo brakło im czasu na ustawienie się; u gnomów, bo w swej porywczosci tak czy siak nie znaly żadnego porzadku. Z dzikim wrzaskiem rzucily się na orków, lecz dla tych napastników, którzy zwrócili się przeciw Girgasowi i Balbokowi, walka skonczyla się szybko.

Miecz Girgasa pozostał wbity w rozplataną czaszkę wroga, więc, wydając ochryple okrzyki, wprawil w ruch swój topór. Teraz machal nim szerokimi lukami, by trzymac napastników z dala od siebie. Ostra jak nóz broń siala spustoszenie. Fontanny zielonej krwi zdawaly się otaczac dowodcę orków, tryskaly wysoko jak gejzery wszedzie tam, gdzie topór znalazł pozywienie. Balbok u jego boku odrzucil luk i siegnal po *saparak*, którym klul nacierajacych gnomów szereg po szeregu.

Pozostali orkowie równiez walczyli dzielnie, jednak masa gnomich wojownikow na polanie zdecydowanie przewazala. W krwawe bagno, w jakie pod stopami walczacych zmienila się polana, padało coraz więcej martwych żołnierzy. Początkowo zawsze znajdował się nowy ork, by zajac miejsce padlego towarzysza, wkrótce jednak ich szeregi przerzedzily się i, choć na kazdego zabitego przypadaly dwa martwe gnomy, przewaga napastników stawala się coraz wyraźniejsza.

To byla bezlitosna rzeź. Zielony sok życia gnomów mieszal się z czarną krwią orków i nasaczal grząskie podłozę, sprawiając, że przez dziesiątki lat na tej polanie nie wyrosnie żadna roslina. Na całej łące walczone, zabijano i rżnięto, a powietrze poranka przenikal smród potu i jeszcze cieplej krwi.

W centrum bitwy uwijal się Girgas. Jednemu z gnomów odciął toporem prawe ramię, by natychmiast odwrócić się do dwóch kolejnych, których položyl ciosem swej potężnej broni. Nie zwracal już uwagi na okaleczonego przez siebie wojownika

z odrąbanym ramieniem. Ten jednak, choć ciężko ranny, poczołgał się po ciałach swych towarzyszy do nóg Girgasa, ściskając w ocalałej dłoni sztylet. Zaatakował, gdy ork rozłupywał czaszkę kolejnemu gnomowi.

Girgas chrząknął, równie zaskoczony, co zdegustowany, i spojrzawszy w dół, zobaczył sterczący ze swojego buta sztylet. Zamachnął się toporem i zabił okaleczonego, który dokonał tego podstępного czynu. Zrobił to mimochodem, jakby rozgniałał natrętnego owada. Jednak na mgnienie oka uwaga Girgasa była odwrócona i ten moment wykorzystały pozostałe otaczające go gnomy.

Gdy wódz orków poczuł drżenie lewego ramienia, w pierwszej chwili nie zrozumiał, co się stało. Dopiero kiedy chciał podnieść rękę i nie udało mu się to, zauważył wbitą między pancerz a naramiennik strzałę. Gnomom nie wystarczyło opatrywanie grotów swych strzał zadziornymi - miały zwyczaj również nurzać je w truciznie. Girgas już czuł jej działanie, jego ruchy stały się ciężkie i nieskoordynowane. Walczył jednak dalej, wściekle zdecydowany pociągnąć za sobą w mroczną otchłań Kurula tak wielu napastników, jak tylko możliwe.

- Chodźcie no tu! - grzmiał. - Jeden warg i kilka strzał? To wszystko, na co was stać?

To jeszcze bardziej rozsierdziło gnomy, które z tym większym zdecydowaniem natarły na Girgasa. Z tłumu śmignął oszczep i wwiercił się w jego prawą nogę. Jeszcze gdy padał na kolana, inny gnom skoczył na niego jak dzikie zwierzę. Wbijając pazury w głowę orka, niewysoki wojownik postarał się, by Girgas nic nie widział i mógł już tylko ślepo rozdawać ciosy wokół siebie.

- Pomóżcie mi! - zawołał wódz w stronę swoich żołnierzy.
- Do kroćset, wy gnidy! Bądźcie łaskawi mi pomóc! - Lecz pozostali orkowie, włączając w to Balboka, byli zbyt zajęci ratowaniem własnej skóry.

Girgasowi udało się wreszcie strącić z głowy gнома, który zasłaniał mu widok. Nie zauważył nawet, że pazury wroga zostawiły mu na twarzy głębokie, krwawe zadrapania. Odrzucił małe zielone stworzenie w kierunku napastników. Gdy ponownie uniósł topór, chcąc rozplatać nim czaszkę wroga, ramię poniżej jego łokcia przecięła szabla i topór wraz z łapą, wciąż kurczowo zaciśniętą na trzonku, wylądował w bagnie.

Dowódca zastępu orków spojrział na zielony kikut. Wrzasnął z wściekłości i gniewu, ale gnomy opadły go już niczym chmara zielonej szarańczy. Girgas padł na ziemię w tym kłębowisku zielonych ciał, wśród przekleństw i złorzeczeń.

Rammar widział to z pewnego oddalenia i zdecydował, że od tej chwili bitwa jest dla niego przegrana. Dopóki Girgas żył, była jeszcze (choćby i niewielka) nadzieja, że orkowie wygrają. Teraz ta nadzieja została mu odebrana, a Rammar czuł się jeszcze za młody, by umierać.

Korpulentny ork trzymał się przez cały czas na skraju bitwy. Gdy większość gnomów cisnęła się tam, gdzie panował największy tumult, flanki doznawały mniej gwałtownych ataków. Teraz wyszło to Rammarowi na dobre. Oswobodził oszczep, opierając stopę o pierś umierającego i wyszarpując *saparak*, po czym rzucił się do ucieczki.

Przewidujący z natury Rammar już wcześniej upatrzył sobie kryjówkę. Na skraju polany, w porośniętej mchem skale, była szczelina, dostatecznie szeroka, by mógł się w niej zmieścić - zakładając, że wciągnie brzuch i wstrzyma oddech. Jednak w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, w jakim się znajdował, nie wydało mu się to wyzwaniem, jakiemu nie mógłby podołać.

Oczywiście Rammar znał obyczaje swego rodzaju i wiedział, co winien jest własnej krwi. Rozejrzał się i dostrzegł Balboka otoczonego obślinioną bandą gnomów, napierających na niego ze wszystkich stron.

- Żegnaj, bracie! - wyszeptał Rammar, kłaniając się ledwie dostrzegalnie, a po chwili odbiegł w kierunku szczeliny.

Wśród bitewnego zamętu nikt nie zwrócił na niego uwagi. Wciągnąwszy brzuch, by stać się tak chudym, jak tylko możliwe (przy czym „chudy” w tym przypadku nie oddaje istoty sprawy), Rammar rzeczywiście wcisnął się w ciemny otwór.

Tam czekał.

Czekał.

I czekał...

W pewnym oddalonym miejscu, w chłodnych ciemnościach prastarych murów, przekrwione oczy patrzyły w zamgloną głębię *ocoulónu*.

To, co było w nim widać, sprawiło, że wąska szczelina, znajdująca się poniżej oczu, skrzywiła się w zadowolonym uśmiechu.

Gnomy dobrze się sprawiły. Wszystko przebiegało tak, jak zaplanowano. Teraz musi tylko poczekać.

Już wkrótce to, do czego od tak dawna dąży, będzie należeć do niego...

- Zabijcie ich, moje dzielne gnomy - mówił cicho do *ocoulónu*. - Wybijcie ich wszystkich prócz jednego. Niech najdzielniejszy spośród nich stanie się moim narzędziem...

2. EUGASH KOUM

Wreszcie zgiełk bitewny zamilkł. Tylko tu i ówdzie dało się jeszcze słyszeć pojedyncze jęki, a już w południe z błękitnego nieba dobiegły piskliwe wrzaski sępów, mających wkrótce rzucić się na swój łup.

Choć jego kryjówka nie była w żadnym razie wygodna, Rammar wytrzymał w niej trochę dłużej niż to było konieczne. Chciał mieć całkowitą pewność, że na polanie nie ma już żadnego gнома.

W końcu zdecydował, że czeka już dostatecznie długo. Gdy wypchnął z płuc całe powietrze i ponownie stał się tak chudy, jak to tylko możliwe, udało mu się przepchnąć przez wąską szczelinę. Ostrożnie wystawił głowę i upewnił się, że teren jest czysty. Potem przesunął się i runął do przodu. Niezdarnie wylądował na stratowanej trawie.

Widok, jaki ujrzał, gdy ponownie stanął na nogi, nie należał do budujących. Cała polana usłana była zabitymi orkami. Niektórym odrąbano członki, innym rozpruto brzuchy, aż wypływały

z nich wnętrzości, a kolejnych naszpikowano strzałami. Wspólny dla wszystkich był wyraz niezmiernego przerażenia na twarzy, który, zdaniem Rammara, sprawiał, że wyglądali dość głupkowato.

Po gnomach jednak nie było śladu; odeszły, zabierając nawet swoich zabitych. Na polu bitwy zostali tylko martwi orkowie. Gdzieś pod leżącymi w nieładzie krwawymi ciałami, nad którymi szumiały już stada wielkich skrzydeł, Rammar spodziewał się znaleźć Balboka.

- Ty nędzny *umbalu!* - mamrotał do siebie, przeszukując polanę. - Ile razy mówiłem ci, że nie warto odgrywać bohatera! Że tylko głupek nadstawia głowę za innych! Ale nie, ty wiedziałeś lepiej ode mnie. Gdybyś słuchał starszego brata, to byś jeszcze żył...

Zamilkł, gdy z pobliskich zarośli dobiegł go szelest. Rammar uniósł *saparak* i odwrócił się gwałtownie. Coś trzasnęło w poszyciu i Rammar spodziewał się już, że wypadnie na niego kilka gnomów. Jakże wielkie było jego zdziwienie, gdy z gęstwiny nie wynurzyły się gnomy, ale chude oblicze brata.

- Balbok!

Na krótką chwilę ciemne rysy Rammara rozświetliła radość i mało brakowało, a rzuciłby się bratu na szyję. Upomniał jednak samego siebie, że takie zachowanie nie przystoi orkowi. Zatrzymał się gwałtownie, a na jego twarz powróciła stara zaciekłość.

- Rammar! - Balbok narzucił sobie mniejszą powściągliwość. Jego dziecinna twarz rozbłysła radośnie wyszczerzonymi zębami i ruszył, by gwałtownie wyściskać grubego brata. Rammar powstrzymał go, unosząc *saparak*.

- Co się z tobą dzieje? - napadł na niego. - Oszalałeś? Co to ma być?

- Myślałem, że nie żyjesz.

- Żyję! - wydyszał Rammar. - I ty też, jak widzę. Skoro już to wyjaśniliśmy, możemy znów być rozsądni. I może mi powiesz, jak możesz być jeszcze żywy, skoro całą resztę zmasakrowano.

- Nie wiem. - Balbok wzruszył ramionami. - Walka właściwie się skończyła, gnomy zabiły wszystkich, tylko ja zostałem. Otoczyły mnie i atakowały z wszystkich stron. Widziałem żądzę mordy w ich oczach i byłem pewien, że już po mnie. Patrzyłem śmierci w o...

- Do krośset, jesteś orkiem, a nie krasnoludem! - parsknął Rammar. - Nie opowiadaj mi tu długich historii, tylko mów, co się stało. Nie mam w końcu czasu na słuchanie cię przez cały dzień.

- Ja... ja nie wiem - powtórzył bezradnie Balbok. - Myślałem, że już po mnie, ale gnomy nagle zdecydowały inaczej i odeszły.

- To wszystko?

- To wszystko - zapewnił Balbok, wywołując u brata napływ spontanicznej zazdrości. Po co, do pioruna, wczolgiwał się do ciasnej szpary w skale i siedział tam całe przedpołudnie, skoro równie dobrze mógł przeczekać na polu bitwy?

- To nie ma sensu - powiedział. - Gnomy, kiedy już kogoś mają w szponach, nie wypuszczają go tak po prostu. Czemu darowały ci życie, he?

- Naprawdę nie wiem - zapewnił Balbok. Potem jednak dodał, nie bez dumy w głosie: - Do samego końca walczyłem. Może obleciał je strach i dlatego uciekły.

- Strach? Przed TOBĄ? - Rammar głośno się roześmiał. - Chciałbyś.

- W końcu byłem ostatnim, który jeszcze stał na nogach.

- A ja to co? Też jeszcze żyję, jak widzisz.

- Ty też walczyłeś do końca? - zdziwił się Balbok. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby widział brata na polu bitwy.

- A co to za głupie pytanie? - parsknął Rammar i przyjrzał mu się gniewnie. - OCZYWIŚCIE, że też walczyłem do końca. A może twierdzisz, że tchórzliwie wczolgałem się w skalną szczelinę i czekałem, aż walka się skończy?

Balbok zwlekał z odpowiedzią, co ostatecznie rozsierdziło brata.

- Ty nędzny krasnoludzi wypierdku! - wrzasnął. - A ja troszczyłem się o ciebie przez te wszystkie lata, odkąd troll zjadł naszego ojca! To ja nauczyłem cię obchodzić się z mieczem i *saparakiem!* I używać strzał, i strzelać z łuku!

- Używać strzał i strzelać z łuku to JA nauczyłem CIEBIE - sprzeciwił się Balbok.

- Nie przerywaj mi, kiedy do ciebie mówię! To brak szacunku, a w końcu to ja jestem z nas dwóch starszy. I jeśli jeszcze raz będzie mi się zdawało, że mnie podejrzewasz o ukrywanie się, kiedy nasi towarzysze dzielnie walczyli o życie, to poczujesz stal mojego sztyletu. Przysięgam na cuchnące trzewia Torgasa!

Tak zbesztany Balbok już się nie sprzeciwiał. Onieśmielony chudzielec, przerastający brata o głowę, spuścił wzrok. Śmierć towarzyszy Balbok przyjął z właściwą orkom obojętnością, za to bura starszego brata bardzo go dotknęła. Kąciki ust opadły, na bladej twarzy pojawił się smutek, a wargi wyduły się płaczkliwie.

- A cóż to znowu? - fuknął Rammar.

- Jesteś na mnie zły.

- Tak, do pioruna, jestem na ciebie zły! Nawet bardzo. Po prostu nie mogę znieść, kiedy ty... - Rammar widząc, że twarz brata wydłuża się i przybiera jeszcze bardziej ponury wyraz, przerwał. - Nie, nie jestem na ciebie zły - westchnął.

- Naprawdę? - Balbok podniósł wzrok.

- Nie. Ale jeśli jeszcze raz będziesz twierdził, że uciekłem z pola walki, to wyrwę ci zębami bebechy z brzucha. Jasne?

- Jasne - odpowiedział Balbok, szczerząc zęby.

- W takim razie postarajmy się stąd zniknąć. Niezależnie od tego, co kazało gnomom odejść, nie mogą być daleko. A nie mam ochoty spotkać ich jeszcze raz.

- Co z Girgasem? - spytał Balbok.

- A co ma być?

- Jest naszym dowódcą.

- BYŁ naszym dowódcą - poprawił Rammar.

- Mamy obowiązek odnieść jego głowę, żeby można było odprawić rytuał *shrouk-koum* i by zyskał nieśmiertelność.

- Rytuał *shrouk-koum*? - z niedowierzaniem spytał Rammar. - Ty poważnie proponujesz, żebyśmy przez całą drogę do domu taszczyli czaszkę Girgasa tylko po to, żeby mogli z niej zrobić pokurczony łebek?

- Tak każe prawo. - Balbok wzruszył ramionami. - Jeśli tego nie zrobimy, wyrzucą nas z plemienia i odbiorą majątek.

- Naprawdę? - Rammar z niedowierzaniem gapił się na brata.

- Tak każe prawo - powtórzył Balbok.

- W takim razie musimy znaleźć tego starego tępaka i zanieść jego łeb do domu! - Rammar westchnął i rozejrzał się po polu bitwy. - Pytanie tylko, gdzie mamy zacząć szukać?

- Tam, po drugiej stronie! - powiedział Balbok, wskazując na miejsce niedaleko skraju lasu, gdzie sterczał wbity w ziemię porzecz orków, przedstawiający zaciśniętą pięść. Trzepotał na wietrze, postrzępiony, a wraz z nim skalpy krasnoludów i gnomów, którymi ozdobiony był drzewiec.

Rzeczywiście znaleźli tam również zwłoki Girgasa, do połowy zanurzone w bagnie. Jak zauważyli, rzuciło się na niego

wiele gnomów. Zmarły był też stosownie do tego oszpecony - zielonogębi posiekali Girgasa dosłownie na kawałki. Wyglądał, jakby pożarł go warg, na poły strawionego wypluł, a resztki za-grzebał w ziemi szponiastymi łapami.

Powód, dla którego Rammarowi na widok zwłok wyrwało się przekleństwo, był jednak inny: na karku Girgasa brakowało głowy!

Cóż, w wirze bitwy zdarza się czasem, że głowa oddziela się od tułowia. Bracia wzięli się zatem za poszukiwanie czaszki swego dowódcy. Kiedy jednak po dłuższej chwili nic nie znaleźli, doszli do wniosku, że gnomy zabrały łeb Girgasa.

- Będą kłopoty - wyprorokował Balbok.
- *Shnorsh* - skwitował Rammar.

W tłumaczeniu na mowę ludzi słowo *balboug* oznacza osadę lub wioskę. W rzeczywistości jednak ludzka mowa oddaje znaczenie tego określenia bardzo niezadowolająco. Słowem *balboug* ork nazywa tylko taką wioskę, z której sam pochodzi, zaś każda inna nazywana jest *kuun*, obca.

Jako że orkowie nigdy nie wpadli na pomysł, by wioskom czy osadom nadawać nazwy własne (będąc między sobą, zawsze przecież wiedzieli, o jakiej miejscowości mówią), z biegiem lat doszło do znacznego zamieszania. Ilekroć mowa była o *balboug*, pojawiała się między plemionami niezgoda, o czyjej ojczyźnie tym razem mówią. Zaś wśród ludzi i krasnoludów byli kronikarze, którzy twierdzili, że klęska orków w Drugiej Wojnie może mieć za przyczynę fakt, że właściwie nigdy nie było dokładnie wiadomo, gdzie ma się zebrać armia.

Takie przemyślenia były obce Rammarowi i Balbokowi, gdy czwartego dnia po bitwie w nadgranicznej krainie wrócili na obszary swego plemienia. Już z daleka czuli stęchły odór, który unosił się nad jaskiniami i dla każdego orka był uosobieniem

błogości. Gdy dobiegła ich także woń świeżo duszonego ludzkiego mięsa, Balbok poczuł, że jest znów w domu.

- Nareszcie! - powiedział Rammar, gdy wyboistą ścieżką skierowali się do parowu, w którego stromych skalnych ścianach znajdowały się jaskinie i chaty ich *balboug*.

- Po pierwsze, uraczę się porządnym łykiem posokowego piwa. Potem zagrzebię w spróchniałe poszycie naszej jaskini i będę spał przez kilka dni.

- Tak - półgłosem odpowiedział Balbok. - Jeśli nam pozwolą.

- Co z tobą? Znowu zaczynasz? - Rammar ze złością pokręcił głową. - Ile razy mam ci jeszcze mówić, że nie musisz się martwić? Już ja wyjaśnię Graishakowi sprawę głowy Girgasa.

- Ale prawo powiada...

- Wszystko mi jedno, co powiada prawo. Gnomy miały przewagę, a głowy Girgasa już nie było. Co mogliśmy zrobić? Wystrugać na poczekaniu nową?

- Ale prawo...

- Skończ z tym wreszcie! - naskoczył na brata Rammar. - Jeśli jeszcze raz zaczniesz coś o prawie, zabiję cię gołymi rękami, rozumiesz?

- Tak.

- To świetnie. Po prostu się zamknij i zostaw mówienie mnie, kapujesz? Wtedy wszystko będzie w porządku, sam zobaczysz.

Balbok już się nie sprzeciwiał, więc Rammar chwilowo uznał sprawę za załatwioną. Dumnie dźwignął wyżej proporzec (lub raczej to, co zostało z niego po ataku gnomów) i niósł go ścieżką wśród skał do wąwozu. Po obu stronach wąskiej ścieżki pojawiły się ponure postacie. Wojownicy pilnujący dojścia do *balboug*, groźnie wystawili przeciw nim swoje *saparaki*.

- Wy, tam! Podajcie hasło!

- Bij zabij - odpowiedział mimochodem Rammar. - Ale czemu mnie o to pytasz, barania głowo? Nie poznajesz nas? Jestem Rammar, a to mój brat Balbok.

- A skąd mam wiedzieć, kim jesteś? - odpowiedział mruklawie kapitan warty. - Nie mogę w końcu znać każdego pyska, który mieszka w *balboug*. Co się stało z waszym proporcem? I gdzie wasz dowódca?

- Martwy - odpowiedział po prostu Rammar. - Gnomy.

- A gdzieście zostawili jego głowę? Prawo mówi...

- Wiem, co mówi prawo - westchnął Rammar i rzucił swemu bratu pełne wyrzutu spojrzenie, jakby to on osobiście je ustanowił. - Po prostu nas przepuście. Pójdziemy do Graishaka i wszystko mu wyjaśnimy.

- Naprawdę tego chcecie? - Kapitan uniósł brew nad jedynym okiem, jakie mu jeszcze zostało. Drugie stracił w walce. - Na waszym miejscu dobrze bym się zastanowił. W tych sprawach Graishak nie żartuje.

- Ja też nie! - burknął w odpowiedzi Rammar i wartownicy ustąpili. Bracia ruszyli wykutymi w skale schodami i dotarli do centrum wioski.

Orkowie nie należeli do mistrzów budownictwa. Ich mocną stroną było raczej burzenie niż wznoszenie. Stosownie do tego sadyby swoje zakładali albo w jaskiniach, wygrzebanych w skale kaprysem natury, albo w ruinach tego, co pozostało po innych. W *balboug*, w którym mieszkali Rammar i Balbok, znajdowały się jedno i drugie. Jaskinie, ciągnące się po obu stronach wąwozu w niemal pionowych skalnych ścianach, były pochodzenia naturalnego. Za mieszkania służyły już jednak wcześniej, na długo nim osiedliło się tutaj plemię Graishaka.

Powiadano, że jaskinie zamieszkiwali wówczas dzicy ludzie: włochate, garbate istoty, jeszcze brzydsze niż ludzie w dzisiejszych czasach ze swoimi jasnymi oczami i mlecznymi twarzami.

Co im się przytrafiło, nikt nie wiedział. Może uciekli, może wytrzebiła ich zaraza. Może też ich plemię wybił jakiś troll. Tak czy siak, rozbudowali jaskinie i skonstruowali drewniane kładki, łączące górą obie strony wąwozu. Jako że drewno było stare i spróchniałe, a orkowie nigdy go nie odnowili, zdarzało się raz po raz, że któraś z kładek nie wytrzymała i ktoś spadał, łamiąc sobie kark, co wśród pozostałych orków wywoływało powszechne rozbawienie.

Choć Rammar i Balbok byli radzi, że są znów w domu (podczas długiego powrotnego marszu musieli stale ukrywać się przed patrolami gnomów), ich uwadze nie uszły spojrzenia, jakie rzucali na nich współplemieńcy. Wystrzępiony porporzec świadczył o tym, że doszło do walki, zaś fakt, że wrócili sami, pozwalał wystarczająco wyraźnie domyślać się jej wyniku. Jako że orkowie nie pielęgnowali raczej więzi rodzinnych - bracia Rammar i Balbok stanowili tu wyjątek - nie było nikogo, kto żałowałby Girgasa i pozostałych. Za to w *balboug* zapanował gniew. Gniew na wrogów, pogromców zastępu orków i tym samym całego plemienia.

Rammar i Balbok byli tak zmęczeni, że najchętniej najpierw by odpoczęli. Obaj nie mieli jednak wątpliwości, że nie wolno im odpoczywać, nim nie zdadzą sprawozdania wodzowi, tym bardziej że wiedzieli już o nich wartownicy. Graishak nie lubił złych wieści, ale jeszcze mniej lubił słyszeć je jako ostatni.

Domostwo Graishaka leżało na końcu wąwozu. Odór zgnilizny i stęchlizny był tam najsilniejszy, a na licznych palach, wbitych w ziemię po prawej i lewej stronie wejścia, sterczały głowy zabitych wrogów. Były to przede wszystkim głowy gnomów, ale i jedna głowa człowieka, który okazał się na tyle nieostrożny, że przemierzał wąwozy i lasy Gór Czarnych. Choć jaskinia Graishaka była największa w całym *balboug*, stanowiła tylko przedsiónek jeszcze większej skalnej sali. Poświęcono ją kultowi

Kurula - mrocznego demona, którego orkowie równie mocno czcili jako swego stwórcę, co bali się go jako pogromcy. Tu przynosili ofiarne dary i tu również przechowywane były zasuszone głowy padłych w walce orczych wodzów, by zjednoczyli się z Kurulem i trafili do otchłani Luraka, gdzie cały długi wiek będą trawieni i na koniec wypłuci z powrotem.

Przed jaskinią Graishaka trzymali wartę orkowie więksi i znacznie silniejsi niż ci u wejścia do wąwozu. Byli to *faihok'hai*, najlepsi i najokrutniejsi wojownicy plemienia. Powołanie do osobistej ochrony wodza to dla każdego orka honor (nie mówiąc o tym, że oznacza to również najlepsze jedzenie i największy udział w łupach na grabieżczych wyprawach).

Spod pancernych hełmów *faihok'hai* zerkały dociekliwe pary oczu, nieufnie lustrując obu braci. Dopiero gdy powtórnie podali hasło, pozwolono im przejść.

- Dalej, wchodźcie - polecił jeden z wartowników, a spojrzenie, jakim ich zmierzył, nie spodobało się Rammarowi. - Przychodźcie w najlepszym momencie, nasz wódz udziela właśnie audiencji.

Jakby na potwierdzenie obaw Rammara, z rozświetlonego pochodniami półmroku wyszli im naprzeciw dwaj orkowie dźwigający zwłoki trzeciego. Ktoś przed chwilą roztrzaskał mu czaszkę.

- Na trzewia Torgasa - mruknął Rammar. - Co się stało?

- Pierdnął w obecności Graishaka - odpowiedział jeden z niosących zwłoki.

- Ale przecież zwykle to wodzowi nie przeszkadza - odparł, nic nie rozumiejąc, Rammar. - Donośne oddanie gazów to u orków normalna rzecz.

- Ale dziś dokuczają mu wzdęcia - odparł ork, jakby to wszystko wyjaśniało. Niosący zwłoki minęli ich i poszli dalej.

- Ojej - szepnął Balbok. - Wygląda na to, że Graishak jest w złym humorze.

- Zamknij się i zostaw mówienie mnie - jeszcze raz upomniał go Rammar. - Obojętne, co się stanie, nie otworzysz pyska, zrozumiano?

- Jeszcze jak.

- No to chodź.

Z podniesioną głową, trzymając wysoko w górze porządek dowódcy zastępu, Rammar poszedł wzdłuż krótkiego korytarza, prowadzącego do jaskini Graishaka. Balbok ruszył za nim, jednak dla bezpieczeństwa trzymał się nieco w tyle za bratem, by w razie czego ten znalazł się między nim a gniewem Graishaka.

Odór, docierający z jaskini wodza, był zarazem dokuczliwy i kuszący. Stęchła woń, towarzysząca orkom na każdym kroku, mieszała się tu z uwodzicielskim zapachem gorącej zupy i Balbok swym wrażliwym nosem wyczuł w niej świeże, ludzkie mięso. Przypomniawszy sobie głowę przed wejściem, a ponieważ już od wielu dni nie jadł nic porządnego, zaczęło mu głośno burczeć w brzuchu.

- Cicho - syknął do niego Rammar. - Co ci mówiłem?

- Ale to nie ja - bronił się cicho Balbok. - To mój żołądek.

- To powiedz mu, żeby był cicho, bo jak nie, to rozpruję go sztyletem, kapujesz?

Na te słowa żołądkowi Balboka odebrało mowę i bracia wkroczyli do jaskini wodza. Szerokie sklepienie zdawało się wspierać na wielkich stalagmitach, wyglądających jak ogromne kolumny. Przymocowano do nich pochodnie, a w ich migotliwym blasku stał powleczoney trollim futrem tron, po którego obu stronach trzymali wartę przyboczni gwardziści. Na tronie siedział ork, równie gruby, co wysoki. Lewa połowa jego głowy zasłonięta była płytą z kutej stali.

Graishak.

Każdy ork w *balboug* wiedział, że ta metalowa płyta jest pamiątką walki: krasnoludzi topór rozplatał mu czaszkę, a życie uratowała mu w tajemniczy sposób czarna magia. Jednak od tamtego dnia nie był już taki jak przedtem. Niektórzy twierdzili, że jest pod wpływem magii, inni powiadali, że cios topora pozbawił go za dużego kawałka mózgu. Faktem było, że wrócił z pola bitwy i wyzwiał do walki Graishaka, ówczesnego wodza plemienia. Wyrywając mu gołymi rękami głowę z ramion, został jego następcą i sam obwołał się wodzem. To, że przyjął również jego imię, należało do tradycji. Orkowie nie liczą swoich władców, jak robią to ludzie. Mało też dbają o ich pamięć - nie wznoszą im posągów ani nie śpiewają pieśni o ich czynach. Każde pokolenie jest zbyt skupione na sobie samym, nie mówiąc o tym, że orkowie są naprawdę marnymi śpiewakami i niewiele sobie robią ze sztuk pięknych. Kto by się odważył w obecności Graishaka wspomnieć jego poprzednika, musiał liczyć się z tym, że straci język.

Co najmniej język...

- *Achgosh douk* - Rammar przywitał wodza tradycyjnym pozdrowieniem i pokłonił się poddańczo. Balbok naśladował go we wszystkim, choć nie skłonił się aż tak nisko.

- Wasze gęby też mi się nie podobają - odpowiedział Graishak, który znudzony rozsiadł się na tronie z kuflem posokowego piwa w łapie. - Mówcie, co chcecie mi opowiedzieć. Szybko, nim się znudzę i każę was poćwiartować!

- Należeliśmy do drużyny Girgasa - rozpoczęła swój raport Rammar. - Mieliśmy zadanie, żeby rozejrzeć się za gnomami na rubieżach.

- I co? - spytał Graishak między dwoma łykami piwa. - Trafiliście na gnomy?

- Można tak powiedzieć - odparł Rammar i trochę zmieszany zerknął na wystrzępiony poręcz. - My... Więc...

Wpadliśmy w zasadzkę. Wszyscy wojownicy naszej drużyny są zabici, prócz nas dwóch.

- Cooo? - Graishak pochylił się do przodu, zwążając oczy w wąskie szparki.

- To nie nasza wina - pośpiesznie zapewnił Rammar. - Mój brat i ja zostaliśmy wysłani na zwiad, gnomy odkryły nas i uciekaliśmy, żeby ostrzec pozostałych, ale było już za późno, bo...

Graishak przerwał mu gniewnie warczącym głosem.

- Co chcesz powiedzieć przez to, że było za późno?

- Chcę powiedzieć, wielki Graishaku, że wobec przewagi wroga byliśmy bezsilni. Walczyliśmy dzielnie, możecie nam wierzyć. Nasz dowódca Girgas sam jeden ubił wargę, a mój brat i ja całymi pęczkami szuflowaliśmy gnomów do ciemnej otchłani Kurula. Do ostatniej chwili nie odstępiliśmy boku naszego dowódcy i walczyliśmy z nim ramię w ramię.

- Naprawdę? - Graishak odsłonił żółte zęby w chytrym uśmiechu. - Jak to się więc stało, że wy dwaj przeżyliście bitwę?

- Zawdzięczamy to tylko naszej odwadze, wielki Graishaku. Kiedy inni orkowie rzucili się do tchórzliwej ucieczki i rozpełzli do szczelin w skale i w ziemi, my walczyliśmy dalej. Również kiedy nasz dowódca padł na ziemię, naszpikowany strzałami, nie poddaliśmy się. W końcu gnomy widocznie zrozumiały, że nie ma sensu dłużej mierzyć się z wojownikami naszej miary. Wolały więc poszukać ratunku w ucieczce.

- Uciekły? Nie mówiliście, że przewaga była przytłaczająca?

- Była - zapewnił Rammar. - Ale kiedy wojownika takiego jak ja ogarnia gniew, wielki Graishaku, i kiedy wpadam w *saobb*, to walczę i szaleję jak berserk, a moim przeciwnikom napędzam strachu. Mój brat mi pomógł, ale to głównie ja byłem tym, który sprawił, że gnomy uciekły.

- Rozumiem - powiedział Graishak i znów twarz wykrzywił mu podstępny uśmiezek. - Zatem wywalczyliście sobie sławę i chwałę, moi wojownicy. Oraz miejsce przy moim stole. Cały *sochgal* pozna wkrótce wasze imiona i będzie czcić was obu jako orków, którzy samowtór rozpedzili całą armię gnomów. Mam tylko jeszcze jedno pytanie...

- Tak? - Rammar nadstawił uszu.

- Gdzie jest głowa waszego dowódcy? - mrukiwie spytał Graishak. - Przekłęta czaszka Girgasa. Gdzieście ją, do kroćset, zostawili?

- To, wielki Graishaku, jest bardzo dobre pytanie - zgodził się Rammar i odwrócił nagle do brata: - Balbok, gdzie została głowa naszego dowódcy? Gdzie szlachetna głowa Girgasa? Ty ją miałeś ostatni.

Balbok chętnie by odpowiedział, ale przypomniał sobie zakaz, jakiego udzielił mu brat. Zadowolił się więc zmieszonym grymasem, przesunął hełm na kark i podrapał w głowę.

- Przykro mi, wielki Graishaku - powiedział na to Rammar. - Jestem niepokieszony, ale wygląda na to, że mój głupekowaty brat zgubił głowę naszego dowódcy.

- On ją... ZGUBIŁ?

- Spróbuj to zrozumieć. Trwała bitwa. Wszędzie kłębiło się od gnomów, powietrze było pełne zatrutych strzał i warczenia wargów.

- To nie jest usprawiedliwienie! - wrzasnął Graishak. - Głowa zabitego dowódcy drużyny musi zostać przyniesiona do *balboug* i starym obyczajem zasuszona. Inaczej nie może się pojednać z Kurulem, a to oznacza nieszczęście dla całego plemienia. Tak stanowi prawo Kurula. Jedno z niewielu, jakich przestrzegamy.

- To wszystko pięknie - próbował załagodzić Rammar. - Ale może potężny Kurul mógłby tym razem zrobić wyjątek. Skoro

łeb Girgasa jest bezpowrotnie stracony... gnomy zabrały go z sobą.

- Mają go gnomy?!

- Tak, wodzu. Kiedy się za nim rozglądaliśmy, musieliśmy uznać, że wróg przywłaszczył sobie głowę Girgasa i zabrał ją ze sobą.

- Ach tak? - Oczy Graishaka zabłyśły iskrami. - Jak to możliwe, skoro w panice rzuciły się do ucieczki przed wami?

Pytanie było uzasadnione, ale Rammar nie miał na nie odpowiedzi. W drodze do jaskini wodza wszystko sobie dokładnie ułożył, ale teraz musiał przyznać, że jego historia nie brzmi nawet w przybliżeniu tak wiarygodnie, jak mu się zdawało.

- Co z tobą? - w potrzebie zwrócił się do brata. - Nie stój tak, Balbok. Odezwij się łaskawie i powiedz coś!

- Nie wolno mi - wzruszając ramionami, odparł Balbok. - Sam powiedziałeś, że mam tobie pozostawić gadanie, a sam nie otwierać gęby.

- Świetnie, ale teraz mówię, że masz mówić. Wyjaśnij namszemu wodzowi, jak mogło dojść do tego, że zgubiłeś łeb Girgasa.

- Tak - zażądał, krzywiąc się, Graishak. - Wyjaśnij mi. Zamieniam się w słuch.

- Więc dobrze - odparł Balbok, uznając zakaz odzywiania się za zniesiony. - W rzeczywistości wszystko było całkiem inaczej. Rammar pomieszał kilka rzeczy.

- Co?

- Nie słuchaj go, wodzu! - krzyknął Rammar. - Postradał rozum i...

- Niczego nie postradałem, a ty opowiedziałeś wszystko źle - zdecydowanie sprzeciwił się Balbok. - Ja mianowicie wcale nie miałem głowy Girgasa. Kiedy znaleźliśmy ciało, gnomy już ją przecież zabrały.

- Co też ty nie powiesz - mruknął markotnie Rammar.

- Tak było, ręczę za to słowem. Potem opuściliśmy pole bitwy, bo w lasach wokół gęsto było jeszcze od gnomów. Postaraliśmy się zniknąć i zostawiliśmy ciało Girgasa tam, gdzie było. Za to - Balbok dumnie wskazał na pożałowania godne resztki porporca - przynieśliśmy nasz porporzec.

- A więc przynieśliście porporzec... - Graishak skinął głową. - Żebym wszystko dobrze zrozumiał: gnomy ukradły głowę waszego dowódcy, a wy zamiast je gonić i ją odebrać, jak przystoi walecznym orkom, WY rzuciliście się do ucieczki i wróciliście biegiem do *balboug*, zgadza się?

- Zgadza się - potwierdził Balbok, a jego brat wcisnął głowę w szerokie ramiona i, cofając się posuwistym krokiem, zbliżył do wyjścia.

Balbok zauważył to i przyglądał mu się zdziwionym spojrzeniem.

- Co z tobą? - zapytał.

- Nic - odpowiedział mu szeptem.

- Ale tak, coś się z tobą dzieje, dobrze widzę. Co takiego znów źle zrobiłem?

- Nic. Zupełnie nic. - Rammar mówił tak cicho, że ledwie go było słyhać.

- Możesz spokojnie mi powiedzieć.

- Zamknij się wreszcie, do kroćset! Przez twoje gadanie stracimy głowy!

- Nic z tych rzeczy - Balbok nie miał wątpliwości. - Wyjaśniłem przecież wszystko, coś ty pomieszał. Możesz być mi tylko wdzięczny.

- Ja mam być ci wdzięczny? - Tego było Rammarowi za wiele. Na mgnienie oka zapomniał, że stoi w jaskini wodza i porusza się niebezpiecznie blisko krawędzi otchłani Kurula. Jego twarz pociemniała od gniewu, rzucił się na brata z łapami zaciśniętymi w pięści. - Już wystarczy! Ty nędzny trolli wypierdku! Ty nędzna namiastko orka! Ostatni raz zapędziłeś nas w *shnorsh*!

Rozpłatał ci brzuch i wetknę twój łeb w twoje własne bebechy, tak długo, aż...

- *Kriok!*

Ochrypli krzyk Graishaka sprawił, że obaj się skurczyli, i przerwał ich kłótnię. Wódz zeskoczył z tronu, a wzrok, jakim mierzył Rammara i Balboka, był ostry jak sztylet.

- W tej chwili uspokójcie się, obaj. Albo wyrwę wam języki i każę wam je zjeść. Zrozumiano?

Rammar i Balbok, przygnębieni, spojrzeli na siebie i skinęli głowami.

- Dobrze - powiedział Graishak i groźnie się do nich zbliżył. - Skoro już to wyjaśniliśmy, teraz ja, dziwne ptaszki, opowiem wam historyjkę. A potem zastanowię się, co z wami zrobić. Kapujecie?

Znów sztywne skinienie głowami. Kłótnia braci odeszła już w zapomnienie.

- W takim razie dobrze mnie słuchajcie. Przed laty, podczas szczególnie mroźnej zimy, pewna drużyna orków wybrała się na łupieżczą wyprawę na północne rubieże. Był wśród nich odważny, silny ork, kipiący ochotą do łapania ludzi i roztrzaskiwania gnomich czaszek. Jednak do tego nie doszło. Gdy drużyna schroniła się przed burzą śnieżną w zapadlinie, została tam napadnięta. To żołnierze, krasnoludy ze Wschodnich Ziem, zaskoczyli orków, akurat kiedy ci zajęci byli zjadaniem reszty *baish*, jaki mieli ze sobą. Cóż, ork, o którym opowiadam, miał straszniego pecha: dostał cios w czaszkę toporem, jeszcze nim walka na dobre się rozpoczęła. Jego kompani jednak wyrwali się krasnoludom i rzucili do ucieczki. Po prostu go zostawili. - Graishak zrobił przerwę i przyjrzał się obu braciom, zwięzając oczy w szparki. - Domyślcie się, dlaczego opowiadam wam tę historię?

- Nie - prostolinijnie odparł Balbok.

Również na obliczu Rammara nie malowało się zrozumienie.

- W takim razie powiem wyraźniej - ciągnął Graishak z podejrzanym spokojem. - Ten ork wyglądał na dość martwego, ale martwy nie był. Gdyby stało się tak, jak chciała drużyna, zginąłby marnie. Ale los miał wobec niego dobre zamiary i dlatego ocalił go od przedwczesnego skoku w otchłań Kurula. Rozjaśnia się wam powoli?

- O tak - zapewnił Rammar, który znów nabrał nieco nadziei. - Ale mogę zapewnić was, wielki wodzu, że Girgas był martwy na wskroś, kiedyśmy go zostawiali. W końcu nie miał już głowy. A nie mogę sobie wyobrazić, żeby ork bez głowy, do tego jeszcze, kiedy miał łeb wielki jak...

- Milcz! - naskoczył na niego Graishak. - Nie obchodzi mnie, czy Girgas już wyzionął ducha, czy nie. Zostawiliście swojego dowódcę na pastwę losu i tchórzliwie zwialiście, tak samo jak te gnidy wtedy, w tamten zimowy dzień.

- A co ma wspólnego jedno z drugim? - Balbok zmarszczył czoło, bo, w przeciwieństwie do brata, wciąż jeszcze nie domyślił się prawdy.

- To bardzo proste. Tym orkiem, którego wtedy zostawiono, byłem JA! - oznajmił Graishak głosem łamiącym się od gniewu i wściekłości. - Od tamtej pory nie mogę znieść, kiedy wojownicy opuszczają swoich towarzyszy, martwych czy żywych. To tutaj - postukał pazurem w stalową płytę na swej czaszce - to wieczna pamiątka tego dnia, żeby przypominać mi o tym, jak obrzydliwi i godni pogardy są tchórze. Wtedy zabiłem wszystkich, którzy mnie zostawili, wliczając dowódcę. To właśnie jest kara, na jaką zasługują wszyscy tchórze. A teraz zdradźcie mi, jak mam z wami dwoma postąpić?!

- Błagam łaski! - Rammar rzucił się na kolana przed wodzem. - Dajcie łasce pierwszeństwo przed prawem i pomyślcie o tym, żeśmy, zapewniam was, walczyli dzielnie do ostatniej chwili!

- Mam zapytać twego brata? - warknął Graishak. - Jestem pewien, że opowiedziałby mi co innego. Tylko jeden z was mógł przeżyć tę walkę, drugi łąze jak krasnolud na szczudłach [powiedzono orków]. Powiedzcie mi zatem: co mam z wami dwoma począć?

Rammar i Balbok wymienili szybkie spojrzenia. Jeden czołgał się po ziemi, drugi stał z opuszczoną głową. Obaj wiedzieli, że tkwią po uszy w *shnorsh* i kiedy wyobrażali sobie, jaki też rodzaj śmierci wymyśli dla nich znany z pomysłowości w tej materii Graishak, równocześnie zadawali sobie pytanie, dlaczego ich wódz jest tak pewien, że tylko jeden z nich mógł przeżyć walkę i że skutkiem tego drugi kłamał.

- Wstań! - wrzasnął Graishak na Rammara. - Weź przykład z brata. Ma tyle samo *achgal*, co ty, ale tego nie okazuje, tylko znosi jak ork.

- Nie - sprzeciwił się Rammar, podnosząc się ociężale. - On jest za głupi, żeby pojąć, że tu gra idzie o głowę i że zostanie skazany na śmierć.

- Nie zostanie skazany - sprzeciwił się Graishak.

- Nie?

- Nie. Ty też nie, tłusćciochu. Przynajmniej na razie. Tylko sobie nie wyobrażaj, że wzruszyło mnie twoje skamlenie. Ja jestem głuchy na takie rzeczy.

- Wiem - zapewnił Rammar.

Graishak podczas ataku krasnoludów stracił również lewe ucho, więc jego słowa można było przynajmniej w połowie rozumieć dosłownie.

- Daruję wam życie, nieudacznicy, tylko z jednego jedyne go powodu. Żebyście mogli naprawić swój błąd.

- Jak mamy naprawić nasz błąd?

- Chyba właśnie powiedziałem, czyż nie?

Rammar starał się, by nie było po nim widać zdziwienia. Graishak nie był znany z nadmiernej pobłażliwości. Co w takim razie się z nim dzieje? Czemu nie rozkazał po prostu zmasakrować ich tu, na miejscu, nafaszerować im brzuchy cebulą i czosnkiem, i podać jako główne danie na ucztę ku czci Girgasa?

Możliwość ratunku była tak kusząca, że Rammar nie rozmyślał nad tym zbyt długo. Również Balbok, gdy wreszcie pojawiła się nadzieja, nie miał nastroju na mędrkowanie.

- Wiecie, gdzie odbyła się bitwa z gnomami - powiedział Graishak. - Wróćcie zatem tam i przynieście mi głowę Girgasa. Jeśli przyniesiecie mi ją przed pełnią Posokowego Księżycy [czwarty miesiąc w kalendarzu orków], daruję wam życie. Jeśli nie, każę moim *faiho-k'hai* przegonić was przez cały kraj i nagrodzę ich wspaniałomyślnie za każdą część waszego ciała, jaką mi przyniosą. Zrozumieliście mnie?

- O... oczywiście - jękał się, odpowiedział Rammar. - Czy mogę wam tylko jeszcze raz przypomnieć, że gnomy ukradły łeb Girgasa? Powrót na miejsce bitwy nie na wiele się zda, bo tam już go nie ma.

- Ale są ślady, za którymi możecie pójść. Macie wasze nozy i wasz instynkt. Dokądkolwiek poszły gnomy, pójdziecie za nimi i odbierzecie łeb Girgasa, i to przed pełnią Posokowego Księżycy. Potraktujcie to jak wyrok Kurula.

- A jeśli nie znajdziemy gnomów? Albo jeśli nie mają już głowy Girgasa?

- Błagaj Kurula, żeby tak nie było, bo jeśli wróćcie z pustymi rękami, nafaszeruję wasze brzuchy cebulą i czosnkiem, a potem każę was podać jako główne danie na ucztę ku czci Girgasa. Kapujecie?

- Tak - jednogłośnie potwierdzili bracia, a Rammar prze-
raził się tym, jak dobrze zna swego wodza.

- Nie traćcie czasu. Natychmiast ruszajcie w drogę.

- Natychmiast? - przestraszył się Balbok. - Ale... dopiero
co wróciliśmy.

- Zgadza się - zawtórował mu z rzadką jednomyślnością
brat. - Nie moglibyśmy najpierw trochę odpocząć?

- Nie! - prychnął ze złością Graishak. - Ruszacie na-
tychmiast!

- Ale... - zaczął jeszcze raz Balbok, by zaraz zamilknąć na
widok morderczych iskier w oczach wodza.

Rammar odwrócił się już i odsunął ku wyjściu z jaskini. Brat
poszedł za nim i dogonił go. Jednak nim Balbok zdołał cokol-
wiek powiedzieć, Rammar odwrócił się do niego, wcisnął mu w
łapę proporzec i szepnął:

- Bądź łaskaw nie otwierać pyska, w porządku? Tylko
ten jeden raz...

Kiedy opuszczali jaskinię wodza, Balbok milczał.

Na zewnątrz zebrały się zwabione dzikimi wrzaskami Grais-
haka tuziny orków. W ich oczach płonęła niezaspokojona żądza
krwi. W pierwszej chwili byli rozczarowani widokiem żywych
braci wychodzących z jaskini.

Chwilę później jednak na powitanie Balboka i Rammara roz-
brzmiał szyderczy śmiech. Wyglądało na to, że wartownicy roz-
powiedzieli już, co zaszło, a Balbok na dodatek niósł postrzępio-
ny proporzec swej drużyny, wciśnięty mu w łapę przez Ramma-
ra.

Choć orkowie uważani są powszechnie za ponure kreatury i
śmieją się daleko mniej niż ludzie albo znane z pogody ducha
krasnoludy, również oni, będąc wśród swoich, często żartują.
Poczucie humoru, którym wtedy się kierują, jest jednak dość
grubiańskiej natury.

I tak na przykład: wybuch gromkiego śmiechu wywoła ork,
trafiony strzałą gnomów w *asar*, przez co upadnie i złamie sobie

kark. Opowiadanie dowcipów natomiast jest wśród orków dalece nieznaną, co podobno wynika z faktu, że orkowie przez swą wrodzoną niecierpliwość nie są w stanie doczekać pointy. Mają bowiem w zwyczaju już przed nią zabijać opowiadającego, co ich zdaniem bywa o wiele zabawniejsze.

Mimowolnie Balbok i Rammar trafili w samo sedno poczucia humoru swoich współplemieńców: dwaj wojownicy, którzy jako jedyni przeżyli bitwę, wrócili bez głowy dowódcy, za to z obzarpanym proporcem swej drużyny pod pachą, stanowili wyśmienity obiekt kpín i drwin wszelkiego rodzaju.

Pokazywano ich palcami, a kilku orków odwróciło się do braci plecami i wypięło gołe tyłki.

- Oto idą Balbok i Rammar! - rozległy się okrzyki. - Róbcie miejsce, orkowie. Wielcy, dzielni wojownicy są wśród nas!

- A proporzec swej drużyny niosą dumnie przed sobą! - wołał ork z szeroką blizną na twarzy, śmiejąc się donośnie.

- Tylko niestety o czymś zapomnieli! - dodał inny, a śmiech stał się jeszcze donośniejszy.

Do Balboka podszedł jeden z kapitanów i nie kryjąc gniewu, wyrwał mu proporzec.

- Nie jesteście godni nosić znaku waszego zastępu! Pamiętajcie pamięć padłych towarzyszy broni!

- Mamy wyruszyć bez proporca? - krzyknął przerażony Balbok piskliwym głosem. - Przecież jesteśmy orkami! Musimy mieć proporzec!

W odpowiedzi kapitan splunął mu pod nogi i odmaszerował wśród jeszcze donośniejszego śmiechu i wrzasków orków.

Bracia powlekli się ze zwieszonymi głowami ścieżką, jaka powstała w wyjąłym tłumie. Z kładek sikały na nich orcze dzieci i uciekały z chichotem. Innego dnia Rammar złapałby je (gdyby

je dogonił) i poprzetrzącał im ręce. Teraz jednak, podobnie jak brat, chciał jak najszybciej opuścić wioskę i tęsknie wypatrywał wylotu wąwozu.

- Odszukajcie łeb Girgasa! - krzyczały głosy pełne radości z cudzego nieszczęścia. - I nie ważcie się wracać bez niego!

- Jesteście hańbą *balboug*!

- Nie jesteście orkami!

- Jesteście gnidy!

- Gnidy!

- Gni-dy, gni-dy...

Odprowadzani szyderczą śpiewką, odbijającą się echem od skalnych ścian, Balbok i Rammar dotarli wreszcie do końca wąwozu. Nie pozwolono im wrócić do ich jaskini, zapakować prowiantu czy wręcz trochę odpocząć. Mogli zabrać w drogę tylko to, co mieli na grzbiecie, a poza bronią i zbrojami nie było tego wiele.

Naszą dwójkę wypędzono z wioski wśród sprośnych wyzwisk, a dla pewności obrzucono ich jeszcze kamieniami.

- Au! - krzyknął Rammar, gdy jeden z nich trafił go w kark, i zacisnął pięści. - Natychmiast przestańcie, przecież już idziemy! Ale wrócimy i rzucimy wam pod nogi łeb Girgasa! Jeszcze zobaczycie!

Odpowiedzią był śmiech. A także ostatni kamień, który nadleciał i wgniótł zardzewiały hełm Rammara. Potem bracia odeszli poza zasięg rzutu kamieniem, a po chwili zniknęli w lesie.

Wąska ścieżka, którą ruszyli, była otoczona sękatymi, obrośniętymi bluszczem drzewami i tak ciasna, że nie mogli iść obok siebie. Maszerowali zatem gęsiego. Nie odzywali się do siebie ani słowem.

Idący przodem Rammar miał minę, która przyniosłaby zaszczyt każdemu trollowi. Jego czoło żłobiły zmarszczki gniewu,

usta były zaciśnięte w wąską kreseczkę, a oczy zdawały się miotać pioruny.

Balbok, wlokący się za nim ze zwieszoną głową, wyglądał raczej na nieszczęśliwego niż wściekłego. Był orkiem, jak zapisano w księdze, i ani śmiertelne pogróżki Graishaka, ani drwiny pozostałych nie mogły go zawstydzić. Wykańczało go jednak to, że Rammar był na niego zły. Milczenie doskwierało mu bardziej niż świadomość, że muszą się udać w głąb terytorium wroga i prawdopodobnie stamtąd nie wrócić.

- R... Rammar? - zaczął więc po jakimś czasie, gdy już nie wytrzymał.

Nie było odpowiedzi.

- Rammar?

- Zamknij pysk! - zabrzmiało szorstko, co Balbok uznał za dobry znak.

- Jesteś na mnie zły? - spytał nieśmiało.

Niespodziewanie Rammar zatrzymał się i odwrócił do niego.

- Pytasz, czy jestem zły? Nie, oczywiście, że nie. Czemu miałbym być zły? W końcu to nie twoja wina, że Kurul stworzył cię z rozumem drewnianego kołka. I nie twoja wina, że zrobiłeś ze mnie przed Graishakiem kłamcę i tchórza. Oczywiście, to też nie twoja wina, że musimy teraz iść szukać durnego łba Girgasa, tkwiącego pewnie już od dawna na rożnie, w jakiejś jaskini gnomów. I to nie twoja wina, że zapewne przypłacimy to życiem. Czemu miałbym być na ciebie zły, he? Podaj mi jakiś powód!

Rammar odwrócił się, parszkając, i wściekły pomaszerował dalej.

Tupał przy tym tak gniewnie, jakby chciał ziemię pod swoimi stopami ukarać za to, że mu się sprzeciwia. Szedł prędko i niezgrabny Balbok z trudem za nim nadążał.

- Ale ja nie chciałem, Rammar! - zapewnił. - Nie chciałem, żeby tak wyszło.

- Co ty nie powiesz?
 - Naprawdę, Rammar. Skąd miałem wiedzieć, że Graishak się tak rozgniewa?
 - Trzeba było wcześniej się zastanowić, teraz już za późno. Znów przez ciebie wdepnęliśmy w *shnorsh*, a ja mam powyżej uszu tego, że przez ciebie stale wpadam w kłopoty. Wiesz co? - Rammar jeszcze raz odwrócił się, a zły blask w jego oczach nie pozwalał spodziewać się niczego dobrego.
 - C... co? - spytał przestraszony Balbok.
 - Od dziś nie jesteśmy towarzyszami broni. Nie chcę cię już za brata, rozumiałeś?
 - Ale...
 - Koniec z nami. To by było na tyle - parsknął Rammar. - W przyszłości rób sobie swoje gówno beze mnie. I niech ci nie przyjdzie do głowy iść za mną. Kapujesz?
- Jego głos był tak ostry, a wzrok tak przenikliwy, że Balbok nie śmiał protestować. Wszystkim, na co się zdobył, było markotne skinienie głową i smutne opuszczenie kącików ust.
- Rammar jeszcze raz gniewnie prychnął, a potem odwrócił się i odmaszerował ścieżką. Już po kilku krokach zniknął za zakrętem.
- Balbok stał jak rażony piorunem.
- R... Rammar? - spytał cicho.
- Lecz nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

3. OSHDA UR'BRUNIRK'HAI

Głupek! Idiota! Pomyłka natury! Czemu muszę męczyć się z takim bratem? Nie wystarczy, że Kurul wypluł mnie na świat z krótkimi nogami i bez szyi? Czemu jeszcze muszę mieć brata o rozumie wszy?

Tłusty ork maszerował przez las, nieustannie mamrocząc. Ścieżka dawno zgubiła się w gęstych zaroślach, Rammar musiał więc kierować się instynktem. Orkowie nie potrafili określać kierunków świata według gwiazd, jak robią to elfowie czy ludzie, choćby dlatego, że w stronach, gdzie zwykle wędrują, rzadko widać słońce, księżyc i gwiazdy.

Korony drzew sklepiały się nad nim, nie przepuszczając promieni słonecznych. Właśnie temu panującemu tu przez cały dzień półmrokowi Mroczny Las, rozciągający się między Stęchłym Morzem na zachodzie po Góry Czarne na wschodzie, zawdzięczał swoją nazwę. Góry Czarne z kolei na zwano od lasu, porastającego zbocza aż po wystrzępione szczyty, gdyż

sprawiał, że z oddali wyglądały czarno i ponuro.

Rammar nie miał pojęcia, dokąd gnomy zabrały łeb Girgasa, nie był też w stanie domyślić się, co zielonoskórzy chcieli tą kradzieżą zyskać. Zamierzał, zgodnie z poleceniem Graishaka, wrócić na pole bitwy i spróbować poszukać tam śladów. Nie pamiętał już dokładnie drogi - uciekając przed gnomami, raczej się na niej nie skupiał. Martwiło go to trochę, ale gniew na brata był silniejszy. Gdyby Rammar zdobył się na uczciwość wobec siebie, musiałby przyznać, że Balbok jest z nich dwóch lepszym tropicielem i że jego pomoc bardzo by się teraz przydała. Prędkiej jednak dałby wyrwać sobie język. Wolał błąkać się w poszukiwaniu właściwej drogi przez las, nawet wiele dni, niż jeszcze choć raz skumać się z tym głupkiem.

- Pokraka! Dureń! - zaczynał na nowo, gdy jego gniew słabł. - Ostatni raz wpędził mnie w kłopoty. Nie mam już brata. Koniec z tym, raz na zawsze!

Pierwszą noc w lesie spędził pod martwym drzewem, jakiś czas temu trafionym przez piorun. Kora była czarna, a uschnięte gałęzie wyglądały jak ogromne żebra umarłego. Wokół drzewa zdawało się nie być żadnego życia, nie było więc również jadowitych węży i skorpionów. Rammar postanowił zatem, że ten skrawek ziemi jest odpowiedni, by na nim zasnąć. Jako że przez cały dzień nic nie jadł, wkrótce zaczęło burczeć mu w brzuchu. Tak bardzo chciało mu się wrzucić coś na ząb, że już po chwili niemal marzył o tym, by złożył mu wizytę jakiś wąż lub skorpion. Mimowolnie pomyślał o Balboku i nieomylnie przeczucie powiedziało mu, że ten głupkowaty brat pewnie znów miał więcej szczęścia i akurat zajada ptaszka albo króliczka. Gdy Rammar zapadał w niespokojny, pozbawiony marzeń sen, na myśl o słodkawym smaku jeszcze ciepłej krwi do jego ust napłynęła ślinka.

Kiedy się obudził, przez liściasty dach lasu, sklepiony nad uschłym drzewem niczym mroczne niebo, sączyło się już skąpe światło. Burczenie było teraz głośniejsze, na początek więc postanowił zdobyć coś do jedzenia. Ponieważ nie miał strzał ani łyku, wyruszył na polowanie z *saparakiem*. Gdy próba ubicia zająca zakończyła się niepowodzeniem, porzucił polowanie i poszukał czegoś jadalnego w leśnym poszyciu. Jego łup składał się z dwóch grzybów, kilku dżdżownic, larw much i korzeni, starych już i stosownie do tego łykowatych. Nawet jak na orka trudno to było nazwać ucztą. Wystarczyło jednak na zaspokojenie pierwszego głodu. Teraz Rammar mógł kontynuować swój marsz.

Im dalej posuwał się na północny zachód, tym bardziej stromo wznosił się teren, a las tym gęściej naszpikowany był ostrymi odłamkami skał Gór Czarnych. W ucieczce przed gnomami prawie cały czas biegł w dół. Teraz Rammar musiał wciąż się wspinać, co w duchocie lasu było dość męczące. Rammar dyszał i prychał, wkrótce rozboleły go mięśnie krótkich nóg, a żołądek znów odezwał się głośnym burczeniem.

- Nędzny idiota, bezmózgowiec - na nowo zaczął pomstować na brata, by oderwać myśli od głodu. Musiał jednak po pierwsze przyznać, że brakuje mu oddechu na męczące arie wyzwisk, po drugie zaś stwierdził, że sprawiają one daleko większą przyjemność, gdy słyży je osoba, do której są skierowane. Ustawiczne pokrzykiwanie do siebie, gdy wędrował przez las opuszczony przez wszystkich orków, wydało mu się nagle pozbawione sensu. Postanowił więc oszczędzać oddech.

Z zapadnięciem zmroku znów poszukał sobie noclegu. Dotarł już do gór, było więc dość jaskiń albo skalnych nawisów, gdzie mógł szukać schronienia. Rammar znalazł swoje lokum pod wielką skałą, wyglądającą jak dziób ogromnego drapieżnego ptaka. Tym razem, gdy zasypiał, sen przyniósł mu dziwne,

niepowiązane ze sobą obrazy. Widział Balboka i Graishaka, a także łeb Girgasa, toczący się jak piłka i prześladowający go. W uszach brzmiał mu dźwięczny śmiech wodza plemienia.

Rammar ocknął się raptownie zlany potem.

Było jeszcze ciemno, jednak odgłosy budzącego się lasu zdradzały, że świt jest już bliski. Miłe dla ucha piski nietoperzy umilkły, a ptaki zaczęły swój debilny świergot.

Przeklinając siarczyście, Rammar wytoczył się z legowiska na wilgotny mech. Jego śniadanie składało się z kilku tłustych pędraków, które znalazł w zgniłym grzybie, a pragnienie zaspokoił w pobliskim strumieniu. Woda spływająca z Gór Czarnych do Mrocznego Lasu była jak zwykle mdła i odstana, czuć ją też było padliną. Krótko mówiąc: orkowi smakowała wybornie.

By się całkowicie obudzić, Rammar zanurzył głowę w wodzie. Potem ruszył w dalszą drogę. Musiał się przyznać przed sobą, że nie wie, gdzie dokładnie się znajduje, i raz po raz zatrzymywał się, szukając czegoś na ziemi. Nie znalazł jednak żadnych śladów. Na dodatek - inaczej niż poprzedniego dnia - okolica wydała mu się zupełnie nieznaną. Co gorsza, około południa, po zlanych potem godzinach pokonywania obumarłych korzeni i stromych wzniesień, znów stał pod tą samą skałą w kształcie dzioba. Chodził w kółko! Ale jak to możliwe? Przecież cały czas szedł w górę! W ten sposób nie mógł przecież iść w kółko!

A może jednak?

Nigdy nie przyznałby się do tego głośno, nawet szeptem, ale byłby bardzo rad, mając teraz u boku brata.

- Bzdura! - powiedział do siebie. - Nie potrzebuję Balboka. Ten *umbal* pewnie już dawno wpadł do jakiejś szczeliny i połamał wszystkie kości. Albo wrócił do wioski i dał się zabić. Beze mnie ten głupek nie przetrwa nawet dwóch dni. Nawet dwóch dni, słowo daję, na mą...

Nagle Rammar zamilkł. Krzywy nos wychwycił zapach, który wzbudził jego niechęć - gnomy!

Odchylił głowę i zaczął węszyć. Nie miał wątpliwości. Czuł stęchły odór zielonoskórych, a ponieważ jego zmysł powonienia nie należał do najwrażliwszych, gnomy musiały być blisko.

Zawarczał i chwycił *saparak* w połowie drzewca. Zaczął rozglądać się po zaroślach.

Nie widział ani nie słyszał gnomów. Ale przecież tu były, co do tego ork miał całkowitą pewność. Poczul, jak przyspiesza mu puls, a nos zaczyna drgać, jak to często zdarza się u tej rasy, gdy znajdzie się w niebezpieczeństwie. Jeszcze mocniej niż przedtem zapragnął mieć u boku Balboka, którego sprawność w używaniu strzał i łuku stała się zgubą już niejednego gнома.

- Ty nędzna kreaturo - szeptał Rammar do siebie. - Gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję? Gdzieżeś się znowu zagrzebał? Jeśli gnomy mnie dostaną, to będzie wyłącznie twoja wina...

Zamilkł, prześliznął się nieco w górę i skrył w zaroślach. Ota- czająca go zieleń była tak gęsta, że nie widział nic na dwa kroki. Na szczęście gnomy także nie mogły więcej zauważyć, to go trochę uspokoiło. Zaczął węszyć. Miał wrażenie, że odór zielonoskórych słabnie i najwyraźniej się oddala.

Z tą nadzieją Rammar skradał się przez gęstwinę najciszej, jak tylko możliwe. Jakiś czas później nieco się przeredziła, mógł więc posuwać się szybciej. Mimo że natura obdarzyła go krótkimi i krzywymi nogami, kroczył zamasyżcie, chcąc jak najbardziej zwiększyć dystans między sobą a gnomami. Wtem naszła go straszliwa myśl.

Idzie w złym kierunku!

Instynkt przetrwania oraz zdrowy rozsądek zachęcały go do odwrócenia się od gnomów i ucieczki jak najdalej od nich. Lecz jeśli chce wypełnić misję i przynieść do domu łeb

Girgasa, musi udać się dokładnie w przeciwnym kierunku. Nie uciekać od gnomów, ale do nich iść.

Ociągając się, Rammar zwolnił kroku. Wtedy nastąpiło coś niespodziewanego.

Miękka ściółka leśna, na której stał, nagle się rozstała. Trzasknęły gałęzie, patyki złamały się pod ciężarem orka, a on gwałtownie runął w dół. Rammar, wydając tępy krzyk, próbował się czegokolwiek przytrzymać, ale trafiał łapami w próżnię.

W następnym momencie nie było wokół niego nic prócz wietrznej, śmierdzącej próchnem czerni.

Rammar wylądował w jakiejś kałuży. Uderzył w nią swoją niewymowną, rozpryskując na wszystkie strony błoto, ściekające po pionowych ścianach wykopu. Gruby ork próbował się podnieść wśród siarczystych orczych przekleństw, jednak ze względu na krzywe nogi nie od razu mu się to udało. W końcu zdołał stanąć. Średnica jamy wynosiła około czterech *knum'-bai**[obowiązująca wśród orków miara długości: 1 *knum* - ok. 30 cm] , Rammar spoglądał więc ku jej nieosiągalnej krawędzi tyle gniewnie, co bezradnie.

- Co, na trzewia Torgasa?...

Przestraszony patrzył na resztki tego, co przykrywało jamę i przez co przeleciał: splecione gałęzie i patyki, na których rozłożono mech. Pułapka - zaświtało w głowie Rammara.

Nad tym, kto tę pułapkę przygotował, nie musiał się długo zastanawiać, gdyż znów dobiegł go gryzący smród gnomów. Z góry słychać było szelest zbliżających się kroków i przenikliwe, gęgające głosy, rozmawiające w obcym języku. Potem na krawędzi jamy pokazały się dwie zielone głowy, które spoglądały ku niemu, krzywiąc się ze złośliwym chichotem.

- Wy nędzne, obrzydliwe kreatury! - krzyknął Rammar, nie wiedząc jeszcze, na kogo ma być bardziej zły: na gnomy, że urządziły tę zasadzkę, czy na siebie samego, że bezmyślnie w nią wpadł. - Natychmiast skońcicie z tym głupim gdakaniem! Wydostańcie mnie stąd, a ja już wam pokażę, co znaczy zastawiać pułapkę na orka. Porozwalam wam wasze zielone łby, obiecuję!

Ale chichot nie ustał, wzmógł się nawet, a do dwóch gnomów dołączyło pięć dalszych.

- A więc to tak? - warknął gniewnie Rammar. - Mało wam, że siedzę w tej pułapce? Żeby ze mną zadrzeć, musicie jeszcze mieć przewagę liczebną. Ilu was tam jest?

Liczba zielonych gęb wzrosła dwukrotnie i na obrzeżu jamy zrobiło się tłoczno. W mętym świetle połyskiwały szable gnomów. Rammar dostrzegał również dzidy i łuki, na których napięte cięciwy założono zatrute strzały. Jego wrzaski osłabły, aż wreszcie, gdy strach ścisnął mu gardło, zamilkł zupełnie.

Do jamy spuszczone cienki, ociosany z gałęzi pień drzewa. Nacięto w nim szczyrby, służące za stopnie. Gdy orkowi polecono wspiąć się po nim, niechętnie wykonał rozkaz. Cienki pień podejrzenie skrzypiał i trzeszczał pod jego ciężarem. W końcu, dysząc z wysiłku, Rammar wciągnął swoje tłuste cielsko na krawędź jamy. Natychmiast został ujęty przez kilku gnomich wojowników. Ich obrzydliwe pyski błyszczały od potu i zapachu. Rammar miał ochotę wymiotować.

Wpadł w łapy całej gnomiej drużyny. Był to okrągły tuzin zielonoskórych postaci w zbrojach z czarnej gadziej skóry. Rozciągające się na północ od Gór Czarnych bagna zamieszkiwały najrozmaitsze zwierzęta, na które gnomy miały zwyczaj polować, a potem robić z ich skór i kości zbroje czy ubrania. Rammar podejrzewał, że to właśnie ta skóra była przyczyną strasznego

smrodu, który towarzyszył gnomom krok w krok.

Przez bardzo krótką chwilę zastanawiał się, czy nie sięgnąć po zamocowany znów rzemieniami na plecach *saparak* i nie wdać się w ostatnią dziką walkę z gnomami, jak na orka przystało. Bardzo szybko się jednak opamiętał. Rammar nigdy nie cenił bezsensownych ofiar, a nie mógł sobie wyobrazić nic bardziej bezsensownego niż dać się zaszlachtować hordzie gnomów w środku głębokiego lasu.

Kiedy zielonoskórzy zażądali jego broni, oddał im ją bez oporu. Nie sprzeciwił się też, gdy wiązali mu ręce na plecach. Stopy zostawili niespętane, żeby mógł iść. Może - pomyślał sobie - trafi się okazja ucieczki.

Stał pilnowany przez łucznika z kołczanem pełnym strzał o grotach umaczanych w truciźnie, a tymczasem reszta zgrai zdawała się naradzać. Rammar nie znał mowy gnomów, nie rozumiał więc, o czym paplają. Sądząc jednak po gestykulacji i wyrazie zielonych pysków, dwa gnomy - najwyraźniej dowódca drużyny i jego zastępca - spierały się, co w końcu przerodziło się w głośną sprzeczkę. O co jednak szło, Rammar mógł tylko podejrzewać. Prawdopodobnie o to, czy zabić go na miejscu, czy też wcześniej trochę potorturować.

Nim dowódcy się dogadali, szala zwycięstwa przechylała się to na jedną, to na drugą stronę. Wtedy wydano rozkazy i drużyna ruszyła. Przodem posłano małą grupę zwiadowców, za nią szedł dowódca z najlepszymi wojownikami, dalej pilnowany przez łuczników Rammar, a ariergardę tworzyli drugi dowódca i kilka innych gnomów.

Kierowali się na północ, w górę stromych zboczy. Las się przeredził, a ciemną ziemię porastało coraz mniej mchu i trawy. Gnomy tylko raz pozwoliły swojemu więźniowi na krótki odpoczynek, potem zaraz maszerowali dalej.

Dyscyplina, jaką wykazywały gnomy, zdziwiła Rammara. Do tej pory uważał je za prymitywnych dzikusów, znacznie poniżej

wysoko rozwiniętej rasy orków. Jednak to, co tu widział, zdawało się potwierdzać tezę wręcz przeciwną: te gnomy na pewno nie były głupie (inaczej przecież nie zdołałyby złapać w pułapkę JEGO), a sposób, w jaki niemal bezgłośnie maszerowały jeden za drugim, by ukryć swoją siłę, zrobiłby wrażenie na każdym orczym dowódcy drużyny.

Krótko mówiąc: z pewnością były inne niż wszystkie, jakie Rammar spotkał do tej pory. Kierować nimi musiała silna wola albo strach.

Strach przed czymś.

Lub przed kimś...

Wspinali się stromą, wijącą się wśród skalnych iglic i pojedynczych drzew ścieżką. Słońce stało wysoko na niebie i zmieniało tę jałową krainę w prawdziwy piekarnik. Rammar z trudem dotrzymywał kroku gnomom, pot ściekał mu po plecach strumieniami. Orkowie nie lubili słonecznego światła ani ciepła. Znacznie chętniej przebywali w jaskiniach i lochach, gdzie panuje wilgoć i mrok.

Gnomy jednak nie przejmowały się ani tym, ani znaczną tuszą Rammara. Poganiały go bezlitośnie, a kiedy dzień chylił się ku wieczorowi, ork ledwie trzymał się na nogach. Parł chwiejnie przed siebie, potykając się, a wiele razy runął jak długi.

Z osypiska, które przecinali, roztaczał się szeroki widok na okolicę. Na zachodzie, po drugiej stronie przedgórza i Mrocznego Lasu, można było dostrzec matową, szarą powierzchnię Stęchłego Morza. To jednak było Rammarowi zupełnie obojętne. Wszystko, czego pragnął, to przerwa w marszu. Chciał odpocząć i rozprostować obolałe nogi.

Ale jeszcze nie przyszła na to pora.

W ostatnich promieniach słońca gnomy przeprowadziły go naturalnym skalnym mostem, rozpiętym nad przepaścią. W dole,

między dwiema opadającymi pionowo ścianami, Rammar wdział wierzchołki drzew, z których w wieczorne niebo unosiły się stęchłe opary. Kiedy słońce zalewało horyzont na zachodzie krwawą czerwienią, według orków zwiastującą bitwę, gnomy wspięły się na nagą skałę.

Roztaczał się stąd widok na jałowy krajobraz Gór Czarnych. Ostre szczyty, przypominające zęby drapieźnika, otaczały rozległą arenę. Zbocza usiane były żwirem i skalnymi szpikulcami. Skała, poorana rysami i szczelinami - z daleka wyglądała jak znieruchomiełe pioruny - nadawała tej krainie martwy wygląd. Oprócz płataniny suchych zarośli nie było tu żadnych roślin. Nawet zwierzęta trzymały się daleko od tych stron. Słowem: w oczach orka nadzwyczaj malowniczy krajobraz.

Niegdyś kraina ta należała do ludu Rammara. Przepaście Gór Czarnych, od Mrocznego Lasu na zachodzie po Graniczną Rzekę na wschodzie, stanowiły terytorium orków jeszcze przed Drugą Wojną. Przegrana w bitwie z elfami i krasnoludami kosztowała ich rodowe terytoria. Kiedy ludzie pojednali się ze zwycięzcami i sławili zmianę na lepsze, orków prześladowano i wypędzono przez grzbiety Gór Czarnych daleko w głąb Mrocznego Lasu. Większość ich dowódców i generałów padła w walce lub została stracona przez zwycięzców, dlatego ogromna niegdyś armia orków rozpadła się na plemiona. W latach, które nastąpiły potem, orkowie co jakiś czas usiłowali odzyskać utracone terytoria, ale każda z tych prób kończyła się krwawą katastrofą.

Początkowo elfowie sami bronili zdobytych twierdz i bastionów, należących niegdyś do orków, którzy teraz znaleźli nową ojczyznę w Stęchłej Marchii. Później wycofali się i pozostawili te ziemie gnomom. W tamtym okresie orkowie i gnomy zaczęły okazywać sobie głęboką wrogość.

Rammar gorączkowo zastanawiał się, jakie zamiary mogą mieć wobec niego i jak mógłby wydostać się z tej nieprzyjemnej sytuacji. Wtedy coś przyszło mu do głowy.

Po drugiej stronie szerokiego dna doliny, na stromej skalnej ścianie, ork zauważył kilka pojedynczych świateł pochodni, migocących we wzmagającym się nocnym wietrze. Zmrużył oczy i wydało mu się, że w słabym blasku ognia rozpoznaje wąskie wieże, sterczące wysoko nad przepaściami i skałami. Rammar był przekonany, że to wieże *rarka*, fortecy należącej niegdyś do orków. A jeśli dobrze tłumaczył sobie podniecone szepty gnomów, był to cel ich podróży. Stara cytadela orków była więc teraz schronieniem gnomów.

Na wzgórza sływała noc. Krwistoczerwony poblask na niebie zbladł i daleki zamek zdawał się znikać za czarną kotarą.

Ponieważ gnomy widzą w ciemności daleko lepiej od orków, dobrą chwilę jeszcze maszerowali dalej, aż w końcu dotarli do płaskowyżu. Z niego prowadził kolejny most nad ziejącą głębią przepaści. Ta kładka została zbudowana przez istoty zasiedlające Góry Czarne na długo przed orkami. Były one także budowniczymi zamków zamieszkiwanych przez orków w dawnych czasach. Swoje ślady zostawiły również na płaskowyżu.

Otaczały go wielkie kamienne bloki, na których tu i ówdzie można było jeszcze poznać znaki dawno zapomnianego pisma. Gnomy zatrzymały się i rozbiły obóz na noc. Spętanego Rammara przywiązały do jednego z bloków, na dodatek tak, że musiał stać.

- Do kroćset! - jęknął. - Co robicie? Cały dzień szedłem! Muszę odpocząć! Jeśli już mam być związany, połóżcie mnie łaskawie na ziemi, wy zielone durnie...

Gnomy ignorowały jego skargi. Przywiązały go do zimnej skały rzemieniami z trollich żył i zaciągnęły pęta najmocniej jak tylko mogły. Potem odeszły z chichotem. Dwaj dowódcy rozdzielili

nocne warty, znów wdając się w krótką kłótnię. Pozostałe gnomy położyły się spać i w obozie nastał spokój. Światło dawały tylko trzy pochodnie związane w trójnóg i stojące w środku koła. Na zachmurzonym niebie nie było księżyca, a przez szarą zasłonę tylko raz po raz migotała pojedyncza gwiazda.

Nastrój Rammara sięgnął dna. Bolały go nogi, męczyły głód oraz pragnienie i był pewien, że jego koniec jest bliski. Na dodatek pojawiły się kłopoty z jelitami. Po męczącym, całodniowym marszu także w jego wnętrznościach zaczął się potężny przemarsz.

Rammar jednak nie chciał obnażać się przed gnomami. Zagryzał więc zęby, aż trzeszczało, i czekał.

Czekał.

Czekał...

Na czoło wystąpiły mu krople potu. Straszliwy ucisk w dolnej części ciała uświadomił orkowi, że nie może już dłużej czekać.

- Hej! - zawołał, by ściągnąć na siebie uwagę jednego z dwu wartowników. Pozostałe gnomy już spały, co dało się poznać po donośnym chrapaniu.

Wartownik podniósł wzrok i podszedł bliżej.

- Muszę się wysrać - oznajmił szeptem Rammar. Czemu, na trzewia Torgasa, stale musi mu się przytrafiać coś takiego?

Gnom odpowiedział niezrozumiale i wyrzucił oczami. Najwyraźniej nie rozumiał.

- Muszę się wysrać - powtórzył Rammar, a ponieważ miał ramiona przywiązane do skały i nie mógł gestykulować, wydał kilka stosownych dźwięków, mających wyjaśnić wartownikowi, co ma na myśli.

Zielony pysk rozjaśnił się i gnom zachichotał złośliwie. Zamiast rozwiązać Rammara i pozwolić mu na ulżenie potrzebie, odwrócił się do swego kompana.

- Nie - zaklinał go Rammar. - Nie...

Jakby chodziło o świetny kawał, gnom opowiedział drugiemu wartownikowi o wstydlivej prośbie Rammara i teraz także tamten wybuchnął rżącym śmiechem.

- Wspaniale - skomentował kwaśno ork. - Śmieście się jeszcze głośniej, żeby się wszyscy dowiedzieli.

Dwa gnomy parskały, pokazywały go sobie zielonymi paluchami i pokładały się ze śmiechu.

- Możecie mi wyjaśnić, co w tym takiego śmiesznego? Muszę się wysrać, i tyle. Czy wy, gnomy, nie sracie?

Wartownicy roześmiali się jeszcze głośniej. Po chwili jeden z nich wpadł na pomysł, żeby uderzyć tęym końcem dzidy w wydęty brzuch Rammara.

- Nie! - krzyknął przerażony ork. - Co to ma znaczyć? Natychmiast przestań!

Gnom jakby zrozumiał, co mówi Rammar, i odsunął dzidę. Więcej - jego chichot ucichł, a rysy twarzy stały się niewyraźne. A potem nagle upadł.

W jego plecach tkwiła strzała.

Kompan trafionego gнома zdołał jeszcze tylko wydać zaskoczony okrzyk. Potem i jego dosięgła upierzona, nadlatująca z mroków nocy śmierć.

- Kto, do...?

Rammar nie zrozumiał jeszcze dobrze, co się dzieje, a już z ciemności wynurzyła się znajoma twarz. Niezwykle blada i szczupła jak na orka, z długą brodą i wielkimi, niemal dziecinnymi oczami. A do tego roześmiana od ucha do ucha.

- Balbok, bracie! - szepnął Rammar, zapominając zupełnie, że przecież nie ma już brata. - To naprawdę ty?

- Jasne, że ja - odpowiedział przybysz, wyciągając z martwych gnomów swoje strzały i wkładając je z powrotem do kołczana. - Przyszedłem cię uwolnić.

- Co ty nie powiesz? - W Rammarze znów zagotowała się złość. - A czemu, na trzewia Torgasa, tak długo z tym czekałeś?

Te gnomy mogły mnie zabić, nie domyśliłeś się?

- Wybacz. - Z twarzy Balboka zniknął uśmiech. - Musiałem przecież poczekać, aż zasną.

- Ach tak, musiałeś? - parsknął Rammar. - Zresztą, co mi tam. Rozwiąż mnie wreszcie! Choć właściwie nie powinienem więcej z tobą rozmawiać.

- Dalej jesteś na mnie zły? - Balbok przeciął sztyltem troлле żyły.

- A pewnie, że jestem - warknął Rammar, rozcierając obolałe przeguby. - Zaczekaj tu. Muszę załatwić coś pilnego.

- Mam tu poczekać? - Balbok zerknął z obawą na śpiące gnomy. - Ale...

- Zaczekaj! - wrzasnął Rammar i zniknął za jednym z kamiennych bloków. Balbok przez moment zastanawiał się, co też może tam robić jego brat. Ochryple jęki i grzmoty, przypominające burzę o średnim natężeniu, pozbawiły go wątpliwości.

Przestraszony Balbok odwrócił się w stronę gnomów. Pierwszego już obudził hałas. Oszołomiony podniósł się i zobaczył dwóch leżących bez życia wartowników.

Właśnie otwierał usta do krzyku, jednak nim zdołał go z siebie wydać, w jego gardło wwierciła się strzała Balboka.

Tymczasem koncert Rammara za skałą przybrał na głośności i ten gnom nie pozostał jedynym, który ocknął się ze snu. Kolejny dźwignął się i podskoczył, wydając donośny okrzyk bojowy.

Balbok nie miał już czasu założyć na cięciwę kolejnej strzały. Opuścił łuk i sięgnął po dzidę. Gnom skoczył na niego z wściekłym wyciem, lecz wpadł prosto na *saparak*.

Kiedy Balbok był zajęty strząsaniem śmiertelnie ранnego gнома z zakończonych zadziarami ostrza, obudziły się pozostałe gnomy. Najwyraźniej wrzask towarzysza wyrwał je ze snu.

Zerwały się natychmiast, sięgnęły po broń i rzuciły na Balboka.

- Rammar! - krzyknął.

- Nie teraz! - usłyszał stęknienie zza skały. - Jestem zajęty...

Gnomy atakowały, Balbokowi nie pozostało nic innego jak zacisnąć żółte zęby i walczyć. Nadział na *saparak* dwóch napastników na raz. Porzucił dzidę z dwoma rzucającymi się ciałami, a chwilę później sięgnął po topór, daleko lepiej nadający się do walki wręcz.

Kolejny gnom - drugi dowódca drużyny - chciał zakraść się na niego od tyłu, by wbić mu szablę w plecy, ale Balbok kątem oka dostrzegł jego cień i błyskawicznie się odwrócił. Ostry jak nóż topór świsnął w powietrzu, po czym pozbawił zastępcę głowy, która odleciała szerokim łukiem.

W tym czasie pozostałe zielonoskóre postacie w czarnych zbrojach nadbiegały wielkimi skokami. Balbok machał toporem, jakby chciał nim odpędzić muchy, i wrzeszczał przeraźliwie. Gnomy, które do tej pory nigdy nie widziały takiej techniki walki, zmieszały się na moment, a to kosztowało kilka z nich życie. Gdziekolwiek opadała mordercza broń, powstawał wyłom w gromadzie przeciwników, aż tryskała zielona krew.

Ktoś rzucił dzidą, a ta minęła Balboka tylko o włos. Ork zrewanżował się, waląc napastnika w czaszkę płaskim obuchem topora. Gnom ze zmiażdżonym łbem w hełmie tak płaskim jak Stęchłe Morze w spokojny zimowy poranek, upadł pod stopy swego dowódcy. Ten wydał wściekły okrzyk i gnomy na nowo rzuciły się na chudego orka, stojącego pośrodku kamiennego kręgu i dziko walącego wokół siebie toporem.

- Rammar? - Balbok ponownie zawołał brata. Dochodzące zza skalnego bloku dźwięki zdradzały jednak wyraźnie, że nie ma co na niego liczyć. Balbokowi zaczynał palić się grunt pod

nogami. Z trudem bronił swojej skóry. Gnomy machały mu przed nosem szablami i teraz zamierzały się na jego nogi. Mogły je najłatwiej trafić, gdyż większość zielonoskórych ledwie sięgała orkowi do bioder. Jeśli uda im się przewrócić przeciwnika na ziemię, walka będzie właściwie rozstrzygnięta.

Opuściwszy pionowo topór, Balbok rozplatał głowę jednemu z podstępnych napastników, potem sam musiał uchylić się przed ciosem. Stał uderzyła o stal, strzelając iskrami. Oczy gnomów błyszczały żądzą mordy.

Nagle Balbok trafił plecami na przeszkodę. Był to ten opatrzone prastarymi znakami kamienny blok, po którego drugiej stronie jego brat składał hołd naturze.

- Rammar! - zawołał Balbok. - Teraz przydałoby mi się trochę pomocy!

- Do pioruna! - rozległ się głos za blokiem. - Nie możesz być ciszej? Muszę się skoncentrować!

- Praszam - wymamrotał Balbok i uskoczył w bok. W jego kierunku rzucił się gnom z dzidą w dłoni. Gdyby Balbok nie odchylił się w ostatniej chwili, przewierciłby go na wylot. W ten sposób broń trafiła na goły kamień i połamana się, a jej zaskoczony właściciel zawarł krwawą znajomość z toporem Balboka.

Zostało jeszcze tylko czterech przeciwników. Nastąpiła krótka przerwa w walce. Gnomy, węsząc, czaiły się na orka. Potem przywódca wydał ochryply okrzyk i ruszyli do ostatniego, rozpaczliwego ataku.

Zwarcie było równie gwałtowne, co krótkie.

Dwa gnomy, atakujące Balboka równocześnie z przeciwnych kierunków i mierzące w jego uda, wzajemnie nadziały się na dzidy, gdy ork uskoczył do przodu. Kolejnego dosięgnął cios wyszczerbionym obuchem topora w sam środek pyska. Słychać było trzask łamanych kości, trysnęła krew, a czaszka pękła na pół.

Został jeszcze tylko dowódca. Gnom ruszył do natarcia z dzi-
kim okrzykiem, trzymając obiema dłońmi rękojeść szabli. Bal-
bok odparł wściekły atak trzonem topora, by w następnej chwili
chwycić wroga gołą dłonią, unieść, a potem szerokim łukiem
rzucić za siebie, w noc za płaskowyżem i ziejącą czeluść przepa-
ści.

Gdy rozdierający krzyk dowódcy gnomów wybrzmiał, wró-
ciła cisza. Uspokoił się nawet orkan za skalnym głazem, za to
słyszeć się dało szelest kroków po skalnym podłożu. Ukazał się
Rammar z wyraźną ulgą na twarzy.

- No, jestem - oznajmił niepotrzebnie. - Coś przegapiłem?

- Zupełnie nic - odpowiedział Balbok, ciężko dysząc. Jego
twarz i napierśnik były zachlapane zieloną krwią, a w migotli-
wym blasku pochodni Rammar zobaczył leżących na ziemi mar-
tych przeciwników.

- Do krocset! - rozzłościł się. - Nie mogłeś poczekać, ty
umbalu? Znowu chciałeś mieć dla siebie całą przyjemność! A
może ja chętnie bym ci pomógł powybijając te obrzydliwe zielone
stwory? Nie przyszło ci to do głowy?

- Nie - przyznał Balbok z poczuciem winy.

- No cóż... - Rammar machnął lekceważąco ręką. - Nie bę-
dę taki. W końcu chciałeś dobrze, nawet jeśli nie potrzebowałem
twojej pomocy.

- Więc już nie jesteś na mnie zły?

- Nie. - Rammar zgryźliwie pokręcił głową. - Nawet wolę
twoją głupkowatą gębę od tych potwornych zielonych pysków.
Skąd się tu w ogóle wzięłeś?

- Szedłem twoim śladem. Prowadził w złym kierunku,
więc...

- Co to ma znaczyć: „prowadził w złym kierunku”?

- Cóż, bitwa naszej drużyny z gnomami odbyła się dużo
bardziej na północ. Pomyślałem więc sobie, że lepiej za tobą
pójdę, nim się zgubisz. A potem...

- Nim się zgubię? - Rammara ogarnął gniew. - Nie mogło o tym być mowy, głupku. Oczywiście wiedziałem, że jestem za daleko na południe. Ale po drodze trafiłem na trop tych gnomów i pomyślałem sobie, że nie byłoby źle za nimi pójść.

- Ach tak... - Balbok podrapał się w tył głowy, aż hełm ześliznął mu się na krzywy nos. Poprawił go i zdziwiony gapił się na Rammara. - Więc specjalnie wskoczyłeś do pułapki?

- Oczywiście, a jak myślałeś? - podchwycił Rammar. - A teraz przestań zadawać głupie pytania. Mamy w końcu zadanie do wykonania: trzeba znaleźć łeb Girgasa, i to jak najszybciej.

- O tym nie zapomniałem - zapewnił Balbok, uśmiechając się szeroko i wskazując pazurem na mózgownicę. - Wiem też, gdzie musimy go szukać.

- Tak? Więc gdzie?

- A tam! - Balbok wskazał przeciwną stronę doliny, gdzie w ciemności leżała warownia.

- A skąd ci to przyszło do głowy? - spytał zaskoczony Rammar.

Balbok rozkoszował się faktem, że choć raz wie więcej od swego sprytnego brata.

- Te gnomy - wyjaśnił - najwyraźniej chciały dojść tam, do *rark*. I należały do tego samego plemienia, z którym walczyliśmy na pograniczu.

- Co ty nie powiesz? A skąd to znowu wiesz?

- Godło. - Balbok wskazał na zmajstrowany z kości i kilku strzępków materiału przedmiot. - Nie poznajesz?

- Oczywiście, że poznaję! - szorstko odpowiedział Rammar. - Chciałem cię tylko sprawdzić. Od razu poznałem, że to te typy, które na nas napadły, i że idą do twierdzy.

- Więc pozwoliłeś im się pojmać, żeby dostać się do twierdzy - wywnioskował z podziwem Balbok. - To naprawdę bardzo sprytne.

- Prawda? - parsknął Rammar. - Wszystko szło jak najlepiej, ale wtedy musiałeś zjawić się ty i mnie uwolnić. Ale wiem, że chciałeś dobrze i dlatego nie jestem na ciebie zły.

Rammar wspaniałomyślnie skinął bratu głową. Nim tamtemu przyszło do głowy stawiać dalsze niewygodne pytania, powiedział szybko:

- Zastanówmy się teraz, jak dostaniemy się do twierdzy. Jedno jest pewne: będziemy musieli być pioruńsko ostrożni. Te gnomy są inne niż wszystkie, jakie kiedykolwiek spotkałem. Widziałem już wiele zielonych, ale jeszcze nigdy takich, które by były tak zdyscyplinowane. Coś z nimi było nie tak. Jakby prowadziła je obca wola. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Nie.

- Jak by nie było, rozwiązanie zagadki znajdziemy tylko tam, po drugiej stronie przepaści.

- Rozwiązanie zagadki? - Balbok zmarszczył wysokie czoło. - Myślałem, że szukamy łba Girgasa?

- Bęcwał! - Rammar pokręcił głową. Do tej pory Balbok był może nawet całkiem sprytny, ale jak powiada stare przysłowie orków: *Kudashd darr chgul lorg albark*. Nawet ślepemu għulowi trafi się czasem ziarno.

- Kiedy ruszamy? - spytał Balbok.

- Ścieżka jest wąska i bardzo niebezpieczna. Chodzenie po niej nocą to czyste samobójstwo. Poczekamy więc do świtu, żeby zakraść się w osłonie porannej mgły. Znajdziemy przeklęty łeb Girgasa i odniesiemy go do *balboug*. Wtedy wszyscy, co nas wyśmiewali, gorzko tego pożałują.

Rammar i jego brat zdecydowanie kiwnęli do siebie głowami. Żaden z nich nie miał pojęcia, że los od dawna przeznaczył ich do wyższych celów.

4. KORZOUL UR'DHRUURZ

Jak przewidywał plan Rammara, wyruszyli jeszcze przed brzaskiem. Resztę nocy spędzili na płaskowyżu, trzymając na zmianę wartę. Teraz przeszli po kamiennym moście i ruszyli ścieżką wiodącą po stromych, skalnych zboczach na drugą stronę doliny. Jako że droga w kilku miejscach się osunęła, orkowie musieli wielokrotnie podejmować karkołomną wspinaczkę po szorstkich skałach i niepewnych osypiskach, gdzie każdy błędny krok mógł oznaczać śmierć. Stawiając machinalnie stopę za stopą, Rammar zmuszał się, by nie spoglądać w ziejącą otchłań.

Kiedy zajaśniał poranek, orkowie mieli za sobą już połowę drogi. Do tej pory utrzymywała się mgła, mlecznymi jezorami zwieszająca się ze skalnych nawisów i chroniąca ich przed odkryciem. Jednak im mocniej świeciło słońce, tym bardziej opary się przerzedzały i tym wyraźniej wynurzały się przed nimi kontury twierdzy.

Wieże warowni sterczały w szare niebo niczym ogromne *saparak'hai*, a kanciaste występy na ich szczycie wyglądały jak zadziory orczej dzidy. Pomiędzy nimi wznosiły się stuletnie wysokie mury, poczerńiałe od smoły poniżej machikuł i częściowo porysowane pęknięciami, lecz nadal potężne i harde.

Orkowie próbowali wyobrazić sobie, jak musiało tu być wówczas, przed tysiącem lat, gdy nad Górami Czarnymi panował jeszcze ich gatunek. Z warowni orkowie bronili kraju przed napastnikami ze wschodu, wokół tych twierdz dudniły krwawe bitwy, góry drżały od bojowych wrzasków orków i ich wrogów, a doliny były czarne od armii. Teraz po tamtych sławnych dniach pozostał już tylko cień. Orkowie nie spisywali swej historii, więc ta chwalebna przeszłość stopniowo bladła, a ich dawne cytadele zamieszkiwały teraz okropne stwory. Również gnomy nie były budowniczymi i brały, co udało im się zdobyć - pod tym względem nie różniły się od orków. Mimo to fakt, że zwa swoją własnością tak potężną twierdzę, ogromnie irytował Rammara.

Im bardziej zbliżali się do *rark*, tym wyraźniej było widać, w jak kiepskim stanie się znajduje. Pokruszone mury, dachy wież i krenelaże częściowo pozapadane, tylko wznosząca się pośrodku wielka wieża, stercząca ze zbocza niczym skalna iglica, była - jak się zdawało - nietknięta zębem czasu.

Wrażenie robiła również wielka brama twierdzy. Wyglądała jak czaszka ogromnego *uchl-bhuurz*, potwora z mroku dziejów. Same odrzwia stanowiły zaś paszczę, z oczami z dwóch migocących pochodni, wyglądających jak spiczaste uszy narożnych wieżyczek. W bladym świetle świtu zdawało się, jakby to monstrum gapilo się na dwóch orków, co ani trochę nie podobało się Balbokowi.

- Ty, Rammar - powiedział - to mi się nie podoba.
- O co ci chodzi?

- Ta twierdza... ona nas widzi.
- Co to za bzdura? - Rammar zatrzymał się w pół kroku. -
To tylko kupa starych kamieni.

- Ja to czuję, Rammar. Jesteśmy obserwowani.
- Absurd. Zamknij się po prostu i pozostaw czucie i myślenie mnie, w porządku?
- W porządku - odpowiedział chudy ork, nie był jednak do końca przekonany. Słusznie, jak miało się okazać.

Zbliżali się do twierdzy wąską ścieżką, prowadzącą wzdłuż skalnej ściany i opadającą niemal pionowo w stronę doliny. Mgła rozpraszala się coraz bardziej, ale w mdłym świetle poranka ledwie można było dostrzec dwie brudno-brązowe postacie na tle ciemnej skały.

Wreszcie dotarli do masywnego skalnego bloku, wokół którego ścieżka zakręcała. Po drugiej stronie zaczynała się cytadela.

Orkowie ostrożnie wyjrżeli zza skały. Jak mogli dojrzeć, ścieżka kończyła się w zabójczo głębokiej przepaści. Na jej przeciwległym brzegu wznosiła się na zapierającą dech wysokość stara twierdza. Przepaść była zbyt szeroka, by przesadzić ją jednym skokiem. Jednak ku swemu niezmiernemu zdumieniu Rammar i Balbok stwierdzili, że most zwodzony, niby ogromny język wystający z paszczy potwora, jest opuszczony. Więcej: brama też stoi otworem i wprost zaprasza, by wejść do cytadeli. Jak okiem sięgnąć, nie było widać wart - ani przy bramie, ani wysoko na murach.

- To mi się nie podoba - powtórzył Balbok, kiedy wczłotali się z powrotem za skałę.

- Czemu to ci się nie podoba? - mruknął Rammar. - Po prostu mamy szczęście, to wszystko.

- Wielkie szczęście - stwierdził Balbok - albo wielkiego pecha. To może być też pułapka.

- Pułapka? Bzdura. Żeby zastawić na nas pułapkę, musieliby najpierw wiedzieć, że tu jesteśmy. Powiem ci coś, głupku.

Zostawili spuszczonego most i otwartą bramę, bo czekają na powrót swojej drużyny. Ale oni nie wrócą, to wiemy na pewno - zachichotał donośnie.

- Mimo wszystko - odpowiedział zaniepokojony Balbok - powinniśmy poszukać innej drogi do wnętrza twierdzy.

- Innej drogi? Jak sobie to wyobrażasz?

- Moglibyśmy spróbować od północy.

- Od północy? Masz na myśli pionową skałę? Czyś ty zupełnie postradał rozum? - Rammar zmierzył brata niszczącym spojrzeniem. - Spadniemy i połamiemy sobie wszystkie kości. Poza tym mam dość tej durnej wspinaczki. Mówię ci, że wejdziemy główną bramą.

- A ja mówię, że mi się to nie podoba.

- No pięknie. - Rammar zastanowił się chwilę, a potem spytał podstępnie: - Może wolałbyś, żeby jeden z nas został na zewnątrz, żeby osłaniać tyły? Tylko na wypadek, gdyby drugiemu coś się stało albo gdyby dostał się do niewoli? Wtedy ten drugi będzie mógł go uwolnić.

- Byłoby świetnie.

- Dobrze. - Rammar wyszczerzył w szerokim uśmiechu żółte zęby. - W takim razie TY pójdziesz. Ja tu zostanę i zajmę pozycję, żeby wkroczyć do akcji, gdyby były kłopoty.

- Ja... ja mam iść sam?

- Tak chyba właśnie powiedziałem, prawda?

- A czemu właśnie ja?

- No idź wreszcie, nie możemy czekać cały dzień!

Balbok zmarszczył czoło i jeszcze raz podrapał się w głowę. Nie był w stanie zaprzeczyć logice brata. Poprawił więc hełm i rozpoczął przygotowania: odłożył topór, który przeszkadzałby mu w szybkim biegu, wziął tylko dzidę i sztylet. Tak uzbrojony skinął Rammarowi głową na pożegnanie. Potem ostrożnie wyjrzał z ukrycia i przygarbiony pobiegł w kierunku twierdzy. Potężne belki zwodzonego mostu zadudniły pod jego krokami i w

następnej chwili połknęła go kamienna gardziel bramy.

Rammara na widok brata znikającego w ciemności dopadł dziwny niepokój, a wewnętrzny (co prawda raczej cichy) głos stwierdził, że wysyłanie Balboka samego nie było właściwe.

- Bzdura! - powiedział sobie. - Ten *umbal* ma więcej szczęścia niż rozumu, za to mnie pech prześladowuje jak *shnorsh* na tyłku trolla. Jest dość stary, żeby sam na siebie uważać, i dość mocny, żeby samemu unieść łeb Girgasa.

Uspokoiwszy w ten sposób sumienie, Rammar dużo łatwiej mógł wysiedzieć w swojej kryjówce. Nie trwało to jednak zbyt długo. Kiedy znów zerkał ciekawie zza skały, poczuł bolesne ukłucie w plecy.

Odwrócił się i spojrział wprost w zielone gęby pięciu gnomów. Bezszelestnie zsunęły się po skalnej ścianie i teraz groziły mu bronią.

Nim opadająca maczuga z głośnym brzęknięciem uderzyła go w hełm tak mocno, że upadł nieprzytomny, Rammar pojął jeszcze, że jego bratu zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ściskając dwiema rękami orczą dzidę, Balbok posuwał się w nieznaną ciemność.

Po drugiej stronie bramy znajdowała się duża, okrągła wartownia, w środku której stała murowana studnia. Balbok ostrożnie przysunął się i rzucił okiem do wnętrza. Gdy patrzył w czerń, włoski na jego karku się nastroszyły - miał straszne uczucie, że z bezdennego mroku coś odpowiada mu spojrzeniem.

Odsunął się od studni i uważnie rozejrzał dookoła. Nie mógł jednak dostrzec nic podejrzanego. Posunął się więc dalej i wyszedł z bramy. Zaprowadziło go to do długiego korytarza, tak ciemnego, że Balbok ledwie mógł dostrzec trzymaną przed

oczami łapę. Mimo to ostrożnie posuwał się naprzód. Smród, jaki go owionął, ścisnął mu żołądek prawie do wymiotów i zdradził bliskie sąsiedztwo gnomów.

Czemu jednak żaden z zielonogębych jeszcze się nie pokazał?

Jego obawa, że pakuje się w pułapkę, wzrosła i nakazywała jeszcze większą ostrożność. Balbok przedzierał się po omacku przez mrok z *saparakiem* w obu łapach. Nagle uderzył stopą w coś, co leżało na ziemi - coś suchego i gładkiego, jak wymacał ork, opadając ostrożnie na kolana. Nie miał pojęcia, co to jest, jednak te osobliwe przedmioty pokrywały od tego miejsca całą podłogę.

Korytarz zakręcał ciasnym łukiem, a za nim raptownie następował koniec tunelu, otwierając się na wewnętrzny dziedziniec twierdzy. Balboka zalało mdłe światło poranka, oślepiając go na chwilę. Kiedy oczy przyzwyczyły się do jasności, zobaczył wreszcie, jakie to przedmioty rozrzucone są po podłodze korytarza.

To były kości.

Gołe, obgryzione kości.

Były wśród nich kości ludzi i zwierząt, co Balbokowi niezbyt przeszkadzało. Kiedy jednak spojrzały na niego również puste oczodoły czaszki orka, przeraził się do głębi. Jak, na płomienie Kurula, gnomy mogły być zdolne do takiego barbarzyństwa? Każdy wie, że orkowie smakują po prostu okropnie...

Ostrożnie, żeby nie wydawać niepotrzebnych dźwięków, Balbok poszedł po kościach i trzymając się tuż przy murze, zbliżył do końca tunelu.

Doszedłszy tam, znieruchomiał, by zorientować się w sytuacji. Dziedziniec otoczony był murami i krenelazami, lecz i tu, jak okiem sięgnąć, nie było nikogo widać. W środku podwórza wznosiła się kamienna statua. Przedstawiała istotę, jakiej Balbok

nie widział nigdy przedtem: miała wielkie skrzydła, budzące grozę pazury i pysk, na widok którego drętwiały zęby. Choć stwór ten był tylko wykuty z kamienia, na dodatek starego i zwietrzałego, Balbok miał uczucie, jakby pomnik mógł w każdej chwili ożyć.

- Spokojnie - upominał szeptem samego siebie. – Gdyby Rammar był tutaj, powiedziałaby, żebym nie był nędznym tchórzem i się pozbierał. Jestem dzielnym orkiem i mam zadanie do wykonania...

Balbok zmusił się do wyjścia z tunelu. Przebiegł przez wewnętrzny dziedziniec do pomnika, a potem schronił się w jego cieniu. Tu ponownie znieruchomiał i zaczął się rozglądać.

Którym z wychodzących na dziedziniec korytarzy ma pójść? Gdzie szukać głowy Girgasa? I dlaczego, na trzewia Torgasa, nie widział jeszcze ani jednego gнома? Gdzie pochowały się te obrzydliwe zielone kreatury?

Balbok wniósł oczy do pomnika, który teraz, gdy ork stał u jego stóp, robił jeszcze większe wrażenie i budził prawdziwy respekt. Mimowolnie zastanowił się, czy ta rzecz nie ma czasem jakiegoś związku ze zniknięciem gnomów...

Odpowiedź na to pytanie dostał już chwilę później. Blanki otaczające dziedziniec, jeszcze przed momentem opustoszałe, nagle zaroily się z wszystkich czterech stron od powykrzywianych zielonych gęb, wystających nad przedpiersiem. W Balboka celowały tuziny założonych na napięte cięciwy strzał.

- A nie mówiłem? Jednak to pułapka - mruknął do siebie chudy ork i mimo niebezpieczeństwa skinął głową zadowolony, że miał rację.

Szczerząc zęby, podniósł wzrok ku gnomom na flankach i uniósł *saparak*, by stoczyć swą ostatnią walkę. Zieloni na pewno nie dostaną go żywcem. Na moment czas na dziedzińcu jakby się

zatrzymał i Balbok przygotował się na to, że w zaświatach spotka bezgłowego Girgasa, który zasypie go gorzkimi wymówkami.

Zdarzyło się jednak inaczej. Balboka nagle dosięgło silne uderzenie, jakby walnął go niewidzialny młot. Jego hełm zadudnił i ork się zachwiał. Jeszcze przez moment trzymał się na nogach, potem padł jak ścięte drzewo i leżał na plecach.

Przerażony próbował zrozumieć, skąd nadeszło uderzenie. Jeszcze przez chwilę, nim stracił przytomność, zdawało mu się, że kamienna statua się porusza, zwraca ku niemu straszną twarz i patrzy rozżarzonymi oczami, a czarne skrzydła opadają na niego. W końcu otuliła go ciemność.

Przebudzenie Rammara nie było miłe. Najpierw zdawało mu się, że pływa w ogromnej kloace, z której wzięli początek wszyscy orkowie. Potem rozłupujący czaszkę ból uzmysłowił mu, że urodził się już dawno temu, i przypomniał, że wpadł w łapy wroga.

Mrugając, tłusty ork otworzył oczy i próbował ustalić, gdzie się znajduje. Sufit zrobiono z szarych kamiennych płyt, w których wykuto obco wyglądające symbole, a kamienne ściany obwieszane były okropnymi obrazami bożków, zawieszonymi głową do dołu. Jeszcze dziwniejsze było jednak, że płomienie pochodni sterczących z uchwytów na ścianach kierują się ku dołowi.

Trwało chwilę, nim Rammar zrozumiał, że to nie świat stoi na głowie, a on sam. Zaskoczony spojrzął po sobie (a może w górę siebie?) i stwierdził, że kiwa się na wiszącym u sufitu zardzewiałym łańcuchu. Bez zbroi, hełmu oraz oczywiście broni.

Ponieważ nie miał skrepowanych ramion, mógł nimi machać i udało mu się okręcić tułów. Zobaczył wiszącego obok Balboka. Jemu również zabrano pancerz i hełm, a na czaszce ziała oblepiona strupami rana. Przez chwilę Rammar bał się już, że jego

brat spadł w mroczną jamę Kurula, potem jednak zauważył, że łańpy Balboka drżą i usłyszał ciche ziewanie. Rammar odetchnął z ulgą.

Nie na długo wszakże, bo dostrzegł jeszcze więcej łańcuchów zwisających z wysokiego sklepienia. Ledwie można było poznać, które z wiszących tam na wpół zgniłych ciał było kiedyś człowiekiem, orkiem czy gnomem. I to nie tylko z powodu zaawansowanego rozpadu. Stworzenia te torturowano i barbarzyńsko okaleczono, nim zmarły okrutną śmiercią.

Gryzący odór rozkładających się szczątków nie przeszkadzał Rammarowi, w przeciwieństwie do szyderczego śmiechu, który rozbrzmiał nagle i zdawał dobiegać zewsząd.

- Kto tam się śmieje? - zapytał ork i znów zawiosłował rękami, by okręcić się na łańcuchu. - Kto się ośmiela?...

Aż syknął, zobaczywszy źródło tego śmiechu - starego mężczyznę, owiniętego w pelerynę koloru tak głębokiej czerni, że zdawała się pochłaniać światło pochodni. Był szkaradnie brzydki, nawet jak na człowieka: sięgająca do brzucha siwa broda, spiczasty nos i głęboko osadzone oczy, rzucające straszliwe spojrzenie. Po długiej lasce, trzymanej przez starego w dłoni, ork poznał, że nie ma przed sobą zwykłego człowieka, ale maga. Laska, wystrugana z ciemnego drewna, przedstawiała węża wijącego się aż po gałkę w kształcie czaszki. W jej oczodołach migotały szmaragdy.

Wraz z magiem do lochu weszła gromada uzbrojonych gnomów. Niektóre z nich ubrane były w części zbroi Rammara i Balboka. Podeszły do więźniów, dźgały ich dzidami i chichotały drwiąco.

Balbok ocknął się i głośno pisał. Nie z bólu. Ostry dźwięk był wyrazem zdziwienia własną niezwykłą pozycją.

- Do licha, co to ma znaczyć? - zaklął Rammar. - Chcecie nas tak zostawić, wy nędzne, przykrótkie...

- Dość! - władczo krzyknął mag i gnomy natychmiast zaprzestały dręczenia orków.

Postąpił krok do przodu i przez chwilę przyglądał się dwóm więźniom.

- Musicie wybaczyć im ich zachowanie - powiedział wreszcie. - Moje gnomy przyzwyczyły się do zadawania bólu innym stworzeniom, zresztą przeważnie robią to na moje polecenie.

- Kim jesteście? - spytał zaskoczony Rammar. Człowiek w czarnej pelerynie nie tylko robił na nim potężne wrażenie, lecz również był dla niego raczej niezwykłym zjawiskiem. Dlatego Rammar, nie najgorzej władający językiem ludzi, zdecydował się zwrócić do niego grzecznościowym zwrotem: „wy”.

- Wszystko w swoim czasie - odpowiedział mag niskim, matowym głosem, który u orka wywołał dreszcz. - Muszę z wami pomówić.

- Z nami? - spytał zaskoczony Rammar. Spojrzał na brata. - Słyszysz, tępaku? Chcą tu z nami mówić!

Jak przedtem Rammar, tak teraz Balbok był zaskoczony tym, że huśta się głową w dół, zawieszony pod sufitem. Poza tym dawało mu wciąż znać o sobie uderzenie w głowę. Nie zorientował się jeszcze, że jego brat z kimś rozmawia.

- C... co się stało? - stęknął.

- Idiotyczne pytanie - warknął Rammar. - Gnomy cię odkryły i pojmały. Teraz jesteśmy we władzy jakiegoś maga.

- Maga? - Balbok rozejrzał się i odkrywszy postać starca, cały zadrżał. - Rurak - wychrypiął przerażony.

- Co tam szepczesz? - mruknął Rammar.

- Rurak - powiedział ponownie Balbok.

- Bzdura. - Rammar pokręcił głową, choć wzmogło to jeszcze ból. - Rurak nie istnieje. To tylko postać z bajek do straszenia małych orków.

-

- Taki jesteś tego pewny, przyjacielu? - spytał mag, a sposób, w jaki przy tym patrzył na Rammara, ani trochę nie spodobał się orkowi.

Gnomy zachichotały, znów kierując ostrza dzid na orków, by, kiedy tylko pozwoli im na to ich pan i władca, ponownie zabawić się maltretowaniem więźniów. Powstrzymywały się jeszcze, ale w ich szyderczym chichocie słysząc było ochotę, by upokarzać orków i zadawać im potworny ból.

- Ru... Rurak? - spytał bezgłośnie Rammar, ze strachem wpatrując się w maga.

- To jedno z moich imion - potwierdził ten, kiwając wyniośle głową. - Jedno z wielu, jakie już przyjąłem i porzuciłem, odkąd przebywam w tym świecie. Cieszy mnie, że u orków nie popadło w zapomnienie.

- O, nie - zapewnił Rammar.

Choć orkowie nie mieli zwyczaju spisywać historii i nie troszczyli się wiele o przeszłość, imię maga wciąż jeszcze było wśród nich znane. Podczas Drugiej Wojny Rurak był jednym z dowódców podlegających do powitania przeciw panowaniu elfów i choć stał po stronie orków, siał wśród nich większy strach niż niejeden wróg. Nazywali go Rurakiem Rzeźnikiem, i to nie bez powodu. Mag słynął z okrutnego karania nieposłuszeństwa oraz tchórzostwa. Opowiadano, że po jednej z przegranych bitew ze złości kazał wbić na pal wszystkich, co przeżyli.

- D... Druga Wojna dawno się skończyła - wyjąkał Rammar, chwytając się rozpaczliwej nadziei, że mężczyzna w czerni tylko sobie z nich żartuje. - Nawet magowie nie żyją tak długo. P... prawda?

- Zależy, o którego maga chodzi - odpowiedział zagadkowo Rurak, lekko krzywiąc usta w zimnym uśmiechu. - Ale nie martwcie się, szkaradni przyjaciele. Nic wam się nie stanie, dopóki będziecie robić, co wam każę.

- Na... naprawdę? - Rammar zamrugał z niedowierzaniem. Gnomy za to wydawały się rozczarowane, miały przecież nadzieję, że będą mogły zabawić się dwoma więźniami. - A czego od nas zażądacie, wielmożny magu? - zapytał ork.

- Powiem wam - odparł Rurak. - Ale najpierw chcę pokazać, co was czeka, jeśli odrzucicie moją ofertę. - Spod czarnej szaty maga wysunęła się szponiasta ręka. Wyglądała na złożoną tylko z kości, pomarszczonej skóry i ostrych, długich pazurów. Rurak machnął nią niedbale. - Spójrzcie, co jest pod wami!

Rammar i Balbok spuścili wzrok na podłogę. Nie było jednak podłogi, ale głęboka otchłań!

Bulgotała tam wrząca ropa i buchała cuchnąca wstrętnie, gryząca para. Z mazi w kierunku braci sterczały śliskie macki, a przez gęste opary gapiły się na nich pożądliwie oczy monstrualnych stworów.

Orkowie krzyknęli piskliwie, nie pojmując, jak mogli wcześniej nie dostrzec tej jamy.

Ich pisk jeszcze się wzmógł, gdy koścista dłoń Ruraka zamachnęła się kolejny raz.

- Zdaje mi się - powiedział mag - że powinienem teraz oswobodzić was z więzów.

Na te słowa łańcuchy, na których zawieszani byli orkowie, poleciały z brzękiem w dół. Rammar i Balbok runęli wprost we wrzącą breję i wyłupiaste oczy. Krzyczeli tak głośno, że ich głosy zaczęły się załamywać. Moment później uderzyli o twardą, kamienną podłogę.

Gdyby orkowie nie byli zbudowani znacznie solidniej niż na przykład ludzie, Rammar i Balbok połamałiby sobie wszystkie kości.

Jama z wrzącą mazią i obrzydliwymi potworami znikła, a bracia, słysząc gromki śmiech Ruraka, pojęli, że ulegli iluzji, stworzonej przez magiczną moc.

Nie było jednak powodu, by odetchnąć z ulgą. Orków natchmiast otoczyły dzidy gnomów, wycelowane groźnie ostrzami wprost w nich.

- Powiedzcie, moi niezgrabni przyjaciele... - odezwał się Rurak do więźniów, kiedy obaj leżeli jeszcze na podłodze, rozcierając bóle czaszki. - Słyszeliście kiedyś, co to jest Shakara?

- Shakara? - Rammar krótko się zastanowił. - Nie - oświadczył po chwili. Nawet nie czekał na odpowiedź brata. Ten *umbal* i tak wyglądał na zajętego bez reszty porządkowaniem własnych kości.

- W takim razie zdradzę wam, co warto o niej wiedzieć - zaproponował wspaniałomyślnie Rurak. - Shakara to miejsce położone daleko na północy, za Górami Czarnymi i bagnami, po drugiej stronie Północnego Wału...

- Na Białej Pustyni? - spytał skonsternowany Rammar i wrzasnął. Jeden z gnomów ukłął go dzidą, by nie wchodził w słowo Rurakowi. - Nędzny dupek! - syknął Rammar.

- Tak, na Białej Pustyni - potwierdził Rurak, po czym władczym gestem przykazał gnomom trzymać się z daleka. Rammar rzucił mordercze spojrzenie w kierunku gнома, który go ukłął, i rozcierał sobie ramię. - Tam, gdzie zima nigdy się nie kończy - mówił dalej Rurak - a ziemia pokryta jest całunem wiecznego śniegu. Shakara leży pośrodku tego rozległego kraju z trzeszczącego lodu. To ostatnie ze świętych miejsc, jakie w tym świecie mają jeszcze elfowie.

- Ś... świątynia? - spytał Balbok.

- Dokładnie tak.

- Ciekawa historia - wychrypiał Rammar, choć w rzeczywistości było mu dość obojętne, co porabiają elfowie. Po klęsce w Drugiej Wojnie orkowie nauczyli się unikać wąskokich i chętniej zadawali się z ludźmi...

- Tak, ciekawa, w istocie - mruknął mag z osobliwym błyskiem w oku. - Jak zapewne wiecie, elfów już nic nie trzyma na

Lądzie. Tęsknią za Dalekim Brzegiem, utraconą ojczyzną, z której nigdy nie przybyły. Niemało spośród nich już tam odjechało, a kto jeszcze został, nie może się doczekać, kiedy opuści Ląd. Elfowie długo stanowili o losie Lądu, teraz jednak ich czas się kończy. Coraz więcej spośród nich opuszcza Targas Dun, a wraz z nimi przemija pamięć o tajemnicach naszego świata. Z jednym wyjątkiem.

- Shakara - zgadł Rammar. Przemowa maga przygnębiła go trochę, choć zrozumiał z niej ledwie połowę. Chciał jednak wreszcie dowiedzieć się, co mają zrobić, by móc opuścić to niegościnne miejsce.

- Tak, Shakara. - Rurak powoli skinął głową. - Świątynia wśród wiecznego lodu skrywa tajemnice z dawnych czasów: legendarną mapę Shakary, wskazującą drogę do prawdziwego poznania. Zamierzam dostać ją w swoje ręce.

- Mapę Shakary? - Rammar i Balbok spojrzeli po sobie, wytrzeszczając oczy.

Znów jeden z gnomów uznał pytanie Rammara za wtrącanie się i ukłął go dzidą. Rammar krzyknął. Mag energicznie machnął ręką i gnom, który zaatakował orka, zmienił się w słup ognia.

Ogarnęły go jaskrawe płomienie - trwało to jedno, może dwa uderzenia serca - po czym na posadzkę ze stukiem spadły zwęglone kości, a pod stopy Rammara potoczyła się dymiąca czaszka.

Kiedy Rammar i Balbok wdrygnęli się na ten widok, a reszta gnomów odsunęła się o krok od więźniów, mag mówił dalej, niewzruszony:

- Ta mapa wskazuje drogę do pewnego ukrytego miejsca i wielkiej tajemnicy. Interes, jaki wam proponuję, jest następujący: pójdziecie na północ, na Białą Pustynię, dostaniecie się do świątyni elfów i przyniesiecie mi tę mapę. Chcę jej i niczego innego. Jestem gotów darować wam za to życie.

Przy ostatnich słowach gnomy wymieniły rozczarowane spojrzenia.

- Wszystko pięknie - stwierdził Rammar, nie pokazując po sobie zdenerwowania. - Tylko że to dla nas żaden ratunek. Nawet jeśli wy nas wypuścicie, nasze życie nie będzie warte śmierdzącego muchomora.

- Zakładam, że nawiądziesz do zaginionej głowy waszego przywódcy - powiedział Rurak, uśmiechając się chłodno. - Macie ją przynieść do waszej wioski przed pełnią Posokowego Księżyca. Jeśli nie zdążycie, złapią was i srogo ukarzą.

- T... tak - potwierdził zaskoczony Rammar. - Skąd wiecie?...

- Jestem magiem! - powiedział Rurak, jakby to wszystko wyjaśniało. - Oczywiście oddam wam łeb dowódcy, jeśli wasza misja będzie udana.

- WY macie łeb Girgasa?

Rurak odpowiedział na to pytanie kolejnym gestem kościstej ręki. Jedna z okrywających ściany komory kamiennych płyt odsunęła się bezszelestnie na bok i oczom orków ukazało się wnętrze wnęki. Stał tam przezroczysty pojemnik wypełniony żółtawą cieczą. W niej, ku zaskoczeniu orków, unosiła się głowa Girgasa.

Bracia wzdrygnęli się, bo wyraz twarzy dowódcy ich drużyny był tak gniewny i żywy, że przestraszyli się już, iż głowa wrzśnie na nich i zgromi za niedbalstwo, które pozwoliło im zostawić go tak po prostu na placu boju. Ale Girgas nie żył - tak, że bardziej już nie można - a jego głowa była na wyciągnięcie ręki.

- Jak widzicie - oznajmił Rurak - mówię prawdę. Głowa waszego dowódcy jest w moich rękach. Zostanie wam przekazana, gdy wypełnicie swoją misję i przyniesiecie mi mapę. Zrozumieście?

- Jasne! - Balbok był zachwycony. - Przyniesiemy mapę i dostaniemy łeb Girgasa. Czy to nie wspaniale, Rammar?

- Tak, naprawdę wspaniale - burknął Rammar i parsknął. - Jeszcze wspanialej byłoby, gdybyś choć raz pomyślał, zanim otworzysz gębę. Wysił troszkę swoją mózgownicę, *umbalu!* Graishak dał nam czas do następnej pełni Posokowego Księżyca. Masz pojęcie, ile czasu trzeba, żeby przejść przez bagna i Północny Wał? Nie wspominając o niebezpieczeństwach czyhających na nas po drodze i o elfach strzegących świątyni. W tych warunkach możemy równie dobrze sami rozpruć sobie brzuchy.

- Oczywiście macie prawo odrzucić moją ofertę - przyznał Rurak. - Wtedy odejdę, a moje gnomy zajmą się wami tak, jak zajęły się tamtymi. - Wskazał na strasznie zmasakrowane, na pół zgniłe ciała huśtające się na łańcuchach, a gnomy rozchichotały się na całego. - Albo otworzę ciemną studnię, której uniknęliście o włos.

- S... studnię z potworami? - spytał przerażony Rammar. - M... myślałem, że to tylko przywidzenie.

- Może. - Mag zrobił nieprzeniknioną minę. - A może nie. To wasza decyzja, nie moja.

Rammar i Balbok wymienili spojrzenia. Nie musieli się długo naradzać. Wyglądało na to, że nie mają wyboru. Ostatnimi czasy trudno byłoby powiedzieć, że Kurul im sprzyja. Najpierw gnomy wycięły ich drużynę, potem kłótnia z Graishakiem, a teraz ten mag, który beczelnie ich szantażuje. Czegokolwiek by nie zrobili, wpadali w coraz większe kłopoty i Rammar nie był całkiem pewien, czy rzeczywiście całą winę za to ponosi jego brat. Choć z pewnością znaczna jej część była po stronie Balboka.

- Wielki Ruraku, dlaczego ta mapa jest dla was tak ważna? - zapytał.

- To nie powinno was obchodzić. Potrzebuję jej, żeby wprowadzić w życie moje plany. Dla was, nieświadomych, nie ma ona żadnej wartości. Macie tylko mi ją przynieść, to wszystko.

- A elfowie? Ilu ich strzeże świątyni? Niebezpiecznie jest się z nimi mierzyć.

- Elfowie stali się słabsi, to już tylko cienie istot, jakimi niegdyś byli. Nie powinniście mieć z nimi kłopotu. Przyszłość należy do innych.

- Może do orków? - spytał z nadzieją Balbok.

- Tak. - Rurak cicho się zaśmiał. - Może do orków. W każdym razie przyszłość należy do tych, którzy teraz opowiedzą się po właściwej stronie, do prawdziwych sprzymierzeńców. Gdyby orkowie zrobili to już wcześniej, nie musieliby dziś tkwić w ciemnych jaskiniach, a mieliby na własność pałace elfów.

Ani Rammar, ani Balbok nie mogli zaprzeczyć. Przymierze z ludźmi w ostatniej wojnie okazało się rzeczywiście brzemiennym w skutki błędem.

- Czemu akurat my? - Rammar zadał ostatnie pytanie, jakie miał już od jakiegoś czasu na końcu języka.

- Ponieważ zostaliście do tego wybrani - brzmiała tyle prosta, co wyczerpująca odpowiedź Ruraka. - Więc jaka jest wasza decyzja?

Bracia jeszcze raz spojrzeli na siebie, by potem, zdecydowanie i krzywiąc się w grymasie, kiwnąć potakująco głowami.

- Zrobimy to - oznajmił uroczyście Rammar, i trochę ci-szej dodał: - Przecież nie mamy innego wyboru.

- Zatem dobrze - powiedział Rurak. - I pamiętajcie, bez mapy nie dostaniecie z powrotem łba swojego dowódcy. Złapią was i doprowadzą gdzie trzeba, a co potem zrobi z wami wasz wódz Graishak... - Nie dokończył zdania. Może nawet Rurakowi Rzeźnikowi nie starczało fantazji, by to sobie wyobrazić.

Kiedy Balbok zastanawiał się jeszcze, ile czasu będą potrzebować na długą drogę na północ, Rammar zajmował się daleko bardziej praktycznymi sprawami.

- Musimy mieć wyposażenie - zażądał. - Zbroje, broń, prowiant.

- Wszystko dostaniecie - zapewnił Rurak.

- I porzecz - dodał Balbok. - Żaden szanujący się ork nie wyrusza w niebezpieczną misję bez godła.

- Co jeszcze mamy ze sobą taszczyć? - jęknął Rammar i wyrócił oczami.

- Nie martw się, naiwny przyjacielu - Rurak zwrócił się do Balboka. - Dostaniesz swoje godło. W drodze do Lodowej Świątyni poniesiecie emblemat Ruraka Rzeźnika i każde wrogie stworzenie, które go zobaczy, ucieknie przerażone. Jego magiczna aura będzie was chronić.

- Naprawdę? - spytał Rammar. - W takim razie wyjątkowo muszę zgodzić się z bratem, wielki magu. Żaden szanujący się ork nie wyrusza bez godła w niebezpieczną misję. Z dumą poniesiemy wasz znak, możecie mieć pewność.

- Nie spodziewałem się niczego innego. A teraz udajcie się do zbrojowni, zmarnowaliśmy już dosyć czasu. Jedna era się kończy, musi zacząć się druga. Historia nie czeka!

5. UR'TORGA SGUDAR'HAI

Godło, potrzebne nam godło! - przedrzeźniał Rammar, naśladowując śpiewny głos swego brata. - Żaden szanujący się ork nie wyrusza w niebezpieczną misję bez godła!

- I co z tego? - spytał Balbok, kroczący za nim po wąskiej skalnej ścieżce. - Ty przecież też byłeś za tym, żebyśmy zabrali godło Ruraka.

- No tak - przyznał kwaśno Rammar -ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to paskudztwo jest TAK CIĘŻKIE! - Zatrzymał się, prychając gniewnie, i spojrział w górę wysokiego drzewca, który trzymał w dłoniach. Na górnym końcu znajdowała się wielka jak głowa kula z zagadkowego czarnego materiału o gładkiej i połyskliwej powierzchni, nieodbijającej jednak otoczenia. Że godła Ruraka nie ozdobiono włosami trolli ani kośćmi gnomów, to jedno. Gorszy, zdaniem Rammara, był ciężar kuli - nieść ją to prawdziwa męka.

- Chciałeś koniecznie to brać, więc teraz sobie nieś - burknął i zdecydowanym ruchem wcisnął drzewce w dłonie zaskoczonego brata. Balbok, i tak już obciążony ciężką sakwą, pełną prowiantu na podróż i przydatnej na północy ciepłej odzieży, cicho jęknął, nie zdecydował się jednak sprzeciwić bratu. Kiedy Rammar jest w złym humorze, lepiej go nie drażnić.

W milczeniu szli dalej - Rammar tylko z przywiązaniem do skórzanych rzemieni na plecach *saparakiem*, chudy Balbok, obciążony resztą broni i bagażem, niósł jeszcze ciężkie godło.

Stroma droga wiodła w górę. Ścieżka, jaką wiatr i deszcz wyrzeźbiły w skale, zaprowadziła ich na wciśnięty między wysokie skalne ściany kar, którego piarżysko opadało w dół i ginęło w wąskim parowie. We mgle po drugiej stronie szorstkich, skalnych szczytów, ograniczających kar od północy, można było rozpoznać postrzępione przedgórza Gór Czarnych.

- Wreszcie - mruknął Rammar. - Myślałem już, że te paskudne góry nigdy się nie skończą. Jesteśmy w drodze już dwa dni, a wszystko, co mogliśmy zobaczyć, to mgła i skały. Mam tego powyżej uszu.

- To kraina naszych przodków - odpowiedział z wyrzutem Balbok.

- Co z tego? I tak mam tego powyżej uszu. Chcę, żeby te wstrętne góry były wreszcie za nami. Żebyśmy mogli wypełnić zadanie i szybciej wrócić do domu. Ale to widocznie nie mieści się w twojej mozgo...

Więcej Rammar nie zdołał powiedzieć, bo jego życzenie o szybkim zejściu z gór spełniło się szybciej niż sobie życzył. Skupiony na lamentowaniu, szedł nieuważnie, aż do miejsca, gdzie skała zmieniała się w żwir. Nagle podłoże pod jego stopami się poruszyło, kamienie ześliznęły i poleciały w dół, a Rammar, wiosłując ramionami, razem z nimi.

- Do kroćset! - zdołał jeszcze krzyknąć ork, spadając. - Zróbże coś, ty nędzny *umbalu!*...

Nic nie pojmujący Balbok stał przez moment i patrzył zaskoczony, jak jego brat zjeżdża ze zbocza: początkowo stojąc jeszcze na dwóch nogach, dalej już na swojej niewymownej, aż wreszcie przewraca się i koziołkuje w dolinę jak jeden ze skalnych odłamków, lecących lawiną za nim. Krzyczał i pomstował przy tym tak głośno, że odbijało się echem od skalnych ścian.

- Idę, Rammar! - krzyknął Balbok i na złamanie karku pobiegł w dół. W odróżnieniu od brata przesunął jednak swój ciężar do tyłu i kiedy w pośpiechu uderzał piętami butów o żwir, udawało mu się jako tako utrzymać na nogach.

Było to jednak prawdziwe zejście do piekła. Poruszony żwir osypywał się, więc Balbok musiał wkładać wiele trudu, by nie stracić równowagi i nie potoczyć w dół jak brat, tym bardziej że na plecach miał ciężki bagaż. Na szczęście niezwykle przydatny okazał się wręczony mu przez brata porporzec. Używając go jak laski, Balbokowi udawało się trzymać mniej więcej prosto i kiedy Rammar mknął po zboczu z małą kamienną lawiną, on biegł o wiele bardziej elegancko i na dwóch nogach.

Spotkali się u wejścia do parowu. Rammar leżał na ziemi, jęcząc. Nie dość, że nabawił się niezliczonych otarć, to jeszcze nowiutki napierśnik Ruraka był cały pognięty. Ślady wgnieceń nosił także nowym hełm. Ubranie, składające się ze skórzanej kurtki i wełnianej peleryny, było brudne i poszarpane. Rammar czuł się poniżony i upokorzony.

- Wszystko w porządku? - zapytał Balbok, który dotarł do dna doliny bez uszkodzeń i uśmiechał się od ucha do ucha, zadowolony, że jego brat wciąż żyje.

- Nie, nic nie jest w porządku - zabrzmiało w odpowiedzi gniewne prychnięcie. - Spadłem i połamałem sobie Kurul wie co.

Bądź łaskaw pomóc mi wstać, ty niezgrabny tłumoku! I przestań się, do diaska, uśmiechać!

Balbok zdjął sakwę, a po chwili podał bratu prawicę, którą ten niechętnie chwycił. Rammar, nie przestając utyskiwać, pozwolił postawić się na nogi i rozcierał obolałą *asar*.

- I co? - spytał Balbok. - Złamałeś coś?

- Nie, na twoje szczęście. W przeciwnym razie powrywałbym ci uszy. To wszystko twoja wina. Gdybyś mi się nie sprzeciwiał, mógłbym uważać na drogę.

- Tak czy inaczej - stwierdził Balbok i spojrzał w górę ospiska, którego górny koniec ledwie było widać we mgle - jesteście teraz na dole. Tego przecież chciałeś, prawda?

Rammar popatrzył na ciemny wąwóz.

- Jeśli mag mówił prawdę, by trafić na bagna, wystarczy pójść wąwozem. Ale musimy uważać. Po tej stronie Czarne Góry są poprzetykane niezliczonymi wąwozami i przesmykami. Niejeden wędrowiec zbłądził już w tym labiryncie. Pamiętasz Ruchgę?

- Masz na myśli dowódcę drużyny *nuarranash*?

- Właśnie jego. Pewnego dnia on i jego drużyna wyruszyli na polowanie po północnej stronie Gór Czarnych. Żaden z nich nigdy nie wrócił. Pochłonęły ich trzewia Torgasa.

- Trzewia Torgasa?

- Powiedz, czy ty naprawdę nic nie wiesz? - mruknął Rammar głosem pełnym wyrzutu. - Według legendy Torgas był demonem, który z okrutnym Kurulem walczył o panowanie w Górach Czarnych. Pewnego dnia, chcąc oszukać Kurula, zaproponował mu targ. Ale Kurul przejrzał jego plan, rozpruł Torgasowi brzuch i rozrzucił jego trujące i żrące wnętrzności po północnej stronie gór. Wżarły się w skałę i tak powstały te wąwozy. Co ty na to?

- Na wrednego orka! - stęknął z podziwem Balbok. - Ależ ty jesteś mądry.

- Prawda? Masz prawdziwe szczęście, że razem podró-
żujemy, inaczej byłoby po tobie. Bierz więc swoją sakwę i rusz...
- Cicho - powiedział nagle Balbok i chwycił za dzidę.
- Co jest?
- Coś wyczułem - wyjaśnił chudzielec, marszcząc krzywy
nos. - *Nambal*.

Kiedy Balbok mówił słowo znaczące: „wróg”, tętno Rammara przyspieszyło. Ale już w następnym momencie uspokoił się i powiedział:

- Nie wysilaj się. Nie weźmiesz mnie na to.
- O co ci chodzi? - spytał Balbok, rozglądając się czujnie.
- Robisz to tylko dlatego, bo złości cię, że wiem więcej od
ciebie.
- Nie, Rammar, na pewno nie. Czujęm...
- Nie musisz się złościć, bracie. Zawsze już tak było. Z nas
dwóch ja jestem ten sprytny, a ty ten głupi. Pogódź się z tym,
bierz bagaż i ruszajmy. Chcę mieć za sobą ten wąż, nim się
ściemni.

Balbok spojrział ku krawężniom wężu i wystawił nos na gwizdzący cicho wiatr. Kiedy jednak nie zwiertzył niczego podejrzanego, opuścił dzidę i na nowo chwycił swój ładunek, włączając w to godło Ruraka.

Jak wcześniej, Rammar poszedł przodem. Jednak im ciemniej robiło się w wąwozie, tym mniejszy był odstęp, jaki dzielił go od brata.

Droga przez trzewia Torgasa okazała się znacznie dłuższa i trudniejsza niż spodziewali się orkowie. Musieli stale zważać, by nie zbłądzić w bocznych korytarzach, odgałęziających się co jakiś czas od krętego głównego tunelu wśród skał. Wiele razy Rammar nie był pewny, czy idą jeszcze właściwym korytarzem. By jednak nie zdradzić się przed Balbokiem, szedł dalej, jakby dobrze wiedział, co robi.

Balbok zaś ufał bratu i posłusznie dreptał za nim, taszcząc prowiant i godło.

Po południu pogoda znacznie się pogorszyła. Gwizd hulającego wśród wąskich korytarzy wiatru zmienił się w niesamowite zawrodozenie, a niebo, którego orkowie widzieli zawsze tylko zygzakowaty wycinek, zachmurzyło się. Kiedy Balbok nagle się zatrzymał, z oddali słychać już było gromkie dudnienie grzmotów.

- Co znowu? - spytał poirytowany Rammar. - Chodźże, ty *umbalu*, musimy poszukać schronienia, nim zacznie się burza. - I jakby na potwierdzenie jego słów czarne niebo przecięła błyskawica, na mgnienie oka oświetlając tunel niemal dziennym światłem.

Balbok nadal stał.

- On znów tu jest - powiedział.

- Kto? Co?

- Ten zapach. Wróg, którego wyczułem przy wejściu do przełęczy.

- Znowu zaczynasz?

- On tu jest - powtórzył Balbok. - Jestem pewien.

- Tak? - Rammar przekrzykiwał wzmagający się wiatr. - To czemu go nie widzisz? Akurat teraz musisz z tym zacząć! Poszukajmy lepiej jaskini, nim zacznie padać.

Balbok, który odłożył godło i sięgnął po dzidę, rozejrzał się nieufnie. Ponieważ jednak znów nic nie mógł zauważyć i już niczego nie czuł, zawiesił ją na skórzanych rzemieniach na plecach, wziął godło, a potem ruszył za Rammarem.

W mgnieniu oka niebo zachmurzyło się jeszcze bardziej. Dzień zmienił się w noc. Kiedy jednak mroczny firmament rozświetlały błyskawice, nagle robiło się przeraźliwie jasno. Rozległ się grzmot tak głośny, że niemal wstrząsnął całymi górami. odbijające się od ścian wąwozu echo zwiłokrotniało go bez końca, jakby nie miało nigdy przestać. Wiatr robił się coraz zimniejszy i ostrzejszy. W każdej chwili mógł zacząć padać deszcz, który

zamieni wąwóz w rwącą rzekę. Orkowie musieli uciekać stąd jak najszybciej.

- Tam, w górze! - krzyknął nagle Rammar. - Jaskinia! To nasz ratunek!

Balbok również zauważył ciemny otwór w skale. Ruszyli biegiem: Rammar z rzadką u niego zręcznością, obciążony bagażem Balbok o wiele ociężałej. Starszy brat błyskawicznie wspiął się na uskok. Jaskinia położona była dostatecznie wysoko, by nie zalał jej strumień wody. Rammar nie przejmował się, że Balbok z sakwą ledwie za nim nadąża. Schronił się do suchej groty, akurat kiedy zaczęło padać.

Deszcz lał strumieniami na dno wąwozu, w którym momentalnie zaczęła się zbierać woda. Balbokowi udało się wdrapać do wejścia jaskini, gdzie upadł wyczerpany.

Jednak nie na długo.

Gryzący odór, jaki czuł już wcześniej, ponownie napłynął do jego nosa, tym razem jednak o wiele mocniej niż przedtem.

Balbok poderwał się.

- Co znowu? - spytał Rammar. - Jeszcze nie dałeś sobie spokoju? Mówię ci, nie ma tu nic, czego musiałbyś się obawiać. Może oprócz burzy. Strach pomyśleć, że gdybyśmy teraz byli na zewnątrz...

Balbok nie odpowiedział. Patrzył tylko przed siebie, coraz mocniej wytrzeszczając oczy z przerażenia.

- Powoli mam dość twojego dziwnego zachowania - narzekał Rammar. - Nie możesz po prostu przyznać, że postąpiłem mądrze, szukając dla nas schronienia? Musisz zawsze odgrywać dzikiego orka?

Jego brat wciąż nie odpowiadał, za to odłożył porporzec, powoli i uważnie zsunął z pleców pakunek, a w końcu uniósł *saparak*.

Rammar pojął nagle, że brat nie wpatruje się w niego, ale w coś za nim. Teraz i do niego dotarł ten gryzący smród.

Chwilę później starszy brat poczuł, jak coś kleistego kapie z góry, ląduje na jego ramieniu i powoli ścieka po zbroi.

Musiał się przemóc, żeby podnieść wzrok. Kiedy to zrobił, spojrział w mnóstwo małych czarnych oczu i bezzębną, ale wyposażoną w niebezpieczną szczękę paszczę. Drgnęła nagle, hałaśliwie przy tym kłapiąc. Znajdujące się po lewej i prawej stronie straszliwego pyska czteroczłonowe odnóża, którymi potwór badał otoczenie, wyciągnęły się z drżeniem w kierunku Rammara, jakby chciały go złapać. Przednia część tułowia monstrum nad ośmioma długimi, pięcioczłonowymi nogami przyczepiona była do sklepienia jaskini. Za nimi znajdował się potężny, owłosiony gęstą, czarną sierścią odwłok.

- *Cudach!* - wyrwało się przerażonemu Rammarowi. - Przeklęty pająk!...

Choć to, że w surowych wąwozach Gór Czarnych mieszkają pająki, wiedzieli wszyscy, dwaj orkowie nigdy dotąd nie spotkali TAK DUŻEGO stworzenia. Przednia i tylna część tułowia miały wielkość furmanki. Potwór błyskawicznie odwrócił się na swoich długich nogach. Rammar dostrzegł trujące żądło ogromnego pająka, wysuwające się z odwłoka, by bezlitośnie ukłuć.

Instynktownie rzucił się w bok, szybciej niż można by się było po nim spodziewać, biorąc pod uwagę jego tuszę. Długie na ramię żądło chybiło, choć tylko nieznacznie. Rammar padł na ziemię i widział, jak pająk niesamowicie zwinnie porusza się na wszystkich ośmiu nogach po suficie jaskini. Monstrum to kręciło się wkoło, to znów ustawiało do ataku.

- *Uważaj, Rammar!* - wrzasnął Balbok i rzucił dzidą, dokładnie w momencie, kiedy odwłok pająka strzelił w dół, ku jego leżącemu na ziemi bratu. Ostrze wbiło się w jedno z ośmiu oczu i na Rammara trysnęła galaretowata masa. Ponieważ pająk odskoczył, jadowite żądło potwora znów ominęło orka. W następnej

chwili Balbok znalazł się przy bracie, z toporem w zaciśniętych w pięści łapach, i ustawił się w szerokim rozkroku nad Rammarem.

- Uciekaj! Uciekaj, wstrętna bestio! - krzyknął i zamachnął się toporem na pająka, który próbował dosięgnąć go żądłem. Kiedy to nie przyniosło efektu, potwór postanowił schwytać go swoimi makabrycznymi szczękami, które z łatwością mogłyby odgryźć rękę albo nawet głowę.

Rammar, pełzając po ziemi, odsunął się na bezpieczną odległość i wyczołgał z jaskini. Deszcz już mu nie przeszkadzał.

Balbok odważył się na rozpaczliwy atak i trafił toporem w kolejne oko pająka. Monstrum rzuciło się na orka ze wściekłym sykiem, chcąc pogrzebać go pod swym ciężarem i rozerwać szczękami.

Szybkiem skokiem w tył Balbok umknął pająkowi, uderzając jeszcze raz toporem. Tym razem ostrze dosięgło jednego z odnóży, nie robiąc mu krzywdy. Rozległ się brzęk, jakby metal uderzył o kamień. Ork natychmiast odskoczył w tył, potknął się, przewrócił i z wrzaskiem wytoczył z jaskini.

Wylądował w ulewnym deszczu, gdzie stał już Rammar. Brat trzymał w dłoni *saparak*, nie zdołał się jednak jeszcze przemóc i przyłączyć do walki.

Głośno parszając, pająk wysunął się na swoich ośmiu nogach z jaskini. Ogromne stworzenie musiało się przeciskać przez wąski otwór. Najpierw ukazały się dwie macki, potem dwie nogi, potem dwie następne, po nich tułów i odwłok, a na koniec pająk przeciągnął dwie pozostałe nogi.

Rozdzierające niebo błyskawice oblewały monstrum drżącym światłem i kiedy Rammar zamarł w przerażeniu, Balbok rzucił się na potwora z przeraźliwym okrzykiem bojowym. Wymachując toporem, ciął pająka, który cofał się i nie przestawał parskać. Już w następnej chwili ruszył jednak do kontrataku i kłutł jadowitym kolcem.

Tylko właściwym orkom wrodzonym odruchom Balbok zawdzięczał, że i tym razem uniknął żądła. Znow zamachnął się toporem. Teraz żeleźce weszły głęboko w odwłok poczwary i na orka spadł strumień wstrętnej cuchnącej cieczy.

Zalała oczy Balboka, przez chwilę więc nic nie widział. Mógł za to słyszeć bojowy wrzask brata, który w końcu pospieszył mu na pomoc. Trzymając *saparak* za tylny koniec, z ostrzem skierowanym do przodu, Rammar uniósł go do *kro-buchg*, śmiertelnego pchnięcia, i zaatakował. Pająk jednak wyrzucił w przód jedno z odnóży, odepchnął *saparak* i zmienił kierunek ciosu. Ork z całym impetem wbił dzidę w nogę monstrum.

Stworzenie poderwało się z kwikiem i, miotając drżącym odwłokiem, znow próbowało dosięgnąć Balboka żądłem, równocześnie jedną z chudych nóg uderzając w Rammara. Cios zmiotł ciężkiego orka i wyrzucił go w powietrze, wprost na ścianę wąwozu. Kiedy uderzył w skałę, coś trzasnęło i zachrzęściło. Gdyby nie miał hełmu, impet zmiażdżyłby mu czaszkę. Osunął się powoli po skalnej ścianie i leżał niezdolny do walki. Pająk ujrzał w nim więc łatwą ofiarę.

Balbok był zaskoczony, kiedy jadowity kolec nagle się od niego odsunął. Ulga zmieniła się jednak w przerażenie, kiedy ujrzał, kogo teraz upatrzył sobie pająk. Bestia chwiejnie przeszła po nim na swoich długich nogach i ruszyła na Rammara, który, zgubiwszy dzidę, nie mógł się już bronić. Siedział na pół ogłuszony, opierając się tułowiem o ścianę wąwozu.

Z wściekłym wrzaskiem Balbok pobiegł za pajakiem i zamachnął się toporem. Trafił w jedną z tylnych nóg tuż pod tułowiem i ostre żeleźce odcięły pajakowi kończynę. Cuchnące soki życia chlusnęły z rany i zmieszały się z ulewnym deszczem. Na dnie wąwozu zbierało się coraz więcej wody, spływającej z

szorstkich ścian. Powstał już mały potok, do którego trysnęła krew stwora.

Jeśli jednak Balbok sądził, że pająk odstąpi od jego brata, to się mylił. Olbrzymie bydlę niestrudzenie celowało w Rammara, który właśnie doszedł do siebie i przerażony patrzył na ośmio-
nożną śmierć.

Zrozpaczony Balbok zobaczył, jak cielsko pająka zwała się na Rammara i mimo ulewnego deszczu oraz donośnych grzmotów, usłyszał rozpaczliwe, piskliwe wołanie o pomoc.

Co robić?

Gwałtownie, jak rozświetlające niebo błyskawice, Balboka ugodził piorun rozumu. Czyż mag nie powiedział, że jego godło ochroni ich przed niebezpieczeństwem? Że wystarczy tylko pokazać je wrogowi, by mogli odejść w spokoju?

Balbok nie widział innego rozwiązania. Przez sięgającą już kostek wodę pobiegł na drugą stronę wąwozu, gdzie było wejście do jaskini i gdzie zostawił porzecz.

- Balbok! - usłyszał krzyk brata. - Nędzny tchórz! Nie zostawiaj mnie...!

Nie dał się zbić z tropu. Wyciągając nogi, wpadł do jaskini i chwycił drzewce z kulą. Potem pobiegł z nim przez coraz głębszą wodę z powrotem na pole walki, gdzie pająk sposobił się do zadania Rammarowi śmiertelnego ciosu.

Ork zobaczył, jak spiczasty koniec żądła drży nad okrągłym brzuchem jego brata. Rammar darł się, jakby postradał zmysły. Jednak ani on nie był w stanie uciec przed wznoszącymi się wokół niego łapami pająka, ani brat nie miał możliwości do niego dotrzeć. Na dodatek poziom wody stale się podnosił. Jeśli żądło potwora nie uśmierci Rammara, to utopi się on w klatce z owłosionych nóg pająka.

- Ej, ty! - wrzasnął Balbok, przekrzykując grzmoty i szum wody. - Ej, ty! - powtórzył, kiedy potwór nie zareagował. - Ej, popatrz tutaj! - Pomachał godłem, by ściągnąć na siebie uwagę

pająka. - Bądź łaskaw patrzeć na mnie, kiedy do ciebie mówię!

Kolos uległ wreszcie jego namowom. Balbok przetrzymał uczucie paniki, jakie go ogarnęło.

- Patrz tutaj! - ryknął w akcie rozpaczy i wyciągnął drzewce w kierunku monstrem. Jeśli jednak liczył na to, że pająk na widok kuli rzuci się do panicznej ucieczki, doznał gorzkiego rozczarowania.

Poczwara prychnęła tylko - w każdym razie w uszach Balboka zabrzmiało to jak prychnięcie - i splunęła w jego kierunku kleistą wydzieliną, trafiając go celnie. Od stóp do głów orka oblepiła cuchnąca maź, która w chwilę później stężała. To była tajna broń pająka olbrzyma. Plwociną uniemożliwiał swoim ofiarom ucieczkę, jadowitym żądłem je uśmiercał.

Balbok uniósł wzrok w stronę emblematu, przerażony i zaskoczony tym, że obiecany przez Ruraka efekt nie nastąpił. Bezradnie trzymał w górze ciężki przedmiot, a pająk podchodził coraz bliżej - nie w pośpiechu, jak przedtem, ale powoli i z namysłem, z arogancją pewnego zdobywcy myśliwego.

Balbok stał w strumieniach deszczu, migotanie błyskawic zalewało wąwóz drżącym światłem, poziom wody stale się podnosił. Ork był przekonany, że zbliża się jego koniec, lecz zdarzyło się coś nieoczekiwanego.

Nagle czarną kulę godła wypełniło zagadkowe światło. W następnej chwili wydobył się z niej promień, jakiego Balbok ani Rammar nigdy dotąd nie widzieli. Nie składał się ze światła, ale z jego dokładnego przeciwieństwa - z kuli strzeliła wiązka ciemności, zdająca się połykać wszelką jasność dookoła i w mgnieniu oka dosięgła potwora. To, co zdarzyło się potem, było tak niesamowite, że bracia już krótki czas później nie potrafili dokładnie powiedzieć, jak to się właściwie odbyło.

Na pająka padł ciemny promień. Orkowie patrzyli zauroczeni w stwora, który prężył się na cienkich nogach i zataczał niczym oszalały wśród błysków głębokiej czerni, obejmujących go jak macki mątwy. Pająk ślinił się i syczał, zdawało się, że walczy z niewidzialnym wrogiem. Tym przeciwnikiem był jednak tylko promień pożerającej go teraz ciemności.

Choć nie czuć było żadnego ciepła, a strumienie ulewnego deszczu natychmiast zdławiłyby każdy ogień, sierść na odwołku i nogach pająka spłonęła. Potem nogi skruszyły się jak spróchniałe drewno, a masywne cielsko w kilka chwil rozpadło w czarną, bulgocącą masę.

Promień ciemności zgasł równie nagle, jak się pojawił. Zostały tylko tłące się szczątki potwora.

Na czarne spalone cielsko padał z sykiem deszcz. Balbok chciał już ostrożnie zbliżyć się do stworzenia, kiedy wyprężyło się jeszcze raz, by zaraz znów upaść z okropnym łoskotem. Rzeźka, jaka powstała na dnie wąwozu, bulgotała, opływając truchło, aż rozpadło się w małe czarne okruchy, porwane przez prąd wody.

- Teraz wiesz, co się przydarza tym, którzy stają na drodze dzielnym wojownikom jak my! - mamrotał Rammar, podniósłszy się i uniesioną pięścią wygrażając resztkom pająka. - Nie pokazuj się tu więcej, słyszysz?

- Wiesz, Rammar... - wycedził Balbok, patrząc na godło z mieszaniną podziwu i przerażenia. - Mam wrażenie, że naprawdę nie zobaczymy więcej tego pająka.

Całkiem przemoczeni, brudni, poobcierani i po kolana w wodzie, orkowie spojrzeli po sobie, by w następnej chwili wybuchnąć gromkim rechotem. Rycząc ze śmiechu, dawali upust uldze, że wciąż żyją. Rzadko kiedy ci dwaj, jakże różni bracia, byli tak zgodni jak w owej chwili.

6. *BOGASH-CHGUL'HAI*

Następnego dnia, po walce z pająkiem olbrzymem, Balbok i Rammar dotarli do północnego krańca Gór Czarnych. Na krótko zatrzymali się u wylotu labiryntu wąwozów, w tradycji orków zwanych trzewiami Torgasa. Ponieważ żaden z braci nigdy wcześniej nie był tak daleko na północy, widok, jaki ukazał się ich oczom, zrobił na nich wielkie wrażenie.

- A ja myślałem, że gdzieś tu będzie gospoda, w której podadzą nam dobry, orczy brzuchowstrząs - powiedział Balbok pełnym rozczarowania głosem.

- O swoim brzuchowstrząsie możesz tylko pomarzyć - odpowiedział mrukliwie Rammar. - Stąd aż po góry Północnego Wału nie ma nic, tylko bagniste bezdroża. Nie rosną tu prawie żadne rośliny, same łyse drzewa albo mech. I czyha mnóstwo niebezpieczeństw, których musimy się wystrzegać...

Jak się okazało, opis Rammara był nadzwyczaj trafny, gdyż kraina rozciągająca się po drugiej stronie Gór Czarnych była

naprawdę najpосeęniejszym kawałkiem ziemi, w jakim Balbowski dane było kiedykolwiek przebywać. Wyrastające z rozmo-kłej, brunatnej ziemi drzewa wyglądały jak żebra szkieletów, sterczące ku szaremu niebu i tylko z rzadka jakaś kępka trawy albo wysepka ciemnego mchu ożywiała gulgocące trzęsawisko. Znacznie liczniejsze były groźne, bagniste dziury, którymi równina utkana była jak *asar* orka czyrakami. W tej okolicy niezwykle łatwo było stracić orientację, gdyż słońce skrywało się za gęstą pokrywą chmur.

No i jeszcze ta mgła.

Wszzechobecna lepka mgła, sprawiająca, że widoczność sięgała najwyżej na rzut kamieniem. Oblepiała płuca chłodem, od którego oddech orków szeleścił jak zardzewiałe łańcuchy, kiedy szli wciąż dalej, żywiąc nadzieję, że jeszcze nie zblądzili.

Raz po raz słyszeli niesamowite odgłosy - tu jakiś plusk, tam bulgotanie. Choć na pierwszy rzut oka na to nie wyglądało, trzęsawisko było pełne żywych istot, a niewiele z nich miało gościnnie nastawienie do przybyszy. Dawniej w tej nędznej krainie mieszkaly gnomy, a gdyby zależało to od Rammara, byłoby tak nadal, bo ta beznadziejna, bagnista okolica pasowała do zielonoskórych, ale na pewno nie do orków!

- Jak by było mało tego, że gnomy mieszkają w naszych górach - mamrotał do siebie, zniechęcony, stawiając tępo stopę za stopą. - Teraz jeszcze dwóch dzielnych orków musi brodzić w tej obrzydliwej kloace, w której kiedyś mieszkaly.

Pod wieczór bracia poszukali miejsca na nocleg. Nie było tu jednak żadnej jaskini ani jamy w ziemi. A nawet gdyby były, nie dałyby schronienia przed wilgotną mgłą i przenikliwym zimnem. Orkom nie pozostało więc nic innego, jak zawiąć się ciasno w

peleryny i spać na siedząco, którą to sztukę posiada każdy ork. Trzymali wartość na zmianę. W końcu chcieli obudzić się następnego ranka, nie znajdując pod stopami własnej głowy albo siebie samych w brzuchu żarłocznego potwora...

O zamieszkujących bagna stworach - bagiennych koboldach i latających rybach, ogromnych skorpionach i węzach, wielkich jak orkowie pijawkach i robakach - opowiadano w *balboug* niesamowite historie. Co z tego było prawdą, a co stworzyła szalona wyobraźnia człowieka, tego Rammar nie potrafił powiedzieć, gdyż odkąd pamiętał, nie wrócił nikt ze śmiałków, jacy kiedykolwiek wyruszyli na bagna. Pocieszał się tym, że w minionych dniach nie spotkali żadnego zwierzęcia ani żadnej innej istoty, i żywił nadzieję, iż tak będzie przez cały czas. Z pewnością, gdyby miał wybór, nie pętałby się po trzęsawisku.

Pewnego razu Balbok trochę zmniejszył czujność.

Od jakiegoś czasu wędrował za Rammarem z pakunkiem na plecach i godłem zarzuconym na ramię. Niepokoił się jedynie, gdy zdawało mu się, że widzi wynurzającego się z mgły wroga. Zatrzymywał się wtedy, wbijał drzewiec godła w moczary, chwycił topór i zmrużonymi oczami lustrował otoczenie. Do tej pory za każdym razem się mylił i zawsze okazywało się, że to tylko wyschłe drzewo majaczy za mgłą, a jego sterczące gałęzie przypominają ramiona. Za każdym razem, kiedy Balbok nagle się zatrzymywał, Rammar wzdrygał się przerażony.

- Na mroczną otchłań Kurula! - zaklął, kiedy Balbok kolejny raz chwycił za topór i gorączkowo się rozglądał. - Czy dasz wreszcie spokój? Powoli powinno do ciebie dotrzeć, że jesteśmy tu całkiem sami.

- Coś słyszałem - usprawiedliwił się Balbok.

Rammar przytaknął.

- Ja też.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Stale coś słyszę. Pluśnięcia, szelesty... Ale głównie mlaskanie moich własnych kroków po błocie i błagalne burczenie w brzuchu, który zwisa mi aż na kolana.

- Mój też burczy i zwisa - przyznał Balbok. - Może powinniśmy zjeść cały prowiant na raz.

- Nonsens. Winny całej tej nędzy jesteś tylko ty, bo nie chciałeś dużo nieść. Gdybyś wziął więcej *baish* z komory Ruraka, mielibyśmy teraz dość jedzenia i nie musielibyśmy cierpieć głodu.

Balbok nie potrafił znaleźć nic na swoją obronę i przygnębiony wbił wzrok w ziemię. Jego i tak już długa twarz wydłużyła się jeszcze, a kąciki ust opadły.

- Nie, tylko nie to! - jęknął Rammar. - Znów odstawiasz nieszczęśliwego orka? Nie mogę już na to patrzeć. Zostań tu i zwieszaj sobie głowę, skoro chcesz. Ja idę dalej i poszukam czegoś jadalnego. W tym przeklętym błocie musi się przecież znaleźć coś na ząb...

Balbok słyszał, jak wybrzmiewa echo słów brata i podniósł wzrok. Wtedy stwierdził z przerażeniem, że Rammar zniknął!

Jak zawsze, kiedy dzień chylił się ku wieczorowi, mgła jeszcze zgęstniała. O tej porze leżała ciężka i gęsta nisko nad ziemią. Widać było tylko zarysy drzew wokół, a dźwięki docierały do uszu Balboka przytłumione.

- R... Rammar? - wyszeptał. W tej gęstej mgle jego głos brzmiał dziwnie obco. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. - Rammar, jesteś tu jeszcze?

Balbok nasłuchiwał i przez krótką chwilę zdawało mu się, że słyszy mamrotanie brata. Z ulgą pobiegł w tamtym kierunku. Plecak i godło wziął ze sobą, choć przeszkadzały mu w biegu. Gdyby je odłożył, nie odnalazłby ich w tej gęstej mgle.

- Rammar, czekaj na mnie! - zawołał Balbok. – Przykro mi, że wzięłem za mało prowiantu. Pomogę ci coś upolować, żebyśmy...

Nagle się zapadł.

W zasłaniającej ziemię gęstej mgle zszedł z twardego gruntu i już chwilę później stał po kolana w błocie. Wilgoć natychmiast napłynęła mu do butów, a ponieważ Balbok - jak wszyscy orkowie - uważał spodnie za wynalazek zniewieściałych ludzi, już w następnej chwili poczuł, jak do jego nagich nóg przysysają się pijawki.

- Dobrze się składa - powiedział do siebie, zamieniając kłopot w zysk. - Nassijcie się do woli, wy nędzne robaki, zobaczycie jeszcze, co będziecie z tego miały. Muszę tylko po czekać, aż wgrzyzie się was dosyć, potem zeszkrobię wszystkie i zrobię z was pyszne danie dla mnie i Rammara...

Stał dalej, z uśmiechem ignorując ból, jaki sprawiało mu mnóstwo ssących go pyszczków. Kiedy wpadał do błota, upuścił godło, które leżało teraz bezpieczne na krawędzi jamy. Balbok był tak zachwycony swoim pomysłem z pijawkami, że nie zauważył wcale, jak bagno wciąga go coraz głębiej. Ocknął się dopiero, gdy ciemna woda, której powierzchnia była gładka jak lustro, sięgnęła mu do pasa.

- Co, do?...

Ork rzucił się i spróbował wydostać się z dziury, ale na brzegu nie było nic, czego mógłby się chwycić. Jego łapy nie znajdowały oparcia w wilgotnym trzęsawisku, ratunek obiecywała tylko samotna kępa trawy. Balbok złapał ją mocno i spróbował się podciągnąć. Wciągające go ssanie było jednak zbyt mocne i w jego dłoni pozostał jedynie wyrwany pęk trawy. Zapadł się jeszcze głębiej. Instynktownie zamachał ramionami i poruszył nogami, ale to tylko jeszcze przyspieszyło katastrofę.

- Rammar! - krzyknął w mgłę. - Rammar, pomóż mi! - Lecz tym razem nie usłyszał nawet echa swojego lamentu.

Balbok zrozumiał, że popełnił błąd. Nie zwracał uwagi na piawki, które teraz już tuzinami raczyły się jego krwią. Głównym problemem stało się bagno. Jeśli nie zdoła się wydostać, za chwilę utonie. Woda sięgała mu już do piersi i im więcej jego ciała znikало pod powierzchnią, tym szybciej zdawał się zapaść. Podjął jeszcze jedną rozpaczliwą próbę chwycenia się brzegu, ale znów ześliznął się i zapadł głębiej. Słonawa woda dotarła do jego brody, a po chwili wznosiła się już ku uszom.

Ogarnęła go panika. Zaczął jeszcze gwałtowniej machać rękami, daremnie szukając oparcia dla stóp. Niczego jednak nie było. Błoto pochłonie go bezlitośnie i nigdy nie uwolni.

- Rammar, pomocy! Rammar!

Balbok wołał imię brata bardziej z przyzwyczajenia niż w nadziei, że Rammar naprawdę pośpieszy mu z pomocą. Nawet gdyby usłyszał jego krzyki, nie znalazłby go w gęstej mgle. Balbok zrozumiał, że czeka go marny koniec.

Kiedy woda sięgnęła ust, krzyki orka przeszły w gulgotanie. Rzucił jeszcze jedno rozpaczliwe spojrzenie na brzeg, gdzie leżało godło maga, a potem pochłoneńo go błoto. Szukające oparcia uniesione ramiona były ostatnim, co jeszcze wystawało z błota...

Nagle - Balbok ledwie mógł w to uwierzyć - ktoś chwycił jego prawą łapę i z całej siły ją pociągnął.

Balbok wynurzył się i kiedy zobaczył Rammara, jego ulga nie miała granic. Starszy ork stał na krawędzi jamy i zapierał się piętami na miękkim podłożu, żeby go wyciągnąć.

- Rammar...

- Jestem tutaj. Uratuję cię.

Rammar, zaciskając zęby i używając całej swej siły, uwolnił brata z zimnego uścisku bagna. Chwilę później Balbok leżał na brzegu, dyszący, straszliwie brudny i przemoczony. Ledwie mógł pojąć swe szczęście.

- Rammar - wydyszał. - Nigdy ci tego nie zapomnę...
 - W porządku. - Tamten wyszczerzył żółte zęby, co miało oznaczać uśmiech. - Po co w końcu ma się przyjaciół?
 - Przyjaciół? - Balbok odwzajemnił jego grymas. - Jesteśmy braćmi, Rammar. Możesz mi wierzyć, to dla mnie naprawdę powód do dumy.
 - Oczywiście. - Rammar skinął głową, a przez jego twarz przemknął osobliwy grymas. - Bracia.
 - Wiesz - powiedział Balbok - kiedy przedtem po prostu odszedłeś, pomyślałem, że już cię nigdy nie zobaczę. Byłoby okropnie szkoda, bo ja... ja... - zmieszał się Balbok. Najchętniej objąłby brata i przycisnął do serca, jak to robią ludzie, lecz orkowi taka serdeczność nie przystoi. A mówienie komuś, że się go lubi, uchodzi wśród nich za straszliwą niezręczność.
- Tyra większe więc było zmieszanie Balboka, kiedy Rammar odpowiedział mu rozbrajającym szczerzeniem zębów i słowami:
- Wiem, bracie. Ja też cię lubię...

Rammar w tym czasie nieprzerwanie wędrował dalej.

- Kretyn! Nieudacznik! - rzucał półgłosem. - Mam go powyżej uszu! Czemu muszę być bratem takiego *umbala*? Czemu przyszło mi wyjść z tego samego łona, co on? Mam dość jego debilnego wyglądu i tego, że chodzi za mną krok w krok. Ośmieszam się takim bratem jak on. Nic dziwnego, że wyrzucono nas z *balboug*...

Rammar przerwał swoją tyradę, prychnął wściekle i obejrzał się, by gniewnym spojrzeniem obrzucić brata, którego spodziewał się ujrzyć kilka kroków za sobą. Ale nie znalazł go tam! Wokół nie było nic prócz mlecznobiałej mgły, w której ginęły ślady odcisnięte przez stopy Rammara w błocie.

- B... Balbok?

Rammar stwierdził, że jego własny głos brzmi dość dziwnie i nagle sam uznał, że uszłę drzewa, których kontury majaczyły we mgle, wyglądają naprawdę groźnie. Instynktownie zdjął z pleców *saparak* i chwycił broń obiema rękami.

- Balbok, gdzieś się skrył?

Jeszcze przed chwilą Rammar posłałby brata na drugi koniec świata. Teraz, kiedy Balbok naprawdę zniknął, wyglądało to zupełnie inaczej. Wizja, że zostanie zupełnie sam pośród bagien, wcale nie podobała się Rammarowi. Rozejrzał się, przerażony, aż wpadł na rozwiązanie zagadki i rysy rozjaśnił mu szeroki uśmiech.

- Balbok - powiedział głośno - przestań się przede mną chować. Dobrze wiem, że gdzieś tu jesteś, więc wylaż. Nie napędzisz mi strachu. - Rammar rozejrzał się wyczekująco, ale wokół nic się nie poruszało.

- Chodź już! - zawołał korpulentny ork. - Obiecuję ci też, że nie będę już cię beształ, choć na to zasługujesz!

Znów żadnej odpowiedzi. Rammar poczuł się mimo wszystko nieswojo i ponownie spróbował odpędzić strach gniewem.

- Prawdopodobnie - powiedział do siebie - ten *umbal* wpadł gdzieś po drodze do dziury i marnie utonął. Dobrze mu tak, zasłużył na to swoją głupotą.

Donośnie prychnąwszy przez nozdrza, jak przystało roz-złoszczonemu orkowi, Rammar chciał iść dalej, kiedy usłyszał za sobą cichy trzask. Odwrócił się na pięcie, unosząc *saparak* do ciosu.

- Kto tu?

Nie mógł nic dojrzeć w gęstej mgle, słyszał jednak mlaskanie kroków po błocie. W następnej chwili z szaro-białych smug wy-łoniła się chuda postać.

- Balbok?...

Mimo że Rammar wolałby odgryźć sobie język niż się do tego przyznać, ucieszył się, widząc, jak patykowata postać brata wynurza się z mgły i staje przed nim, z wyrazem skruchy i strachu na twarzy.

- No, jesteś wreszcie. Gdzieś był? - krzyknął ostro Rammar.

- J... ja się schowałem - brzmiała cicha odpowiedź. - Bałem się ciebie.

- I powinieneś, po wszystkim, coś narobił! - Rammar zacisnął łapy w pięści. - Nie zapominaj, że ja ciągle jestem z nas dwóch starszy. Nie wiem, czemu cię do tej pory nie zabiłem, ale jeśli jeszcze raz spróbujesz robić ze mnie idiotę, to nie będę miał żadnych względów. Rozumiesz?

- Tak, Rammar.

- To chodźmy dalej. Nie wiem czemu, ale ta okolica mi się nie podoba. Poszukamy sobie miejsca do spania gdzie indziej. A za karę, za twoje kretyńskie zachowanie, będziesz pierwszy trzymał wartę. Coś ty też sobie myślał, hm?

Rammar znów ruszył przodem, przekonany, że Balbok idzie za nim. Kiedy jednak ponownie nie dostał odpowiedzi, a do jego uszu doszło dziwne mlaskanie i siorbanie, obejrzał się w tył. I zląkł się, jakby stał przed nim Kurul we własnej osobie.

Balbok zniknął.

W jego miejsce pojawiła się teraz postać, która musiała tu przybyć z najgorszych sennych koszmarów - wielka i niebezpieczna, z rozdziawioną bezzębną paszczą i skórą śluzowatą jak błoto.

- *Chgul* - szepnął.

- Czy mogę ci pomóc? - usłyszał troskliwe pytanie Rammara, kucający na ziemi i oskubujący nogi z pijawek Balbok. Pomysł, by ugotować z nich aromatyczną zupę porzucił, bo przeszedł mu apetyt. Mimo to, raz po raz, wsuwał sobie jedno z

nabrzmiących od krwi stworzeń między zęby, by uzupełnić straconą krew.

- Zaraz skończę - odpowiedział, chowając natychmiast głowę w ramiona, w oczekiwaniu pioruna, który teraz na pewno nad nim zagrzmie.

W myślach słyszał już łajanie Rammara, że on - Balbok - jest winny całej ich biedzie i że on - Rammar - nie chce już dłużej czekać, zanim będą mogli wreszcie iść. Jak zawsze, kiedy Rammar się rozzłości, nabrzmięją mu na czole żyły, wydumą się nozdrza i...

Ku bezgranicznemu zaskoczeniu młodszego brata, Rammar powiedział ze zrozumieniem:

- Nie spiesz się. Poczekam.

Balbok zmieszał się, skinął jednak głową i wziął się w garść. Potem ukradkiem przyjrzał się Rammarowi szparkami przymkniętych oczu. Zaświtało mu, że coś tu się nie zgadza. Nawet bardzo się nie zgadza.

Rammar był jego bratem. Razem dorastali i niemal wszystko robili razem. Przez te lata Rammar ani razu nie odezwał się do niego przyjaźnie i ze zrozumieniem.

Balbok przyjrzał mu się badawczo.

- Nie jesteś Rammar, prawda? - zapytał.

- Co?

- Nie jesteś Rammar! - powiedział Balbok, teraz zupełnie pewny, bo od prawdziwego Rammara dostałaby mu się już niezła bura za to „bezsensowne” pytanie.

Rozmówca odpowiedział mu szyderczym śmiechem, a jego wygląd zaczął się nagle zmieniać. Znikło znajome oblicze Rammara - spod niego wyłonił się błotnisto-brunatny, nie przypominający orka pysk. Zresztą, trudno go było porównać z jakimkolwiek stworzeniem: czarne oczy gapiły się z pozbawionej konturów twarzy o stale zmieniających się rysach, jakby wyrzeźbiono ją w mokrej glinie. Niżej ziała wielka paszcza. Kreatura nie miała zębów, ale Balbok nie wątpił, że ta gęba może go połknąć

razem ze skórą i kośćmi. Również postać stworzenia była płynna. Błoto kapało z długich ramion na ziemię, gdzie mieszało się z bagnem, zaś po nogach stale wspinało się nowe, by zlewać się w jedno z resztą ciała.

Choć Balbok nigdy wcześniej nie widział takiej istoty, wiedział, z czym ma do czynienia. Z ghulem!

Ghule, zwane też błotnymi duchami, są niezwykle niebezpieczne i choć to nie duchy we właściwym znaczeniu tego słowa, sieją strach i przerażenie, gdyż posiadają umiejętność zmieniania swej postaci i dowolnego kształtowania wyglądu. W żadnej z dawnych wojen ghule nie opowiedziały się po którejkolwiek ze stron. Mieszkały w głębi moczarów i troszczyły się tylko o siebie. Wędrowiec, który wpadł w ich szpony, był zgubiony...

- Na młot Narkoda! - krzyknął Balbok, i kiedy ramiona przeciwnika zmieniły się w ruchliwe macki, chwycił za topór. Ghul nie czekał dłużej: natarł na Balboka, który uniósł broń, by odeprzeć atak. Daremnie. Jedna macka owinęła się wokół topora i starała się wyrwać go Balbokowi, druga zadała mu bolesny cios, od którego pękła gruba skóra orka.

Balbok pociągnął za topór i w końcu go uwolnił. Kreatura z gniewnym warczeniem zamachnęła się ponownie długimi chwytakami, celując tym razem w szyję Balboka. Ork musiał się uchylić, by zachować głowę na karku. Potem skoczył w przód i udało mu się zadać cios, skierowany w odsłoniętą pierś ghula.

Balbok był pewien, że w ten sposób zakończył walkę, ale w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem znajdowała się pierś ghula, teraz nagle nie było wcale błota. Zamiast tego w ciele stwora pojawił się otwór i topór Balboka uderzył w pustkę!

Ork wrzasnął zaskoczony, zaś ghul zaśmiał się złośliwie. Z obu stron niczym pejczy poleciały chwytaki, Balbok jednak

uniknął ataku, rzuciwszy się na ziemię. Przekreślił się i ciął toporem - tym razem udało mu się odrąbać jedną z macek.

Ghul, kiedy odpadła mu część ciała, wydał bolesny skowyt. Ku radości Balboka macka nie odrosła. Utracona część była widocznie za długa, by błotny stwór mógł ją po prostu zastąpić nową, i ork pojął, że może wygrać, jeśli uda mu się okaleczyć ghula dostatecznie dotkliwie. Błotna kreatura nie krwawiła i zdawała się nie odczuwać bólu, ale nie była niepokonana.

- Zaczekaj tylko! - warknął Balbok, wymachując zabójczym toporem. - Jeszcze ci pokażę, co to znaczy zadrzeć z orkiem. Porąbię cię, kawałek po kawałku, jeśli będzie trzeba. Chodź no tu!

Ghul niestety wziął jego wyzwanie dosłownie i znów zaatakował. Z zapierającą dech szybkością stwór skoczył na Balboka i uderzył kikutem ramienia. Błoto, które szerokim łukiem z niego trysnęło, trafiło orka w oczy. Kiedy szybkimi ruchami ocierał je z twarzy, zdrowa macka natarła na szyję. Zacisnęła się jak pętla kata i Balbokowi w jednej chwili zabrakło powietrza.

Próbował rozpaczliwie rozewrzeć duszący uścisk ghula, a bojowy okrzyk zamarł mu na ustach, zmieniając się w mizerny charkot. Zaciskając jedną łapę na błotnistej macce, drugą machał toporem. Jego ciosy były jednak zbyt niedokładne i pośpieszne, by mogły zagrozić ghulowi. Z każdą mijającą chwilą robił się bardziej wyczerpany.

Balbok daremnie łapał powietrze. Już widział czarne plamy przed oczami i świtało mu, że jego koniec znów jest niebezpiecznie bliski.

Żałował, że w życiu nie dokonał niczego, z czego mógłby być naprawdę dumny. Jako młody ork marzył, by pewnego dnia zostać potężnym wojownikiem. Zamiast tego przejdzie do historii

jako jeden z dwóch *umbal'hai*, zbyt głupich na to, by przynieść do *balboug* skradziony łeb swego dowódcy.

Balbok czuł, że opuszczają go siły. Jeszcze raz machnął bez zapалу toporem, lecz był już zbyt słaby, by utrzymać ciężką broń. Wysunęła mu się z rąk i upadła w błoto, a za nią jej właściciel, niezdolny już dłużej utrzymać się na nogach. Zwiotczały i bezsilny Balbok osunął się na ziemię, świadom, że walka dobiegła końca.

Ghul znów odmienił swą postać. Jego nogi i podbrzusze rozplynęły się w bezkształtną masę, rozlewając się na zwyciężonego wroga. Pozostała tylko górna część tułowia z jedną macką.

Balbok poczuł na skórze żywe błoto i przypomniały mu się pijawki, którym pozwolił ssać swą krew. Wtedy jeszcze sądził, że znajduje się na końcu łańcucha pokarmowego. Jak się okazało, błędnie. Ghul wyssie jego ciało i wnętrzności, a na koniec zostaną same kości.

Balbok ostatni raz zebrał wszystkie pozostałe mu siły, chcąc się bronić, ale ghul oblepił go już w połowie i walka była skończona.

W każdym razie tak się zdawało Balbokowi.

Wówczas z piersi ghula strzeliło ostrze *saparaka*. Bagienna istota natychmiast rozluźniła swój błotny uścisk i kiedy odwracała się, kwicząc wściekle, Balbok zdołał się uwolnić.

Pomacał wokół siebie, wyczuł trzonek topora i natychmiast się zamachnął. Poprowadzony pionowo cios, którym trafił ghula, rozplątał go wzdłuż i nagle rozbrzmiał kwik z dwóch krtani. Ghul rozdzielił się na połowy, które upadając, rozpadły się, plasnęły w bagno i natychmiast się z nim zmieszały.

Balbok zobaczył swego brata. Stał za ghulem, obejmował obiema rękami dzidę i krzywił się w uśmiechu.

- Rammar! - krzyknął z ulgą Balbok. - Jak dobrze znów cię widzieć.

- Mogę sobie wyobrazić - odpowiedział tamten, szczerząc zęby. - Gdybym przyszedł parę chwil później, znalazłbym tylko kilka obgryzionych kości. Ty głupi kretynie! Nie wiesz, że ghule są niebezpieczne?

- Jasne, że wiem - zapewnił Balbok, z trudem dźwigając się na nogi. - Ale ten wyglądał jak ty. Miał twoją twarz i twoje ubranie. Rozumiesz, co mam na myśli?

Rammar poirytowany skinął głową.

- Ja miałem do czynienia z takim, który przyjął TWOJĄ postać. Możesz sobie wyobrazić? Dwóch takich równocześnie! - Pokręcił głową. - Do tej pory nie chciałem uwierzyć, że ghule potrafią upodabniać się do każdego, ale najwyraźniej to prawda. Z tobą wszystko w porządku?

- Tak myślę.

- To czego tak stoisz? Pozbieraj swoje rzeczy, żebyśmy mogli stąd odejść. Nie mam ochoty spotkać kolejnych takich stworów.

Balbok przytaknął i już chciał dźwignąć swój pakunek, kiedy przyszła mu do głowy niepokojąca myśl.

- Rammar? - zapytał.

- Tak?

- Jeśli to prawda, że ghule potrafią przyjmować każdą postać...

- Tak?

- ...to ty możesz być też jednym z nich, prawda? - Balbok uniósł groźnie topór. - Jednemu przecież udało się już mnie oszukać. I ciebie też.

- Co to znowu za głupoty? - wybuchnął Rammar. - Ty nędzny, debilny błaznie! Nie poznajesz własnego brata, *umbalu*? - Żyły na jego czole nabrzmiały, nozdrza się wydeły. - Muszę cię najpierw wałnąć w łeb, żeby ci udowodnić, kim jestem?

- Nie - odpowiedział z uśmiechem Balbok i opuścił topór - nie musisz. Teraz wiem, że jesteś prawdziwym Rammarem.

- Tak? A skąd tak nagle możesz to wiedzieć?

- Bo na mnie krzyczysz. Ten drugi Rammar zachowywał się dość dziwnie. Był dla mnie zbyt przyjazny i miły, a ty zawsze jesteś tylko odpychający i w złym humorze.

- Tak, tak... - Rammar, mile połączony, wyszczerzył żółte zęby. Dla orka trudno o większy komplement niż być przez kogoś nazwanym niemiłym i złym.

Balbok załadował na plecy sakwę i, podniósłszy godło Ruraka oraz oczyściwszy je z błota, był gotów do wymarszu.

- Jeszcze jedno - powiedział, gdy Rammar chciał już iść.

- Co takiego?

- Powiedziałeś, że ghul, którego spotkałeś, wyglądał jak ja...

- Tak, i co z tego?

- Jak poznałeś, że masz do czynienia z fałszywym Balbkiem?

Uśmiech Rammara przypominał wyszczerzone kły wilka.

- A kto mówi, że poznałem? - rozkoszował się odpowiedzią. - Ten typ wyglądał jak ty i choćby dlatego działał mi na nerwy. No to go zabiłem...

Nuda.

To było słowo najtrafniej oddające stan ducha Alannah.

Tkwiała w wiecznym lodzie, uwięziona między dwoma kamiennymi murami. Dni zdawały się nie mieć końca, wypełnione rytuałami, które dawno utraciły swój sens.

Czas...

W tym miejscu na końcu świata nic nie znaczył. Sącył się tak ospale jak krew w ciele Alannah.

Czasem, budząc się, miała uczucie, że jej serce przestało już bić. Wyobrażała sobie wtedy, że jej życie dobiegło końca, że ruszyła w podróż do Wiecznego Brzegu i że po drugiej stronie mgły śmiertelnego świata czekają ją nieprzemijająca radość i rozrywka.

Był tylko jeden problem: Alannah nie umrze za szybko. Jest elfem. I została skazana na wieczną rutynę.

Dzień za dniem.

Rok za rokiem.

Przez dziesięciolecia.

Przez wieki...

Był taki czas, że Alannah uszczęśliwiała przynależność do kasty Shakary i fakt, że wybrano ją do przechowania tajemnicy w przyszłość. Według rachuby czasu śmiertelników było to przed ponad trzystu laty. Lata, podczas których Alannah nie robiła niemal nic innego, jak odprawianie starych rytuałów i przechowywanie wspomnień.

Ale po co?

I dla kogo?

Im więcej Alannah się nad tym zastanawiała, tym trudniej przychodziło jej znaleźć odpowiedź na te pytania.

W początkach swego czasu w świątyni była przekonana, że spełnia ważne zadanie dla dobra ludów *amber*, jak elfy zwały Łąd. Ale już po pierwszych stu latach opadły ją wątpliwości. Czy to, co robi, naprawdę ma sens? Proroctwo, ogłoszone przed wieloma wiekami, nie spełniało się. A Alannah tak bardzo tęskniła za spotkaniem kogoś, w kim wykonałaby się przepowiednia.

Dni mijały jej na wystawaniu przy oknie i wpatrywaniu w wieczny lód, tak jak robiła to właśnie w tym momencie. Teraz jednak już nie wierzyła, że proroctwo kiedykolwiek się wypełni i że Biała Pustynia przywiedzie do niej tego, kto zjednoczy ludy *amber* i wprowadzi je w nową erę.

Nikt tego nie mówił głośno, ale Alannah nie była jedyną, która utraciła wiarę. Dawniej Wysoka Rada Elfów każdego miesiąca wysyłała poselstwo na północ, by dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja. Jednakże w ostatnich dziesięcioleciach odstępy, w jakich przybywali wysłannicy, robiły się coraz dłuższe i stało się jasne, co to znaczy: nawet najstarsi nie liczyli już na to, że przepowiednia jeszcze się spełni. Skierowali spojrzenia na południe - ku morzu, o którym wiedzieli, że za górami i dolinami fal leży Daleki Brzeg. Tam odeszły sens i nadzieja, podczas gdy świat śmiertelników coraz bardziej pogrążał się w chaosie. Lud elfów czuł, że jego czas dobiega końca i każdy z nich szykował się w ostatnią podróż. Liczne statki opuściły już port w Tirgas Dun, ruszając w zamorską podróż, by elfy wróciły tam, gdzie kiedyś wszystko się rozpoczęło.

Również Alannah czuła w głębi serca chęć odejścia z *amber*. Lecz, inaczej niż pozostałe elfy, była skazana na trwanie tutaj i czekanie, aż spełni się fałszywe proroctwo.

Odwróciła się od okna, a do komnaty weszła służka, z głową schyloną w pokornym ukłonie jak każdego z tych nieskończenie wielu dni.

- Pani - powiedziała cicho - już czas. Kapłani cię oczekują.
- Oczywiście. - Alannah westchnęła zrezygnowana. - Arcykapłanka Świątyni Shakary musi być obecna na ceremonii. Jak co dnia.

Służka podniosła głowę i spojrzała na nią zatroskana.

- Czy coś się stało, pani? - zapytała. - Nie czujecie się dobrze?

- To nic - odparła Alannah, blado się uśmiechając. - Czuję się wyśmienicie.

W jej myślach jednak wróciło to okropne słowo, tak celnie opisujące jej stan.

Nuda...

7. *FEUSACHG'HAI*

ANN IODASHU

Szóstego dnia marszu przez bagna Rammar i Balbok dotarli do Północnego Wału. Już rano dało się dojrzeć majaczące za ścianą mgły zarysy majestatycznych gór i wyglądało na to, że orkom pozostało do przejścia zaledwie kilka mil. Jednak nim miękkie bagno ustąpiło miejsca nagiej skale, a mgła się przerzedziła, minął cały dzień. Wśród błota zdarzały się jeszcze wyschłe, łyse drzewa i pojedyncze kępki trawy - tutaj nie rosło już nic. Północny Wał stanowił granicę między południowym a północnym rejonem Łądu. Za nim rozciągała się Biała Pustynia. Były tam już tylko śnieg i lód, choć również po tej stronie gór wyraźnie dało się odczuć chłód.

Lecz nie tylko bliskość lodu przyprawiała orków o drzenie. W milczeniu spoglądali na szarą ścianę skał, wznoszącą się przed nimi niemal pionowo i znikającą w oparach gdzieś wysoko nad ich głowami. Północny Wał nie otrzymał swego imienia przypadkowo.

- Na płomień Kurula! - jęknął Balbok. - Jak mamy się przez to kiedykolwiek przedostać? Jest tu jakaś ścieżka na drugą stronę?

- Na pewno - warknął skwaszony Rammar - ale nie mam pojęcia, gdzie jej szukać i nie widzę szansy na jej znalezienie. Lepiej by było, gdyby zamiast tego przekłętego godła mag dał nam na drogę mapę. Wygląda na to, że nie pozostaje nam nic innego, jak zawrócić.

- Zawrócić? - Balbok spojrział na brata z niedowierzaniem. - Ależ to by znaczyło, że nie dostaniemy głowy Girgasa. A jeśli nie dostaniemy głowy Girgasa, nie będziemy mogli już nigdy pokazać się w *balbou*.

- Gratuluje, widzę, że zrozumiałeś! - Rammar, krzywiąc się, skinął głową.

- Ale... ja tak nie chcę. Chcę wykonać zadanie maga, żeby oddał nam łeb Girgasa i żebyśmy mogli wrócić do domu. A jeśli będzie trzeba wspinać się na tę szorstką skałę... - Balbok spojrział w górę, nim dokończył - to tak zrobię.

- Ty głupowaty tłumoku! - parsknął Rammar. - Nie mam ochoty nadstawiać karku za takie bzdury.

- Co masz na myśli?

- Nie zastanawiałeś się, czemu mag nie pośle swoich gnomów, żeby przyniosły mu mapę?

- To proste - odpowiedział z przekonaniem Balbok. - Bo my, orkowie, jesteśmy lepsi i dzielniejsi. Ot, co.

- Bzdura! Ten typ nas oszukał! Mamy dla niego wyjąć z ognia kasztany, a on siedzi sobie w swojej bezpiecznej twierdzy i czeka, aż wrócimy. Nie ma przy tym nic do stracenia. Jeśli nam się uda, dostanie, czego chce; jeśli powinie nam się noga, jego położenie się nie pogorszy. Jedynymi, którzy mają tu coś do stracenia, jesteśmy my. No bo kto powiedział, że mag dotrzyma słowa, kiedy damy mu mapę Shakary?

- Obiecał - odparł naiwnie Balbok.

- Dobrze wiesz, ile warte są obietnice. Nie wolno ufać obietnicom orków, a co dopiero ludzi albo magów. Odkąd opuściliśmy twierdzę Ruraka, o włos uniknęliśmy śmierci, spadając z osypiska, prawie pożarł nas olbrzymi pająk i mało brakowało, a padlibyśmy ofiarą ghuli.

- Więc?

- Więc jeśli pójdziemy dalej, sami skażemy się na śmierć - oznajmił Rammar. - Do tej pory sprzyjało nam szczęście, ale to nie może trwać wiecznie. Za to, jeśli teraz się uwiniemy, zdążymy dojść do Wschodnich Ziem, nim Graishak wysłe za nami swoich *faihok'bai*.

- Chcesz uciec? - Balbok nie posiadał się ze zdumienia. - Po prostu zwiać jak jakiś tchórz?

- Chcę przeżyć - Rammar ujął to w łagodniejsze słowa - a wschód najlepiej się do tego nadaje. Ludzie prowadzą wewnętrzną wojnę. To znaczy, że przyjmą do swoich armii każdego, kto potrafi trzymać broń i walczyć. Czemu nie mieliby wziąć dwóch orków banitów?

- Nie wiem...

- Nie ma się nad czym zastanawiać. - Rammar wyglądał na zdecydowanego. - Jeśli spróbujemy wspinać się na Północny Wał, z pewnością połamiemy sobie karki. A nawet jeśli będziemy mieli szczęście i przedostaniemy się na drugą stronę, stracimy zbyt dużo czasu. Do pełni Posokowego Księżyca mamy być z powrotem w *balboug*. Sama wspinaczka na Północny Wał zajmie nam dziesięć dni, nie mówiąc o marszu przez Białą Pustynię. Nie zdążymy. Droga przez bagna trwała dłużej niż zakładałem. Zupełnie niemożliwe, żebyśmy zdążyli jeszcze wrócić na czas.

- Ale powinniśmy przynajmniej spróbować...

- Po co? Nawet jeśli zdołamy przedostać się przez góry, po drugiej stronie czekają nas jeszcze barbarzyńcy i Biała Pustynia. Nie wspominając nawet o elfach w Świątyni Shakary.

- To się nie spodoba Graishakowi - stwierdził Balbok.

- Wiesz co? Obchodzi mnie tyle, co *shnorsh*, czy to się spodoba Graishakowi, czy nie. To nie on musi ryzykować życiem. Tylko my. Ale ja już nie mam na to ochoty. Niech Graishak sam odbierze sobie przeklętą czaszkę Girgasa, jeśli to dla niego takie ważne. Ja już się w to nie bawię!

Rammar odwrócił się zdecydowanie i parszcząc ze złości, chciał już odejść, kiedy Balbok odkrył coś, co leżało wśród kamieni, tuż pod jego stopami. Był to odbijający światło zachodzącego słońca mały przedmiot z metalu. Balbok sięgnął po niego zdziwiony i przybliżył do oczu. Zaświtała w nim nowa nadzieja.

- Rammar? - krzyknął za bratem.

- Co jest?

- A gdyby udało nam się znaleźć przełęcz i szybko przejść przez góry?

- To... no cóż, wtedy sprawy wyglądałyby inaczej. Ale takiej możliwości po prostu nie ma.

- Jesteś pewien? - Balbok uniósł przedmiot, który znów zabłysł w świetle zmierzchu.

- Co tam masz? - Rammar wrócił i wyrwał mu tę rzecz z dłoni. Była to mała srebrna miseczka, zdobiona cyzelunkiem. - Na płomień Kurula! - wyrwało się Rammarowi. - Próżny lud krasnoludów ma zwyczaj nosić coś takiego na butach.

- Wygląda, jakby ktoś to właśnie wypolerował - stwierdził Balbok. - Nie mogło tu leżeć długo.

- *Shnorsh!* - Rammar splunął. - To znaczy, że w pobliżu są krasnoludy. Jeszcze nam tylko brakowało tych nędznych nienawistników. Jeden powód więcej, żeby szybko stąd zniknąć!

- Ale może krasnoludy znają przejście przez góry - podrzucił Balbok.

- I co? Chcesz do nich pójść i zapytać o drogę?

- Nie. Ale moglibyśmy pójść za nimi. Może doprowadzą nas do przełęczy.

- Może tak, a może nie! - prychnął Rammar. To rzeczywiście prawda, że krasnoludy znają góry jak własną kieszeń. Z drugiej strony, Rammara nie zachwycała myśl o zawarciu bliższej znajomości z toporem któregoś z nich. - Ja nie zaryzykuję swojej *asar* - fuknął opryskliwie - tylko dlatego, że znów zachciało ci się odgry...

Brat przerwał mu w pół słowa.

- Tam! - krzyknął Balbok, wskazując na północny wschód, gdzie pod sterczącymi groźnie górskimi zboczami zapłonęły nagle pomarańczowo-żółte światła.

- Ogniska...

- To muszą być brodaci - osądził Rammar. - Tylko krasnoludy są tak głupie, żeby rozpałać ogień, widoczny z tak daleka.

- Nie boją się, że zwabią wrogów?

- Pewnie, ale jeszcze bardziej boją się ciemności. - Rammar uśmiechnął się krzywo. - To dziwne... Krasnoludy, choć od tysiący lat ryją w skałach i pod ziemią, i szukają w górach skarbów, nie mogą znieść ciemności. Dlatego w swoich tunelach zawsze noszą z sobą LATARNIE. - Rammar użył słowa „latarnie” z języka ludzi, gdyż w mowie orków nie było na nie określenia.

- LATARNIE? - Balbok patrzył na niego zdumiony i zbity z tropu. - Myślisz, że krasnoludy nie chodzą normalnie do lasu, żeby...

Rammar przerwał mu szorstko.

- *Umbal!* Nie mówię o LATRYNIE, ale o LATARNI. Takim szklanym czymś, ze świeczką w środku.

- Coś takiego istnieje? - Balbok był pod wrażeniem.

Rammar przytaknął.

- Wynalazek dla wszawych *Bog-uchg'hai*, zbyt durnych, żeby utrzymać pochodnię. Powinieneś trochę odświeżyć znajomość

języka ludzi, bracie. Nigdy nie zaszkodzi zrozumieć, co pajął między sobą strzępobrodzi i mlecznonosi*[niezbyt miłe określenia, jakimi orkowie określają krasnoludów i ludzi]. Dobrze, że masz mnie przy sobie, bo mój ludzki jest znakomity.

- I co? - spytał Balbok. - Co teraz zrobimy?

Rammar przez chwilę się zastanawiał. Oczywiście, mogli wszystko rzucić i uciec na wschód. Ale po pierwsze, wszystko, co dotychczas osiągnęli, poszłoby na marne, a po drugie, wizja, by zaciągnąć się do wojska ludzi, nie była zbyt zachęcająca. Choć niechętnie to przyznawał, sporo przemawiało za planem Balboka, by szpiegować krasnoludy. W końcu dzięki ogniskom wiedzieli teraz, gdzie znajduje się obóz wroga. Jeśli poczekają do zapadnięcia zmroku, mogą zbliżyć się do niego, niewiele ryzykując...

- Więc dobrze - zgodził się po dłuższym ociąganiu Rammar. - Zakradniemy się i spróbujemy dowiedzieć, co zamierzają strzępobrodzi. Jeśli chcą przejść przez góry, będziemy się skradać za nimi.

- Więc zrobimy tak, jak proponowałem? - radość Balboka nie miała granic.

- Ani trochę! - warknął Rammar. - Tylko sobie za dużo nie wyobrażaj. Jeśli te krasnoludy pójda w innym kierunku albo zajdzie niebezpieczeństwo, że nas odkryją, twój głupi plan się nie powiedzie i zrobimy to, co powiedziałem. Trafia ci to do czaszki?

- Tak, Rammar.

- W takim razie teraz usiądziemy i poczekamy. Jak tylko zrobi się ciemno, zakradniemy się do brodaczy.

Nie było nic do dodania. Balbok usiadł tam, gdzie akurat stał, zadowolony, że może odłożyć sakwę i ciężkie godło. Burczało mu w brzuchu, ale nie ważył się wspomnieć o tym ani słowem,

bo Rammar natychmiast zarzuciłby mu, że spakował za mało *baish*. W duchu Balbok i tak się dziwił, że brat go nie beszta, choć z pewnością też jest głodny. Ale bał się o to pytać. Stara orcza mądrość powiada, że lepiej nie budzić śpiącego trolla.

Dzięki wysokim szczytom gór, łączących na zachodzie Północny Wał z przedgórzem Gór Czarnych, nie musieli długo czekać na zachód słońca. Ogniecie czerwony zmierzch rozżarzył chmury, a potem wydłużające się cienie złąły się w jedno z zapadającą nocą.

Wyruszyli, kiedy się ściemniło. Ponieważ jednak wzmógł się również chłód, narzucili wełniane peleryny. Dzięki ich brudno-szaremu kolorowi, nie byli widoczni na tle ciemnej skały. Zadała im też ułatwiła im też nadciągająca od bliskich bagien mgła.

Nie mieli problemu z orientacją w terenie. Drogę wskazywały im ogniska, dostrzegalne we mgle jako rozmyte plamy światła. Potem mogli słyszeć również głosy. Przy jednym z ognisk prowadzono rozmowę - nie w mowie krasnoludów, której nie rozumieli ani Balbok, ani Rammar, ale w języku wschodnich ludzi, jako tako znanym jeszcze niemal każdemu orkowi, gdyż w ostatniej wojnie walczyli z nimi ramię w ramię.

Im bardziej orkowie zbliżali się do wrogiego obozu, tym ostrożniej się posuwali. Balbok zostawił bagaż i godło za skałą. Skradali się dalej - najpierw na czworakach, potem, kiedy dotarli do kręgu światła, na brzuchu. Pełzali po zimnej ziemi bezgłośnie jak węże, aż w końcu usłyszeli strzępy rozmowy, prowadzonej przy ognisku.

- ...musicie być ostrożni. Jeśli spiczastousi was złapią, pozabijają. Nie żebym się tym przejmował, ale wtedy zmarnuje się cały ładunek, a na to nie mogę sobie pozwolić.

- Nie martw się - odpowiedział inny, niższy głos, mówiący z krasnoludzim akcentem. - Wiemy, jak ominąć strażę na Północnym

Wale. Towar będzie dostarczony punktualnie, możesz na nas polegać.

- Mam wielką nadzieję, ze względu na ciebie. Barbarzyńcy oczekują dostawy za trzy dni. Ale jak ty i twoi ludzie zamierzacie przejść przez góry w tak krótkim czasie? To dla mnie zagadka.

- Zostaw to nam. Mój lud zna drogi, których istnienia twój nawet nie podejrzewa. Spokojnie dalibyśmy radę w dwa dni...

Byli to: krasnolud i człowiek. Siedzieli przy jednym z ognisk i rozmawiali tak głośno, jakby przysiedli w tawernie przy ciepłym kominku. Skąd mogli wiedzieć, że o dwa rzuty kamieniem od nich przyczaili się dwaj orkowie i słyszą każde słowo?

Prócz nich zebrały się tu same krasnoludy, obszarpane postacie ze zmierzwionymi brodami i w zardzewiałych kolczugach. Postawiły beczki przy ogniskach i odbiły wieka. Kubkami z poobijanej blachy czerpały piwo, by w milczeniu upijać się, patrząc mętnym wzrokiem w płomienie i zapewne wspominać lepsze czasy.

Rozmawiający z mlecznonosym krasnolud wyglądał na dowódcę. Był nieco większy i silniej zbudowany niż pozostali, a poobijany hełm i szramy na brygantynie zdradzały, że ma za sobą już niejedną zaciekłą walkę. Potężny topór, jaki przypasał krasnolud, nie podobał się Rammarowi. Wytarta rękojeść i ostre żeleźce z licznymi szczerbami pozwalały przypuszczać, że skrócił on o głowę już niejednego orka.

Człowiek, z którym rozmawiał krasnolud, był wysoki, miał białą skórę i długie, jasne włosy. Typowy potomek wschodnich krain. Sądząc po stroju, powodziło mu się raczej nieźle. Kupiec, może z któregoś z przygranicznych miast. Było pewne, że on i krasnoludy prowadzą razem jakiś ciemny interes...

Skinieniem głowy Rammar dał znać bratu, żeby się wycofał. Już dosyć usłyszeli na początek. Czołgając się brzuchami po ziemi, odpełzli za skały, gdzie Balbok zostawił bagaż.

- Słyszałeś, o czym ci dwaj rozmawiali? - szepnął bezgłośnie Rammar.

- Tak. - Skinął głową Balbok. - Ale nic nie zrozumiałem.

- To dla ciebie typowe. Przecież jasne, że ci krasnale to przemytnicy.

- Przemyttnicy? Coś takiego istnieje?

- A jakże. Wśród brodaczy jest niejedna banda przemytników.

- Ale ja myślałem, że strzępobrodzi są kowalami, poszukiwaczami skarbów, górnikiemami i...

- Tak było kiedyś. - Rammar uśmiechnął się drwiąco. - Te chciwe karły dawno wygrzebały z ziemi skarby, jakie były do znalezienia, więc górnictwo już im się nie opłaca. A odkąd jest coraz mniej elfów, nie ma już nikogo, kto by przepłacał i kupował broń z ich kuźni. Jeśli ktoś spośród nich chce się utrzymać na powierzchni, musi rozejrzeć się za nowymi źródłami dochodu, a ponieważ krasnoludy zawsze miały głowę do interesów, wymyśliły przemytnictwo.

- Rozumiem. A co szmuglują?

- Czy ja wiem? Pewnie broń, może też fajkowe ziele. W każdym razie elfy nie mogą się o tym dowiedzieć. Najwidoczniej krasnoludy mają to zanieść do barbarzyńskich plemion po drugiej stronie Północnego Wału.

Balbok był zachwycony.

- To nasz kierunek.

- Właśnie. A jeśli ten brodacz nie zmyślał, droga zajmie tylko jeden, dwa dni. - Rammar pokazał w podstępny uśmiechu żółte zęby. - Te niedorostki od zawsze grzebią się w skałach

i ziemi. Prawdopodobnie jedna z ich tajnych sztolni prowadzi na drugą stronę gór.

- Tak myślisz?

- To jedyne wyjaśnienie.

- To czemu i my nie użyjemy po prostu tej sztolni? - zaproponował Balbok, szczerząc naiwnie zęby. - Jeśli pokonamy Północny Wał w dwa dni, możemy jeszcze zdążyć przed pełnią Posokowego Księżyca.

- Żeby tak zrobić, musielibyśmy wiedzieć, gdzie jest wejście do tego tunelu.

- To nietrudne. Po prostu pójdziemy za krasnoludami, poprowadzą nas prostą drogą.

- Idiota. - Rammar wywrócił oczami. - Naprawdę myślisz, że to takie proste? Krasnoludy mają zwyczaj starannie zamykać swoje tajne przejścia. Bez klucza nie da się wejść do środka.

- Zatem musimy przejść przez tunel razem z krasnoludami.

- To najgłupszy pomysł, jaki od dawna od ciebie słyszałem - parsknął Rammar. - Jak to sobie wyobrażasz? Mam skrócić cię o twoje baranie nogi, wypolerować gębę i zawiązać przed twarzą futro trolla, żebyś wyglądał jak krasnolud?

- Mam chyba lepszy pomysł - stwierdził Balbok i skinął na brata, by ten poszedł za nim.

Rammar jeszcze raz wywrócił oczami i zadał sobie pytanie, jaki to pokrętny pomysł wpadł znów do pustej głowy jego brata. Mimo to był trochę ciekaw, dlatego poszedł za Balbokiem.

Jeden z krasnoludów podniósł nagle głos i zaintonował starą pieśń, opowiadającą o pełnych chwały czasach jego ludu. Towarzysze przyłączyli się do niego i po chwili tuziny ochrypłych gardeł śpiewały, aż niosło się echem wśród skał. Rammara i Balboka rozboleły uszy.

Ostrożnie skradali się dalej, aż Balbok wskazał na skraj obozu. Stało tam kilka wolicz zaprzęgów - poza kręgiem blasku ogniska, przez co Rammar wcześniej nie zauważył ich we mgle. Wozy wyładowano beczkami i skrzyniami, zawierającymi przemycany towar. Niektóre z nich były dostatecznie duże, by zmieścić się w nich rośliny ork.

- Zwariowałeś, prawda? - spytał Rammar głosem, w którym pobrzmiwała wątpliwość.

Balbok tylko się uśmiechnął.

Ruszyli następnego dnia o świcie.

Ortmar z Rumowiska, syn Ortwina, był zadowolony. Nie lubił bliskości bagien, a już wprost nienawidził przebywania pod gołym niebem. Wilgotne, stęchłe powietrze, nadciągające od południa i zwieszające się na zboczach Północnego Wału mglistymi oparami, irytowało go, a szare chmury, co do których nigdy nie było wiadomo, kiedy kolejny raz wydadzą z siebie błyskawice i grzmoty, jeszcze mniej przypadły Ortmarowi do gustu. Jakże był zadowolony, znalazłszy się z powrotem pod ziemią, w starej sztolni, prowadzącej pod górami na drugą stronę Północnego Wału.

Imię króla krasnoludów, pod którego panowaniem założono ten tunel jeszcze przed Pierwszą Wojną, dawno popadło w zapomnienie, jednak techniczna finezja, z którą wykuto w skale ów korytarz, pozwalała sądzić, że był on mistrzem w swoim fachu. Sztolnia prowadziła stromo w dół, coraz głębiej pod ziemię, gdzie nie było światła ani cienia i gdzie podobno mieszkały zatruwające stworzenia.

Ortmar pamiętał historie z dreszczykiem, opowiadane krasnoludziom dzieciom, by je przestraszyć: o olbrzymach, smokach oraz innych potworach, mieszkających niegdyś w głębinach ziemi i broniących krasnoludom dostępu do skarbów.

Skarby - to słowo brzmiało w uszach Ortmara gorzko...

W młodości marzył o tym, że pewnego dnia będzie wielkim i opływającym w dostatki kowalem, kującym broń tak samo jak jego ojciec, a wcześniej ojciec jego ojca - krasnoludzi kowale starej daty, sami schodzący w głębiny gór, by wydrzeć im srebro i żelazo, a potem robić z nich wspaniałe miecze czy potężne topory. To marzenie jednak prysło jak bańka mydlana, a po nim jeszcze wiele marzeń, jakie zdarzyło się śnić Ortmarowi. W Anuil, w szkole z tradycjami, którą skończyli już jego ojciec i ojciec jego ojca, wyuczył się kowalskiego rzemiosła. Ale po co?

Ortmar prychnął rozgoryczony. Szedł wzdłuż sztolni, z latarnią w jednej, a toporem w drugiej dłoni. Za plecami słyszał cłapanie wołów i skrzypienie wozów, załadowanych towarami Murila Ganzwara. Kolejna rzecz, która Ortmarowi ani trochę się nie podobała.

Ganzwar był typowym przedstawicielem swojej rasy, zarozumiałym i niegodziwym. Płacił jednak dobrze, a gdy zaproponował Ortmarowi pierwsze zlecenie, ten nie mógł sobie pozwolić na odmowę.

Pamiętał dobrze tę chwilę. Było to krótko po opuszczeniu szkoły w Anuil, i tym, jak ogłoszono, że nie ma możliwości, by wszyscy uczniowie, których nauczono kowalskiego fachu, znaleźli zatrudnienie w kuźni. Daleko na wschodzie ludzie odkryli wielkie zasoby rud, które wydobywają, by sami wykuwać sobie broń. Bezwartościowe podróbki, nie mogące równać się z klingami krasnoludów ani co do jakości, ani ostrości. Ale kogo to interesowało? Miecz to miecz. W tych niespokojnych czasach nikt nie pytał, z jakiej kuźni pochodzi, a jeśli nawet nie był tak ostry i wspaniały jak krasnoludzi, to niska cena zawiązką rekompensowała ten niedostatek. Trzeba było uzbroić całe armie, więc koszt stał się ważniejszy niż jakość broni i szyk, z jakim tnie ona ciało i kości.

Ortmarowi nie pozostało więc nic innego niż złamać rodzinną tradycję i wybrać inny zawód. Nim zawarł znajomość z Murilem Ganzwarem, przez kilka miesięcy zasłużył się jako żołnierz w jednej ze wschodnich armii. Kupiec z przygranicznego miasta Sundaril zaproponował mu jednak pracę. Kilka beczek nektaru elfów, które w niepojęty sposób trafiły do rąk Ganzwara, trzeba było przewieźć przez Góry Ostre na wschód, oczywiście nie budząc podejrzeń elfów. Potrzebujący pieniędzy Ortmar z Rumowiska zgodził się i wykonał zadanie, wykorzystując znajomość tajnych korytarzy oraz sztolni swego ludu. Otrzymał za nie godziwą zapłatę - lepszą niż żołnierz i prawie tak dobrą jak kowal.

Od tamtej pory Ortmar działał jako przemytnik, nie tylko dla Ganzwara, ale dla każdego, kto gotów był za jego usługi zapłacić godziwą cenę. Interesy szły dobrze. W czasach jak te, kiedy każdy myślał tylko o sobie, krwawe walki były na porządku dziennym, a świat zmierzał ku upadkowi, ludzie zdawali się mieć wyjątkowe zapotrzebowanie na przemycane towary - od trunków elfów z południa, przez czarny lotos ze wschodu, po broń, którą mogli masakrować inne ludy i siebie nawzajem. Dawniej elfy z bystrością godną oczu Argusa pilnowały, by nikt nie handlował zakazanymi towarami, ustanowiły cła i kontrolowały granice. Odkąd jednak straciły zainteresowanie światem, pozostałe ludy robiły, co chciały. To sprzyjało interesom Ortmara.

Krasnolud już dawno stracił wszelkie skrupuły. Nie był przecież jedynym potomkiem swego ludu, który zarabiał na życie przemysłem. Gdyby nie robił tego on, robiłby to ktoś inny. To, że ludzie, orkowie, krasnoludy oraz gnomy skoczyli sobie do gardeł i rozbijali sobie nawzajem czaszki, nie było winą Ortmara. On miał tylko dość sprytu, by czerpać z tego zyski. W ubiegłym miesiącu zarobił więcej niż przez cały poprzedni rok. Jeśli tak

dalej pójdzie, już niedługo będzie mógł pożegnać swoje przemytnicze wcielenie i wycofać się z interesów. Zakładając, że nadal będzie czujny i ostrożny...

Nagle coś wyrwało przywódcę przemytniczej karawany z zamyślenia. Zatrzymał się gwałtownie, z toporem w na poły uniesionej prawej ręce, i rozejrzał. Orszak wolicz zaprzęgów momentalnie stanął.

- Co jest, Ortmar? - zapytał Thalin, jego zastępca i zaufany wspólnik (o ile przemytznik w ogóle może takiego mieć).

- Nie wiem. - Ortmar wypluł tabakę, którą właśnie żuł. Nie przejął się tym, że połowa zawisła na jego rudej brodzie. - Przez chwilę zdawało mi się, że coś zwąchałem.

- Co takiego?

- Próchno. Zgniliznę. - Oczy Ortmara zabłyśły. - Poczulem w nosie smród orka.

- Orka? - Samo wspomnienie odwiecznych wrogów wszystkich krasnoludów wystarczyło, by Thalin sięgnął po swój krótki miecz. - Gdzie są?

- Gdybym to wiedział. - Ortmar uniósł latarnię i oświetlił sztolnię. - Nie mogą być tu, w środku, inaczej dawno byśmy ich zauważyli.

- Pewnie się pomyliłeś - przyjrzał mu się Thalin. - Jesteś zmęczony i wyczerpany, Ortmarze, jak my wszyscy. Osłabił cię długi marsz w górę Lodowej Rzeki.

- Może. - Ortmar skinął głową. - Choć przez chwilę byłem zupełnie pewny...

Jeszcze raz podejrzliwie przesunął wzrokiem po wolicz zaprzęgach, załadowanych bronią dla północnego ludu. Potem dał znak, żeby kontynuować marsz. Baty poganiaczy świsnęły, woły zaparły się kopytami na żwirze i ciężkie wozy potoczyły się dalej. Kiedy furmanki z łoskotem przejechały obok niego, Ortmar z Rumowiska zmarszczył kartoflowaty nos, ale tym razem nie wyczuł już nic podejrzanego. Wszystko, co wyłapał jego wrażliwy

węch, to smród wolego nawozu i cierpki odór podziemi.

Kręcąc głową, przywódca przemysłników wysunął się znów na czoło pochodu i przyspieszył. Pokonanie Północnego Wału w dwa dni było trudne, ale z pewnością możliwe, jeśli będą maszerowali dzień i noc. Tu, pod ziemią, nie miało znaczenia, czy na zewnątrz jest jasno, czy ciemno; czy świeci słońce, czy też po niebie wędruje księżyc. Jeśli bez przystanku będą stawiali nogę za nogą, rankiem, trzeciego dnia, dotrą do Białej Pustyni. Do tego czasu nie będzie odpoczynku. Nawykli jednak do marszu - kiedy było trzeba, krótkie nogi niosły ich nawet we śnie.

Drużyna Ortmara liczyła dwudziestu trzech nie mających już nic do stracenia krasnoludów. Byli wśród nich wojownicy, ale również dawni kamieniarze, kowale i budowniczy. Królestwo krasnoludów chyliło się ku upadkowi, ich usługi nie były już potrzebne, a złota i srebra nie zostało w górach tyle, by warto było go szukać. Robili więc to, co radził im zdrowy krasnoludzi rozum: zbijali kapitał na panującym wokół chaosie. O tym, co na temat ich działalności powiedzieliby ich przodkowie z chwalebnych czasów, żaden z przemysłników nie chciał myśleć.

W milczeniu kontynuowali marsz przez tunel, wykuty w górach niezliczone setki lat temu. Wtedy świat był jeszcze młody, a czyny chwalebne. Szli dalej i i poganiali woły. Kiedy zwierzęta okazywały pierwsze oznaki zmęczenia, Ortmar nie pozwalał im na więcej niż krótki odpoczynek i nieco siana. Potem ruszali dalej, nie zważając na porę dnia - wciąż dalej ku głębinom świata.

Krasnoludy, jak zwykle podczas wędrówek przez samotne sztolnie, śpiewały pieśni. Niskie, monotonne głosy opowiadały o dawnych królach i bohaterach. W uszach Ortmara brzmiało to jak gorzkie szyderstwo, ale nie bronił tego swoim towarzyszom. Krasnoludy od dawien dawna miały zwyczaj odganiania śpiewem

trwogi przed ciemnością i głębią. Czasem Ortmar łapał się na tym, że włącza się w tę czy inną zwrotkę, jak w balladzie o Gruthinie Przeklętym, który oślepiony chciwością kopał za głęboko i spotkał orka.

*W najgłębsze głębie groźnych gór
Schodzi Gruthin, Gruthiana syn,
Odważny i łapczywy, bo
Złoto rzuciło urok nań.*

*A gdy tak grzebie, szuka tak,
Skarbów ze srebra, złota też,
Nie widzi, jak cichaczem tam
Potwór okrutny skrada się.*

*Choć orczy topór w górze już,
Gruthin wciąż nie odwraca się.
O końcu bliskim nie wie swym,
Tak złoto oślepiło go.*

*Aż kiedy drgnie potwora broń,
Tak, wtedy Gruthin widzi go,
Och, jak w zwierciadle widzi tak
W diamencie orka szpetną twarz.*

*Broń chwyta Gruthin jeszcze swą,
Lecz działać już nie może nic.
Głowę rozplatał topór mu,
To cały jest Gruthina łup.*

*Z czaszką zmiażdżoną kona i
Miast dawnych bohaterów pień,
Ostatnie, co mu w uszach brzmi,
To orków jest szyderczy śmiech.*

*Z Gruthina smutnych losów ma
Naukę krasnoludzi syn:
„Czujny bądź, gdy wędrować chcesz
Po górach ciemną nocą sam”.*

Tekst ballady sprawił, że Ortmar uważniej rozejrzał się po sztolni. Wysłał też przodem Thalina Zwiadowcę. Kiedy ten wrócił, nie odkrywając nic podejrzanego, przywódca przemytników kazał karawanie iść dalej. Sztolnia odpowiadała wciąż echem markotnych pieśni.

Tak minęła noc, dzień i kolejna noc. Grupa przemytników pokonywała korytarz z wytrwałością właściwą tylko krasnoludom, nie pozwalając sobie na dłuższy odpoczynek ani na sen. Raz po raz Ortmar kazał wyprzegać woły, by pozwolić zwierzętom na zebranie sił. Wozy ciągnęli w tym czasie jego kamraci. Kiedy rankiem trzeciego dnia na końcu sztolni zamigotało wreszcie wyjście, poczuli wielką ulgę.

Ortmar zdławił w zarodku wiwaty, które chciały wnieść krasnoludy. Pierwsza zasada przetrwania przemytników głosi, by nie zwracać na siebie uwagi. Dopóki nie będą wiedzieli, że po drugiej stronie góry teren jest czysty, muszą zachować spokój.

Nie pierwszy raz Ortmar i jego drużyna niechętni byli podróży na północ. Chodziło o barbarzyńców, czyli ludzi daleko bardziej niecywilizowanych niż ci zamieszkujący wschodnie krainy. Wskazana więc była najwyższa ostrożność. Łatwo mogło się zdarzyć, że umowa, jaką dzicy zawarli z Ganzwarem, zostanie po prostu zignorowana. Gdyby do tego doszło, najbezpieczniej byłoby zapłacić frycowe. Spory z barbarzyńcami o sprawy w rodzaju wypłacalności kończyły się najczęściej tak, że komuś rozbijano czaszkę albo łamano kark. Krasnoludy miały zamiar tylko dostarczyć towar i zniknąć błyskawicznie, to wszystko.

Ortmar kazał karawanie podejść na odległość dwudziestu kroków do wyjścia ze sztolni. Było ono zamknięte wielką bramą, od zewnątrz nie dającą się odróżnić od skały. On i Thalín ruszyli rozeznac się w sytuacji, reszta bandy zażywała w tym czasie pierwszego od dwóch dni dłuższego odpoczynku. Dwóch krasnoludów uchyliło lekko wrota sztolni. Uderzyło w nich lodowato zimne powietrze, które uzmysłowiło im dobitnie, że spełnili swój plan. Przebyli Północny Wał - przed nimi rozciągała się Lodowa Kraina.

W cieniu pokrytych śniegiem zboczy pospieszili do zakrętu doliny, na której końcu znajdowało się wyjście ze sztolni. Za szorstkimi skałami zaczynała się oślepiająca biel Lodowej Pustyni, ciągnącej się stąd do końca świata. Niektórzy sądzili, że Biała Pustynia niegdyś była morzem, inni powiadali, że to kąśliwy północny wiatr wypolerował tak gładko ten krajobraz. W każdym razie widok szerokiej, przerywanej tylko pojedynczo sterczącymi igłami lodu równiny, zlewającej się na horyzoncie z bladoszarym niebem, wprost zapierał dech. Krasnoludy nie miały jednak czasu na zachwycanie się krajobrazem. Poniżej odgałęzienia doliny, gdzie Biała Pustynia spotykała się z szarą skałą gór, już ktoś na nich czekał.

Zacumował tam wielki lodowy żaglowiec - pojazd z długim, podobnym do statku kadłubem i dwiema bocznymi podporami, na których zamocowano szerokie płozy. Wielki żagiel rejoy był zrefowany, a nad dziobem i rufą sterczały napawające twogą galiony: głowa i ogon lodowego węża, wyrzeźbione w ciemnym drzewie.

Takimi pojazdami mieli zwyczaj podróżować barbarzyńcy. Z zapierającą dech prędkością mknęli po nieskończonych połączeniach lodu i prowadzili między sobą krwawe bitwy. Ortmar nigdy jeszcze nie był świadkiem walki na pokładzie lodowego statku, ale słyszał, że to prawdziwe piekło na ziemi.

Krasnolud ocenił sytuację jednym spojrzeniem. Większość lodowych barbarzyńców opuściła już statek i zeszła na ląd. Byli to potężnie zbudowani wojownicy, ubrani w wełniane kurtki i peleryny z futra białych niedźwiedzi. Ich uzbrojenie stanowiły ogromne miecze, które mieli zwyczaj prowadzić oboma rękami, a na głowy, z których opadały fale jasnych włosów, założyli rogate hełmy.

Ortmar naliczył ich dwudziestu, co go nieco uspokoiło. Gdyby przekazanie towaru nie przebiegało zgodnie z planem i doszłoby do zbrojnej konfrontacji, siły będą wyrównane. Choć powiadano, że wśród barbarzyńców zdarzają się również berserkowie, których siła zbrojna pięciokrotnie przekracza siłę zwykłego wojownika...

Przemysłnik odsunął na bok te przemyślenia. Skinieniem głowy wskazał Thaliniowi, by sprowadził pozostałe krasnoludy. Sam zszedł ścieżką wyglądającą, jakby w skałe wyrzeźbiły ją wiatr i deszcze, choć w rzeczywistości były to zręczne dłonie krasnoludzkich kamieniarzy.

Mróz był dotkliwy. Już po kilku krokach Ortmar zauważył, że na jego nosie oraz brodzie tworzą się małe soplek lodu, i zastanawiał się, jak ktoś może nazywać tę niegościnną okolicę swoją ojczyzną. Wychudzone, rzeźbione pogodą twarze barbarzyńców pozwalały sądzić, że niewiele jest tu rzeczy zdolnych ucieszyć serce. Żadnych wysokich sal ani kominków, w których wesoło strzelałyby płomienie, żadnego grzanego na ogniu piwa, żadnego fajkowego ziała.

Barbarzyńcy na jego widok dobyli mieczy. Po chwili jeden z nich, o wiele większy i silniejszy od pozostałych, uniósł dłoń w pozdrowieniu.

- Dobrze, ty tutaj - odezwał się w języku wschodnich ludów, choć wyraźnie dało się wyczuć twardy barbarzyński akcent. - My czekać.

- Przykro mi, że to tyle trwało - odpowiedział machinalnie Ortmar. Uprzejmość wobec klientów obowiązywała również

wtedy, gdy chodziło tylko o hordeę dzikich barbarzyńców. - Towar był zamówiony na dziś i oto jesteśmy.

- Gdzie broń? - spytał barbarzyńca. Nic innego zdawało się go nie interesować.

- Już jedzie - odpowiedział krasnolud, wskazując za ramię.

Rzeczywiście, w następnej chwili dało się słyszeć trzeszczenie wóli wozów, staczających się wąską ścieżką.

Gdy wódz barbarzyńców zobaczył beczki i skrzynie na wozach, nieco się uspokoił. On i jego wojownicy czekali w napięciu, aż wozy do nich dotrą. Krasnoludy zaczęły wyładowywać towar. Ortmar znów miał wrażenie, że czuje odpychający odór orków, ale uznał to za złudzenie i postanowił, że po powrocie nieco sobie odpocznie. Barbarzyńscy wojownicy chcieli rozpocząć już załadunek skrzyń na pokład ich lodowego żaglowca, lecz dowódca ich powstrzymał.

- Jeszcze nie! - krzyknął. - Najpierw zobaczyć.

- Chcesz zobaczyć towar? - spytał zdziwiony Ortmar. - Nie ufasz mi?

Barbarzyńca zaśmiał się gromko.

- Ty krasnolud - powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało.

Ortmar postanowił uniknąć konfrontacji i choć nie było to w jego zwyczaju, pozwolił klientowi sprawdzić towar. W mniej odludnych miejscach mogłoby to doprowadzić do nieprzyjemnych komplikacji, jednak na północnych pustkowiach nie trzeba było obawiać się patrolu elfów. Skinął zatem przyzwalająco głową barbarzyńcy, który na ten znak podszedł do jednej z wielkich skrzyń i odbił wieko.

Na widok zawartości wódz zamarł, a jego blada twarz nagle się wydłużyła.

- Coś nie w porządku? - spytał Ortmar, który nagle przestał czuć się dobrze w swojej krasnoludziej skórze.

Barbarzyńca z północy nie odpowiadał, za to sięgnął do skrzyni i skrzywił twarz w uśmiechu od ucha do ucha, wyjmując

z niej wielki dwuręczny miecz, którego klinga błyszczała w mdłym świetle porannego słońca. Ortmar musiał przyznać, że kowale ze wschodu sporo się nauczyli - nawet jeśli ich miecze nie równają się z tymi wykuwanymi na krasnoludzych kowadłach.

Barbarzyńcy wydawali rozradowane „ochy” i „achy”, ich wodźca zaś ciął mieczem powietrze, aż zaświstało. Jego żądne mordy, błyszczące oczy obudziły czujność Ortmara. Barbarzyńca najwidoczniej chciał zaraz wypróbować nową broń. Ortmar cofnął się o krok i wódz, ulegając nagłemu impulsowi, zadźgał po prostu tego ze swych własnych ludzi, który stał najbliżej. Błyszcząca klinga wbiła się w pierś wojownika z takim impetem, że ostrze wyszło plecami, połyskując krwią. Barbarzyński wojownik popatrzył na swego wodza z mieszaniną zmięszania i uległości, a potem padł bez życia.

- I? - spytał nieporuszony Ortmar. - Jesteś zadowolony?

- Dobre - powiedział wódz, patrząc na zalaną krwią klingę.

Potem przykazał swoim ludziom, by wnieśli skrzynie na pokład.

Krasnoludy, choć zmęczone długim marszem, pomogły im w załadunku. Żaden z nich nie przebywał chętnie po północnej stronie gór i każdy tylko marzył, by jak najszybciej wrócić w bezpieczną ciemność sztolni. Wozy zostały szybko opróżnione, a skrzynie ustawione na górnym pokładzie lodowego żaglowca. Zapłata następowała gdzie indziej. Ortmar i jego ludzie mieli swoją część dostać później od Murila Ganzwara.

- To wszystko - powiedział na pożegnanie krasnolud. - Robić z wami interesy to dla mnie przyjemność.

- Przyjemność - powtórzył jak echo wódz. Zaśmiał się gromko, a jego ludzie zawtórowali mu szorstkim rechotem. Potem poluzowali liny, weszli na pokład i wciągnęli trap. Rozwinęli żagiel, po czym zaczęli odpychać się od skały drewnianymi

pałkami. Pozszywane zwierzęce skóry natychmiast wydeły się od wiatru i lodowy żaglowiec ruszył gwałtownie. Pomknął w dal, z chrzęstem tnąc fale lodu i śniegu.

Podczas gdy jego drużyna szykowała się już do odwrotu, Ortmar patrzył za barbarzyńcami. Wyraz jego twarzy był przy tym tak zamyślony, że zaniepokoiło to Thalina.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał. - Coś nie w porządku?
- Nie wiem - mruknął Ortmar. - To tylko przeczucie, ale zdaje mi się, że ostatni raz robiliśmy interesy z tymi barbarzyńcami...

8. *DARR AOCHG'HAI*

Około południa Balbok nie wytrzymał. Jako ork był z natury niezbyt wymagający, ale dwa dni i dwie noce leżenia w zamkniętej drewnianej skrzyni, gdzie przez szczeliny dociera zaledwie tyle powietrza, by się nie udusić, to zbyt dużo nawet dla niego.

Nocą razem z Rammarem zakradli się we mgle do obozowiska krasnoludów. Brodaczycze czuli się pewnie i nie wystawili straży, więc orkowie bez trudu zdołali otworzyć i opróżnić dwa pojemniki na wozach. Jak podejrzewał Rammar, była to broń: miecze, dzidy i topory dla barbarzyńców, rozwalających sobie nawzajem łby na północy. Gdy krasnoludy przy ogniskach litrami żłopały piwo i na całe gardło ryczały swoje okropne piosenki, orkowie wyjęli i ukryli całą zawartość z jednej beczki i jednej skrzyni. Mimo niezręczności Balboka udało im się nie narobić przy tym hałasu. Potem Rammar wcisnął się do beczki, a jego

brat razem z godłem i sakwą wpełzł do skrzyni. I tam kulił się teraz od wielu godzin, nie mogąc się poruszyć.

Chłód w głębi góry i nierówny śpiew krasnoludów dały się jeszcze jakoś wytrzymać. Ale w końcu plecy bolały Balboka tak mocno, że czuł, jakby miał się rozsypać, nie mówiąc już o głodzie. Jeśli zacznie burczeć mu w brzuchu, krasnoludy to usłyszą.

Pijawki na bagnach były ostatnim, co miał w ustach. Kiedy tylko przymknął powieki, stawały mu przed oczami wielkie jak wyspy kęsy mięsa, pływające w morzu posokowego piwa. Na dodatek jego nozdrza nieustannie wypełniała aromatyczna woń bruchowstrąsu. To męczyło go jeszcze bardziej i niemal pozabawiło zdrowego rozsądku.

Balbok wytrzymał dwa dni, które karawana przemytników potrzebowała na przebycie sztolni, prowadzącej na drugą stronę góry. Również rankiem trzeciego dnia, kiedy krasnoludy przekazywały swój towar, dał jeszcze radę. Jednak około południa po prostu musiał wyjść ze skrzyni. Chciał znów móc się poruszyć i musiał czymś wypełnić żołądek, choćby było to zaledwie kilku na wpół zamrożonych barbarzyńców.

W napływie pierwotnej, rozpaczliwej siły zaparł się o pokrywę skrzyni. Drewno pękło z głośnym trzaskiem, drzazgi poleciały na wszystkie strony i Balbok wyskoczył z kryjówki niczym derwisz - z toporem w dłoni oraz wyszczerzonymi zębami - jednak nie tak zwinnie, jak zamierzał.

Nogi, zeszywniałe i pozbawione krwi od długiego unieruchomienia w zgiętej pozycji, nie utrzymały go. Miotając przekleństwa, Balbok przewrócił się, zaś wokół niego rozległ się krzyk przerażenia. Ork rozpaczliwie próbował się podnieść i kiedy mu się to wreszcie udało, zobaczył naprzeciw siebie bandę ludzi.

Balboka owiał zimny wiatr. Znajdował się na górnym pokładzie lodowego żaglowca, gdzie złożono skrzynie.

Wielki żagiel nad głową nadymał się od wiatru i pchał pojazd z zapierającą dech szybkością przez zaśnieżoną równinę.

- Co jest? - krzyknął Balbok do wojowników, nie bacząc na fakt, że nie rozumieją jego mowy. - Nigdy jeszcze nie widzieliście orka?

Barbarzyńcy gapili się na niego kompletnie zdezorientowani. W swoich prostackich pelerynach z futer białych niedźwiedzi i w rogatych hełmach wyglądali jak niewyrosłe trolle - zdaniem Balboka śmiesznie. Walczył już z gnomami i z ludźmi ze wschodu, nigdy jednak z barbarzyńcami z północy. Ale to nie stanowiło raczej żadnej różnicy. Byli ludźmi i, pomijając fakt, że ludzie mają czerwoną krew, zdaniem Balboka przypominali gnomy: byli równie kiepskimi żołnierzami...

- Na co czekacie? - wrzasnął i obnażył zęby jak drapieżne zwierzę, sztywno gramoląc się ze skrzyni. - No, dalej! Mój topór już nie może się doczekać, kiedy posieka was na kawałki, żebyście zmieścili mi się do gęby!

Nie musiał długo prosić, chwilę później rzucił się na niego pierwszy barbarzyńca. Chudy olbrzym zamierzył się na Balboka, wymachując dwuręcznym mieczem.

Dla orków wszyscy ludzie ze swoją gładką, mlecznobiałą cerą, wąskimi nosami i szarawymi oczami są brzydcy. Ten egzemplarz był jednak wyjątkowo szpetny. Na dodatek, gdy rozdziawił usta w głośnym krzyku, Balbok mógł zobaczyć małe, tępe ząbki.

- Cicho! - Ork skoczył na niego i zamachnął toporem.

Cios dosięgnął przeciwnika, jeszcze nim ten na dobre zaczął walczyć, i odciął mu ramiona. Barbarzyńca zaczął krzyczeć jeszcze głośniej, ale wodospad czerwonej krwi, jaki z kikutów rąk chlusał na deski, nauczył jego kompanów nieco respektu.

Jednak nie na długo.

Wkrótce przełamali szok. Tym razem na Balboka ruszyło równocześnie trzech wojowników, czwarty zaś wspinał się na stos skrzyń i beczek, by zaatakować z góry.

Topór orka trafiał na ostrza mieczy barbarzyńców z metalicznym brzękiem. Balbok odrzucił środkowego napastnika silnym kopnięciem. O włos tylko uniknął pchnięcia mieczem. Kiedy spadł na niego potężny bojowy młot, na mgnienie oka zdawało się, że mrok zasłonił słońce. Uderzenie wymierzone było w czaszkę Balboka i gdyby ork w ostatnim momencie nie uniósł topora i nie zablokował większości impetu trzonkiem, jego mózg zostałby zmiażdżony na miazgę. Na szczęście dopadł go tylko ułamek siły uderzenia, starczyło jej jednak, by porządnie zgnieść jego hełm i sprawić, że zobaczył gwiazdy.

Oszołomiony Balbok zatoczył się do tyłu i nie był w stanie bronić się inaczej, niż wymachując ślepo toporem wokół siebie, co trzymało napastników na dystans. Więcej: udało mu się zaliczyć trafienie, gdy jeden z wojowników wpadł wprost na żeleźce topora i runął z rozprutym ciałem. Inny wykorzystał jednak oszołomienie Balboka i skoczył na niego niczym dzikie zwierzę.

Upadając plecami na deski, ork widział nad sobą szpetną twarz człowieka. Stalowo-błękitne oczy barbarzyńcy pałały żądzą mordy, a jasne włosy powiewały wokół głowy niczym płomienie. Chciał właśnie z okrzykiem triumfu zanurzyć miecz w ciele Balboka, kiedy ten dostrzegł odcinającą się na tle szarego nieba sylwetkę. Był to czwarty barbarzyńca, który wspiał się na skrzynie i w tym momencie skoczył z opuszczonym w śmiertelnym ciosie ostrzem.

Zadziałał instynkt orka. Wijący się jak wąż Balbok nie mógł wprawdzie ująć mieczowi stojącego nad nim wojownika, ale zmusił go, by obrócił się wprost na miecz skaczącego w dół kompana.

Barbarzyńca nadział się na ostrze, które, wbite między łopatkami, wyszło przez klatkę piersiową. Balbok krzyknął rozwścieczony, kiedy wylał się na niego strumień ohydnie czerwonej krwi. Drugi człowiek patrzył przerażony na mord, jakiego niechcący dokonał. Ten wyraz nie zniknął z twarzy barbarzyńcy, nawet gdy jego głowa oddzieliła się od ramion i poleciała za burtę.

Balbok zdołał jakoś wyczołgać się spod umierającego i skoczyć na nogi. Natychmiast uderzył toporem. Buchnął dymem z nozdrzy i, idąc tyłem, wycofał się na przedni pokład. Nacierają na niego coraz więcej barbarzyńców, niezważających na straszliwy los, jaki spotkał ich towarzyszy. Balbok stwierdził ze strachem, że ludzie są w walce lepsi niż sądził, i kiedy ponownie zaatakowali, nie widział innej możliwości, jak zawołać brata.

- Rammar! Pomóż!

Z lewej strony rzucił się na niego wojownik barbarzyńców. Balbok sparował uderzenie i odepchnął go silnym kopnięciem, odwracając się natychmiast, by zablokować wściekłe pchnięcie innego napastnika atakującego z drugiej strony. Topór orka i miecz barbarzyńcy spotkały się, strzelając iskrami, a kiedy Balbok walczył z wojownikiem, dołączył do nich kolejny człowiek północy i uderzył z zaciekłością.

- Rammar! Potrzebuję cię!...

Balbok odpierał natarcie, prowadząc topór obiema dłońmi. Przez chwilę utrzymał pozycję, zaraz jednak natarło jeszcze więcej wojowników i choć Balbokowi udało się zepchnąć w ciemną czeluść Kurula kolejnych barbarzyńców, powoli robiło się ich zbyt wielu. Poganiany dwuręcznymi mieczami ork musiał cofnąć się jeszcze bardziej. Uderzył plecami w dziobówkę lodowego żaglowca i nie był w stanie cofać się dalej. Stał przyparty plecami do ściany. Rozpoczęła się zawzięta wymiana ciosów i pchnięć,

których ofiarą Balbok nie padł tylko dzięki temu, że jego zataczający szerokie półkola topór trzymał przeciwników na dystans.

Trysnęło jeszcze więcej krwi, która zalała deski pokładu. W bok poleciał miecz z dłońmi właściciela nadal zaciśniętymi na rękojeści. Jednak tylko kwestią czasu było, kiedy któremuś z ludzi uda się przełamać opór Balboka i sięgnąć mieczem celu...

- Rammar!

W krzyku Balboka pierwszy raz zabrzmiało zwątpienie. Nigdy wcześniej nie spotkał ludzi, którzy walczyliby tak wytrwale i zaciekle. Nagle, ku nieopisanej uldze Balboka, szcęk broni na pokładzie zagłuszyły wściekle orcze przekleństwa.

- Na dzikie płomienie Morkara! - grzmiało. – Do wszystkich wyschłych łbów w mrocznej jamie Kurula! Zawsze musisz narobić kłopotu? Nie możesz raz trzymać łap przy sobie?

Rammar wyłaził ze swojej beczki za plecami żądnej krwi bandy, z twarzą wykrzywioną wściekłością. Kiedy barbarzyńcy pojęli, że na pokładzie ich statku znajduje się jeszcze jeden ork, wrzasnęli gniewnie. Kilku wojowników zwróciło się w jego stronę, inni zabrali się za otwieranie kolejnych skrzyń, by sprawdzić, czy nie ukrywa się w nich jeszcze więcej pasażerów na gapę. Rammar wykorzystał zamieszanie, by, miotając najgorsze przekleństwa, wygramolić się z beczki. Zamachnął się przy tym *saparakiem* i usunął z drogi pierwszego przeciwnika.

Barbarzyńca upadł z gulgotem, w jego piersi tkwiło ostrze dzidy. Rammar skoczył i wyrwał ją z krwawiącego ciała - akurat w porę, by odeprzeć atak następnego wojownika. Przez chwilę dwaj walczący patrzyli sobie w oczy nad skrzyżowaną bronią, po czym Rammar rozdziawił usta i zniecka ugryzł.

Barbarzyńca zawył przerażony. Tam, gdzie przed chwilą był nos, ziała teraz krwawa dziura. Rammar powalił człowieka na ziemię gwałtownym uderzeniem głowy. Kolejny wojownik biegł wprost na jego *saparak*. Z krzykiem nadział się na zadziór, Rammar podniósł go i strącił za burtę.

- To znowu dla ciebie typowe - beształ walczącego na dziobie brata. - Popatrz tylko, jakiego bałaganu narobiłeś!

- P... przykro mi - kolejny raz zapewnił Balbok, uchylając się przed ciosami dwóch napastników.

- Czemu cię odkryli? Jak się zdradziłeś, ty czarna owco?

- Nikt mnie nie odkrył - bronił się Balbok. Powalił toporem jednego z barbarzyńców, drugi dostał w twarz cios łokciem. Wypluł zęby, koziołkując przez dziób i znikając po drugiej stronie nadburcia.

- Co ty nie powiesz? To jak wyjaśnisz ten cały chaos?

- Sam wyszedłem ze skrzyni - oznajmił Balbok.

- Sam? - Zaskoczenie Rammara niemal kosztowało go życie, bo zapomniał zablokować pchnięcie mieczem. Na szczęście cios był poprowadzony trochę za słabo i odbił się od jego zbroi, za to barbarzyńca zawarł bliską znajomość z jego *saparakiem*. - SAM wylazłeś ze skrzyni? Masz dobrze w głowie?

- Bolały mnie plecy - usprawiedliwił się Balbok, równocześnie niosąc toporem koniec kolejnemu przeciwnikowi. - I byłem głodny.

- Głodny? - powtórzył jak echo Rammar. Miecz barbarzyńcy świsnął tuż koło niego i roztrzaskał drewno jednej z rozrzuconych po pokładzie skrzyń. - To czemu zaraz rozpętujesz wojnę? Ty głupia kupo mięśni! Kiedy w końcu nauczysz się używać rozumu?

- Kiedy przestanie mi burczeć w brzuchu - odpowiedział Balbok. Kręcąc się wokół własnej osi, położył kolejnego przeciwnika i wyrzucił go za burtę.

- Zawsze myślisz tylko o swoim żołądku - narzekał Rammar, a gniew, jaki odczuwał wobec brata, dał mu siłę, by jednym ciosem położyć dwóch barbarzyńców. Upadli zalani krwią, a ork, ciężko dysząc, rozglądał się za kolejnym przeciwnikiem. Ku jego zaskoczeniu nie było już żadnego. Martwi albo ciężko ranni barbarzyńscy wojownicy leżeli rozrzućeni po pokładzie lodowego żaglowca. Żaden z nich nie trzymał się już na nogach.

- Weź przykład ze mnie - Rammar kontynuował swoją dydaktyczną pogadankę, nie wspominając ani słowem o ich zwycięstwie czy urządzanej jatce. - Czy choć jeden jedyny raz poskarżyłem się, że jestem głodny?

- No, ja...

- Tak czy nie? - spytał Rammar, patrząc surowo na brata.

- Nie - powiedział Balbok.

Kiedy Rammar jest w takim humorze, rozsądniej mu się nie sprzeciwiać, bo kiedy raz posmakował krwi...

Przerażliwy ryk wyrwał chudzielca z zamyślenia. Zadrżał na całym ciele.

W pierwszej chwili myślał, że to Rammar, ale i brat rozglądał się zbity z tropu. Znow coś (albo ktoś?) zaryczało. Dźwięk dobiegał od rufy, gdzie znajdował się ster lodowego żaglowca. Tam, za ogromnym rumplem, skrył się ostatni barbarzyński wojownik, daleko przewyższający pozostałych wielkością i siłą. Bez wątplenia był to dowódca bandy i kapitan żaglowca, a po nalanych rysach twarzy i oczach, w których widać było tylko białka, Rammar i Balbok poznali, że nie jest to zwyczajny barbarzyński wojownik, ale berserk.

W szale bitewnym berserk przerasta nawet górskiego trolla i jest w stanie wpaść w taką wściekłość, że budzi przerażenie również wśród orków. Wyglądem zewnętrznym berserkowie nie różnią się od zwykłych ludzi. Póki nie ocknie się drzemiąca w nich bestia.

Przyglądanie się, jak orkowie wycinają jego ludzi, obudziło w barbarzyńcy właśnie taką bestię. Zapragnął krwawej zemsty.

Uzbrojony od razu w dwa miecze berserk zaatakował przez górny pokład z przenikliwym bojowym wrzaskiem na ustach. W szale niszczenia wpakował oba ostrza w stojącą mu na drodze beczkę, w której wcześniej ukrył się Rammar. Na orków posypał się deszcz drzazg i szczap drewna. A wraz z nimi kilka kawałków suszonego mięsa, leżących na beczce.

- A c... co TO jest? - spytał zdziwiony Balbok, wlepiając wzrok w okruchy.

- Nic - burknął niechętnie Rammar.

- Mięso! - krzyknął Balbok. - Mięso ze spiżarni Ruraka, poznaję po zapachu. A więc ty miałeś jeszcze jedzenie! Przez cały czas!

Nim Rammar zdążył cokolwiek odpowiedzieć, berserk wpadł między nich jak błyskawica i przerwał dyskusję. Dwa miecze spadły równocześnie, więc, by pozostać przy życiu, orkowie musieli użyć całej swej zręczności. Nie potrafili sparować zadawanych ze zbyt wielką gwałtownością ciosów berserka. Jedyną ich szansą było nie być akurat tam, gdzie ostrza.

Jeden z mieczy wyciął w dziobówce głęboką szczerbę. Balbok błyskawicznie uskoczył. Berserk wrzasnął gniewnie, obrócił się i gdy ork wciąż myślał o tym, że oszukał go własny brat, natychmiast przystąpił do nowego ataku.

- Przez cały czas miałeś jedzenie! - krzyknął z wyrzutem Balbok. - A mnie pozwoliłeś wierzyć, że wziąłem za mało *baish*!

- Bo wziąłem za mało! - odpowiedział Rammar, a berserk wpatrywał się w nich przekrwionymi oczami, zaciskając oba miecze w pięściach. - Ale mądry ork się zabezpiecza. Poza tym dałbym ci trochę, gdybyś nie siedział w swojej skrzyni.

- Naprawdę?
- Oczywiście. - Rammar posłał bratu niewinny uśmiech. -

Sądzisz, że mógłbym cię okłamać?

Balbok miał szczęście, że nie musiał odpowiadać na to pytanie, bo w tej samej chwili berserk ponownie zaatakował. Jego miecze zawirowały w lodowatym powietrzu, by posiekać na drobne kawałeczki wszystko, co znalazło się na ich drodze.

Orkowie tylko z trudem uniknęli ataku: Balbok, wskoczywszy na dziobówkę, Rammar, rzuciwszy się na pokład. Ostrza chybiły minimalnie.

- Rammar? - rzucił bez tchu Balbok.
- Co? - krzyknął brat.
- Nie kłóćmy się już o to, zgoda?
- Zgoda - odpowiedział Rammar i zaraz musiał przetoczyć

się na bok, bo miecze poleciały na niego.

Oba ostrza wbiły się w deski, jedno z nich utkwiło tak głęboko, że berserk już go nie wyrwał. Wysiłki w tym kierunku kosztowały barbarzyńcę lewą rękę. Balbok przyskoczył i z całej siły ciał toporem.

Berserk zawył, choć bardziej ze złości niż z bólu. Nie zwracał uwagi na odciętą rękę ani na wbite ostrze. Wymachując drugim mieczem, poganiał Rammara, który leżąc na plecach, pełził po pokładzie w kierunku dziobu. W ten sposób sam pakował się w pułapkę - spomiędzy schodzących się spiczasto ścian dziobówki nie było już ucieczki. Wepchnięty w dziób statku ork był pewien rychłego końca, który człapał ku niemu w osobie białoskórego olbrzyma, zdającego się tryskać mocą i gniewem.

- Chodź tu, bękarcie! - wyzywał go Rammar. - Zrób to, jeśli nie możesz się powstrzymać. Ale jeśli myślisz, że ork będzie błagał o łaskę, to się grubo mylisz!

Berserk zaśmiał się tylko donośnie i zamachnął mieczem. Jego cios bez trudu rozplątałby Rammara na dwie połowy.

- N... no dobrze - krzyknął nagle Rammar i rzucił się na kolana. - Wygrałeś! Oszczędź moje niegodne życie, potężny wojownika. Nie chciałbym skończyć jak...

Reszta słów Rammara utonęła w gniewnym ryku berserka, gdyż Balbok skoczył na niego od tyłu i trzonkiem topora próbował wydusić z niego powietrze. Wytrącony z równowagi olbrzym zatoczył się w tył, waląc przy tym na oślep wokół siebie. Nie mógł jednak dosięgnąć orka na swoich plecach.

Rammar podskoczył i zagrzewał brata.

- Dobrze, Balbok! Załatw tego gnojka!

Rycząc nieustannie, berserk zataczał się po pokładzie żaglowca, uderzał w reling i wyładowane bronią skrzynie, łamiące się pod jego ciężarem. Wciąż się go trzymając, ork dusił mu gardło, co jednak, ze względu na silną muskulaturę pleców i szyi barbarzyńcy, było trudne.

W końcu berserk wpadł na pomysł, żeby po prostu rzucić się plecami na pokład rufowy i zmiażdżyć uciążliwego przeciwnika swoim ciężarem.

- Balbok, uważaj! - krzyknął jeszcze Rammar.

Za późno.

Potwór pogrzebał pod sobą orka. Ten wydał jeszcze jedno kwiknięcie, potem nie było już go słychać ani widać.

Mniej z powodu troski, że Balbokowi może stać się coś złego, a dużo bardziej z obawy, że miałby kontynuować tę niebezpieczną podróż w pojedynkę, Rammara ogarnęło szaleństwo. Z wyrazem twarzy różniącym się tylko nieznacznie od berserka, i wydając dzikie okrzyki, zatrwając nawet jego samego, wpadł na górny pokład z *saparakiem* w uniesionej dłoni. Wziął kilka kroków rozbiegu i cisnął broń. Dzida jak strzała pomknęła ku rufie i trafiła potwora akurat w momencie, gdy ten chciał się podnieść.

Broń wbiła się w jego szyję i zdławiła wrzask potopem krwi. Trzymany przy życiu już tylko gniewem, zdołał się jeszcze

dźwignąć i zrobić kilka chwiejnych kroków w kierunku Rammara. Potem runął w przód na skrzynię, którą zgruchotał swoim ciężarem, a ułożone w niej dzidy przebiły jego pierś i dokończyły dzieła.

Rammar nie rzucił nawet okiem na zabitego przeciwnika. Troszczył się tylko o brata, leżącego bez ruchu na deskach.

- Balbok!

Pulchny ork jak piłka skoczył przez pokład i pochylił się nad nieprzytomnym.

- Co z tobą? Dobrze się czujesz?

Balbok się nie poruszał. Leżał z zamkniętymi oczami i wywieszonym językiem. W tym momencie ani trochę nie przypominał żywego orka.

- Balbok! No, bracie, nie rób mi tego! Nie możesz mnie opuścić, słyszysz? Bez ciebie jestem zgubiony. Jeśli tylko spróbujesz jeszcze trochę pożyć, obiecuję, że nie będę już na ciebie krzyczał.

- To prawda? - spytał nagle Balbok, nie poruszając się jednak i nie otwierając oczu.

- Ty... ty żyjesz! - Rammar odetchnął z ulgą.

- Chcę wiedzieć, czy to prawda!

- O co ci chodzi?

- Że beze mnie jesteś zgubiony. I że przestaniesz stałe na mnie krzyczeć.

- Kto tak powiedział?

- Ty. - Teraz Balbok otworzył oczy i patrzył wyzywająco na brata. - Przed chwilą.

- Nonsens. Źle usłyszałeś. Takiego *shnorsh* nigdy bym nie powiedział.

- Ale myślałem...

- Ty głupi durniu! Nie masz myśleć, tylko robić, co ci mówię! A ja ci mówię, żebyś wreszcie ruszył swój leniwy *asar* i wstał. Kiedy ty się tu spokojnie wylegujesz, całkiem sam załatwiłem berserka!

Balbok usiadł. Dostrzegł przeszytego dzidami barbarzyńcę wśród odłamków skrzyni i szczerze się zdziwił.

- Coś takiego - powiedział. - A mnie się zdawało, że słyszę, jak błagasz o łaskę...

- Ja i błaganie o łaskę? Ha! Może powinienem przy okazji natrzeć ci *kluas'hai*. Coś mi się zdaje, że niezbyt dobrze nimi słyszysz. Jeśli jeszcze raz ośmielisz się twierdzić, że błagałem wroga o łaskę, to ja ci...

- Rammar!

- Co znowu?

- Tam!

Balbok, błądy jak śnieg z przerażenia, wskazał ku dziobowi. Rammar krzyknął przeraźliwie, kiedy zobaczył zbliżającą się ku nim w zawrotnym tempie szorstką lodową igłę.

Orkowie nagle uświadomili sobie, że żaglowiec wciąż pędzi niekierowany, odkąd kapitan porzucił ster, ale niezmiennie z wielką prędkością. W wirze walki Balbok i Rammar nie słyszeli ani gwizdu wiatru, ani skrzypienia konstrukcji statku, a przecież liny trzeszczały i żagiel aż groził pęknięciem. Prosto jak po sznurku żaglowiec pędził na jeden z ogromnych lodowych stalagmitów, sterczących pojedynczo na szerokiej przestrzeni Lodowej Pustyni wysoko niczym klify. Za moment pojazd z pełną prędkością uderzy w niego i się roztrzaska.

Orkowie spojrzeli po sobie przerażeni.

- Ster! - krzyknął ochryple Balbok.

Obaj obrócili się i skoczyli do rumpla. Zapanował kłótlivy harmider, bo Balbok chciał skrócić na sterburtę, a Rammar na bakburtę. Ta chwila prawie kosztowała ich życie, bo gdy oni walczyli o drążek, żaglowiec utrzymywał się na niebezpiecznym kursie wprost na przeszkodę. Wreszcie zgodzili się na jeden kierunek. Wspólnie zaparli się o rumpel i płoza sterowa, sunąca pod rufą po śniegu, obróciła się.

Pchany własnym ciężarem, lodowy statek zareagował ociężałe. Bale i deski zaskrzypiały jeszcze głośniejsze, a maszt zatrzeszczał, jakby miał się złamać. Żaglowiec przechylił się, płoza sterburty uniosła nad ziemią i pojazd sunął przekrzywiony, przez co kilka rozbitych skrzyń i część zabitych barbarzyńców wypadło za burtę. Balbok i Rammar nie zważali na to i jak zahipnotyzowani wpatrywali się w przeszkodę, z bliska budzącą jeszcze większą grozę.

Za chwilę dziób statku uderzył w ostre krawędzie twardego lodu. Rammar krzyknął i zamknął oczy, zaciskając dłonie na drążku. Czekał, kiedy usłyszy potworny trzask i łomot, a siła uderzenia z impetem rzuci go przez powietrze, roztrzaska o lód i połamie wszystkie kości...

...ale nic takiego nie nastąpiło.

Kiedy kadłub o włos mijał lodową iglicę, ork usłyszał tylko straszliwie głośnie szuranie. Potem żaglowiec znów opadł na obie płozy i wstrząsnęło nim silne uderzenie. Niebezpieczna przeszkoda była ominięta.

Rammar zamrugnął, nie mogąc uwierzyć, że mieli tyle szczęścia. W spontanicznym wybuchu uczuć rzucił się na szyję Balbokowi, który tylko spojrział na niego zdziwiony.

- Ty nędzny *umbalu!* - prychnął zatem Rammar. - Ciesz się, że nie uduszę cię za to, żeś nas prawie strącił w gardziel Kurula!

- Ale ja...

- Zamkniesz pysk czy mam ci go zatkać? Niewiele brakowało, a byłoby już po nas. Przez ciebie. Dalej, puść mnie do steru, jestem w tym lepszy od ciebie. Ty przez ten czas posprzątasz pokład. Jak na mój gust, leży tu zbyt wielu ludzi. Wyrzuć ich za burtę. Zatrzymaj tyle broni, ile nam się przyda, reszty też się pozbądź. Im mniej mamy balastu, tym jesteśmy szybsi.

- Mam wyrzucić ludzi za burtę? - zdziwił się Balbok. - Wszystkich?

- Tak, wszystkich.
- Również tych, co jeszcze rzeżą?
- A cóżby innego?
- I martwych?
- Chcesz ich może zjeść?

Głodny wzrok Balboka starczył za odpowiedź.

- Ty pluskwo w trzewiach Torgasa! - zagrzmiął Rammar. - Nic nie jest dla ciebie zbyt wstrętne? Popatrz tylko na tych barbarzyńców. Żyłaści i zimni, smakują jeszcze gorzej od orków.

- Ale jestem głodny...

- Zajmiemy się ich zapasami. Jestem pewien, że pod pokładem znajdziemy ich mnóstwo.

- Zgoda - oznajmił Balbok. - A potem?

- Pytaj, pytaj. - Rammar uśmiechnął się zuchwale, z drążkiem rumpla w łapie. - Mamy teraz nasz własny statek, który bezpiecznie zanieś nas na północ. Prosto do Świątyni Shakary...

9. *TOUMPOL UR'SHAKARA*

Podróż przez śniegi i lody trwała tylko jeden dzień. Był to jednak bardzo długi dzień.

Pierwszego wieczoru Balbok i Rammar czekali jeszcze, aż słońce wreszcie zajdzie. Stało jednak nad horyzontem, jakby ktoś je tam przybił gwoździami, a księżyc i gwiazdy, nie przejmując się tym nic a nic, przyłączyły się do niego. Trochę trwało, nim orkowie zorientowali się, że po północnej stronie górskiego pasma słońce nie zachodzi. Wszędzie indziej na Lądzie już dawno zapadła ciemna noc, ale tu panował szary zmierzch i lodowy żaglowiec mógł kontynuować swą podróż.

Z początku orkowie podejrzewali ponury omen. Myśleli, że Kurul się na nich złości, gdyż pozwolili ukraść łeb Girgasa. Kiedy jednak nie trafił ich grom z jasnego nieba ani nie pojawiła się wielka paszcza, by połknąć świat, połapali się, że nocne słońce nie jest zwiastunem zagłady, ale zjawiskiem naturalnym. Z pewnością elfy, zawsze wiedzące wszystko lepiej, znają jego

wy tłumaczenie. Orkom było to obojętne. Najważniejsze, że nie połknie ich pożeracz światów.

Zmieniając się przy sterze, kontynuowali podróż przez Białą Pustynię. Posuwali się coraz dalej na północ, póki w jedną z szarych nocy Balbok nie dostrzegł na horyzoncie błękitnego światła. Zaniepokojony obudził brata, zdecydowanie niezadowolonego z faktu, że ktoś przerywa mu sen. Kiedy jednak Rammar zobaczył jasność, jego gderliwe tyrady zamilkły i ciemna twarz skrzywiła się w uśmiechu.

- Ogień elfów - mruknął. - Dokładnie tak, jak powiedział mag. Wkrótce będziemy na miejscu.

Kierując się zagadkowym światłem jak drogowskazem, orkowie mknęli dalej. Przekonali się jednak, że na Białej Pustyni daleko trudniej jest oszacować odległość niż w domu czy w Stęchłej Marchii. To, co zdawało się być w zasięgu jednego dnia marszu, okazywało się leżeć w wielkiej dali. Tak było właśnie ze źródłem tajemniczego ognia.

Choć można by sądzić, że od celu podróży dzieli ich już tylko skok wargi, orkowie musieli uzbroić się w cierpliwość jeszcze na dłuższy czas. Wyglądało prawie tak, jakby światło oddalało się, im dłużej do niego jechali, i wciąż migotało niepokojąco. Rammar za każdym razem bał się, że mogłoby zgasnąć, a wtedy znaleźliby się znowu pośrodku Białej Pustyni bez jakiegokolwiek drogowskazu. Ale błękitny płomień na horyzoncie trwał, aż wreszcie z mglistych oparów wydobyły się również zarysy szorstkich klifów.

Rammar nie mógł poznać, czy są pochodzenia naturalnego, czy sztuczne, ale wyglądały na twierdzą. Wokół wznosiły się wielkie lodowe iglice, podobne do tej, która omal nie stała się zgubą żaglowca. Wysoko nad białymi, powleczonymi połyskliwym lodem skałami sterczały liczne wieże, a na najwyższej z nich płonął ogień elfów.

Takiego ognia nie mogli rozniecić śmiertelnicy - nie był żółty i nie wznosił się z niego żaden dym. Wieże promieniowały jego blaskiem i stanowiły we mgle trochę nierealny widok.

Orkowie dotarli do celu, do Świątyni Shakary!

- Jedno trzeba przyznać tym przeklętym elfom - mruknął niemal z podziwem Rammar. - Mają zmysł dramaturgii.

- Błękitny ogień. - Balbok zacisnął wydatne usta. - Jak oni to robią?

- Skąd, na trzewia Torgasa, mam wiedzieć? - ofuknął go Rammar. - Twoje głupie wypytywanie powoli działa mi na nerwy!

- Ale ja tylko myślałem...

- Już raz ci powiedziałem i mówię jeszcze raz: zamknij pysk i zostaw myślenie mnie, zrozumiałeś? Będziemy musieli przygotować sobie plan, jak dostać się do wnętrza świątyni. Elfy nie dadzą się przechytryć tak łatwo jak krasnoludy, to pewne. Ich strażę może nawet już nas odkryły.

- A jeśli nawet - Balbok wzruszył ramionami - z tej odległości wezmą nas za polarne niedźwiedzie. - Zastanowił się chwilę, po czym zaproponował: - Najlepiej poczekajmy do zmierzchu. Schowamy żagłowiec i przejdziemy resztę drogi pieszo pod osłoną mgły.

- A jak dostaniemy się do świątyni, ty spryciarzu?

- Zobaczmy, kiedy już tam będziemy - odpowiedział Balbok nie bez dumy, bo, jak na orka, był to już całkiem starannie przygotowany plan. - Jak myślisz?

- Myślę, że jak zwykle wygadujesz głupoty - odpowiedział Rammar. - Ja tu jestem od planowania, zapomniałeś? Najlepiej będzie, jeśli poczekamy do zmierzchu. Ukryjemy żagłowiec i resztę drogi przejdziemy pieszo pod osłoną mgły. Jak dostać się do świątyni, zobaczymy na miejscu.

- Ale przecież dokładnie tak właśnie pow...

- Nie pętaj się tu i zamknij pysk! - upomniął brata Rammar. - Bądź łaskaw zrefować żagiel i postaraj się, żebyśmy zwolnili. Chyba że chcesz trzasnąć w któryś z tych stalagmitów.

Balbok pokręcił głową i oddalił się, kolejny raz czując się bardzo niedoceniony przez brata. Kiedyś - mówił sobie w duchu - kiedyś nadarzy się jeszcze okazja i udowodni Rammarowi, jakim to on, Balbok, jest sprytnym orkiem. Do tego czasu jednak musi słuchać poleceń brata. A to znaczy, że musi wdrapać się na maszt i wisząc na rei, zebrać żagiel.

Była to karkołomna praca, tym bardziej że Balboka szarpał ostry pęd wiatru. Ale im więcej zbierał wielkiego żagla, na tym mniejszą powierzchnię napierał wiatr. Prędkość żaglowca znacznie się zmniejszyła.

Lodowa świątynia wznosiła się coraz wyżej, a orkowie mogli już dostrzec jej szczegóły. Na pierwszy rzut oka święte miejsce elfów wyglądało jak ogromny, postrzępiony blok lodu, ale po bliższym przyjrzeniu się można było dostrzec wysokie okna i balkony. Z wnętrza sączyło się zimne światło i nigdzie nie było widać śladu życia.

- Gdzie się podziały spiczaste uszy? - spytał Balbok.

- A czy ja wiem? - odpowiedział mrukiwie Rammar. - Może akurat medytują albo odprawiają swoje rytuały. Elfy często zajmują się takimi bzdurami. Dla nas to dobrze, bo im bardziej zajęte są te elfiska, tym mniej zwrócą na nas uwagę.

Skierowali się do następnego stalagmitu, pod którego osłoną zamaskowali żaglowiec. Zanim jednak opuścili statek, zjedli jeszcze obfity posiłek. *Farami bru douk sabal'dok*, mówi stare orcze przysłowie - w pustym brzuchu nie ma chęci do walki. Rammar i Balbok zajęli się więc troskliwie peklowanym mięsem, znalezionym w forpiku żaglowca. Fakt, że było po części spleśniałe i nadgnite, zupełnie im nie przeszkadzał. Przeciwnie:

zgnilizna w opinii orków dodaje prawdziwie smakowitego aromatu.

Na koniec zgromadzili wyposażenie. Znalazła się wśród niego również długa lina. Poczekali do zmierzchu, który ponownie miał trwać całą noc. Jak każdego wieczoru tu, na północy, nadciągnęła mgła, która położyła się gęstym welonem na powierzchni lodu. Dwaj orkowie opuścili statek i ruszyli w kierunku świątyni. Swoją bagaż oraz godło zostawili na żagłowcu.

Szaro-białe peleryny z futra polarnych niedźwiedzi, należące wcześniej do barbarzyńców, nie tylko chroniły Rammara i Balboka przed trzaskającym mrozem, ale również sprawiały, że w świetle zmierzchu niemal stąpiali się z otoczeniem. Bracia zmierzali do celu, trzymając się lodowych iglic, otaczających świątynię niczym ogromna palisada. Ich kroki trzeszczały na firnie, a oddech opuszczał nozdrza w postaci białej pary.

- Wiesz, nad czym się zastanawiam? - szepnął Rammar do brata.

- Nad czym? - zapytał Balbok.

- Zastanawiam się, czy Girgas potrafiłby docenić ten cały cyrk, który z jego powodu wyprawiamy. To znaczy, słyszałeś już kiedykolwiek o orkach, którzy wyruszyli na koniec świata, by odzyskać utracony łeb swego dowódcy?

Balbok krótko się zastanowił.

- Nie - przyznał po chwili.

- Gdyby ci *umbal'hai* w domu w *balboug* wiedzieli, przez co musimy przejść, żeby zdobyć durną czaszkę Girgasa... Walczyliśmy z għulami i pająkiem, zakradliśmy się do krasnoludów i tuzinami zabijaliśmy ludzi. Nieźle jak na dwóch orków, wypędzonych z wioski wśród obelg i szyderstw, co?

- Też mi się tak zdaje - zawtórował bratu Balbok.

- Wiesz co? Trzeba będzie im to opowiedzieć, słowo po słowie. Tę całą historię, od początku.

- Masz na myśli sagę? Taką, jakie opowiadają krasnoludy?
- Nonsens. Nie mówię o historii małych, brodatych łebków, grzebiących się w brudzie, w poszukiwaniu grudek złota. Kogo obchodzi coś takiego? To, o czym myślę, to saga o dwóch orkach, którzy dokonali wielkich dzieł i nauczyli swoich wrogów, czym jest trwoga. Historia dzielnego Rammara i jego pomocnika Balboka, którzy pokonali elfy, by odnieść łeb wielkiego Girgasa z powrotem do *balboug*.

- Brzmi nieźle - przytaknął ochoczo Balbok. – Tylko dlaczego musi się nazywać „Dzielny Rammar i jego pomocnik Balbok”? Dlaczego nie „Dzielny Balbok i jego pomocnik Rammar”?

Starszy ork nie odpowiedział, ale spojrzenie, jakim spod futrzanego kaptura obrzucił brata, było druzgocące.

- I jeszcze coś - Balbok ciągnął dalej swoją krytykę. - Pająka, ghule i ludzi zwyciężyliśmy, to się zgadza. Ale elfów jeszcze nie zaliczyliśmy, a nie wierzę, że dobrowolnie oddadzą mapę.

- Co ty nie powiesz?

- Słyszałem, że elfy zabezpieczają swoje twierdze i świątynie pułapkami. Poza tym, są tam podobno rozgałęziające się bez końca korytarze, w których łatwo stracić orientację.

I choć elfy powoli znikają z naszego świata, nadal są najlepsze ze wszystkich w walce na miecze, a ich łucznicy trafiają do każdego celu, obojętne, czy...

- W porządku - wszedł mu w słowo Rammar. – Nie chcę tego wiedzieć aż tak dokładnie. - Jego brat miał niezrównany talent do psucia mu humoru.

Dotarli do ostatniej lodowej iglicy, za którą mogli się skryć. Mieli stąd dobry widok na wznoszącą się przed nimi potężną świątynię. Orkowie poznali, że ściany i mury tak naprawdę zbudowane są z białego kamienia, pokrytego tylko warstwą lodu. I że to nie siły natury uformowały tę budowlę, ale że wzniesiono

ją, trzymając się ścisłych geometrycznych reguł. Ktokolwiek był jej budowniczym, chciał, by z oddali wyglądała jak wielka bryła lodu. Dopiero z bliska widać było, że to świątynna twierdza.

Od muru odcinały się nieznacznie śnieżnobiałe skrzydła wielkiej bramy. Była zamknięta, a w wąskich oknach powyżej Rammar i Balbok pierwszy raz mogli dostrzec niewyraźne zarysy postaci. Byli to wartownicy, którzy podniosą alarm, gdy tylko odkryją obecność orków.

- Ale gównie - stwierdził Rammar. - I co teraz?

- Zamknięte - niepotrzebnie poinformował Balbok. - Będziemy musieli poszukać innej drogi.

- Ależ ty jesteś mądry. - Rammar się skrzywił. - A jak chcesz to zrobić? Przegryźć się przez skałę?

Balbok nie dał się tak łatwo zbić z tropu, nie po tym wszystkim, przez co przeszli. Przebiegł wzrokiem po lodowatych murach świątyni i odkrył wąski otwór, wychodzący na południowy wschód.

- Tam! - krzyknął, wyciągając rękę.

- A co to ma być?

- Okno. Musimy się do niego dostać.

- Musimy się do niego dostać - Rammar przedrzeźniał brata. - Masz pojęcie, jak to wysoko? Nigdy w życiu nie damy rady.

- Ty nie - zgodził się, krzywiąc twarz w uśmiechu Balbok. - Ale ja tak.

Rammar przez moment rozważał, czy nie zabić brata za tę bezczelność. Był tylko jeden problem: Balbok miał rację. Z jego włóknistym ciałem i siłą młodego orka z pewnością może mu się udać podciągnąć na linie do okna. Za to ciężki Rammar nie dostanie się na wysokość dziesięciokrotnie przewyższającą człowieka. Poza tym, czy nie mądrzej było zostać tu i poczekać, aż Balbok postara się o mapę? W końcu zrobił mu przecież właśnie wykład o tym, jak wysmienitymi szermierzami i łucznikami są

elfy oraz że ich twierdze i świątynie są zabezpieczone pułapkami. Zgrywus! Jeśli tak dobrze zna się na elfach i podobno nawet wie, co go czeka wewnątrz murów ich świątyni, spokojnie da radę załatwić sprawę sam...

- Rozumiem - przemyślałszy wszystko, odpowiedział podstępnie Rammar. - Nie chcesz mieć mnie przy sobie. Do tej pory przydawałem się z moim rozumem, ale teraz jestem już dla ciebie tylko przeszkodą i zrobisz wszystko, żeby saga, którą pewnego dnia będą opowiadać w naszym *balboug*, nie nazywała się „Dzielny Rammar i jego pomocnik Balbok”. Ale dobrze... - Wzruszył ramionami. - Nie jestem na ciebie zły. Idź i przynieś tę mapę. Poczekam tu na ciebie, aż wrócisz.

- Nie chcesz iść ze mną?

- Jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz? - parsknął Rammar. - Chętnie bym z tobą poszedł, ale NIE MOGĘ, sam to powiedziałeś. Jestem za gruby, żeby wspinać się po linie.

- A gdyby była inna możliwość?

Rammar nie zauważył błysku w oku brata, w przeciwnym razie byłby ostrożniejszy. On jednak lekkomyślnie odpowiedział:

- Gdyby była możliwość, niczego nie zrobiłbym chętniej. W końcu zacząłem tę przygodę z tobą i z tobą chcę ją zakończyć.

- *Korr* - przyznał z uśmiechem Balbok. - Powiem ci, jak to zrobimy: ja się wdrapię i wciągnę cię na linie.

- Ch... chcesz mnie wciągnąć?

- No właśnie.

- A jeśli mnie upuścisz?

- Wtedy nie będziesz już musiał przejmować się elfami - odpowiedział Balbok z rzadkim u niego refleksem. - Co jest? - dodał, kiedy brat się ociągał. - Coś nie tak? Dopiero co chciałeś koniecznie ze mną iść, a teraz...

- Ależ dobrze, zgadzam się - zbagatelizował sprawę Rammar. - A jak zamierzasz zamocować linę na górze, żebyś sam mógł się wspiąć?

- Zasupłam ją na moim *saparaku* i wrzucę go przez okno - odpowiedział Balbok.

- Potrafisz tak wysoko rzucić?

Balbok tylko się uśmiechnął.

- Hm. - Rammar zacisnął usta. - Taki pomysł mógłby pochodzić ode mnie. Ale ostrzegam: jeśli narobisz *shnorsh* i zostaniemy odkryci, zrobię ci coś gorszego niż mogłoby przyjść do głowy spiczastym uszom.

- W porządku. - Balbok obojętnie wzruszył ramionami.

Gdyby za każdym razem, kiedy brat groził mu marnym końcem, robił nacięcie na trzonku swego topora, broń nie nadawałaby się już do użytku.

Spokojnie przygotowywał się do niebezpiecznej misji. Zdjął z ramion kołczan oraz łuk, chwycił linę i rozwinął ją. Potem zaczął robić na niej w regularnych odstępach supty.

- A to po co? - burknął Rammar.

- Żebym się nie ześliznął - wyjaśnił Balbok.

Rammar musiał przyznać, że także ten pomysł nie był znowu taki głupi. Kiedy skończył, Balbok ponownie zwinął linę i zarzucił ją sobie na ramię. Do końca mocno przywiązał *saparak*.

- Jesteś wreszcie gotowy? - spytał niecierpliwie Rammar.

- Gotowy.

- Idź więc, ty długie nieszczęście. Tylko nie daj się złapać, słyszysz?

Balbok wymamrotał coś niezrozumiale i ruszył w drogę. Przygarbiony, z kapturem peleryny na głowie, podbiegł do muru z otworem okiennym wysoko u góry.

Już sam widok skutej lodem ściany sprawił, że Rammarowi krew zamarła w żyłach. Pomysł, żeby wspinać się po niej na linie,

nie podobał mu się ani trochę. Raz po raz zerkał ku bramie głównej i ku oknom ze strażami. Choć mgła i peleryna dobrze maskowały Balboka, musiał być ostrożny.

Na szczęście żaden z wartowników, których cienie widać było w otworach, nie zauważył orka. Balbok dotarł do stóp muru, pośpiesznie odrzucił pelerynę, zdjął z ramienia linę i położył ją na ziemi. Potem wycelował *saparakiem* w górę, gdzie znajdowało się okno.

- *Darr malash* - warknął Rammar. - Ten ślepy kundel w życiu nie trafi...

Balbok wziął trzy kroki rozbiegu i cisnął *saparaka* z całej siły.

Dzida poleciała prawie pionowo do szczytu lodowej ściany, ciągnąc za sobą linę. Rammar wstrzymał oddech i wcisnął pięść do oka [u orków odpowiednik trzymania kciuka]. Dzida zwolniła lot, obróciła się w powietrzu, po czym, ku bezgranicznemu zdumieniu Rammara, naprawdę znikła w otworze okiennym.

- Ten wstrętny gnojek - szepnął starszy ork w przypiływie podziwu. - Czasem jest z niego naprawdę sprytna świnią!

Balbok zostawił pelerynę - tylko by mu przeszkadzała przy wspinaczce. Obiema dłońmi chwycił linę i ciągnął ją, aż się naprężyła. Jednym szarpnięciem sprawdził trwałość i zadowolony stwierdził, że *saparak* zaklinował się na kamiennej framudze okna. Zaczął się wspinąć.

Początkowo próbował jeszcze zapierać się nogami o mur, ale ponieważ kamień pokryty był lodem, stopy nie znajdowały podparcia. I tak pozostało mu tylko podciągać się na rękach, oplótszy nogami linę. Od samego tylko patrzenia Rammar spocił się jak mysz. Z pięścią nadal przyciśniętą do oka i pyskiem otwartym ze zdziwienia, korpulentny ork obserwował, jak jego brat podciąga się w górę. Przyłapał się też na tym, że wstrzymuje

oddech i martwi o życie Balboka.

- A co to niby ma być? - zastanowił się. - Co mnie obchodzi, czy ten *umbal* spadnie i złamie sobie kark? Dopóki to nie jest moja szyja... BALBOK!

Widząc, jak jego brat traci podparcie, Rammar krzyknął półgłosem. Balbok sięgnął w pustkę, nie zdołał ponownie chwycić liny i spadł!

Leciał trzy, może cztery wysokości człowieka w dół. W końcu udało mu się złapać linę przy jednym z węzłów, które wcześniej na niej zasuptał.

- Ty głupi, niezgrabny durniu! - z ulgą ofuknął go Rammar. - Musisz mnie tak straszyć?

Wstrzymując oddech, patrzył, jak Balbok znów podejmuje wspinaczkę. Rammar widział, że jego brata stopniowo opuszczają siły, ale mimo to podciąga się nadal, kawałek po kawałku. Wreszcie dotarł do okna.

Otwór był większy niż zdawało się z dołu, więc Balbok bez trudu się przez niego przedostał. Na moment zniknął i Rammar sam nie wiedział, czego bardziej pragnąć. Jeśli teraz straż elfów złapią i zabiją Balboka, jemu samemu będzie oszczędzona karkołomna wspinaczka. Ale wtedy nie dostanie mapy, a w następstwie tego nie zdobędzie łba Girgasa, to zaś będzie miało dla niego prawdziwie nieprzyjemne konsekwencje.

Ale po krótkiej chwili - ku jego zmartwieniu i równocześnie uldze - Balbok ukazał się w oknie. Najwyraźniej spędził ten czas na zamocowaniu liny. Teraz nadszedł moment, którego Rammar cały czas się obawiał. Balbok kiwnął na niego i dał znak, by podszedł bliżej.

- *Shnorsh.*

Rammar ociągał się chwilę. Co tu robić?

Nie musi się tak męczyć, nikt nie może go do tego zmusić. Tego, że jest orkiem z prawdziwej śmierci i rogu [zwrot, idiom], dowiódł już w walce z ghulami i barbarzyńcami. A już na pewno nie musi się czuć zobowiązany wobec tego durnowatego głupka, swojego brata. Wystarczy odwrócić się i odejść. Niedaleko stoi lodowy żaglowiec. Wszystko, co musi zrobić, to założyć żagiel i ruszyć, wystarczy chwila, by zostawić daleko za plecami świątynię, elfy i wszystko inne.

I oczywiście Balboka.

Rammar już chciał się odwrócić, żeby zrobić to, co radził mu rozum. Zawsze się tego trzymał i tym razem też dobrze na tym wyjdzie.

Problem był tylko jeden - nie potrafił tego zrobić.

- Do kroćset, Rammar, co się z tobą dzieje? - ofuknął sam siebie. - Dawniej po prostu byś się odwrócił i zwał, wykorzystalbyś okazję i uratował swój *asar*. Powoli robisz się stary i sentymentalny. To będzie cię jeszcze kosztować życie!

Choć nieomylny, zdrowy orczy rozsądek z całych sił mu to odradzał, opuścił swoją kryjówkę i pobiegł do muru, przygarbiony i z kapturem na głowie, jak przedtem Balbok. Nie było już widać straży, miał zatem nadzieję, że jego również nie dojrzą. Zdając się na zmierzch, mgłę i swój maskujący strój, biegł zadywany dalej, aż wreszcie dotarł do ściany.

Teraz, kiedy spojrzął w górę, wydała mu się o wiele wyższa niż z oddali i mało brakowało, a zdecydowałby inaczej. Jakby chcąc utrudnić samemu sobie ucieczkę, chwycił linę, prawie całkiem sztywną od mrozu, owinał ją wokół tłustego brzucha i zawiązał na kilka supełów. Potem kiwnął na Balboka i rozpoczęła się wątpliwej jakości zabawa...

Znów mijały dni. Dni, podczas których nic się nie działo i towarzyszką Alannah była tylko nuda. Tęsknie wypatrując

odmiany, arcykapłanka Shakary spędzała większość czasu na wystawianiu przy oknie komnaty i wpatrywaniu się w dal Białej Pustyni, nad którą o tej porze roku słońce nigdy nie zachodziło.

Tylko dwa razy dziennie - kiedy zadęto w zwołujący na modlitwę róg Farawyna i kiedy odprawiano świątynny rytuał -

Alannah opuszczała swoją komnatę. Wszystkie rozrywki, jakie świątynia miała do zaoferowania - od ogrodów Miron, przez gorące źródła, aż po wielką Salę Kolumnową, gdzie w młodych latach miała zwyczaj się przechadzać - wyczerpała do cna. Nie były już w stanie jej zabawić i zaczynała rozumieć, dlaczego tak wielu z jej ludu odczuwa znużenie życiem na tym świecie i marzy o Dalekim Brzegu.

Również Alannah czuła głęboko w sercu potrzebę opuszczenia świata śmiertelników i z każdym dniem, który kończył się, nie przyniósłszy niczego, co wyrwałoby ją z tego wiecznego letargu, potrzeba ta była coraz większa. To potworne, czekać wieki na spełnienie proroctwa. Tym gorzej, jeśli na koniec okaże się ono kłamstwem. Wieszcz Farawyn przepowiedział Alannah wielką przyszłość, jednak jakże się pomylił! Z każdym rokiem, który mijał arcykapłance na daremnym oczekiwaniu, ubywało jej cierpliwości i rósł smutek. Najwyraźniej nie tylko jej.

Przed dwoma dniami przybyło poselstwo z Targas Dun, tak tęsknie wyczekiwane przez nią i jej służbę. Jednak początkowa radość Alannah z tego, że w ołowianej codzienności Shakary zaszła wreszcie jakaś odmiana, zmieniała się w straszne otręźwienie. Wśród posłów nie było księcia Loreto. Przekazano jej za to list - właśnie od księcia elfów, którego Alannah skrycie kochała.

Po dwu dniach nie musiała już czytać listu, by przywołać w pamięci jego brzmienie. Jej oczy tylekroć już wędrowały po jego wierszach, nie pojmując treści, że знаła go na pamięć.

Umiłowana Alannah,

Wiele czasu minęło od mojej ostatniej wizyty w Shakarze - czasu, który wykorzystałem na to, by zagłębić się w siebie i rozmyślać o Was, o mnie i o losie świata. Doszedłem przy tym do wniosku, który pragnę Wam oznajmić, stosownie krótko, by nad miarę nie zajmować Waszego cennego czasu. Kiedy Wysoka Rada ponownie poleciła mi opuścić Tirgas Dun i następnym wychodzącym w morze statkiem wypłynąć do Dalekiego Brzegu, w końcu się zgodziłem. Niebawem już opuszczę ten świat i w ojczyźnie naszego ludu rozpocznę nowe życie, nieobarczające mnie żadnym przymusem ani obowiązkiem. Świadom jestem, że moja decyzja bez wątpienia sprawi Wam przykrość, proszę Was jednak o wyrozumiałość, Ojczyzna naszego ludu oferuje mi wszystko, co mógłbym sobie wymarzyć. Nasza miłość natomiast musi pozostać niespełniona, póki pewnego dnia nie spełni się proroctwo, któremu poświęcone jest Wasze istnienie.

Wielu z nas jednak uważa, że to nie stanie się nigdy.

Dla nas przyszłość nigdy nie istniała - na mnie czeka ona na Dalekim Brzegu.

Wybaczcie, że nie mogę przybyć, by osobiście oznajmić Wam swoją decyzję, ale moja obecność w Tirgas Dun jest niezbędna. Wiele jeszcze mam do zrobienia, wiele planów i przygotowań, nim będę mógł wrócić tam, gdzie się wszystko zaczęło.

Szczerze oddany,

Loreto

Książę Tirgas Dun

- Księżę Tirgas Dun... - szepnęła z goryczą Alannah. Nawet nie podpisał się swoim *Essamuin*. Każdemu elfowi rodzaju męskiego nadawano przy narodzeniu tajemne drugie imię, które zdradzał tylko najbliższemu. Alannah wbrew zakazowi należała do kręgu tych wtajemniczonych.

Jako arcykapłance Shakary nie wolno jej było wchodzić w żadne związki, czy to ze śmiertelnikiem, czy z potomkiem elfiego rodu. Dopóki nie wypełni się proroctwo Farawyna, nie mogła również dzielić łoża z mężczyzną, gdyż jej wszelkie czyny mają być poświęcone jedynie zachowaniu tajemnicy. Z tego powodu miłość Alannah i Loreta musiała pozostać niespełniona i mogła istnieć jedynie w wymiarze duchowym. Księżę twierdził zawsze, że taki układ mu wystarcza i że to więcej niż mógłby kiedykolwiek sobie wymarzyć. Wygląda jednak na to, że nie do końca odpowiadało to prawdzie.

Alannah była głęboko zraniona.

Księżę wydawał się dbać jedynie o własne dobro oraz o własną przyszłość. A przecież zawsze wierzyła, że jest inny niż ci ograniczeni książęta, zajmujący stołki w Wysokiej Radzie i zachowujący się jak panowie świata, stopniowo rozpadającego się w kupkę skorup. Kraina elfów od dawna już nie była tak wielka, ograniczała się do graniczących z morzem terenów na dalekim południu. Ród synów Mirona zmizerniał i tak dalece tęsknił za abstrakcyjną wizją Dalekiego Brzegu, że zagubił dawne cnoty i wartości. Loreto był tego najlepszym przykładem.

Alannah zacisnęła powieki, by powstrzymać łzy. Założyła już śnieżnobiałą uroczystą szatę i lada moment miała być wezwana do odprawiania codziennych rytuałów. Od arcykapłanki Shakary oczekiwano, by promieniowała przy tym pewnością siebie i wytrwałością w niezachwianym oczekiwaniu na spełnienie proroctwa. Łzy nie pasowały do tego obrazu.

Ale Alannah nie była pewna siebie, a jej serce wypełniały żal i złość. Złość za sromotną zdradę, jaką popełnił wobec niej Loreto, i żal własnego życia, bo była więźniem.

Choć urząd oraz pochodzenie zapewniały jej wszelkie możliwe przywileje, była uwięziona w świątyni i przykuta żelaznymi regułami do rytuałów, nie pozwalających jej robić tego, co nakazywało jej serce. Gdyby to zależało od niej, dawno już opuściłaby Shakarę, powędrowała na południe i wsiadła na najbliższy statek do Dalekiego Brzegu w rozpaczliwym poszukiwaniu czegoś, co nada jej monotonnemu życiu inny kierunek. Patrząc w ten sposób, nie mogła mieć pretensji do Loreta o jego decyzję, co tylko jeszcze bardziej powiększało jej rozpacz.

Członkowie jej ludu, jeden po drugim, opuszczali ten świat. Wkrótce już w *amber* nie zostanie z nich nikt, a dumne mury Tirgas Dun skruszeją. Duma elfów zniknie, zaś Alannah skazana będzie na przyglądanie się tej zagładzie aż do końca i czekanie przez kolejne stulecia na coś, co nie nastąpi nigdy.

Jak bardzo Alannah pragnęła wyjechać...

Jakże cierpiała, wypełniając swój obowiązek...

Dlaczego nie mogło zdarzyć się nic, co by odmieniło bieg rzeczy?

Służka zapukała i nie czekając na odpowiedź, weszła do komnaty. Przychodziła po Alannah.

Rytuał zaczynał się na nowo, jak już niezliczoną ilość razy...

10. KIOD UR'SUL'HAI-COUL

Rammar umierał tysiąckroć. Na przyprawiającej o zawrót głowy wysokości wisiał na linie omotanej wkoło brzucha i powoli żegnał się z życiem. Przed jego wewnętrznym okiem jak migawki rozbłyskiwały chwalebne czyny, których dokonał, a musiał przyznać, że było ich haniebnie mało. Bezradnie bujając się w powietrzu, zawieszony między życiem a śmiercią, przysiągł sobie, że zmieni ten stan rzeczy, jeśli tylko zdoła przeżyć to szaleństwo i nie roztrzaska się u stóp muru w ohydny płamę tłuszczu.

Gdyby sytuacja na to pozwalała, ork wykrzyczałby swój śmiertelny strach na całe gardło. Ale mimo paniki rozumiał, że w ten sposób ściągnąłby na siebie uwagę straży elfów, a to byłoby jeszcze mniej zdrowe od wiszenia nad przepaścią na linie trzeszczącej przy każdym szarpnięciu.

Rammar próbował w miarę możliwości wspierać wciągającego go Balboka, ale jego buty nie znajdowały oparcia na oblodzonej

ścianie, więc w końcu porzucił tę beładną kopaninę. Nie pozostało mu nic innego, jak zaufać bratu. Czuł się z tym po prostu koszmarnie. Choć to Balbok dzierżył w rękach jego życie, gniew Rammara rósł z każdą chwilą. To w końcu właśnie Balbok jest winny temu, że znalazł się (albo raczej zawisł) w tym niezręcznym położeniu. To on wpadł na szalony pomysł, żeby wciągać Rammara na linie!

Kiedy starszy ork w końcu dotarł do okna, był u kresu wytrzymałości i doznawał ambiwalentnych uczuć. Z jednej strony czuł niewymowną ulgę, że wyszedł cało z tej karkołomnej przygody, z drugiej, wprost gotowało się w nim na widok rozdzielonej w uśmiechu facjaty Balboka.

- No? - spytał na dodatek chudzielec. - Było fajnie, co?

- Czy było fajnie? - Chlustając potokiem najgorszych orczych obelg, Rammar przeciskał się przez otwór okienny, który nagle znów wydał mu się bardzo wąski, i skoczył stopami na podłogę. Kolana miał miękkie jak śluz ślimaka. - Pytasz, czy było fajnie?

Balbok skinął głową.

- Nie, ty głupi kołku, nie było fajnie! Jak by ci się podobało, gdybyś uwiązany do sznurka huśtał się gdzieś wysoko, a ktoś wciągałby cię, kawałek po kawałku? To było poniżające, rozumiesz?

Balbok wbił w niego zdziwione spojrzenie. Wśród orków godność nie była czymś, co by szczególnie ceniono. Przeciwnie, zwykle z wielkim zapałem robili wszystko, by podeptać godność innych. Przejmowanie się własną godnością uważano nawet za coś ludzkiego i oznakę słabości.

W tym momencie uświadomił to sobie i Rammar. Prychnął, machając ręką.

- No dobrze - mruknął. - Mniejsza o to. Najważniejsze, że mnie nie upuściłeś i że obaj jesteśmy tutaj. Ale zaraz, gdzie my właściwie jesteśmy?

- To wygląda na długi korytarz - odpowiedział Balbok i wskazał na ozdobione kolumnami ściany z białego kamienia, w regularnych odstępach poprzecinane bocznymi odnogami. Jaśniała tu ta sama błękitna poświata, która emanowała z wieży świątyni zimnym, nierzeczywistym światłem.

- Dureń. Jasne, że to jest długi korytarz - odpowiedział Rammar. - Pytanie tylko, dokąd prowadzi. I jak, na płomień Kurla, mamy w tym labiryncie znaleźć mapę, którą chce dostać mag?

Zamiast odpowiedzi Balbok zmarszczył nos, powęszył chwilę i cicho powiedział:

- Ktoś idzie!

Wymienili spojrzenia, po czym skryli się za kolumnami po obu stronach korytarza.

Kiedy kilka uderzeń serca później Balbok zaryzykował ostrożne zerknięcie zza kolumny, zobaczył elfa. Ubrany był w obszerną szatę, z migocącego tajemniczo w błękitnym świetle jedwabiu. Jasne włosy miał krótko przycięte, wyraźnie więc było widać charakterystyczne dla jego rasy spiczasto zakończone uszy, nie odstające od głowy, jak u orka, ale ciasno przylegające.

Posiadał również inne znaki szczególne elfów - cechy, które w oczach orka czynią z nich jedne z najszykardniejszych stworzeń *sochgal*: białą cerę, sprawiającą, że wyglądają jak chodzące trupy, wąskie wodnisto-błękitne oczy z uniesionymi brwiami, zdaniem orków świadczące o podstępności tych stworów, i wreszcie filigranową sylwetkę oraz sposób poruszania. Elfy zawsze zdawały się unosić nad ziemią, a nie chodzić. Orków doprowadzało to niemal do furii. Co sądzić o istocie, której zbliżania się nie obwieszcza głośny łoskot i tupanie?

Wieczne skradanie się elfów, ich brzemienna doniosłością i przemądrzała gadanina oraz zniewieściałość - wszystko to

doprowadza do rozpaczki przyzwoitego orka i czyni zrozumiałym, dlaczego oba te ludy od początku dziejów są sobie na wskroś wrogie. U ludzi i orków dałoby się ostatecznie znaleźć kilka wspólnych cech, nie na darmo byli kiedyś sprzymierzeńcami, nawet jeśli skończyło się to porażką. Jednak elfy i orków dzieli przepaść szersza niż wszelkie morza i głębsza niż najgłębsza z otchłani Kurula. Są jak dzień i noc, i nic nie może tego zmienić.

Na domiar złego elf szedł korytarzem wprost na nich. Rammar i Balbok zerkali ukradkiem ze swych kryjówek. Obaj spontanicznie podjęli decyzję, do której uzgodnienia starczyło im jedno szybkie spojrzenie oraz skinienie głowy, muszą dowiedzieć się o drogę do mapy Shakary. Orkowie czekali z właściwą swjej rasie niecierpliwością. Kiedy elf mijał kolumny, za którymi się schronili, skoczyli na niego jak wygłodniałe drapieżniki.

Atak był dla spiczastouchego całkowitym zaskoczeniem. Rammar runął na niego swym masywnym cielskiem i zwałił go z nóg. W tym momencie pojawił się Balbok, by rozbroić elfa. Jednak wszystko, co ten miał przy sobie, to zdobiona rzeźbionymi symbolami laska, którą ork odrzucił, nie poświęcając jej najmniejszej uwagi. Balbok wyciągnął sztylet i przycisnął elfowi ostrze do gardła. Ofiara otworzyła szeroko swoje wąskie oczy i wpatrywała się w orków z paniką.

- Mówisz językiem ludzi? - wrzasnął Rammar, siedzący na elfie i przygniatający go do podłogi.

Odpowiedzią było sztywne kiwnięcie głową.

- To powiedz nam, gdzie jest mapa?!

- Mapa? - Elf mówił osobliwie śpiewnym głosem. To kolejna rzecz właściwa jego gatunkowi i nieznośna dla orków.

- No przecież mówię, mapa! - warknął Rammar. - Nie udawaj głupszego niż jesteś, spiczastouchy! Dobrze wiesz, o co mi chodzi! Prawda?

- W... wiem - jękał się elf, a klucha w jego krtani przesuwiała się raz pod, a raz nad sztylet Balboka.

- Świetnie. To dalej, gadaj zaraz, nim zapomnimy o dobrych manierach i rozplątamy cię całego wzdłuż i w poprzek!

- Po co wam ta mapa? Skąd wiecie?...

- To powinno cię obchodzić tyle, co mokry pierd smoka. Po prostu nam powiesz, gdzie znajdziemy tę przeklętą rzecz, a my ją weźmiemy i basta!

- Chcecie mapę?

- Cicho! - rozkazał Rammar i tak podskoczył na biednym elfie, że temu brakło powietrza. - Tu tylko jeden zadaje pytania, a jestem nim ja. Więc gdzie znajdziemy mapę Shakary? Wypluj to, elfiku, albo twoje długie życie skończy się tu i teraz!

Przerażony wzrok elfa skakał od jednego orka do drugiego.

- N... nie ma mapy - wykrztusił wreszcie.

- Co on powiedział? - Balbok spojrział na brata, nie rozumując. - Miałeś rację, mój ludzki naprawdę się pogorszył. Zrozumiałem, że wcale nie ma żadnej mapy.

- To właśnie ten spiczastouchy powiedział - mruknął Rammar i ponownie odwrócił się do elfa. - Masz się pewnie za arcysprytnego, co? Myślisz, że twój gatunek może pozwolić sobie wobec nas, orków, na każdą bezczelność? Poczekaj, chłop-tasiu, mój brat rozpląta ci brzuch i twoje wnętrzności...

- Ale ja mówię prawdę - zapewnił elf. - Mapa Shakary nie istnieje. W każdym razie nie tak, jak sobie wyobrażacie.

- Nie? W takim razie jak?

- To nie jest zwykła mapa - wyjaśnił znajdujący się w opałach elf. Wyglądało na to, że własne życie jest dla niego ważniejsze niż dochowanie starych tajemnic. - Nie wyrysowano jej na pergaminie czy skórze ani nie wykuto w kamieniu. Mapa Shakary

istnieje tylko w umyśle arcykapłanki świątyni.

- He? - Zmarszczki na czole Rammara zrobiły się tak głębokie, jakby wyrżnięto je nożem. - A co to znowu za gówno?

- To prawda - oznajmił elf. - Od pokoleń tajemnica mapy Shakary jest przekazywana przez jedną arcykapłankę następczej. Tylko w ich umyśle przetrwała wieki i to jedynie dzięki temu przez wieki jej nie ukradziono. Wielu już tego próbowało, rzeźmieszki jak wy, ale żadnemu nie udało się rozwikłać tajemnicy.

- Tak? - Rammar zmrużył jedno oko, drugie sypało na elfa groźne iskry. - A czemu w takim razie zdradzasz nam tę bzdurę? Wy, bladolicy, jesteście przecież zwykle tak małowówni, gdy idzie o wasze tajemnice.

Elf zaśmiał się ochryple i choć nie pasowało to zupełnie do zadumy wyrzeźbionej w rysach jego bladej twarzy, skrzywił kąciaki ust w nieskrywanym szyderstwie.

- Bo to już nie ma znaczenia - oznajmił. - Nasz czas na tym świecie dobiega końca. Przyjdą inni i zdobędą władzę, hołota jak wy, skacząca sobie do gardeł o bogactwo i władzę. Proroctwo, na które wszyscy czekaliśmy, nie spełniło się. Nie ma już znaczenia, czy poznacie tajemnicę mapy, czy nie, bo i tak na nic się wam nie przyda. Ludzie i orkowie nie mają przyszłości, za to na mój ród i na mnie samego czeka Daleki Brzeg.

- Daleki skrzek? - Balbok uniósł brwi.

- Brzeg - poprawił Rammar. - To miejsce, o którym marzą wszyscy spiczastousi. Tak przecież jest, prawda?

Szyderstwo nie znikło z twarzy elfa.

- Ależ jesteście nieświadomi. Prymitywni barbarzyńcy, nic więcej.

- Uważaj, co mówisz, bladogęby! Jak ci wytnę język, nie będziesz więcej tak bezczelnie gadał.

- Już dobrze. Uginam się pod przemocą - powiedział elf, który już pokonał zaskoczenie. - Ale dajcie sobie powiedzieć, że nie ma tu dla was nic do zabrania. Nasi przodkowie zabezpieczyli się przed zbójami takimi jak wy.

- Zatem mapa nie istnieje? - spytał nieufnie Balbok.

- Tak powiedziałem, czyż nie?

- I tylko arcykapłanka zna tajemnicę?

- Tak właśnie jest.

Balbok spojrzał na brata.

- To czemu po prostu nie weźmiemy arcykapłanki? Mag już z niej wycisnie, co będzie chciał.

- To świetny pomysł - przytaknął Rammar. - Też sobie pomyślałem coś w tym rodzaju.

- Więc tak zrobimy?

- Możesz być pewien.

Ponieważ ostatnie zdania wymieniali w mowie orków, elf nic z tego nie zrozumiał, widział jednak wyszczerzone w uśmiechu zęby obu braci.

- Co zamierzacie? - zapytał, teraz znów trochę zdenerwowany. - Mówiłem wam przecież, że nie ma tu dla was nic do zabrania.

- Nie, elfiku - sprzeciwił się Rammar. - Powiedziałeś tylko, że nie ma mapy, to wszystko.

- I? - spytał elf z trwożnym przecuciem.

Rammar uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Gdzie znajdziemy arcykapłankę Shakary?

- Nie chcecie chyba?... - Elf spoglądał to na jednego, to na drugiego. Kiedy zobaczył, jak oba uśmiechnięte orki kiwają głowami, wpadł w prawdziwą panikę. - Nie możecie tego zrobić! - zawołał. - Nie wolno wam! Nie macie prawa...

- Przeciwnie, spiczastouszku - powiedział Rammar. - Mamy najlepsze z wszystkich praw, prawo silniejszego. Twoja rasa najdłużej dyktowała innym, co mają robić.

Teraz my, orkowie, weźmiemy sobie, co się nam należy.

I zaczniemy od twojej kapłanki. Gdzie ona jest? Gadaj. A może wolisz skończyć z rozplatanym brzusem, zanim zobaczysz kraj swoich przodków?

Rammarowi udało się trafić we właściwy punkt. Opór elfa skrzeszył się niczym stary mur. Jeśli on nie zdradzi orkom, gdzie znaleźć arcykapłankę, zrobi to kto inny. Straże świątyni będą musiały stawić czoła tym dwóm orkom. Może znajdzie sposób, żeby je ostrzec...

- Więc dobrze - zgodził się, starając się zachować resztki godności. - Żeby wciąż na nowo przywoływać w pamięci mapę Shakary, arcykapłanka odprawia raz dziennie rytuał Enyalia.

- Aha - mruknął Rammar, tak naprawdę nie rozumiejąc. - A kiedy i gdzie odbywa się ten rytuał?

- W świątyni. Właśnie teraz.

- W takim razie nie traćmy czasu - powiedział Rammar. Balbok skinał głową, wciągnął linę, owinał ją wokół elfa i związał go nią.

- C... co robicie?

- A cóżby? Zabieramy cię ze sobą.

- Zabieracie? Ale...

- Pokażesz nam, jak w tej plątaninie korytarzy dojść do świątyni. Tu jest gorzej niż w najgłębszych trzewiach Torgasa. I biada ci, jeśli chcesz nas okpić, elfiku. Coś wtedy może ci się przytrafić.

- R... robicie wielki b... - Elf zamilkł, gdyż Balbok zakneblował mu usta kawałkiem jego własnej szaty. Potem załadował sobie więźnia na ramię jak worek.

- W porządku. - Rammar był zadowolony. - W jakim kierunku?

- Mmh - mruknął sługa świątynny, spoglądając dość rozpaczliwie.

- Mów łaskawie tak, żebym mógł cię zrozumieć! - zażądał Rammar, grożąc pięścią.

- Mmh... mmh... - Elf podbródkiem wskazał korytarz.

Orkowie przytaknęli i z bronią w łapach pośpieszyli przez wąskie pomieszczenia, z podtrzymywanym kolumnami sklepieniem.

W jednym z poprzecznych korytarzy elf dał im znak, żeby iść w prawo, za jakiś czas mieli skręcić w lewo. Kilka skrzyżowań dalej Rammar i Balbok stracili już orientację i nie wiedzieli, gdzie są. Wiedzieli tylko, że schodzą coraz niżej w głąb świątyni.

Nagle dały się słyszeć głosy.

Orkowie znieruchomieli i nasłuchiwali. Korytarzem wprost na nich szedł oddział elfów. Sądząc po odgłosach pobrzękiwania w tle ich głosów, byli uzbrojeni. Straż świątynna.

- Szybko, tam! - Rammar skinął na brata i wskazał mu odnogę korytarza. - Bez numerów, spiczastouchy, bo będzie po tobie!

Orkowie schronili się razem z więźniem do bocznego korytarza. Unieśli broń, gotowi sprzedać swoją skórę jak najdrożej. Ponieważ błękitna poświata, wypełniająca korytarze, jaśniała wszędzie jednakowo, nie było cienia, w którym mogliby się skryć. Pozostało im tylko ciasno przytulić się do ściany i mieć nadzieję, że strażę ich nie odkryją.

Głosy i szcęk broni stały się głośniejsze. Musiał być ich dobry tuzin. Rammar i Balbok wymienili zdenerwowane spojrzenia, a ostrze sztyletu Balboka mocniej przycisnęło krtań więźnia.

Padły rozkazy w śpiewnej mowie elfów. Za moment oddział minął boczny korytarz.

Podejrzenia orków się sprawdziły.

To były świątynne strażę, cały oddział. Na zbroje z połyskliwego srebra narzucili białe peleryny, spod których wystawały klingi zakrzywionych elfich szpad. Nad odkrywającymi twarze hełmami chygotały kępy piór. Na ich tarczach przedstawiony

był duży kryształ lodu, symbol Świątyni Shakary. Maszerowali szeregiem i poruszali się zdecydowanym krokiem.

Rammar przypomniał sobie, co Balbok opowiadał mu o elfich wojownikach. Przysadzisty ork zauważył, że zaciśnięte na drzewcu *saparaka* pięści zwilgotniały. Trwożnie zastanawiał się, ilu strażników świątynnych zdołałby strącić w jamę Kurula, nim ich miecze posiekają go na kawałki. Pewnie ani jednego...

Orkom pozostało tylko stać zupełnie cicho i czekać, aż oddział straży ich minie. Nozdrza Balboka drgały, kiedy więzień wił się w jego uchwycie. Ork tylko ścisnął go mocniej i docisnął ostrze sztyletu do krtani elfa, na co ten porzucił wszelki opór.

Mieli wrażenie, że mijają wieczność. Szczęście orków wynikało z faktu, iż elfy były tak zdyscyplinowane, że patrzyły tylko w przód, dzięki czemu nie dostrzegły dwóch intruzów ani więźnia. Wreszcie oddział ich minął i Balbok odważył się nie tylko odetchnąć z westchnieniem. Ulżył sobie również w inny sposób.

- Do kroćset! - syknął do niego Rammar. - Jeszcze nas zdradzisz tym swoim pierdzeniem!

- Praszam - odpowiedział szeptem Balbok. - Musiałem.

- Jeśli zrobisz to jeszcze raz, ja będę musiał roztrzaskać ci łeb, ty *umbalu* - zapowiedział mrukliwie Rammar. Potem odwrócił się do jeńca, któremu od gazów Balboka zrobiło się tak niedobrze, że wywracał oczami. Rammar wyjął mu knebel z ust. - Dokąd teraz? - zapytał. - I nie waż się skierować nas gdzieś, gdzie jest jeszcze więcej świątynnych straży.

- T... tam prosto - szepnął bezgłośnie elf. - Już niedaleko do sanktuarium.

- Mam nadzieję - odpalił Rammar i na nowo zakneblował mu usta. Ruszyli dalej, znów szerokim korytarzem, a potem przez ciąg odgałęzień i schodów. Tym razem orkowie mieli się

jeszcze bardziej na baczności. Kiedy tylko słyszeli podejrzany dźwięk, nieruchomieli i czekali. Dopiero jeśli byli pewni, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, ruszali w dalszą drogę.

Wreszcie dotarli do korytarza, szerszego i wspanialszego niż wszystkie przedtem, którego wypukłe sklepienie podpierają nie kolumny, ale posągi. Białe alabaster migotał w błękitnym świetle jak błyszczący lód. Kogo przedstawiają posągi, tego Rammar i Balbok nie wiedzieli. Były to prawdopodobnie jakieś ważniaki z historii elfów, w przeszłości tego ludu doprawdy ich nie brakowało. Dla orków te wszystkie łebki wyglądały jednakowo. Więcej: wszystkie wyglądały jednakowo szkaradnie - symetryczne twarze o wystających kościach policzkowych, z długimi nosami i nieskrywaną arogancją w spojrzeniu.

Dla Rammara posągi uosabiały wszystko, czego nigdy nie mógł znieść u elfów, a jako że i tak męczyła go pilna potrzeba, nie mógł się powstrzymać, by nie ulżyć sobie akurat pod stopy jednego szczególnie smętnie spoglądającego posągu. Świątynnemu słudze oczy omal nie wypadły z czaszki.

- Czego tak się gapisz, bladogęby? - spytał Rammar, szczerząc zęby. - Nigdy jeszcze nie widziałeś, jak ktoś sika? No pewnie, że nie. Mogę się założyć, że wy w swojej subtelności tryskacie okruchami lodu i prószycie płatkami róży.

- Pst - syknął Balbok, energicznie machając dłonią. - Też to słyszysz?

Rammar skończył zaspokajanie potrzeby i nadstawił uszu. Oczywiście, że słyszał: eteryczne śpiewy w tak wysokiej tonacji, że stroszyły się włoski na karku.

- Do kroćset! - zaklął. - Od tego biadolenia zwijają się pazury u stóp. To dochodzi gdzieś z przodu, pewnie z sanktuarium, co?

Zakneblowany elf niechętnie przytaknął.

- Ceremonia już się zaczęła - wywnioskował Rammar. - Dalej, musimy się pospieszyć.

Orkowie pobiegli długim korytarzem, wlokąc za sobą więźnia. Im dalej posuwali się do przodu, tym śpiew był głośniejszy i tym jaśniejsza i bardziej przenikliwa była poświata wypełniająca przestrzeń.

Z końca korytarza promieniowało ku nim oślepiająco jasne światło. Osłaniając oczy, biegli dalej w potokach światła i śpiewu - dwóch rzeczy, jakich każdy ork nienawidzi z głębi serca. Rammar najchętniej wrzasnąłby głośno i zawrócił, jednak wziął się w garść.

Oczy orków stopniowo przyzwyczajają się do jasnego światła i zobaczyli, że korytarz kończy się rodzajem galerii, ograniczonej kamienną, artystycznie kutą balustradą. Można z niej było patrzeć w dół do sali, przepychem i pięknem przewyższającej wszystko, co dwaj bracia kiedykolwiek widzieli. Tyle że orkowie pozbawieni są choćby krzty wycucia piękna.

Nie było tu okien. Światło promieniowało z wielkiego, kulistego lampionu, wiszącego u wysokiej powały i wysadzanego niezliczonymi kryształami. Rozsiewały jaskrawy blask niczym sztuczne gwiazdozbiory i sprawiały, że marmur ścian oraz podłogi promieniował jasnością.

W wąskich niszach wzdłuż bocznych ścian ustawiono wielkie posągi z alabastru, których nieruchome oblicza emanowały jeszcze większą godnością niż te na korytarzu. Uniesione w szpalerze kamienne miecze, tworzyły drugi dach nad marmurową drogą, prowadzącą z jednego końca sali w drugi.

Ścianę czołową zajmował ogromny kryształ, wysoki z pewnością na dziesięciu ludzi. Inaczej niż te na suficie, nie promieniował on światłem z wnętrza, ale odbijał jasność mniejszych kryształów, tysiącrotnie ją zwielokrotniając i migocąc. Przed kryształem ustawiono kamienne siedzisko w kształcie tronu,

podobnie jak balustrada galerii bogato zdobione. Wokół tronu zebrało się wiele odzianych w powiewne białe szaty elfów. Po obu stronach kryształu orkowie zobaczyli również - co im się bardzo nie spodobało - liczne stráže z mieczami i tarczami.

Wzdłuż boków sali stały młode elfinie, których powabne kształty otulał jedwab, a długie włosy spływały falami na ramiona. To one były sprawczyniami tego śpiewu, upajającego wysokimi tonami i maltretującego narząd słuchu orków.

Rammar i Balbok od razu skryli się razem z jeńcem. Zerkali zza słupków balustrady. Twarze mieli wykrzywione w pełnym cierpienia grymasie. Śpiew elfów mógł doprowadzić do szaleństwa każdego orka. W pewnym momencie zabrzmiał głośniejszy. Przez szpaler kamiennych posągów kroczyła kobieta, której szata była jeszcze bielsza i bardziej lśniąca od pozostałych. Ciągnąc za sobą długi welon, niesiony przez dwie służki, godnie kroczyła ku tronowi.

Przez krótki moment orkowie mogli zobaczyć jej twarz. W oczach Rammara i Balboka elfini była szkaradnie brzydką babą, co znaczyło tyle, że wśród elfów i ludzi mogła uchodzić za wprost nieziemską piękność. Proste, niemal białe włosy otaczały ramą twarz o regularnych rysach, której wysoko sklepione policzki nadawały szlachetny wygląd. Oczy miała wąskie jak wszystkie elfy, o trzeźwym i uważnym spojrzeniu. Na jej ustach igrał pewny siebie uśmiech, który Rammar uznał za oznakę wywyższania się jej rasy.

- To ona? - syknął do świątynnego sługi i kiedy ten odpowiedział tylko: „Mmh”, wyjął mu z ust knebel i powtórzył: - Czy to arcykapłanka?

- T... tak. Na imię ma Alannah.

- Mam gdzieś jej imię. Interesuje mnie tylko to, co ma w głowie.

Przy dźwiękach obrzydliwego śpiewu procesja dotarła do końca sali. Czekający tam kapłani skłonili się gęboko i Alannah

zajęła miejsce na tronie. Oczywiście nie zrobiła tego tak po prostu. Nawet siadając tylko na chwilę na swoim *asar*, elfy muszą pamiętać o tuzinach formalności - pomyślał rozbawiony Rammar. W końcu śpiew wybrzmiał i kapłanka przemówiła donośnym głosem.

- Co ona mówi? - spytał jeńca Rammar.

- Powtarza słowa proroka Farawyna.

- Nie słyszałem o takim. Co to za dureń? Elf wyglądał na dotkniętego.

- Prorok Farawyn był wielkim mędrcem i uczonym, żył w czasach Drugiej Wojny - wyjaśnił. - To od niego pochodzi przepowiednia, że pewnego dnia przybędą nowi władcy i na nowo zjednoczą Ląd.

- Naprawdę? I wy wierzycie w taki *shnorsh*? - Rammar dobył z siebie pomruk, mający uchodzić za rozbawione chichotanie. - To może wy, spiczastousi, jednak wcale nie jesteście tacy sprytni, jak się opowiada...

Ponownie zaryzykował zerknięcie nad barierką. Kapłanka zakończyła mowę i zaintonowała piskliwą pieśń.

- Au - warknął Rammar. - Co ta baba teraz wyprawia?

- Śpiewa pierwsze strofy Enyali. To medytacyjna pieśń, która pomaga jej przypomnieć sobie tajemnicę Shakary. Kiedy śpiewa, przywołuje w pamięci wszystkie szczegóły mapy, której znajomość była przekazywana z pokolenia na pokolenie, a pochodzi z czasów proroka Farawyna i króla...

Rammar machnął łapą.

- Już dobrze, dobrze...

Elfy miały irytujący jego zdaniem zwyczaj gadania o wiele za dużo, niewiele przy tym mówiąc. Z orkami było dokładnie odwrotnie.

Kapłanka śpiewała dalej i oczy wszystkich były zwrócone na nią. Nawet świątynne strażnicy wydawały się być całkowicie skupione na rytuale.

- Teraz albo nigdy - szepnął do brata Rammar. - Lepsza okazja nam się już nie zdarzy.

- Jak zaczniemy? - spytał chudzielec.

- Musimy znaleźć drogę, którą można tam zejść. Potem wpadniemy do świątyni, zabijemy kilku spiczastouchych, żeby narobić zamieszania, chwycimy kapłankę, zabijemy jeszcze kilku spiczastouchych ot, tak, dla zabawy, i zwiejemy. Nim zobaczą, że tu jesteśmy, już nas nie będą...

Reszta tego, co chciał powiedzieć, dosłownie uwięzła Rammarowi w gardle, gdyż w tym momencie zobaczył, że popełnił poważny błąd: w podnieceniu zapomniał ponownie zakneblować jeńca. Elf uchwycił się tej szansy i wydał z siebie przeraźliwy ostrzegawczy wrzask.

Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie.

Gdy pieśń kapłanki urwała się gwałtownie i zaalarmowane straże rozglądały się wokół, Balbok zrobił jedyną rzecz, jaka mu w pośpiechu przyszła do głowy, żeby zmusić do milczenia krzykliwego zdrajcę: bez namysłu wyrzucił go przez balustradę. Elf poleciał w dół wciąż z przeraźliwym wrzaskiem na ustach. Po chwili rozległo się okropne klaśnięcie i krzyk zmienił ton, przechodząc w lamentujące wycie. Wśród elfów wybuchła panika i oczywiście świątynni strażnicy spojrzeli ku galerii, na której skryli się orkowie.

- *Shnorsh* - krzyknął Rammar, ale tamci już rzucili się ku prowadzącym na galerię kręconym schodom.

Nie było czasu do namysłu. Balbok dalej robił to, co podpowiadał mu instynkt. Skoczył na balustradę i śmiało rzucił się szczupakiem w pustkę.

- Co, na płomień Kurula?... - Rammar, przekonany, że jego prostoduszny brat postradał rozum, spojrzzał za balustradę, by ze zdziwieniem stwierdzić, że co jak co, ale Balbok z pewnością nie rzucił się wprost w śmierć, ogarnięty paniką. Długimi nogami odbił się tak mocno, że zdołał osiągnąć krawędzi kryształowego żyrandola. Chwyciwszy go mocno, kołysał się wraz z

ogromną konstrukcją tam i z powrotem. Kilka kryształów odcepiło się, spadły w dół i z dźwięcznym brzękiem roztrzaskały się na błyszczące odłamki.

Elfinie krzyknęły przerażone, świątynni słudzy grozili gniewnie pięściami. Nagle zjawili się łucznicy i chcieli mierzyć do Balboka, jednak nim zdążyli wysłać z łuków strzały, ork puścił huśtający się żyrandol i szerokim łukiem poleciał przez powietrze. Przekreślił się, wykonał bardziej lub mniej eleganckie salto, by w końcu na szeroko rozstawionych nogach wylądować przed tronem, na którym siedziała przerażona arcykapłanka elfów.

Balbok, któremu jeszcze trochę kręciło się w głowie od karłowatego skoku, wyszarpnął zza pasa topór i zamachał nim wokół siebie. Dwóch kapłanów upadło, zalewając się krwią, pozostali uciekli wśród panicznego krzyku. Natarli za to świątynni strażnicy z mieczami i tarczami.

Pierwsza linia straży dotarła do przeciwnika i uderzyła. Balbok natychmiast przeszedł do kontrataku. Żeleźce jego topora wgrzyzło się w pierś elfa, i to z takim impetem, że bez trudu rozerwało jego zbroję. Elfi wojownik upadł z jękiem, a ork odwrócił się we właściwym momencie. Drzewce jego topora zdążyło jeszcze zablokować zakrzywione, pałające żądzą jego krwi elfie ostrze, nim zdołało przeciąć mu gardło.

Balbok wyszczerzył zęby i przewracając oczami, wydał dziki ryk. Odepchnął napastnika, po czym zamachnął się za nim siekierą, ale cios odbił się bezskutecznie od tarczy strażnika. Na twarzy widocznej pod hełmem nie znać było nienawiści ani niechęci, nie było nawet cienia gniewu. Elfi wojownik robił tylko to, co mu rozkazano, co przykazywała mu dyscyplina i do czego zobowiązywał kodeks.

- Powiedz - zawołał do niego Balbok - jakim wy właściwie ludem jesteście? Czemu nie ryczycie, kiedy ruszacie do walki? Czemu nie rzucacie obelg na przeciwników?

- Bo nie jesteśmy barbarzyńcami, ty prymitywna kreaturo - odparł elf i zrobił raptowny wypad, błyskawicznie odparowany przez Balboka. Rzucając się na ziemię, ork uniknął ostrza, które przeszło tuż nad nim. Obrócił się na ziemi i ciął toporem w kierunku piszczele przeciwnika, a ponieważ wojownik nie nosił nagolenników, ostre żeleźce przecięło mięso, ścięgnę oraz kości. Okaleczony elf z piskiem upadł na ziemię, zaś Balbok błyskawicznie się poderwał.

- Możę i jesteśmy prymitywnymi kreaturami! - krzyknął do wijącego się elfa. - Ale za to stoimy na ziemi mocno obiema nogami!

Unosząc zakrwawiony topór, okręcił się wokół, rozglądając się za nowymi przeciwnikami, ale tam już nikogo nie było. Łucznicy wzięli pod ostrzał Rammara, który bronił się przed strzałami, a strażnicy z drugiej strony sali jeszcze nie dobiegli. Tylko o dwie długości ręki od Balboka arcykapłanka siedziała na swym kamiennym tronie i wpatrywała się w niego przerażona.

- Ktoś coś mówi? - zapytał Balbok i wyszczerzył w szerokim uśmiechu żółte zęby.

Odpowiedziała coś w języku elfów, którego ork nie rozumiał, ale nie wydało mu się, żeby to było szczególnie miłe. Przynajmniej w żyłach kapłanki zdawała się płynąć jeszcze prawdziwa krew - jej twarz była wykrzywiona gniewem, a oczy tryskały nieskrywaną nienawiścią.

Ani jedno, ani drugie nie powstrzymało orka przed wdarciem się po stopniach schodów na tron, schwyceniem elfini i przewieszeniem jej sobie przez ramię jak worka. W odpowiedzi arcykapłanka porzuciła wszelką wytworną powściągliwość, pisnęła jak oszalała i zabębniła pięściami po jego plecach, co wywołało tylko uśmiech orka.

- Rammar, mam ją! - zawołał głośno i odwrócił się.

Chciał pobiec przez sanktuarium do wyjścia, ale zastąpiła mu

drogę falanga zaciętrzewionych elfich wojowników. Zajęli pozycje półkolem wokół tronu.

- Nie ruszać się! - krzyknął do niego jeden z elfów, zapewne dowódca. - Natychmiast uwolnij arcykapłankę, szkaradny dzikusie, albo przygotuj się na śmierć!

Balbok przygryzł wydatne usta.

Walczyć z pojedynczymi elfimi wojownikami, załatwiając jednego po drugim, to jedno, ale stawić czoła całemu oddziałowi naraz - to zupełnie inna sprawa. Ostre jak brzytwy klingi ich mieczy posiekają go na kawała nim uda mu się rozplatać czaszkę choćby jednego. A może nie?

Na twarzy Balboka pojawił się szelmowski grymas. Jasne, że nie ma ochoty dać się zaszlachtować tej bandzie elfów. Z drugiej strony, kusiło go, żeby dowiedzieć się, kto naprawdę jest lepszym wojownikiem: elf czy ork.

Poczuł, jak krew burzy mu się w oczekiwaniu spodziewanej walki. Już chciał puścić broniącą się nadal wściekle brankę na ziemię, by móc poświęcić całą uwagę przeciwnikom, kiedy usłyszał wołanie Rammara, który wypadł z galerii i natychmiast pojawił się u wejścia do sanktuarium.

- Stój! - głośny krzyk odbijał się echem od wysokiego sklepienia sali. - Masz zakładniczkę, głupi baranie! Nie musisz walczyć! A wy, spiczaste uszy, odsuńcie się i pozwólcie mu przejść. Wtedy waszej kapłance nie spadnie włos z głowy!

- A jeśli nie ustąpimy? - spytał dowódca, nie odrywając oczu od Balboka i Alannah.

- To wytniemy jej na twarzy nowy wzorek! - odwrzasnął Rammar. - Kapujecie?

Straże i ich dowódca spojrzeli po sobie, zbici z tropu. Wreszcie oficer dał znak swoim podkomendnym, żeby opuścili broń i pozwolili Balbokowi przejść - i to mimo głośnych protestów kapłanki.

- Chodźże wreszcie! - krzyknął Rammar i skinął na brata. Balbok z Alannah na ramieniu przemierzył świątynię zamasyzowanym krokiem, mijając łuczników. Nie mieli już odwagi strzelać, obawiali się o bezpieczeństwo swej arcykapłanki. Ork dotarł do wyjścia i wraz z Rammarem rzucił się do ucieczki, pełen podziwu dla sprytu brata.

- Szacunek, Rammar! - zawołał, biegnąc pośpiesznie korytarzem. - Użyć branki jako zakładniczki, to świetny pomysł!

- Prawda? - odpowiedział dumnie starszy brat. - Przyznajesz teraz, że z nas dwóch ja jestem lepszym orkiem?

- Się rozumie. Ja wprawdzie zabiłem kilka elfów, ale ty uratowałeś głowy nam obu.

- No cóż, twój skok z galerii też nie był zły. Po mnie, Balbok, jesteś najlepszym orkiem, jakiego znam.

- Szczerze, Rammar?

- Zupełnie szczerze, ja...

- Powiedźcie no, komedianci! - odezwała się nagle kapłanka. - Moglibyście na chwilę przestać bredzić od rzeczy i zdradzić mi, o co w tym wszystkim chodzi?

Rammar i Balbok spojrzeli po sobie zdziwieni. Rozmawiali po orczeniu i ku ich zaskoczeniu kapłanka najwyraźniej nie tylko ich rozumiała, ale również sama posługiwała się całkiem przyzwoitym orczym (choć może nieco skażonym elfickim akcentem).

- Ty... ty mówisz po naszymu?

- A jakże, tłuściochu - odparowała. - I zastanawiam się, czy wy w ogóle domyślacie się, ile kłopotów sprowadzicie sobie na głowę tą historią.

- To już nasza sprawa, elfia babo! - odparł szorstko Rammar. Nie lubił, kiedy obcy mówili językiem orków. Jak, proszę was, rozróżnić te wszystkie rasy, kiedy wszyscy zaczną paplać językami innych?

Zatrzymał się gwałtownie.

Korytarz, którym biegli, rozdzielał się i Rammar, mimo najlepszej chęci, nie wiedział, czy mają wybrać lewą, czy też prawą odnogę. Przedtem przyszli inną drogą, ale nawet gdyby mieli nią teraz wracać, pogubiliby się w płataninie otaczających kolumnami pomieszczeń.

- Do kroćset! - wrzasnął do Balboka, słysząc dobiegające z za pleców głosy goniących ich straży. - Masz pojęcie, która droga prowadzi na zewnątrz?

- Nie. - Twarz młodszego orka się wydłużyła.

- Idioci! - nadała się kapłanka, która, jak widać, nie posiadała krzty emfaticznego sposobu bycia swego gatunku. - To ma być porwanie? Nie mieliście planu ucieczki?

- Pewnie, że mieliśmy - zapewnił Rammar i zaśmiał się grubiańsko. - Ale niestety połamał sobie kości. Wygląda na to, że ty musisz pokazać nam drogę do wyjścia.

- Ja?

- Właśnie tak. - Rammar przystawił jej czubek *saparaka* do gardła. - Który korytarz mamy wybrać? Tylko szybko.

Kapłanka zacisnęła usta z uporem, a wąskie oczy promieniowały pogardą. W tym momencie z za zakrętu nadbiegł oddział uzbrojonych w miecze straży.

- Gadaj, ale już! - zażądał Rammar, docisnąwszy mocniej broń.

- Tamtędy! - Ruchem głowy wskazała lewy korytarz i Rammar z Balbokiem natychmiast rzucili się do dalszej ucieczki.

Elfie straże deptały im po piętach, nie ważyły się jednak atakować orków, by nie narażać na niebezpieczeństwo życia swej arcykapłanki. Jako że ona jedyna znała odwieczną tajemnicę Shakary, jej śmierć oznaczałaby bezpowrotną stratę, a żaden z nich nie chciał być temu winny.

Rammar i Balbok uciekali korytarzem, używając branki jako żywej tarczy. Gdy napotkali schody prowadzące w dół i w górę,

kapłanka poleciła im zejście. Po mnóstwie dalszych korytarzy i schodów ich ucieczka raptownie skończyła się przed ogromnymi wrotami, z kunsztownie rzeźbionego kamienia. Była to niewątpliwie główna brama, którą wcześniej widzieli z zewnątrz.

Orkowie spojrzeli w górę. Wszelka próba poruszenia ciężkiej zasuwki wydawała się pozbawiona szans.

- I co teraz? - spytała kapłanka z nieskrywanym szyderstwem. - Co zamierzacie uczynić, moi debilni przyjaciele?

- Ty nam otworzysz tę bramę - zażądał Rammar, groźnie wygrażając *saparakiem*. Głosy pogoni wciąż się zbliżały i z każdą chwilą stawały się coraz głośniejsze. - Straże zaraz tu będą...

- Ja? - elfini roześmiała się dźwięcznie. - Nigdy! Nie zegnę nawet palca.

- Więc umrzesz! - zagroził Rammar.

- Każdy umrze, gdy nadejdzie jego czas - odpowiedziała cynicznie, a po jej spojrzeniu Rammar poznał, że naprawdę nie obawia się śmierci. Przeciwnie, to elfie babsko zdawało się przeomarzać z własnym końcem jak ludzka dziewczka z zalotnikiem.

Co robić?

Rammar jeszcze raz przesunął wzrokiem w górę potężnych drzwi. Wydawało się, że nie ma mechanizmu służącego do przesunięcia wielkiej zasuwki, a własnymi siłami z pewnością nie dokonają tego nawet dwaj orkowie. Wpadli w pułapkę, a wszystkiemu winne było to spiczastouche babsko.

- Ty!... - prychnął Rammar i ponownie skierował ku niej ostrze dzidy. - Zrobiłaś to specjalnie.

- Chcieliście poznać drogę do wyjścia czy nie? To jest wyjście, więc nie macie się co skarżyć!

- Ale tej bramy nie da się otworzyć.

- Nikt nic nie mówił o otwieraniu. Pytałeś tylko o drogę.

- Ty ńędzna, przekłęta... - Rammar chciał obrzucić elfinie najgorszymi obelgami, jakie znał język orków, ale oto na dziedzińcu pojawili się ścigający ich strażnicy. Unosząc ozdobione znakiem kryształu tarcze, zaatakowali i utworzyli półkole wokół orków, stojących plecami do bramy.

- Poddajcie się! - zażądał dowódca. - Nie macie możliwości ucieczki!

- Ja widzę to inaczej - przekornie odparował Rammar. Zaciśnął lewą łapę na włosach zakładniczki, nadal przewieszoną przez ramię Balboka, poderwał jej głowę do góry i przyłożył ostrze dzidy do gardła.. - Mamy kapłankę, a tylko ona zna tajemnicę. Jeśli nie będziecie uważać, zginie i mapa Shakary będzie na zawsze stracona.

- Może. Ale nie możesz wiecznie tu stać i grozić jej śmiercią.

Rammar musiał przyznać: to niestety prawda. Wcześniej czy później dojdzie do walki, a jej wynik nie pozostawia wątpliwości...

- Tam! - szepnął nagle Balbok.

- Nie przeszkadzaj mi teraz! - warknął Rammar. - Muszę się zastanowić!

- Tam, po drugiej stronie! - nalegał brat.

- Co takiego? - spytał opryskliwie Rammar.

- Zagłębienie w ścianie...

Rammar skierował wzrok za wyciągniętą łapą brata i również on dostrzegł wnękę, znajdującą się w murze na lewo od bramy.

Mechanizm otwierający?

- Ty pilnuj tutaj - mruknął Rammar i podczas gdy Balbok groził brance, sam podbiegł do wnęki. Rzeczywiście, wpuszczono w nią czworokątną kamienną płytę, a w niej z kolei zobaczył wykuty odcisk małej dłoni, najwyraźniej dłoni elfa.

Nie mieli nic do stracenia. Rammar uniósł łapę, by położyć ją na kamiennym odcisku dłoni.

- Nawet o tym nie myśl! - krzyknęła kapłanka. - To odcisk prawej dłoni Farawyna. Tylko elfy królewskiego rodu mogły niegdyś otwierać furtę w ten sposób, ostatni raz przed ponad ośmiuset laty!

- Tylko elfy królewskiego rodu. Ho, ho... - skrzywił się Rammar. Teraz tym bardziej nie mógł się powstrzymać i ledwo przyłożył łapę do wgłębienia, poczuł, jak zimny kamień nagle się rozgrzewa.

Błękitna poświata, jak ta promieniująca z kryształów, otoczyła nagle bramę i ciężki rygiel - a ten w mgnieniu oka uniósł się jak dźwignięty niewidzialną ręką.

- Nie! - krzyknęła przerażona Alannah, a strażę, wliczając nieustraszonego dowódcę, cofnęły się.

Ogłuszające skrzywienie i trzeszczenie bramy wstrząsnęły całą świątynią. Kamienne wrota powoli się rozchylały, powlekający je lód kruszył się i opadał na dół, a trzaskające, mroźne powietrze wpadło do środka ze świstem. Mroczne światło długiej północnej nocy wnikało przez coraz szerszą szczelinę, aż skrzydła bramy rozchyliły się i otwały orkom drogę na wolność.

- Na mroczny płomień Kurula! - krzyknął Rammar, a Balbok również zadrżał z przerażenia. Choć orkowie są istotami mroku, jest w nich głęboko zakorzeniony strach przed wszelką magią i nienaturalnymi siłami. To, że tę ucieczkę umożliwiły akurat nędzne czary elfów, wydało się im więc wysoce podejrzane.

Również elfowie jeszcze się nie otrząsnęli. Kapłanka była tak zaskoczona, że przestała się bronić i obrzucać porywaczy obelgami, a strażę stały jak skamieniałe, nie mogąc uwierzyć w to, co widzą.

Pierwszy pozbierał się Balbok.

- Na co czekamy? - zapytał. Orkowie odwrócili się i ruszyli do ucieczki. Z branką na ramieniu popędzili w zimną noc.

- To niemożliwe! - zawołała kapłanka, zapominając zupełnie o bronieniu się. - To po prostu niemożliwe...

- Zamknij gębę, elfia babo. Jest przeciąg! - przerwał brutalnie Rammar, biegnąc po zmrożonym śniegu, skrzypiącym pod ich krokami. - Powinnaś wreszcie zrozumieć, że dla prawdziwych orków nie ma nic niemożliwego!

- Ale to jest Brama Farawyna i jego dłoń wykuta w kamieniu. Nikt nie zdołał otworzyć bramy...

- Nikt oprócz nas! - odpowiedział z uśmiechem Balbok.

- To po prostu niemożliwe - upierała się kapłanka, po czym zapadła w milczące zamyślenie.

Rammarowi bardzo to odpowiadało. Gadanina elfini działała mu na nerwy, do tego Balbok i on mieli zupełnie inne zmartwienia niż łamanie sobie głowy nad tym, dlaczego brama nagle się otworzyła. Od lodowego żaglowca dzieliło ich pół mili, a świątynne stráže oczywiście nie będą się tak po prostu przyglądać, jak ktoś uprowadza ich kapłankę.

Przez stojące otworem wrota dobiegły ich podniecone krzyki, uciszone wreszcie donośnym rozkazem. Na kilka chwil zapanaowała cisza, podczas której Rammar i Balbok nie słyszeli nic prócz skrzypienia własnych kroków po śniegu i swoich zadyszanych oddechów.

Potem spokój się skończył.

Ciszę szarej nocy rozerwał przenikliwy wrzask jak z gardeł rozwścieczonych trolli. Przestraszeni Rammar i Balbok obejrżeli się w biegu i ku swemu przerażeniu zobaczyli dużo wielkich postaci, wypadających z bramy świątynnej twierdzy.

- *Mathum-duuchg'hai* - krzyknął Balbok. - To niedźwiedzie polarne!...

I rzeczywiście - nadbiegały ogromne niedźwiedzie, a każdy skok tych ciężkich kolosów zdawał się wstrząsać Białą Pustynią. Dwaj orkowie znali je dotąd tylko z opowieści, lecz Rammar musiał przyznać, że straszne historie o *mathum-duuchg'hai* nie były ani trochę przesadzone. Ich tryskające siłą cielska pokrywało kudłate białe futro, pod którym znać było grę ogromnych mięśni, a z wysadzanych wielkimi zębami pysków, z których każdy był dość wielki, by jednym albo dwoma kęsami pożreć dorosłego orka, wylatywały chmury parującego oddechu.

Spostrzegli też wojowników elfów. Na grzbiecie każdego niedźwiedzia siedziało w siodłach trzech albo czterech wymachujących bronią strażników, podczas gdy właściwi jeźdźcy przycupnęli na karkach bestii i prowadzili je cugłami, w drugiej ręce trzymając długi oszczep.

- Nie ma wątpliwości, chcą odzyskać kapłankę! - zauważył ochryple Rammar. - Co też w niej takiego widzą? Gdybym ja w mojej świątyni miał takie szkaradne babsko, byłbym szczęśliwy, gdyby ktoś je ukraść.

- Słyszałam! - odezwała się branka. - Pożałujesz tego, pokracczny potworze. Każę cię ściąć i wystawić twój łeb na widok publiczny!

- Nigdy nie obiecuj, czego nie możesz dotrzymać, kapłanko - skontrował Rammar, lecz nie zabrzmiało to bardzo przekonująco, bo polarne niedźwiedzie zrobiły na nim potężne wrażenie. Popędzane przez jeźdźców, zbliżały się do nich coraz bardziej i poszerzyły szyk, by zaatakować szerszym frontem.

- Biegnij szybciej! - zawołał do brata Rammar. - Inaczej zaraz będą nas mieli!

- Nie damy rady - odpowiedział Balbok. - Jeśli nic nie wymyślimy, jesteśmy zgubieni.

- Co ty nie powiesz? Masz jakiś pomysł?

- Potrzyмай! - krzyknął Balbok i w biegu rzucił Rammarowi brankę, która wrzasnęła przerażona.

Zbyt zaskoczony, by protestować, Rammar złapał elfinię i biegł dalej, trzymając ją w ramionach. Balbok w międzyczasie zerwał z ramienia łuk i założył strzałę na cięciwę. Płynnym ruchem wycelował ją i wypuścił.

Pomknęła przez zmierzch, a po chwili trafiła w pierś jeźdźca, prowadzącego jedno ze środkowych zwierząt. Elf wydał ostry krzyk i upadł, uderzając z boku w kark niedźwiedzia, który zrozumiał to jako sygnał. Skręcił i zderzył się ze zwierzęciem obok siebie, i to z takim impetem, że obie bestie się przewróciły, a siedzące na nich w siodłach elfy zostały wyrzucone w powietrze.

Rammar wydał okrzyk tryumfu, lecz jeśli sądził, że spowolnił w ten sposób pogoń, mylił się. Pozostali jeźdźcy, trzaskając biczymi, pogonili niedźwiedzie i coraz bardziej ich doganiali.

- Biegnij, Rammar! - krzyknął niepotrzebnie Balbok, pędząc za bratem i ponownie zakładając strzałę na cięciwę.

- Durny kundel! - dobiegła go zdyszana odpowiedź. - A jak myślisz, co robie?

Balbok ponownie odwrócił się w biegu i puścił cięciwę. Tym razem chybił, ale natychmiast posłał następną strzałę, tym razem celnie. Trafiła w oko niedźwiedzia i z obrzydliwym trzaskiem wbiła się głęboko w jego czaszkę. Rycząc, zwierzę stanęło dęba i strząsnęło czterech dosiadających je elfów.

Dwa pozostałe niedźwiedzie oddaliły się od siebie, by nie stanowić łatwego celu. Balbok mógł strzelić tylko do jednego z goniących. Zrezygnował z posyłania kolejnej strzały, wziął nogi za pas i pędził najszybciej, jak potrafił. Od brata nauczył się, że wprawdzie orkowi przystoi walczyć z wrogiem, aż do gorzkiego końca, ale że to raczej głupie. W pewnych okolicznościach lepszą alternatywą jest ucieczka.

Orkowie minęli już pierwszą lodową iglicę. Płuca paliły ich od zimnego powietrza, nogi bolały, ale zmuszali się do dalszego biegu, co w obliczu wściekłej pogoni nie przychodziło im ze zbyt wielkim trudem.

Słyszeli już zdyszany oddech lodowych bestii, gnających przez szarą noc. Elfy wciąż nie ważyły się strzelać, obawiając się trafienia arcykapłanki, ale Rammar nie wątpił, że ta wstrzemięźliwość nie potrwa długo. Najpóźniej wówczas, gdy świątynne straże odkryją, co jest celem biegu orków, zrozumieją, że jeśli nie chcą zostać z pustymi rękami, muszą zaatakować.

Uciekinierzy z zakładniczką dotarli do dużego bloku lodu, za którym ukryli żaglowiec. Choć zwykle Rammar uwielbiał mieć rację, tym razem nie miałby nic przeciw temu, żeby się mylić. Stało się jednak tak, jak przewidział: kiedy elfy zobaczyły, że orkowie mają przygotowany pojazd, którym z łatwością umkną przed niedźwiedziami, założyły strzały na cięciwy swoich długich łuków, a jeźdźcy na grzbietach zwierząt opuścili dzidy.

- Atakują! - ostrzegł Rammar, wraz z bratem wskazując bez tchu na pokład lodowego żaglowca. - Wiedzą, że to ich ostatnia szansa, żeby nas złapać.

- *Shnorsh!* - zaklął Balbok i wystrzelił dwie dalsze strzały, jednak obie chybiły celu.

- Spuść liny! - rozkazał Rammar, na co chudzielec bez namysłu toporem odrąbał liny mocujące żaglowiec. Kilkoma celnymi ciosami topora przeciął również cumy. Skórzany żagiel opadł bezszelestnie i wiotko zwisał z rei.

- Hej, co się dzieje? - wściekł się Rammar. - Gdzie podział się ten przeklęty wiatr?

- Wy głupki, statek trzeba ustawić do wiatru! - krzyknęła do niego kapłanka.

- He? Co za bzdura! Jadąc tutaj, nie musieliśmy robić nic takiego.

- To mieliście więcej szczęścia niż rozumu i wiatr wiał cały czas z tego samego kierunku. Teraz się zmienił i jeśli w końcu czegoś nie zrobicie, za kilka chwil będziecie martwi!

Nagle, jakby na potwierdzenie jej słów, dał się słyszeć okropny świst. Nim Rammar i Balbok zdążyli rzucić się na ziemię, w pokład i w dziobówkę uderzył tuzin strzał.

- *Shnorsh*, ten babol ma rację - niechętnie przyznał Rammar. - Pomóż mi, głupku, bo będzie po nas!

Balbok zrobił, co mu kazano, i sięgnął po jeden z drążków, sterczących przy maszcie z żelaznych klamer.

- W prawo! - krzyknął i pchnął.

- Nie, w lewo! - sprzeciwił się Rammar, podczas gdy na żaglowiec runął ponownie grad strzał. - I do kroćset, trzymaj w dole swój kapuściany łeb!

Przez chwilę żaglowiec kołysał się tam i powrotem, aż nagle dostał dodatkowe pchnięcie. Wbrew oporowi Rammara kadłub obrócił się w prawo, odsunął od lodowej iglicy, chwycił wiatr w żagle i ruszył do przodu.

- Taaak! - Rammar głośno wykrzyczał swoją radość i tryumf. Potem zauważył, że to sama kapłanka przyłożyła dłoń, by pomóc Balbokowi pchnąć żaglowiec oraz obrócić go do wiatru.

Orkowie nie mieli czasu, żeby się nad tym zastanowić. Świątynne straże jeszcze nie porzuciły swej pani. Jeden z niedźwiedzi biegł przy sterburcie równoległe do statku, żeby elfy mogły strzelać z łuku do przeciwników, drugi próbował odciąć żaglowcowi drogę.

Przez powietrze ponownie świsnął grad strzał, zmuszając orków i ich zakładniczkę do padnięcia na deski i poszukania ochrony za nadburciem. Groty z głuchym stukotem uderzyły w drewno. Za nimi pojawili się atakujący. Ich potężny wierzchołek uderzył w bok żaglowca i wojownicy skoczyli z grzbietu

zwierzęcia na pokład, wymachując mieczami o zakrzywionych klingach.

Balbok poderwał się, wydał wściekły okrzyk i rzucił się im naprzeciw. Dwóch elfów strącił z dziobówki trzymanym oburącz toporem, ledwie postawili stopę na pokładzie. Z trzecim skrzyżował broń. Klinga elfa i żeleźce topora uderzały z brzękiem o siebie. Balbok pełnymi impetu ciosami popychał wojownika w kierunku achterdeku i przyparł go do drążka rumpla.

- Nie! - krzyknęła przerażona Alannah, ale strażnik świątynny upadał już z rozplataną piersią, a Balbok jego również wyrzucił za reling.

Tymczasem lodowy żaglowiec ruszył w drogę. Płozy z trzaskiem sunęły po lodzie, wiatr pchał statek, wydymając żagiel. Ostatni niedźwiedź, który stanął, parskając, na drodze żaglowca, został odrzucony dziobem w bok. Ogromne stworzenie runęło ze skowytami i pogrzebało pod sobą siedzące w siodłach na jego grzbiecie elfy.

Niepowstrzymany i nieosiągalny już nawet dla długich łuków elfów lodowy żaglowiec mknął w białą, mglistą dal, na horyzoncie zlewającą się z szarym niebem.

Rammar i Balbok odnieśli zwycięstwo.

Mapa Shakary była w ich rękach.

11. BUUNN'S RUCHG

Rammar wpadł w euforię. Stojąc na szeroko rozstawionych nogach przy drążku steru żaglowca, prowadził statek po gładkiej jak lustro powierzchni Lodowej Pustyni. Świątynię Shakary zostawili daleko za sobą, przed nimi zarysowywała się już groźna sylwetka Północnego Wału. Zamiast po prostu trzymać się kursu na południe i wrócić tą samą drogą, jaką przybyli, Rammar obrał kierunek południowo-wschodni. Miał po temu dobry powód...

- Nie wiem - powiedział nagle Balbok, który stał obok niego na achterdeku i wystawiał nos na lodowaty pęd wiatru.

- Czego nie wiesz? - spytał swobodnie Rammar. Dziś humoru nie mogła mu zepsuć nawet głupawa gadanina brata.

- Nie podoba mi się to - oznajmił Balbok i spojrzął na niego zatroskanym wzrokiem.

Rammar westchnął i pokręcił głową.

- Co ci się nie podoba?

Balbok wzruszył ramionami.

- Po prostu mi się nie podoba.

Rammar chrząknął niechętnie.

- A ja ci mówię, że wszystko jest w najlepszym porządku i nie musisz się martwić. Mamy za sobą trzewia Torgasa, przebyliśmy bagna i pokonaliśmy ghule, przechrztyliśmy krasnoludy i zabraliśmy ludziom ten statek, a na koniec dostaliśmy się do świątyni Shakary, uprowadziliśmy arcykapłankę i udało nam się uciec. Co takiego ci się w tym nie podoba?

- Uciekliśmy - zgodził się Balbok. - Ale tylko dlatego, że kapłanka nam pomogła.

- Chodzi ci o to, że złapała za drążek i odepchnęła zagłowiec? - Rammar ponownie chrząknął, tym razem miało to wyrażać rozbawienie. - Mogę ci to wyjaśnić: elfy mają wielkie gęby i plotą z namaszczeniem trzy po trzy, ale jak przyjdzie co do czego, są z nich marne tchórze. Kapłanka w niewoli u dwóch orków po prostu miała stracha. Pomogła nam więc, w nadziei, że oszczędzimy jej życie, co też zrobiliśmy. Pytanie tylko, na jak długo. - Rammar wybuchnął dudniącym śmiechem, czuł się w tym momencie jak władca Stęchłej Marchii.

Balbok nie podzielał jego euforii.

- Nie wiem - zaczął znowu. - Moim zdaniem elfini się nie boi. Myślę, że ma coś w zanadru. Nie tylko pomogła nam ruszyć statek, ale i zdradziła, gdzie znaleźć przełęcz przez Północny Wał. Dlaczego?

- To przecież jasne. Oczywiście, żeby ratować swoją skórę.

- Hm. - Balbok pokręcił głową. - To nie ma sensu. Co na tym zyskuje?

- Co ma zyskać? To tylko baba, nie zapominaj. I na dodatek jeszcze szpicel.

- A jeśli chce nas zwabić w pułapkę?

- Bzdura - oświadczył z przekonaniem Rammar. - Uwierz mi, wystarczająco dobrze znam elfy. Jak przyjdzie co do czego, nie mają za grosz odwagi.

- Myślałem, że jeszcze nigdy nie miałeś z nimi do czynienia.

- Bo nie muszę, żeby wiedzieć, dokąd biegnie gnom - stwierdził Rammar. Wskazał w stronę dziobówki, przy której stała branka. Odwróciła się do nich plecami. - Uwierz mi, przejrzałem tę elfinię. Wszystko, czego pragnie, to za wszelką cenę przeżyć.

- Co mag z nią zrobi?

- Jeśli ma rozum, zdradzi mu dobrowolnie to, czego on chce się od niej dowiedzieć. Jeśli nie, to Rurak na pewno zna stosowne środki, żeby zmusić upartą elfinię do mówienia. - Rammar zachichotał złośliwie. - Nam to wszystko jedno. Najważniejsze, że dostaniemy łeb Girgasa i będziemy mogli wrócić do domu.

- To prawda - przyznał mu rację Balbok, trochę uspokojony. - Lodowy żaglowiec oszczędził nam wiele dni marszu. Przy odrobinie szczęścia możemy jeszcze zdążyć z powrotem do *balboug* przed pełnią Posokowego Księżyca.

- Zgadza się. A wszyscy, którzy kopali nas w *asar* i szydzili, będą przed nami pełzali - mruknął Rammar. - Może zdżgam jednego albo dwóch z tych idiotów, żeby pokazać, że nie wolno kpić z Rammara Gniewnego.

- Rammar Gniewny? - Balbok spojrział na brata zaskoczony.

- Tak. To wojenne imię, które przybrałem. Świetnie brzmi, co?

- Bardzo dobrze - przytaknął Balbok. - W takim razie ja chcę od teraz nazywać się Balbok Brutal.

- Też nieźle - Rammar wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Kiedy wrócimy z łbem Girgasa, będą na kolanach błagać nas o

wybaczenie, a potem w wiosce jeszcze długo będzie się o nas opowiadać.

- I naprawdę myślisz, że elfini nie kryje w zanadrzu żadnej niespodzianki?

- Do krocset! - Rammar tupnął, aż zadrżały deski pokładu.
- Swoim wiecznym biadoleniem potrafisz popsuć najlepszy humor. Ale proszę, skoro koniecznie chcesz, to z nią porozmawiam. Jeśli rzeczywiście coś przed nami ukrywa, na pewno to zauważę, możesz na mnie polegać...

Z pewnością nie w TAKI sposób Alannah wyobrażała sobie swoje uwolnienie z Shakary.

W ciągu długich lat, kiedy arcykapłanka świątyni wiernie pełniła swą służbę, wypełniając wolę Farawyna, zawsze próbowała wyobrazić sobie, jak to będzie, kiedy proroctwo wypełni się i pojawi się ten, o którym Farawyn powiedział, że zjednoczy ludy *amber* i zapoczątkuje nową erę pokoju i sprawiedliwości. Później, kiedy rosło w niej straszne podejrzenie, iż słowa Farawyna nigdy się nie spełnią, marzyła już tylko o tym, by pewnego dnia przynajmniej ona została uwolniona z pęt, jakie nałożył na nią jej urząd.

Całą nadzieję pokładała w Loreto, przystojnym elfim księciu, któremu podarowała serce. Wmówiła sobie, że on także ją kocha i że kiedyś zabierze ją z Shakary. Ale Loreto odwrócił się od niej - przysłał jej w liście wiadomość, że zamierza wyruszyć do Dalekiego Brzegu. A przecież Alannah została uwolniona z Shakary. Nie przez elfa szlachetnego rodu - ale przez orków, najpodszybsze i najbardziej przebiegłe stworzenia całego *amber*.

Alannah została porwana i nie wiedziała nawet, dokąd podróżują. Ale choć bała się tego, co ją jeszcze czeka, choć początkowo była niezwykle oburzona swoim porwaniem i choć czuła wielki wstręt do swych grubiańskich towarzyszy podróży - przecież po otepiałej nudzie, wypełniającej ostatnie trzysta lat jej

życia, z jego wszystkimi sztywnymi regułami, przykazującymi nawet kiedy ma jeść i spać, po tym wszystkim nawet porwanie przez orków było mile widzianą odmianą. Alannah wciąż ledwie mogła uwierzyć, że sama pomogła poruszyć lodowy żaglowiec i ustawić go do wiatru. W tamtym momencie jednak myśl, że musiałaby wrócić do świątyni i wieść tam dalej swą nudną egzystencję, wydała jej się straszniejsza niż poddanie się mocy dwóch rzezimieszków.

To ciekawość powodowała Alannah. Ciekawość poznania, co znajduje się za wysokimi murami świątyni. Kim są ci orkowie? Na czyje zlecenie działają? I jak udało im się otworzyć wrota Farawyna?

Gdyby Alannah nie podjęła ryzyka, również ta próba jej porwania spaliłaby na panewce, jak wiele poprzednich. Wielokrotnie już barbarzyńscy wojownicy wdzierali się do świątyni, zawsze jednak ich wypędzano. Za to orkowie odnieśli sukces, bo pomogła im kapłanka. I to nie tylko w ucieczce przed niedźwiedzimi jeźdźcami - potem zdradziła im jeszcze, gdzie szukać Południowego Przesmyku przez Północny Wał. Wszędzie wzdłuż gór zaroi się już wkrótce od elfich patroli, lecz z pewnością nie na przesmyku, którego położenie znane jest tylko nielicznym wtajemniczonym.

Jak powiadano, krasnoludy mają własną drogę przez Północny Wał. Podobno używają sekretnego tunelu. Za to elfy znają Południowy Przesmyk z czasów, kiedy przybyły do *amber*, badały tę krainę i podporządkowywały ją sobie.

Stojąc na dziobie żaglowca, Alannah spoglądała na południe, gdzie ostre szczyty gór oddzielały lód od nieba. Mimo cienkich, jedwabnych szat nie marzła. Pęd powietrza bawił się jej długimi, jasnymi włosami, lecz stężała twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Nieustannie zastanawiała się, co czeka ją tam, na południu, dokąd ją wiozą. Dwóch orków to z pewnością nie towarzystwo, jakie

wybrałaby, gdyby miała wybór. Ale to i tak lepsze niż tkwienie w Shakarze jako więzień proroctwa. Rzezimieszki, którym zawdzięczała wolność, byli przebiegli, a do tego brzydcy jak noc, i Alannah tak naprawdę nie była wolna. Ale w ciągu swego na ludzką miarę długiego życia nauczyła się, że ideały rzadko się zdarzają...

Kiedy zatrzeszczały deski za jej plecami, obróciła się.

Jeden z dwóch orków - mały grubas imieniem Rammar - podszedł do niej, szczerząc zęby w podstępny uśmiech na ciemnej twarzy.

- I co, kapłanko? - zapytał, używając języka ludzi, specjalnie pomijając fakt, że Alannah rozumie mowę orków. - Jak ci się podoba niewola?

- Podobałaby mi się bardziej, gdybym nie musiała znosić twego towarzystwa, orku - odpowiedziała chłodno Alannah. - Śmierdzisz jak cały chlew.

Ork uniósł krzaczaste brwi, obwąchał swoją zbroję i po węszył pod pachami, po czym, nie rozumiejąc, pokręcił głową.

- Nie jesteś zbyt przyjazna - stwierdził. - A powinnaś być mi wdzięczna. Mógłbym zamknąć cię pod pokładem, w całkowitej ciemności, bez jedzenia i picia.

- Tego bym ci nie radziła, w końcu muszę pozostać przy życiu. Jeśli umrę, zabiorę do grobu tajemnicę mapy Shakary, nie zapominaj.

- Nie martw się. - Ork uśmiechnął się całą okropną gębą. - Zastanawiam się tylko, co nasz zleceniodawca z tobą zrobi, kiedy już mu powiesz to, co chce wiedzieć.

- Kim jest wasz zleceniodawca?

Rammar wesoło zachrzakał.

- Chciałabyś wiedzieć, co? Ale ci nie powiem, elfia babo. Chcę, żebyś łamała sobie nad tym głowę, aż dotrzemy do celu podróży.

- Rozumiem. A gdzie jest ten cel?
- Tego też ci nie powiem.
- Dlaczego nie?

Ork ponownie zaczął chrząkać, co zapewne miało oznaczać śmiech.

- Myślisz, że nie widzę, co kryjesz w zanadrzu?
- O co ci chodzi?
- O to, że chcesz nas zwabić w pułapkę. Najpierw nam pomagasz uciec przed twymi własnymi poddanymi, a potem jeszcze wspaniałomyślnie zdradzasz nam, gdzie znajduje się wylot Południowego Przesmyku. To dość dziwne, prawda?

- Przyznaję - zgodziła się Alannah. - Ale mam swoje powody.

- Zatem - odparł ork i Alannah poczuła ostrze jego dzidy na gardle - byłoby miło, gdybyś mi zdradziła te powody, spiczastouszko!

- Nie zabijesz mnie - stwierdziła z przekonaniem.
- Dlaczego nie?
- Ja jedyna znam tajemnice mapy. Już zapomniałeś?
- Nie, nie zapomniałem - skontrował ork, szczerząc zęby. - Ale czasem zdarza mi się, że SIĘ zapominam i lepiej, żebyś do tego nie doprowadziła. Więc?

Alannah zastanawiała się przez chwilę.

Obnażenie głębin swojej duszy przed tym stworem nie wchodziło w grę. Nie mówiąc już o tym, że ork i tak nic by nie rozumiał, gdyż tym prymitywnym, sterowanym instynktem istotom uczucia są obce. Dla Alannah dostatecznie upokarzające było to, że musiała pozwolić, by uratowało ją dwóch orków. Duma nie pozwalała jej na jeszcze więcej upokorzenia.

Z drugiej strony, ten tu Rammar jest na tyle głupi, żeby wprowadzić w życie swoje pogroźki, jeśli ona się nie podporządkuje. Dlatego oznajmiła:

- Jestem ciekawa, kim jest wasz zleceniodawca. Dlatego pomogłam wam uciec z Shakary i dlatego zdradziłam wam położenie Południowego Przesmyku.

- To wszystko? - spytał sceptycznie Rammar.

- Wszystko. To jasne, że nie pracujecie na własny rachunek, a skoro nie chcecie mi zdradzić, w czyjej służbie jesteście, jeśli chcę poznać odpowiedź na moje pytanie, chcąc nie chcąc, będę pewnie musiała odbyć tę podróż do końca.

- Hmm... - mruknął Rammar, mierząc ją nieufnie wzrokiem.

- Poza tym - dodała - jestem pod wrażeniem.

- Pod wrażeniem? - Spojrzał na nią zdziwiony. - Czego?

- Do tej pory miałam orków za tchórzliwe, podstępne stworzenia. Jednak wy dwaj, a szczególnie ty, Rammar, jesteście dzielnymi wojownikami, nie stroniącymi od walki. Daliście dowody wielkiej odwagi. Jeśli obiecacie, że będziecie mnie przyzwoicie traktować, to zapewniam, iż nie będę próbowała uciekać.

Choć Alannah nie miała wprawy w czytaniu z wyrazu twarzy orków, poznała, że Rammar jest niezwykle mile połączony. Te stwory zawsze były podatne na takie komplementy i piękne słówka. A Rammara zdawało się to dotyczyć nawet jeszcze bardziej...

- Dasz mi słowo, że nie uciekniesz? - zapytał. - Mówi się, że elfy mają zwyczaj dotrzymywania obietnic, bo zawsze mówią prawdę.

- Tak powiadają - potwierdziła Alannah, mimo że właśnie była w trakcie łamania tej tradycji. Dla niej jako arcykapłanki Shakary świadome mówienie nieprawdy, nawet jeśli zależałoby od tego jej życie, było czymś potwornym, złamaniem wszelkich reguł i obyczajów. Teraz w krótkim czasie robiła to już po raz drugi: pierwszy raz skłamała, łechcąc ego orka, a teraz jeszcze obiecywała mu, że nie ucieknie.

Alannah oczywiście zamierzała postąpić dokładnie wbrew swoim zapewnieniom.

Na samym początku broniła się przed porywaczami i miała nadzieję, że orkowie zostaną ujęci, a potem ukarani za swoją arogancję. Ale kiedy tym stworom - obojętne, jak i dlaczego - udało się otworzyć wrota Farawyna, przez głowę przemknęła jej szalona myśl.

Czyż przez cały czas nie tęskniła za odmianą, za wyrwaniem się z przytłaczającej nudy? Czy zrozpaczona nie czekała na to, aż zjawi się ktoś, kto uwolni ją z monotonii jej bytu? Pewnie to uwolnienie odbyło się inaczej niż sobie wyobrażała, a jej wybawcy nie byli szlachetnymi wojownikami, tylko dwoma cuchnącymi orkami. Jednak Alannah zorientowała się, że porwanie przez te dwie kreatury jest wyśmienitą możliwością na wyrwanie się z murów Shakary, bez narażania na szwank własnego imienia. Gdyby uciekła ze szlachetnym bohaterem, na dodatek z kimś rodzaju księcia Loreto, do którego należało jej serce, popadłaby w niełaskę u innych elfów, zostałaby na wieki wygnana i skazana na banicję. Teraz jednak wszyscy musieli uznać, że do opuszczenia Shakary ją zmuszono, że dokonało się to wbrew jej woli. W oczach innych nie jest więc sprawcą, lecz godną współczucia ofiarą.

Nie zamierzała dotrzymać obietnicy danej orkowi. Gdy tylko przekroczą Północny Wał i znajdą się poza zasięgiem świątynnych straży, ucieknie i na własną rękę powędruje na południe. Jej celem jest Targas Dun, miasto elfów na brzegu morza. Tam zażąda wyjaśnień od Loreta, swojego bezdusznego ukochanego, który w tak tchórzliwy sposób ją porzucił.

Czas naglił. Loreto napisał jej, że wkrótce wyruszy do Dalekiego Brzegu. Alannah musi się spieszyć. Tylko kilka dni spędzi w towarzystwie orków, zmuszona oglądać ich szkaradne gęby,

znosić gryzący odór i prostacką gadaninę.

Potem ucieknie.

Biała Pustynia została za nimi. Orkowie zostawili lodowy żaglowiec u stóp Północnego Wału, niedaleko wąwozu, w którym, jak twierdziła Alannah, było przejście do przełęczy. Zrobili to zresztą z ciężkim sercem - ten wygodny środek lokomocji bardzo komfortowo przeniósł ich przez lody i śniegi. Głęboką niechęć do ponownej wędrówki na piechotę odczuwał głównie Rammar - zwłaszcza w obliczu wznoszącego się przed nimi stromego zbocza. Skorzystają wprawdzie z przesmyku - myślał - ale marsz przez góry i tak będzie uciążliwy.

Z zapasów barbarzyńców zabrali całe suszone mięso, jakie im jeszcze zostało, a bukłaki napełnili odłamkami lodu. Mieli je na sobie, więc lód powinien szybko stopić się od ciepła ich ciał. Alannah uparła się również nieść jeden z worków z prowiantem, na co Rammar przystał z ochotą - o tyle mniejszy stał się przez to jego własny ładunek. Balbok znów musiał dźwigać większość bagażu. Oprócz sakwy, wypełnionej po brzegi *baish*, miał jeszcze godło maga, łuk, strzały i swój topór.

Tak wyposażeni, ruszyli w drogę przez góry. Przodem szedł Rammar - nie dlatego, że był najodważniejszy, ale po to, by móc dyktować tempo marszu. Za nim podążała Alannah, a na końcu Balbok, związany z elfinią przewiazaną przez jej i jego biodra liną. Chociaż kapłanka obiecała nie próbować ucieczki, wrodzona nieufność Balboka doradziła mu nie dowierzać jej słowom. Szarpała się i protestowała, gdy obwiązywał ją liną, lecz nie pozwolił się zniechęcić.

Poprzez wąwóz wędrowcy dotarli do wąskiej ścieżki, wspinającej się po oblodzonych skałach. Musieli być ostrożni: im wyżej

wchodzili, tym węższa była ścieżka i tym głębsza przepaść, otwierająca się za jej lewą krawędzią.

Ścieżka niespodziewanie skończyła się przed skalną ścianą i Rammar już zaczął zrzędzić na całe gardło, gdy Alannah poleciła mu po prostu iść naprzód, wprost poprzez skałę. Mamrocąc pod nosem, pełen wątpliwości Rammar zbadał dotykiem skałę i zbity z tropu stwierdził, że nie jest niczym innym jak mirażem, mającym zniechęcać nieupoważnionych do używania tego szlaku.

- I co? - spytała z satysfakcją Alannah. - Co na to powiesz, orku? Twoi szamani też potrafią coś takiego?

- Elfie czary - mruknął pogardliwie Rammar, niemal wykrztuszając słowa, jakby zjadł coś nieświeżego.

Po drugiej stronie bariery ścieżka biegła dalej, tyle że jeszcze bardziej stroma i odpowiednio trudniejsza do pokonania. Mimo lodowatego chłodu i ostrego wiatru, wiejącego tu i dmuchającego im w twarz śniegiem oraz kryształkami lodu, czoło Rammara złało się potem. Zaczął też dyszeć tak głośno, że słysząc go było nawet przez gwizdanie wiatru.

- A co to? - zapytała przyglądająca się mu kapłanka. - Brak ci tchu, orku? W takim razie przygotuj się na to, że to będzie bardzo długa i trudna wspinaczka.

Elfini mówiła prawdę.

Przez cały pierwszy dzień wspinali się w górę, najczęściej wąskimi ścieżkami, na których, jeśli nie chcieli pośliznąć się i spaść w przepaść, musieli bardzo ostrożnie stawiać stopy. Zrobili tylko kilka przerw na złapanie oddechu - potem ruszali dalej w górę wąskiej ścieżki.

Gdy się oglądali, mogli zobaczyć szeroką równinę Lodowej Krainy, zdającą się ciągnąć w nieskończoność w kierunku północy. Jednak im wyżej się wspinali, tym gęstsze welony mgieł zasłaniały równinę, zagęszczając się jeszcze, gdy dzień chylił się

ku końcowi i zapadała, oświetlana przytłumionym światłem słońca, noc.

Rammar, który nie miał już sił, postanowił w końcu, że przyszedł czas zatrzymać się na nocleg. Znaleźli schronienie w parowie, osłaniającym ich przed wichrem i śniegiem. Gdy jednak Balbok chciał rozpaścić ogień, Rammar ostro na niego naskoczył.

- Stój, przestań!

- Czemu?

- Koniecznie chcesz nas zdradzić, ty *umbalu*? Ogień będzie widać na milę.

- Ale tu jesteśmy bezpieczni - sprzeciwił się Balbok, wskazując na otaczający ich krąg skał. - Poza tym zamarzniemy marnie, jeśli nie ogrzejemy się przy ogniu.

- Twój chudy brat ma rację, orku - poparła go Alannah. - Bez ognia w tym lodowatym zimnie na pewno zginiemy.

- Nikt cię nie pytał, elfia babo! - postawił sprawę jasno Rammar. - Myślisz, że nie zorientowałem się, co zamierzasz? Chcesz nas wydać swoim nędznym ziomkom. Ale ze mną ci się to nie uda! Rammar Gniewny przeniknął twój plan i go udaremni.

- Rammar Gniewny? - Uniosła wąskie brwi i spojrzała na niego zdziwiona.

- To moje bojowe imię. Jeszcze nauczysz się go bać.

- Skoro tak twierdzisz. Ale lepiej byłoby, gdybyś nie zmienił swojego imienia na Rammar Lodowa Iglica, bo do świtu nią się właśnie staniesz. Naprawdę szkoda, że ta cała mordęga była nadaremno.

- To znaczy?

- Cóż, wasza uciążliwa podróż na północ, walka ze strażami świątyni, moje porwanie i udana ucieczka. Wszystko to na nic, jeśli dzisiejszej nocy tu zamarzniemy. Elfimi wojownikami nie musisz się przejmować. Gdybym chciała wpędzić was w pułapkę, mogłabym zrobić to już dawno.

Rammar popatrzył gniewnie najpierw na nią, potem na brata. Nie mógł ścierpieć, kiedy Balbok, ten *umbal*, mu się sprzeciwił, ale jeszcze bardziej złościło go, że teraz na dodatek po jego stronie stanęła elfini. Ta kobieta miała w sobie coś, co doprowadzało Rammara do szału. Jej wyniosłe zachowanie, pokretny sposób mówienia, niesamowita arogancja - wszystko to niezmiernie go irytowało. Pocieszał się tylko tym, że mag będzie już wiedział, jak się z nią obejść.

- No dobrze - zgodził się. - Rozpal ogień, Balbok. Ale jeśli nas odkryją i złapią, to będzie tylko twoja wina.

Młodszy ork mruknął coś w odpowiedzi, po czym chwycił sakwę i wyjął z niej dwa krzemienie.

Rammar i Balbok zmieniali się w pilnowaniu Alannah. Kąpielnica całą noc siedziała nieruchomo, wpatrując się w roztańczone płomienie. Jej wąskie oczy były otwarte, a klatka piersiowa unosiła się i opadała tak regularnie, jakby spała. Orkowie ponownie stwierdzili, że elfy to naprawdę dziwaczne stworzenia.

Wczesnym rankiem następnego dnia - kiedy ogień dawno się wypalił i lodowate zimno wpełzło do skalnej niszy - pomaszrowali dalej. Balbok i Rammar na śniadanie zjedli trochę nadpleśniałego suszonego mięsa o mocnym zapachu i zjełczałym smaku, Alannah zrezygnowała z tego tak smakowitego dla orków posiłku. Skoro tak - powiedział sobie Rammar - to niech sobie elfie babsko głoduje! Sądząc po tym, jak bardzo jest chuda, na pewno nawykła do zadowalania się małymi porcjami.

Potem trójka wędrowców ruszyła w dalszą drogę. Przed nimi pionowo jak mur wznosiła się skalna ściana. Ścieżka, którą musieli pokonać, wiła się po niej niczym wąż pełzający po szorstkim kamieniu.

Im wyżej maszerowali, tym gęstsze stawały się opary wokół nich. W końcu Lodowa Kraina na północy pozostała tylko

wspomnieniem, a droga tonęła w mlecznej bieli, co Rammarowi wcale się nie podobało.

- Przekłęta mgła! - złorzeczył. - Jeśli tak dalej pójdzie, niedługo nie będziemy widzieli nawet swoich łap.

- To nie mgła - pouczyła go Alannah. - To chmury.

- Tak wysoko już jesteśmy? - zdziwił się Balbok. - Zawsze byłem ciekaw, jak chmury wyglądają z bliska. Myślałem, że można się na nich położyć jak na miękkie posłanie ze zgnitego siana.

- To cały ty! - poskarżył się Rammar. - Każdy wiejski głupek wie, że chmury to nic innego jak dym, wznoszący się z mrocznych otchłani, by zmaćcić światło słońca. Każda chmura to jedna stracona dusza, połknięta przez Kurula.

- I ty naprawdę wierzysz w coś takiego? - spytała kpiąco Alannah.

- Oczywiście! - Rammar odchrząknął markotnie. - Ale wy, elfy, macie na pewno inne wyjaśnienie, co? Uważacie może chmury za zaczarowane białe koniki, galopujące po niebie w poszukiwaniu szczęścia i spełnienia.

- Piękna myśl, choć wcale nie pasuje do orka - odpowiedziała Alannah, uśmiechając się bez radości. - Ale właściwie chmury to coś, co powstaje, kiedy spotka się zimne i ciepłe powietrze. Czyli para wodna.

- Para wodna? - Rammar zatrzymał się, odwrócił i wytrącony z równowagi spojrział na kapłankę. - To największy *sh-norsh*, jaki kiedykolwiek słyszałem - odezwał się. - Jeśli taka jest ta wasza elfia mądrość, wcale mnie nie dziwi, że uciekacie na swoje odległe wybrzeże.

- Daleki Brzeg - poprawiła Alannah. - Ale ja mówię prawdę.

- Ależ tak, na pewno. A pioruny i grzmoty nie biorą się ze złości Kurula, tylko są zupełnie naturalnym zjawiskiem, prawda?

- Prawda.

- To przecież jasne - mruknął Rammar i zwracając się do Balboka, zrobił niedwuznaczny gest, oznaczający, że jego zdaniem w głowie elfini coś jest nie po kolei.

Szli dalej. Dopiero około południa pokrywa chmur nieco się przerzedziła. Akurat osiągnęli szczyt przełęczy. Wznosił się między dwoma śmiesznymi skalnymi nawisami, przypominającymi kształtem ogromne głowy drapieżnych ptaków. W mdłym świetle słońca, przenikającego przez chmury i padającego na lekko obniżający się teren, orkowie zobaczyli jednak jeszcze coś innego, co bardzo im się nie spodobało. Wzdłuż przecinającej przełęcz ścieżki ustawiono kamienne kolumny, opatrzone znakami elfickiego pisma.

- Przeklęta elfia robota! - nadąsał się Rammar i sięgnął po *saparak*. - Wiedziałem, że ta baba zwabi nas w pułapkę!

- Te kolumny mają tysiąc lat - wyjaśniła spokojnie Alanah. - Nie ma powodu do strachu.

- Kto mówi, że się boję?

- Nie musisz mówić, widać to po tobie. To wzniesienie nazywano w dawnych czasach Sokolim Przęsłem. Kiedy świat był jeszcze młody,trolle i elfy stoczyły tu zaciętą bitwę. Gdyby w tamtej bitwie nie udało się pokonać trolli, rozprzestrzeniłyby się po całej *amber*. Te kolumny wzniesiono tu na pamiątkę zwycięskich bohaterów.

- Co ty nie powiesz? - mruknął Rammar, wciąż rozglądając się czujnie. - Wiesz, elfia kapłanko, guzik mnie obchodzi, co się tu działo przed tysiącami lat. My, orkowie, nie przejmujemy się przeszłością. Interesuje nas tylko teraźniejszość. - Odwrócił się do brata. - Czujesz coś, Balbok?

Chudy ork odchylił głowę do tyłu, nastawił krzywy nos do wiatru i hałaśliwie węszył.

- Nic - oznajmił w końcu.

- Jesteś pewny?

- No myślę.
 - Dobrze. Idziemy dalej.
 - A co to miało być? - zdziwiła się Alannah. - Czyżbyś twierdził, że twój prostacki kompan potrafi zwęszyć elfy?
 - On umie wyczuć wszystko - potwierdził Rammar. - Poza tym to nie jest mój kompan, tylko brat.
 - Brat?
 - Chyba mówiłem, prawda? - Zmierzył ją wzrokiem. - Czemu zawsze musisz powtarzać to, co powiem?
 - Jestem tylko zaskoczona, to wszystko. Myślałam, że orkowie nie pielęgnują więzi rodzinnych.
 - Ty, zdaje się, wiesz wszystko, co? - Rammar stanął przed nią wściekły i podparł boki. - Wiesz co, kapłanko? Czemu nie zatroszczysz się o własne sprawy i nie zachowasz swoich mądrości dla siebie? Twoja gadanina działa mi na nerwy. I mojemu bratu też. Prawda, Balbok?
 - Ja, hmm...
 - Jesteśmy, kim jesteśmy - mówił dalej wzburzony Rammar. - Orkami. Nie elfami, nie krasnoludami i nie ludźmi. Jeśli tobie się to nie podoba, twoja sprawa, ale przestań zachowywać się tak, jakbyś wszystko o nas wiedziała. Bo nie wiesz nic, mogę cię zapewnić.
- Z tymi słowami odwrócił się i rozłoszczony ruszył naprzód, nie przejmując się zasnuwającą ścieżkę mgłą.

Nastał zmrok i znów rozłożyli się na nocleg. Schronienie zapewnił im ukształtowany w naturalny dach nawis skalny. Okazało się to zbawienne - ledwie zbladło światło dnia, rozszalała się burza śnieżna, zmieniająca skały w groteskowe lodowe rzeźby.

Otulając się ciasno futrami polarnych niedźwiedzi, trójka wędrowców skupiła się przy trzaskającym ogniu rozpalonym przez Balboka. Chudy ork regularnie sięgał do sakwy, żeby płomienie

nie zgasty. Zostać bez ognia w noc, taką jak ta, oznaczało pewną śmierć.

- Powiedz - spytała Alannah, po tym, jak przez pewien czas zatopiona w myślach wpatrywała się w ogień - czego ty właściwie dorzucasz? Tu, na górze, jak okiem sięgnąć, nie ma drewna.

- Bo to nie drewno - odpowiedział Balbok, jakby to było najbardziej oczywiste na świecie - tylko suszone orczy łajno.

- Suszone?...

- Wszyscy orkowie ogrzewają tym swoje jaskinie. To daje nie tylko ciepło, lecz również tę przyjemną woń, unoszącą się wieczorami nad *balboug*.

- O to mogę się założyć.

- A czy elfy nie palą swojego *shnorsh*?

- Oczywiście, że nie. - Alannah energicznie pokręciła głową. - W cywilizowanych miastach są podziemne rzeki, zwane kanałami, którymi odpływają takie rzeczy.

Balbok skrzywił się.

- I co się potem z tym dzieje?

- Cóż, kanałami odpływa do rzeki.

- A stamtąd?

- Do morza.

- I to miałyby być cywilizowane? Wrzucacie swoje *shnorsh* po prostu do morza? - Teraz to Balbok nie krył zdziwienia. - Szkoda. Można by nim ogrzać wiele jaskiń.

- Elfowie nie mają zwyczaju zasiedlać jaskiń - pouczyła go Alannah. - Są budowniczymi wielkich miast i mieszkają w pełnych światła salach.

- Okropność - dobiegł ją głos Rammara. - Nie ma nic lepszego od ciemnej, wilgotnej jaskini, w której czuć stęchlizną i próchnem. Ale wy, elfy, w ogóle tego nie rozumiecie.

- Z pewnością. I niech będą za to dzięki moim przodkom.

- Swoim przodkom już nie musisz dziękować, elfini. Od dawna są martwi i posłużyli za pożywienie robakom. Czemu wy, spiczastousi, wciąż tyle gadacie o tej swojej przeszłości?

- Bo wielkie czyny są warte tego, żeby przechować je w pamięci.

Rammar pokręcił grubo ciosaną czaszką.

- To nie jest powód. Mówicie o przeszłości, bo nie macie przyszłości, zgadza się?

- To nieprawda!

- Nie? - Oczy Rammara zabłyśły podstępnie. - Więc czemu coraz więcej z was opuszczą ten świat? Czemu odjeżdżacie do Dalekiego Brzegu, kiedy tu podobno wszystko jest w najlepszym porządku? Powiem ci: twój lud utracił swój dawny blask, stał się słaby i bezwolny. Przyszłość należy do orków, bo jesteśmy młodzi i silni.

- To nieprawda - powtórzyła Alannah, jednak tym razem w jej głosie było więcej przekory niż przekonania.

- Jeszcze jak prawda. Ty tylko nie chcesz tego przyznać. Poczekaj, aż poznasz naszego zleceniodawcę. On potwierdzi to, co mówię. Era elfów się kończy, ty sama jesteś tego najlepszym przykładem.

- Ja sama? Jak to rozumiesz?

Z oczu Rammara nie zniknął błysk.

- W co wierzysz? - spytał i spojrzał na nią niewinnie.

- Jestem arcykapłanką Shakary - zabrzmiała odpowiedź. - Dziedziczką Farawyna i strażniczką tajemnicy. Nie muszę spowiadać się przed jakimś zbiegłym orkiem z tego, w co wierzę.

- My, orkowie, nie musimy WIERZYĆ - wyjaśnił dumnie Rammar. Na zewnątrz ich schronienia gwizdał wiatr, który przywiewał nawet tu płatki śniegu, wirujące i natychmiast topiące się nad płomieniami. - My WIEMY, że Kurul, demon, który kiedyś zwyciężył równych sobie i wypłuł nas wszystkich na świat,

mieszka w głębiach *sochgal*. To on był tym, który zabrał nam światło i dał mrok.

- Więc dobrze - powiedziała Alannah. - Jako kapłanka Shakary wierzę w prorocstwo Farawyna, według którego przybędzie wybawca i na nowo przyniesienie do *amber* pokój i jedność.

- Bzdura - z powagą sprzeciwił się Rammar. - Nie wierzysz w to.

- Skąd możesz wiedzieć?

- To proste. Większość twego ludu dawno straciła wiarę w to głupie prorocstwo, inaczej nie opuszczaliby tego świata. I gdybyś była uczciwa, przyznałabyś, że i ty od dawna w to nie wierzysz. To między innymi dlatego pomogłaś nam uciec przed niedźwiedziami. Mam rację?

- Co ci przychodzi do głowy?! - Mimo dotkliwego chłodu Alannah odrzuciła niedźwiedzie futro i podskoczyła. - Jak śmiesz tak mówić? - Spojrzała gniewnie na Rammara.

- Prawo silniejszego. Jesteś w naszej mocy, kapłanko, nie odwrotnie, rozumiałaś? Wbij to sobie do swojej szkaradnej głowy.

- Jeszcze jak rozumiałam - parsknęła Alannah, która nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek w jej długim życiu ktoś tak się do niej odnosił. - Ty też coś sobie wbij do swojej szkaradnej czaszki, orku: w moich żyłach płynie krew synów Mirona i mogę cię zapewnić, że jego moc nie osłabła. Jeśli ci życie miłe, powinienes błagać swojego Kurula, żebym nigdy nie dostała broni do ręki, kiedy będziesz w pobliżu. Inaczej twoje dni są policzone.

- Co takiego? - Rammar uniósł krzaczaste brwi. - Ty mi grozisz? Baba?

- Dla tchórza takiego jak ty, kobieta starczy za przeciwnika.

- Powiedz to jeszcze raz - zażądał rozwścieczony Rammar i też wstał.

- A co dokładnie, wściekły Rammarze? Że jesteś tchórzem, czy że kobieta pasuje ci na przeciwnika?

- Poczekaj tylko! Jeszcze mi za to odpłacisz! - zawył Rammar, marszcząc nos i dziko przewracając oczami. Ogarniał go *saobb*, jeden z owych sławnych orczych napadów szaleństwa, kończących się przeważnie tym, że ktoś padał zadźgany lub pobity i że połamanych było co najmniej kilka kości. Balbok zauważył z niepokojem, jak jego brat sięga po *saparak*. Kiedy Rammar już miał zamierzyć się nim na arcykapłankę, rzucił się między nich i objął go długimi ramionami.

- Zostaw mnie! - gderał Rammar, wyrывая się z uchwytu Balboka. - Zatkam jej tę beczelną gębę. Muszę...

- Musisz się uspokoić - zaklinał go Balbok. - Jeśli ją zabijesz, nie zdradzi tajemnicy mapy. Wtedy mag będzie zły na nas i nie dostaniemy łba Girgasa. A to znaczy, że nigdy nie wrócimy do *balboug*. Ona nie jest tego warta!

Balbok przemawiał do brata tak dobitnie, że ten rzeczywiście się uspokoił. W końcu jego nos przestał drżeć gniewnie i młodszy ork go puścił.

- No dobrze - warknął Rammar, siadając z powrotem przy ogniu. - Wypełnijmy najpierw naszą misję. Potem mogę zawsze jeszcze zabić to babsko. Wiesz co, kapłanko? - dodał, zwracając się do Alannah. - Jak dotąd bardziej przypominasz mi orka niż elfinię. I to nie tylko dlatego, że znasz naszą mowę.

- Bzdury! - zabrzmiała gniewna odpowiedź. Rammar skinął głową i powiedział:

- Właśnie to mam na myśli...

Wyruszyli wczesnym rankiem. Z powodu śniegu, który spadł w nocy, był to nie tylko uciążliwy, lecz również karkołomny marsz. Orkowie wielokrotnie sądzili, że zgubili ścieżkę pod pokrywą śniegu. Przeważnie to Alannah wskazywała im drogę, a gdzie

i ona nie potrafiła się odnaleźć, pomagał doskonały wąż Balboka.

Poprzez strome serpentyny oraz wąskie przesmyki wędrowcy dotarli w końcu do schodów z kamienia, wspinających się przez wąski skalny komin. Nie było widać ich końca, szczyty gór znów zniknęły w otulinie gęstych chmur.

Skalne ściany wznosiły się tu tak ciasno, że śnieg prawie nie opadał na dno wężowu. Dzięki temu Rammar, Balbok i Alannah mogli wspinać się bez przeszkód. Schody zaprowadziły ich na zasnutą mgłą płaskowyż. Stała tam kamienna kolumna ozdobiona elfimi runami. Według Alannah zapisane w nich było powitanie wędrowca na przełęczy i życzenia szczęśliwej podróży. Gdyby chmury nie były tak gęste, ze szczytu przełęczy roztaczałby się przepiękny widok na ośnieżone szczyty i lodowe nawisy Północnego Wału. We mgle majaczyły jednak tylko otaczające płaskowyż ze wszystkich stron ostre skały.

Odпочęli trochę i zjedli skromny posiłek. Również Alannah, która do tej pory wzbraniała się przed przyjęciem jedzenia od orków, żuła kawałek suszonego mięsa. Potem ruszyli w dalszą drogę. Zbliżając się coraz bardziej do południowego krańca gór, zostawiali za sobą chłód północy. Jeszcze przed kilkoma dniami okolica na północ od bagien wydawała się Balbokowi i Rammarowi zimna - teraz czuli się, jakby wracali do domu.

- Witamy na południu - krzyknął Rammar z rzadką u niego wylewnością - gdzie noce są naprawdę ciemne i nikomu nie marznie *asar*.

- TAK - odpowiedziała Alannah zagadkowym tonem. - Witamy na południu...

Maszerowali dalej, aż się ściemniło, a potem rozłożyli się na nocleg pod osłoną kilku skał. Ponieważ Balbok nie miał już łąna, które mógłby spalić - w tamtą lodowatą noc ze śnieżycą zużył

wszystko - tym razem Rammar dopiął swego i nie rozniecili ognia. Balbok i on znów na zmianę trzymali wartość. Uciekli elfom, lecz teraz byli znów na południu, a tu mieszkalytrolle, krasnoludy, gnomy i inny przychówek.

Noc jednak minęła spokojnie.

Rankiem poszli ścieżką dalej w dół. Chmury pozostały nad nimi i po raz pierwszy mogli sięgnąć wzrokiem dalej niż na rzut kamieniem. Przed ich oczyma otwarła się zapierająca dech w piersiach panorama: postrzępione górskie olbrzymy, wznoszące się nad mrocznymi dolinami i sterczące w niebo dziwaczne formacje skalne, wykute w kamieniu przez wiatr i deszcze wodospady, z szumem spadające z wielkiej wysokości w dół, a na koniec, daleko na południowym zachodzie - rozległe przedgórze Gór Ostrych, sterczących na odległym horyzoncie niczym zęby smoka.

Jednak Rammarowi i Balbokowi nie w głowie było podziwianie majestatycznego krajobrazu. Dla nich liczyło się tylko to, żeby dostarczyć swój łup w dobrym stanie (albo przynajmniej żywy) do twierdzy Ruraka.

Ku zdumieniu braci ich branka zdawała się cieszyć każdym dniem tej podróży, nie zważając na fakt, że jest więźniem. Niefrasobliwość Alannah była dla nich zagadką, a to sprawiało, że nieufność Rammara wobec elfini jeszcze rosła. Ukrywała coś, to pewne. Ale co?

Około południa dobiegł ich nieprzerwany szum, aż w końcu dotarli nad strome urwisko. Rammar i Balbok ostrożnie wyjrzeni za krawędź. Głęboko pod nimi huczała rwąca, szarobłękitna woda, która przez tysiąclecia wyłobiła sobie drogę w twardym kamieniu.

- To Lodowa Rzeka - wyjaśniła Alannah. - Ma źródła wysoko w górze na zboczach Północnego Wału i z grzmotem spływa na

południe, gdzie przecina Góry Ostre oraz dzieli krainę krasnoludów.

- Co ty nie powiesz? - odpowiedział, krzywiąc się, Rammar, niechętny kwiecistej mowie elfini. - A jak mamy przedostać się na drugą stronę?

- Jest most - oznajmiła elfini. - Zbudowały go kiedyś krasnoludy wierne królowi elfów.

Poszli dalej wiodącą wzdłuż krawędzi urwiska wąską ścieżką. Niedługo po tym rzeczywiście trafili na most - wąski, zbudowany z grubo ciosanego kamienia i rozpięty szerokim łukiem nad przepaścią. Budził on wszelkie możliwe uczucia prócz zaufania. Miał szerokość ledwie dwóch *knum'hai* - w sam raz dla krasnoluda, lecz z pewnością zbyt mało dla orka. Bariereki nie było.

Balbok zadał więc zaraz decydujące pytanie:

- Mamy po tym przejść?

- Nigdy w życiu! - Rammar energicznie pokręcił głową. - Was to paskudztwo utrzyma, ale pod moim ciężarem się załamie.

- Sam sobie jesteś winny - powiedział Balbok z satysfakcją. - Po co żarłeś, kiedy ja głodowałem? Masz teraz za swoje.

- Mam za swoje? Chcesz, żebym zwałił się w przepaść? Po wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?

- Ja też zrobiłem swoje - postawił sprawę jasno Balbok. - I targalem *baish* dla nas obu przez przełęcz, a nie obżerałem się nim sam do syta.

- I co? Ja za to miałem oko na elfinię.

- Jak to? Cały czas szedłeś z przodu i nie mogłeś nic widzieć!

Była to niestety prawda i Rammar poczuł się zapędzony przez brata w kozi róg. W takiej sytuacji zawsze przechodził do kontrataku.

- Jesteś nędznym psim gównem, a nie bratem! - wybuchnął. - Gdyby nie ja, pożarłby cię ghul. I to ja cię...

- Ej, wy dwaj, skończyliście już? - spytała Alannah tak ostro, że Rammar zamilkł ze zdziwienia. - Można by sądzić, że mam przed sobą dwa młode krasnoludki, kłócaące się o to, kto pierwszy opowie swoją sagę.

- Porównujesz nas do krasnoludów? - parsknął Rammar. - Chcesz nas obrazić, babo?

- Bynajmniej, jeśli potem znów będziecie zachowywać się jak myślące istoty. Gdybyście się bez przerwy nie kłócili, dawno przeszlibyśmy rzekę.

- Wy może tak, ale nie ja - sprzeciwił się Rammar. - Most mnie nie uniesie, przeczuwam to.

- W takim razie pozwól najpierw przejść mnie i Balbokowi - zaproponowała elfini. - Jeśli most utrzyma nas razem, wytrzyma również twój ciężar.

- Hmm - mruknął tylko Rammar, mierząc Alannah wzrokiem od stóp do głów. W tej propozycji bez wątpienia coś było. Po wyteżonym namyśle doszedł do wniosku, że to będzie najlepsze (bo najmniej niebezpieczne dla niego) rozwiązanie.

- Więc dobrze, zrobimy tak - zdecydował. - Balbok, najpierw ty przejdiesz przez most z elfinią. Jeśli się nie zerwie, to utrzyma i mój ciężar.

- A... a jeśli się zerwie? - spytał Balbok.

- Wtedy, rad nierad, będę musiał poszukać innej drogi. - Rammar wzruszył ramionami. - Ruszajcie.

- Mogę przynajmniej zostawić wór z prowiantem? - spytał Balbok, patrząc trwożnie na wąski kamienny most.

- Czyś ty oszalał? Sam jestem dosyć ciężki, nie muszę nieść na plecach naszego *baish*. Teraz nie chcę już słyszeć żadnych sprzeciwów. Szybko, włącz na most. I zabieraj ze sobą to babsko!

Kiedy Rammar mówił tym tonem, Balbok wołał siedzieć cicho i robić, co każe brat. Wprawdzie most nie budził w nim wielkiego zaufania, ale nie miał zamiaru skompromitować się przed elfinią. Skinął więc tylko głową i pociągnął ją na linie do mostu. Potem ostrożnie postawił na nim stopę.

- Czemu tak opornie? - spytała prowokująco Alannah. - Jesteś orkiem czy gnidą?

- O... oczywiście orkiem! - wyjąkał Balbok.

- To się zachowuj jak ork! - odpowiedziała ze złośliwym uśmiechem i nim dwaj orkowie się spostrzegli, minęła młodszego z braci i lekkim krokiem weszła na most. - Widzisz? To całkiem proste!

- Łatwo ci mówić! - wymamrotał Balbok. - Myślisz, że nie widziałem, że twoje stopy nie zostawiają śladów na śniegu? Wy, elfy, jesteście lekkie jak piórko, gdy chodzicie.

Alannah tylko się zaśmiała i ku strapieniu orków rozwiązała supeł liny, którą Balbok obwiązał jej biodra.

- Stój! - zawołał Rammar z krawędzi przepaści. - Nie wolno ci!

- Za pozwoleniem, szkaradny przyjacielu, kto miałby mi w tym przeszkodzić? Może ty? - Poszła dalej pewnym krokiem.

- Na co czekasz? - krzyknął na brata Rammar. - Goń za nią, głupku! Chcesz, żeby nam uciekła?

Elfini była już w połowie łuku mostu i tanecznym krokiem mijała jego wąski szczyt. Poganiany wzburzonym krzykiem swego brata, Balbok zmusił się i wszedł na pozbawioną barierki i poręczы wąską kładkę, pod którą huczała przyprawiająca o zawrót głowy Lodowa Rzeka.

Przez chwilę zdawało mu się, że kamienie podejrzenie trzeszczą, ale most siętrzymał - jeszcze - i Balbok nabrał nieco zaufania. Z sakwą na plecach, balansując godłem maga, by nie stracić równowagi, stawiał ostrożnie stopę za stopą. Kapłanka tymczasem

już prawie doszła na przeciwległy brzeg przepaści i przyspieszyła kroku.

- Stać! - piskliwie wrzasnął Rammar, przeczuwając najgorsze. - Zatrzymaj się!

- Złapcie mnie, jeśli potraficie! - krzyknęła w odpowiedzi i jeszcze raz perliście się roześmiała, przez co Rammara ogarnął gniew.

- To by ci się podobało, elfie babsko! - zawył, wychodząc z siebie. Wściekłość kazała mu zapomnieć o wszelkiej ostrożności i z łapami zaciśniętymi w pięści rzucił się na most. Pod ciężarem obu orków stara, zmurszała od deszczu i wiatru budowla nagle się załamała.

Zatrzeszczało, huknęło, między kamieniami pojawiła się rysa, błyskawicznie się pogłębiająca i poszerzająca. W chwilę później Rammar stracił grunt pod nogami, gdy most załamał się pod nim, i spadając, uświadomił sobie, jaką głupotę popełnił.

Również Balbok poleciał głową w dół, drąc się ze wszystkich sił. Tak samo Alannah, która była już prawie po drugiej stronie. Elfini daremnie próbowała jeszcze chwycić się krawędzi przepaści, jej delikatne dłonie natknęły jednak pustkę i ją także pochłonięła ziejąca otchłań.

Szorstkie ściany wąwozu odbijały echem donośne wrzaski trójki wędrowców, spadających pośród gradu skalnych odłamków z rozpadającego się mostu wprost na białą pianę fal. Potem pochłonięła ich lodowata toń rzeki.

Rammar stracił przytomność. Oszołomiony ocknął się w nieprzyjaznej północnej krainie i nim przyszedł do siebie i przypomniał sobie, co zaszło, zdawało mu się, że zamarzył. Płuca paliły go ogniem, a obok spadały odłamki mostu. Zaczął uderzać wokół rękami i machać nogami, by wydostać się na powierzchnię. Otaczały go niesamowity szum, bulgotanie i gulgot, który Rammar przez chwilę wziął za głuchy śmiech Kurula.

W następnej chwili wydostał się na powierzchnię. Chciwie wessał w płuca powietrze.

- Balbok! - krzyknął, gdy porywał go rwący prąd. - Balbok, gdzie jesteś?...

Rzucił spojrzenie na postrzępione krawędzie wąwozu, między którymi widać było pasek szarego nieba. Myśl, że spadł tam z góry, przeraziła go na moment tak bardzo, że zapomniał wiosłować rękami. Chwycił go wir i znów wciągnął pod wodę.

Orkowie nie są dobrymi pływakami. Mokry żywioł jest dla nich na wskroś podejrzany i nie przychodzi im do głowy ani się nim myć, ani zanurzać się w nim dla przyjemności. To, że Rammar już w następnym momencie wyskoczył na powierzchnię jak korek, zawdzięczał tylko grubym warstwom tłuszczu swego przysadzistego ciała.

W pośpiechu pozbył się metalowego napierśnika. Uważał przy tym, żeby nie zgubić bukłaka z wodą oraz *saparaka*, przytroczonych rzemieniami na plecach. Potem rozłożył wszystkie cztery łapy i pozwolił się nieść prądowi rzeki, a jego brzuch wystawał z wody jak mała wyspa.

- Balbok! - krzyczał raz po raz, tak głośno, że załamywał mu się głos. - Balbok!...

- Jestem tutaj! - zabrzmiała rozpacзлиwa odpowiedź i Rammar dojrzał na chwilę swego brata, wymachującego rękami między dwiema spienionymi falami.

Również Balbok nie był urodzonym pływakiem. Zrzucił z pleców sakwę z *baish*, ale wciąż trzymał w łapie godło maga, jakby zależało od niego życie. Wielokrotnie jego głowa znikła pod wodą, by w następnej chwili wynurzyć się z głośnym parskaniem.

- Głupi *umbal!* - wrzasnął Rammar, przekrzykując huk rzeki. - Wyrzuć to błazeńskie godło!

- Nie! - zagulgotała zdecydowana odpowiedź. - Prawdziwy ork nie zostawia swojego proporca!

- Ty głupi psie, jeszcze marnie się utopisz!

- Ork nie zostawia godła... - chciał przekornie powtórzyć Balbok, kiedy przerwało mu rozdzierające wołanie o pomoc. Rammar natychmiast poznał głos. To była elfia kapłanka.

W zapale walki o przeżycie Rammar prawie zapomniał o brance. Próbowała uciec, potem jednak wraz z nimi spadła w przepaść - przypomniał sobie. Rozejrzał się za nią, razem z Balbokiem niesiony przez prąd rzeki. Nie mógł rozpoznać, skąd dobiega wołanie o pomoc. Odbijało się echem od ścian wąwozu i dobiegało jego uszu ze wszystkich stron.

- Tam! - zagulgotał Balbok, nim znów zniknął pod wodą. W końcu Rammar zobaczył elfinię.

Spory kawałek przed nim wpadła w niebezpieczny wir, jaki powstał w skalnej wnęce i z niepowstrzymaną siłą ciągnął ją w dół. Rozpaczliwie broniła się przed nim, ale nie była w stanie przeciwstawić się potędze rzeki.

- Pomóście mi! Tonę!...

Mimo krytycznego położenia przez oblicze Rammara przemknął szyderczy uśmiech. *K'uule tog'dog tog, tutom'dok ehfhun*, powiadało stare orcze przysłowie. Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada. Rzadko tkwiło w nim więcej prawdy.

Rammar życzył elfini śmierci w lodowatej, grzmiącej kipieli, a w następnym życiu krasnoluda za męża. Ale potem przyszła mu do głowy straszliwa myśl. Nie, nie może pozwolić, by utonęła! Jeśli elfini zostanie wessana przez rzekę, wraz z nią utonie wiedza o mapie Shakary - a tym samym wszelka nadzieja braci na powrót do *balboug*, gdzie czeka na nich znajomy odór rodzinnej jaskini.

Rammar zdołał jakoś obrócić się w rwącej rzece. Potem, wioślując rękami i wymachując nogami, spróbował dotrzeć do Alannah.

- Ratunku! - zawołała jeszcze raz. Potem jej jasnobłond głowa zniknęła pod wodą.

- Nie! - krzyknął Rammar i dziko wioślując, pokonał ostatnie *knum'bai*. Jednak elfini nie było już widać. Za to wir złapał teraz również Rammara, który zaczął obracać się w koło tak szybko, aż zrobiło mu się niedobrze. Potem połknął go lej lodowato zimnej wody. Nie mógł jeszcze raz zawołać brata, bez wątpienia winnego tego nieszczęścia. Choć bronił się z całych sił, wir wsysał go nieubłaganie.

Pod wodą otworzył oczy i za welonem pęcherzyków powietrza zobaczył na wpół zemdloną Alannah. Ork wyciągnął ku niej krótkie ręce. Choć wir wciągał ich coraz głębiej, udało mu się ją chwycić i przyciągnąć ku sobie. Przez to, że Rammar zaniechał oporu, opadali jeszcze szybciej i po chwili dotarli na dno rzeki.

Rammar wiedział, że musi uciec z zabójczego wiru. Ledwie dotknął nogami dna, odbił się, lecz siła ssania nie puściła swoich ofiar. Spróbował jeszcze raz, ściskając pod pachą niczym balast Alannah. Jednak mimo masy tłuszczu, znów opadał w głębinę. Czuł, że powoli zaczyna mu brakować powietrza w płucach.

Utonąć podczas próby ratowania elfa - to dla orka byłaby raczej niezbyt chwalebna przyczyna śmierci. I to po tym, jak przez całe życie zawsze udawało mu się wciągnąć głowę w ramiona i przeczekać, kiedy robiło się za gorąco. Może to kara Kurula za jego tchórzostwo...

Rammar miał już przed oczami czarne plamy. Wolną ręką wiosłował jak oszalały, lecz opadał z sił. Znów poczuł dno rzeki pod stopami, i znów odbił się, tym razem w bok, chcąc w ten sposób ujść sile ssania.

Przez moment żywił nadzieję, że tym razem powierzchnia jest bliżej niż przedtem. Już myślał, że zdoła ją przeciąć wyciągniętym ramieniem. Wtedy wir ponownie pociągnął go na dno.

Płuca paliły go ogniem. Rammar machał w panice rękami i nogami, używając całej siły, jaka mu jeszcze została.

Nie wystarczyła.

Chciał się w końcu poddać, lecz nagle tuż przed sobą zobaczył coś w przejrzystej wodzie. Była to połyskująca czarno kula na końcu długiego drzewca. Ostatnia myśl Rammara kazała mu się jej złapać. Wolną łapą zdołał chwycić pałkę i mocniejsza od wiru siła pociągnęła go wraz z zemdloną elfinią do góry. W następnej chwili Rammar i Alannah przebili spienioną powierzchnię wody.

Ork łapczywie łykał powietrze. Czuł, jak wraca w niego życie. Zobaczył teraz również, czego złapał się w rozpaczy: drzewce godła, które dał im mag Rurak. Drugi koniec trzymał Balbok, który uratował towarzyszy od utonięcia, a teraz wyczołgiwał się na skalny brzeg.

- Trzymaj się! - krzyknął do Rammara i widać było, jak napina mięśnie pod przemoczoną skórzaną kurtką. Hełm zgubił, spadając do rzeki, a napierśnik sam zdarł z siebie w wodzie, by nie utonąć. Proporca jednak nie wypuścił.

Tym razem Rammar zrezygnował z nazwania Balboka z tego powodu *umbalem* - ostatecznie upór brata uratował mu (i elfini) życie. Z ogromnym wysiłkiem Balbok ciągnął ich ku brzegowi, aż Rammar w końcu poczuł grunt pod stopami. Podniósł się na chwiejnych nogach i z branką pod pachą poczłapał na suchy ląd. Zmęczony upuścił ją na kamienne nabrzeże, a sam upadł obok niej i dysząc, łykał powietrze. Balbok zajął się elfinią, leżącą bez życia z zamkniętymi oczami.

- Nie rusza się - stwierdził zmartwiony chudzielec. - Zdaje mi się, że jest martwa, Rammar.

- Coooo? - Mimo wyczerpania starszy ork podniósł się i ostatkiem sił podczołgał w jej kierunku. - To... to niemożliwe! Przeklęte elfie babsko, nie po to przecież ryzykowałem moją *asar*, żebyś teraz nam...

- Żyje! - przerwał mu Balbok. Przycisnął ucho do jej piersi i nasłuchiwał. - Ale ledwie słysząc bicie serca.

- Do kroćset - warknął Rammar. Pochylił się i potraktował elfinię serią donośnych uderzeń po policzkach. - Zbudź się! - krzyczał gniewnie. - Nie słyszysz? Masz się obudzić!

- Bez sensu - stwierdził Balbok. - Pewnie nałykała się wody i nie może złapać powietrza.

- I co?

- Może powinniśmy spróbować oddać jej trochę naszego powietrza.

- Co? To dopiero idiotyczny pomysł! Ciekawe, jak chcesz to zrobić?

- Pozwól, że ja się tym zajmę. - Balbok pochylił się nad Alannah, przycisnął usta do jej ust i wdmuchnął stęchłe powietrze ze swoich płuc w płuca elfini.

- Uuuh! - wzdrygnął się Rammar. - Przestań, to obrzydliwe. - Na myśl, że miałby dotknąć wargami ust elfini wszystko przewracało mu się w żołądku.

Balbok jednak kontynuował.

- Chodź już, zostaw - bąknął jego brat. - Wystarczy, że wskoczyła w jamę Kurula, nim zdążyła wygadać tajemnicę. Nie musisz jeszcze becześcić jej zwłok...

Nagle - Rammar nie mógł w to uwierzyć - elfini się poruszyła. Jej ręce drgnęły, zakaszłała, w następnej chwili chlusnęła z niej strumień rzecznej wody. Dysząc, łapała powietrze. Otworzyła oczy i zdziwiona patrzyła na orków. Bładymi, pozbawionymi krwi ustami powiedziała kilka słów w języku elfów, potem przypomniało jej się, gdzie jest i w którym towarzystwie się znajduje.

- Co... co się stało? - spytała po orczemu z silnym elfim akcentem.

- Co się stało? - krzyknął wzburzony Rammar. - Powiem ci, co się stało, ty elfia babo. Chciałaś nas wystrychnąć na dudka,

to się stało. Zamierzałaś przedostać się przez most, a ja i mój brat mieliśmy spaść w przepaść i utonąć jak szczury.

- Ja... - Najpierw chciała zaprzeczyć, ale raptownie zamilkła. Zrozumiała widać, że to bezcelowe i zamiast tego spytała:

- Jak się tu dostałam?

- A jak miałaś się dostać? JA wyciągnąłem cię z rzeki - odpowiedział Rammar.

- TY uratowałeś MNIE?

- Tak można by to ująć.

- Dz... dziękuję - powiedziała zbity z tropu elfini. Użyła przy tym języka ludzi, gdyż w mowie orków brak odpowiednika dla tego jakże niepotrzebnego słowa.

- Tylko nie wyobrażaj sobie nie wiem czego - odparował niewzruszony Rammar. - Zrobiłem to tylko dlatego, że z tobą utonęłaby również wiedza o mapie Shakary. A Rurak chce ją koniecznie dostać.

- Rurak?

Rammar westchnął.

- Mag, na którego zlecenie działały.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

Rammar spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Nigdy nie słyszałaś o Ruraku Rzeźniku?

- A powinnam?

- Tak mi się zdaje. Rurak to wielki mag, w czasach Dru-giej Wojny dowodził armią i siał postrach - wyjaśnił ork. - Myślałem, że wy, elfy, pielęgnujecie pamięć o przeszłości.

- O NASZEJ przeszłości - odpowiedziała Alannah. - Sprawy orków nas nie interesują.

- A więc Rurak miał rację - stwierdził nienawistnie Rammar. - Powiedział nam, że wy, elfy, myślicie tylko o sobie. I że wasza era dobiega końca. Przyszłość należy do tych, którzy znajdą sobie właściwych sprzymierzeńców.

- A Rurak jest potężnym sprzymierzeńcem - dodał Balbok.
- Możesz go nie znać, ale on zna ciebie. Wiedział o świątyni i znał do niej drogę. Prawda, Rammar?

- Dokładnie tak. I ma czaszkę naszego dowódcy Girgasa, którą ten stracił w bohaterskiej walce z zielonogębymi, a my jej potrzebujemy, by móc wrócić do naszego plemienia.

Alannah się wyprostowała.

- Czy to znaczy, że naraziliście się na wszystkie te niebezpieczeństwa tylko po to, by wejść w posiadanie jakiejś odrąbanej głowy?

- Nie jakiejś - poprawił Balbok - ale łba Girgasa, naszego dzielnego dowódcy. Gnomy skróciły go właśnie o ten łeb, ale my przyniesiemy go z powrotem do wioski, gdzie zostanie zasuszony jak należy.

- A więc porwaliście mnie z powodu... zasuszonej głowy?

- Tak właśnie jest, elfini - mruknął markotnie Rammar. - Ale gdybyś jeszcze raz próbowała uciec albo choćby nas oszukać, wtedy zasuszymy twoją głowę. Zrozumiałaś?

Alannah patrzyła przerażona to na jednego, to na drugiego, ale nic nie odpowiadała. Było widać, jak bardzo przygnębia ją niepowodzenie jej planu ucieczki. Można by niemal sądzić, że wolałaby utonąć niż być uratowaną przez orków. Do tego niezbyt zdawała jej się podobać historia z Rurakiem.

- Zrozumiałaś? - wrzasnął na nią Rammar.

- Ależ tak - odpowiedziała szorstko. - Nie jestem głucha ani przygłupia, jak to tam, długie nieszczęście - wskazała na Balboka.

- To tam, długie nieszczęście - parsknął Rammar - wyciągnęło nas oboje z rzeki. Czasem jest może nędznym kundlem i muszę przyznać, że już kilka razy rozważałem pomysł, by go zabić, ale to mój brat i nie masz prawa go obrażać.

- Rammar - powiedział speszony Balbok - czegoś tak mi-
tego jeszcze nigdy mi nie powiedziałaś.

- Zamknij pysk! - ryknął Rammar. - Nie otwieraj gęby,
kiedy ja mówię!

Tego dnia nie poszli już dalej. Karkołomny upadek i tak oszczędził im wiele godzin marszu, zdecydowali się więc od razu rozbić obóz.

Do końca wąwozu nie było już daleko. Tam, gdzie Balbok wyłowił swoich towarzyszy z wody, przełęcz rozszerzała się i po obu jej stronach znajdowały się usiane żwirem brzegi. Od tego miejsca woda płynęła dużo spokojniejszym nurtem i wiła się korytem rzeki niczym turkusowa wstęga.

Powyżej osypiska, gdzie w skale była wnęka dająca schronienie przed wiatrem i deszczem, leżało uschłe drzewo, którego gałęzie doskonale nadawały się na opał. Trójka wędrowców rozłożyła się tam na nocleg. Rammar tym razem nie oponował, gdy Balbok zabrał się do rozpalania ognia. Wszyscy troje byli przemoczeni na wskroś - przy ogniu mogli się ogrzać i osuszyć ubranie. Alannah najpierw ociągała się z obnażeniem przed dwoma stworami, potem jednak to zrobiła, a Rammar i Balbok powstrzymali się nawet od wymiany uwag o tym, jak szkaradne są elfie kobiety ze swoimi szczupłymi, łagodnie zaokrąglonymi kształtami i alabastrową skórą.

Przykucnęli w trójkę przy ogniu, a góry wokół znikały w ciemności. Każde z nich miało jeszcze wypisany na twarzy strach i choć uszli śmierci o włos, tak naprawdę nie było powodu do świętowania. Alannah pogrążyła się w ponurych myślach - jej ucieczka się nie powiodła, a plan, by samotnie przedostać się do Tirgas Dun, spalił na panewce. Obaj orkowie mieli kwaśne miny, bo nie było nic do jedzenia, i Rammar beształ brata, którego znów za to winił.

Balbok i Alannah pozbyli się worków z prowiantem, by nie ściągały ich na dno rzeki. W ten sposób niewiele im zostało. Balbokowi tylko topór i sztylet zatknięte za pas, jego bukłak i znoszona skórzana kurtka. Alannah - tylko jedwabna suknia, mimo wszystko wciąż promiennie biała i wyglądająca na nie-
tkniętą. Rammar i tak niósł tylko swój bukłak z wodą oraz *sapa-
rak*; oba miał przytroczone rzemieniami na plecach, kiedy wpadł do rzeki.

- To znów typowe dla ciebie, głupku! - krzyczał na brata. - Worek z prowiantem zostawiasz rzece, ale tę debilną rzecz - wskazał na zakończone kulą drzewce, które Balbok wbił dolnym końcem w ziemię przy swoim legowisku - uratowałeś.

- Powinieneś być zadowolony - odpowiedział Balbok. - Gdybym nie miał godła, nie miałbym nic, czym mógłbym wy-
ciągnąć cię z rzeki. A może wolałbyś, żebym ci rzucił kawałek suszonego mięsa? - Ten argument niewątpliwie coś w sobie miał i Rammar nic na to nie odpowiedział. - Wiesz co, Rammar? - odezwał się półgłosem Balbok. - Może cię pocieszy, jeśli ci po-
wiem, że ja też jestem głodny.

Rammar przewrócił oczami.

- Czemu by to mnie miało pocieszyć? To sprawiedliwe, żeby i tobie burczało w brzuchu. Czemu miałbyś mieć lepiej ode mnie?

Balbok westchnął tęsknie.

- Ileż bym dał teraz za to, żeby siedzieć w naszej jaskini, pachnącej zgnilizną i próchnem. Ugotowałbym sobie dobry orczy bruchowstrząs...

- Przestań - powiedział cicho Rammar.

- ...taki z wszystkim, co trzeba - mówił dalej Balbok. - Z nadziewanymi flakami gnomów i oczami pytonów...

- Przestań! - powtórzył energicznie Rammar. - Twoja głupia gadanina nic nam nie pomoże. I tak już jestem dość głodny.

- Prawie czuję jego zapach - rozmarzył się Balbok. - A jak zamknę oczy, mogę nawet zobaczyć parujący kocioł pełen...

- Jeśli w tej chwili nie zamkniesz gęby, wetknę ci w gardło twoje przeklęte godfo. Wtedy wreszcie się uspokoję... A co to takiego?

Rammar zauważył, że jego towarzysze nagle się zaniepokoiili. Balbok wciągnął głowę w ramiona, po czym zaczął węszyć chłodne nocne powietrze, elfini wyostrzyła swoje i tak spiczaste uszy - nasłuchiwała.

- Coś czuję - szepnął Balbok. - Ktoś jest w pobliżu.

- Jesteś pewien?

- On ma rację - przyznała Alannah. - Ktokolwiek to jest, porusza się bardzo cicho, nawet ja go ledwie słyszę. Ale tu jest. I nas obserwuje.

- Kto? - spytał Rammar.

- Trudno powiedzieć. - Balbok nadal węszył. - Może krasnolud. Albo człowiek.

- Gdzie się schował?

- Tam za skałami, tak mi się zdaje - odpowiedział młodszy ork.

- Balbok - burknął Rammar - weź topór i zabaw się tym beczelnym świniakiem, który waży się nas podsłuchiwać. Niech pozna potęgę Rammara Gniewnego.

- *Korr!* - Balbok chwycił za topór i opuścił miejsce przy ogniu, ubrany tylko w skąpą przepaskę na biodrach, na której nieźle poużywały już sobie mole.

Rammar i Alannah zostali. Ich spojrzenia spotkały się, a ponieważ żadne z nich nie chciało ustąpić, twardo mierzyli się wzrokiem.

- Czemu nie pomagasz swemu bratu? - spytała arcykapłanka.

- Żebyś została bez straży i mogła znów uciec? - Rammar wyszczerzył w uśmiechu żółte zęby, a potem pokręcił głową. -

Czy ci to pasuje, czy nie, elfini, mój brat i ja zaprowadzimy cię do Ruraka, żeby dostać od niego naszą zapłatę!

- I tylko dlatego uratowałeś mi życie?

- Oczywiście, a po cóż innego?

- Rozumiem. - Alannah skinęła głową. Widać było, że z trudem przychodzi jej wypowiedzieć następne słowa. - Mimo to chciałabym ci PODZIĘKOWAĆ, orku. Ryzykowałeś własnym życiem, by mnie uratować. Jestem twoją dłużniczką.

Rammar wytrzeszczył oczy i patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

- Hę?

- Jestem twoją dłużniczką - odpowiedziała niechętnie Alannah.

- A... ale ja jestem orkiem...

- Wiem, że jesteś orkiem. To nie zmienia faktu, że uratowałeś mi życie. I według prawa mego ludu jestem ci winna wieczną wdzięczność.

- To prawo nie dotyczy orków - oznajmił Rammar, który najwyraźniej nie czuł się z tym dobrze.

- Owszem, dotyczy.

- Ale ja nie chcę, żebyś była mi winna, jak się ta bzdura nazywa, winna WDZIĘCZNOŚĆ - powiedział energicznie Rammar. Sprawa była nieprzyjemna. - Orkowi coś takiego nie przystoi. My jesteśmy dzikusami, które chleją, mordują i niszczą. Ratować życie elfom? O tym nie ma u nas mowy.

- Ale ty to zrobiłeś.

- Żebym mógł cię wydać Rurakowi, tylko dlatego - powiedział, a w jego przekrwionych oczach błysnął gniew. - Jeśli odważysz się komukolwiek o tym opowiedzieć, to ja cię...

Przerwał, nie tylko dlatego, że nie przychodziła mu do głowy stosowna groźba. Również dlatego, że z kierunku, w którym udał się Balbok, dobiegły nagle: stękanie, łoskot żwiru i szybko oddalające się kroki.

Rammar chwycił za *saparak*.

- Balbok? To ty?

Znów dały się słyszeć kroki, tym razem wolniejsze i ociężałe, i z ciemności poza kręgiem światła od ogniska zamajaczyła znajoma chuda sylwetka.

- No, jesteś - mruknął Rammar. - Co się stało?

- Uciekł mi - przyznał zakłopotany Balbok.

- *Umbal!* - wrzasnął Rammar. - Zdołałeś przynajmniej zobaczyć kto to?

- Człowiek - odpowiedział nieśmiało Rammar. - Ubrany jak traper.

- Człowiek. Jeszcze tego brakowało. - Rammar się skrzywił. - Od tej hołoty naprawdę nigdzie nie ma spokoju. Wszędzie ich pełno i akurat za orkami nie bardzo przepadają.

- Naprawdę? - Alannah uniosła łukowate brwi. - Czy w całej *amber* istnieje KTOKOLWIEK, kto przepada za orkami?

- Nie. I jesteśmy z tego dumni - odpowiedział jadłowicie Rammar. - *Iomash namhal, iomash unur*, mówi się u nas. Ilu wrogów, tyle chwały.

Jeszcze kilka dni temu Alannah roześmiałaby się w głos, słysząc słowo „chwała” z ust orka. Dała jednak spokój i zamiast tego spytała:

- Co chcecie teraz zrobić?

- Hmm - mruknął Balbok. - Ci traperzy są świetnymi łucznikami. Gdyby chciał nas zabić, już byśmy nie żyli.

- Może to był tylko zwiadowca - domyślił się Rammar. - Może włóczy się tu więcej takich. Jakby jeden taki typ nie oznaczał już dość kłopotów. Musimy mieć oczy otwarte i być czujni. A przede wszystkim musimy zgasić ogień...

KSIĘGA 2

BOURTAS UR'TIRGAS LAN

(SKARB Z TIRGAS LAN)

1. *KOMANASH*

UR'BOURTAS-KOUM

Corwyn krzywił się, patrząc na łupy. Rozłożył je na leśnej ściółce. Było ich osiem. Osiem skalpów. Niektóre krótkie i rozwichrzone, inne długie i zaplecione w warkocze. Łączyło je jedno - z wszystkich zwisała jeszcze zakrwawiona skóra.

Człowiek splunął. Osiem skalpów. Nie było tego wiele, biorąc pod uwagę, że już od dwóch miesięcy przemierza zbocza i lasy Gór Ostrych. Na dodatek dawniej jego zleceniodawcy płacili mu bez porównania więcej za oczyszczanie z plugastwa terenów na wschód od Lodowej Rzeki. Jeśli się dobrze potarguje, to za te osiem skalpów dostanie okrągłą sztukę srebra. Odliczając koszt ostrzenia miecza, do tego dwa tuziny strzał i zakup nowej sieci, nie zostanie mu zbyt wiele. A przecież bywały czasy, że wielcy panowie z Sundaril uważali, że tylko martwy ork to dobry ork. Teraz to się zmieniło.

We wschodnich królestwach szalała wojna. Baronowie i książęta prowadzili z miastami krwawe boje o dominację. Te walki

pochłaniały coraz więcej ludzkich istnień, zaczęto więc cenić żywych orków wyżej od martwych: brano ich w niewolę i robiono z nich żołnierzy albo wykorzystywano w kopalniach, gdyż trzeba było stale nowego żelaza, żeby na polach bitwy nie zabrakło „sprzętu”. Orkowie świetnie się do tego nadawali. Płacono pięć sztuk srebra za każdy żywy egzemplarz.

Corwyn gorzko się zaśmiał. Ośmiu zabitych orków ledwie starczało do napełnienia kiesy, w zamian jednak zaspokajali jego żądzę zemsty - choćby na krótko.

Miał jeszcze przed oczami wzrok ostatniej poczwary. Naszpikował ją strzałami, cóż to była za przyjemność zmienić szmatławca w zataczającą się poduszkę na igły. Każdy krzyk z krtani znienawidzonej kreatury napełniał serce Corwyna satysfakcją. Albo ten drugi, z którego wnętrzości hałaśliwie chlusnęła zawartość, kiedy rozcinał go wzdłuż. I ten, którego złapał do własnoręcznie zbudowanej pułapki, by potem przyglądać się, jak bestia powoli zdycha.

Może i płacono w tych zwariowanych czasach więcej za żywego orka, tylko że Corwyn po prostu nie mógł oprzeć się pokusie zdmuchiwania wątych iskier ich życia.

A jednak będzie musiał trzymać się na wodzy, ten jeden jedyny raz. Myśl, że złapie od razu dwa bydlaki i obu daruje życie, napełniała go wprawdzie niechęcią, ale w równej mierze podniecało go dziesięć sztuk srebra, które przyniesie mu jego powściągliwość.

Zwykle poza Stęchłą Marchią spotykało się orków tylko pojedynczo; za plemienne ziemie wypuszczali się albo zabłąkani głupcy, albo samotnicy w poszukiwaniu przygód bądź skazani na banicję. Spotkać od razu dwóch takich w tej okolicy - i to na dodatek takie imponujące okazy - to jak wyciągnąć los z główną wygraną na loterii w Sundaril.

Nad brzegiem Lodowej Rzeki Corwyn znalazł przemoczony pakunek. Zawartość plecaka - mnóstwo nadpsutego suszonego

mięsa - jak również sposób, w jaki je spakowano - wszystko bezładnie wrzucono do środka - natychmiast zdradziły człowiekowi, że ma przed sobą prowiant orka. Możliwe, pomyślał, że ten przeklęty stwór utonął w gorze rzeki i że jego ścierwo woda wyrzuci na brzeg, dzięki czemu on, Corwyn, będzie mógł bez ryzyka zdobyć następny skalp. Wprawdzie pozbawiało go to przyjemności własnoręcznego zmasakrowania orka, ale te wszystkie lata, kiedy przemierzał Góry Ostre jako łowca głów, nauczyły go, że nie można mieć wszystkiego i trzeba umieć zadowolić się tym, co się ma.

Ruszył w górę rzeki, przeszukując brzeg, nie znalazł jednak trupa orka. Za to z nastaniem nocy dostrzegł blask ogniska. Zakradł się, by zobaczyć kto lub co dotrzymuje mu towarzystwa w tej dziczy - i nieźle się zdziwił: naprawdę, nie co dzień widzi się przycupniętych zgodnie przy ogniu, przystrojonych tylko w przepaski na biodrach orków i nagą elfinię.

Corwyn zaczął snuć najdziksze przypuszczenia, czego owa malownicza grupa może szukać tak daleko na północy. Potem zauważył, że elfinia jest spętana w kostkach. Więc jest jeńcem! Oburzył się do głębi - nie, żeby jej współczuł, ale po prostu dlatego, że ogromnie zazdrościł orkom jej towarzystwa.

Kobieta, pomijając Marenę, była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział; jej cera była jak alabaster, rysy regularne jakby wymodelował je genialny artysta. Nie wspominając o innych zaletach. Pierwszy raz widział elfinię taką, jaką stworzyła ją jej stwórca. I nagle zrozumiał, dlaczego powiada się, że najpiękniejsze ludzkie kobiety nie mogą się równać z żadną z nich. Corwyn, który ostatnie miesiące spędził w dziczy zupełnie sam, przyłapał się na tym, że jego myśli zabłąkały się na niebezpieczne ścieżki: jeśli uwolni tę elfią damę z łap orków, z pewnością będzie mu niezmiernie wdzięczna, a on już będzie wiedział, jak

pozwole jej spłacić ten dług...

Z suchością w ustach i pożądliwym błyskiem w oku łowca głów miał właśnie zamiar wypaść z ukrycia i rzucić się na orków, gdy w tym samym momencie jeden z nich go zauważył. Chudzielec wstał i ruszył ku niemu z ogromnym toporem w garści.

Corwyn wstrzymał się, gdyż doszedł do wniosku, że lepiej będzie zniknąć. Nie mógł już wykorzystać efektu zaskoczenia i na dodatek nie wiedział, z jakimi orkami ma do czynienia: czy są tak niezdarni i głupi, że bez trudu sobie z nimi poradzi, czy też potrafią się sprytnie i walecznie bronić. Poza tym było ich dwóch, a on nie zamierzał podejmować niepotrzebnego ryzyka.

Wziął więc nogi za pas, ale jeszcze w powrotnej drodze do obozu obmyślił plan; plan, jak uwolnić elfinię i tym samym zapewnić sobie jej wdzięczność, równocześnie łapiąc dwóch żywych orków, których będzie mógł sprzedać na targu niewolników w Andaril.

Musi tylko wszystko dobrze przygotować.

I poczekać...

Świt kolejnego dnia zastał braci i ich branek już na nogach.

Balbok nie miałby nic przeciw temu, żeby jeszcze chwilę po-drzemać, ale Rammar, który przejął straż w drugiej połowie nocy, bezlitośnie wyrwał jego i Alannah ze snu. Zakładając oczywiście, że elfini w ogóle spała. Tę noc, jak inne, przesiedziała w kucki przy wygasłym ognisku, patrząc przed siebie, spokojnie i miarowo oddychając. Rammar utwierdził się w przekonaniu, że nigdy nie zrozumie elfów.

Po wydarzeniach poprzedniego dnia orków już nic nie trzymało w Górach Ostrych. Tym bardziej nie mieli ochoty spotykać trape-ra. Wiadomo było, że traperzy nikogo nie nienawidzą bardziej niż

orków. Po okolicy kręciły się też krasnoludy, które również nie zaliczały ich do swoich przyjaciół. Bracia chcieli jak najszybciej ruszyć dalej.

Z Gór Ostrych można było wydostać się tylko dwiema drogami. Jedną - stromą i uciążliwą oraz drugą - bardzo długą, z trudnym do oszacowania ryzykiem. Rammar miał już jednak powyżej uszu gór, nie ruszyli więc stromym wąwozem, ale postanowili pójść wzdłuż Lodowej Rzeki i, omijając bagna, przedostać się na południe, gdzie Góry Ostre schodzą na Równinę Scaria. Tam zamierzali skręcić na zachód, ku rodzinnym zakątkom Stęchłej Marchii.

Co się tyczy czasu, jaki im jeszcze został, obaj orkowie trochę stracili orientację. Nie wiedzieli już, ile dni zostało do pełni Posokowego Księżyca, ale Balbok oceniał, że mają w zapasie dobry tydzień.

- Jeszcze cały tydzień? - sceptycznie spytał Rammar. - Jesteś pewny?

Balbok raptem przestał wyglądać na całkiem przekonanego. Podniósł łapę i zaczął odliczać dni na pazurach, mamrocząc przy tym:

- Więc tak, jeden tydzień miesiąca orków ma pięć do sześciu dni... ale co drugi albo co trzeci dzień nie liczy się, bo ma się kaca po posokowym piwie z poprzedniego wieczoru... to razem... więc... mmh... - Jego wysokie czoło zmarszczyło się i trwało dłuższą chwilę, nim znów twarz mu się rozjaśniła. - Już wiem - oznajmił z dumą. - Myślę, że *bougum*.

- *Bougum*? - wybuchnął Rammar. - Twierdzisz, że to już tylko kilka dni?

- Właśnie - potwierdził zadowolony Balbok.

- Ty głupi *umbalu*! I żeby to stwierdzić, musiałeś tak długo liczyć?

- Cóż, ja...

- Jeśli nie odniesiemy na czas głowy Girgasa do *balbou*, to minie termin wyznaczony przez Graishaka, a wtedy każe

nafaszerować nam brzuchy cebulą i czosnkiem, i poda nas jako główne danie na uczcie ku czci tego głupka! - Rammar wbił w brata wściekły wzrok. - Co się z tobą dzieje, Balbok? Jeszcze przed Girgase i całą zgrają popisywałeś się, jak umiesz liczyć! To w końcu umiesz czy nie? Ile dni było do pełni Posokowego Księżyca, kiedy opuszczaliśmy *balboug*? Musisz przecież tylko porachować dni, które jesteśmy w drodze i dowiesz się, ile czasu nam jeszcze zostało! Balbok próbował na nowo policzyć na pazurach pozostałe dni, ale im głośniej brat na niego pomstował, tym bardziej gubił się w obliczeniach.

- Zatem... jeśli mam cztery skalpy gnomów - mamrotał - a mój brat ukradnie mi trzy, to zostanie mi... mmh... dodając do tego skalp mojego brata... mmh...

Krople potu wystąpiły Balbokowi na czoło, za którym jego mózg pracował na najwyższych obrotach. Mimo to nie mógł doliczyć się wyniku i w końcu się poddał.

- To się nazywa rachowanie, nie liczenie, Rammar - usprawiedliwił się żałośnie. - A rachować jest o wiele trudniej niż liczyć!

Grubszy ork parsknął z dezaprobatą. Powiedział sobie jednak, że nie chodzi przecież o parę dni mniej albo więcej. Wykonali zlecenie i zdobyli mapę Shakary (co z tego, że w innej postaci niż oczekiwano) i muszą ją już tylko zanieść magowi, żeby dostać za nią łeb Girgasa. Jeśli potem spotkają oddziały śmierci Graishaka, mogą swoim współplemieńcom pokazać głowę dowódcy drużyny. Ci *faihok'hai* na pewno okażą wtedy zrozumienie i zabiją tylko jednego z nich. A Rammar wiedział już, kto będzie tym KIMŚ...

Im dalej posuwali się na południe, tym bujniejsza otaczała ich roślinność: do mchów i porostów, wśród których tu i ówdzie sterczało uschłe drzewo, wkrótce dołączyły pojedyncze krzewy i paprocie; potem wzdłuż koryta rzeki pojawiły się pierwsze drzewa iglaste i nie trwało długo, a trójka wędrowców znalazła

się w wysokim lesie, którego smukłe świerki i jodły, choć nie mogły równać się z obfitością lasów Stęchłej Marchii, napępniały jednak orków uspokajającą pewnością, że podążają we właściwym kierunku. Rammar, donośnie wciągając w nozdrza stęchłą woń zbutwiałego poszycia lasu, kroczył teraz pewniej niż przedtem, a i jego nastój wyraźnie się poprawił.

- No, Balbok, co na to powiesz? - krzyknął do brata. - Prawie jak w domu, co?

- Tak - odpowiedział chudzielec, maszerując jak zwykle na końcu grupki. - Brakuje jeszcze tylko kilku grzybów z tłustymi pędrakami i mielibyśmy dziś wieczorem ucztę.

- Mówisz poważnie? - Alannah wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

- Oczywiście. Jeśli będziesz grzeczna, też coś dostaniesz. Ale te najtłustsze dostaje zawsze Rammar, a te trochę mniej tłuste dostają ja. A ty, elfini, możesz sobie zjeść grzy...

- Spokój! - syknął Rammar, unosząc ramię.

Jego brat znieruchomiał, również Alannah zachowywała się całkiem cicho. Odkąd królestwo krasnoludów chyliło się ku upadkowi, Góry Ostre uchodziły za niebezpieczną okolicę. Przy orkach elfini wiedziała przynajmniej, jak się sprawy mają. A kto mógł jej powiedzieć, co za szumowiny włóczą się jeszcze po dolinach?

- Co jest? - szepnął w ciszy Balbok. - Coś zwąchałeś?

- Nie.

- Coś usłyszałeś?

- Nie.

- Coś widziałeś?

- Do licha, co to za głupie wypytywanie? Podejdz tu łaskawie i sam sobie zobacz!

Na twarzy Balboka zarysowało się poczucie winy. Po cichu podkraść się do brata, ciągnąc za sobą Alannah, którą znów przywiązał do siebie grubą liną.

- Tam! - Rammar wskazał na ziemię przed sobą. Wyraźnie widać było odcisk buta. Buta z przybitą gwoździami podeszwą, takiego jakie noszą ludzie. Zwłaszcza żołnierze.

Albo traperzy...

- *Shnorsh* - powiedział cicho Balbok. - To może być on.

- Kto? - zainteresowała się Alannah.

- Mlecznogęby - burknął niechętnie Rammar. - Ten ludzki dupek, który obserwował nas w górze rzeki.

- Myślicie, że nas śledzi?

- W każdym razie nie odszedł daleko - stwierdził Balbok, który przygarbiony dokładnie oglądał ślad. W końcu obwąchał go i powiedział: - Ten ślad jest jeszcze świeży.

- Tego jeszcze nam brakowało - mruknął Rammar. - Ostatnie, czego nam teraz trzeba, to kłopoty z ludźmi. Te gnojki są bardziej nieobliczalne od gnomów, bardziej pazerne od krasnoludów i bardziej stuknięte niż elfy.

- W tym wyjątkowo się z tobą zgadzam - zauważyła sucho Alannah.

- Ślady prowadzą na południe - stwierdził Balbok, który tymczasem odkrył więcej odcisków stóp. - Jeśli odejdziemy trochę na zachód, może uda nam się uniknąć spotkania.

- *Korr*. - Rammar skinął głową. - Obejdziemy tego człowieka szerokim łukiem. Te mleczne gęby oznaczają same tarapaty.

Również Alannah nie miała nic przeciw temu. W jej oczach ludzie byli jeszcze młodą i niedojrzałą rasą, a ich żądzę władzy i łapczywość przewyższała jedynie ich brutalność. Nie przypadkiem podczas ostatniej wojny sprzymierzyli się z orkami; fałszywe obietnice i pochlebstwa skusiły ich równie łatwo, jak tych zwyrodnialców. W miarę, jak elfy coraz bardziej oddalały się od tego świata, królestwo ludzi na wschodzie coraz mocniej pograżało się w wojnie i bezprawiu. Książęta atakowali hrabiów, hrabiowie rycerzy, a rycerze napadali na miasta. Każdy dbał tylko o własny interes, nie było króla, który by rządził krajem. Ani króla,

ani nadziei - i nie będzie ich również w przyszłości...

Skręcili na zachód, jak zaproponował Balbok, godząc się z tym, że nadłożą drogi. Zatoczą szeroki łuk i wrócą do rzeki, wierząc, że w ten sposób ominą człowieka.

Ale orkowie i ich branka nie zaszli daleko. Nieszczęście obwieścił im trzask, brzmiący trochę tak, jakby łamała się spróchniała gałąź. Instynktownie zatrzymał się najpierw Rammar, a za nim jego towarzysze - w mgnieniu oka zostali schwytani i polecili w górę!

Raptownie stracili grunt pod stopami, szorstkie liny zacisnęły się wokół zdobyczy i związały w szamoczący się węzełek. Ramię Rammara wbijało się w plecy Balboka, zaś do jego twarzy przylgnęła stopa Alannah. Jego własna noga była groteskowo skrzycona do tyłu, a prawa łapa wylądowała w dekolcie elfini i nie miał żadnej możliwości jej stamtąd cofnąć.

- Jedna głupia uwaga, orku - warknęła Alannah - i będziesz miał się z pyszna...

Do całej trójki stopniowo docierało, co się stało: wpakowali się w pułapkę z sieci ukrytej pod leśnym poszyciem. Zawisnęli teraz wysoko nad ziemią bez szansy na uwolnienie.

- Toś nam znów nawarzył brzuchowstrząsu, Balbok! - krzyknął rozwścieczony Rammar. - To wszystko wyłącznie twoja wina!

- Ja... jak to?

- Bo powinieneś był zwietrzyć pułapkę!

- Ja miałem ją zwietrzyć? Niby jak?

- A skąd mam wiedzieć? Zwykle ten twój głupi nochal wszystko wywącha!

- Ale na pewno nie wywącha ukrytej sieci!

- Właśnie widzę...

- Powiedzcie no, zadziorne koguty - Alannah wtrąciła się w kłótnię braci - nie wolicie raczej wysilić waszych mózgownic i

wymyślić, jak wydostać się z tego przykrego położenia?

- Dobra propozycja - rozległo się nagle z dołu. - Chętnie posłucham. Nie mogę się doczekać.

Orkowie i ich branka drgnęli. Przez oka sieci dostrzegli szczupłą postać, która niespodziewanie wyłoniła się spośród drzew.

Był to człowiek.

Jego długie, w oczach orków, wręcz pająkowate nogi w zielonych spodniach tkwiły w brązowych, skórzanych butach z cholewami po kolana. Do kurtki, również ciemnozielonej, założył szeroki pas, a w przytroczonej do niego pochwie tkwił półtoraręczny miecz. Ciemna peleryna przydawała obcemu srogości. Człowiek odrzucił kaptur i ukazały się stalowobłękitne oczy. Jego twarz obramowana długimi po ramiona, czarnymi włosami przecięta była na lewym policzku szpetną blizną.

- To on! - syknął do brata Balbok.

- Kto?

- Człowiek - odpowiedział szeptem. - Traper, którego widziałem nad rzeką.

- *Shnorsh!* - zaklął Rammar, gdyż w tym momencie pojął, że dali się podejść jak nowicjusze. Trop, na który trafili, został zostawiony specjalnie, aby zwabić ich w przeciwnym kierunku.

Wybierając okrężną drogę, zrobili dokładnie to, czego chciał ten mlecznogęby, i naiwnie wpadli w pułapkę - teraz byli w jego mocy.

- Patrzcie tylko - szydził mężczyzna w języku swego ludu. - Oto myśliwi stali się łupem.

To stwierdzenie uznał za zabawne i wybuchnął gromkim śmiechem, kpiąc z Rammara i Balboka, którzy z trudem powstrzymywali wybuch złości. Nie mogli jednak nic zdziałać z

powodu niefortunnego położenia, w jakim się znaleźli - w ciasnej sieci nie było mowy o zdobyciu broni.

- Do kroćset, człowieku! - krzyknęła Alannah, która jako pierwsza odzyskała mowę. - Jak długo zamierzasz jeszcze szydzić, nim nas stąd zdejmiesz?

- Chcecie na dół? - zapytał człowiek i wyciągnął miecz. Groźnie zabłysła klinga. - Więc dobrze, elfini. Wasze życzenie jest dla mnie rozkazem.

I w jednej chwili przeciął linę, na której wisiała sieć; przerzuciona w górze przez gałąź schodziła w dół, uwiązana zaś była do pnia sąsiedniego drzewa. Była naprężona, wystarczyło więc jedno cięcie, by ją przerwać, i sieć wraz z szamoczącą się zawartością spadła na ziemię.

Mając w uszach krzyk swych towarzyszy, Rammar uderzył o leśne poszycie. Upadek był dotkliwy, ork trafił głową w korzeń i raptem głosy pozostałych ucichły - podobnie jak jego własny - i wtedy zdawało mu się, że Kurul połknął słońce, bowiem nagle zrobiło się wokół niego ciemno.

Kiedy przyszedł do siebie, była noc.

Leżał na ziemi związany w poręczny pakunek, a obok niego spoczywał Balbok. Nie spał. Z wyrazu jego twarzy można było wyczytać wszystko, tylko nie nadzieję.

Rammar nie musiał pytać, dlaczego. Zaledwie kilka *knum'hai* od nich trząskał ogień, rozsiewając migotliwy blask. Po drugiej stronie drżących płomieni dostrzegł chybotliwy zarys człowieka, któremu zawdzięczali swoje *shnorshowate* położenie, a obok niego Alannah, wolną od więzów i w świetnym humorze.

Tych dwoje zżywieniem rozmawiało. A kapłanka wydawała się odmieniona; pełna uroku i życzliwości, jakich orkowie nigdy u niej nie widzieli.

- Jak mam wam dziękować? - Braci dobiegł szczebiot Alannah. - Kiedy te stwory mnie porwały, myślałam, że ze mną koniec.

- Nie musicie się już niczego obawiać, moja droga. Zadbam o to, żeby spotkała ich odpowiednia kara za to, co wam zrobili.

- Tak bardzo jestem wdzięczna za waszą pomoc. Byłam bliska rozpaczy...

- Typowe - mruknął pod nosem Rammar. - Była bliska rozpaczy. A że przez jej durną próbę ucieczki wszyscy omal nie zginęliśmy, o tym naturalnie nie wspomina.

Człowiek musiał mieć znakomity słuch. Natychmiast zwrócił uwagę na orków. Kiedy zobaczył, że i Rammar jest już przytomny, podniósł się i okrzyknął ogień. Kapłanka poszła za nim, z pełnym satysfakcji uśmiechem na twarzy.

- Ach tak - człowiek odezwał się głosem zimnym i ostrym jak żeleźce krasnoludzkiego topora. - Więc w końcu się obudziłeś, tłuszczochu?

- Na to wygląda - odparł Rammar. Zewnętrznie nie zareagował na obelgę, ale postąpił jak wszyscy orkowie: zapamiętał ją dokładnie, aby odpłacić za nią, kiedy tylko nadarzy się sposobność. Orkowie mają zwyczaj być pamiętliwi...

- A więc ty jesteś Rammar - powiedział mlecznogęby; wyglądało na to, że elfini opowiedziały mu to i owo. - A ten tam długi to Balbok, twój brat. Śmieszne. Zawsze myślałam, że orkowie nie przejmują się pokrewieństwem.

- Możesz po tym poznać, jak niewiele o nas wiesz, człowieku - odparł zjadliwie Rammar.

- Na imię mam Corwyn - przedstawił się traper. - Jestem łowcą głów.

Rammar drgnął, a twarz Balboka jeszcze się wydłużyła. Czy taki ma być ich koniec? Po wszystkim, co przeszli i przetrwali, wpaść w ręce łowcy głów i umrzeć kompletnie bezsensowną

śmiercią? Kurul musi mieć dziś osobliwe poczucie humoru...

- Co z tobą, orku? - spytał uśmiechnięty Corwyn. - To uczciwy zawód, a to tam - wskazał na drugą stronę ognia - dowodzi, że znam się na mojej robocie.

Rammar powiódł wzrokiem za wyciągniętą ręką człowieka i zobaczył wetknięty w ziemię oszczep. Z jego drzewca zwisały zakrwawione skalpy. Grubszy brat poznał, że wszystkie pochodzą z głów orków.

- Barbarzyńca - warknął z obrzydzeniem.

- Ja miałbym być barbarzyńcą? Nazywasz mnie barbarzyńcą? - Uśmiech zniknął z twarzy trapera. Jego dłoń sięgnęła do pasa i chwyciła za rękojeść miecza. Przez chwilę jakby się zastanawiał, czy nie wyciągnąć go po prostu i nie zarżnąć orka.

Rammar w myślach miał ochotę dać sam sobie po łbie za to, że nie trzymał języka za zębami. Chce swoją gadaniną sprowadzić nieszczęście? Jeśli łowca głów do tej pory nie zabił jego i Balboka, to musiał mieć po temu z pewnością jakiś powód. „Może” - pomyślał Rammar - „jeszcze nie wszystko stracone, ale nie wolno prowokować łowcy głów, bo...”

- No dalej, człowieku! - Balbok przerwał rozmyślenia Rammara. - Rób, co musisz! Zabij mojego brata, ale wtedy zabij od razu i mnie! Bo jeśli zostawisz przy życiu jednego z nas, to...

- Zamknij się, Balbok! - przerwał mu krzyk Rammara.

- Ależ Rammar! To człowiek i na dodatek łowca głów! Szumowina najgorszego pokroju!

- Bzdura - zdecydowanie sprzeciwił się Rammar. - Może to i człowiek, ale wykonuje uczciwy zawód i zna się na robocie. Nie słyszałeś?

- A... ale... - Balbok odwrócił głowę i zagapił się na brata, jakby ten postradał rozum.

- Żadnego ale. Nie chcę już słyszeć ani słowa - warknął tamten. - Jesteśmy w rękach płatnego łowcy głów i koniec. On decyduje, co z nami będzie, nie ty!

Balbok milczał zmieszany, a Rammar, choć leżał splewany na ziemi, zdołał pokornie skłonić głowę. Przez moment Corwyn nie wiedział, co ma o tym sądzić. Potem roześmiał się drwiąco i pokręcił głową.

- Rozumiecie teraz, co miałam na myśli? - zapytała Alanah.

- Jeszcze jak. - Skinął głową. - Ci dwaj są kompletnie zakręcani. Jeden pyskaty i głupi jak strąk fasoli, drugi równie grubo, co tchórzliwy.

- Tak właśnie jest - potwierdził Rammar, w myślach robiąc na koncie łowcy głów następny znaczek; o niczym nie zapomniał, gdy kiedyś przyjdzie czas rozliczenia. - Schwytałeś nas i jesteśmy w twojej mocy. Co zamierzasz z nami zrobić, człowieku? Zabić?

- Szczerze mówiąc, zrobiłbym to z wielką przyjemnością - przyznał, krzywiąc się Corwyn. - Ale na tym szalonym świecie, na którym nic już nie jest takie, jak powinno, nie wiedzieć czemu, żywy ork jest wart więcej od martwego.

Świńskie oczka Rammara rozbłyły nadzieją.

- Darujesz nam zatem życie?

- Na to wygląda. Oszczędzę was teraz, żeby potem sprzedać na targu niewolników w Andaril. Nieźle tam płacą za orków do pracy w kopalniach. Za dwa takie okazy jak wy dostanę dziesięć do dwunastu sztuk srebra.

Z wyrazem twarzy zdradzającym, że kłamie, Rammar odpowiedział:

- Miło mi to słyszeć.

A więc ma zaharować się na śmierć w kopalni. Przegryzać przez skałę i grzebać w brudzie jak przeklęty, zniechęcony krasnolud. Co za upokarzająca, wprost obrzydliwa wizja!

- Ho, ho - westchnął ponuro Balbok. - To byłoby na tyle. Żegnaj, Rammar. Żegnaj, łbie Girgasa. Nigdy cię już nie zobaczę, *balboug*.

- Zasłużyliście na to! - osądziła Alannah. - Po co mnie porywaliście?

- Nie udawaj! - syknął Rammar, któremu powoli świtało, że jego lizusostwo okazało się daremne. Mając wybór między zimną stalą a przymusowymi robotami w kopalniach, bez namysłu wybierał miecz; w końcu jest orkiem, a nie krasnoludem, żeby jak ślepy kret grzebać w ziemi, oddając się czynności najbardziej przeciwnej swojej naturze, czynności, na którą w mowie orków nawet nie ma nazwy - PRACA. Krasnoludy muszą PRACOWAĆ, bo są zbyt tchórzliwe, aby zdobywać złoto i srebro w walce. Jednak dla orka taki żałosny byt nie wchodzi w ogóle w rachubę. Być wykorzystanym jako krasnolud w kopalniach ludzi, to dla Rammara straszliwa wizja!

- Co masz na myśli, mówiąc, że mam nie udawać? - spytała Alannah, przekrzywiając głowę i wyrywając Rammara z jego ponurych rozmyślań.

- Wiesz, co chcę powiedzieć - odparł Rammar. - Gdybyś była uczciwa, przyznałabyś, że nasze porwanie było ci bardzo na rękę.

- Co takiego? Chyba się przesłyszałam!

- To przecież prawda - burknął Rammar. Nie hamował się już teraz, gdy nie miał nic do stracenia. - Jedno zauważyłem u ciebie od razu: nie jesteś jak inne elfy. Nie tylko, że mówisz po orczemu, ale na dodatek jesteś nieugięta i masz w sobie więcej ognia niż twoi ospali współplemieńcy. To mam na myśli, kiedy mówię, że jest w tobie więcej z orka niż sobie uświadamiasz.

- Wygadujesz bzdury! - uniosła się Alannah.

- Ach tak? A czemu pomogłaś nam wtedy, gdy uciekaliśmy przed świątynnymi strażami? Dlaczego zdradziłaś nam, gdzie

jest przelęcz przez Północny Wał? Przyznaj, kapłanko, nie-
spieszno ci było wracać do obowiązków. Nasze porwanie bardzo
ci odpowiadało. Dawno już miałaś zamiar uciec, a my dwaj byli-
śmy dla ciebie tylko środkiem do celu. Czy nie tak?

- A jeśli nawet? - Alannah zaśmiała się srebrzyście. -
Zaraz się rozpłaczę, orku. Jak stworom takim jak ty, udaje się
zawsze czuć jak ofiary, będąc sprawcami? – Odwróciła się do
człowieka. - Nie wierzcie w ani jedno jego słowo, Corwynie.
Grubas jest równie zakłamany, co tchórzliwy, i nie mogę...
CORWYN?...

Alannah przerwała, widząc, jak łowca głów na nią patrzy.

- Co jest? - Zdumiała się.

- Świątynne strażę? - zapytał Corwyn. - Kapłanka? Czy to
możliwe, żeście zapomnieli mi o czymś powiedzieć?

- Cóż, ja... - zająknęła się Alannah i zamilkła, nie potrafiąc
na poczekaniu wymyślić żadnej wiarygodnej wymówki.

- Aha! - krzyknął tryumfująco Rammar. - A więc i ciebie
okłamała, łowco głów. Oszukała cię tak samo jak nas.

- Tak samo jak nas - na potwierdzenie powtórzył jak echo
Balbok.

- Kim jesteście? - Corwyn zwrócił się do kapłanki.

- Jestem elfinią, a moje imię jest Alannah - odpowiedziała.
- Nie oszukałam was.

- Ale nie powiedzieliście mi całej prawdy, czyż nie? Py-
tam was jeszcze raz: Kim jesteście, do licha? I dlaczego ci orko-
wie was uprowadzili?

- Mówiłam już, że nie wiem. Z poselstwem mego ludu
przekraczałam góry, kiedy napadły nas trolle. Pozostała mi tylko
ucieczka; i wiele dni błąkałam się po dziczy, nim wpadłam w
ręce tych dwóch stworów. Zamiast mi pomóc, porwali mnie.

- Ta baba kłamie jak wykute w kamieniu ![u orków synonim zwrotu „kłamać jak najęty”] - Zirytował się Rammar. - Każde jej słowo to kłamstwo.

- Każde słowo - potwierdził Balbok.

- Na imię ma Alannah - mówił dalej Rammar - ale nie jest tą, za którą się podaje. To arcykapłanka świątyni elfów z Shakary.

- Z Shakary - powtórzył Balbok.

- Stamtąd i znikąd indziej porwaliśmy ją, ja i mój brat! - krzyknął Rammar. - Przysięgam na płomień Kurula!

- Na płomień Kurula.

- Milczcie, niegodne orki! - Alannah zaśmiała się drwiąco. - Komu, waszym zdaniem, uwierzy Corwyn, dwóm dzikusom czy pięknej kobiecie, do tego potomkini starego elfiego rodu?

Pewna zwycięstwa odwróciła się do Corwyna. Kiedy jednak zobaczyła jego ponury wzrok, uśmiech zamarł na jej bladej twarzy.

- C... co? - spytała niepewnie. - Czyżbyście wierzyli tym szkaradnym kreaturom bardziej niż mnie? Zapomnieliście, jaką obiecałam wam nagrodę, kiedy odprowadzicie mnie bezpiecznie do Targas Dun?

- Nie - odpowiedział szorstkim głosem Corwyn. - Ale zastanawiam się, co warta jest wasza obietnica, kiedy waszym zwyczajem jest mówić nieprawdę. Więc pytam po raz ostatni: kim jesteście i skąd przybywacie?

Elfini przez chwilę wytrzymała jego badawcze spojrzenie. Potem zrezygnowana spuściła głowę, widząc, że nie ma sensu dalej zaprzeczać swemu pochodzeniu.

- Więc dobrze - przyznała cicho - to prawda: jestem, a raczej BYŁAM arcykapłanką Shakary, kiedy tych dwóch porwało mnie ze świątyni.

- A więc znacie tajemnicę mapy - stwierdził Corwyn, a powiedział to tak szybko i pewnie, że Alannah aż drgnęła przestraszona.

- Wy... Wy wiecie o mapie z Shakary? - zdziwiła się.

- Odpowiedzcie na moje pytanie. Znacie mapę, tak czy nie?

- Cóż... hmm... tak - przyznała Alannah. - To właśnie powód, dla którego te dwa rzezimieszki mnie porwały. Są na usługach jakiegoś szarlatana, marzącego o poznaniu starych elfich tajemnic, których jego rozum nie będzie zdolny rozwikłać, i nie wiem, czy... Co się z wami dzieje?

Corwyn nie odpowiedział. Przez chwilę, która zdawała się trwać wieczność, wpatrywał się w Alannah trudnym do określenia spojrzeniem. Elfini i orkowie sądzili już, że postradał rozum, kiedy wybuchnął głośnym i niepoahamowanym śmiechem, by w końcu z powrotem usiąść przy ogniu.

- To trzeba uczcić! - zawołał, chwytając za worek. Wygrzebał z niego glinianą butelkę i zębami wyciągnął z niej korek. Pociągnął kilka solidnych łyków, a gdy nie przyniosły oczekiwanego uspokojenia, ponownie napił się trunku.

Bracia podejrzewali, co jest w butelce: ludzie i krasnoludy mają osobliwy zwyczaj upijania się sfermentowanymi esencjami roślin - nazywają je alkoholem. Orkowie zaś, żeby się oszłomić, zwykli sięgać po posokowe piwo. Efekt wypicia alkoholu nie da się nawet w przybliżeniu porównać z potężnym rauszem posokowym.

Na Corwyna jednak zawartość butelki zdawała się już działać. Patrzył szklistymi oczami i powoli się wyciszał. Jego obłąkany śmiech zamilkł i powróciło milczenie. W końcu Alannah usiadła przy nim, długo przyglądając mu się baczny wzrokiem.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Oczywiście - odpowiedział z językiem ciężkim od alkoholu. - Teraz wiem, kim naprawdę jesteście. Czemu to nie miałyby być w porządku?

- Wybaczcie, że zataiłam przed wami moje pochodzenie. Wobec mojego wybawcy powinnam być szczerą.

- Wybawca!... - Łowca głów parsknął pogardliwie i wziął jeszcze łyka. - Nie oceniajcie mnie zbyt wysoko, elfia kapłanko.

- Nie obawiajcie się, to... - zaczęła Alannah, potem jednak przerwała, zmarszczyła czoło i spytała: - Skąd znacie tajemnicę Shakary? Niewielu śmiertelników o niej wie.

Corwyn jeszcze raz parsknął. Znów chciał pociągnąć łyka, ale delikatna dłoń Alannah powstrzymała go łagodnie.

- Więc dobrze - mruknął - opowiem wam. Macie prawo się dowiedzieć.

- A my? - wtrącił się Rammar.

- Tak, co z nami? - powtórzył Balbok.

- Co ma być z wami?

- Gdybyśmy ci nie powiedzieli, że elfini cię okłamała, nadal byś nie wiedział, kim ona jest - odpowiedział Rammar. - Mógłbyś zdjąć nam więzy i pozwolić usiąść przy ogniu.

- Właśnie, mógłbyś zaproponować nam miejsce przy ognisku!

- Zamknijcie się! - wrzasnął szorstko Corwyn. - Najchętniej zaproponowałbym wam miejsce w ogniu, więc do kroćset bądźcie wreszcie cicho. Bo zawieszę wasze skalpy na tym oszczepie!

- Wtedy nie dostaniesz za nas nagrody - odparł Rammar. - Żywi jesteście warci więcej niż martwi, nie zapominaj.

- Kto powiedział, że przed oskalpowaniem was zabiję? - spytał Corwyn z miną, która ani trochę nie spodobała się Rammarowi. Ork uznał, że lepiej będzie milczeć i słuchać.

Nastawił uszu, gdyż w przeciwieństwie do zmysłu węchu jego słuch funkcjonował znakomicie...

- Musicie wiedzieć, że nie zawsze byłem łowcą głów - wyjaśnił Corwyn, zwracając się do Alannah, która słuchała go równie uważnie, co bracia. - Wiele już zawodów wykonywałem, większość z nich z mieczem w dłoni.

- Byliście żołnierzem?

- Przez większość czasu. Klinga mojego miecza należała do tego, kto najlepiej płacił, czy to księżę, czy miasto - to było mi obojętne. Walczyłem na wielu wojnach, aż wreszcie spotkałem JA.

- Kogo?

- Marekę - odpowiedział Corwyn drżącym, cichym głosem. - Jej włosy były ogniste jak zachodzące słońce, a jedno spojrzenie jej oczu wystarczało, by mężczyźnie zawrócić w głowie. Spotkaliśmy się podczas krwawej bitwy. Byliśmy we wrogich sobie obozach. Natknęliśmy się na siebie w gęstym lesie, z dala od właściwego pola walki. Po tym, jak chwilę walczyliśmy ze sobą, zrozumieliśmy, że gdyby jedno z nas zginęło, byłaby to bezsensowna strata. A więc z miejsca zawarliśmy pokój. I to jak! - Wspomnienie wyczarowało na twarzy Corwyna lubieżny uśmiech, który znikł dopiero na widok pełnego przygany spojrzenia Alannah.

- Zresztą nieważne - wymamrotał. - W każdym razie od tego dnia staliśmy się nierozłączni. Zakończyliśmy naszą żołnierską służbę i od tego czasu wynajmowaliśmy się jako łowcy głów. - Lordowie na wschodzie płacili wtedy dobrze za każdy skalp orka, mieliśmy więc mnóstwo pieniędzy i żyliśmy wolni od trosk, póki nie spotkaliśmy TEGO ORKA.

- Tego orka? Jakiego orka? - zainteresowała się Alannah, a Rammar i Balbok z zaciekawieniem nadstawili uszu.

- Złapaliśmy go, gdy błąkał się sam po lesie. Żeby ratować swoją skórę, opowiadał nam różne mętne historie o jakiejś tajemniczej mapie, która istnieje tylko w głowie elfiej kapłanki i

wskazuje drogę do legendarnego skarbu. Nie robiłem sobie wiele z tej gadaniny, ale udało mu się zainteresować Marenę. Obiecując mu wolność, wydobyła z niego tajemnicę. Na północy, w Lodowej Świątyni Shakary, mieszka kapłanka elfów przechowująca tajemnicę starej mapy. Mapa wskazuje drogę do Tirgas Lan, starego królewskiego miasta elfów, ukrytego gdzieś głęboko w Lesie Trowna. Znajduje się w nim skarb o niezmierzonej wartości.

Rammar i Balbok wymienili zdziwione spojrzenia.

Skarb niezmierzonej wielkości?

Powoli zaczęli rozumieć, dlaczego mag koniecznie chciał zdobyć mapę...

- I co? - spytała Alannah z niewzruszonym wyrazem twarzy.

- Nie uwierzyłem w ani jedno słowo tej gnidzie, ale Marena tak. Kazała opisać sobie drogę do Shakary i udała się w podróż, a ja za nią, choć nie wierzyłem w te bzdury.

- A ork? - zapytał zaciekawiony Balbok.

- Marena dotrzymała obietnicy i puściła go wolno - odpowiedział ponuro Corwyn - a ja po dziś dzień przeklinam samego siebie za to, że na to pozwoliłem. Powinienem był zabić to szkaradne monstrum. Już następnego dnia łagodność Mareny zemściła się. Strzała, wystrzelona tchórzliwie z zasadzki, trafiła ją w plecy. Zmarła na moich rękach.

- Przykro mi - powiedziała cicho Alannah.

- To był ten ork, którego poprzedniego dnia uwolniła - mruknął Corwyn. - Śledziłem go, ale mi uciekł. Ostatnie, co słyszałem, to gromki śmiech; poznałbym go pośród tysiąca. Od tamtej chwili nie zabijam już orków dla zarobku, robię to dla przyjemności. Nędzne kreatury nie zasługują, by żyć. Wytrzebię je wszystkie, jednego po drugim.

Rammar i Balbok zrobili zatroskane miny. Nie brzmiało to tak, jakby łowca głów miał w przewidywalnej przyszłości zawrzeć z nimi pokój...

- Zdaje mi się, jakby to wszystko dopiero co się wydarzyło - powiedział Corwyn, a oczy zaszkliły mu się. - Blizny są jeszcze głębokie.

- Tak, przemawia przez was głęboki ból, żaloba po ukochanej - odparła Alannah. - Ale powinniście się strzec, Corwynie.

- Strzec? Czego?

- Żeby wasza żądza zemsty nie upodobniła was do tych, których zabijacie. To prawda, że orkowice są podłymi stworami, zdolnymi tylko niszczyć i pozbawionymi rozumu, ale...

- Momencik - wtrącił się Rammar, który nie zamierzał puścić tego mimo uszu. - Podli może i jesteśmy, a i niszczenie sprawia nam przyjemność, ale rozum to my mamy - możecie być pewni!

- ...ale ten, kto walczy z nimi ich własną bronią - kontynuowała, nie zwracając na niego uwagi Alannah - upodabnia się do nich.

- Łatwo wam mówić - powiedział łowca głów. - Nie wiecie, co to znaczy stracić kogoś, kogo się kocha bardziej niż własny wzrok i powietrze w swoich płucach.

- Mylicie się, Corwynie. Nie powinniście pochopnie osądzać innych. Prawda jest często ukryta.

- Też mi coś! - parsknął pogardliwie Corwyn. - Tak jak prawda o waszym pochodzeniu? Co za osobliwy przypadek. Po tym, jak wówczas uznałem gadaninę tego orka za brednie i przez długie lata nie myślałem o świątyni ani o przeklętej mapie, dziś spotykam akurat was, arcykapłankę Shakary. Powiedzcie więc, Alannah: czy ten ork wówczas powiedział prawdę? Znacie tajemnicę mapy?

- Znam ją.

- I co? Prowadzi do skarbu o niezmierzonej wartości?

- Przysięga, jaką złożyłam, zabrania mi opowiadać wam o tym. Nie powinniście nawet wiedzieć o istnieniu mapy.

- A jednak się o niej dowiedziałem - Corwyn skrzywił się w pozbawionym radości uśmiechu. - Czy to nie dziwne, jakie figle płata nam czasem los? Właśnie kiedy zaczynam powoli o wszystkim zapominać, musicie na mojej drodze stanąć akurat wy, elfia kapłanko, i stara rana otwiera się na nowo.

- Przykro mi - powiedziała Alannah i Rammar uznał, że tym razem zabrzmiało to wyjątkowo szczerze.

- Niepotrzebnie. Ale to od was zależy, kapłanko, czy śmierć Mareny może po latach zyskać jakiś sens.

- Jak to rozumiecie? - spytała zdziwiona.

- Wiecie, jak to rozumiem. Przez wszystkie te lata żyłem w przeświadczeniu, że straciła życie przez kłamstwo, a teraz dowiaduję się, że skarb, który chciała odnaleźć, naprawdę istnieje. Jeśli go zdobędę, doprowadzę do końca to, za co zginęła.

- Nie! - Elfini zdecydowanie pokręciła głową. - To nie jest dobry pomysł. Zapomnijcie o tym, żeście mnie spotkali i co opowiedzieli wam orkowie. Zróbcie po prostu tak, jakby...

Przerwała, bo nagle poczuła na gardle czubek miecza Corwyna. Poderwał się i w mgnieniu oka dobył broni.

- Zapomnieć? Uważacie więc, że mógłbym tak po prostu zapomnieć? - skrzywił się. - Nie dajcie się zwieść faktowi, że wyrwałem was z łap orków, kapłanko. Jak już powiedziałem, moja wierność należy do tego, kto najlepiej płaci. Nie liczcie więc zbyt wiele na moją szlachetność. Potrafię być równie pozbawiony skrupułów, jak te tam dwa stwory.

- Na to wygląda - odezwała się bezdźwięcznie Alannah. W jednej chwili znikło wszelkie współczucie i powróciło lodowate zimno. - Ale wątpię, czy Marena pochwaliłaby to, co tu robicie.

- Nigdy więcej nie wymawiajcie jej imienia, elfini - warknął Corwyn. - Nie chcę, żeby wypowiadały je wasze zakłamanne usta.

- Pokazujecie teraz swoją prawdziwą twarz, łowco nagród? - spytała Alannah. - Próbujecie mnie przestraszyć? Nigdy nie uda się wam mnie przymusić do zdrady. Złożyłam ślubowanie. Przysięgam, że raczej umrę niż zdradzę tajemnicę Shakary.

- Teraz widzisz, łowco głów! - krzyknął Rammar i wyszczerzył żółte zęby. - To elfini jest twoim wrogiem, nie my! Rozwiąż nas, to pomożemy ci wydusić z niej tajemnicę. Mój brat i ja znamy wiele zabawnych metod na otwieranie upartych ust.

- Zgadza się, na otwieranie.

- O to mógłbym się założyć, orkowie, ale nikt tu nie prosi was o przysługę - odpowiedział Corwyn. - Kapłanka i bez waszej pomocy złamię milczenie.

- Na pewno nie - zapewniła Alannah. - Szybciej umrę.

- Bzdura! - przerwał jej Rammar. - Nie robi tego. Ta zakłamaną bestia zdradziła swoich własnych ludzi, żeby uciec z nami przez góry. Z pewnością nie poświęci życia na odzyskanej właśnie wolności za sprawę, w którą już nie wierzy.

- Milcz, orku! - Naskoczyła na niego. - Co ty możesz wiedzieć, bezduszna kreaturo?

- Dość, by cię przejrzeć, elfini. Odkąd żyjesz, czekałaś na coś, co nigdy nie nastąpiło. Twoje życie było dotychczas mdłe i nudne. Aż do chwili, kiedy pojawiliśmy się my, prawda? Dlatego pomogłaś nam w ucieczce i dlatego nie będziesz chciała umrzeć. Nie po to odzyskałaś wolność, by strzec tajemnicy, w którą sama od dawna nie wierzysz.

- Gadasz bzdury - upierała się Alannah, lecz nie brzmiała już tak przekonująco.

- Patrzcie, patrzcie - wyszczerzył zęby Corwyn. - Może i ten gruby ork nie ma rozumu, ale wygląda na to, że naprawdę cię

przejrzał. Chyba rzeczywiście więcej cię łączy z tymi szkaradami niż chcecie przyznać. Naprawdę jesteś gotowa umrzeć? Wiem, że wy, elfy, nie łamiecie sobie głowy umieraniem. Życie niemal wiecznie i nie rozmyślacie wiele o śmierci. - Docisnął trochę mocniej ostrze miecza do jej alabastrowej, łabędziej szyi. - Ale ta stal, zapewniam cię, może położyć kres również twojemu życiu, elfini. Dobrze się zastanów, co zrobisz.

- Jeśli mnie zabijesz, nigdy się nie dowiesz, gdzie jest skarb.

- Nie będę więc zorientowany gorzej niż jestem teraz - skomentował Corwyn. - Nie mam nic do stracenia. Ty za to utracisz setki lat życia, jeśli teraz zadam cios. - I głosem brzmiącym jak warczenie wilka dodał: - Dawaj mapę!

- Czego oczekujesz? Że ci ją narysuję? - Alannah roześmiała się bez radości. - Zatem jesteś równie głupi i naiwny jak orkowie, których tak nienawidzisz. Mapy Shakary nie można narysować, gdyż oznacza ona nieporównanie więcej niż tylko opis drogi. Na zakłętej twierdzy Tirgas Lan, do której prowadzi mapa, ciąży stara klątwa.

- Co ty wygadujesz? - krzyknął Corwyn z oczami iskrzącymi się złością. - To przecież tylko elfie gadanie!

- Wątpisz w moje słowa? W takim razie wcale nie powinieneś ruszać w podróż do Trowny, łowco głów. Czekają tam o wiele bardziej niewiarygodne rzeczy. Niebezpieczeństwa, o jakich nie śniło ci się w najśmielszych snach.

- Co za niebezpieczeństwa? O czym mówisz?

- Las Trowna jest tak samo zakłęty jak sama twierdza. Czają się tam złe moce, czyhające na każdego intruza.

- Ho, ho - mruknął Rammar. - To nie brzmi dobrze. To może jednak lepiej do kopalni...

- Po takim tchórze jak ty nie spodziewałem się niczego innego - warknął Corwyn. - Ale ja się nie boję. - Ponownie zwrócił się do elfini, z nieskrywaną chciwością w oczach. - Jeśli nie

możesz opisać mi drogi do Tirgas Lan, kapłanko, to będziesz mi towarzyszyć w mojej podróży na południe. I tak chciałaś iść w tę stronę, prawda?

- Na pewno nie zamierzałam przechodzić przez Las Trow-na - odparła kąśliwie Alannah.

- Co tam. Wreszcie znajdę odpowiedź na pytanie, czy Marena naprawdę zmarła z powodu kłamstwa, czy nie. A ty się dzięki temu dowiesz, czy przez te wszystkie lata mamiała się dziecinną bajeczką, czy w waszych starych legendach jest może trochę prawdy. To chyba już coś, zgodzisz się?

- Gnojek.

- To faktycznie brzmi bardziej na orka niż na elfinię - stwierdził Corwyn i wyszczerzył zęby. - Tłuscioch ma rację, jesteś inna niż reszta twojego ludu. Więc na czym stanęło? Pokażesz mi drogę do Tirgas Lan, czy wolisz umrzeć?

Alannah milczała. Corwyn nadal trzymał skierowany na nią miecz; czuła ostrze na szyi i patrzyła łowcy głów prosto w stalowobłękitne oczy, a powietrze między nimi zdawało się zamarzać.

- Nie licz na to, że daruję ci życie - warknął Corwyn. - Były czasy, że zabiłbym nawet za ciepły posiłek, więc nie wątp, że zrobię to również za skarb o niezmierzonej wartości. Masz wybór między bezsensowną śmiercią a prawdziwą przygodą. Na co się decydujesz?

Przez ciągnące się w nieskończoność mgnienie oka nawet Rammar i Balbok wstrzymali oddech.

- No dobrze - oznajmiła w końcu Alannah. - Wskażę drogę i będę ci towarzyszyć. Ale potem odprowadzisz mnie do Tirgas Dun. I jeszcze jedno powiem ci od razu, łowco głów: możesz zapomnieć o zapłacie.

- A co tam - opuścił miecz. - Z miedzią ze starego miasta elfich królów będzie mnie stać na wszystkie dziewczki świata.

- Może - odparła Alannah bez drgnienia powiek - ale żadna z nich nie da ci tego, co dałabym ci ja. – Mówiąc ostatnie słowa, odwróciła się i oddaliła od ogniska, znikając w ciemności.

Corwyn wetknął miecz z powrotem do pochwy i znów usiadł przy ogniu.

- Ostrożnie, łowco głów - poradził mu Rammar. - Ta baba jest równie podstępna, jak zakłamana. Złamie dane słowo i przy pierwszej okazji ucieknie.

- Nie, nie ucieknie - wymamrotał Corwyn zatopiony w myślach. - Tak samo jak ja jest żadna wyjaśnienia tej tajemnicy... Zadumany patrzył tam, gdzie szczupła postać Alannah znikła w ciemności. Jej ostatnie słowa zrobiły na nim większe wrażenie niż miał ochotę przyznać.

- Powiedz... - Przypomniwał mu o swoim istnieniu Rammar.

- Co znowu? - prychnął szorstko.

- Jeśli zamierzasz iść z elfinią na południe, to z pewnością nie masz czasu odprowadzić nas na wschód, na targ niewolników. A w takim razie równie dobrze mógłbyś nas puścić wolno, co?

- Właśnie, mógłbyś nas puścić wolno - odezwał się jak echo Balbok.

- Nie zgadliście, przyjaciele. Poderżnę wam obu gardła, przynajmniej położę kres waszym niegodziwościom.

- Ty... ty chcesz nas zabić?

- Właśnie tak.

- Ale... my ci pomogliśmy.

- Tylko dla własnej korzyści. Jak często już zaszkożdziliście innym? Na ile wiosek napadliście, ile podpaliście? Ilu szczerych i otwartych wędrowców śledziliście i zabiliście, żeby ich potem pożreć?

- Mnóstwo - nie bez dumy odpowiedział Balbok. - Pamiętam jednego zbłąkanego wędrowca, który...

- Do kroćset, zamknij pysk, ty beznadziejny idioto! -
Wszedł mu w słowo Rammar. - Swoim gadaniem ściągniesz na nas śmierć!

- Bez obaw, tłuszczochu. I bez tego wiem, jakie z was szumowiny. Dlatego o świcie strącę was do jamy Kurula. Tak przecież mówicie, może nie? Niepotrzebny mi balast w długiej drodze na południe.

- Ale będziesz potrzebował kogoś, kto pomoże ci w niesieniu skarbu! - spontanicznie zawołał Balbok.

- Morda, Balbok! - zagrział Rammar. - Czy nie powiedziałem ci przed chwilą, że masz nie otwierać pyska, bo... - Przełknął resztę słowa, gdyż - jak cios maczugą - dotarło do niego znaczenie tego, co właśnie powiedział Balbok. - Mój brat ma rację! - krzyknął pośpiesznie, zwracając się do Corwyna. - Jeśli bogactwa w mieście elfów naprawdę są tak nieprzebrane, to będziesz potrzebował kogoś, kto pomoże ci je ponieść, na przykład dwóch silnych orków.

- Nie gadaj bzdur! - Traper pokręcił głową. - Nie trzeba mi do tego orków. Każda karawana krasnoludów wyświadczy mi tę przysługę.

- Może. - Twarz Rammara rozciągnęła się w uśmiechu. - Ale jak to w życiu bywa, kiedy akurat potrzebuje się karawany krasnoludów, nigdy nie ma żadnej pod ręką.

Słowom tym rzeczywiście trudno było zaprzeczyć. I jeśli Rammar właściwie tłumaczył sobie wyraz twarzy człowieka, to dały mu one do myślenia.

- Hmm... więc dobrze - powiedział wreszcie Corwyn ku radosnemu zachwytowi Rammara i Balboka. - Na razie daruję wam obu życie. Pójdziecie z elfinią i ze mną na południe jako moi więźniowie. Ale jeśli tylko spróbujecie uciekać albo zrobicie coś, co mogłoby zaszkodzić elfini lub mnie, to skręcę wam te wstrętne karki, rozumiano?

Bracia skinęli głowami i wyszczerzyli swoje żółte kły.

- Jasne, że zrozumieliśmy - potwierdził starszy.

- Zrozumieliśmy - powtórzył jak echo Balbok.

Dla orków to był dobry interes. Póki co, zostaną przy życiu i nie muszą obawiać się, że trafią w niewolę do kopalni. Oczywiście Rammar w żadnym razie nie zamierzał dotrzymać umowy. Niech tylko kapłanka zaprowadzi ich do starego miasta elfów... Kiedy już tam będą, wezmą sprawy w swoje ręce.

Nieprzebrane skarby - a więc to o to chodziło staremu Rurakowi. Żeby dostać łeb Girgasa, Rammar rzeczywiście chciał dotrzymać umowy z magiem. Teraz jednak, kiedy wiedział, o co w tej całej sprawie naprawdę chodzi, uważał kontrakt za nieważny. Rurak nie grał z nimi w otwarte karty, czemu więc mieliby czuć się związani zawartym z nim układem?

Kiedy wrócą do *balboug* obładowani elfimi skarbami, nikt tam nie będzie pytał o szpetny łeb Girgasa...

- Bez obaw, łowco głów - zapewnił służalczo Rammar. - Możesz całkowicie zdać się na nas.

- Właśnie, możesz zdać się na nas.

Rammar odwrócił się do brata, szczerząc zęby.

- I... Balbok?

- Tak, Rammar?

- Przestań do kroćset powtarzać moje ostatnie słowa, ty nędzny *umbalu!*

- *Umbalu...*

Twarz Aylonwyrza spochmurniała. Jako przewodniczący Wysokiej Rady miał pieczę nad losem wszystkich elfów, które przebywały jeszcze na Łądzie. Siedział na alabastrowym tronie, wokół niego zgromadzili się pozostali delegaci Rady, wszyscy co do jednego zasłużeni członkowie tej społeczności, którzy reprezentowali całą mądrość swego ludu. Tylko tu i ówdzie ziały wyrwy, zostawione przez tych, którzy wyruszyli już na Daleki Brzeg.

Również myśli Aylonwyrą kierowały się ku wieczności, jednak wydarzyło się coś, co przeszkodziło jego odejściu i jeszcze raz skierowało uwagę elfów na świat śmiertelników.

Rada nie zbierała się często; pozwolono ludziom samodzielnie kierować swoimi sprawami, czego logiczną konsekwencją był fakt, że spokój i porządek, panujące w *amber* od końca Drugiej Wojny, ustąpiły miejsca zamieszkom i bezprawiu. Ludzie zwalczali się wzajemnie, królestwo krasnoludów popadło w anarchię, a granicom zagrażały ludy chaosu, na czele z gnomami i orkami. Można było przewidzieć, że wszystko, co elfy niegdyś zbudowały, ulegnie rozpadowi. Ale synowie i córki Mirona przestali się tym przejmować. Przez tysiące lat strzegli Ładu przed mocami ciemności - teraz śmiertelnicy będą musieli poradzić sobie sami.

Tym bardziej księżę Loreto dziwił się zwołaniu tego nadzwyczajnego posiedzenia Rady. Musiało zajść coś ważnego, coś, co zmusiło Aylonwyrą i pozostałych członków dostojnego gremium do zajęcia się jeszcze raz sprawami śmiertelników...

- Kazaliście mnie wezwać - powiedział Loreto, wkraczając w środek obszernego kręgu. Nad nim sklepiała się kopuła kryształowego dachu sali Rady, przez którą wpadały promienie zachodzącego słońca, nurzając zebranych w nierealnym świetle.

- W istocie - potwierdził Aylonwyr. Przewodniczący Wysokiej Rady wyglądał młodo i pięknie jak wszystkie elfy; długie, gładkie włosy okalały smukłą twarz o ascetycznych rysach bez skazy. Jednak w jego oczach jak w lustrze odbijał się ciężar stuleci, przez które przewodził Wysokiej Radzie, jak również cichy żal z powodu tego, co przez ów długi czas widział: krwawe bitwy, intrygi i zdrady. Aylonwyr poznał świat śmiertelników od jego najbardziej mrocznej strony, dane mu było jednak również

doświadczyć w *amber* panowania światła. Nic, co robili śmiertelni, nie było mu obce, a mimo to coś zdawało się napępniać go wielką troską.

- Jak mogę wam pomóc, Wysoka Rado? - spytał z oddaniem Loreto. Nie dawał po sobie poznać, ale żądanie uczestnictwa w posiedzeniu Rady było mu bardzo nie na rękę. Akurat pakował się do wielkiej podróży. Statek, mający go zawieźć do Dalekiego Brzegu, odbijał za kilka dni...

- Loreto - zaczął Aylonwyr - posłaliśmy po ciebie, ponieważ jesteś ostatnim potomkiem rodu Farawyna. Płynie w tobie krew proroka.

- Tylko odrobina - zbagatelizował Loreto. Nie lubił, gdy przypomniano mu wielkiego przodka. Zwykle wynikały z tego tylko jakieś obowiązki.

- Mimo to jesteś ostatnim z rodu i powinienes wiedzieć, co zdarzyło się daleko na północy, w Lodowej Świątyni Shakary.

- W Świątyni Shakary? - Loreto starał się nie pokazać po sobie niepokoju. Zamaszystym ruchem odgarnął włosy i głęboko odetchnął. - Co się stało? - spytał potem.

Aylonwyr nie spieszył się z odpowiedzią. Przez chwilę panowało pełne napięcia milczenie, nim znów zaczął mówić.

- Alannah, arcykapłanka Shakary, została uprowadzona - oznajmił księciu Tirgas Dun.

- Alannah uprowadzona? - krzyknął przerażony Loreto, by zaraz spytać jeszcze raz, tym razem ciszej i z opanowaniem: - Alannah została uprowadzona? Przez kogo?

- Poważyło się na to dwóch niegodziwców, orkowie ze Stęchłej Marchii. Więcej na razie nie wiemy.

- Ale... jak to się mogło zdarzyć? - dopytywał się Loreto, nadal dość zbity z tropu.

- Straże straciły czujność - wyjaśnił smutnym głosem Aylonwyr. - Są zmęczeni, jak my wszyscy. A jednak źle, że tak się stało. Orzeł przyniósł nam wiadomość.

Loreto skinął głową, czując w smukłej szyi rosnącą wielką kluchę.

- Tak, to źle - przyznał przybity.

- Tylko kapłanka Shakary wie, jak znaleźć Ukryte Miasto i wolno jej zdradzić tajemnicę tylko wybrańcowi, zapowiedzianemu przez Farawyna w proroctwie, i tylko jemu może wskazać drogę do Tirgas Lan. Boimy się, że orkowie mogli wejść w posiadanie tajemnej wiedzy...

- Jak to? - zapytał Loreto. - Nie ufacie arcykapłance? Wysoka Rado, dobrze znam Alannah. Poświęciła życie przechowaniu tajemnicy Shakary. Nigdy nie zrobiłaby niczego, co mogłoby zaszkodzić jej ludowi. Wolałaby umrzeć niż zdradzić wiedzę o Ukrytym Mieście.

- Czy możemy być zupełnie pewni? - spytał Aylonwyr. I zarówno Przewodniczący, jak i inni członkowie Rady obrzucili Loreto spojrzzeniami, które wcale mu się nie spodobały.

- Tak uważam - odpowiedział książę elfów bez przekonania.

- Dawno temu - powiedział cicho Aylonwyr - kiedy do *amber* przybyły pierwsze elfy, Trowną była żyzną krainą. Nie było tam lasu, tylko rozległe pola. Na nich zbudowaliśmy Tirgas Lan, stare miasto królów, z którego elfi królowie zarządzili *amber* łagodnie i mądrze, dla dobra wszystkich ludów śmiertelnego świata. Jednak pokój nie trwał wiecznie. Jeden spośród nas, a muszę ze wstydem wyznać, że był on członkiem tej Rady, nadużył swojej wiedzy o istocie świata i wykorzystał ją do własnych celów. Porzucił ideę prawdy i zwrócił się ku czarnej magii, dążył do tego, by pomnożyć własną władzę i wpływy. Kiedy go przyłapano na przestępczych eksperymentach, wygnano go z Tirgas Lan. Przez wiele długich lat, w ciągu których nad Łądem przeciągały ciemne chmury, nic o nim nie słyszeliśmy. Pojawili się

wtedy orkowie, a od wschodu i północy naszym granicom zagrażałytrolle i gnomy.

- W końcu - mówił dalej Aylonwyr - kiedy już prawie o nim zapomnieliśmy, Ciemny Elf powrócił na czele ogromnej armii orków, trolli i innych nędznych stworów. Odrzucił swoje prawdziwe imię, nazywał się teraz Margok, Władca Mroku. Całą *amber* ogarnęła krwawa wojna. Walki ciągnęły się przez długie lata, w ciągu których wielu bohaterów straciło życie. Jednak na koniec zdołaliśmy pokonać Margoka.

- Ale nie ostatecznie - wtrącił Loreto.

- Nie, nie ostatecznie - przytaknął Aylonwyr. - Nie dane nam było go ująć i po kilku stuleciach powrócić. Udzielając fałszywych obietnic, ukuł przymierze orków z ludźmi i zaczęło się to, co nazywam Drugą Wojną. Znow przez wiele lat szalały walki, nim Margokowi używającemu zdrady udało się otworzyć Wielką Bramę. Na murach Tirgas Lan stoczono decydującą bitwę i tylko dzięki czarom i magii zdołaliśmy odeprzeć atak i ponownie pokonać Władcę Mroku. Aby nigdy więcej nie czynił szkody, jego ciało oddano na pastwę ognia, a nieśmiertelnego ducha wygnano z Tirgas Lan. Na cały kraj rzuciliśmy klątwę. Sprawiała, że pola i łąki zarosły niedostępnym zaklętym lasem, by nikomu nigdy nie udało się wejść do Ukrytego Miasta, jak od tamtej pory nazywamy Tirgas Lan. Tajemnica drogi do miasta przechowywana była przez wszystkie te lata daleko na północy, w Świątyni Shakary. Ma ją poznać wybraniec, o którym mówi proroctwo Farawyna, a który przybędzie kiedyś oswobodzić Tirgas Lan i ponownie zjednoczyć *amber*. Jednak w Ukrytym Mieście od stuleci uwięziony jest duch Margoka, tak samo zły i zepsuty jak niegdyś. Rozumiesz teraz, dlaczego martwimy się, Loreto?

- Znam historię Margoka - odparł książe - i oczywiście wiem, co spędza wam sen z powiek, dostojni członkowie Wysokiej Rady.

Ale zapewniam was, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Alannah przez całe życie zawsze spełniała swój obowiązek. Prędej umrze niż wskaże niegodziwcom drogę do Tirgas Lan. Nigdy nie zdradziłaby tajemnicy.

- Nawet na torturach?
- Nigdy.
- Nawet, gdyby rzucono na nią urok?
- Również nie.
- Nawet z rozpacz?
- Nie.
- A z odrzuconej miłości?

Loreto chciał odpowiedzieć z tym samym przekonaniem co wcześniej, gdy dotarło do niego znaczenie słów Aylonwyr. W spojrzeniach członków Rady dostrzegł oskarżenie. Niepewnie wbił wzrok w podłogę, potem zarumienił się, co elfom zdarza się niezwykle rzadko.

- Wysoka Rado - powiedział cicho - nie wiem, co wam powiedziano, ale...

- Loreto - przerwał mu surowo Aylonwyr - wiemy, co czujesz do kapłanki Alannah.

Przestraszony podniósł oczy.

- W... wy wiecie?

- Od dawna. Nie zaprzeczaj, to nie miałyby sensu.

- A... ale skoro już dawno wiedzieliście... - jękał się Loreto.

- Pytasz, dlaczego cię nie wezwaliśmy na rozmowę?

Księżę przytaknął.

- Świat się zmienia. Jest czas przełomu, zaczyna się nowa era. Co wczoraj uważaliśmy jeszcze za gwarantowane i wiadome, dziś może okazać się nieprawdziwe. Nikt w tych dniach nie potrafi powiedzieć, co jest słuszne, a co złe. Pewne jest tylko to, że Tirgas Lan nie może zostać odkryte, a władcy Ciemnych Elfów nie można uwolnić.

- Wiem - powiedział cicho Loreto.

- Książę, to, co teraz powiem, nie spodoba ci się, ale mamy podstawy mniemać, że kapłanka Alannah sama przyczyniła się do swojej ucieczki z Shakary.

- Co? - wyrwało się przerażonemu Loreto. Czyżby się przestyszał?

- Wiadomość, którą przyniósł nam orzeł, głosi, że pomogła ona orkom. Wydostali się przez Bramę Farawyna, którą potrafi otworzyć tylko wtajemniczony. Kto inny mógłby tego dokonać, jak nie arcykapłanka?

- To niemożliwe...

- Takie są fakty - upierał się Aylonwyr. - Ciebie proszę, byś rozważył swoje uczucia i zadał sobie pytanie, na ile przyczyniłeś się do tego nieszczęścia. Wiemy o twoim liście do arcykapłanki i wyrzeczeniu się jej miłości, by pożeglować do Dalekiego Brzegu. Odrzucone uczucie, Loreto, zadaje głębsze rany niż najostrzejszy miecz. Nawet istotom takim jak my.

- Może to prawda, szacowny Aylonwyrze, ale Alannah nigdy nas nie zdradzi!

- Jesteś przekonany? - Przewodniczący Rady zaśmiał się smutno. - Chciałbym móc podzielać twoją pewność, książę, jednak obawiam się, że arcykapłanka nie jest już tą, którą kiedyś była. I mam wątpliwości, czy możemy jeszcze na niej polegać. Wiedza, której strzeże, w żadnym razie nie może dostać się w obce ręce i twoim zadaniem będzie tego dopilnować.

- M... moim? - Elfi książę sądził, że się przestyszał.

- Jako książę Tirgas Dun i Najwyższy Miecznik Rady masz obowiązek wspierać nas w chwilach kryzysu. Właśnie nadszedł ten moment, Loreto, nie ma najmniejszych wątpliwości.

- Ale ja wkrótce opuszczę *amber* - protestował książę, w którym panika kipiała jak za długo gotowana potrawa. - Mam miejsce na następnym statku, spakowałem już dobytek...

- Książę Loreto, masz tu jeszcze obowiązki do wypełnienia - powiedział Aylonwyr, a jego głos był pełen powagi. - Obawiam się, że muszę jeszcze raz przypomnieć ci, iż nie jesteś zupełnie bez winy w tym, co zaszło.

Loreto nie sprzeciwiał się już.

Zrezygnowany patrzył na ziemię, drżąc lekko na całym ciele. Oczami duszy widział siebie stojącego na rufie barki, niosącej go daleko stąd. Ładowi powiedział już „żegnaj”, choć nie przyszło mu to bez trudu. A smutek związany z utratą ukochanej osładzała mu myśl o wiecznej młodości i radości, które czekały na niego na Dalekim Brzegu.

W wielkim pośpiechu elfi książę rozważał rozmaite możliwości. Co może zrobić? W jaki sposób uniknąć obowiązku, jaki nakłada na niego urząd? Nie ma wyjścia, jeśli chce zachować twarz i po wypełnionej misji udać się w upragnioną podróż.

- Jak każecie, szacowni członkowie Rady - powiedział Loreto, kłaniając się nisko. - Wasza wola jest również moja.

- Wysoką Radę cieszy twoja decyzja, Loreto - przemówił Aylonwyr. - Nie spodziewaliśmy się innej. Nikt nie może się dowiedzieć, gdzie znajduje się Ukryte Miasto. Musisz zapobiec ujawnieniu tajemnicy. Za wszelką cenę!

- Kiedy mam wyruszyć?

- Jeszcze dziś. Towarzyszyć ci będzie legion naszych najlepszych żołnierzy. W porcie przygotowano kilka trier, którymi popłyniecie w górę Wschodniej Rzeki. Na Równinie Scarii rozejrzyjcie się za Alannah i jej siepaczami. Gdy już ich znajdziecie, uwolnijcie ją z ich mocy.

- A... jeśli to nie będzie możliwe?

- Tajemnica musi zostać zachowana, to najważniejsze. Jeśli nie będzie możliwości uratowania kapłanki, wtedy musisz zrobić wszystko, by nie zdradziła tego, co wie. Mówiąc WSZYSTKO, mam na myśli dosłownie WSZYSTKO, Loreto. Czy wyraziłem się jasno?

- Oczywiście, dostojny Aylonwyrze - potwierdził ksiązę z nieporuszoną miną. Wiedział aż nazbyt dobrze, co miał na myśli przewodniczący Rady i na samo wspomnienie, że miałby skrzywdzić Alannah, robiło mu się niedobrze. Z drugiej strony w tej misji chodziło o dobro ludu elfów, zatem w niemałym stopniu również o jego własne: jeśli nie wypełni zadania ku pełnemu zadowoleniu Rady, może zapomnieć o swoim wyjeździe na Daleki Brzeg...

- Idź zatem, Loreto. Nie masz czasu do stracenia. Nasze najlepsze życzenia i nadzieje będą ci towarzyszyć.

- Dziękuję, Wysoka Rado - odpowiedział pokornie elfi ksiązę i uklonił się jeszcze raz, nim odwróciwszy się, ruszył w rozwianej pelerynie ku drzwiom sali Rady.

- Loreto? - Gdy był już w progu, Aylonwyr zawołał go jeszcze raz.

Ksiązę obejrzał się.

- Tak?

- Ponieważ twoja misja niewątpliwie trochę potrwa, z pewnością nie będziesz miał nic przeciw temu, żebym ja zajął twoje miejsce na statku do Dalekiego Brzegu, prawda?

Loreto miał uczucie, że spada w przepastną otchłań.

- O... oczywiście, że nie - zmusił się do odpowiedzi i spuścił głowę.

Potem wyszedł z sali.

2. *FEUSACHG'HAI* *ANN ABHAIM*

Grupka zmierzająca na południe wzdłuż głównego nurtu Lodowej Rzeki była nad wyraz osobliwa: dwóch orków związanych ze sobą plecami tak, że marsz był dla nich jedną wielką torturą; elfini, która szła wprawdzie bez pęt, ale mimo to robiła wrażenie, jakby każdy krok stawiała wbrew własnej woli; i na końcu człowiek w ciemnym stroju trapera, niosący broń zarówno swoją, jak i orków.

Idąc wzdłuż rzeki, wędrowcy posuwali się coraz dalej na południe. Nadal znajdowali się na przedgórzu Gór Ostrych, stopniowo zanikających ku nizinie. Wkrótce po swej prawej stronie mieli nieskończenie rozległą Równinę Scarii, a po lewej pojawiły się wzgórza, za którymi zaczynały się tereny pozostające we władaniu ludzi. Oni sami jednak byli pośrodku, na ziemi niczyjej, na której nie znano prawa ani sprawiedliwości, gdzie włóczyły się dwuznaczne typy i mieszkaly dzikie bestie. Pośród tej ziemi, daleko na południu ciągnął się Las Trowna, tworząc

nieprzebyty ciemny wał, oddzielający królestwo elfów od reszty świata.

Kiedyś, przypominał sobie Rammar, królestwo elfów obejmowało prawie cały Łąd, od oceanu na południu do surowych północnych ziem, od wzgórz na wschodzie po zbocza Gór Czarnych. Tylko Stęchła Marchia nigdy do nich nie należała i to napełniało przysadzistego orka dumą - ostatnią resztką dumy, jaka mu jeszcze została w upokarzającym położeniu, w jakim on i Balbok się znaleźli.

Związani do siebie plecami, początkowo próbowali iść bokiem. Ponieważ jednak Rammar i jego brat znacznie różnili się wielkością i posturą, musieli przy tym wykonywać dziwny taniec, w którym patykowate nogi Balboka nie raz splątały się z krótkimi, krzywymi nogami Rammara, a wtedy bracia padali na ziemię jak dłudzy - ku wielkiej ucieśze łowcy głów.

Dlatego zdecydowali się na inną technikę: za każdym razem szedł tylko jeden z nich i niósł drugiego na plecach. Ale i to nie za dobrze działało; z uwagi na znaczną wagę Rammara Balbok był w stanie pokonywać tylko krótkie odcinki i musiał zmieniać go brat. A ponieważ na domiar złego Balbok wzbraniał się przed porzuceniem ciężkiego godła, Rammar musiał dźwigać jedno i drugie, zarówno swego brata, jak i znenawidzone bojowe godło w jego łapach.

Taki marsz był uciążliwy, ale starszy z orków się nie skarżył - w każdym razie nie tak głośno, by mógł usłyszeć go Corwyn. Łowca głów dowiódł, że nie brak mu wszelkiej „człowiekowatości”. Z trudem zdołali go przekonać, że lepiej będzie darować im życie. Ani Rammar, ani jego brat nie chcieli dać mu okazji do zmiany zdania.

Szli cały dzień, zatrzymując się na odpoczynek zawsze dopiero po zmierzchu, gdy ze względu na wiele niebezpieczeństw, cychających na ziemi niczyjej, zbyt ryzykowna byłaby dalsza

wędrówka. Orkowie musieli wtedy zadowalać się miejscem na skraju obozu, gdzie Corwyn przywiązywał ich do drzewa albo skały. Potem rozpalał ogień w wykopanej w ziemi jamie, by nie było go widać z daleka. Przy ognisku on i elfini ogrzewali się, jedząc kolację. Zapach pieczonego mięsa przyprawiał braci o zawrót głowy.

Czwartego dnia podróży Rammar nie mógł się już powstrzymać.

- Hej, łowco głów! - krzyknął, gdy Corwyn i Alannah siedzieli przy ognisku i jedli. - Hej, łooowcooo główóóó!

- Głupia kreaturo! - Zabrzmiała szorstka odpowiedź. - Co ci przychodzi do głowy, żeby tak wrzeszczeć? Chcesz sprowadzić na nas trolle? W tej okolicy jest ich podobno szczególnie dużo.

- Czemu nie? - odpowiedział gniewnie Rammar. - Zginąć w łapach trolla czy być twoim więźniem, to dla nas jedno i to samo. Z trollem po prostu byłoby szybciej.

Corwyn wyszczerzył beczelnie zęby w uśmiechu.

- Czego chcesz? Darowałem wam życie, czy nie?

- Zgadza się. Pytanie tylko, jak długo jeszcze pożyjemy, jeśli tak dalej pójdzie.

- Co takiego? - Uśmiech człowieka stał się jeszcze szerszy, jeszcze obrzydliwszy. - Czyżby wam się nie podobało, jak was traktuję?

- Ani trochę. Przez cały dzień jesteśmy związani i ledwie możemy się poruszać...

- Możecie maszerować, to wystarczy. Ja na waszym miejscu siedziałbym lepiej cicho i nie ryzykowałbym pyskówki po tym wszystkim, co macie na sumieniu.

- Co my mamy na sumieniu? - Rammara aż zatkało. - To my powiedzieliśmy ci, jak się sprawy mają z tym elfim babkiem! My i nie kto inny! Inaczej dalej wierzyłbyś w jej kłamliwe historyjki.

- Bzdura.

- To nie bzdura i dobrze o tym wiesz. Ale ty zamiast to JA związać, pozwalasz jej chodzić wolno, a nas spętałeś. Słuchaj moich słów, łowco głów: ona cię oszuka tak samo, jak oszukała nas.

Corwyn obrzucił przelotnym spojrzeniem Alannah siedzącą obok niego przy ogniu i wpatrującą się pozbawionym wyrazu wzrokiem w płomienie.

- Nie - stwierdził pewnie. - Nie zrobi tego.

- Co daje ci taką pewność?

- To proste, orku. Ponieważ w przeciwieństwie do ciebie i twojego zapchlonego brata jest wrażliwą, myślącą istotą. I dlatego, że chce się dowiedzieć, czy tajemnica, której przechowaniu poświęciła życie, rzeczywiście była tego warta.

Rammar westchnął. Nie znał drugiej rasy, która byłaby równie skomplikowana i nieprzenikniona jak ludzie. Przewyższały ich w tym jedynie elfy, te pokrętne, podstępne kreatury, które nigdy nie potrafią jasno i zrozumiale powiedzieć, co myślą, a zamiast tego rozwodzą się długo i zawile, używając mętnych aluzji. Rammar wiele o nich słyszał, a teraz, mając do czynienia z żywą przedstawicielką tej rasy, stwierdził, że wszystko - ale naprawdę WSZYSTKO! - co o elfach opowiadano w *balboug*, jest prawdą.

Sam ich nاپuszony sposób wyrażania się... Orkowie byli pod tym względem zupełnie inni: co mieli na sercu, to mówili; jeśli ktoś ich rozzłościł, dawali mu to odczuć. To było zwykle bolesne, a czasem nawet śmiertelne - ale uczciwe. Elfy przeciwnie, gładząc stale o prawdomówności, same zdawały się nie brać jej dosłownie. Alannah okłamała ich bezwzględnie, i to niejednym raz. A przecież był czas - Rammar czuł, że zrobił z siebie błazna - gdy uważał ją za całkiem sympatyczną.

Było to wtedy, kiedy dziękowała mu za uratowanie życia. Ork nigdy nie zrobiłby czegoś takiego, a przecież na swój sposób spodobało się to Rammarowi. Ale elfini tylko go oszukiwała,

a teraz znów przywdziała inną ze swoich licznych twarzy. Zamiast okazywać łowcy głów żal, że ją szantażuje i zmusza do wyjawienia tajemnic, ona się z nim spoufalala.

Dlaczego? Co to ma znaczyć?

Co takiego jest między człowiekiem a elfinią, że dobrze się razem czują, choć właściwie powinni się nienawidzić? Rammar z całych sił wyęczał nieliczne szare komórki swego orczego mózgu, lecz nic nie rozumiał. Corwyn zdawał się robić dobrze coś, co Balbok i on robili źle. Ale co?

- Łowco głów - warknął zrezygnowany Rammar - skoro nie zamierzasz nas rozwiązać, to daj nam przynajmniej coś do jedzenia. Mój brat i ja umieramy z głodu.

- Dostaniecie jeść, gdy będziemy u celu! - Zabrzmiała szorstka odpowiedź. - Wcześniej nie!

- Ale to może potrwać jeszcze wiele dni.

- To zależy, jak szybko będziecie maszerować.

- Ale... - Rammar chciał ponownie sprzeciwić się, ale nie przychodził mu do głowy żaden argument.

- Głupio robisz - wyręczył go Balbok.

- Co? - zirytował się Corwyn.

- Głupio robisz, każąc nam głodować - oznajmił chudy ork, w ostatnich dniach jakby jeszcze chudszy. - W końcu mamy dla ciebie wynieść skarb z Ukrytego Miasta. Jak damy radę to zrobić, skoro z osłabienia ledwie trzymamy się na nogach?

- Właśnie, jak mamy to zrobić, skoro z osłabienia ledwie trzymamy się na no... - wrzasnął na całe gardło Rammar, ale zorientował się, że teraz on zachowuje się jak żywe echo. - To znaczy: mój brat ma rację. Daj nam coś do jedzenia, łowco głów, bo inaczej sam sobie zaszkodzisz.

Corwyn mruknął i wymamrotał:

- No dobrze, co mi tam. - I rzucił orkom kawał mięsa.

Dopiero poprzedniego dnia udało mu się zabić zająca, braćiom dostał się jeden z udźców.

Wściekle głodni rzucili się na jedzenie. Byli jednak przywiązani do drzewa i kiedy ich pyski pożądliwie wychyliły się po zajęczy udziec, z tępym trzaskiem zderzyli się głowami.

- Au! - krzyknął wściekle Rammar. - Przeklęty *umba!*
Kto pozwolił ci jeść przed starszym bratem?

- Ale jestem głodny!

- To nie powód, żeby być tak pazernym!

- Do tego to ja przekonałem łowcę, żeby dał nam mięso.

- I co z tego? Czego to ja dla nas nie wyłudziłem! I co, musiałeś kiedyś mi ustąpić?

- A jakże. Kiedy pomyślę o suszonym mięsie...

- No dobrze, ale tym razem chciałem podzielić się z tobą uczciwie.

Rammar jeszcze raz spróbował złapać mięso, stwierdził jednak, że nie zdoła go dosięgnąć. Kłapnął zębami, chwytając pustkę. Balbok, z którego warg już kapłała ślina, również nie mógł złapać udźca.

- Tyle z tego mamy - lamentował. - Teraz żaden z nas się nie naje.

- Jeszcze zobaczymy - parsknął Rammar. - Hej, łowco głów! Zrobiłeś to specjalnie, co? Dręczenie nas sprawia ci przyjemność.

Corwyn szeroko się uśmiechnął.

- Chcieliście coś do jedzenia, to macie. Nie ma co się uskarżać.

- Ale nie możemy dosięgnąć.

- To wasz problem, a nie mój.

Rammar zaczął miotać gniewne przekleństwa, zaś Balbok był jak bity pies - burczący brzuch może pchnąć ku najgłębszej rozpaczy, nawet twardego i zaprawionego w boju orczego wojownika. Niejeden już w podobnej sytuacji odgryzłby sobie własną rękę albo nogę.

Alannah w końcu nie mogła dłużej słuchać zrzędzenia orków. Spokojnie wstała i podeszła do nich, podniosła zajęczy udziec i przytrzymała tak, że obaj mogli go jeść.

- Co to ma znaczyć? - krzyknął łowca głów, wściekły i zdziwiony równocześnie.

- Kiedy ich w ten sposób dręczysz, Corwynie, nie jesteś lepszy od nich. Nie robię tego dla nich, tylko dla ciebie.

- Jakie to miłe z twojej strony - zakpił traper. - Ale te stwory nie zasługują na twoje współczucie. Już za chwilę zapomną, że byłeś dla nich dobra i przy pierwszej okazji cię zdradzą. W ich języku nie ma nawet słowa „wdzięczność”. Czy nie tak?

- Oczywiście, że nie - mlasnął Rammar, uznawszy to pytanie za niezwykle dziwaczne. - Nie potrzebujemy takich bzdur w naszej mowie.

Corwyn spojrzał na Alannah z iskrą w oku.

- Nie mówiłem?

- Mamy za to dziesięć różnych nazw na „odrabiać komuś łeb” - Balbok bronił orczego języka, a w jego głosie pobrzmiwała wielka duma.

- Właśnie tak - poparł go Rammar. - Kultura orków jest wyżej rozwinięta niż sądzicie. Znamy dziesiątki różnych słów nazywających śmierć, w zależności od tego, w jaki sposób ktoś spada w otchłań Kurula. I mamy nawet kilka słów na pierdzenie. Jeśli ktoś ma gazy, bo wypił za dużo posokowego piwa, nazywamy to *pochga*. Ale jeśli wzdęcie pochodzi od długiego maszerowania...

- Przestań już, to obrzydliwe! - zawołała Alannah i po krótkiej chwili kłopotliwego milczenia wszyscy wybuchnęli śmiechem: Corwyn śmiał się hałaśliwie i szyderczo, Alannah chichotała speszona, a orkowie trzęśli się w nerwowym, niezupełnie szczerze brzmiącym rechocie.

To był krótki moment jedności, nim na powrót stali się wrogami i tym, co każdemu z nich przeznaczył los:

Łowcy głów - poszukiwanie zemsty i z chciwości wędrówkę na południe; elfini - dążenie do poznania prawdy i ucieczkę przed przeznaczeniem; i dwóm orkom - powrót do domu, do zadachu rodzinnej jaskini.

Ich droga wiodła dalej na południe.

Corwyn pozwolił grupie na odpoczynek tam, gdzie ostatnie wzniesienia Gór Ostrych znikają wśród rozległej Równiny Scarii i gdzie Lodowa Rzeka rozdziela się na wiele ramion płytszych i mniej dzikich niż burzliwy górny bieg. Rammar ponownie zmuszony do niesienia na plecach Balboka razem z godłem - nadal kurczowo ściskanym przez chudego orka - kompletnie wyczerpany z jękiem padł na ziemię. Alannah, której marsze na długich dystansach zdawały się nie męczyć, przysiadła na skale i błędziła wzrokiem po rozległej krainie, rozciągającej się na południu.

Tylko przy odnogach gór rosły pojedyncze drzewa; w kierunku na południe wegetacja ginęła w oczach. W oddali widać było już tylko brązowe kępki trawy i ciemne suche krzewy. Po drugiej stronie stepu, ledwie widoczna gołym okiem ciemna linia na horyzoncie rozdzielała zachmurzone niebo od jałowego krajobrazu.

Las Trowna...

- Nareszcie - jęknął Rammar. - Już niedaleko.

- Nie łudź się, orku - powiedziała do niego Alannah. - Nie powinienesz ufać swoim oczom, gdyż na Równinie Scarii nie możliwe jest ocenić odległość. Do skraju lasu są trzy lub cztery dni marszu.

Ork westchnął i pokręcił głową.

- Ja tego nie przeżyję. Łowco głów, jeśli naprawdę chcesz, żebym potem dźwigał twój skarb, będziesz musiał rozwiązać mnie i mojego brata.

Corwyn położył się na brzuchu na pobliskim brzegu rzeki, by zaczerpnąć kilka łyków chłodnej wody. Teraz podniósł się i spojrzał na Rammara.

- Dobrze, tłuściochu. Rozwiążę was.
- Ty... ty nas rozwiążesz? - Świńskie oczka Rammara za-
błyśły. - To... to znaczy, że nas wypuścisz?
- Nie wspominałem o wypuszczeniu. Nie, twój brat i ty
zbudujecie nam tratwę, na której popłyniemy dalej. Tu na połu-
dniu nie ma wirów ani niebezpiecznych prądów, możemy więc
poważyć się na podróżowanie rzeką.
- Tratwę? - krzyknął piskliwym głosem Balbok. Czy ten
człowiek nie wie, że orkowie nienawidzą wody i prędzej odrąbiają
sobie nogi niż wejdą na chybotałe bale?
- Jak dla nas w porządku, łowco głów - pośpiesznie za-
pewnił Rammar.
- Ale Rammar! - poskarżył się Balbok. - Jesteśmy orkami,
nie marynarzami!
- A ja jestem twoim bratem, a nie tragarzem - droczył się
Ranmar. - Zrobimy tak, jak mówi człowiek, zrozumiano? Jeśli
chce, żebyśmy zbudowali tratwę, to zbudujemy tratwę!
- Więc... więc dobrze - mruknął Balbok. - Jest jeszcze je-
den problem, Rammar...
- Tak?
- Balbok patrzył na swojego brata, nie rozumiejąc.
- Przecież wcale nie wiemy, jak buduje się...
- Zachowajcie sobie swoją bezduszną paplaninę na później
- powiedziała nagle Alannah, podrywając się ze skały. - Mamy
towarzystwo.
- Towarzystwo? - Balbok zaczął węszyć. - Kto?... Co?...
- Krasnoludy - powiedział tylko Rammar.
- Co znowu? - Balbok jeszcze raz zmarszczył nos. -
Czujesz ich? Myślałem, że ty...
- Nie, ptasi mózdzku. Ja je WIDZĘ - tam!
- Balbok spojrział w kierunku wskazanym przez brata ski-
nieniem głowy i zobaczył cztery łodzie, nadpływające od strony
gór i mijające obramowany skałami zakręt rzeki.

Łodzie były z dębowego drewna, na dziobie i rufie zdobione galionami, nie różniącymi się wiele od tych na lodowym żaglowcu. W łodziach siedziały przysadziste, brodate postacie w kolczugach, które równomiernie unosiły i opuszczały wiosła. A na rufie zbliżającej się łodzi stał na przedzie - Rammar i Balbok nie wierzyli własnym oczom - nikt inny jak Ortmar z Rumowiska, syn Ortwina!

- Znikajmy! - powiedział Rammar.

- Za późno - burknął łowca głów. - Zobaczyli nas. Jeśli teraz rzucimy się do ucieczki, to będzie podejrzane. Jeśli będą nas gonić po łądzie, szybko nas dopadną, a ty i twój brat nie jesteście wystarczająco szybcy. - Odwrócił głowę i spojrzał na Rammara. - Chyba, że elfini i ja zostawimy was tutaj.

- Nie, lepiej nie - szybko powiedział Rammar. Wolał już zostać więźniem człowieka niż popaść w niewolę mściwych brodaczy.

Pierwsza łódź dotarła już do brzegu i Ortmar wyskoczył na ląd. Ta niewielka część jego twarzy, jaką pozwalały dojrzeć hełm i broda, była gniewnie skrzywiona, a oczy dowódcy krasnoludów płonęły cichą złością.

Corwyn też nie wydawał się być szczególnie uszczęśliwiony pojawieniem się krasnoludów. Dał Alannah dyskretny znak dłonią, by jemu zostawiła mówienie i z dłonią na rękojeści miecza wyszedł naprzeciw krasnoludom.

- Dzień dobry, szlachetni obywatele Królestwa Krasnoludów - pozdrowił ich. - Co sprowadza was do tej odległej krainy?

- O to samo moglibyśmy zapytać ciebie, człowieku - szorstko odparł Ortmar. - Poza tym nie wiem, czemu ten albo jakikolwiek inny dzień miałby być dobry.

- Wyglądacie na zatroskanych - stwierdził Corwyn.

- Zatroskanych? - Krasnolud roześmiał się gromko. - Wy, ludzie, macie osobliwą skłonność do ciągłych niedopowiedzeń.

Trapi mnie wielka troska, człowieku. Interesy, które prowadziłem na północy, udaremnilo mi, i teraz muszę z moimi ludźmi przenieść się na południe.

Rammar i Balbok od razu wiedzieli, o co chodzi i żadnemu z nich nie udało się powstrzymać uśmiechu. Ten „udaremniiony interes” to z pewnością dostawy broni dla lodowych barbarzyńców. I tak było naprawdę: wodza-berserka i jego załogi nie było już wśród żyjących, nie mogli więc zapłacić ludzkiemu handlarzowi bronią Murilowi Ganzwarowi, a on winą za to, że nie dostał swoich pieniędzy, obarczył krasnoludy. Windykatorzy długów na zlecenie Ganzwara deptali im po piętach, chcąc skonfiskować od nich zaległą kwotę. Stąd brał się zły nastrój Ortmara.

- Gdyby on wiedział - szepnął do brata Balbok, który domyślił się mniej więcej takiego przebiegu zdarzeń.

- A ty, człowieku? - Dowódca krasnoludów zwrócił się do Corwyna. - Co ciebie tu przygnało? My krasnoludy nie lubimy, kiedy po naszym kraju włączają się obcy.

- Za przeproszeniem, panie krasnoludzie. To nie jest wasz kraj.

- Ale należał kiedyś do nas i znów będzie do nas należał, jakem Ortmar z Rumowiska, syn Ortwina.

- WY jesteście Ortmar? - Twarz łowcy głów zbladła o kilka odcieni.

- Jam jest. Słyszeliście o mnie?

- Przelotnie - wymamrotał Corwyn, kątem oka zerkając na krasnoludzych wojowników, którzy tymczasem wyszli na ląd i dołączyli do swego dowódcy. Wszyscy wyglądali na dość wynędzniałych, ale skrzywiony wyraz ich twarzy zdradzał, że lepiej z nimi nie żartować.

- Tylko dobre rzeczy, mam nadzieję.

- Oczywiście. - Łowca głów skłonił się lekko. - W ta-wernach na wschodzie w głos sławi się czyny Ortmara z Rumowiska.

- Dobrze się przysłuchaj temu podlizywaniu - szepnął Rammar do brata. - Łowca głów, kiedy nie ma przewagi, wije się jak dżdżownica. Musi mieć coś na sumieniu.

- Tak uważasz?

- Zaufaj mi. W TAKICH sprawach mój węch jest niezawodny...

Ostatnie słowa wypowiedział trochę za głośno i Ortmar zwrócił uwagę na braci. Dowódca krasnoludów wybałuszył oczy na widok orków.

- Oczywiście - warknął Ortmar. - Powinienem był się domyślić, że taki smród nie może być naturalnego pochodzenia.

Ze swoim bogato zdobionym, krasnoludzim toporem w dłoni zbliżył się do związanych orków i obwąchiwał ich.

- Dziwne - warknął. - Mógłbym przysiąc, że już kiedyś miałem w nosie ten zapach. Zastanawiam się tylko, kiedy to mogło być.

- To niemożliwe - pośpiesznie zapewnił Rammar. - Jeszcze nigdy się nie spotkaliśmy.

- Jasne, że nie, inaczej dawno rozplątałbym toporem twoją wstrętną czaszkę. Mimo to twój smród wydaje mi się znajomy. Skąd przybywacie?

- Łowca głów schwytał nas nad Lodową Rzeką - szybko odpowiedział Rammar.

- Łowca głów? - Ortmar odwrócił się do Corwyna.

- To... to mój zawód - przyznał człowiek z oporem.

- Jak masz na imię?

- Leander Zabójca Orków, za pozwoleniem. - Corwyn uklonił się ponownie

Twarz krasnoluda nie drgnęła, jednak Rammar w duchu triumfował. Łowca głów rzeczywiście musi mieć coś na sumieniu. Inaczej dlaczego podawałby fałszywe imię?

- A ty? - Ortmar zwrócił się do Alannah. - Kim jesteś, jeśli wolno zapytać?

- Na imię mi Alannah. W moich żyłach płynie elfia krew - zabrzmiała dumna odpowiedź. - To powinno wam wystarczyć, panie krasnoludzie.

- Ba! - Ortmar splunął, przy czym połowa plwocin została mu na brodzie. - Im mniej was zostaje, tym bardziej się wywyższacie. Aż trudno uwierzyć, że nasze ludy kiedyś ramię w ramię ciągnęły na wojnę.

- Możecie być pewni - powiedziała Alannah, patrząc na ślinę na jego brodzie - że i mnie z trudem przychodzi w to uwierzyć.

To rozbawiło dowódcę krasnoludów. Potem zagrzmiął:

- Łowca głów, elfini i dwóch schwytanych orków. Co mam o tym sądzić?

- Nie przejmujcie się nami, panie krasnoludzie - powiedział szybko Corwyn. - Jesteśmy tu przejazdem, pragniemy tylko rozbić obóz na noc. Jutro już opuścimy tę okolicę i pociągniemy dalej na południe.

- Na południe, co? - Oczy dowódcy krasnoludów niespokojnie poruszyły się w oczodołach, gdy patrzył na przemian raz w tę, raz w tamtą stronę. Rammar zaniepokojony pojął, że w ten sposób dyryguje on swoimi ludźmi. Krasnoludy powoli ich okrążały. Corwyn jednak zdawał się tego nie zauważać.

- Wiesz co, łowco głów - powiedział krasnolud, zwracając się do Corwyna - mam wrażenie, że nie mówisz prawdy. Jak zapewne wiecie, mój lud ma pewien talent do odkrywania ukrytego w tym, co widoczne. Gdyby nie to, nigdy byśmy nie zdołali wyrywać ziemi jej skarbów.

- Chętnie w to wierzę - odparł Corwyn, teraz wyraźnie bardziej nerwowo. - Mimo to nie wiem, dlaczego...

- Ale ja ci to mogę powiedzieć, krasnoludzie! - Rammar usłyszał własny krzyk, jeszcze nim zdołał się zastanowić, co właściwie robi. Instynktownie zwietrzył możliwość odzyskania wolności i nie chciał pozostawić tej niepowtarzalnej okazji niewykorzystanej.

- Co? - Ortmar odwrócił się. Oczy zapłonęły mu ogniem. - Co możesz mi powiedzieć, dziwołagu?

- Łowca głów okłamuje cię, krasnoludzie! - Oznajmił głośno i wyraźnie Rammar. - Podał ci fałszywe imię, bo chce coś przed tobą ukryć.

- Tak?

- Nie słuchajcie go - pośpiesznie powiedział Corwyn. - To tylko mściwy, gruby ork. A ty, orku, zamknij się łaskawie albo zatkam ci mordę twoimi własnymi flakami! Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem, człowieku, ale to nie sprawi, że zamilknę - Rammar rozkoszował się własną odpowiedzią. - Krasnolud powinien dowiedzieć się prawdy.

- Prawdy? - spytał Ortmar. - A jaka jest prawda?

- Zdradzę ci, jeśli obiecasz, że mnie i mego brata puścisz wolno.

- Co mi zależy. - Dowódca krasnoludów zaśmiał się z głębin długiej brody. - Puszczę was. I tak daleko nie zajdziecie. Nie jesteśmy jedynymi krasnoludami w tej okolicy.

- I chcemy elfinię - dodał Rammar z podstępny błyskiem w oku.

- To nie wchodzi w grę! - krzyknęli jednomyślnie Corwyn i Alannah. To wystarczyło, by Ortmar zgodził się i na to żądanie.

- Czemu nie? - odpowiedział, krzywiąc się chytrze. - Jestem pewien, że dama wysokiego elfiego rodu będzie potrafiła docenić towarzystwo orków.

- Zgoda, krasnoludzie. - Rammar skinął głową. - Więc rozetnij nas, to ci zdradzimy, kim ten tam jest i co go przygnało w te strony.

- Nie! - krzyknęła Alannah, kierując błagalny wzrok na grubego orka. - Nie rób tego, Rammarze!

- Patrzcie tylko, teraz nagle znasz moje imię - poskarżył się Rammar. - Przedtem byłem dla ciebie tylko szkaradnym stworem. Jak to się szybko zmienia, co?

Ortmar skinieniem dłoni rozkazał swoim ludziom uwolnić spętanych więźniów.

- No, orku - zażądał potem. - Teraz zdradź mi, jak się sprawy mają z łowcą głów.

- Z największą przyjemnością - Rammar uśmiechnął się, gdy opadły więzy. - Jego prawdziwe imię brzmi Corwyn, a w rzeczywistości wcale nie jest taki nieszkodliwy, jak udaje. To brutalny, okrutny gość.

- Tak przeczuwałem! - wrzasnął Ortmar, a jego oczy zapłonęły nienawiścią. - Corwyn łowca głów! - Skrzywiony, wbił wzrok w człowieka. - Co za zrzędzenie losu, żeby akurat tu cię spotkać!

- Znasz go? - spytał zmieszany Balbok.

- Jeszcze jak - potwierdził Ortmar i nim Corwyn zdołał zareagować, otoczyły go krasnoludy z groźnie uniesionymi toporami. - Nie próbuj uciekać - zagrzmiał Ortmar. - Moi ludzie może i są za mali, żeby strącić ci z karku głowę, ale na twoją męską ozdobę akurat wystarczą.

- Co Corwyn wam zrobił? - dopytywała się Alannah. - Traktujecie go jak przestępcę.

- Bo nim jest. Ten tam - krasnolud wycelował palec w Corwyna - przed rokiem napadł na jeden z moich obozów, obrał go i ukrał całą broń, jaką w nim znalazł. Przedtem jeszcze uwiódł moją córkę, którą zostawiłem tam na straży.

- Co?! - krzyknęła Alannah, naprawdę była zszokowana.

Również Rammar i Balbok wymienili zdziwione spojrzenia. Kobiety krasnoludów raczej nie słyneły z urody.

- To nieprawda! - oznajmił zdecydowanie Corwyn.

- Ty nędzny psie, chcesz zaprzeczyć?

- Może i wykradłem broń, ale twoja córka to szkaradny babsztyl, tak samo brodaty jak ty. Wmówiła ci kłamstwo szyte niemi grubymi jak powrozy, bo bała się przyznać, że zasnęła na warcie.

- Tak, a więc moja córka jest brzydka? - krzyknął gniewnie Ortmar. - Mów dalej, przyjacielu. Odpokutujesz za wszystko i to w bardzo, bardzo okrutny sposób, zapewniam cię. A wy dwaj - zwrócił się do Balboka i Rammara - bierzcie elfinię i znikajcie, ale już nie chcę już patrzeć na wasze szkaradne mordy.

- Z największą przyjemnością - zapewnił Rammar i podczas gdy jego brat brał godło, on chwycił Alannah gwałtownie się wyrwijącą. W niczym jej to jednak nie pomogło. Rammar przerzucił ją sobie przez ramię i przytrzymał, ignorując jej pięści, którymi bębniła mu po plecach. - Miło było robić z tobą interesy, krasnoludzie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, orku - odparł Ortmar, kiedy dwaj bracia chcieli odejść. - Zdradz mi tylko jeszcze jedno.

- Tak? - Rammar zatrzymał się.

- Czemu wydaje mi się, że was znam?

Rammar zrobił zdziwioną minę i udawał, że usilnie się zastanawia.

- Wiesz co? - powiedział wreszcie. - Nie mam pojęcia.

- Ja też nie - dodał Balbok. - Bo my nigdy nie byliśmy przy Północnym Wale.

- No właśnie - potwierdził pewny zwycięstwa Rammar, potem odwrócił się i odmaszerował. Jednak tylko kilka kroków. Bo wtedy dotarło do niego, co właśnie powiedział jego brat.

- Momencik, orku! - zawołał Ortmar, a jego głos brzmiał jak warczenie wilka. - Skąd wiecie, że MY byliśmy przy Północnym Wale?

- My... hmm...

- Teraz możemy wam powiedzieć - wypaplał w odpowiedzi Balbok. - Zakradliśmy się do waszych skrzyń, w których przewieźliście nas jak pasażerów na gapę, przez górę. Mogę wam powiedzieć, że wyszło to bardzo, bardzo marnie, bo ja nie miałem nic do jedzenia, za to Rammar - całe suszone mięso... CO JEST? - zapytał, zauważywszy morderczy wzrok brata.

- Dalej! - wrzasnął w tym momencie dowódca krasnoludów. - Łapcie ich! Zwiążcie i przynieście do mnie!

- A... ale - jękał się Balbok, jednak krasnoludy już ich dogoniły i otoczyły.

- To byliście WY! - Ortmar był przekonany. - To WY doprowadziliście mój interes z lodowymi barbarzyńcami do ruiny! Nie wiem, co zrobiliście, ale od tamtego dnia, gdy w tajemnicy przed nami przedostaliście się przez górę, lodowi barbarzyńcy nigdy więcej nie pojawili się przy Północnym Wale. A mnie obwinia się o nieudany interes! Och, już ja wymyślę dla was taką śmierć, że... że... - brakowało mu słów na opisanie jej - że można ją nazwać tylko okrutną - dokończył wreszcie. - Z waszych włosów uplotę powrozy, z waszej skóry zrobię sobie nowy pas, a wasze zęby będę nosił na szyi jak naszyjnik. Jakem Ortmar z Rumowiska, syn Ortwina!

Orkowie tymczasem zostali przez krasnoludów obezwładnieni i związani - w przypadku Balboka w poręczny, a w przypadku Rammara w mniej poręczny węzełek. Trzeba było zjednoczonych sił czterech krasnoludów, by tego ostatniego dotaszczyć przed Ortmara. Rammar miotał przy tym obelgami i przekleństwami, używając języka orków.

- Czemu Kurul uwiązał mi do nogi takiego brata jak ty? Co ja takiego zrobiłem? Czy jestem miły i przyjazny, że Kurul musi mnie karać w ten sposób?

- Co z tobą, orku? - spytała zjadliwie Alannah, zrozumiawszy każde słowo. - Czyżbyś był niezadowolony ze swego losu? Tak to bywa, kiedy się chce za dużo.

- Za dużo? Wszystko, czego chcę, to powrót do domu!

- To dokładnie jak ja - odpowiedziała Alannah. - Choć mam wrażenie, że w moim przypadku posunęłam się właśnie troszeczkę do przodu, podczas gdy dla twego brata i ciebie podróż się tutaj kończy. Obiecuję krasnoludom dużą zapłatę, jeśli odprowadzą mnie do Tirgas Dun. Bo przemytnicy i złoto to dla nich prawie wszystko. Za to wy dwaj powinniście się przygotować na to, że staniecie przed Kurulem, a możecie się spodziewać, że raczej nie będzie miły.

Potem roześmiała się swoim srebrzystym śmiechem i Rammar poczuł się tak, jakby miał za chwilę pęknąć; czuł się zdradzony przez wszystkich.

Jego myśli pędziły jak oszalałe. Musi coś wymyślić, inaczej nie żyje nawet tak długo, żeby za tę nieopisaną głupotę wyrwać Balbokowi głowę z ramion. A przynajmniej to pragnął jeszcze zrobić, nim spadnie w mroczną otchłań Kurula. I może jeszcze to i owo.

- Słuchaj mnie, wielki dowódco krasnoludów! - zawołał donośnie. - Muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Coś, co może w ciągu nocy zrobić z ciebie najbogatszego krasnoluda na całym Łądzie!

- Nie! - krzyknęli znów jak jeden mąż Alannah i Corwyn, gdyż oczywiście przejrzeni zamiary Rammara.

- A cóż to takiego? - Ortmar wpatrywał się w orka, a oczy zabłyśły mu nieskrywaną chciwością.

- Wiem o pewnym skarbie - oznajmił Rammar. - O skarbie niezmierzonej wartości!

- Oczywiście. - Krasnolud splunął. - Zwykle łgarstwo potwora, próbującego ratować swoją skórę.

- Nie, mówię prawdę - zapewnił Rammar. - Ten tam - ruchem głowy wskazał Corwyna - nie przypadkiem kręci się po tej okolicy. Był w drodze do Trowny, żeby zdobyć legendarny skarb Tirgas Lan.

- Bzdura, po tysiackroć bzdura! - ryknął krasnolud. - Ten skarb nie istnieje, tak samo jak Ukryte Miasto. To tylko mit, nic więcej.

- I tu się mylisz - zapewnił Rammar. - Mogę ci powiedzieć, jak dostać się do Tirgas Lan i zabrać stamtąd skarb. Ale ty w zamian musisz mi obiecać, że puścisz mnie wolno.

Syn Ortwina zastanawiał się chwilę. Potem doszedł do wniosku, że nie ma nic do stracenia.

- Więc dobrze - zgodził się. - Wyduś z siebie, co wiesz, orku, a oszczędzę twoje zawzione ciało. Czyżbyś znał drogę do Tirgas Lan?

Rammar pokręcił głową.

- Ja nie, ale elfini zna! To nikt inny jak arcykapłanka Shakary, której zadaniem jest przechować tajemnicę Ukrytego Miasta.

- Czy to prawda? - Ortmar zwrócił się do Alannah.

- A jeśli nawet? - odparła chłodno.

- Nie próbuj ze mną swoich gierek, elfini! Inni już bardzo źle na tym wyszli. Pytam cię więc: czy wiesz, gdzie znaleźć Ukryte Miasto?

- Tak - przyznała zrezygnowana. - I co z tego?

- Cóż, ponieważ nasz przyjaciel, łowca głów, i tak już niezbyt długo będzie wśród żywych, ten skarb na nic mu się nie przyda. Za to mnie złoto od ręki uwolniłoby od wszystkich trosk.

- Czy wy w zamian też jesteście gotowi odprowadzić mnie do Tirgas Dun?

- W każde miejsce na świecie - służalczo zapewnił krasnolud.

- Więc dobrze - westchnęła Alannah ku zachwytowi Rammara. - Interes ubity.

- Nie! - krzyknął Corwyn. - Nie możesz tego zrobić!

- A dlaczego nie, łowco głów? - zapytała.

- Bo obiecałaś, że drogę do Ukrytego Miasta wskażesz MNIE. I że to JA mam odprowadzić cię do twoich ludzi w Tirgas Dun.

- Mogą to równie dobrze zrobić krasnoludy. Prawda, Ortmarze, synu Ortwina?

- Z największą przyjemnością. - Krasnolud skłonił się z uśmiechem.

- Nie możesz mu ufać! - ostrzegł Corwyn. - To przemytnik i rzezimieszek!

- A ty jesteś łowcą głów. - Wzruszyła ramionami. - Szczerze mówiąc, nie widzę jakiejś wielkiej różnicy.

- Zdrajczyń! - ryknął Corwyn.

Pokręciła głową.

- Nie wiedziałam, że zawarliśmy umowę, której musiałabym przestrzegać. - Spojrzała znów na Ortmara. - Dogadaliśmy się, panie krasnoludzie. Interes ubity.

- Wyśmienicie - stwierdził, zacierając dłonie o krótkich palcach. - Naprawdę wyśmienicie.

- No to masz, czego chciałeś - powiedział Rammar. - W takim razie możesz mnie teraz wypuścić.

- Mógłbym - przytaknął krasnolud. - Ale tego nie zrobię.

- Cooo? - piskliwie krzyknął Rammar. - Dlaczego nie?

- Bo znasz tajemnicę elfini. Zostawienie cię przy życiu byłoby zbyt ryzykowne. Ty i ten drugi ork zostaniecie straceni o wschodzie słońca, razem z łowcą głów.

- Ale... dałeś nam słowo!

- Słowo dane orkowi się nie liczy - odpowiedział, szczerząc zęby, Ortmar. Potem zwrócił się do Alannah: - A ty, elfini, uważaj. Jeśli zamierzasz mnie oszukać, to potraktuj to jako ostrzeżenie. Jak widzisz, nie znam się na żartach.

- Najwyraźniej - odpowiedziała, a jej wąskie oczy niebezpiecznie się zaiskrzyły...

Rammar pograżył się w najczarniejszych myślach.

Były to same wściekle krwawe wizje, w których swemu bratu Balbokowi kazał umierać śmiercią tak wymyślną, że aż sam dziwił się własnej pomysłowości.

- Rammar? - szepnęła półgłosem Balbok leżący obok niego na trawie, związany tak samo jak brat i niezdolny się poruszyć. Obok nich z suchej ziemi sterczało godło; wetknęły je tam krasnoludy, bezlitośnie z nich szydząc. - Rammar, jesteś na mnie zły?

Starszy ork nie odezwał się ani słowem, co dla młodszego było jeszcze gorsze niż gdyby obrzucił go najgorszymi wyzwiskami, jak miał to w zwyczaju robić. Tym razem, Balbok widział wyraźnie, Rammar był NAPRAWDĘ zły. W języku orków nazywa się to *saobb* - ów stan ślepej wściekłości, z którego zwykle można tylko wyjść, odcinając komuś łeb. A Balbok dość dokładnie mógł przewidzieć, kto tym razem będzie tym KIMŚ, jeśli Rammarowi uda się uwolnić...

Pomijając dwóch krasnoludów wyznaczonych do pilnowania uwięzionych orków i Corwyna - który leżał tuż obok Balboka i Rammara, spętany jak orkowie - reszta bandy Ortmara siedziała wokół wielkiego ogniska rozpalonego przez krasnoludy. Ich przysadziste ciała rzucały zadziwiająco długie cienie, kiedy całymi kuflami wlewali w siebie piwo, by stosownie uczcić ten jakże dla nich szczęśliwy obrót rzeczy.

Rammar i Balbok słusznie podejrzewali; przez to, że lodowi barbarzyńcy nie zapłacili za dostawę broni, Ortmar popadł w niełaskę swego zleceniodawcy, a jego windykatorzy byli teraz na tropie krasnoluda. Widoki na skarb niezmierzonej wartości nadeszły więc w najbardziej odpowiednim momencie. Dodatkową okazją do hałaśliwego pijaństwa był plan stracenia trzech swoich wrogów w otchłań Kurula o wschodzie słońca.

- Pijcie i świętujcie, przyjaciele! - rozległ się krzyk Ortmara. - Całą noc będziemy ucztować, jak każe krasnoludzi

obyczaj, a o pierwszym brzasku dnia pokażemy, co potrafią nasze topory!

Używał języka ludzi, żeby rozumieli go również więźniowie. Rammar nie palił się specjalnie do tego, by mu udowodniono, jak ostre jest żeleźce krasnoludziego topora. Corwyn za to zdawał się z opanowaniem patrzeć w przyszłość.

- Co tak się gapisz, orcza mordó? - zapytał, kiedy Rammar na niego spojrział. - Nie miałeś jeszcze nigdy przyjemności poczuć krasnoludziego topora, czy jak?

- Nie - warknął Rammar. - I jak dla mnie nie ma potrzeby tego zmieniać.

- Nad tym powinieneś był się zastanowić, zanim wpędziłeś nas wszystkich w kłopoty, nędzny łajdaku. Dopóki nie otworzyłeś swojego głupiego pyska, świetnie nad wszystkim panowałem.

- Czego ty nie powiesz. Nie zauważyłeś, że krasnolud od początku nie wierzył w ani jedno słowo?

- Oczywiście, że zauważyłem - mruknął Corwyn.

- Jesteś złodziejem! - powiedział Rammar i wyszczerzył zęby. - A mnie nazywasz łajdakiem?

- Ten Ortmar to przemytnik, niecny typ, który nawet wśród krasnoludów ma szemraną sławę - bronił się Corwyn. - To, co mu zabrałem, najpierw ukradł innym.

- A jego córka?

- Złośliwe pomówienie! - oznajmił łowca. - Ale nie muszę się przed tobą tłumaczyć, orku. W końcu to ty MNIE ZDRADZIŁEŚ, a nie odwrotnie, i to mimo że darowałem ci życie.

- Darowałeś, żeby gnać nas przez góry związanych do siebie plecami.

- Co takiego? Trafił mi się wrażliwy ork? To żałosne!

- Nie bardziej żałosne niż łowca głów, który nie umie sobie poradzić ze śmiercią ukochanej.

- Uważaj - ostrzegł Corwyn. - Uważaj, co mówisz.

- Czemu? Co chcesz mi zrobić? - Rammar bezczelnie się do niego uśmiechnął. - Czy to ci się podoba, czy nie, łowco głów, chwilowo nie jesteś w lepszym położeniu niż my. Zawzięty zabójca orków dzieli los dwóch bestii. To jest żalosne.

- W tym masz rację - poparł go Balbok w nadziei, że brat nie będzie już na niego zły.

- Zamknij mordę, ty długie nieszczęście! - warknął Corwyn. - Może i nie jesteś taki przebiegły jak twój tłusty brat, ale za to jesteś głupi jak but.

- Zważaj na swój język, bo ci go ktoś wyrwie z pyska! - ofuknął go Rammar. - Balbok to mój brat i dzielny wojownik. To ozdoba orczego rodu. Jeszcze słowo, a wbiję ci zęby do gardła.

- Ciekawe jak, tłuszczochu? Jesteś związany tak samo jak ja. A nawet gdybyś nie był, i tak na swoich krzywych, krótkich nogach, nie potrafiłbyś mnie pobić gołymi pięściami.

- Jeszcze zobaczysz! - parsknął Rammar, uznając, że łowca głów przebrał miarę. Żyły wypełnił mu wściekły *saobb* i zaczął szarpać się w więzach jak opętany. - Dość tego! - wrzasnął. - Jeszcze ci pokażę, co to znaczy obrazić Rammara Gniewnego, ty nędzny, zepsuty, podstępny, blady, śmierdzący...

Nagle zamilkł, gdyż poczuł, że więzy się poluzowały. Zdziwiony patrzył na swoje łapy, które niespętane powrozami znów mógł swobodnie podnosić. W napadzie wściekłości udało mu się je rozerwać - ależ z niego jednak wspaniałały ork!

- Bądź cicho! - Szepnął mu ktoś do ucha.

Kątem oka dostrzegł jasną postać bezgłośnie przemykającą i w następnej chwili zauważył, że Balbok i Corwyn też już nie są związani. Dopiero wtedy zrozumiał, że to nie *saobb* rozerwał jego więzy, ale po prostu zostały rozcięte - a zrobił to nie kto inny, jak Alannah.

- Szybko! - szepnęła elfini do trójki więźniów. - Pośpieszcie się. Nie wiem, kiedy strażę przyjdą do siebie.

- Strażę? - Rammar zdziwiony rozejrzył się. Stojące na warcie krasnoludy zniknęły. Dopiero po bliższym przyjrzeniu się stwierdził, że wciąż tam są. Leżeli nieprzytomni w wysokiej trawie, każdy z guzem na głowie. Reszta bandy krasnoludów, świętująca dalej przy ogniu, nie troszczyła się o więźniów; trwała wesoła biesiada.

- Dziękuję. - Corwyn przyglądał się elfini, zuchwale szczerząc zęby. - Ratunek przyszedł w ostatniej chwili.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Cieszę się, że mogłam pomóc.

- Myślałem, że nie mamy umowy?

- Bo nie mamy. - Wzruszyła szczupłymi ramionami. - Ale ja lubię sama dobierać sobie towarzystwo w podróży.

- Dobry zwyczaj, ale czemu w takim razie uwolniłaś orków? Mogłaś zostawić ich związanych, to byśmy się ich pozbyli.

Alannah puściła oko do Rammara i Balboka.

- Ci dwaj uratowali mi życie nad Lodową Rzeką. Byłam im to winna.

Orkowie wymienili zdziwione spojrzenia. Nie, nigdy nie zrozumieją elfów.

Szybko i bezszelestnie wykradli się poza krąg światła rzucającego przez ogień. Nagle, kiedy już schronili się pod osłonę ciemności, Balbok zawrócił.

- Co jest? - spytał Rammar.

- Czegoś zapomniałem - odpowiedział Balbok i przygarbiony z powrotem pobiegł w miejsce, gdzie związani leżeli w trawie. Kiedy Rammar zobaczył, że brat wrócił po tkwiące w ziemi godło, złapał się za potylicę, gdzie u orków znajduje się mózg.

W tym momencie jeden ze strażników oprzytomniał. Obudził się, mamrocząc coś pod nosem i podniósł głowę - na co Balbok

bez namysłu rąbnął go drzewcem godła. Rozległ się tępy stuk, krasnolud wyrócił oczami i znów oddalił się do krainy snów, a Balbok, cicho stąpając, dołączył do pozostałych.

- Oszalałeś? - syknął Rammar. - Rzykować, że nas odkryją, tylko z powodu tej bzdury?

- Ork nie maszeruje bez godła! - oznajmił Balbok. - Poza tym nie mamy broni, a sam wiesz, co ta bzdura potrafi.

- Broń sobie odbierzemy - szepnęła Alannah. - Położyli ją po drugiej stronie obozu, w pobliżu łodzi.

- W takim razie ruszajmy - mruknął Corwyn, a inni poszli za nim.

- Rammar? - szepnął Balbok.

- Co?

- Naprawdę tak myślisz?

- Co?

- Że jestem ozdobą orczego rodu?

- Do kroćset, zamknij pysk, ty nędzny *umbalu*! Nie rozmawiam z tobą, zapomniałeś?

3. *KOLL UR'ROWNA*

Nim uciekli z obozu krasnoludów, odebrali jeszcze swoją broń. A dokładnie mówiąc, Corwyn wziął ją po krótkiej, acz gwałtownej wymianie zdań. Nie oddał jednak orkom topora i *saparaka*, lecz zatrzymał je jako, jak to określił, zastaw. Rammar oczywiście protestował, ale ustąpił z obawy, że jeśli znów zaczną się kłócić, krasnoludy odkryją ich ucieczkę.

Cicho weszli na jedną z krasnoludzych łodzi, odwiązali ją i pozwolili się nieść prądowi. Dopiero gdy blask ogniska i pijackie wrzaski zostały daleko za nimi w ciemności, chwycili za wiosła.

Krótkimi, ale mocnymi pociągnięciami popychali łódź w dół rzeki, do zakrętu, gdzie Lodowa Rzeka skręca na wschód i kieruje się ku Andaril. Wąska odnoga prowadzi jednak dalej na południe przez Równinę Scarii.

Podążyli tym strumieniem, zadowoleni, że oszczędza im wiele godzin mozolnego wędrowania. Nie umknęło jednak ich uwadze, że coś się zupełnie, ale to zupełnie nie zgadza: im dalej

podążali na południe, tym w rzece było mniej wody. Rozdzielała się na coraz to nowe odnogi, aż wreszcie wśród szerokiego stepu jakby wsiąkła, a łódź szurając po piasku, zatrzymała się.

- A niech to! - sarknął Corwyn. - Jak to możliwe? Rzeka nie może po prostu zniknąć, to wbrew prawom natury.

- To sprawia bliskość lasu - wyjaśniła Alannah. - Klątwa rzucona na Trowna działa również tu, na północ od niego, i powstrzymuje wodę, pierwszy element życia. *Vanyanen*, tak nazywamy Lodową Rzekę w naszym języku: Znikająca Woda.

- Phh - prychnęli jednocześnie Rammar i Balbok. A chudzielec dodał pogardliwe: - Elfie czary! - co jednak nic nie zmieniło i cała czwórka musiała odbyć resztę podróży piechotą. Zostawili łódź, zabierając z niej swój niewielki bagaż i ruszyli dalej.

Tworzyli dziwną grupę, wędrując w kierunku wielkiego lasu: dwóch orków, jeden człowiek i jedna elfini. Osobliwym zrządzeniem losu połączeni i jak łańcuchem skuci przez wspólny cel - Tirgas Lan, Ukryte Miasto.

Rammar i Balbok chcieli tam dotrzeć, bo znów odżyła w nich nadzieja zdobycia skarbu. Corwyn szukał w Ukrytym Mieście nie tylko bogactwa, ale również sensu swego nędznego życia. Natomiast Alannah z jednej strony chciała się dowiedzieć, co warta jest tajemnica, której przechowaniu poświęciła życie, z drugiej zaś czuła coś, co napełniało jej zmęczonego ducha nową radością...

Wzgórza i skały Gór Ostrych zostawili już daleko za sobą. Maszerowali przez jałowy step na południe. Jako że nie mieli żadnego prowiantu - orkom znów burczało w brzuchach - rano zatrzymali się tylko na krótki odpoczynek. Ortmar i jego brodaci towarzysze, kiedy zauważą, że więźniowie i elfini uciekli, rzucą się w pogoń, a pośród rozległego stepu nigdzie nie było miejsca, w którym można by się ukryć. Zbiegowie musieli więc maszerować

dalej, czy im się to podobało, czy nie; będą mogli odpocząć, dopiero gdy znajdą się pod osłoną lasu. Rozumiał to nawet Rammar, idący w małej kolumnie za Alannah. Za nim szedł Balbok, zaś Corwyn tworzył straż tylną, wolał mieć obu orków zawsze na oku, mimo że byli nieuzbrojeni.

Rammar człapał za elfinią i jeszcze raz próbował ją zrozumieć. Jej szaty nadal były białe i wydawały się nietknięte, trzepotały jak transparent na wiejącym przez step wietrze. Czemu, na Kurula, Alannah uwolniła jego i Balboka? Czy jej nienawiść wobec porywaczy nie powinna być nieporównanie większa niż wszelka wdzięczność, jaką odczuwa dla nich za uratowanie jej życia? Żadnemu orkowi nigdy nie przyszłoby do głowy pomagać komuś tylko dlatego, że wcześniej ów ktoś pomógł jemu. Każdy musi sam troszczyć się o siebie - to zasada, jaką młodym orkom wpaja się już od wczesnego dzieciństwa.

Może elfini na własny użytek doszła do wniosku, że towarzystwo hordy krasnoludów jest w rzeczywistości jeszcze gorsze niż dwóch orków i że bywają gorsze zbrodnie niż jakies tam małe porwanie i drobne płądrowanko. W końcu uwolniła również Corwyna, choć miała wszelkie powody ku temu, by go nie znosić. Z braku odpowiedniego słownictwa Rammar i Balbok nie podziękowali za uwolnienie - co nie znaczy, że nie byli z niego zadowoleni. Krępy ork po prostu nie wiedział, jaki kaprys kierował elfinią; ona sama i jej motywy były dla niego nieodgadnione.

To wszystko jest tak zagadkowe...

Przez całe popołudnie rozmyślał o dziwnym zachowaniu elfów i ludzi. I kiedy wreszcie z ciemnozielonej wstęgi na południu zaczęły wyłaniać się pojedyncze drzewa, nagle, niczym grom z jasnego nieba, przyszło olśnienie.

- To jest to! - syknął do Balboka. - Chyba wiem, o co tu chodzi.

- Znów ze mną rozmawiasz? - spytał zdziwiony Balbok. Odkąd uciekli z obozu krasnoludów, Rammar nie zamienił z nim ani słowa.

- Muszę, *umbalu*. Poza tobą nie ma tu nikogo, z kim mógłbym rozmawiać!

- Cieszysz mnie to. - Balbok roześmiał się gardłowo.

- Nie ciesz się za wcześnie - odpowiedział cicho, żeby Corwyn i Alannah nie usłyszeli go. - Jeśli to prawda, co mi się zdaje, to my dwaj nie będziemy mieli się z czego śmiać.

- Czemu? Co się stało?

- Nie mów tylko, że nic nie zauważyłeś.

- Nie, a co?

- To do ciebie podobne. Włóczysz się po okolicy ślepy, choć masz otwarte oczy. Ja sam potrzebowałem chwili, żeby to zrozumieć, ale teraz jestem już raczej pewny: mlecznogęby i spiczastoucha wpadli sobie nawzajem w oko.

- Wpadli w oko? - Wysokie czoło Balboka pokryły zmarszczki. - Ale jak...

- *Umbalu*, nie to miałem na myśli. To ta dziwna rzecz, o której czasem gadają ludzie. W naszej mowie nie ma na to słowa, ale ludzie nazywają to... nazywają to... Do licha, jakie to było słowo? Zaczyna się na m, jeśli dobrze pamiętam...

- MORD? - Balbok wymienił pierwsze słowo, jakie przypomniał sobie z języka ludzi i które zaczynało się na m.

- Nie.

- MACZUGA?

- Też nie.

- MIELONE MIĘSO?

- Głupek. Teraz mi się przypomniało: nazywają to MIŁOŚĆ. To miesza im zmysły i sprawia, że zachowują się całkiem wbrew naturze. Choć ludzie i elfy są przeważnie podstępni i odpychający, to kiedy zakochają się, zmieniają się w łagodne baranki.

- Myślisz, że to jakaś choroba?

- Oczywiście - szepnął Rammar. - I to tłumaczy, dlaczego elfini nie nienawidzi łowcy głów, choć ma po temu wszelkie powody. Ten gnojek zawrócił jej w głowie.

- Zawrócił w głowie? - zdziwił się Balbok.

- Mówiąc obrazowo.

- Jesteś zazdrosny - stwierdził Balbok.

- Jaki jestem?

- Zazdrosny - powtórzył z przekonaniem chudzielec.

- Co za idiotyzm! Masz szczęście, że jestem zmęczony marszem, inaczej udusiłbym cię za tę bezczelność. Elfini jest mi całkiem obojętna, kapujesz? Gdyby jednak ona z tym nędznym zabójcą orków Corwynem... wiesz, o co mi chodzi?

- Nie. - Balbok pokręcił głową. - O co ci chodzi?

- Naprawdę nie wiesz?

- Czego nie wiem?

- *Shnorsh!* - prychnął Rammar. Nie był to odpowiedni czas ani miejsce, żeby wyjaśniać bratu życiowe sprawy. Z drugiej strony, wcześniej czy później musi się dowiedzieć. Gdyby krasnoludy ich jeszcze dopadły albo gdyby mieli paść z rąk szwadronów śmierci Graishaka, Balbok umarłby tak nieświadomiony, jak się urodził.

Rammar szedł nieco wolniej, by powiększyć odstęp między sobą a elfinią, potem szepem wyjaśnił bratu kilka spraw, używając przy tym obrazowych gestów. Twarz Balboka wydłużała się coraz bardziej. W końcu otrząsnął się z obrzydzeniem.

- To... to przecież wstrętne! - jęknął przerażony.

- Tak uważasz? A jak myślisz, skąd wzięłeś się na świecie, głupku

- Jak każdy ork - stwierdził z przekonaniem Balbok. - Wyskoczyłem z pękającego czyraka Kurula.

- I naprawdę w to wierzysz?

- Oczywiście. A ty nie?

- Niezupełnie - mruknął Rammar i poszedł dalej. - I obawiam się, że jest jeszcze kilka spraw, które ci będę musiał wyjaśnić.

- Jakich spraw?

- Ej, wy dwaj! - krzyknął maszerujący za nimi Corwyn. - Jak wam się zdaje, gdzie my jesteśmy? Na spacerze? Ruszcie się łaskawie!

By wzmocnić znaczenie wypowiedzianych słów, wyjął miecz i dźgnął nim Rammara w *asar* - a ten w myślach zrobił kolejne nacięcie na koncie łowcy głów. Biada temu nędznikowi, niech no tylko dostanie w ręce broń...

- Jakich spraw? - powtórzył pytanie Balbok.

- Później! - obiecał mu Rammar.

Alannah wysunęła się do przodu i czekała już na krawędzi lasu, jasna, świetlista postać z rozwianymi włosami na tle ciemnych drzew. Stojąc tak, wyglądała jeszcze wdzięczniej i piękniej. Na jej widok Corwynowi wyrwało się ciche chrząknięcie.

- Na co czekacie? - krzyknęła im naprzeciw. - Nie widzicie chmur? W każdej chwili może zacząć się burza!

Rammar odchylił głowę i spojrzał w górę. Miała rację: niebo zaciągnęło się i pociemniało. Tu i ówdzie błyskały już pioruny i słychać było grzmoty.

- Kurul jest potężnie rozgniewany - wywnioskował Balbok.

- Tak - zgodził się Rammar. - Może zabije kilkoma piorunami naszych wrogów.

W następnej chwili rzeczywiście z ciemnych chmur wystrzelił błysk, nie trafił jednak Corwyna ani Alannah, ale w jeden z wysokich dębów, rosnących na skraju lasu. Drzewo rozłupało się z głośnym trzaskiem. Ze zwęglonego pnia unosił się dym.

- Uważacie, że to dobry pomysł wchodzić teraz do lasu? - zapytał Balbok.

- Nie martwcie się - odpowiedziała Alannah, łagodnie się uśmiechając. - Trowna nie jest lasem takim jak inne.

To powiedziawszy, odwróciła się i pierwsza przeszła przez naturalną, utworzoną z gałęzi i zwisającego mchu bramę, wkraczając w mrok lasu. Orkowie chcieli iść za nią, jednak nagle zatrzymali się, bo coś im przeszkodziło.

Był to mur, czuli go - mur, którego nie mogli zobaczyć ani dotknąć, ale ich instynkty sygnalizowały im wyraźnie, że tam jest. Niewidzialna bariera, oddzielająca las od świata zewnętrznego, po jej drugiej stronie mogły czaić się śmierć i zniszczenie.

- Co znowu? - zdenerwował się Corwyn.
- Niebezpieczeństwo - powiedział tylko Balbok.
- Bzdura, wmawiasz sobie tylko, orku.
- On ma rację - wyjątkowo Rammar poparł brata. - Proponuję, łowco głów, żebyś oddał nam broń, byśmy mogli się bronić, gdy będzie trzeba.

- Za jakiego głupca mnie uważasz, tłusciuchu? Gdybym oddał wam broń, w następnej chwili spróbowalibyście zedrzeć ze mnie skórę.

- Daję słowo, że nie - zapewniał Rammar.
- Słowo orka! - Corwyn pokręcił głową. - I ty oczekujesz, że ci zaufam? - Roześmiał się smutno.

W następnej chwili rozszalała się burza. Zerwał się gwałtowny wiatr, śluzy na niebie otworzyły się i lunęła ulewa. Grzmiało tak, że można by sądzić, iż Kurul chce położyć światu kres. Z chmur strzelały błękitne błyski - wszystkie jednak trafiały w Równinę Scarii, a nie w las. Nawet orkowie pojęli, że to nie jest naturalne i Balbok ujął to w dwa słowa:

- Elfie czary - podsumował pogardliwie.
- A jeśli nawet - burknął Corwyn. - Albo się wreszcie ruszycie, albo zabiję was tu i teraz. Mnie tam wszystko jedno, decydujcie się szybko, bo nie mam ochoty przez was przemoknąć do suchej nitki.

Bracia wymienili spojrzenia i postanowili, że wolą mieć do czynienia z niebezpieczeństwami czyhającymi w lesie niż z najwyraźniej oszalałym łowcą głów. Angażując całą swoją siłę woli, krok po kroku pokonali barierę i w następnym momencie otoczył ich mrok stęchłego lasu.

Jakby weszli do twierdzy, burza została w tyle. Dach liści był tak gęsty, że zatrzymywał lejący strumieniami deszcz. Szum wiatru zmienił się w cichy szmer i nawet grzmoty dobiegały tylko jak dalekie stuki. Szli wśród pradawnych sękatych pni, z korą spękaną jak pancerz smoka. Mech tłumiał każdy stawiany przez nich krok.

Przodem, w białej szacie świetliście odcinającej się od ciemnej szarości lasu, szła Alannah. Za nią, ociągając się, człapali orkowie. Corwyn trzymał tylną straż. Rammar, odwróciwszy na chwilę głowę, zauważył, że łowca głów również jest nieco nerwowy. Nie włożył miecza z powrotem do pochwy i za każdym razem, gdy usłyszał szmer, podejrzliwie się rozglądał.

A w Trowna szmerów nie brakowało.

Na początku tu i ówdzie dał się jeszcze słyszeć krzyk ptaka, ale im głębiej wchodzili w las i im większy otaczał ich mrok, tym straszniejsze i bardziej niesamowite dobiegały ich dźwięki. Głuchy ryk, mogący pochodzić z gardzieli okrutnego drapieżnika. Do tego przeraźliwe wrzaski jego ofiary - tu przeciągłe piski - przenikające orków do szpiku kości. Tam chichot wybrzmiewający echem wśród wysokich drzew. Do tego odgłosy, które wydawał sam las; nieustanne szelesty i trzaski, nie dające zapomnieć o tym, że drzewa to żywe istoty. Obaj orkowie wprost nienawidzili tego lasu. Nie w tym rzecz, że nie lubią ciemnych, stęchłych miejsc, ale ten las sprawiał, że każdemu szanującemu się potworowi po plecach przebiegał zimny dreszcz.

- To mi się nie podoba, Rammar - wyraził swoje niezadowolone Balbok, niechętnie stawiając stopę za stopą.

- Wiem, bracie. Mnie też się nie podoba.

- Co się z wami dzieje? - zapytał Corwyn, krzywiąc się w uśmiechu, choć w jego oczach połyskiwał strach. Łowca głów zrozumiał ich, choć rozmawiali po orczeremu. - Tu jest wilgotno i ciemno, i śmierdzi zgnilizną, powinniście się czuć jak u siebie w domu.

- *Douk* - powiedział Balbok i pokręcił głową. - Tu w ogóle nie jest jak w domu. To robota elfów!

- Robota elfów? - Corwyn roześmiał się i powiedział wbrew własnemu przekonaniu. - Zwariowałaś. To las jak każdy inny.

- Ten ork ma rację - powiedziała Alannah, która zatrzymała się, by poczekać na towarzyszy. - W dawnych czasach, jeszcze przed Drugą Wojną, Równina Scarii rozciągała się aż po morze. Las powstał dopiero później jako wał mający oddzielić królestwo elfów od reszty świata, i również po to, by ukryć stare królewskie miasto Tirgas Lan.

- Czy to ma znaczyć - spytał zmieszany Corwyn - że sprawiliście, by wyrósł tu cały las?

- Nie zwykły las - przypomniała Alannah. - Trowna to zaklęta kraina. Cięży na nim klątwa, mająca trzymać z dala od niego zbirów i rabusiów. Zbirów i rabusiów takich jak my.

- Tak - wtrącił się Corwyn. - Ale w odróżnieniu od jakichś zbłąkanych zbirów i rabusiów, my znamy drogę.

- To w niczym nie zmienia naszych zamiarów - wyjaśniła Alannah. Znow się odwróciła i dalej szukała ścieżki wśród gęsto rosnących drzew, porośniętych bluszczem i mchem.

Rammar i Balbok z niesmakiem stwierdzili, że w Trowna wszystko jest dwa razy większe niż gdzie indziej. Liście ogromnych paproci sklepiały się nad ich głowami niczym dach, a liczne grzyby sięgały po biodra. Orkowie mieli nadzieję, że wybujałość świata roślin nie znajduje odbicia wśród mieszkańców lasu.

Czuli jeszcze w kościach spotkanie z ogromnym pajakiem.

Dróżka wiała się przez las i wkrótce zrobiło się tak ciemno, że nie było widać nawet na dziesięć *knum'hai*. Do tego orkowie stracili orientację wśród wszystkich tych obcych i niepokojących zapachów. Gdyby nie Alannah, idąca przed nimi w promiennie białej sukni, dawno by się zgubili.

W końcu płatanina bluszczy stała się tak gęsta, że nie można już było posuwać się dalej. Corwyn chciał utorować im drogę mieczem, ale Alannah powstrzymała go.

- Las musi sam otworzyć nam drogę - powiedziała. - Lepiej będzie poczekać do rana.

Wszyscy byli zmęczeni długim marszem i nikt się nie sprzeciwił. Orkowie musieli pogodzić się z tym, że łowca głów upłół z lian linę i przywiązał ich do drzewa. Corwyn z elfinią usiedli nieco z boku i Rammar słyszał, jak do późnej nocy po cichu rozmawiają. Nie mógł zrozumieć, co mówią, ale uznał, że potwierdzają się jego podejrzenia. Między człowiekiem a kapłanką działa się ta potworna rzecz, która wśród orków się nie zdarza, a wśród ludzi bywa przyczyną nieustannych kłopotów...

Wreszcie zapadł w niespokojny sen i dręczyły go koszmary. Widział w nich Balboka i siebie z powrotem w twierdzy Ruraka. Znow wisieli u sufitu głową w dół, a mag stał przed nimi z twarzą wykrzywioną wściekłością. Oskarżał ich, że go zdradzili i przepowiadał im żaloszny koniec, by w następnym momencie doznać makabrycznej przemiany. Skóra na twarzy maga, i tak cienka, zaczynała pękać, ukazując pod spodem zepsute mięso. Gałki oczne zmieniały się w brejowatą maź kapiącą z oczodołów, a Rurak wybuchnął tak straszliwym śmiechem, że Rammar zaczął panicznie wrzeszczeć.

Własny krzyk wyrwał go ze snu.

Ocknął się na małej leśnej polance. Zaskoczony stwierdził, że jest przywiązany do drzewa, a Balbok obok niego.

Ruraka nie było ani widu, ani słyhu, za to zobaczył osłupiałe twarze Corwyna i Alannah.

- Co to za hałas, tłuściochu? - zbeształ go łowca głów. - Chcesz zwabić tu wszystkie stwory z tego przekłętego lasu?

- Miałaś zły sen? - spytała kapłanka, uśmiechając się, jakby dobrze znała odpowiedź. Raptem Rammar zyskał pewność, że kapłanka nie powiedziała im jeszcze wielu rzeczy o Lesie Trowna.

- Bzdura! - skłamał i niechętnie potrząsnął kanciastym łbem. - Orkowie zawsze się tak budzą, jak się dobrze wyśpią...

- Naprawdę? - wielce zdziwił się Balbok. - To ja jeszcze nigdy w życiu się dobrze nie wyspałem...

- Wyświadczcie mi przysługę i oszczędźcie waszej paplaniny - burknął Corwyn, rozwiązując ich. - Alannah mówi, że mamy przed sobą jeszcze daleką drogę, wyruszmy więc od razu.

- Wyruszmy? Dokąd? - mruknął Rammar. - Przyznaj, elfini: zgubiliśmy się w tym *shnorshastym* lesie, zarosły nas bluszcze.

- Doprawdy? - odpowiedziała Alannah. - Rozejrzałeś się już?

Rammar podniósł wzrok i ku swemu ogromnemu zdziwieniu stwierdził, że ich otoczenie w ciągu nocy się odmieniło. Bluszcze znikły, a drzewa nie tylko zdawały się teraz rosnać mniej gęsto, ale i wyglądały już nie tak groźnie. Na dodatek jakby nigdy nic tu i ówdzie przez sklepienie z liści wpadały pojedyncze promienie zielono połyskującego słonecznego światła.

- Jak... jak to możliwe? - spytał zmieszany Rammar. Również Balbok wytrzeszczył oczy.

- Mówiłam wam już: las otwiera nam drogę. Musimy tylko dać mu dość czasu.

- Ale jak?... - ponowił pytanie Rammar, by markotnie dać sobie samemu odpowiedź. - Elfie czary.

Alannah uśmiechnęła się.

- Dla was orków wszystko, co się nie porusza, jest martwe, prawda?

- Tak, i nie tylko - potwierdził skinieniem głowy Balbok. - Również to, co nie wdaje się w bijatyki, nie pije i nie morduje jak należy.

- Zależy od punktu widzenia - mruknął Corwyn.

- Zamknij pysk - warknął starszy ork.

- Las żyje - kontynuowała Alannah, nie wdając się w dyskusję z Balbokiem - i został powołany do życia po to, aby skrywać to, co nie może być znalezione. Celem jego istnienia jest zatrzymywanie intruzów i zagradzanie im drogi. Dbanie o to, by nigdy nie znaleźli tego, co ma pozostać ukryte. Tylko tej jedynej, która zna prawdziwą drogę, pozwoli on przejść, jak przepowiedział Farawyn i prorocy.

- Tobie - domyślił się Rammar.

- Właśnie tak. Znam drogę, a las zna mnie, dlatego pozwoli nam przejść bez przeszkód. Rozumiesz teraz, czemu w nocy znikły bluszcze?

Bracia wymienili pogardliwe spojrzenia.

- Tak - odpowiedzieli jednogłośnie. - Elfie czary!

Alannah westchnęła i odwróciła się.

Spakowali swój niewielki bagaż i wyruszyli. Nie byli w stanie ustalić, czy zierają na północ czy na południe, na wschód czy na zachód, choć tu i ówdzie przez dach liści sączyło się światło. Corwyn znów kazał orkom iść przed sobą, chcąc mieć ich na oku, ale tego ranka Rammar i Balbok nawet się o to nie kłócili, gdyż mieli inne zmartwienia.

- Jestem głodny - mruknął Balbok. - Nie wytrzymam, jeśli zaraz nie dostanę czegoś do jedzenia.

- Ach, ty przeklęty żarłoku! - ofuknął go krępy ork. I trochę ciszej dodał: - Ja też zjadłbym co nieco.

- Ja tak samo - dobiegł ich głos Corwyna, który usłyszał rozmowę braci. - Wyjątkowo jesteśmy tego samego zdania, grubasie. Od wielu dni nie mieliśmy w ustach nic porządnego. Powinniśmy rozejrzeć się za zającem albo...

- Ani się waż! - krzyknęła Alannah, odwracając się gwałtownie. - Życie w lesie Trowna jest święte. Nie wolno tu skrzywdzić żadnej niewinnej istoty. To byłaby zbrodnia!

- Łatwo ci mówić - odpowiedział Rammar. - Ty najwyraźniej nie musisz jeść, ale my tak. Czym twoim zdaniem mamy napełnić burczące brzuchy, hę?

- Korzenie tej rośliny - wskazała jedną z roślin o długich i zielonych liściach - są nadzwyczaj smaczne i bardzo zdrowe. Jadalnych jest również wiele grzybów i jagód rosnących w tym lesie.

- Ach tak? A jak się dowiemy, które są jadalne, a które nie?

- Bardzo łatwo - odpowiedział uszczypliwie Corwyn. - Każemy ci spróbować. Jeśli od tego zdechniesz, po pierwsze będziemy wiedzieć, że powinniśmy trzymać ręce z daleka od tego gatunku, a po drugie wreszcie pozbedziemy się ciebie.

Rammar wściekły wyszczerzył żółte zęby.

- To w ogóle nie wchodzi w grę. Balbok, ty tego spróbujesz, zrozumiano?

Nim zdążyła wybuchnąć następna kłótnia, Alannah pośpiesznie powiedziała:

- Ja wam pokażę, które grzyby można jeść, a których nie. Ten tutaj na przykład...

- Ten tutaj? - Rammar wyrwał z ziemi grzyba wielkości głowy i zaraz chciał wbić w niego kły.

- ...jest tak trujący, że nie znieśie go nawet żołądek orka. Jego trucizna powoduje w mgnieniu oka śmierć w okrutnych mękach.

- No dalej, na co czekasz? - Corwyn szyderczo ponaglił Rammara. - Gryź!

- *Douk*. - Ork upuścił grzyba. - Masz lepszą propozycję, elfini?

- Tamte - Alannah w odpowiedzi wskazała paproć, pod którą w zielonym mchu rosły dwa tuziny malutkich grzybków. - Nie smakują nadzwyczajnie, ale przynajmniej nie są trujące.

- Aha - mruknął nieco rozczarowany Balbok. - Nie ma żadnych dużych grzybów, które by nie były trujące?

Pokręciła głową.

- Trowna to miejsce próby. Nagradzana tu jest skromność, natomiast chciwość w każdej postaci wcześniej czy później prowadzi do śmierci. Powinniście to sobie wszyscy zapamiętać.

Orkowie i łowca głów markotnie zajęli się grzybami, choć rzeczywiście nie było ich więcej niż na małą przystawkę - tak cała trójka w każdym razie myślała. Kiedy jednak je żuli, kęsy zdawały się w cudowny sposób rosnąć w ustach i po zjedzeniu kilku, czuli się jakby każdy z nich pochłonał pół dzika.

- I co? - zapytała Alannah, przyglądając się jedzącym - Czujecie się teraz lepiej?

- Jeszcze jak - zapewnił Balbok. - Mój żołądek przestał bez przerwy burczeć...

W tym momencie dał się słyszeć nieludzki i przenikliwy dźwięk, jakiego żaden z czwórki wędrowców nigdy wcześniej nie słyszał.

- Na płomień Kurula! - rzucił Rammar. - Jak na to, że podobno twój żołądek przestał burczeć, to całkiem niezłe hałasuje.

- To nie był mój żołądek - obruszył się Balbok. - Nie wiem, co...

Na nowo dał się słyszeć przeszywający do szpiku kości ryk, równocześnie zadrżała w lesie ziemia. Kiedy straszliwy hałas zabrzmiał po raz trzeci, był jeszcze głośniejszy niż przedtem.

- To się zbliża! - krzyknął Corwyn i wyszarpnął miecz. - Cokolwiek to jest, idzie do nas!

Znów zabrzmiał ryk, dziki i straszny, do tego trzaski i szelesty. Coś siłą torowało sobie drogę przez las. Coś bardzo dużego...

- Masz rację - szepnęła, wstrzymując oddech Alannah. - Zostańcie, gdzie jesteście, i nie ruszajcie się. Zachowujcie się całkiem cicho, słyszycie? Nie ważcie się nawet oddychać.

- Dlaczego? - spytał Balbok. - Co to jest?

- Coś złego - odpowiedziała szeptem elfini.

Trzaski, szelesty i dudnienie zbliżały się coraz bardziej, ziemia drżała pod ciężkimi krokami i jeszcze raz dał się słyszeć pierwotny ryk - potem z lasu wyłoniło się uosobienie grozy!

- Troll! - wrzasnął Rammar ochryplym głosem. Ale to była tylko połowa prawdy. Ogromne stworzenie, które łamało stojące mu na drodze drzewa niczym spróchniałe patyki, było największym i najstraszliwszym trollem, jakiego ork kiedykolwiek spotkał.

Trolle same w sobie są stworami budzącymi strach - prawie trzykrotnie tak wielkie jak orki, mają dziko rozczochrane włosy i grubą, szarą skórę, chroniącą je przed strzałami i *saparak'hai*. Przed tym trollem jednak uciekaliby pewnie nawet przedstawiciele jego własnego gatunku, zamieszkujący północne rubieże Gór Czarnych.

To nie był troll górski ani żaden z trolli lodowych, włóczących się po dalekiej północy, lecz troll leśny olbrzymiej wprost wielkości; Rammar oceniał, że jest co najmniej dwa razy większy od przeciętnego. Jego skóra była tak gruba, że na

muskularnym, tryskającym niszczycielską siłą ciele tworzyła jakby pancierz. Tu i ówdzie porośnięta mchem pozwalala wnioskować, że troll jest już bardzo, bardzo stary. Jego ramiona w przeciwieństwie do osobliwie krótkich, kolumnowych nóg, były niezwykle długie i nawet gdy trzymał się prosto, sięgały do ziemi. Lewą łapę zaciskał w zabójczą pięść, którą ze złością zadawał wokół siebie ciosy, roztrzaskując las w drzazgi, w prawej trzymał maczugę - w miejscach, gdzie uderzała, w ziemi zostawał krater.

Z ogromnego pyska wydobywał się nie tylko przeszywający do szpiku kości ryk, ale również obrzydliwie cuchnący oddech, a spomiędzy żółtych zębów sterczały jeszcze resztki minionych posiłków. Trolle znane są z tego, że żrą wszystko, co im wpadnie w szczęki: ludzi, zwierzęta, gnomy, nawet - orków.

Czwórka towarzyszy mimo woli stała na polanie skamieniała z przerażenia, gdy wpatrywało się w nią oko trolla. Wyglądał on inaczej niż jego górcy współplemieńcy. Miał tylko jedno oko pośrodku czoła, nabiegłe krwią i pałające żądzą mordy.

Bestia chyba spodziewała się większego przeciwnika, gdyż maczuga uniesiona do ciosu zatrzymała się na moment i wzgardliwie opadła.

- *Shnorsh!* - warknął Rammar.

Po czym w wędrowców wróciło życie. Bracia rzucili się w jedną stronę, Corwyn w drugą, zabierając ze sobą Alannah.

Podróźni poczuli pęd powietrza opadającej maczugi, która minęła ich ledwie o włos, oraz drżenie ziemi, kiedy potężna broń trolla wybiła w leśnym poszyciu wielki krater, w miejscu którego długo nic nie urośnie.

Z wściekłymi obelgami na ustach Rammar przetoczył się w bok i skoczył z powrotem na krótkie nogi, podobnie Balbok z godłem w łapach.

Maczuga znów nadleciała, tym razem poprowadzony poziomo cios miał zmieść z powierzchni ziemi wszelkie życie. Podczas gdy Alannah podskoczyła i ku zdumieniu wszystkich, robiąc salto, umknęła przed uderzeniem, orkowie i łowca głów uniknęli ciosu w mniej elegancki sposób: rzucili się na ziemię - przy czym orkowie wylądowali w wielkiej kałuży błota.

Cuchnąca woda przypadła im obu do gustu i zamiast rozłóścić się z powodu mimowolnej błotnej kąpieli, podziałała na nich jak eliksir życia. Odór przypomniiał braciom rodzinne strony i wzmógł pragnienie powrotu do Stęchłej Marchii - pragnienie to było tak silne, że przewyższyło strach przed okrutnym stworem.

Ociekając błotem, orkowie znów poderwali się gotowi stanąć do walki z trollem - ale jak, bez broni?

- Łowco głów! - wrzasnął Rammar, przekrzykując wściekłe ryki monstrum, które rzuciło się do kolejnego ataku, wyrwijąc przy tym kilka drzew z korzeniami. - Oddaj nam naszą broń! Szybko!

- Nawet o tym nie myśl, orku! - Corwyn sięgnął po łuk i strzały. - Sam dam sobie radę z tym niedorajdą!

Naciągnął cięciwę i wypuścił dwie strzały, jedną po drugiej. Trafiły trolla w pierś, nie zdołały jednak przebić grubej skóry. Odbiły się tylko, nie czyniąc mu żadnej szkody.

- Co ty nie powiesz - odpowiedział kwaśno Rammar.

W następnej chwili maczuga znów opadła, tym razem za nią nadleciała pięć trolla i zaczęła się prawdziwa kanonada uderzeń. Nie dość, że wędrowcy musieli uchylać się przed zabójczymi ciosami, to jeszcze zagrażały im przelatujące obok nich szczątki drzew i korzeni. Niektóre z nich były tak ostre, że bez trudu mogłyby rozplatać człowieka albo orka.

Balbok pochylił się, uskakując przed jednym z zabójczych odłamków. Kiedy się podnosił, nagle doznał olśnienia: wciąż

trzyma w łapach godło Ruraka maga, a czy ono nie uratowało już dwukrotnie życia jemu i jego bratu? Obejmując drzewce dwiema łapami, zdecydowanie przyskoczył do trolla, wcelowując w niego czarną kulę na końcu pałki.

- Popatrz tutaj, szkaradny *umbalu!* - wrzasnął chudy ork, w głębi duszy szczęśliwy, że teraz ON może wyzwąć kogoś od idiotów. - Patrz na magiczną kulę i drzyj, nędzniku!

Troll, zamierzający się właśnie na leżącego na ziemi Corwyna, odwrócił się. Z nozdrzy buchnęła mu para i najwyraźniej ogromny stwór nie wiedział, czy ma się z Balboka śmiać, czy go po prostu uderzyć. Zdecydował się na to ostatnie i uniósł maczugę, by zmiażdżyć śmiałka razem z jego godłem.

- Balbok! - krzyknął Rammar z całej siły. - Uciekaj!

- Nie! - odpowiedział dzielnie Balbok. - Godło maga mnie ochroni!

Jednak nic nie wskazywało na to, żeby kula na końcu godła chciała mu w jakikolwiek sposób pomóc, a właśnie nadlatywała maczuga.

- *Shnoorsh!*... - dało się słyszeć Balboka, który w tym momencie zrozumiał, że zaniedbał jedną z najważniejszych zasad przyświecających orkom: mianowicie tę, by nigdy, ale to nigdy nie pokładać wiary w magii.

Maczuga spadała na niego i Balbok oczami wyobraźni widział już przyklejone do niej swoje zmiażdżone szczątki, kiedy coś wyglądającego jak wielka kula nadleciało nagle, uderzyło w orka i zwaliło go z nóg.

Odepchnięty na bok Balbok upadł jak długi, a maczuga zaledwie o włos od niego walnęła w leśną ściółkę, która zdrzała od straszliwego ciosu. Bez wątplenia: gdyby trafiła Balboka, byłby to jego koniec. Jednak ku swemu zdziwieniu chudy ork stwierdził, że jeszcze żyje - a obok niego leżał ten, który w ostatniej chwili zepchnął go na bok.

- Rammar? - wyrwało się Balbokowi. Ledwie mógł pojąć, że brat zaryzykował własną skórę, by go ratować.

- Godło maga mnie ochroni! - Rammar przedrzeźniał brata, podpierając się rękami. - Godło maga mnie ochroni!

- No cóż... - Balbok wzruszył ramionami. - Myślałem...

- Uważaj, *umbalu*!

Broń znów nadlatywała. Orkowie odskoczyli od siebie jak poderwane podmuchem wiatru pierze. A dragal, niczym jeden z zabójczych piorunów Kurula, uderzył między nich i wybił kolejny krater.

Strzała wystrzelona przez Corwyna trafiła trolla w kark, jednak i tym razem odbiła się od twardej skóry.

- Co chcesz tym osiągnąć, łowco głów? - wydarł się Rammar, próbując na czworakach odsunąć się na bezpieczną odległość. - Czy potwór ma umrzeć ze śmiechu?

- Moje strzały go trafiają - wydyszał zmieszany Corwyn - ale nie odnoszą skutku!

- Daj mi łuk! - zażądał Balbok. - Wiem, w co wycelować!

- To nie wchodzi w rachubę! Za jakiego głupca...

- Daj mu ten przeklęty łuk! - zawołała piskliwie Alannah, przykucnięta za wielkim drzewem. - Czy mamy wszyscy zginąć przez twój upór?

Corwyn spojrział na nią niezdecydowany, potem na Balboka. I kiedy bestia zadudniła wolną pięścią po piersi i wydała kolejny przenikliwy ryk, łowca głów rzucił chudemu orkowi łuk i kołczan ze strzałami, zaś Rammarowi *saparak*.

- Najwyższa pora - sapnął tłusty ork. - Balbok, gotów?

- Gotów, Rammar!

Wtedy obaj ruszyli do kontrnatarcia. Balbok założył na cięciwę strzałę i wypuścił ją w kierunku potwora.

- Ha! - darł się Corwyn. - Strzały nie działają na tę bestię, sam widzisz!

Jednak ork tą strzałą nie zamierzał zabić trolla. Chciał tylko zwabić go do siebie i swego brata, a to mu się udało. Kipiąc z wściekłości, olbrzym odwrócił się i zamachnął maczugą, powalając przy tym kolejne drzewo, które znalazło się na drodze zabójczej broni. Potem postąpił krok w stronę orków, parszkając i wywracając przekrwionym okiem.

- Balbok? - spytał Rammar, który stał obok brata i czuł, jak rośnie mu w gardle wielka gula.

- Bez obaw! - odpowiedział chudzielec. Założył na cięciwę następną strzałę, odczekał, jakby miał jeszcze mnóstwo czasu i jakby nie szedł na nich dziki, leśny troll, zamierzający ich zmiażdżyć i pożreć. Las drżał pod każdym jego krokiem. Wreszcie jednooki stanął przed nimi.

- Balbok! - Rammar, uchylając się przed ciosem, chciał rzucić się na łeb, na szyję do ucieczki, gdy Balbok w końcu wypuścił z cięciwy strzałę.

Ze świstem przemknęła krótka odległość i wwierciła się wprost w oko trolla!

Rozległo się makabryczne wycie, kiedy wielkie wylupiaсте oko pękło jak przejrzały owoc. Z oczodołu trysnęła fontanna krwi i oślepięne monstrum dziko zawyło. Przyciskając łapę do rany, walił na oślep maczugą, kręcąc się przy tym w dziwnym tańcu po polanie, którą wcześniej sam wyrąbał.

- Na co jeszcze czekacie? - ryknął Rammar, któremu nagle wróciła odwaga. - Na niego!

Celując w górę ostrzem trzymanego w obu rękach *saparaka*, rzucił się z dzikim okrzykiem na zataczającego się trolla. Ten był wprawdzie mocno ranny, ale jeszcze bardziej dziki i nieobliczalny niż przedtem. Maczuga znów świsnęła w powietrzu.

- Rammar! - krzyknął ostrzegawczo Balbok.

W następnym momencie rozległo się głośnie klaśnięcie, maczuga dosięgła tłustego orka i zmiotła go jak dokuczliwego owada. Rammar z kwikiem przeleciał w powietrzu i uderzył w pień

wielkiego dębu. Nieprzytomny osunął się na ziemię. Troll, pojąwszy, że w coś trafił, mimo dokuczliwego bólu wybuchnął tryumfalnym śmiechem - jednak nie na długo.

Balbok zwinnie śmignął do Corwyna i chwycił swój topór. Wyjątkowo zrezygnował z bojowego okrzyku, gdyż nie chciał ostrzec potwora.

W następnej chwili był już przy prawej nodze tego kolosa i jak drwal zamachnął się toporem, wbijając ostrze głęboko w jego ciało.

Ten piskliwie zaryczał z gniewu i bólu. Ostrza strzał nie były w stanie przebić jego zrogowaciałej skóry, ale nie zdołała ona powstrzymać ostrego żelezca orczego topora. Przecięło nie tylko skórę, ale również mięśnie i ścięgna. Kiedy Balbok wyrwał topór, z głębokiej rany trysnęła krew. Ork natychmiast uderzył drugi i trzeci raz.

Olbrzym, miotając się wściekle, zadawał ciosy po omacku. Nie był w stanie poruszyć już zranioną nogą. Próbował trafić napastnika maczugą, lecz mu się to nie udało, gdyż Balbok za każdym razem, kiedy nadlatywała, zręcznie chronił się między nogami trolla. Musiał przy tym uważać, by nie zabiło go jego potężne przyrodzenie.

Ork nadal rąbał zranioną nogę potwora, z każdym ciosem powiększając ranę - aż wreszcie dotarł do kości.

- Uwaga, troll upada! - Balbok wzniósł tradycyjny ostrzegawczy okrzyk i zamachnął się daleko, by ostatni raz dosięgnąć toporem celu.

Rozległ się trzask i żeleźce topora przerąbało kość podudzia. Noga złamała się, a troll rzeczywiście padł jak powalone drzewo.

Z głuchym łoskotem ogromny stwór zwałił się na plecy. Nadal ryczał i jak oszalały wymachiwał wokół siebie maczugą. Jednak zasięg ciosów był teraz nieporównanie mniejszy.

Z gniewnym bojowym okrzykiem Rammar i Corwyn rzucili się na niego. Ork i łowca głów musieli uważać, żeby nie pośliznąć się na śliskiej ziemi, gdyż z kikuta nogi stwora litrami lała się ciemna krew, wsiąkając w leśne poszycie i zmieniając polanę w błotnistą maź.

Człowiek wystrzelił dobry tuzin strzał w szeroko rozdziawioną paszczę kolosa, Rammar zaś jednym skokiem znalazł się na jego piersi i z całej siły wbił *saparak* tam, gdzie spodziewał się znaleźć serce. Jeśli jednak miał nadzieję dobić tym trolła, to rozczarował się; ten zaryczał jeszcze wścieklej i rozpaczliwie dźwignął się ostatkiem sił. Rammar spadł z jego piersi i wyłądował w brunatnej kałuży.

- Głupiec! - krzyknęła do niego Alannah. - Nie wiesz, gdzie troll ma serce?

- Nie - odpowiedział zmieszany Rammar, wciągając głowę w ramiona, by nie dosięgła go łapa trolla giganta.

- Obojętne, gdzie ma serce! - wrzasnął Balbok i teraz on wskoczył na bestię. - Nic nie może żyć bez mózgu!

Zamachnął się szeroko i z całych sił uderzył toporem - jednym ciosem rozplątał czaszkę olbrzymia!

Popłynęła krew. Mózg wylał się ze szczeliny na głowie potwora, a ten jeszcze ostatni raz próbował się podnieść, w końcu upadł i leżał bez ruchu.

Walka była skończona.

Zalani krwią, ciężko dysząc, bracia patrzyli na zwłoki stwora, który omal nie położył kresu ich podróży.

- Nic nie może żyć bez mózgu? - W ciszy podstępnie spytał Corwyn.

- Tak przecież jest, prawda? - odpowiedział Balbok.

Łowca głów pokręcił głową.

- Ty jesteś dowodem, że tak nie jest.

Znów przez kilka chwil panowała cisza. Potem Rammar nie mógł dłużej wytrzymać i wybuchnął śmiechem (choć orkowi nie

przystoi śmiać się z żartów ludzi). Śmiał się też Corwyn i nawet Alannah przyłączyła się piskliwym chichotem. W końcu i Balbok musiał się uśmiechnąć, choć znów żartowano jego kosztem.

W ten sposób wędrowcy rozładowali napięcie i śmiertelny strach. Wśród powszechnej wesołości łowca głów pojednawczo klepał Rammara po plecach, a tłusty ork szturchnął go pięścią w pierś, co wśród przedstawicieli jego rasy jest oznaką uznania. Kiedy obaj zorientowali się, co robią, ręka Corwyna cofnęła się. Wszak nie mógł bratać się z mordercami Mareny. A ork splunął, zrozumiawszy, że właśnie był na najlepszej drodze do zawarcia przyjaźni z człowiekiem, na dodatek jeszcze z takim, który polował na jego skalp.

Jak trafieni gromem odskoczyli od siebie, a moment później znów unieśli broń, do której kleiła się jeszcze ciemna krew trolla. Topór i *saparak* po jednej, a półtorak Corwyna po drugiej stronie stanęły naprzeciw siebie.

- Wiedziałem - syknął łowca głów. - Byłem pewny, że wam, nędznym łajdakom nie można ufać.

- A ja wiedziałem, że nie warto ratować skóry człowieka - odpowiedział Rammar. - Gdyby nie mój brat, już byś nie żył.

- Gwiżdżę na to. Wolę, żeby odgryzł mi głowę troll niż żeby za plecami zdradziecko mierzył do mnie tłusty ork.

- Tłusty ork wsadzi ci zaraz czubek *saparaka* w brzuch i z rozkoszą nim zakręci.

- Spróbuj tylko, grubasie. Przedtem ja odrąbię ci łapy i zedrę ze łba skalp zanim zdechniesz.

- Po moim trupie! - Wyszczrzył zęby Balbok, stając w obronie brata.

- Sam tego chciałeś, tyczko fasoli!

- Mlecznowąs!

- Zakazany ryj!
- Ślepol!

Krażąc jeden wokół drugiego jak drapieżniki, ork i łowca głów zbliżyli się i chcieli już rzucić się na siebie, wciąż podnieceni stoczoną właśnie walką - kiedy odziana w promienną biel postać stanęła między nimi i zmierzyła obu karcącym wzrokiem.

- Skończyliście? - spytała Alannah.
- Jeszcze nie - odpowiedział Corwyn, warcząc jak głodny wilk. - Dopiero kiedy przypnę do pasa skalp tego pyskacza!
- Dość tego, człowieku! - ostro przywołała go do porządku. - I schowaj swój miecz do pochwy!
- *Korr* - zgodził się Balbok. - Mnie i tak nie dasz rady, więc lepiej nawet nie próbuj.
- A ty - Alannah nie mniej surowym tonem zwróciła się do orka - schowaj topór, ale już!
- Co? Ale...

- Za kogo wy się właściwie uważacie? Odpieracie atak leśnego trolla, by w następnej chwili rzucić się na siebie jak oszaleli? Nie zrozumieliście jeszcze, że jesteśmy zdani na siebie nawzajem? Czy się wam podoba, czy nie, los uczynił z was współników. Albo to wreszcie zaakceptujecie, albo wkrótce będziecie martwi. W porównaniu z niebezpieczeństwami czyhającymi w murach Tirgas Lan, walka z leśnym trollem to zwykła igraszka.

Alannah mówiła stanowczym głosem i ani orkowie, ani Corwyn nie ważyli się jej przerywać. Ociąkali się jeszcze chwilę, potem opuścili broń.

- Tak jest dobrze - powiedziała kapłanka. - Nikt nie będzie miał nic z tego, jeśli się pozabijacie. Mamy wspólny cel, poniechajcie więc waszych małostkowych kłótni i myślcie o tym, po co tu jesteśmy. Nigdy wcześniej nikomu nie udało się dotrzeć tak daleko w głąb Lasu Trowną. Czuję, że do Tirgas Lan nie jest już daleko. Nie pozwólcie, żeby wasza wzajemna nienawiść

zagroziła powodzeniu naszej misji.

- Świetnie - mruknął Corwyn i wetknął miecz z powrotem do pochwy.

- Pięknie - mruknęli również Balbok i Rammar.

Potem ruszyli dalej ścieżką, którą wskazywał im las.

- Jednego nie rozumiem, elfini - powiedział Rammar, kiedy przechodzili obok martwego trolla. - Skoro las pokazuje ci drogę do Ukrytego Miasta i podobno nie ma nic przeciw tobie, czemu zostaliśmy napadnięci?

Alannah obrzuciła go wiele mówiącym spojrzeniem.

- Miałam na myśli tylko siebie - odparła. - Nigdy nie wspomniałam o dwóch orkach i łowcy głów.

- Chcesz przez to powiedzieć, że troll napadł tylko na nas, a nie na ciebie? - spytał zdziwiony Rammar.

Alannah uśmiechnęła się.

- Właśnie tak.

Marsz zajął im cały dzień. Kręta dróżka prowadziła coraz dalej w głąb lasu, wijąc się między potężnymi drzewami, z których zwisały gęste kotary wilgotnego mchu; mijała wielkie grzyby i paprocie, przewieszzone nad nią niczym osobliwe portale.

Za każdym razem, kiedy droga urywała się przed nieprzebytą ścianą zarośli, Alannah zarządzała przerwę. Siadała na miękkiej ściółce, zamykała oczy i chwilę medytowała. Wtedy las niedostrzegalnie dla Rammara, Balboka i Corwyna zmieniał się i otwierał im drogę, po której mogli kontynuować swoją wędrówkę.

To wszystko wyglądało dla orków niezwykle zagadkowo.

Dawno stracili orientację, niepokoiły ich również ustawiczne trzaski i szelesty, których pełno było w stęchłym powietrzu. Poza tym obaj mieli nieokreślone uczucie, że są obserwowani,

jednak w miękkim podłożu nie było widać żadnych śladów, a i nos Balboka nie wyczuwał nic podejrzanego.

Alannah niestrudzenie podążała przodem. Zdawała się nie potrzebować odpoczynku ani snu, wprost przeciwnie, im bliżej było do Ukrytego Miasta, tym bardziej wyglądała na wypoczętą i spokojną. Ku uldze Rammara czwórka wędrowców nie miała już więcej do czynienia z żadnym trollem. Nie brakowało za to w lesie wszelkiej drobnej zwierzyny - węży, wijących się po wilgotnej ziemi i syczących na podróżnych oraz jadowitych pająków (wielkości co najwyżej królika, z czego cieszyli się bracia), snujących między drzewami swoje sieci.

Pod wieczór, gdy zmierzch pogrążył już las w szarym mroku, doszło do wielce niemiłego zdarzenia.

Zmęczeni i wyczerpani długim marszem orkowie i łowca głów człapali za elfinią, kiedy ta nagle zatrzymała się, odchyliła głowę do tyłu, przymknęła oczy i szepnęła jedno jedyne słowo:

- Niebezpieczeństwo!

W następnej chwili Balbok poczuł je w nozdrzach - gryzący odór śmierci i rozkładu.

Nagle jakby ogromna gardziel pochłonęła zachodzące słońce i na wędrowców padł ciemny cień. Skrawki krwiście czerwonego wieczornego nieba, połyskujące tu i ówdzie przez gęsty dach liści, nagle znikły i powietrze wypełniło się głuchym szelestem.

Dźwięk narastał, a orkowie i ich towarzysze poczuli, jak coś nad nimi przelatuje - szybuje w powietrzu na ogromnych skrzydłach.

Rammara ścisnął lodowatą łapą śmiertelny strach, spłynął na jego pierś i sięgnął serca. Tłusty ork stęknął zrozpaczony, z paniką wpatrując się w mroczne niebo, gdzie nagle zaczęło skrzeczeć owo ogromne, groźne „coś”.

Rammar rozdziawił pysk i miał ochotę wrzasnąć z przeżenia - jednak nim zdołał wydobyć z gardła choćby jeden dźwięk, łapa Balboka śmignęła i zamknęła mu usta.

- Cicho! - syknęła Alannah. - Jeśli nas usłyszysz, będziemy zgubieni...

Rammar poczuł, że pot zalewa mu czoło, ale zrozumiał, że musi zachować spokój, choćby przyszło mu to z trudem. Bliiskość tego... CZEGOŚ (cokolwiek to było) sprawiała, że czuł się bardziej bezradny i przestraszony niż kiedykolwiek przedtem: jeszcze nigdy w życiu, ani przy ataku gnomów, ani podczas walki z pajakiem olbrzymem, ani kiedy krzyżował broń z berserkiem, ani nawet kiedy o mały włos nie zginął w Lodowej Rzece - nigdy dotąd ork nie doświadczył tak rozpaczliwego strachu. Niczym rozżarzone żelazo trwoga przegryzała się przez jego niewielki rozum i zdawała się wytrzebiać tam wszystko, aż do momentu, kiedy zostanie już tylko on sam, samotny, nagi i bezbronny.

Choć Balbok nadal przyciskał mu do pyska łapę, Rammarowi udało się odwrócić głowę. Mógł teraz w półmroku dojrzeć twarz towarzyszy - przekonał się, że nie czuli się lepiej niż on sam.

Twarz Balboka była długa, policzki zapadnięte, a oczy wyglądały, jakby miały wypaść z oczodołów. Brwi Corwyna ściągnęły się w zatroskaniu, czoło znaczyły głębokie zmarszczki. Nawet elfini - jak się wydawało - straciła nieco pewności siebie; strachy w Trowna podobno nie były wymierzone w nią, tylko w jej towarzyszy, ale kto mógł powiedzieć, czy to „coś”, cokolwiek to było, wie o tej subtelnej różnicy?

Mijały chwile, które czwórce wędrowców zdawały się być wiecznością. Złowrogi szmer krążył nad nimi - aż nagle cień znikł i nad drzewami znów widać było mroczną czerwień.

Nadal trwali w ciszy, nie ważąc się oddychać. Milczał nawet las, zamilkła pieśń nieustannego rodzenia się i przemijania.

Nie było już słycać szelestu drzew. Ucichły niesamowite stwo-
ry, zamieszkujące głęboką, leśną ściółkę oraz szepty i szmery
wiatru. Dopiero po jakimś czasie las wrócił do swoich dawnych
zwyczajów, a Rammar odzyskał mowę:

- Co to, na otchłań Kurula, było? - zapytał cicho.

- Nie wiem - odpowiedziała Alannah. - Las Trowna skry-
wa wiele tajemnic, niektóre z nich są tak stare i straszne, że na-
wet mój lud może o nich nie pamiętać.

- Do kroćset! - warknął gruby ork. - Prawie się *zeshnor-
shylem*.

- Ja też - ochryple szepnął Corwyn.

Spojrzeli na siebie i zorientowali się, że obnażyli się wzajem-
nie przed sobą. Rammar już miał na końcu języka szyderczą
uwagę, przełknął ją jednak wraz z gorzkim posmakiem, jaki po-
zostało to niesamowite wydarzenie.

- Co teraz zrobimy? - zwrócił się do Alannah.

- Zostaniemy tu i rozłożymy się na noc - zarządziła elfini.
Ten cień, to osobliwe „coś”, najwyraźniej zaniepokoiło również
ją i być może wiedziała o tym więcej, niż chciała przyznać. - Ten
stwór nadal tu jest - powiedziała tylko. - Jeśli pójdziemy dalej,
może nas zauważyć. Poza tym wkrótce zrobi się całkiem ciemno.

Żaden ze współwędrowców nie sprzeciwił się jej. Skoro na-
wet elfini nie paliła się do marszu przez las, tym bardziej nie
rwali się do niego oni. Jeśli za dnia po Lesie Trowna grasowały
straszliwe stwo-ry - co dopiero może się tu dzieć po nastaniu no-
cy?

Ustaliwszy, że Corwyn przejmie pierwszą wachtę, Rammar i
Balbok mogli na razie przyłożyć głowę do ziemi, choć nie było
łatwo zasnąć po tym wszystkim, co przeżyli. Rammar był pe-
wien, że przyśnią mu się żarłoczne trolle i ogromne cienie, chyba
że...

- A co z ogniem? - zapytał.

- Dziś w nocy nie. - Alannah pokręciła głową. - Ogień zwabiłby potwora. To - wzięła kij, schyliła się i narysowała krąg wokół ich prowizorycznego obozowiska - nie dopuści do nas zła.

- Skoro tak mówisz - stwierdził sceptycznie Rammar. W głębi duszy powiedział sobie, że lepiej już być chronionym przez elfie czary niż wcale. Podobnie czuł Balbok.

Kapłanka ułożyła się na miękkim mchu, zaś orkowie przygotowali sobie legowisko na zbutwiałych liściach.

- Do kroćset - burknął Corwyn. - To śmierdzi. Żałosne gnojki, czy wy zawsze musicie grzebać się w błocie i zgniliznie?

- Co ci się nie podoba? - zdziwił się Balbok. - Błoto i zgnilizna są zdrowe.

- Może dla orka - krzywiąc się z obrzydzeniem, odpowiedział łowca głów. - Mnie się od nich robi niedobrze. Powinienem był cię zabić, kiedy miałem okazję. Albo jeszcze lepiej zrobiłbym, gdybym zostawił was w obozie krasnoludów.

- Nie ty zdecydowałeś - przypomniała mu Alannah.

- Zgadza się. Gdybym ja miał coś do powiedzenia, tych dwóch śmierdzieli wcale by tu nie było - gderał Corwyn. - Teraz to całkiem jasne, dlaczego napadł na nas troll i czemu ten dziwny cień się na nas uwziął - to wszystko przez orków!

- Przez NAS? - spytał oburzony Rammar. - A niby dlaczego?

- Bo jesteście pomiotem zła, dlatego. Strażnicy lasu wyczuwają waszą obecność i próbują was zatrzymać. Gdybyśmy byli tu sami, elfini i ja, pewnie już dawno doszlibyśmy do Tirgas Lan.

- Mylisz się - powiedziała Alannah, nim jeszcze Rammar zdolał coś odrzec. - Orkowie nie są winni, Corwyn.

- Co? Ale?...

- Nie pamiętasz, co mówiłam wam o Trowna? Las traktuje KAŻDEGO jak intruza, obojętne, czy chodzi o człowieka, orka, czy kogokolwiek innego. Tylko strażniczka mapy może bez przeszkód iść przez las. Tak napisano w prorocztwie Farawyna.

- Tego mi tylko brakowało - jęknął Corwyn. - Bądź tak miła i oszczędź mi prorocztw. Nawet nie chcę wiedzieć, co będzie potem.

Alannah uśmiechnęła się i spytała:

- Wiesz, co myślę?

- Co?

- Myślę, że tak naprawdę tchórzliwa z ciebie istota, Corwyn. I że to strach jest przyczyną, dla której tak wrogo się zachowujesz.

- Bzdura!

- To nie bzdura i dobrze o tym wiesz. Nawet jeśli ci się to nie podoba, Corwyn, jesteś tylko człowiekiem, a ludzie są bojaźliwi. I może to cię uspokoi, że ja też się bałam, kiedy to „coś” nad nami fruwało, nieważne, czy jestem strażniczką mapy, czy nie.

- Tym gorzej dla ciebie. - Corwyn wzruszył ramionami. - Ja w każdym razie się nie boję. Ani tego „czegoś”, ani niczego innego.

- Uparciuch! Czemu nie chcesz się przyznać?

- Bo nie ma do czego, dlatego.

- To nieprawda! Czuję twój strach i jeszcze coś innego... tęsknotę, żal...

- Elfini! - ostrzegawczo warknął łowca głów. - Byłbym wdzięczny, gdybyś swoje przecucia zostawiła dla siebie...

- Nauczyłeś się starannie skrywać swój ból, ale on cię nie opuścił. Dopóki mu się nie przeciwstawisz, nigdy go nie pokonasz.

- Dziękuję - burknął. - Jeszcze jakieś mądre rady?

- Czemu mnie nie słuchasz? Chcę ci pomóc.

- To miłe z twojej strony, ale nie potrzebuję pomocy.
- Dureń!
- Zarozumiała gęś.
- Gbur!
- Arogancka gówniara!

Bracia niezłe się zdziwili - łowca głów i elfini obrzucali się wyzwiskami jak dwóch orków. Rammar doskonale rozumiał ich zachowanie i z jakiegoś powodu to wszystko wcale mu się nie podobało.

Aby zgiełk tych dwóch zapalczywych kogutów nie zwabił straszliwego, ciemnego stwora, wtrącił się:

- Powiedzcie no, wy dwoje - syknął - co mają znaczyć te głupie zaloty?

- Zaloty? - spytał Corwyn, gapiąc się na niego.

- Oczywiście - warknął ork. - To przecież jasne, że elfini wpadła ci w oko, a ona nie wie, czemu nie uważa cię za takiego szkaradnego, jakim w rzeczywistości jesteś.

- To... to jakaś bzdura! - Sprzeciwił się nieporadnie Corwyn, ale sposób, w jaki spojrzeli na siebie z Alannah, upewnił Rammara w przekonaniu, że trafił w sedno.

- Zamiast się kłócić - kontynuował gruby ork - lepiej zrobicie to zaraz, tu i teraz. Wtedy będziecie mieli to już za sobą.

- Co masz na myśli? - zapytał zakłopotany Corwyn.

- Co takiego mamy niby zrobić? - zalała się rumieńcem Alannah.

- A cóż by? - Ork uśmiechnął się srośnie.

- Ty... ty masz na myśli?...

Rammar przytaknął.

- Najlepiej zróbcie to w tej błotnej jamie, tam po drugiej stronie. Tam na pewno przyjdzie wam do głowy kilka zabawnych pomysłów.

- Jakich pomysłów? - zdziwił się Balbok.

- Zamknij się! - burknął Rammar.

- Czy dobrze cię zrozumiałam? - odezwała się wytrącona z równowagi Alannah. - Ty... ty nie tylko nakłaniasz nas do miłego aktu, ale i tarzania się w błotnej jamie?

- Tak jak orki - potwierdził Rammar, a jego uśmiech stał się jeszcze bardziej bezczelny.

- Ty wstrętna kreaturo! - krzyknęła elfini. - Jak śmiesz kałać ten podniosły akt takim brudem?

- Nie brudem - poprawił ork. - Mówilem o błocie.

- Nie masz ani krzty taktu? - oburzyła się elfini.

- Oczywiście, że nie - powiedział Corwyn. - To ork, a orkowie robią to, co każe im popęd.

- Co w tych sprawach ma sens - stwierdził Rammar, wciąż uśmiechając się lubieżnie.

- To niskie, obrzydliwe popędy. - Rysy Alannah stężały od pogardy.

- Właśnie - poparł ją Corwyn. - To prymitywne dzikusy i nigdy się nie zmienia.

Łowca głów i elfini znów byli zgodni. Zapomnieli o kłótni, Rammarowi właśnie o to chodziło.

- *Korr*, niech będzie, że jestem prymitywnym dzikusiem - wymamrotał. - Tych dwoje tokuje tak, że nawet ork rumieni się po uszy, ale prymitywnym dzikusiem jestem ja. Ty to rozumiesz, Balbok?

- Nie - odpowiedział mu brat, leżąc bez ruchu na plecach. - Ja w ogóle nic nie rozumiem. Ja jestem głodny.

- Ja też. W tym przeklętym lesie nie ma nic prócz włóknistych korzeni i malutkich grzybków. Już mi wychodzą bokiem.

- Mnie również. Jak sobie pomyślę o wielkim kotle bruchowstrząsu...

- Zamknij pysk! - warknął Rammar.

- Nic na to nie poradzę. Stale go przed sobą widzę, ogromny kocioł, pełen flaków gnomów, oczu ghuli i...

- Zamknij pysk! - powiedział Rammar, tym razem dobitniej i Balbok rzeczywiście zamilkł. Po jego rozpromienionych oczach można było jednak poznać, że po cichu nadal wyobraża sobie, jakie to smakowitości mógłby jeszcze zawierać kocioł.

- Jedno ci przysięgam, Rammar - odezwał się jeszcze raz.
- Jeśli kiedyś się stąd wydostaniemy, rozpalę pod największym kotłem, jaki w życiu widziałeś, i ugotuję dla nas najlepszy bruchowstrząs, jaki kiedykolwiek jadłeś. *Korr*?

Rammar westchnął - co mógł odpowiedzieć?

- *Korr* - potwierdził cicho.

4. BOL UR'SUL'HAI-COUL

Wąskie i ostro wykute dzioby elfich łodzi jak miecze cięły nurt Wschodniej Rzeki. Popychane równomiernymi uderzeniami wiosel cztery triery potrzebowały zaledwie kilku dni na dotarcie do owej krainy u stóp Gór Czarnych, gdzie Wschodnia i Zachodnia Rzeka łączą swoje wody w jeden nurt, z dawien dawna wytyczający granicę między Stęchłą Marchią a królestwem elfów. Od owej granicy rzeka brała swoją nazwę - *glanduin* nazywały ją w swojej mowie elfy, *abhaim-kroiash* orkowie, a ludzie Graniczna Rzeka. Między ciemnoszarymi zboczami Gór Czarnych z jednej, a groźną zieloną wstęgą Lasu Trowna z drugiej strony, Graniczna Rzeka wiła się ku północy przez jałową ziemię niczyją, na którą tylko z rzadka zabłąkał się słoneczny promień. Szare chmury, pozostałości szalejącej daleko na wschodzie burzy, zasnuwały niebo mrokiem podobnym do tego w sercu Loreta.

Przygnębiony książę elfów stał na dziobie statku prowadzącego eskadrę. Galion w kształcie szyi i głowy łabędzia majestatycznie wznosił się nad falami, rozcinanymi niemal bezszelstnie przez ostry jak nóż dziób; słychać było tylko plusk wioseł triery o wodę.

Trzy rzędy po trzydziestu wiosłarzy po każdej stronie galery zapewniały, że mknęła pod prąd z zadziwiającą szybkością - za szybko jak na gust Loreta.

Nie było mu spieszno do Równiny Scarii, owej pozbawionej życia krainy, leżącej niegdyś w sercu elfiego królestwa. Niepojęty wydawał mu się fakt, że jego przodkowie oddali życie, by ten ponury skrawek ziemi wyrwać mocom zła; jego zdaniem tereny na wschód od Stęchłej Marchii należało pozostawić we władaniu ciemności. Nawet więcej: można było dołożyć im jako bonus cały Łąd.

Loreto nigdy nie zrozumiał, co jego lud widzi w śmiertelnikach. Ich głupota i chciwość - przede wszystkim u ludzi - były ogromne, i jeszcze nigdy nie okazali wdzięczności za żadne z dobrodziejstw wyświadczonych im przez elfy. Gdyby to zależało od Loreta, elfi lud już dawno opuściłby *amber*, by zaznać szczęścia i radości na Dalekim Brzegu.

Los i tak okazał się na tyle łaskawy, że dane mu było żyć w czasach, kiedy ideałisci jego ludu powoli przytomnieją. Elfy uświadomiły sobie, że marnują czas, że lepiej będzie pozostawić ludzi i krasnoludy, orki i gnomy samym sobie i nareszcie powrócić do owego miejsca, z którego tu niegdyś przybyły.

To nowe otrzeźwienie wśród elfów bez wątpienia miało również swoje wady. Lorecie krwawiło serce na myśl, że statek, którym miał wyruszyć ku Dalekiemu Brzegowi, wypłynął bez niego i że przewodniczący Wysokiej Rady Elfów zajął jego miejsce, on zaś musi wypełnić tę misję.

Gdzie podziały się stare wartości?

Loreto przeklinał Aylonwyrę za jego tupet i przyłapał się na myślach niegodnych księcia elfów. Nie dość, że Najstarszy Rady przykazał mu pozostać tutaj (sam wyruszył do Dalekiego Brzegu), to jeszcze zmusił go do ponownego spotkania z Alannah, co było nawet gorsze. Tego właśnie Loreto chciał uniknąć, wysyłając do ukochanej list, w którym tłumaczył jej, że między nimi wszystko się skończyło i że on zamierza szukać szczęścia w nowym świecie.

Nie chciał spojrzeć jej prosto w oczy ani widzieć łez rozczarowania i rozpacz. W ten sposób łatwiej przysłoby mu zachować czyste sumienie, co było warunkiem obowiązującym tych, którzy pragnęli postawić stopę na Dalekim Brzegu. Kto mianowicie nie miał czystego sumienia, tego stróżę wyspy mogli odrzucić.

Stało się jednak zupełnie inaczej: Alannah została porwana z Shakary, a rozkazy Loreta uniemożliwiły mu uwolnienie jej z rąk zwyrodnialców. Instrukcje Aylonwyrę były pod tym względem jednoznaczne. Należy ZA WSZELKĄ CENĘ powstrzymać arcykapłankę od wyjawienia tajemnicy - nawet jeśli to miałyby oznaczać zamknięcie jej ust na zawsze!

Ta myśl wstrząsnęła Loretem do szpiku kości. Czy będzie w stanie to zrobić? Czy jego lojalność wobec Aylonwyrę i Rady jest wystarczająca, żeby zamordować?

Książę elfów zdecydowanie potrząsnął głową.

Nie miał wątpliwości.

Musi wykonać rozkaz Wysokiej Rady i nie do niego należy poddawać go w wątpliwość. Jeśli Alannah rzeczywiście spiskowała z wrogiem i zamierzała zdradzić tajemnicę, której przechowanie było celem jej życia, to zasłużyła na śmierć. On, Loreto, nie jest tu niczym więcej, jak wykonawczym ramieniem sprawiedliwości. Jeśli zdoła spełnić życzenie Rady i ją zadowoli, to znajdzie się na pokładzie następnego statku, wpływającego z portu w Targas Dun.

A tylko o to chodzi. Celem jest Daleki Brzeg.

Mury Tirgas Lan wynurzyły się z zieleni puszczy tak niespodziewanie, że wędrowcy stanęli jak wryci.

Niewidoczna ścieżka zdawała się ginać w gąszczu drzew i bluszczu, jednak w następnej chwili ktoś jakby odsunął kotarę z mchu i zielonych liści. Otworzył się widok na coś większego i bardziej imponującego niż wszystko, co Rammar i Balbok kiedykolwiek widzieli.

Żadna z twierdz orków, choćby największa i najbardziej mroczna, nie mogła równać się z Tirgas Lan. Wrosły przed nimi ukoronowane smukłymi blankami mury, tak olbrzymie i niedostępne, aż zapierało dech w piersiach. Za nimi wznosiły się wieże, niektóre z zapadniętymi dachami; niegdyś trzepotały tam na wietrze barwne proporce, obwieszczając władzę elfów. Teraz zostały tylko puste drzewce, celujące w ciemne niebo niczym kościste paluchy.

Kamień, z którego zbudowano mury twierdzy był czarny i poprzecinany rysami; swoją porowatą powierzchnią przypominał gąbkę. Te szkody musiał wyrządzić ogień gorętszy niż wszystko, co mogą wzniecić orkowie i ludzie.

Cała twierdza zdawała się być pokryta smołowatą, czarną mazią; brakowało jej jedynie tam, gdzie teren zaczęła zdobywać puszcza: po murach wspinały się mchy i korzenie, z wież zwisały bluszcze i liany. Miało się niemal wrażenie, że las pragnie zdławić budowlę; zielona powódź napierała ze wszystkich stron, jakby chciała zniszczyć fortecę, odsunąć ją w zapomnienie po wsze czasy.

- Na robaki we flakach Torgasa! - stęknął Rammar. - To naprawdę największa twierdza, jaką kiedykolwiek wzniesiono w *sochgal*.

- Tym razem wyjątkowo zgodzę się z tobą, orcza mordo - przyznał nie mniej zaskoczony Corwyn.

- To Tirgas Lan - powiedziała Alannah. - Stara królewska warownia, miasto i zamek równocześnie, dawne centrum królestwa elfów.

Nawet w jej zwykle tak opanowanym głosie dało się słyszeć podniecenie. Arcykapłanka Shakary pierwszy raz widziała ową twierdzę, której ochronie poświęcone było jej dotychczasowe życie. Ząb czasu nadgryzł mury i wieże, ale wokół twierdzy nadal czuło się tchnienie dawnej potęgi.

- Farawyn - szepnęła z szacunkiem Alannah. - To tu stoczono ostatnią bitwę z Margokiem. Tu obrońcy dobra i słudzy chaosu starli się po raz ostatni. Ziemia nasiąkła ich krwią, a z tego siewu wyrósł Las Trownia.

- Nic dziwnego - skomentował Balbok - że po tym przeklętym lesie pęta się tyle paskudztwa.

- Czemu kamień jest tak kruchy? - zainteresował się Balbok.

- Nie daj się zwieść własnym oczom, naiwny towarzyszu - poradziła mu elfini. - Mury Tirgas Lan stawiały czoła ogniowi smoków i najczarniejszej magii, i nadal stoją. Nie zdoła ich skruszyć nawet orcza pasja niszczenia.

- Jeszcze zobaczymy - mruknął przekornie Rammar. - To wygląda tak chwiejnie, że chyba nawet nie będę musiał za mocno walić!

- Jak już powiedziałam: nie ufaj swoim oczom - napomniała go elfini. - W proroctwie Farawyna powiedziano, że ten, kto pragnie wejść do Tirgas Lan, nie będąc wybranym, nigdy nie postawi stopy wewnątrz twierdzy.

- A co to za gadanina? - burknął Rammar. - Gdzie jest wejście, to ci pokażę...

- Nie musimy długo szukać wejścia - przerwał mu Corwyn. - Upleciemy linę z lian i po niej będziemy się wspinać na mur.

- Nie radziłabym - stwierdziła Alannah.

- Dlaczego nie?

- Od stuleci nikt nie wchodził do Ukrytego Miasta. Cięży na nim klątwa, która zostanie zdjęta dopiero, gdy wybraniec otworzy Wielką Bramę. Wtedy straci moc również klątwa lasu. Brama to jedyna droga do wnętrza starej królewskiej stolicy. Każda inna próba wejścia do środka skończy się śmiercią.

- No pięknie - mruknął Corwyn. - A gdzie jest ta brama?

- Spodziewam się, że gdzieś w tym murze - stwierdziła elfini. - Proponuję, żebyśmy się podzielili. Orkowie pójdą w lewo, a Corwyn i ja w prawo. Kto pierwszy znajdzie bramę, ten poczeka na drugiego.

- Nie ma mowy - sprzeciwił się Rammar. - Nie jesteśmy głupi. Jako kapłanka Shakary znasz tę budę na wylot. Jak tylko znajdziecie bramę, otworzysz ją i wkradniesz się razem z mlecznonosym, a mój brat i ja odejdziemy z kwitkiem.

- Nie, ja...

- Powiem ci, jak to zrobimy, elfini. Zostaniemy wszyscy razem, czy to wam pasuje, czy nie.

Alannah westchnęła i rzuciła Corwynowi wymowne spojrzenie, zdradzające nieomylnie, że nie miałyby nic przeciw temu, żeby pobyć z nim przez chwilę sam na sam. Ostatecznie jednak zgodziła się, łowca głów również się nie sprzeciwił - pewnie dlatego, że w ten sposób nadal mógł mieć orków na oku.

Wzdłuż porośniętego obfitą zielenią muru, ciągnącego się na lewo od nich, czwórka niepodobnych do siebie towarzyszy rozpoczęła poszukiwanie wejścia do wnętrza miasta twierdzy.

Po drodze Rammarowi zaświtało wyjaśnienie, dlaczego Tirgas Lan było zarówno twierdzą, jak i miastem. Cała budowla była umocniona jak zamek, otoczona wysokimi murami i wieżami obronnymi; jednak jej wymiary były tak ogromne, że mieściło się w niej całe miasto. W regularnych odstępach wznosiły

się wieże, wystające na zewnątrz budowle - kamień, z którego je zbudowano, też był czarny i porowaty. Z wysokiego muru sterczały blanki i Rammar niemal odczuwał strach, że zaraz zacznie się ostrzał.

Alannah szła na czele małej grupki. Niewiele mówiono i wędrowcy bacznie się rozglądali. Coś się zmieniło: w bezpośrednim sąsiedztwie muru powietrzem nie poruszał nawet najmniejszy powiew wiatru, wszechobecne odgłosy puszczy zamilkły.

- Na mroczny płomień Kurula! - mruknął pod nosem Rammar. - Każde inne stworzenie w tym lesie zdaje się być dość mądre, żeby trzymać się z dala od tych murów. Tylko my musimy tu koniecznie wtykać nos.

- Nikt cię nie zmusza, orku - zadrwił Corwyn. - Możesz zostać na zewnątrz i zostawić cały skarb Tirgas Lan dla mnie.

Rammar splunął szyderczo.

- Wolałbym sam nieuzbrojony walczyć z leśnym trollem niż podarować ci ten tryumf, ty nędzny...

Wtem z drugiej strony muru dobiegł wędrowców dźwięk, który zmroził ich do szpiku kości - przeciągłe, nieludzkie wycie, a po nim ochryple dyszenie.

- Uważaj, co mówisz, orku - powiedziała cicho Alannah. - To może zbyt łatwo się spełnić...

Tłusty ork postanowił trzymać język za zębami i zmusić do tego również Balboka, który z nieporuszoną miną kroczył za nim. Jak zwykle nic nie było w stanie pozbawić go spokoju. Rammar zastanawiał się, skąd u jego prostodusznego brata bierze się ta obojętność. W końcu są już niedaleko od skarbu, z powodu którego przebyli tę koszmarnie długą drogę, wlekli się przez Równinę Scarii i Las Trowna, a wszędzie czyhały na nich śmiertelne niebezpieczeństwa.

Tymczasem jednak podróżni znaleźli dokładnie to, czego szukali: bramę, która znajdowała się między dwiema wysokimi,

hardo sterczącymi wieżami, połączonymi osłoniętym blankami mostem. Na ogromnych, kamiennych wrotach widniały wykute znaki dawnego pisma orków.

- O rany - Balbok jednak przerwał milczenie, z podziwem podnosząc wzrok.

- Skoro brama jest taka wielka, to jak musi wyglądać wszystko po drugiej stronie muru?

- Tirgas Lan nazywano kiedyś „Perłą Królestwa Elfów” - wyjaśniła Alannah. - To było najokazalsze miejsce, jakie kiedykolwiek widział *amber*, sławne z komnat zalanych światłem, z kwitnących ogrodów i arkad, po których można było spacerować, kiedy komuś przyszła ochota...

- Fuj! - parsknął, krzywiąc się, Balbok. - Wszędzie światło i kolory. Okropna wizja.

- Bez obaw - odparła z goryczą w głosie Alannah. - Nic z tego już nie zostało. Tu, przy tej bramie, dokonano haniebnego zdrady, i stwory, takie jak ty i twój brat, sprawiły, że blask i chwała Tirgas Lan utonęły w ogniu i krwi.

- *Korr* - przyznał zachwycony Balbok - tam, gdzie pojawi się nasza orcza brać, wkrótce nic nie wyrośnie. Myślę, że powinniśmy...

Kiedy Rammar dał mu tęgiego łupnia pod żebra, wreszcie zamilkł. Nawet gruby ork uznał za nietaktowne wysławianie krwawych zasług ich przodków. Po Alannah było wyraźnie widać zmieszanie i żal, toteż z niepojętego dla samego siebie powodu Rammar nie chciał jeszcze bardziej jej zasmuć.

- Jak otworzyć bramę? - zapytał, żeby zmienić temat.

Zatopiona w myślach kapłanka podniosła wzrok na zamknięte wrota, do jednej trzeciej wysokości porośnięte mchem i korzeniami. Elfini przez krótką chwilę zdawała się przebywać w innym miejscu i czasie. Corwyn podszedł do niej i kładąc jej delikatnie dłoń na ramieniu, przywołał ją z powrotem.

- Ork cię o coś pytał - przypomniał, nie z uprzejmości dla Rammara, ale dlatego, że sam palił się do wejścia Ukrytego Miasta.

- Wiem - odpowiedziała cicho. - Już dawno wam odpowiedziałam: nie ma żadnego sposobu, by otworzyć bramę od zewnątrz. Ciąży na niej klątwa, która pozwoli przejść jedynie tym, których wyznaczył do tego los.

- Oraz tobie - skwitował Rammar. - W końcu jesteś Strażniczką Tajemnicy. Las wskazał ci drogę tutaj, więc otworzy ci również bramę.

- To możliwe - przytaknęła Alannah. - Ale może być również i tak, że droga strażniczki kończy się tutaj.

- Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić - stwierdził z drwiącym uśmiechem ork i niczym dworzaniin, dający przejście swojej pani, uklonił się i zamachał zapraszająco krótkimi rękami.

Alannah głęboko odetchnęła. Wyglądało na to, że musi się przełamać, by zbliżyć się do bramy - zupełnie, jakby trzymały ją niewidzialne ręce. W rzeczywistości, pomyślał Rammar, tym, co dręczy elfinię, jest zapewne nieczyste sumienie. Ostatecznie sprzeniewierza właśnie ostatnie trzysta lat swego życia, a to - tak przynajmniej zdawało się Rammarowi - nawet dla elfa szmat czasu.

Alannah podeszła do ogromnej bramy. Jej świetlista postać wydawała się przy niej malutka. Tchnienie przeszłości zdawało się zbijać elfinię z tropu. Znieruchomiła, zamknęła oczy i rozłożyła ręce.

- A co to znowu ma być? - szepnął Rammar. - Czy te elfy nie mogą raz czegoś zrobić zwyczajnie, bez wielkich ceregieli?

- Zamknij się! - syknął Corwyn. Łowca głów nie mógł oderwać wzroku od Alannah i Rammar zastanawiał się, co sprawia, że człowiek sterczy jak słup soli i wytrzeszcza oczy: chciwość skarbu czy pożądanie elfini.

Miękkim, śpiewnym językiem elfów, na dźwięk którego każdemu orkowi jeży się sierść na karku, Alannah wypowiedziała kilka słów, jednak nie przyniosło to żadnego efektu. Elfini odezwała się głośniejszym głosem, wykonując przy tym przynaglające gesty - niestety, z tym samym rezultatem.

Wielka Brama Tirgas Lan pozostawała zamknięta.

Alannah rzuciła przez ramię swoim towarzyszom spojrzenie, wyraźnie zdradzające, że nie wie, co dalej robić. Spróbowała jeszcze raz, kładąc na bramie prawą dłoń - tym razem wywołało to pewien skutek, choć inny niż oczekiwano.

Runy elfów, wykute na ogromnym skrzydle bramy, zajaśniały nagle owym błękitnym światłem, które Rammar i Balbok widzieli już w świątyni Shakary. Gdy w wędrowcach na nowo odżyła nadzieja - światło skupiło się w piorun, który wystrzelił z kamienia i trafił Alannah.

Kapłanka krzyknęła i upadła porażona jego siłą. Oszołomiona leżała na mchu. Natychmiast znalazł się przy niej Corwyn.

- Alannah! Dobrze z tobą? - krzyknął zatroskany.

- T... tak mi się zdaje - odpowiedziała cicho, zraniona nie na ciele, lecz w swojej dumie. - Przez chwilę coś czułam...

- Co takiego?

- Tak, jakby brama się otwierała, tylko na szczelinę, i jakby ze środka ktoś patrzył. Obejrzał mnie i uznał za niegodną, tak jak przewidywałam.

- Do licha - warknął Corwyn. - I co teraz?

Alannah smutno pokręciła głową.

- Nie wiem.

- Chwileczkę - wtrącił się przekornie Balbok. - Nie damy się tak łatwo odprawić. Nie po to wlokłem się taki szmat drogi przez stopy i las, i głodowałem, żeby teraz skapitulować przed jakąś idiotyczną bramą.

- Jak na orka przemawiasz zadziwiająco rozsądnie - uznał Corwyn. - Ale co mamy teraz zrobić?

- No jak to co? - odpowiedział Balbok i burknął gniewnie:
- Oczywiście otworzyć te przeklęte drzwi!

Wściekle parszając, podszedł z toporem w dłoni do bramy, zdecydowany porąbać ją w razie potrzeby na tysiąc kawałków. Rammar trzymał się z tyłu. Nie zamierzał powstrzymać brata ogarniętego atakiem *saobb* - już lepiej niech Balboka trafi piorun niż on miałby zaznajomić się bliżej z jego toporem.

Chudy ork przyspieszył kroku i zbliżając się do bramy, pochylił głowę, chciał bowiem z ochryłym okrzykiem na ustach z całej siły rzucić topór w kamienne wrota. Przedsięwzięcie pozbawione widoków powodzenia Alannah skwitowała zmarszczeniem czoła, a Corwyn jednoznacznym gestem dłoni. Również Rammar był zdania, że jego brat trochę za długo odżywił się jagodami i małutkimi grzybkami, na skutek czego postradał i tak niewielki rozum.

- Na mroczny płomień Kurula! - ryknął Balbok i po chwili rąbnął z impetem w bramę.

Rozległ się głuchy, niski trzask, lecz brama oczywiście ani drgnęła. Ork poleciał w tył i zachwiał się oszołomiony. Jego gniew nie zdołał nic zelżeć.

- Poczekaj tylko, ty gnido! - krzyknął. - Nie dam się ośmieszyć, jeszcze cię pokonam! - Ponownie ruszył do ataku z uniesionym toporem i uderzył we wrota.

Posypały się iskry, kiedy ostre żelźce orczego topora trafiło w kamień, nie zostawiając nawet zadrapania. Balbok uderzył jeszcze raz i jeszcze. Jednak tym, co w końcu się poddało, nie była brama, ale żelźce, które z donośnym brzękiem pękło.

Ork, miotając przekleństwami, odrzucił nieprzydatne już narzędzie. Wściekle rozgniewany rzucił się z pięściami na wrota. Żałosne widowisko. Rammar pragnął je jak najszybciej zakończyć. Łowca głów i elfini mieli już i tak dostatecznie złe zdanie

o nich. Balbok nie musi jeszcze zachowywać się jak szaleniec.

- Co ty wyprawiasz, *umbalu*? - krzyknął Rammar, doskakując do brata. - Musisz koniecznie udowodniać całemu światu, że my orkowie nie potrafimy nic innego jak...

Niespodziewanie ucichł, gdyż napis na bramie ponownie błękitnie zajaśniał. By uniknąć strzelającej z niego błyskawicy, ork padł na ziemię.

Stało się jednak inaczej.

Coraz mocniejsze światło objęło całą bramę i z każdą chwilą robiło się tak jaskrawe, że czwórka wędrowców musiała osłonić oczy. Rozległ się donośny trzask i nagle pośród błękitnej poświaty powstała czarna szczelina. Szpara powiększała się i podobnie jak w świątyni, brama otworzyła się jak za dotknięciem niewidzialnej ręki. Jej ciężkie wrota, skrzypiąc i trzeszcząc, uchyliły się do środka, wskazując tym samym otwartą drogę do Ukrytego Miasta.

- Wreszcie! - krzyknął Balbok, wciąż podskakując. - Najwyższy czas!

Rammar, nie mogąc uwierzyć własnym oczom, podniósł się, i mrużąc powieki, wpatrywał się w bramę. Również Corwyn i Alannah zbliżyli się, patrząc z niedowierzaniem. Nie mogli pojąć, co się dzieje.

- T... to niemożliwe - wydyszała elfini. - Ork nie mógł otworzyć bramy Targas Lan.

Zdziwienie Alannah pomogło Rammarowi przezwyciężyć własne zaskoczenie.

- Dlaczego nie? - zawołał. - Nie spodziewałaś się tego po nas, co?

- Jak w świątyni Shakary - szepnęła Alannah, patrząc na otwarte na oścież wrota. Światłość przybladła, można było dostrzec wieże i budowle wznoszące się po drugiej stronie. - Bramę Farawyna też otworzyliście.

- Nieźle, co? - zachichotał Rammar, choć niedokładnie rozumiał, co wprawiło elfinię w takie osłupienie. Balbok otworzył bramę i co z tego? Jeśli ten *umbal* tego dokonał, to nie mogło być aż takie trudne...

Ociągając się i nie dowierzając własnym oczom, elfini i łowca głów podeszli bliżej. Oczy Corwyna błyszcząły chciwością, przyprawioną stosowną porcją zazdrości. To, że wejście do Ukrytego Miasta udało się otworzyć akurat jego odwiecznym wrogom, najwyraźniej mu się nie podobało. Natomiast Rammar był w pełni usatysfakcjonowany. Tłusty ork posunął się nawet do tego, że z uznaniem poklepał brata po ramieniu.

- Nieźle, Balbok, muszę przyznać. Choć ja oczywiście też bym to potrafił.

- Tak myślisz? - Balbok zmierzył go powątpiewającym spojrzeniem.

- Psi synu! - krzyknął rozszłoszczony grubas. - Uważasz może inaczej?

Balbok pokręcił głową.

- Dziwię się tylko, czemu tego nie zrobiłeś.

- A to właśnie cały ty. - Rammar gniewie tupnął nogą. - Daję ci fory, a ty jak zwykle narzekasz. Kiedy ty wreszcie będziesz zadowolony?

- Kiedy obejmę w posiadanie skarb Tirgas Lan - odpowiedział Corwyn, choć to nie jego pytanie.

Łowca głów i elfini podeszli bliżej, tak że cała czwórka stanęła przed bramą miasta, do którego nikt nie wchodził od stuleci. Bezpośrednio za wrotami znajdował się wielki hol, w którym niegdyś służbę sprawowała straż miejska. Po jego drugiej stronie zaczynała się szeroka aleja, widoczna przez drugą, stojącą otworem bramę. Po obu stronach ulicy stały zdobione wysokimi łukami i kolumnami budowle, których kamień szerniał tak samo jak budulec murów i wież. Za nimi, hardo i wyniośle, wznosiła

się królewska cytadela.

- Na co czekamy? - nalegał Corwyn z mieczem w dłoni.

- Tak... tak nie może być - jękała się Alannah, nadal zmieszana. - Nikt poza wybrańcami nie może otworzyć bramy Tirgas Lan. Tak mówi proroctwo.

- No cóż - nie bez dumy stwierdził Rammar - zatem widocznie jeden z nas jest wybrańcem.

Elfini zmierzyła go miazdzącym spojrzeniem i surowym głosem rzuciła:

- Ty prostacki błaznie! Co ty możesz wiedzieć? Z takich rzeczy się nie żartuje.

- Ani mi w głowie żarty - zapewnił Rammar. - Bierzmy wreszcie ten przeklęty skarb i znikajmy stąd.

- Zgadzam się w pełni - poparł go Corwyn.

- Balbok?

- Jestem gotów - zapewnił chudy ork.

- Więc w drogę - burknął Corwyn i przekroczył bramę. -

Za Marenę.

- Za prawdę - powiedziała Alannah i ruszyła za nim. Rammar i Balbok wymienili spojrzenia.

- Za nas - powiedzieli równocześnie. Potem i oni weszli do Ukrytego Miasta.

Ortmar z Rumowiska, syn Ortwina, miał zły nastrój. Te nędzne orki i łowca głów uciekli, i wyglądało na to, że elfini pomogła im w tym.

Co to mogło znaczyć, tego dowódca krasnoludów nie był w stanie pojąć. Wiedział tylko, że chce odzyskać elfinię, bo ona jedna zna drogę do skarbu - i że upiecze orków i człowieka żywcem na wolnym ogniu, kiedy tylko ich złapie.

To, że skierowali się na południe, w stronę Lasu Trowna, nie pozostawiało wątpliwości, zatem Ortmar i jego drużyna również

popłynęli w tym kierunku. W końcu natknęli się na wyciągniętą na brzeg skradzioną łódź krasnoludów. Gnani żądzą zemsty i chciwością postanowili więc zostawić też swoje łodzie i kontynuować pogoń na piechotę. Ortmar nie byłby synem starego Ortwina z Rumowiska, gdyby nie podniecała go nadzieja na skarb niezmiernie wielkości.

Na suchej ziemi stepu ledwie można było dostrzec ślady, jednak wiedząc, że celem uciekinierów był Las Trowna, krasnoludy po prostu maszerowały dalej na południe, ku ciemnozielonej wstędze, od pewnego czasu widocznej na horyzoncie.

Póki nie okazało się, że mają towarzystwo...

- Ortmar - powiedział Thalín, kroczący obok niego na czeluchoch pochodu. - Patrz tam!

Spojrzenie dowódcy krasnoludów powędrowało za palcem jego zastępcy, wskazującym na zachód. Tam, po drugiej stronie jałowej równiny rysowały się strzępiaste blanki Gór Czarnych. Tym, co wzbudziło niepokój Thalína, nie były jednak odległe szczyty, ale błyski, w mdłym świetle migocące na tle gór oraz sunąca za nimi chmura pyłu.

- Ktoś się zbliża - skomentował Thalín, choć wszyscy to widzieli.

- Nie jeden ktoś - mruknął Ortmar. - Zbliża się cała przeklęta armia!

Dowódca krasnoludów opadł na kolana i przyłożył ucho do pylistej ziemi. To, co usłyszał, sprawiło, że zadrżał, gdyż był to tupot setek nóg. Doskonale równomierny krok, jakim nadchodzili intruzi, mógł prowadzić tylko do jednego wniosku:

- Elfy - pogardliwie stwierdził Ortmar, podnosząc się z powrotem na nogi.

- Elfy? - jego zastępca znów spojrzał na zachód. Błyski, świadczące o broni i zbrojach, robiły się coraz jaśniejsze, a od kurzu odcinały się już kontury. - Ale to niemożliwe!

- Wątpisz w moje słowa? To posłuchaj sam! – warknął syn Ortwina. - Od młodości u żadnej innej armii nie słyszałem tak równego kroku. Tylko elfy, idąc dużą gromadą, poruszają się jak jedna istota.

Thalin nie chciał poddawać w wątpliwość słów Ortmara. Po pierwsze dowódca krasnoludów sływał ze swych doskonale wrażliwych zmysłów, a po drugie sprzeciwienie się mu mogłoby okazać się zbyt lekkomyślne. Zwłaszcza w takie dni jak ten, kiedy syn Ortwina był w złym nastroju.

- Do krocset! - wymamrotał dowódca krasnoludów, a niewielki fragment jego twarzy wystający spod wielkiej brody nabiegł purpurą. - Tego jeszcze brakowało. Od stuleci nie widziano w *durumin* żadnej elfiej armii. Akurat teraz musieli wrócić!

- Sądzisz, że to ma jakiś związek z uprowadzoną kapłanką? - spytał zatroskany Thalin.

- Skąd. - Ortmar skrzywił się. - Wybrali się tu tylko na przechadzkę, tak dla rozprostowania nóg. - Potem wybuchnął: - Oczywiście, że to ma związek z uprowadzoną kapłanką, głupku! Chcą ją uwolnić, żeby nikt inny nie dorwał ich skarbu. Ale kiedy syn Ortwina coś sobie upatrzy, nikt mu już tego nie odbierze!

- Co zamierzasz? Do lasu jeszcze daleko, a elfy są paskudnie szybkie. Dogonią nas, nim do niego dotrzemy.

- Nie sądzisz chyba, że będę uciekał przed garstką elfów, co? - burknął Ortmar i wbił w ziemię spiczasty kolec na końcu swego topora. Opierając się na broni, dowódca spokojnie mierzył wzrokiem zbliżający się pułk elfów.

- Co chcesz zrobić?

- No jak to co? - Ortmar szeroko wyszczerzył zęby. - Pertraktować i uzyskać to, co dla nas najlepsze, jak zwykle.

Temu planowi nie można było nic zarzucić i choć po reszcie krasnoludów wyraźnie widać było ich podenerwowanie, czekali w napięciu, co ich dowódca dla nich wytarguje. W przeszłości

nigdy nie mieli powodu do narzekań na zręczność Ortmara w negocjacjach (pomijając może pechowy handel z Murilem Ganzwarem).

Zbliżającą się armię, której równomierny krok słychać już było z daleka, poprzedzała konna straż przednia, która wkrótce dotarła do oddziału brodaczy. Wojownicy elfów wstrzymali swoje rosłe, smukłe rumaki, wyglądające nie mniej hardo i wyniośle od jeźdźców, i z nieskrywaną pogardą spojrzeli na krasnoludy.

- Kim jesteście? - zapytał Ortmara jeden z elfich wojowników. Wszyscy ubrani byli w zwiewne, białe peleryny i napierśniki z połyskliwego srebra, a ich głowy zdobiły hełmy z białymi pióropuszcami. Tylko elf, który przemawiał, miał błękitny pióropusz. Na ich lancach trzepotały proporce z Tirgas Dun. - Wytłumaczcie się, krasnoludzie, albo spotka was śmierć!

- Dlaczego mi grozicie, panie elfie? - spytał urażony Ortmar. Stojąc na czele swojej drużyny, nie pozostawiał wątpliwości, że jest dowódcą. Obaj używali języka ludzi. - Czy kraj na północ od Trowna nie należy do wszystkich ludów? I czy to nie wy sami ustanowiliście to prawo?

- Zgadza się - odparł elf - ale nadeszły mroczne dni. Ostatnimi czasy musimy być ostrożni.

- Tak samo jak my. - Krasnolud lekko się skłonił. - Mimo to mogę was zapewnić, że Ortmar z Rumowiska, syn Ortwina, nie żywi urazy do szlachetnego ludu z Tirgas Dun.

- Miło mi to słyszeć - odpowiedział nieporuszony elf. - Przekazuję wam pozdrowienie w imieniu księcia Loreta.

- Jesteście Loreto?

- Nie. Jestem dowódcą jego armii i zastępcą. Zwą mnie Ithel.

- Rzeknijcie mi zatem, zacny Ithelu, czemu księżę Loreto nie przemawia do mnie osobiście? Jestem dowódcą jak on i

pochodzę ze szlacheckiej krwi. Czy nie wypada, by równy rozmawiał z równym?

- Jam jest Loreto - powiedział ktoś, nim jeszcze dowódca armii zdążył odpowiedzieć. Szeregi jezdnych (Ortmar na chybika naliczył dwa tuziny) rozstały się i podjechał do nich młody elf, choć Ortmar wiedział, że to wrażenie może mylić. Książę równie dobrze mógł mieć pięćset lat. Pióropusz na jego hełmie też był błękitny.

- Pozdrawiam was, książę Loreto - powiedział z przesadną uprzejmością Ortmar i ponownie się skłonił. - Czy wolno mi zadać pytanie, czego tak godne zgromadzenie wojowników szuka na północ od Targas Dun?

- Pytać wolno, panie krasnoludzie - odpowiedział swobodnie elf - ale nie czekajcie na odpowiedź. Nie jestem wam winien usprawiedliwienia ani nasze sprawy was nie dotyczą.

- Oczywiście, że nie - zapewnił gorliwie Ortmar z podstępny błyskiem w oku. - Prawdopodobnie nie ma to również nic wspólnego z porwaną elfią kapłanką, którą spotkaliśmy...

Syn Ortwina z rozkoszą przyglądał się, jak pod wpływem jego słów zmieniają się rysy elfa. Najpierw twarz księcia Loreta tylko się wydłużyła, potem wybałuszył wąskie oczy.

- Wy... wy wiecie o porwaniu?

- Na to wygląda - skinął głową Ortmar.

- Skąd? - zapytał gniewnie Loreto i nie uszło uwadze krasnoluda, że towarzysze księcia elfów groźnie opuścili lance.

Ortmar mimo to pozostał swobodny.

- Skąd wiem? - spytał, przeciągając słowa. - To bardzo proste: niedawno kapłanka przebywała w moim towarzystwie.

- Była sama?

- Nie. Byli z nią dwaj orkowie i jeden człowiek, w którego niewoli się znalazła. Ten człowiek to rzeźmieszek zarabiający na życie jako płatny łowca głów. - Ortmar skrzywił się demonstacyjnie. Było powszechnie wiadomo, że dla elfów niewiele znaczą przedstawiciele tego zawodu. Nawet wówczas, jeśli wyłapują tak niewarte czci stwory jak orkowie...

- Rozumiem - spokojnie powiedział elf; wyglądało na to, że pokonał swoje początkowe zaskoczenie. - A gdzie są teraz?

- To, szlachetny panie, dość smutna historia - odparł Ortmar. - Nie jestem pewien, czy mogę ją wam opowiedzieć.

- Nie ociągajcie się i mówcie.

- Zatem dobrze - zgodził się Ortmar i po krótkiej, efektownej pauzie przedstawił elfom swoją wersję wydarzeń. - Jako że elfini znalazła się w mocy niegodziwców, zrobiłem wszystko, by ją uwolnić. W bohaterskiej walce zdołałem pokonać orków i człowieka, i wziąć trzech do niewoli. Moim zamiarem było stracić ich o brzasku następnego dnia, jak z dawien dawna jest w zwyczaju mojego ludu.

- I?

- Nie doszło do tego - przyznał markotnie krasnolud. - W nocy pojmanym udało się uciec. Ktoś musiał im pomóc. Obawiam się, że to kapłanka.

- To niemożliwe!

- Wszystko na to wskazuje. Ktoś uderzył strażników od tyłu i rozciął jeńcom więzy. Nie byliby w stanie uwolnić się własnymi siłami.

- Zatem przymuszono ją do tego!

- Kto miałby to zrobić? Trzech jeńców czekających na pewny koniec?

Książę elfów już się nie sprzeciwiał i choć Ortmar nie miał wprawy w odszyfrowywaniu zmieniającego się wyrazu bladej,

pozbawionej wszelkiej skazy twarzy elfa, to krasnolud poznał, że Loreto gryzie się tą wiadomością.

O skarbie elfów ani o tym, że wie o Ukrytym Mieście, Ortmar przewidująco nie wspominał, gdyż elf najwyraźniej również nie grał w otwarte karty.

- Ta kapłanka... - zaczął Loreto.
- Alannah - odpowiedział Ortmar.
- Znasz nawet jej imię?
- Zdradziła mi je.

Znów na twarzy elfa pojawiło się zamyślenie i troska.

- Wiecie, dokąd udali się orkowie, człowiek i kapłanka Alannah?

- Na południe, księżę Loreto. To również powód, dla którego jestem tu z moimi ludźmi. Od wielu dni idziemy śladem porywaczy. Chcemy wymierzyć im sprawiedliwość za podłe czyny, tylko nie udało nam się ich do tej pory dogonić.

- To się zmieni - pewnym siebie głosem oznajmił księżę elfów. - Pod moją chorągwią maszerują najlepsi tropiciele, najcelniejsi łucznicy i najzręczniejsi szermierze mego ludu. Uda im się to, co jest niemożliwe dla was, mianowicie dogonić porywaczy i pojmać ich.

- Zatem przyznajecie, że jesteście tu z powodu kapłanki? - zapytał Ortmar, znów z podstępym błyskiem w oczach.

- Nie muszę przed wami niczego przyznawać - oznajmił Loreto. - Ale to możliwe, że mamy ten sam cel, choć z rozmaitych pobudek. Chodzi mi tylko i wyłącznie o dobro kapłanki, wami zaś zdaje się powodować żądza zemsty.

- To prawda. Łowca głów, o którym mowa, to stary wróg, który w przeszłości srogo mi zawinił. Natomiast, żeby zabić orka, nie potrzeba jakiegoś szczególnego powodu. Ale poważnie, powiedzcie mi, wyruszyliście z taką potężną siłą bojową tylko po to, żeby chronić jakąś niewiastę? - Ortmar wskazał brodą

armię elfów, która tymczasem niemal ich dogoniła. Szybko ocenił wzrokiem jej siłę na około tysiąc wojowników.

- Mamy swoje powody, panie krasnoludzie - wymijająco odpowiedział książę elfów. - Ta informacja powinna wam wystarczyć.

Ortmar wyszczerzył zęby.

- Powinniście wiedzieć, że moglibyśmy się wam przydać w waszych poszukiwaniach.

- W jaki sposób?

- Jak już powiedziałem: znam łowcę głów i jego machiacje. A tych przeklętych orków mógłbym zwietrzyć na dziesięć mil pod wiatr. Poza tym jestem ostatnim, który rozmawiał z waszą kapłanką. Może zdradziła mi sprawy, które mogłyby być dla was interesujące.

- O czym mówicie?

- Wszystko w swoim czasie, elfi książę - postawił sprawę jasno Ortmar. - Syn Ortwina nie da się przechytryć.

- Co wam przychodzi do głowy? - Koń Loreta wyczuł gniew swego pana i nerwowo zatańczył. - Czy nie jest dla was jasne, że wystarczy mój jeden ruch palcem, a wy i wasi ludzie padniecie na ziemię naszpikowani strzałami?

- To zapewne prawda. Ale wtedy nigdy nie dowiecie się, co powiedziała kapłanka, nim wymknęła się pod osłoną nocy i mgły.

Idealne rysy Loreta drgnęły, usta zacisnął w wąską kreskę. To, że krasnolud stawia mu warunki, niezmiernie go zirytowało, ale misja, jaką miał do wypełnienia, była dla niego najważniejsza.

- Zatem cóż - stwierdził w końcu. - Chodźcie z nami, skoro chcecie. Jeśli pomożecie nam znaleźć kapłankę, otrzymacie książęcą zapłatę.

- Po księciu nie spodziewałbym się niczego innego - odpowiedział, szczerząc zęby, Ortmar. - A łowca głów?

- Możecie go mieć, jeśli tak wam na nim zależy. Kapłankę i orków bierzemy my.

- Żadnych zastrzeżeń - skłamał syn Ortwina. „A tak przy okazji - postanowił w duchu - rozejrzę się za Ukrytym Miastem. Żaden krasnolud na świecie nie zadowolili się znaleźnym, mogą zdobyć cały skarb!”

Dla Ortmara było pewne, że elfom w rzeczywistości nie chodzi o kapłankę, ale właśnie o ten skarb. Z jakiego innego powodu mieliby wysyłać całą armię? W historii, którą opowiedział mu gruby ork, coś musiało być.

- Przyłączcie się do nas! - krzyknął do krasnoludów wódz armii Ithel. - Ale ostrzegam, tempo marszu nie będzie zmniejszone dla waszych krótkich nóg.

- Bez obaw, wielki panie, jesteśmy dostatecznie szybcy - zapewnił Ortmara i puścił oko do Thalina.

Kiedy idzie o złoto i szlachetne kamienie, potomkom Gru-thiana jeszcze nigdy nie brakło zapału.

5. KORZOUL UR'BAS

Szli główną ulicą Tirgas Lan. Kiedyś panował tu ożywiony ruch, handlarze zachwalali swoje towary, a pod arkadami przechadzali się uczeni w białych togach, rozwiązując zagadki dotyczące istoty kosmosu. Z zaułków dobiegał gwar głosów i śmiechy, w studniach pluskała świeża woda, a słońce jasno świeciło.

Po tym wszystkim nie zostało ani śladu.

Po opustoszałych traktach nie błąkało się nawet żadne zwierzę. Studnie wyschły, a wysokie okna domów wyglądały jak puste oczodoły ogromnych czaszek; Rammarowi przebiegł po plecach dreszcz na myśl, że ktoś (a może coś) mógłby się czaić w ciemności i ich obserwować.

Zostawili za sobą bramę i zmierzali do królewskiej cytadeli. Stanowiła centralny punkt miasta; od niej promieniście rozchodziły się do wież ulice, w regularnych odstępach przełamujących mury miejskie. Wyraźnie zaznaczony geometryczny porządek, rozpoznawalny nawet pod obfitością bujnych pnączy, był

charakterystyczny dla stylu zabudowy elfów. Rammarowi i Balbokowi wydał się wprost okropny, gdyż orkowie z całego serca nie znosili elfiego zamięłowania do porządku. To wzmacniało jeszcze niesmak, jaki obaj bracia i tak odczuwali, odkąd weszli do Ukrytego Miasta.

Powietrze przesycone było osobliwym zapachem, wonią śmierci i zagłady, co sprawiało, że starszy ork najchętniej rzuciłby się do ucieczki. Powstrzymywały go tylko dwie rzeczy: po pierwsze nie chciał się skompromitować przed człowiekiem i elfinią, po drugie była jeszcze nadzieja na skarb, który podobno gdzieś się tu znajduje.

Z na w pół uniesioną bronią - Balbok, który roztrzaskał swój topór na kawałki, pożyczył od Corwyna łuk i strzały - mała grupka przemykała się wzdłuż poczerniałych fasad i Rammar odczuwał niejaką satysfakcję, widząc, że łowca głów nie czuje się zbyt pewnie. Z mieczem w dłoni Corwyn rzucał nerwowe spojrzenia na wszystkie strony, licząc się cały czas z możliwością ataku.

Zagrożenie wiszące w powietrzu było odczuwalne prawie fizycznie - jedynie Alannah zdawała się go nie dostrzegać.

Elfini rozglądała się zadziwiona i odkrywała wciąż nowe rzeczy, które znała z proroctwa Farawyna: tu studnię, tam bramę albo posąg, którego w zasadzie prawie już nie było widać, gdyż porastała go gruba warstwa mchu. Zbiegła kapłanka znajdowała potwierdzenie wszystkiego, w co wątpiła. Trzysta lat spędzonych w świątyni Shakary odzyskiwało teraz swój sens.

Dotarli do cytadeli wzniesionej w formie wielkiego ośmiokąta, której każdy z ośmiu rogów ozdabiała pokryta cyną wieża. Wieże te w połączeniu z tworzącą dach kamienną kopułą wyglądały jak gigantyczna korona. Brama cytadeli stała otworem i wyczekująco patrzyła na gości. Po jej drugiej stronie panowała głęboka, nienaturalna ciemność.

- Czy to nie wspaniałe? - kolejny raz spytała Alannah. - Wszystko dokładnie tak, jak opisano w księgach Farawyna!

- *Korr*, naprawdę wspaniałe - wymamrotał kwaśno Rammar. - Zastanawiam się, co się może czaić w tej ciemności. To całe miasto cuchnie śmiercią i zgnilizną.

- Myślałem, że orkowie lubią zapach śmierci i zgnilizny - dokuczył mu złośliwie Corwyn.

- Bo lubią - przyznał Rammar. - Dopóki nie idzie o MOJĄ śmierć i MOJE gnocie!

- Naprawdę, to wspaniałe! - Alannah sama odpowiedziała sobie na swoje pytanie, nie słysząc narzekania towarzyszy. - Z tej cytadeli w dawnych czasach rządzono nie tylko miastem Tirgas Lan, ale całym Królestwem Elfów. Rządy sprawowali mądrzy i sprawiedliwi władcy, a na ich dostojnych skroniach spoczywała korona elfów.

- Czy ta korona była ze złota? - zainteresował się od razu Balbok.

- A jakże - potwierdziła Alannah - do tego wysadzana najcenniejszymi szlachetnymi kamieniami. Czemu pytasz?

- No cóż, może gdzieś tu jest - powiedział, wruszając ramionami ork. - I jeszcze dlatego, że ta korona jest pewnie częścią skarbu, z powodu którego tu jesteśmy. Zgadza się?

Alannah nie odpowiedziała. Była tak zafascynowana tym miejscem, naznaczonym chwalebną przeszłością, że dobrego nastroju nie mogła jej zepsuć nawet ordynarna chciwość orka.

- To było tutaj - wzdychała raz po raz. - Dźwięczny śpiew nad połyskliwymi wodami, łagodny blask zapomnianych złotych dni. Nie czujecie? Nie widzicie, czym to miejsce kiedyś było?

Balbok pokręcił głową.

- Ja widzę tylko czarne ruiny i kupę chwastów.

- Tak - poparł go pełen goryczy Corwyn. - Wasi przodkowie nieźle się tu postarali. Bo to właśnie orkowie napadli kiedyś

na Tirgas Lan i doprowadzili je do tego stanu, to powszechnie wiadome.

- Zgadza się! - z dumą przytaknął Balbok.

- To nie byli tylko orkowie - poprawiła Alannah - również ludzie, którzy się z nimi sprzymierzyli. Dali się zwieść obietnicom Margoka, przeszli na jego stronę i pod jego ciemnym porpcem pomaszerowali na południe. Oblężenie Tirgas Lan trwało długo, aż zdradliwie otworzono Wielką Bramę. W bezprecedensowej bitwie, jakiej nigdy więcej nie było i nie będzie, moim przodkom udało się odeprzeć sfory chaosu i pokonać ich wodza. Margok nie został jednak ostatecznie pokonany; proroctwo głosi, że jego zły duch nadal pozostaje uwięziony w tych murach. To jego groźna obecność zatrważa was i napełnia poczuciem, że każdy wasz krok jest obserwowany.

- Kto tu się boi? - obruszył się Rammar. - Balbok, ty wiesz, o czym ona mówi?

- Nie mam pojęcia - oznajmił chudzielec i orkowie puścili do siebie oko.

- Tak czy inaczej - stwierdziła Alannah - musimy być ostrożni, wchodząc do cytadeli. Proroctwo Farawyna głosi, że w ciemności czyhają zło i niebezpieczeństwo.

- Proroctwo Farawyna? - zdziwił się Corwyn. - Myślałem, że już w nie nie wierzysz?

Elfini posłała mu smutne spojrzenie.

- Też tak myślałam...

Alannah nadal szła przodem. Wędrowcy minęli bramę cytadeli i przeszli pod podciągniętą ruchomą kratą, której ostrza groźnie nad nimi sterczały.

Łagodna poświata sukni elfini nie wystarczała, by rozproszyć panującą tu ciemność. Corwyn i orkowie sięgnęli więc po kilka wetkniętych w uchwyty na ścianach pochodni i zapalili je. Migotliwy blask rzucał drżące cienie.

Towarzysze ostrożnie szli dalej, przecięli hol wejściowy, którego podłoga zasłana była nieczystościami i kurzem. Zieleń puszczu nie dotarła tutaj i Rammar wątpił, czy przyczyna tego jest całkiem naturalna. Cytadela bardziej niż samo miasto zdawała się być przepelniona aurą wszechobecnego zła - złowieszczą siłą, trzymającą z dala od niej wszelkie życie.

Towarzysze dotarli do szerokich, pokrytych kurzem schodów. Orkowie, człowiek i elfini wymienili upominające spojrzenia, potem powoli ruszyli w górę, na spotkanie nieznanego.

Rammar zauważył, że włoski na jego karku nastroszyły się, a wnętrza łap zwilgotniały. Choć niechętnie się do tego przyznawał - czuł strach.

Ludzki strach...

Schody dochodziły do szerokiego, otoczonego kolumnami korytarza, w stylu przypominającego orkom świątynną twierdzę Shakary. We wnękach między kolumnami stały kamienne posągi, pokryte wprawdzie kleistą, czarną mazią, wciąż jednak pozwalające się domyślać dawnego przepychu i świetności. Czy powodem był strach Rammara, czy też faktycznie poczuł nagłą potrzebę - w każdym razie grubego orka opanowała nagle przemożna ochota ulżenia sobie. I z przyzwyczajenia podszedł do jednego z pomników, zamierzając - w pełnym tego słowa znaczeniu - olać wzniosłe elfie dziedzictwo.

Rammar stanął w szerokim rozkroku i już miał wypuścić z siebie obfity strumień, gdy nagle poczuł między nogami naga stal.

- Jeśli to zrobisz, orku - syknął ostry głos - ja już zadbam o to, że wycieknie z ciebie wszystko jak z rozbitego dzbana.

Rammar chrząknął przestraszony i odwrócił głowę, by spojrzeć wprost w strzelające iskrami oczy Alannah. Elfini trzymała

w dłoni sztylet Corwyna, a ostrze było niebezpiecznie blisko najważniejszej części ciała Rammara.

- C... co ty? - wyjąkał, pokazując zęby w niewinnym uśmiechu. - Czy elfy w ogóle nie znają się na żartach?

- Nie, kiedy idzie o bluźnierstwo - upomniała go. - Ci, którzy zostali tu uwiecznieni, żyli już wówczas, kiedy twojej rasy nie było jeszcze na świecie, a kiedy wykuwano ich postacie w kamieniu, tacy jak ty taplali się jeszcze w cuchnącym bagnie. Z odrobiną szacunku byłoby bardziej do twarzy, nawet tak szkaradnej gębie jak twoja.

- Cokolwiek byś nie powiedziała, elfini - odpowiedział onieśmielony Rammar - ty masz bardziej przemawiający argument.

- Właśnie tak - potwierdziła Alannah. Jeszcze raz spojrzała na niego gniewnie, potem opuściła klingę i odwróciła się.

- Co jej jest? - spytał zdziwiony Balbok.

- A skąd mam wiedzieć? - parsknął Rammar, któremu nadal drżały kolana. - Te elfie baby są nieobliczalne. Nie zardroszczę łowcy głów.

- Ja też nie. - Balbok w zamyśleniu skinął głową. - Gdybym tylko wiedział, co ona ma przeciw taplaniu się w cuchnącym błocie...

Orkowie przyspieszyli kroku, by dołączyć do pozostałych. Corwyn dotarł już do końca korytarza, gdzie drogę zagradała ogromna brama. Podobnie jak figury, była ona pokryta kleistą, czarną masą, połyskującą obrzydliwie w świetle pochodni. Corwyn nakłął ją czubkiem miecza.

- To jest miękkie - stwierdził, ale nie odważył się dotknąć ręką. - Co to może być?

- Nie wiem - odpowiedziała Alannah. - Może odpowiedź znajduje się za tą bramą.

- W takim razie powinniśmy zaraz sprawdzić - stwierdził młodszy ork. - Tam u góry jest zasuwa. Gdybym się wspiał, powinienem móc ją otworzyć.

- Pytanie brzmi tylko - szepnęła Alannah - czy warto?

- *Karsok?* - zapytał Rammar.

- Bo ta zasuwa tam u góry na pewno czemuś służy - wyjaśniła elfini - i ponieważ te drzwi nie są zamknięte od wewnątrz, ale od zewnątrz.

- Myślisz?... - wywnioskował Corwyn.

Skinęła głową.

- Myślę, że brama nie jest tu po to, by zagradzać drogę intruzom, ale by coś powstrzymać od wyjścia. Coś albo kogoś.

- Chwileczkę! - wtrącił Rammar, czując na plecach mrowienie. - Tylko tak, dla jasności. Czy mówimy może o Margo-ku?

- O jego duchu - odpowiedziała Alannah. - W swoim czasie spalono już jego ciało i zły duch nie może się w nim schronić.

- W takim razie ten duch musi być dość potężny - stwierdził Balbok, obejmując wzrokiem bramę, potężną na dzie-sięć wysokości człowieka i szeroką na pięć.

- Tak - powiedziała tylko Alannah, a ton jej głosu nie spodobał się tak naprawdę żadnemu z towarzyszy.

- Czy jest inna droga do środka? - zagadnął Corwyn.

- Tam dalej też są schody - stwierdził Rammar, który zdążył się już rozejrzeć.

- Spróbujmy szczęścia - zaproponowała Alannah.

Zmierzyli niesamowitą bramę jeszcze ostatnim nieufnym spojrzeniem, potem odwrócili się i poszli w górę spiralnymi schodami. Im wyżej wchodzili, tym stopnie robiły się węższe. Głównie tłuścioch znalazł się w kłopotcie. Cicho mamrocząc pod nosem, wspinał się coraz wyżej, a myśl, że mógłby utknąć tu

między czarnymi murami, nic a nic mu się nie podobała.

W końcu musiał zacisnąć zęby i wciągnąć brzuch najmocniej, jak się dało - i niczym wyskakujący z butelki korek wypadł z drzwi na końcu schodów wprost na Balboka, który sobie za nimi po prostu przystanął.

- *Darr malash!* Nie widzisz, że idę zaraz za tobą? Musisz mi zawsze zagradzać?...

Przerwał lament, widząc, gdzie się znaleźli. Była to obszerna sala o niskim, wspartym na licznych kolumnach suficie. W krótszej ścianie znajdowały się niewielkie drzwi, zamknięte metalowymi płytami. Nie były zardzewiałe ani nie nosiły innych oznak starości, matowo migotały w świetle pochodni.

- Bramy skarbcza - szepnęła Alannah.

- Jesteś pewna? - spytał zachwycony Corwyn.

- Tak w każdym razie nazwane są w księgach Farawyna.

- Wspaniale. - Łowca głów skrzywił się. - I znów nie ma żadnej zasuwy ani skobla do otwierania drzwi. - Dalej, na co czekacie? - zwrócił się do orków. - Teraz możecie dowieść, czy jesteście wybrańcami czy nie.

- A co to ma znaczyć? - syknęła Alannah. - Ty przecież chyba nie myślisz poważnie, że...

- To, co myślę, to jedno. Faktem jest, że tym poczwarom udało się otworzyć Wielką Bramę. Czy to przeznaczenie dało im tę moc, czy po prostu mieli więcej szczęścia niż rozumu, tego nie wiem. Ale chcę zobaczyć, co znajduje się za tymi drzwiami.

Rammar i Balbok porozumieli się szybkim spojrzeniem, potem razem podeszli do środkowych wrót. Rammar, nie spiesząc się, rozkoszował się myślą, że człowiek i elfini są na nich zdani. Teatralnie rozłożył ramiona i wymamrotał w języku orków kilka słów bez związku, które wprawdzie nie miały sensu, dodały jednak całej sprawie powagi.

Bracia przyłożyli jednocześnie łapy do bramy - i rzeczywiście, błękitne światło zajaśniało i poświata otoczyła zarówno metal, jak i obu orków!

- To niemożliwe! - krzyknęła Alannah, w jej głosie sły-
chać było mieszankę przerażenia i kompletnego zdziwienia.

Taka jednak była prawda. Trzeszcząc głośno, na dowód, że od wieków ich nie otwierano, opancerzone płyty wsunęły się w sufit. Rammar był najmniejszym członkiem dziwacznej grupy i on pierwszy zobaczył, co znajduje się po drugiej stronie bramy. Wydał ochryply okrzyk.

- *Oir!* - głośno mu się wyrwało. - *Orchgoid! Smar-
chg'hai!*

Nim Corwyn czy ktokolwiek inny zdołał coś przedsięwziąć, gruby ork już przemknął pod otwierającą się bramą na drugą stronę, gdzie dobiegły go jeszcze głośniejsze krzyki podnieconych współtowarzyszy.

Balbok przygarbił się i poszedł za nim, również elfini i łowca głów prześliznęli się pod bramą, gdy tylko otwór był dla nich wystarczająco duży. To, co czekało na nich po tamtej stronie, przekraczało najśmielsze wyobrażenia.

Znaleźli się na kamiennej platformie z balustradą, za którą znajdowała się ogromna sala z półokrągłą kopułą - tak potężną, że światło pochodni nie docierało do przeciwległej ściany. Na podłodze - wędrowcy nie wierzyli własnym oczom - piętrzyły się, migocąc w świetle, łuczywa, góry złota, srebra, kamieni szlachetnych i biżuterii. Skarby Królestwa Elfów leżały u ich stóp. Oprócz złotych kufrów wypełnionych po brzegi szmaragdami i diamentami, piętrzyły się zbroje i hełmy z czystego srebra, błyszczącego w żółtym blasku pochodni, wspaniałe kute topory i miecze o rękojeściach wysadzanych szlachetnymi kamieniami oraz wóz bojowy z czystego złota, ze srebrnymi kołami, a także złote posągi i popiersia. A jakby tego było mało - kunsztownie kute ozdoby, wazy, puchary, talerze...

Wszystko to tonęło w niezmiernie głębokim morzu monet najrozmaitszych walut i epok; były wśród nich także talary krasnoludów pochodzące z danin, jakie mieszkańcy Gór Ostrych składali niegdyś królowi elfów. Wzrok Rammara najbardziej jednak przykuła złota korona, wysadzana kosztownościami. Wisiała nad szczytem centralnej góry skarbów, nie trzymana niczym prócz wiązki błękitnego światła, wpadającego do sali przez otwór w najwyższym punkcie sklepienia.

- Korona Sigwyna! - szepnęła Alannah. - Czeka tu na wybrańca. A więc to prawda. To wszystko prawda...

- Nie do wiary... - skomentował Corwyn ochryłym głosem. - Dlaczego, do króset, elfy nie zabrały tych skarbów, odchodząc z Tirgas Lan?

- Bo te kosztowności są zbroczone krwią - odpowiedziała cicho Alannah, jeszcze bardziej pobladła. Powoli docierało do niej, że zdradziła nie tylko tajemnicę, której dochowanie było jej przeznaczeniem, sprzeniewierzyła również ostatnie trzysta lat swego życia. - Moi przodkowie doszli do przekonania, że posiadanie złota i srebra psuje śmiertelników. Nie zależało im na bogactwach.

Corwyn łypnął na nią okiem i jego barczysta postać drgnęła.

- Im może nie - parsknął. - Ale mnie na pewno! - I nim Alannah zdołała coś odpowiedzieć, przekroczył przez balustradę i skoczył w morze kosztowności.

- Nie, Corwynie! - krzyknęła przerażona. - Nie rób tego! Ten skarb jest przeklęty, nie przyniesie ci szczęścia!

- O tym powinnaś była pomyśleć, nim nas tu przyprowadziłaś - odpowiedział chłodno najemnik. Chciwy blask w jego oczach zapłonął ognistym płomieniem.

- Co ja zrobiłam? - szepnęła drżącym głosem kapłanka, by w następnej chwili usłyszeć śmiech orków.

- To do was elfów podobne - kpił Rammar. – Najpierw paplać, a potem odgrywać skruchę! Ale już za późno, elfia babo. Co zrobiłaś, to zrobiłaś. Masz teraz swoją prawdę, a my mamy skarb.

I z tymi słowami bracia również przeskoczyli przez balustradę, by po chwili na chwiejnych nogach wylądować na niezliczonych kosztownościach. Gruby ork, rechocząc, skakał jak oszalały, wyciągnął wysadzany szlachetnymi kamieniami miecz, żonglował szmaragdami wielkości pięści i kąpał się w złotych monetach. Jego radość udzieliła się też Balbokowi. Natomiast kapłanka bliska była załamania, ale to nikogo nie obchodziło w tym momencie.

- Co ja zrobiłam? - szeptała raz po raz Alannah. - Co ja zrobiłam...?

Corwyna ledwie dało się rozpoznać. Balbok stał, szczerząc zęby i pożądliwie błyskając oczami, a Rammar zachowywał się, jakby kompletnie postradał zmysły. W kilka chwil skarb pozbawił ich wszystkich rozumu, myśleli tylko o tym, by go zagarnąć dla siebie.

- Patrz na to, Balbok! - krzyknął Rammar, rzucając w powietrze garść monet i pozwalając, by jak deszcz spadały na jego głowę i ramiona. - Kto nas zapyta o łeb Girgasa, jeśli przynieśliemy do *balboug* takie skarby? Graishak będzie przed nami pełzał i błagał o łaskę, jeśli...

Gruby ork przerwał nagle, gdy jego wzrok ponownie spoczął na wiszącej w smudze błękitnego światła koronie. Nic dotąd nie wzbudziło w nim większego pożądania aniżeli ona. Musiał ją zdobyć!

Z szaleństwem w oczach zaczął wspinać się na środkową górę złota, nad którą unosiła się korona. Nie było to proste, stale ześlizgiwał się po złotych monetach, kielichach, talerzach i ozdobach. Musiał wspinać się na czworakach.

Ani Corwyn, napychający sobie kieszenie pieniędzmi, ani Balbok, który zawiesiwszy łuk na ramieniu, ozdobił paluchy złotymi pierścieniami, nie zwracali na niego uwagi - jedynie Alannah zobaczyła, jaka godzina wybiła.

- NIEEEEE! - krzyknęła w przypiływie przerażenia. - Nie to! Nie koronę elfów!

- Czemu nie? - odkrzyknął Rammar i roześmiał się gderliwie. - Zawsze marzyłem o koronie. Jestem pewien, że będzie mi w niej do pyska.

- Tylko wybrańiec może sięgnąć po koronę! - wołała Alannah załamującym się głosem. - Kto jej dotknie, nie będąc do tego wyznaczonym, na tego padnie klątwa Tirgas Lan!

- Ha! - wrzasnął Rammar i pokręcił głową. - Już się ciebie boję, elfini! Co tam bajasz o losie i wybrańcach? Zapomniałaś, że to ja zdołałem otworzyć bramy? JA jestem wybrańcem!

Krzycząc na całe gardło, wspiął się na szczyt góry skarbów i wyciągnął krótkie paluchy po koronę. Nie mogąc jej dosięgnąć, postanowił przyciągnąć ją *saparakiem*. Wreszcie jednak chwycił ją w łapy i tryumfująco uniósł nad głową.

- Nie! - jęknęła zrozpaczona Alannah.

- Mam ją! - krzyknął głośno Rammar, szyderczo śmiejąc się. - Patrzcie wszyscy, jestem królem elfów. Od teraz wszyscy musicie drzeć przede mną, gdyż Rammar Gniewny będzie największym postrachem spośród władców!

Z tymi słowami nałożył sobie na głowę koronę elfów, która ostatnio zdobyła osnutą chmurą trosk skroń Farawyna Mądrego.

- Zbrodnia! - zawołała Alannah i w jej elfim głosie nie było już słychać żadnej łagodności. - Poczwara nosi ozdobę królestwa elfów!

- Nieźle, co? - Rammar głośno się zaśmiał. - A wiesz, co w tym jest najlepsze, elfia babo? To ty jesteś temu winna, bez

twojej pomocy nigdy byśmy nie znaleźli tego miejsca!

Przeraźliwy krzyk Alannah przeszedł w szloch, gdyż dobrze wiedziała, że ork ma rację.

Nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie uległa swemu niezmiernemu egoizmowi, gdyby nie zdradziła wszystkiego, co do tej pory w jej życiu było ważne, i to tylko po to, żeby zaspokoić niepohamowaną żądzę przygód i dziecinną ciekawość. Dlaczego opuściła Świątynię Shakary? Dlaczego, na dawnych elfich królów, pomogła orkom w ucieczce? Cóż to za siła pchała ją do zbadania źródeł legendy Tirgas Lan? Powinna była się jej przeciwstawić i dalej strzec tajemnicy Ukrytego Miasta, jak to robiła od trzystu lat.

Z jakiego powodu zwątpiła w słuszność przepowiedni? Wszystko okazało się prawdą, było dokładnie tak, jak opisano w księgach. Farawyn głosił prawdę. Jednak w swoim zadufaniu Alannah dopuściła się zdrady, a zrozumiała to dopiero, gdy zobaczyła koronę elfich królów na skroniach wstrętnego orka.

Ta haniebna zbrodnia nie pozostała jednak bez kary.

Rammar nadal skakał po szczycie złotej góry, gwałtownie gestykulując, kiedy nagle rozległ się rumor, zdający się dobiegać z głębi ziemi. Skarbiec zadrżał i tłuścioch stracił równowagę. Przestraszony krzyknął i z głośnym piskiem stoczył się z góry złota. Wreszcie zatrzymał się wśród monet i biżuterii, między dwiema złotymi figurami bożków, które dawno temu złożone zostały elfom w daninie przez przedstawicieli rasy, która lata temu wyginęła. Zgubił koronę.

- C... co to było? - spytał zmieszany.

- Klątwa - odpowiedziała Alannah. Wszyscy tak nagle się uciszyli, że choć mówiła cicho, jej słowa odbijały się echem od sklepienia komnaty. Corwyn i Balbok patrzyli zbici z tropu.

- Jaka klątwa? - wychrypiał Rammar.

- Zbrodnicze ręce sięgną po koronę Sigwyna. Taka niegodziwość nie może ująć bezkarnie.

Jakby na potwierdzenie słów elfini skarbiec ponownie się zatrząsł. Tym razem siła wstrząsu była o wiele mocniejsza. Rozległo się też prychanie i parskanie, które zdawało się dobiegać z najgłębszych głębin i sprawiło, że niespodziewanie w zapomnienie poszły wszelkie bogactwa.

- Co się dzieje? - dopytywał się Corwyn.

- Coś się obudziło - odpowiedziała Alannah drżącym głosem. - Coś ciemnego, straszego, co lepiej byłoby, gdyby spało dalej. - Potem krzyknęła: - Jeśli wam życie miłe, uchodźcie!

- Co? Mam uciekać? - zawołał łowca głów. - Ale jeszcze nawet nie napełniłem sobie kieszeni i...

- Zostań i zgiń! Albo uciekaj i przeżyj! - krzyknęła elfini. - Taki masz wybór, błaznie!

Przez moment najemnik i orkowie stali niezdecydowani, patrząc na siebie. Potem jednak Rammar mrugnął do brata - i natychmiast byli zgodni co do tego, jak należy postąpić: już kiedy u podnóża Gór Ostrych łowca głów pędził ich związanych plecami, bracia przyjęli pewien plan, teraz zaś nadszedł czas, by wcielić go w czyn!

Rammar uniósł *saparak*, a Balbok, który obwiesił się tuzinem okazałych sznurów pereł, zdobionymi w złote pierścienie, paluchami sięgnął po łuk. I nim Corwyn się obejrzał, już celowały w niego ostrze orczej dzidy i strzała.

- C... co to ma znaczyć? - wyjąkał.

- A co? - wyszczerzył w odpowiedzi zęby Rammar. - Naprawdę myślałeś, że podzielimy się z tobą skarbem? Jesteśmy orkami, a orkowie nie dzielą się tym, co mogą mieć w całości dla siebie.

Corwyn oburzony wpatrywał się w Rammara.

- Nie słyszeliście, co powiedziała Alannah? Tam, w głębi coś się obudziło, musimy uciekać; jeśli nie, zginiemy.

- Ha! - wrzasnął Rammar, a jego nabiegłe krwią oczy nadal płonęły chciwością. - Nie damy się nabrać na taką bzdurę. Wiem przecież, co elfini i ty szeptaliście za naszymi plecami!

- Do licha, orku! - krzyknął ochrypłym głosem Corwyn. - Co ty bredzisz?

- Balbok i ja przez cały czas wiedzieliśmy, że spróbujecie nas wykiwać. Ale wy nie liczyliście się z naszym sprytem i teraz to się na was zemści. Dalej, Balbok, poślij temu typowi jego własną strzałę!

- Zbrodnia! Zbrodnia! - wołała z platformy Alannah, zupełnie odchodząc od zmysłów. - Uciekajcie, błazny, albo dosięgnie was kłątwa Tirgas Lan. Strażnik się obudził!

- Jaki strażnik? - Rammar oślepiiony chciwością prychnął pogardliwie. - Myślisz, że takie tam rumorki i pojękiwania mogą zrobić na mnie wrażenie? Rammar Gniewny kpił z ghuli i berserków, na pewno nie da się zastraszyć marnym elfim czarom. Dalej, teraz, Balbok!

- *Korr* - poparł go brat, naciągnął ciężką łuk i wycelował w pierś najemnika.

- Nędzni zdrajcy! - wybuchnął Corwyn. - Żałosne gnojki! Alannah powinna była zostawić was krasnoludom!

- A powinna - potwierdził Rammar - ale teraz za późno na takie rozważania. Jeśli tu ktoś zostanie, to będziesz to ty, ty nędzny *umba*...

Przerwał w pół słowa, kiedy nagle coś przeleciało przed jego pyskiem i zatrzymało się dwa kroki od niego, wbite między złote monety i ozdoby.

Była to strzała - Rammar od razu poznał, że to strzała gnomów!

Gruby ork odwrócił się, chrząkając niepewnie i stwierdził, że Alannah ma towarzystwo. Niepostrzeżenie dla orków i łowcy głów na kamiennej platformie pojawiło się pół tuzina gnomów. Grozili elfini dzidami i wrogo spoglądali na braci i łowcę głów.

Gdyby Rammar potrafił rozróżnić ich pyski, to może ten czy ów wydałby mu się znajomy - on jednak widział tylko wyszczerzone zęby i zaropiałe, żółte oczy, i słyszał pełne nienawiści chrząkanie zielonego pomiotu.

- Pułapka! - krzyknął przerażony Corwyn.

Balbok też się bardzo zdenerwował.

- Gnomy! - wrzasnął z obrzydzeniem, zapominając całkiem o postaniu strzały w pierś najemnika. - Skąd się nagle wzięły?

- Obojętne - warknął Rammar i uniósł *saparak*. - O wiele ważniejsze, dokąd odejdą. Bo odejdą do mrocznej jamy Kurula! Dalej, Balbok!

Tym razem chudy ork nie zwlekał - jego strzała wyskoczyła z cięciwy i wwierciła się w krtań gнома, który gulgocąc, przeleciał przez balustradę i skończył na złocie.

Jego współplemieńcy, wściekle rycząc, pokonali kamienną poręcz, by rzucić się na wrogów. Rammar i Balbok spokojnie oczekiwali ich ataku, również Corwyn dobył miecza.

- Znikaj, łowco głów! - krzyknął do niego Rammar. - Nie potrzebujemy twojej pomocy, żeby uporać się z kilkoma żałosnymi gnomami!

W tej chwili z przedsionka skarbcza dobiegł donośny okrzyk i na platformę wcisnęły się jeszcze dobre dwa tuziny gnomów.

Wtedy Rammar zmienił zdanie.

- No dobra, człowieku. Możesz zostać. Ale tylko dlatego, że jestem dziś w dobrym humorze...

Pierwsze gnomy już do nich dobiegły i ork dźgnął samara/ciem, wbijając pierwszemu napastnikowi czubek broni w krtań. Kaskada zielonej krwi trysnęła z rany i zalała złoto elfów. Drugi gnom obnażył przednie zęby, kiedy Rammar drzewcem dzidy trafił wroga prosto w twarz. Zaraz wbił mu *saparak* w brzuch, by uciszyć jego wstrętny charkot.

Balbok tymczasem wypuścił z cięciwy dwie strzały, dosięgając dwóch gnomów, nim jeszcze do niego dobiegli. Corwyn za to używał swojego półtoraka; ciężka klinga ze świstem cięła powietrze, rozcinając jednego z napastników na pół. Cienkie nogi gнома zatoczyły się jeszcze kilka kroków, jakby nie zauważyły, jaki niesławny koniec spotkał ich właściciela, potem upadły.

- Czekajcie, zielonogęba bando! - ryknął łowca głów. - Ważyliście się napaść na kapłankę elfów! Gorzko tego po żałujecie!

By dodać swoim słowom mocy, od razu ściął kolejnego napastnika, którego łeb odpadł z chrzęstem od tułowia. Corwyn wykonał jeszcze trzy ciosy mieczem i dotarł do kamiennego podestu. Podciągnął się na balustradę, nie zważając na klujące go z góry miecze i dzidy.

Balbok posłał za barierkę pół tuzina strzał i tyle samo trafionych gnomów padło na ziemię. Ponieważ kołczan na jego plecach był już pusty, odrzucił łuk i bez namysłu chwycił ze stosu kosztowności złoty topór. Był kunsztownie zdobiony, wysadzany szlachetnymi kamieniami, ork jednak zamachnął się nim jak ciężkim toporem bojowym, wydając przy tym dziki, nieokrzesany ryk.

Broń elfów była może lżejsza od orczej, a jej żeleźce nawet w przybliżeniu nie tak ostre - ale kiedy wielki ork staje do walki z sięgającym mu do pasa gnomem, ostrość broni nie gra zbyt dużej roli. Połyskujące szlachetnymi kamieniami żeleźce topora opadło i który z gnomów nie zdołał dość szybko uskoczyć, padał na ziemię z roztrzaskaną głową.

- Dalej, bracie! - zakrzyknął Rammar. - Łowca głów i elfi ni nie mogą nam uciec!

- Dlaczego? - spytał Balbok w ogniu walki.

- Głupie pytanie. W końcu ktoś musi pomóc nam dźwigać skarb! - Rammar bezczelnie wyszczerzył zęby i obaj runęli w kierunku platformy. Dwa stojące im na drodze gnomy padły

stratowane, co przy ciężarze Rammara okazało się dla zielonogębych śmiertelne.

Orkowie dotarli do celu. Grubas, przebierając nogami, podciągnął się na balustradę, a Balbok pokonał ją długim skokiem. Przywitały go tam dzidy gnomów, ale potężny cios topora zmiotł wszystkich, co do jednego. Chudy ork uprzętał na podeście gnomi pomiot, a Corwyn dzielnie mu w tym asystował. Trudno byłoby uwierzyć, że przed chwilą ork i łowca głów stali naprzeciw siebie z obnażoną bronią.

Zjednoczonymi siłami położyli wrogów, zanim Rammar znalazł się po drugiej stronie galerii (dał sobie bowiem na to nieco więcej czasu niż w rzeczywistości potrzebował). Zielona krew zalewała kamienną platformę, podłoga usłana była ciałami zabitych wrogów i zasypana kawałkami odrąbanych kończyn. W środku tego bałaganu stały dwa ostatnie gnomy.

Sycząc nienawistnie, wycelowały broń wprost w Alannah. Czubki ich dzid były nasączone trucizną; starczyłoby zadrapanie, by nawet na elfa momentalnie sprowadzić śmierć. Trucizna znajdowała się niebezpiecznie blisko szyi kapłanki.

- Ostrożnie! - zawołał Corwyn do orków, kiedy ci chcieli rzucić się na ostatnich wrogów. - Jeśli zaatakujemy, zabiją Alannah!

- I co z tego? - wykrztusił Rammar, dysząc nie od żądy krwi, ale od wspinaczki na balustradę. - Lepiej elfinię niż mnie!

- Przekłęta gnida! - rozwścieczył się Corwyn. - Uratowała ci życie, a ty chcesz ją po prostu poświęcić?

- Ja też jej uratowałem życie - odparł Rammar. - Jesteśmy kwita!

- To nie daje ci prawa narażać ją na śmierć!

- A ty mi nie będziesz mówił, co mam robić, młeczno-gęby!

- Jeszcze to odpokutujesz!
- A ty jeszcze bardziej, ty...

Zaskoczone gnomy patrzyły raz na jednego, raz na drugiego. Widać było po nich, że w każdej chwili mogą stracić cierpliwość i po prostu zaatakować, nim sami runą w ciemną otchłań Kurula.

- Powiedzcie no, koguty! - Alannah zwróciła się do swoich rzekomych wybawicieli, wywołując jeszcze większe osłupienie gnomów. - Nie sądzicie, że ja też mam tu coś do powiedzenia?

Orkowie i łowca głów przerwali kłótnię.

- A co tu jest do dodania? - spytał zaskoczony Corwyn.

Rammar i Balbok poparli go skinieniem głowy.

- Cóż, na przykład pojawia się pytanie, czy dwa marne gnomy w ogóle są w stanie zagrozić kapłance elfów - odpowiedziała rezolutnie Alannah, a w następnej chwili zdarzyło się coś, czego nikt się nie spodziewał, a najmniej dwóch gnomich wojowników.

Z wnętrza dłoni elfini trysnęło nagle błękitne światło, tak jasne, że na moment oślepiło wszystkich obecnych. Tę chwilę wykorzystała Alannah, by błyskawicznie obrócić się wokół własnej osi, i kiedy światło zniknęło, oba gnomy w drgawkach konały już na ziemi.

- C... co to? - zapytał zdziwiony Corwyn.

Alannah uśmiechnęła się do niego.

- Nasi przyjaciele orkowie nazwaliby to elfimi czarami.

- *Korr* - zgodził się zachwycony Rammar. - Pierwszy raz widzę, że wasz czar się na coś przydał. Możesz mnie tego przy okazji nauczyć?

- Nie będzie na to czasu, orku - warknął Corwyn, stając przy Alannah. - Teraz jest nas dwoje i nie uda się wam podstępnie nas zarząć. Coś mi się zdaje, że mamy do wyrównania rachunek!

- W istocie, łowco głów! - odparł ochryply, straszny głos, od którego wszyscy czworo zadrżeli, a Rammarowi i Balbokowi wydał się jakby znajomy.

Ku zaskoczeniu wszystkich na platformie zrobiło się jeszcze tłoczniej. Tym razem jednak to nie gnomy wciskały się z przedziona skarbcza. Przybywali orkowie - i to nie jacyś tam orkowie.

Rammar i Balbok rozpoznawali niektóre z żółtookich, długonosych, szczerzących zęby i często zniekształconych bronią wroga pysków. Byli to - jakkolwiek trudno w to uwierzyć - orkowie z ich wioski, z obnażonymi mieczami i toporami.

Komandem dowodził - Rammar i Balbok nie dowierzali własnym oczom - nikt inny jak Graishak, wódz ich *balboug* Metalowa płytką na jego czaszce połyskiwała w blasku pochodni...

- *Achgosh douk* - pozdrowił ich szyderczo Graishak.

- *A'achgosh douk kudashd* - wyjąkali w odpowiedzi.

- Jesteście zaskoczeni? - spytał Graishak, najwyraźniej rozkoszując się efektem, jaki wywołał swoim wejściem.

- T... trochę - przyznał Rammar, choć było to ewidentne niedopowiedzenie. Trafić w tym miejscu na Graishaka równało się mniej więcej temu, jakby osobiście spotkać Kurula.

- To mnie nie dziwi. Tak myślałem, że nie przejrzycie tego planu, tacy jesteście głupi i naiwni.

- Głupi i...? - Rozum Rammara fikał koziołki, gdy jego właściciel próbował choć w przybliżeniu pojąć, czego Graishak szuka w Tirgas Lan i jak on i jego wojownicy znaleźli Ukryte Miasto. O co, na wszystkie robaki we flakach Torgasa, tu chodzi? Tylko jedno było dla Rammara jasne: on i jego brat tkwią po szyję w *shnorsh*...

- M... mogę ci wszystko wytłumaczyć, Graishak - wyjąkał.

- Właściwie... cóż, prawie już mieliśmy łeb Girgasa, ale wtedy zjawił się ten mag, i musieliśmy uporać się z barbarzyńcami i

elfami, a potem Balbok był jeszcze taki głupi, że wszystko wygadał krasnoludom i... i... to wszystko to tylko jego wina, bez niego dawno już bym wrócił do *balboug* i miałbym łeb wodza...

- Łeb Girgasa? - Graishak parsknął pogardliwie. - Naprawdę sądzisz, że dlatego tu jestem? Że odbyłem całą tę daleką podróż z powodu odrąbanego łba jakiegoś *umbala*, który był za głupi, żeby upilnować własną głowę?

- Cóż... tak - odpowiedział niepewnie Rammar. Balbok tylko stał z nieszczęśliwą miną. - Myślałem, że jeśli nie wrócimy do pełni Posokowego Księżyca, wyślesz za nami *faihok'hai*, żeby przynieśli ci NASZE głowy...

- *Faihok'hai* to moi najlepsi wojownicy, śmierdzieliu - burknął Graishak. - Mają ważniejsze sprawy niż gonić dwóch *umbal'hai*, którzy nawet nie znają kalendarza orków. Gdybym chciał was zabić, dawno już bym to zrobił. Ale los miał wobec was inne zamiary. W tej sprawie chodzi o więcej niż tylko o wasze głupie czaszki. Prawda, mistrzu?

- Tak jest! - zabrzmiała odpowiedź, zaś głos, który ją wypowiedział, wydał się Rammarowi i Balbokowi nieprzyjemnie znajomy.

Szeregi orków rozstały się i ku niezmiernemu zdumieniu braci pojawił się ktoś, kogo ci dwaj najmniej się tu spodziewali.

Rurak Rzeźnik.

Mag, który wysłał ich w pełną niebezpieczeństw misję do Świątyni Shakary i któremu się sprzeniewierzyli. Mieli po temu słuszny powód, tak przynajmniej uważał Rammar, wątpił jednak, czy Rurak okaże zrozumienie.

Mag ubrany w czarną szatę zdawał się unosić nad kamienną podłogą, sunął, mijając szeregi orków z czarodziejską różdżką w przypominającej łapę dłoni. Brodata twarz pod kapturem była chuda i koścista jak u umarłego, spojrzenie oczu zimne i ostre.

Orkowie wzdrgnęli się z obrzydzenia. Rammar poczuł nagle, że powinien stąd natychmiast uciec. Niech sobie Balbok radzi sam. Ale ponieważ *faihok'hai* otoczyli ich, więc każda próba ucieczki skazana była na niepowodzenie. Rammar nie mógł zrobić nic innego jak czekać, rozpaczliwie szukając w mrocznych zakamarkach swego orczego rozumu odpowiedzi na nurtujące go pytania:

Jak to możliwe?

Skąd nagle wzięli się Graishak i Rurak?

I jak, na trzewia Torgasa, trafili do Ukrytego Miasta?

Jakkolwiek by się nie wysiłał, Rammar po prostu nie miał pojęcia, jak to wszystko poskładać w całość. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości: nic nie było takie, jak sądzili bracia...

6. *R'DHRUURZ TULL*

Zatem spotykamy się znowu, naiwni przyjaciele - powiedział czarodziej głębokim jak otchłań głosem, przyprawiającym o drżenie nawet orków, i pogładził łapą swoją długą, siwą brodę. - Później niż było mówione i w zupełnie innym miejscu.

- M... mogę wszystko wyjaśnić - szybko zapewnił Rammar. - Zrobiliśmy wszystko dokładnie tak, jak nam polecono, wielki magu. Wąwozami poszliśmy na północ, przebyliśmy bagna i przedostaliśmy się przez Północny Wał, a może raczej pod nim. To wszystko nie było łatwe, możecie mi wierzyć.

- I? - spytał niewzruszony Rurak.

W gardle Rammara utworzyła się duża klucha, aż musiał odchrząknąć.

- Cóż - kontynuował - za Północnym Wałem po bohaterkiej walce porwaliśmy lodowy żaglowiec, którym dotarliśmy do Shakary. I wyobraźcie sobie, potężny czarodzieju: mapa Shakary tak naprawdę nie istnieje, jest tylko w głowie tej elfini. - Rammar

wskazał Alannah, która do tej pory nie wypowiedziała ani jednego słowa, tylko patrzyła chłodno na Ruraka.

- Wiem - powiedział mag.

- W... wy wiecie? - wyjąkał Rammar. - Cz... czy to znaczy, że... że wiedzieliście od początku?

- Oczywiście, naiwny fagasio.

- Ale... dlaczego nam nie...? To znaczy, mogliście przecież nam... Albo mieliście inne zamiary? W rzeczywistości nie chodziło o to, żeby zdobyć mapę?

- Los naprawdę nie obdarował cię zbyt dużym rozumem - zadrwił Rurak - ale jednak zaczynasz powoli robić użytek z tej odrobiny. W istocie dokładnie wiedziałem, jak się sprawy mają z mapą Shakary, i byłem również świadom, że wy dwaj spróbuje-cie mnie oszukać, jak tylko się dowiecie, dokąd prowadzi mapa.

- A... ależ nie, wielki czarodzieju! - szybko zaręczał Rammar. - My... my...

- Nawet nie zaprzeczaj! - oświadczył, mierząc go lodowatym spojrzeniem Rurak. - A może chcecie znów obaj podyn-dać nad jamą? Ale tym razem stwory w głębinie nie będą złu-dzeniem...

- N... nie trzeba - powiedział grubas, wymieniwszy z Balbokiem zabarwione poczuciem winy spojrzenia. Mieli się za sprytnych i przebiegłych, za orków z prawdziwej śmierci i rogu, a teraz okazuje się, że ich działania były najwyraźniej częścią większej intrygi, o której obaj nie mieli pojęcia.

- To twoja wina, nędzny *umbalu!* - Rammar zapędzony w kozi róg napadł na brata. - Od początku mówiłem, że nie można ufać żadnemu magowi!

- Przecież to ty zacząłeś mu się podlizywać - sprzeciwił się Balbok - nie ja!

- To nieprawda!

- Jeszcze jaka prawda! - uniósł się Balbok. - I przestań mnie ciągle wyzywać i nazywać *umbalem*! Mam już tego dość!

- To przestań zachowywać się jak *umbal*!

- A ty przestań stale mi przerywać. Lepszym orkiem z nas dwóch jestem i tak ja, i tyle!

- Ty gnido z błotnistą gębą! Ty robaku, co żre sam brud! Jeśli jeszcze raz ważysz się tak mi...

- Nie do wiary! - Rurak, kręcąc głową, wszedł w słowo starszemu z orków. - Nawet teraz nie macie do roboty nic lepszego niż się kłócić, jak podczas całej tej długiej drogi. Czy wszyscy potomkowie twego ludu są tak głupi, Graishaku?

- Na szczęście nie, mistrzu - odpowiedział wódz orków.

- Jak podczas całej długiej drogi? - Powtórzył jak echo Balbok i zdziwiony zagapił się na Ruraka. - Czy to ma znaczyć, że nas obserwowałeś?

- Oczywiście. - Rurak wyszczerzył zęby i powoli przytaknął. - Albo może macie mnie za takiego durnia, co ufa orkom?

- Ale jak?... - wyjąkał Balbok. - To znaczy, skąd?...

- Nie potrafisz sam wymyślić, naiwniaku? To przecież właśnie dzięki tobie, cały czas niosłeś moje oko.

- Twoje oko? - Zmieszany Balbok rozejrzał się. Jego wzrok padł na oparte o balustradę godło i na wieńczącą je matwoczną kulę.

- Trafnie się domyślasz - przyznał Rurak, uśmiechając się jeszcze szerzej. - Przez magiczne oko mogłem zobaczyć wszystko, coście wyprawiali. Obserwowałem was krok po kroku i przez cały czas wiedziałem, co robicie. Stąd wiedziałem również o waszej zdradzie.

- *Tornoumuchi*! - stęknął zdziwiony Balbok. Na to nigdy by nie wpadł!

Za to Rammar nie mógł się już powstrzymać, kiedy dowiedział się, jak to naprawdę było ze zniechęconym godłem. Łapczywie łykał powietrze, a potem chlusnął na brata potokiem gniewnych wymówek.

- Bezmózgowiec! Dureń! *Umbal* jakich mało! Powinienem rozbić ci czaszkę, wylać mózg i nakarmić nim gnomy, ale pewnie nawet bym go nie znalazł! Nie mówiłem, że niepotrzebne nam żadne głupie godło? Żeby to zostawić? Ale nie, musieliśmy taszczyć to ze sobą, przez całą długą drogę! Kiedy pomyślę, że u krasnoludów ryzykowałeś życie nas wszystkich! I że dźwigałem cię razem z tą *shnorshastą* rzeczą! Ja... ja... ja zaraz pęknię z *saobb*!

Jak smagany biczem Balbok wzdrygał się i kurczył przy każdym słowie Rammara. Głowę wsuwał coraz głębiej między ramiona, okropnie przygnębiony przedstawiał sobą naprawdę marny widok.

- Nie besztaj brata za bardzo - powiedział wielkodusznie Rurak. - Bez oka pewnie nie przeżylibyście spotkania z pajakiem, co?

- To wyście nam pomogli? - zainteresował się grubas.

- Oczywiście. Musieliście przecież dotrzeć do celu.

- A czemu nie pomogliście nam wtedy, kiedy walczyliśmy z trollem? - zapytał Balbok.

- A po co - odpowiedział bratu Rammar. - Wtedy już dawno dotarliśmy do celu i misja była skończona.

- Niezupełnie - sprzeciwił się Rurak. - To dlatego, że nie miałbym nic przeciw temu, żeby ten tu - wskazał na Corwyna - został na szlaku. Jest równie niepotrzebny co bezużyteczny.

- Czy to ma znaczyć, że ja nie należę do twojego wielkiego planu? - wychrypiął zjadliwie łowca głów.

- Właśnie - obojętnie przyznał Rurak. - Zrządzenie losu przywiało cię jak opadły z drzewa liść.

- Nic w tym wszechświecie nie dzieje się przypadkowo, czarnoksiężniku - sprzeciwiła się Alannah. - Wszystko jest starannie zaplanowane.

Mag westchnął i zrobił współczującą minę.

- Elfy i ich niewzruszona wiara w porządek. Nie porzuciliście jej nawet teraz, kiedy wasz lud stracił moc i odchodzi z tego świata. Trwacie w niej jak rozbitek kurczowo trzymający się deski, choć pali go słońce, a wokół już krążą rekiny. Tryumfują moce chaosu, elfini, nie porządek. Najlepszym tego dowodem są ci dwaj orkowie. Elfy czekały długie stulecia, aż spełni się proroctwo Farawyna. Kto by pomyślał, że dzieła, rozpoczętego przed wiekami, dokończą dwaj orkowie?

- A cóż wy wiecie o takich sprawach? - odparła Alannah.

- Możesz być pewna, moja droga, że wiem WSZYSTKO - Rurak odpowiedział pewny siebie, co nie spodobało się ani elfini, ani jej towarzyszom. - Zwano mnie niegdyś Rurakiem Rzeźnikiem i siałem postrach nie tylko wśród wrogów, ale również wśród sprzymierzeńców i sług. Rozczarowuje mnie, że moje imię nie cieszy się już sławą wśród was, elfów. Ale może znacie mnie lepiej pod tym imieniem, jakie niegdyś nadał mi mój lud.

- A jak ono brzmi? - zainteresowała się Alannah.

- Gwantegar.

Alannah drgnęła, jakby ją ktoś uderzył. Raptownie znikła cała jej odwaga, a jej opór skruszał.

Gwantegar.

W tłumaczeniu na mowę ludzi imię to znaczy „Niosący śmierć”, a krążące o nim opowieści budziły powszechną trwogę.

- To niemożliwe... - szepnęła. - Gwantegar nie żyje, już od dawna...

- Tak się zdawało również moim naiwnym pomocnikom - powiedział mag, patrząc na Rammara i Balboka. - Ale na pewno jesteście mądrzejsi od niej, prawda?

- Jak się wam udało?...

- Użyłem czaru sięgającego aż do początków świata i tajemnic bytu. Zabierając innym ich życiowe siły, sam mogłem istnieć dalej. Elikzir z kwintesencji bytu pomógł mi przetrwać stulecia, dokładnie jak nauczył mnie Margok.

- Margok?

- Oczywiście, moja droga. A kto, jak wam się zdaje, zdradził mi tajemnicę wiecznego życia? Na czyje zlecenie, jak myślicie, jestem tutaj? Jakiemu celowi, waszym zdaniem, to służy? Wiem wszystko, elfia kapłanko, gdyż zdradził mi to nie kto inny jak sam Ciemny Elf. Uczynił mnie swoim powiernikiem, kiedy wszyscy inni od niego odstąpili i rzucili się do ucieczki. Dlatego znam tajemnicę, jaką kryje to miejsce. Wiem o mocy Tirgas Lan i wiem, jakiemu niesamowitemu gościowi daje schronienie stare, królewskie miasto. Mimo stuleci, jakie upłynęły od dni Drugiej Wojny, duch Margoka nadal tu jest, uwięziony w tych ciemnych murach. Właśnie wybiła godzina jego uwolnienia.

- Nie! - krzyknęła wstrząśnięta Alannah.

- Dlaczego jesteście tak przerażeni? Sami przyczyniliście się do tego, kapłanko elfów. Waszemu niezadowoleniu i wścibstwu zawdzięczmy, że w ogóle zdołaliśmy dojść tak daleko... tak, jak przewidział Margok!

- Nie! Nie! Nie!...

- Ciemny Elf powróci i spowije świat mrokiem! - zawołał mag grzmiącym głosem. - By jednak przywrócić jego ducha do życia, potrzebuję energii życiowej elfini! - Zrobił krótką przerwę, spojrzał na Alannah płomiennym wzrokiem i ciszej mówił dalej: - Skoro już tyle dla mnie zrobiliście, kapłanko, nie uczyni Wam z pewnością różnicy, jeśli poniesiecie dla mnie jeszcze i tę ofiarę.

- Proszę, nie...

- Zapomnij o tym, magu! - krzyknął Corwyn i stanął przed Alannah z mieczem w dłoni. - Kto zechce podnieść na nią rękę, najpierw musi zmierzyć się ze mną!

- Naprawdę? - Rurak współczująco mlasnął językiem. - Jakie to wzruszające. A więc to prawda, samotny łowca głów zakochał się w kapłance elfów. A ona w nim, jeśli dobrze rozumiem jej spojrzenie. Jesteście tacy łatwi do przejrzenia.

- A ty jesteś szalony, jeśli myślisz, że poddam się bez walki! - odparł zjadliwie Corwyn.

- Czego ty nie powiesz... - Niedbałym gestem dłoni Rurak dał znak *faihok'hai*, na co wojownicy Graishaka okrążyli łowcę głów. Ten przygotował się do walki, uniósł miecz i czekał na atak.

Jednak orkowie nie zaszczycili go walką i nie skrzyżowali z nim broni. Jeden z *faihok'hai*, stojący za plecami Corwyna, uderzył go *saparakiem* pod kolana i pod najemnikiem ugięły się nogi. Krzyknął i upadł na kolana. W następnej chwili *saparak* trafił go w prawą rękę i wytrącił mu miecz z dłoni.

Wtedy orkowie rzucili się na niego z pięściami. Ciosy padały na bezbronnego ze wszystkich stron. Pękła mu dolna warga, miał złamany nos i otrzymał kilka ciosów w głowę, nim zdołał unieść pięści, by się bronić. Upadł pod gradem straszliwych uderzeń, wśród natłoku wściekłych orków. A kiedy brutalna zgraja wreszcie od niego odstąpiła, wił się na ziemi jak zakrwawiony strzęp.

- Wstrętne kreatury! - grzmiąca Alannah, padając przy Corwynie na kolana. Łowca głów jeszcze żył, ale wił się z bólu jak robak. Jego zmasakrowaną twarz ledwie można było rozpoznać.

Również Rammar i Balbok patrzyli wstrząśnięci. Widok osobistego wroga w takim stanie powinien ich właściwie napełnić radością, tak jednak nie było...

- Jak widzicie - Rurak zwrócił się do braci orków – nie tylko was dwóch zwiódł moje plany. To był spisek, moi naiwni przyjaciele, od samego początku: napaść na zgrają Girgasa, walka z gnomami... Częścią planu było również to, że wasz dowódca straci głowę i że najdzielniejszy z was dwóch przeżyje bitwę.

- Najdzielniejszy? - zdziwił się Rammar.

Rurak przytaknął.

- Kiedy potem we dwóch zjawiliście się w mojej twierdzy, od razu wiedziałem, że jeden z was mnie okłamał. Ale ponieważ nie umiałem stwierdzić, który mówi prawdę, a który nie, postanowiłem posłać do Shakary obydwóch. Ledwie opuściliście swoją fortecę, posłałem gońca do Graishaka. Ze swoją gwardią przyboczną opuścił waszą wioskę i spotkał się z moimi gnomami i ze mną, i razem czekaliśmy, aż wrócicie z północy wraz z elfinią. Potem poszliśmy za wami, całą długą drogę, aż tutaj.

- Zdrajcy! - wychrypiął Corwyn, wciąż wijący się na ziemi, i z opuchniętych oczu rzucił gniewne spojrzenie na Rammara i Balboka. - Wy nędzni zdrajcy...

- Ależ nie, łowco głów. - Rurak pokręcił głową. - Ci dwaj wiedzieli o moich planach równie mało co ty.

Graishak zmierzył dwu orków szyderczym wzrokiem.

- Jakie to uczucie, kiedy się myśli, że się jest wielkim *gosgosh* - spytał drwiąco - a na koniec trzeba przyznać, że jest się ostatnim *asar*?

- Nic miłego - przyznał Balbok z podstępym błyskiem w oku. - Ale musicie nas dopiero przekonać, że naprawdę siedzimy po szyję w *shnorsh*.

Graishak zdziwiony zmarszczył czoło.

- Co macz na myśli?

- A co, jeśli ty wcale nie jesteś prawdziwy? - spytał Balbok. - Jeśli jesteś tylko zjawą wywołaną przez tego tam? - Wskazał na maga.

- Mówisz poważnie? - Graishak patrzył na niego zdziwiony.

- Jasne, on ma rację! - poparł brata Rammar, który znów zwietrzył cię nadziei. - W twierdzy maga widzieliśmy, do czego jest zdolny. Może sprawić, że ukaże się albo zniknie wielka jama z wstrętnymi *uchl'bbuurz'hai*, tak po prostu. Czemu nie miałyby wyczarować ciebie, Graishaku?

- Chcesz przez to powiedzieć, że ja jestem *uchl'bbuurz*? - Głos Graishaka brzmiał niebezpiecznie spokojnie.

- Nie - zaprzeczył Rammar i wydał policzki w pełnym wyższości uśmiechu. - Chcę przez to powiedzieć: że ty nie jesteś prawdziwy. W przeciwnym razie nie pozwoliłbym sobie na pewno na coś TAKIEGO! - Mówiąc te słowa, wałnął go pięścią w sam środek szkaradnej gęby.

Ten zatoczył się dwa, trzy kroki w tył, a z nosa trysnęła mu krew.

- To dowód! - krzyknął tryumfująco Rammar. - Prawdziwy Graishak nigdy by na coś takiego nie pozwolił.

- TAK? - burknął nosowo wódz orków i w następnym momencie Rammar poczuł na gardle jego sztylet. - JA na coś takiego na pewno NIE POZWOLE, możesz być pewien, grubasie! Jeśli natychmiast nie zamkniesz mordy, rozetnę cię wzdłuż i każę twemu bratu żreć twoje cuchnące flaki. Co ty na to?

- *Shnorsh* - Rammar się zadławił. - Kiepski pomysł.

- *Korr* - warknął Graishak i puścił go. - Teraz wierzycie, że jestem prawdziwy?

- M... musimy najwyraźniej - stęknął Rammar, rozcierając miejsce, w którym szyję zadrapała mu ostra klinga. - Ale... ale co ty tu robisz? Skąd znasz maga?

Rurak, który zdawał się dobrze bawić sprzeczką orków, roześmiał się.

- Nie domyślcie się, po wszystkim, co wam opowiedziałem? - Odwrócił się do wodza orków. - Miałeś rację, Graishaku.

Ci dwaj to naprawdę najgłupszy przedstawiciele twojego gatunku, jacy kiedykolwiek stanęli na mojej drodze, a to w przypadku waszej rasy naprawdę coś znaczy.

- Prawda? - Graishak niedbale skinął głową. - Ale nie powinni umrzeć równie głupi, jak ich wypluto na ziemię. Opowiem im, jak doszło do naszego przymierza. Pozwalacie?

- Ależ naturalnie, drogi sługo.

- Sługa? Mistrz? - Świńskie oczka Rammara zbite z tropu strzelały to na jednego, to na drugiego, zaś twarz Balboka wydłużyła się tak, że dolna szczeka groziła wypadnięciem.

- Wy nieświadome stwory, wy bezmózgie gnidy! - Rozpoczął wyjaśnienia Graishak. - Nie pojmujecie? To mistrz Rurak był tym, który mnie znalazł i uratował życie wtedy, kiedy własna zgraja haniebnie zostawiła mnie w potrzebie.

- Chcesz... chcesz powiedzieć?...

- Właśnie to - potwierdził Graishak, stukając pazurem w stalową łysinę. - Załatał moją *koum* i wstawił tę płytkę. Dzięki temu przeżyłem, choć wróg rozplątał mi czaszkę.

- *Korr* - mruknął półgłosem Balbok - ale nie wszystko dobrze działa...

- Coś powiedział? - W Graishaku zawrzało.

- Nic, zupełnie nic - szybko zapewnił Rammar. - Mój brat często bezmyślnie gada od rzeczy. To *umbal*, nie zwracaj na niego uwagi.

- Świetnie... W każdym razie od tamtej pory jestem uczniem maga, bo jemu zawdzięczam nie tylko życie, ale również to, kim jestem. On nauczył mnie wszystkiego, co wiem, i kiedy wróciłem do *balboug*, byłem najsilniejszym i najstraszliwszym orkiem spośród wszystkich.

- To prawda - lakonicznie potwierdził Rammar - wyrwać komuś gołymi łapami łeb z ramion, jak zrobił Graishak ze swym

poprzednikiem, to nawet jak na orka nie lada wyczyn.

- Rurak uczynił mnie tym, kim jestem - mówił dalej służalczo Graishak. - Jest przywódcą nie tylko MOIM, ale WSZYSTKICH orków.

- Niezły z niego przywódca - zdenerwował się Balbok. - Taki, co kombinuje z gnomami i każe im kraść łby naszych dowódców.

- Czyś ty wciąż jeszcze nie zrozumiał, *umbalu*? - wrzasnął na niego Graishak. - Zaczęła się nowa era. Nie walczymy już z gnomami ani nie walczymy z trollami, ale tylko i wyłącznie z TAKIMI JAK ONI! - Graishak z żądzą zabijania w oczach wskazał Corwyna i Alannah, klęczącą przy zakrwawionym łowcy głów. - To przeciw ludziom i elfom kieruje się nasza nienawiść, oni bronią wszystkiego, co nas brzydzi.

- To fakt - życzliwie poparł go Rurak. - Margok próbował niegdyś zawrzeć przymierze z ludźmi i orkami, ale ten zamiar od początku skazany był na niepowodzenie. Teraz ja, jego najwierniejszy sługa, uformowałem armię orków i gnomów. Trolle, koboldy i ghule przyłączą się do nas i pójdą pod naszą flagą. Armia mroku i chaosu podbije Łąd. Ród elfów stracił moc, ludzie są skłóceni, nikt nie stawia nam oporu, tym bardziej, że Margok znów będzie wśród nas i poprowadzi armie chaosu.

- Nie - szepnęła przerażona Alannah. - Nie wolno wam!

- Za pozwoleniem, moja droga, kto mi w tym przeszkodzi? Wy na pewno nie. - Zachichotał złowieszczco. - Kto by pomyślał, że wścibstwo znudzonej elfini zmieni bieg dziejów świata! - Rurak donośnie się zaśmiał, wtórowali mu orkowie i gnomy; tylko Graishak milczał.

Alannah nie mogła dłużej znieść kpin wroga. Błada jak trup zemdląła i leżała nieprzytomna obok Corwyna.

- Alannah! Nie! - krzyknął łowca głów, ze zmasakrowaną twarzą. - Ty nędzny podrzutku wśród magów, coś ty jej zrobił?

- Nic - odparł niewzruszony Rurak. - To, co się zdarzyło, zawdzięcza tylko i wyłącznie sobie. Każdy jest odpowiedzialny za to, co robi. Nie wiedziałeś, najemniku?

- Alannah! Nie! - wrzasnął ochryłym głosem Corwyn, kiedy orkowie Graishaka niezgrabnymi łapami podnieśli elfinię, chcąc ją zabrać. - Alannah! Nie przeżyję tego jeszcze raz...

Złapano i odprowadzono również jego samego, Rammara i Balboka. Nikt nie zauważył, że w głębinach starej cytadeli znów rozległ się donośny łoskot.

7. ANN KUNNART UR'KRO

Twierdzenie, że nastrój Rammara sięgnął dna, byłoby znacznym niedopowiedzeniem - lecz jakoś opisywało sytuację...

Tłusty ork i jego brat przebyli Trzewia Torgasa i bagna, zmierzili się z olbrzymim pająkiem, ghulami, krasnoludami i barbarzyńcami, walczyli przeciw elfom i trollom, stawili czoła siłom natury, uciekli z niewoli u krasnoludów i łowcy głów, przebyli setki mil - a wszystko to tylko po to, żeby znaleźć się teraz w tym samym *shnorshastym* położeniu, w którym byli już raz na samym początku całej przygody: dyndali głową w dół u sufitu w mrocznych lochach.

Gdzieś blisko pluskała woda. Kiedy orkowie próbowali się poruszyć, zabrzęczały łańcuchy, na których wisieli. Tym razem związano im ręce na plecach, tak że nawet we własnych oczach wyglądali jak dwa wielkie udźce, jakie wieszka się w spiżarni.

- Naprawdę, Rammar - szepnął Balbok do brata. - Gdybyśmy wiedzieli, że to się tak skończy, wcale byśmy się tak nie

męczyli, co? Mogliśmy od razu zostać w twierdzy maga.

- Mądrała! - parsknął Rammar. - Nie odzywaj się do mnie. Nie doszłoby do tego, gdybyś nie uparł się wtedy zabierać to przeklęte godło!

- Ale przecież ty też chciałeś je wziąć!

- Gdyby to ode mnie zależało, wyrzucilibyśmy je po drodze, a nie...

Podziemne sklepienie rozbrzmiało nagle echem przeraźliwego krzyku, który nie miał w sobie niemal nic ludzkiego.

- Łowca głów - powiedział bez wzruszenia Rammar. - Torturują go.

- Z jakiego powodu? - spytał Balbok.

- Od kiedy to Graishak potrzebuje powodu, żeby kogoś dęczyć? - burknął ponuro Rammar. - Choć tym razem co prawda ma powód: ten Corwyn to w końcu człowiek, na dodatek zarabia na życie wyłapywaniem orków.

Ponownie dał się słyszeć przenikliwy krzyk, tym razem głośniejszy i bardziej rozpaczliwy niż poprzednio.

- Dobrze mu tak - stwierdził Rammar. - Po co ten *umbal* wtykał swój mleczny nos w nasze sprawy? Aż nadto zasłużył sobie na śmierć.

- *Korr* - potwierdził Balbok i dalej słuchali straszliwych krzyków łowcy głów, rozlegających się teraz już nieustannie. Graishak był prawdziwym mistrzem tortur, jego pomysłowość w tej materii cieszyła się wielką sławą.

- Nie! - usłyszeli nagle wrzask Corwyna. - Nie oko! Nie moje oko!... - Makabryczny dźwięk, który nastąpił potem i który przypominał rozgniatanie pomidora zdradził, że Graishak nie dał się przebłagać.

Orkowie wymienili spojrzenia.

- Zasłużył na to, prawda? - zapytał Balbok.

- Oczywiście - odburknął Rammar. - Ten nędzny pogromca orków złościł nas i męczył do granic możliwości, upokarzał przy każdej nadarzającej się okazji. Chociaż...

- ...nie podoba ci się, że Graishak go torturuje - dokończył Balbok.

- Nie - zgodził się Rammar.

- Mnie też się nie podoba - przyznał Balbok. - Corwyn może i jest pogromcą orków i naszym wrogiem, ale przynajmniej nigdy nie robił z tego tajemnicy. Za to Graishak...

- ...udawał, że jest naszym dowódcą, a w rzeczywistości przez cały czas był na usługach maga.

- Właśnie - Balbok parsknął gniewnie. - Razem uknuli to wszystko i nas zmanikiurowali.

- Zmanipulowali - poprawił Rammar.

- *Zeshnorshowali* - Balbok wyraził to dobitniej. - Wiesz, Rammar, miałbym ochotę walnąć Graishaka w łeb, i nic mnie nie obchodzi jego stalowa płytką.

- Ja też - stwierdził Rammar. Nadal słyhać było krzyki łowcy głów, przechodzące teraz w wycie. Wyglądało na to, że Corwyn nie wytrzyma już za długo. - Problem tylko w tym, że pewnie nie będziemy już mieli po temu okazji. A poza tym...

Zamilkł, kiedy na korytarzu za zardzewiałą kratą ich lochu nagle rozległy się kroki. Na ścianie pojawił się cień, kratę otworzono i w następnej chwili chuda postać Ruraka weszła do izby, w której u wysokiego sufitu wisieli orkowie.

- *Achgosh douk*, moi naiwni przyjaciele - pozdrowił ich szyderczo. - Tak to się mówi w waszym języku, prawda?

- I co z tego? - powiedział Rammar. Nie miał zamiaru odwzajemnić pozdrowienia; jego dawny, pełen szacunku respekt wobec maga ustąpił miejsca złości.

- Przychodzę przekazać wam pozdrowienia od waszego przyjaciela, łowcy głów. Nieszczególnie mu się wiedzie.

- Co z nim zrobiłeś?
- Ja? - Rurak zaśmiał się cicho. - Chodzi ci chyba o to, co zrobił z nim wasz wódz Graishak. Ale na waszym miejscu martwiłbym się raczej, co też takiego los trzyma w zanadru dla was.
- Cokolwiek by to nie było - burknął niechętnie Balbok - nie może być gorsze od towarzystwa zdradliwego maga. Prawda, Rammar?
- Jeszcze jak prawda, Balbok.
- Obraziliście się - stwierdził Rurak. - To urażona duma. Patrzcie, patrzcie, nie wiedziałem, że orkowie w ogóle coś takiego mają. Ale może wy jesteście wyjątkowi. W końcu nie jesteście jakimiś tam zwykłymi orkami.
- Zgadza się - potwierdził Rammar. - Puść mnie, magu, a przysięgam ci, że rozwalę twój szkaradny pysk zgodnie z wszelkimi regułami sztuki. Wtedy się przekonasz, do jakiego rodzaju orków należę.
- Wielkie słowa z pyska tchórze, co bitwę z gnomami przesiedział w ukryciu.
- Coooo? - Balbok nadstawił uszu.
- Czyżbyś nie wiedział? - Rurak udał zdziwienie. - Twój brat bardzo dba o to, żeby nie stracić życia...
- Czy to prawda? - spytał Balbok i surowo spojrzał na Rammara. - Schowałeś się jak tchórz?
- Tak - przyznał ze skrucą Rammar - to prawda. Naprawdę byłem beznadziejnym tchórzem... - Oderwał wzrok od brata i popatrzył na Ruraka. - Ale zmieniłem się, magu, i jeśli podczas tej marnej podróży, na którą nas wysłałeś, czegoś się nauczyłem, to tego, że pełzanie i lizanie stóp do niczego nie prowadzi. Jestem orkiem, tak samo jak mój brat!
- Patrzcie tylko, imponujący rozwój. - Rurak nagle spoważniał. - Na początku nie chciałem uwierzyć, ale teraz to zdaje się potwierdzać...

- Co? - parsknął Rammar, który tak się rozkręcił, że nawet Balbok rzucał mu ostrzegawcze spojrzenia. - W co nie chciałeś uwierzyć, ty podły, zdradliwy psie, co żre błoto i udaje maga?

Rurak znów wyszczerzył zęby i pominął obelgę rzuconą mu przez grubego orka.

- Nigdy nie zastanawialiście się, jak zdołaliście otworzyć Wrota Farawyna w Świątyni Shakary? Dlaczego Wielka Brama Tirgas Lan, od ponad tysiąca lat zamknięta, otworzyła się przy waszym przybyciu? Dlaczego bez żadnego wysiłku udało się wam uzyskać dostęp do skarbcza?

- Bądź łaskaw nie zmieniać tematu! - odpowiedział rozwścieczony Rammar. - Ty nas podstępnie oszukałeś i zdradziłeś, wykorzystałeś naszą rozpaczliwą sytuację tylko po to, żeby... - Przerwał. - Coś ty powiedział?

- Jest pewien powód, dla którego bez trudu mogliście otwierać wszystkie te bramy, zamknięte od stuleci - oznajmił Rurak. - Nie chcecie go poznać?

- Cz... czy to znaczy, że jesteśmy wybrańcami? - zapytał z nadzieją Balbok.

- Wybrańcami? - zaśmiał się szyderczo Rurak. - Ależ nie. To nie takie teatralne.

- Więc jak to było możliwe? - dopytywał się Rammar.

- Powiem wam - odpowiedział mag prosto z mostu. - To dlatego, że jesteście elfami.

Nastąpiła przerwa, podczas której nikt z całej trójki nic nie mówił. Potem Rammar i Balbok wybuchnęli śmiechem.

- My i elfy! Dobry dowcip! - Balbok świetnie się bawił.

- Kompletnie ci się pomieszało, magu! - krzyknął Rammar, trzęsąc się ze śmiechu.

- Ja nie żartuję! - zapewnił Rurak. - Wszyscy orkowie byli kiedyś elfami. Tortury, rany i czarna magia zrobiły z nich to, czym są dziś: szpetne, obrzydliwe kreatury, które unikają światła i służą tylko chaosowi.

- I z tego jesteśmy dumni! - przerwał mu Balbok, który ze śmiechu aż się rozplakał.

- Sam Ciemny Elf powołał ich do życia - Rurak niezmiernie mówił dalej. - Dawno temu członkowie jego rasy wygnali go, gdyż oddawał się czarnej magii i zakazanym eksperymentom, mającym na celu stworzenie nowej rasy Ciemnych Elfów, takich jak on sam. Marzył o stworzeniu własnej armii, armii wojowników idących za nim bez względu na wszystko. Po kilku nieudanych próbach dopiął swego: ze złapanych wojowników elfów, których torturował i rzucił na nich ciemny czar, wyhodował pierwsze Ciemne Elfy. Nazwał je *Pomiot Margoka*, one same jednak, niezdolne do wypowiedzenia tej nazwy, nazwały się orkami.

- Widzisz, Rammar - stwierdził trochę zaskoczony Balbok - a więc historia o pękającym wrzodzie, z którego wszyscy wyskoczyliśmy, wcale nie jest taka fałszywa.

- Bzdura! - odparł Rammar. - To wszystko bzdura!

- Ani trochę - zapewnił mag. - A co się tyczy was dwóch, to historia ma jeszcze dalszy ciąg. Margok z biegiem lat okaleczył wiele elfów i uczynił z nich sługi mroku, jednak wy dwaj wywodzicie się od pierwszego Ciemnego Elfa, stworzonego przez Margoka. Był to królewski syn o imieniu Curran. Margok wziął go w niewolę i kazał torturować, aż za pomocą ciemnej, okrutnej magii uczynił z niego swego sługę. Los chciał, by Curran miał brata bliźniaka nazywanego Cullan, który po śmierci ich ojca wstąpił na królewski tron Tirgas Lan. Z rodu Cullana wyszedł w późniejszych dniach nie kto inny, jak prorok Farawyn.

- He? - krzyknął Rammar, a jego orcza mózgowica gorączkowo pracowała. - Ale to by przecież znaczyło, że...

- Słusznie, moi naiwni przyjaciele. W waszych żyłach płynie krew przodków Farawyna, obrońcy Tirgas Lan. To on sprawił, że te mury stały się więzieniem dla ducha Margoka i rzucił na miasto zaklęcie, by nikt poza wybrańcem nie mógł

otworzyć jego bram. Ale - dodał mag, uśmiechając się współczująco - jak to u elfów bywa, dobry Farawyn też był zarozumiałym snobem. Zakłęcie nie działa na potomków jego własnego rodu, gdyż Farawyn był przekonany, że oswoobodziciel Tirgas Lan będzie pochodził z jego krwi. Na swój sposób miał nawet rację, gdyż wy dwaj jesteście ostatnimi potomkami jego rodu.

- Więc jednak jesteśmy wybrańcami - stwierdził Balbok.

- Nie powiedziałbym. Jesteście bardziej tym, co nazywam kaprysem losu, ziarenkiem piasku w trybach świata, gdyż najbardziej i przede wszystkim jesteście orkami. Dlatego Zakłęty Las uznał was najpierw za intruzów i wysłał przeciw wam trolla.

- Czego ty nie powiesz? - odparł Rammar, starając się z wszelkich sił nie dać po sobie poznać, jakie to zrobiło na nim wrażenie. - A skąd ty to wszystko wiesz?

- Kiedy Ciemny Elf podczas Pierwszej Wojny przegnał Margoka, ten wycofał się do tej twierdzy, która teraz służy mi za schronienie - bez oporu wyjaśnił Rurak. - Tam kontynuował swoje zakazane eksperymenty, aż jego próby w końcu zostały uwieńczone powodzeniem i mógł rozpocząć zbrojenia, przygotowując się do tego, co do historii Łądu przeszło jako Druga Wojna. Jak wiecie i ja brałem udział w tej wojnie, ale kiedy bitwa o Tirgas Lan została przegrana, musiałem uciekać. Wycofałem się daleko w głąb Stęchłej Marchii, gdzie zamieszkałem w owej twierdzy, będącej wcześniej domostwem Margoka. W głębokich lochach trafiłem pewnego dnia na jego tajne zapiski. Dowiedziałem się z nich o istnieniu orków, w których żyłach płynie krew Farawyna. Po odczekaniu kilku stuleci postanowiłem opuścić moją bezpieczną kryjówkę i ponownie nawiązać kontakt z orkami. Miałem szczęście, gdyż trafiłem na jednego, jak leżał półżywy ze zmiażdżoną czaszką..

- Graishak - mruknął Rammar.

- Właśnie. Uratowałem mu życie i dokonałem tej i owej zmiany w jego mózgu tak, że stał się moim wiernym i niezawodnym sługą. Chętnie pomógł mi was znaleźć i wprowadzić mój plan w czyn.

- Więc tak to było - wymamrotał Rammar, łypiąc ponuro okiem.

Mag przytaknął, znów złowieszczo się uśmiechając.

- Uznałem, że powinniście się o tym dowiedzieć, nim nafaszeruje się wam brzuchy cebulą i czosnkiem, i zaserwuje was jako główne danie na ucztę ku czci Margoka.

Orkom nie dane było nic na to odpowiedzieć, gdyż znów usłyszeli kroki. Zjawiło się dwóch *faihok'hai* wlokących półmartwego Corwyna.

Łowca głów wyglądał okropnie. Nagi tułów pokrywały oparzenia i krwawe pręgi. Jego twarz już wcześniej ledwie można było poznać, teraz w miejscu lewego oka ziała krwawa jama zatkana byle jak brudną szmatą. Stan Corwyna był opłakany.

Za nimi przyszedł Graishak. Z wykrzywioną sadystycznie gębą przyglądał się, jak Corwyna w celi przykuwają łańcuchami do ściany.

- I co? - zwrócił się potem do Rammara i Balboka. - Jak się czujecie?

- Zdradzeni i sprzedani - wyznał Rammar.

- Ależ nie. Jestem pewien, że Girgas byłby z was dumny - szydził Graishak. - Czegóż to nie dokonaliście, żeby odzyskać jego łeb. Nie szczędziliście żadnych trudów, a mimo to wylądowaliście w „spizarni”. Takie jest życie.

- Nie - sprzeciwił się Balbok. - To ty taki jesteś, ty się z nami tak brzydko zabawiałeś. A ja roztrzaskam ci za to czaszkę, przysięgam.

- Naprawdę? - Graishak mlasnął współczująco wytatuowanym językiem. - Ale jestem ciekaw, jak się zamierzasz za to

zabrać. A może po prostu spytasz o radę swego przyjaciela, łowcę głów.

I wódz orków wybuchnął gromkim śmiechem, dającym wyraźnie poznać, w jak doskonałym jest nastroju. Rechot odbił się echem od sklepienia, a Rurak i *faihok'hai* mu zawtórowali.

Nagle w Corwyna, przed chwilą jeszcze apatycznie i bezsilnie zwisającego z łańcuchów, wróciło życie.

- Ten śmiech! - krzyknął w przypiływie gniewu i siły, której nikt by się po nim nie spodziewał. - Ja... ja znam ten śmiech! Rozpoznałbym go wśród tysiąca. To byłeś TY! TYŚ to zrobił!...

Graishak przerwał swój rechot i zwrócił się do człowieka.

- Co takiego zrobiłem?

- TY zabiłeś kobietę, którą kochałem! - zawołał łamiącym się głosem Corwyn. - TY jesteś tym orkiem, którego śmiech przesładuje mnie nawet we śnie!

- Całkiem możliwe. - Wódz orków wzruszył ramionami. - Zabiłem niezliczonych ludzi, wśród nich również wiele kobiet. Więc czemu nie twoją.

- Łotr! - ryknął Corwyn i szarpnął się na łańcuchach, aż wciążył mu się w przeguby dłoni. - Nędzna świnia! Zabiję cię, słyszysz?

- Ustaw się w kolejce, łowco głów - odparł, szczerząc zęby, wódz orków. Potem odwrócił się i razem z magiem i *faihok'hai* opuścił celę.

- Przeklęty morderca! - zawołał za nim w rozpacz i bólu najemnik. Jednak wszystko, co usłyszał w odpowiedzi, to szederczy śmiech.

- Stać!

Książę Loreto uniósł dłoń i armia elfów znieruchomiała. Tylko krasnoludy, bezładną gromadą podążające za oddziałami elfów,

potrzebowały chwili, by zrozumieć sygnał. A nawet wtedy nie każdy z nich zareagował.

- Co się dzieje, panie elfie? - zapytał Ortmar z Rumowiska, syn Ortwina. Orszak maszerował przez las już wiele godzin, nie trafiając na najmniejszy ślad elfini, łowcy głów ani obu orków. A przecież smród, wiszący tu wszędzie w powietrzu, aż nadto wyraźnie świadczył o tym, że poczwary są w pobliżu.

Loreto ruchem dłoni nakazał mu milczenie. Książę elfów prowadził swego wierzchowca za cugle, gdyż korzenie i pnącza porastające ziemię uniemożliwiały konną jazdę. Zwierzę nieustannie unosiło i opuszczało łeb, niespokojnie węsząc - najwyraźniej czuło się w tym miejscu równie nieswojo jak dowódca krasnoludów.

Ortmar ani myślał pozwalać, by jakiś elf zamykał mu usta, choćby w jego żyłach płynęła najszlachetniejsza krew. Jego ludzie ani on nie składali Lorecie przysięgi na posłuszeństwo; uważali się raczej za równoprawnych partnerów.

- Co jest? - spytał więc jeszcze raz, tym razem trochę ciszej.

- Niebezpieczeństwo - odpowiedział elf. - Wódz armii Ithel i kilku zwiadowców poszło przodem zbadać teren i jeszcze nie wrócili.

- Coś takiego - zaniepokoił się Ortmar i uniósł topór, by być przygotowanym na wszelkie ewentualności. Jego ludzie wzięli z niego przykład, także wojownicy elfów podnieśli tarcze i dobyli mieczy. - Jesteście pewni, że kapłanka i jej kompani przyszli tutaj? Bo ja nie mogę znaleźć najmniejszego śladu i mam wrażenie, że...

- Psst - syknął Loreto i ponownie uniesioną dłonią nakazał mu milczenie.

W tym momencie po drugiej stronie polany nagle poruszyły się ogromne liście paproci.

Ortmar wymamrotał w brodę przekleństwo i przyjął postawę gotową do walki, ale to tylko wódz armii Ithel i reszta tropiciele wracali ze zwiadu. Książę odetchnął z wyraźną ulgą.

- I co? - zwrócił się do swego zastępcy. - Co znaleźliście?

- To - odpowiedział Ithel i pokazał mały przedmiot, wielkości mniej więcej zaciśniętej pięści. Była to sprzączka do paska z zardzewiałego metalu, wygięta i wysadzana małymi kolcami. Elfy ani ludzie nie mieli zwyczaju nosić tego rodzaju ozdób.

- Orkowie - stwierdził z obrzydzeniem Loreto. - Są zatem w pobliżu.

- Oczywiście, że są w pobliżu - wszedł mu w słowo Ortmar. - Przecież mówiłem.

- To nie pochodzi od orków, o których wspominaliście, panie krasnoludzie - pouczył go Ithel. - Daleko w przedzie odkryliśmy w błocie ślady. Wiele różnych tropów, wskazujących, że mamy do czynienia z wielką ilością tych szkarad. Z całą armią.

- Co? - zdębiał syn Ortwina. - Ale to przecież nonsens! Skąd mieliby się tu tak nagle wziąć?

- Ze Stęchłej Marchii - wyraził swoje przypuszczenie Loreto. - Powyżej rozgałęzienia rzeki jest jedno płytkie miejsce. Możliwe, że orkowie wykorzystali je jako bród i przeprawili się ze swoim wojskiem.

- Wojskiem? - Krasnolud nadstawił uszu. - Ilu ich może być?

- Trudno ocenić - odpowiedział Ithel. - Dwa tysiące, może nawet trochę więcej. Poza tym trafiliśmy na ślady gnomów.

- Gnomów? Ale orkowie i gnomy są śmiertelnymi wrogami. Nigdy by...

- Mogę tylko powiedzieć, co widziałem - upierał się Ithel.
- Poza tym nie muszę się wam tłumaczyć, panie krasnoludzie. Moim dowódcą jest Loreto, nie wy.

Ortmar patrzył to na jednego elfa, to na drugiego. Najchętniej zagrałby tym aroganckim spiczastouchym po krasnoludziemu do tańca. Z drugiej strony - jeśli Ithel ma rację i rzeczywiście po tym lesie płacze się dwa tysiące orków i gnomów, nie byłoby źle mieć u boku tysięcy elfich wojowników.

- Naturalnie - powiedział więc, zaznaczając lekko ukłon. - Mimo to pozwólcie, że się zastanowię, czego taka wielka armia orków szuka w tym lesie? Czy ich obecność tutaj może mieć jakiś związek z waszą misją?

- Tego właśnie się obawiam, krótki przyjacielu - powiedział Loreto, patrząc na niego w zamyśleniu. - Przesłano nas tu z Tirgas Dun, byśmy zapobiegli wielkiej katastrofie, byśmy zdławiли niebezpieczeństwo w zarodku. Teraz jednak wygląda na to, że przybywamy za późno. Zło utorowało sobie już drogę do...

Przerwał, uświadomiwszy sobie, że niewiele brakowało, a zdradziłby cel ich wyprawy. Ortmar za to uznał, że jego podejrzenie się potwierdza: elfy nie czynią takich starań tylko z powodu jednej wiarołomnej kapłanki. Prawdziwą przyczyną jest Ukryte Miasto i skarb, dowódca krasnoludów był tego raczej pewny i jego pragnienie zdobycia owego bogactwa wzmogło się bardziej niż kiedykolwiek.

- Co chcecie teraz zrobić? - spytał więc ostrożnie.

- Będziemy kontynuować poszukiwania i zrobimy, co należy. Nawet, jeśli miałyby to znaczyć, że wielu z nas nigdy nie zobaczy Dalekiego Brzegu.

Ithel i kilku elfów wyraźnie się przy tych słowach wzdrygnęło, nic jednak nie powiedzieli. Osławiona subordynacja elfów była silniejsza niż wszelkie wątpliwości i obawy.

- Pozwólcie mi zatem powiedzieć, książę Loreto - uroczyście oznajmił Ortmar z Rumowiska - że moi ludzie i ja będziemy przy Was również w niebezpieczeństwie. Istniało niegdyś przymierze między krasnoludami i elfami, teraz je odnowimy. Chyba że jesteście zdania, iż nie przyda wam się kilka ostrych krasnoludzych toporów w walce z przeważającymi siłami orków?

Loreto obrzucił go długim, badawczym spojrzeniem. W końcu jego blade oblicze rozjaśnił uśmiech i spontanicznym gestem wyciągnął dłoń do Ortmara.

- Przyjmuję waszą pomoc, bracie - powiedział. - Lud krasnoludów często jest łżony z powodu swojej chciwości i pragnienia zysku. Imię Ortmara z Rumowiska zasłynie jednak w całym Łądzie ze swej dzielności i bezinteresownego poświęcenia dla dobra świata. Gdyby śmiertelnicy tacy jak wy byli bardziej liczni, przyjacielu, elfy nie opuszczałyby *amber*.

- Dziękuję wam, książę Loreto - odpowiedział syn Ortwi na z głębokim ukłonem. W ten sposób Loreto nie dostrzegł chytrego grymasu, jaki przemknął przez brodatą twarz, gdy krasnolud ścisnął swą mięsistą prawicą białą dłoń elfa.

Orkowie z łowcą głów nadal uwięzieni byli w „spizarni”: Rammar i Balbok wisieli głowami w dół z sufitu, zaś Corwyn tkwił przykuty łańcuchami do ściany lochu.

Zmaltretowany, krwawiąc z licznych ran, najemnik przedstawiał żałosny widok, przy życiu zdawała się go utrzymywać już tylko nienawiść. Niestrudzenie szarpał się na łańcuchach, nie zważając na to, że metalowe obręcze wokół przegubów wrzynają mu się coraz głębiej w ciało. Nieprzerwanie życzył swoim prześladowcom śmierci i klątwy na wieki.

- Sąd ostateczny na tych przeklętych orków! Żeby jama Kurula pochłoneła wszystkich co do jednego z tej nędznej hołoty!

Przysięgam, jeśli kiedykolwiek uda mi się stąd jakoś wydostać, ten lotr Graishak zginie z mojej ręki...

Rammar i Balbok wymienili zakłopotane spojrzenia. Ponieważ już od dłuższego czasu wisieli głowami w dół, ich twarze zabarwiły się na ciemno, a gęsta orcza krew sączyła się z ich nosów. Trudno było im w tym położeniu zebrać myśli, ale wizja, że Graishak będzie musiał odpokutować za swoją zdradę, miała w sobie jakiś urok.

Bracia wciąż jeszcze nie uporali się z nowiną, że w ich żyłach płynie szlachetna elfia krew. Dla orka to hańba. Pewnie dlatego Graishak chciał dla nich takiego nędznego końca, jakim brzydził się każdy ork - być pozartym przez własnych współplemieńców, i to mimo wstrętnego smaku. Rammar i Balbok chętnie odrzuciliby wyznanie maga jak jakąś głupią paplaninę, nie mogli jednak tego zrobić, gdyż w końcu naprawdę udało im się otworzyć tę bramę zamkniętą od stuleci...

- Rammar? - spytał Balbok wśród nieustannego lamentu Corwyna.

- Co?

- Jesteśmy właściwie orkami czy nie jesteśmy?

- Co przez to rozumiesz, głupku?

- No cóż, jeśli to prawda, co mówi mag, to nie jesteśmy orkami, ale elfami, prawda?

- Powiedz, co ci właściwie chodzi po głowie? Śmierdząca kupa *shnorsh*? Oczywiście, że jesteśmy orkami! Orkami i niczym innym! Słyszałeś przecież, co powiedział czarnoksiężnik: Ciemny Elf uczynił nas tym, czym jesteśmy.

- Rozumiem - mruknął Balbok, ale po jego długiej twarzy można było wyraźnie poznać, że to jeszcze nie wszystko, co go trapi.

- O co jeszcze chodzi? - zapytał niecierpliwie Rammar.

- No cóż, ja... - Balbok zamilkł; nie miał odwagi tego powiedzieć.

- Wyduś to z siebie. Gdy kucharze Graishaka nafaszerują nas cebulą i czosnkiem, będzie za późno.

- Właściwie to nieważne - wyznał Balbok. - Chodzi tylko o to, że...

- Co takiego?

- ...że ja już wcześniej czasem miałem wrażenie, że my dwaj jesteśmy jakoś inni niż reszta *balboug* - szepnął Balbok, jakby obawiał się, że ktoś ich podsłuchuje.

- Co masz na myśli?

- Pamiętasz jeszcze, jak byliśmy mali? Jak wszyscy inni młodzi orkowie szli na polowanie na trolla i tylko my dwaj musieliśmy zostać w *balboug*? Albo jak wszyscy dostali swoją pierwszą bliznę, tylko nam nacięto od razu dwie? Albo jak...

- Do czego zmierzasz? - rzucił ostro Rammar.

- Może - stwierdził Balbok - pozostali zawsze przeczuwali, że z nami jest coś nie tak. To znaczy, że jesteśmy inni.

- Co za bełkot! Naprawdę, bracie, wiele głupot wygadywałeś już podczas naszej podróży, ale to jest szczyt wszystkiego. Jesteśmy orkami i koniec. Nie chcę słyszeć nic innego.

- A... jeśli ci powiem, że TO wiem?

- Że co wiesz?

- Znam twoją tajemnicę - zdradził Balbok.

- Jaką tajemnicę? - Rammar udawał, że nie wie, o co chodzi, jednak nerwowo huśtał się na swoim łańcuchu tam i z powrotem.

- Zawsze to wiedziałem - przyznał Balbok. - Właściwie wcale nie chciałem ci mówić, ale ponieważ tak niewiele życia nam zostało...

- Jaką tajemnicę? - Rammar na cały głos domagał się wyjaśnień. Spiskowy ton głosu brata doprowadzał go do szału.

- Wiem, że jesteś inny niż reszta orków - zaczął cicho Balbok. - Wiem, że ty... że nie jesz ludzkiego mięsa.

- Kto to powiedział? - wrzasnął Rammar.
- Obserwowałem cię. Zawsze, kiedy było ludzkie mięso, ty albo nie byłeś głodny, albo przynosiłeś sobie coś innego do jedzenia. Jak po bitwie z lodowymi barbarzyńcami.
- Ty obrzydliwy, nędzny, zakłamany... - Rammar wybuchnął z wielkim oburzeniem, potem jednak postanowił inaczej. - Od jak dawna to wiesz? - zapytał ostrożnie.
- Od zawsze.
- I komu o tym mówiłeś? Pewnie wie cały *balbou*, co?
- Nikomu. - Balbok potrząsnął obolałą głową. - Jesteś moim bratem, Rammar, twoja tajemnica jest u mnie bezpieczna...
- To mnie cieszy.
- ...choć muszę przyznać, że głupio mieć brata, który nie je ludzkiego mięsa - kontynuował Balbok.
- Głupio ci? - Rammar sądził, że się przesłyszał. - Ty nędzny *umbalu*, co ty sobie właściwie wyobrażasz? Masz się za lepszego? Ja nigdy się nie skarżyłem, że między twoimi uszami jest tylko puste powietrze, a jeśli już o to chodzi...

Przerwał mu donośny śmiech - to Corwyn mimo swego żałośnego stanu nieźle się bawił.

- Co cię tak śmieszy? - spytał dotknięty Rammar.
- Powinniście posłuchać, co wygadujecie - zadrwił Corwyn. - Dwóch orków, którzy martwią się, czy w ogóle należą do swojego plemienia, i na dodatek jeden z nich nie lubi ludzkiego mięsa. Kim wy właściwie jesteście?
- Uważaj, co mówisz, łowco głów - warknął Rammar - inaczej może się jeszcze zdarzyć, że zmienię swoje nawyki żywieniowe specjalnie dla ciebie.
- Wy orkowie jesteście równie głupi, co chciwi. Wasz wódz was zdradził, wasze zdziczałe plemię zamierza was zjeść, a wszystko, co wam przychodzi do głowy, to zmartwienie, czy jesteście prawdziwymi orkami czy nie.

- Na naszym miejscu też byś się martwił.
 - Na pewno nie. Na waszym miejscu zastanawiałbym się, jak uniknąć rożna i jak uciec z tej zafajdanej dziury.
 - Uciec? - Rammar rzucił orczym przekleństwem. - Takie głupoty może wygadywać tylko człowiek. Widziałeś, jak *faihok'hai* nas wiązali? Nie wygląda na to, żeby dało się wyjść sobie stąd po prostu spacerkiem.
 - Dlaczego się poddajecie? Ale z was mięczaki! Nic dziwnego, że mając was za sprzymierzeńców, przegraliśmy wojnę.
 - To nie orkowie przegrali wojnę, ale ludzie - stanowczo stwierdził Balbok. - To powszechnie wiadome.
 - Ach tak? Coś wam powiem. Mając do wyboru was jako sojuszników, wolałbym walczyć sam...
 - Naprawdę? - parsknął Rammar. - To daj powiedzieć SOBIE, że jesteś nikczemnikiem i że wolelibyśmy umrzeć niż jeszcze kiedyś walczyć u twego boku.
 - To rób tak dalej, orcza mordo. Jesteście na najlepszej drodze ku temu. - Corwyn wybuchnął gorzkim śmiechem. Potem do lochu, na oczekaniu zmienionym przez pachółków Ruraka w „spiżarnię”, powróciło milczenie.
- Przez dłuższą chwilę żaden z trójki więźniów nie odzywał się ani słowem.
- Łowco głów? - spytał w końcu Rammar.
- Zabrzmiało to raczej niemrawo.
- Tak?
 - Masz jakiś plan?
 - Możliwe.
 - To powiedz - zażądał Rammar, wysuwając ku niemu niekształtny łeb. - Zamieniam się w słuch.
 - Jesteście pewni? - spytał drwiąco Corwyn. - Musicie liczyć się z tym, że staniecie się jeszcze gorszymi orkami niż dotąd. I może nigdy już nie wrócicie do waszego *balbou*.

Rammar i Balbok nie musieli długo się zastanawiać. Mieli wybór jedynie między ucieczką a perspektywą pożarcia przez swoich współplemieńców; i tak nigdy już nie poczują w nozdrzach znajomego zaduchu rodzinnej jaskini. Porozumieli się krótkim spojrzaniem i krzywiąc się, skinęli głowami (obu przypało to o spory ból w skroniach).

- W takim razie słuchajcie uważnie - szepnął Corwyn. - Nie zamierzam szczeznąć w tym przeklętym lochu i nie mam zamiaru zostawić Alannah w łapach tego szalonego maga.

- Chcesz ją uwolnić? - pytał sceptycznie Rammar.

- Właśnie. I chcę dostać łeb Graishaka. Ta świnka ma na sumieniu moją ukochaną i aż nadto zasłużyła na śmierć.

- *Korr* - przytaknął mu Rammar. - Dokładnie tak samo uważam.

- Musimy trzymać się razem, jeśli ucieczka ma się udać - przypomniał orkom Corwyn i przedstawił im swój obmyślony naprędce plan.

Migotliwy blask pochodni zalał salę tronową starej królewskiej cytadeli złowieszczym światłocieniem.

W dawnych dniach w tej sali obradował król elfów i jego doradcy. Sprawowali sądy i sterowali losami imperium rozciągającego się niegdyś od południowych wybrzeży morza po zbocza Północnego Wału, od Stęchłej Marchii na zachodzie daleko w głąb wschodniej wyżyny.

Wszystko to dawno minęło. Królestwo elfów rozpadło się; tam, gdzie kiedyś było centrum mocarstwa, teraz rósł ogromny las, jego dawna perła obróciła się w ruinę, dumne wieże i flanki pokryła czarna, smołowata maź, świadcząca o obecności zła. Na tronie króla elfów siedziała teraz chuda postać w czarnej jak heban szacie, a jej spoglądające spod kaptura oczy iskrzyły się nieskrywaną złośliwością. Długa broda sięgała aż po brzuch. O tron stała oparta czarodziejska różdżka, wyrzeźbiona z ciemnego drewna i wykończona u góry czaszką, w której oczodołach

błyszcząły szmaragdy.

Alannah, ocknąwszy się, cicho jęknęła. Pierwszym, co zobaczyła, był ostry wzrok, jakim wpatrywał się w nią mag Rurak. Dopiero potem zorientowała się, że leży na ołtarzu z gładko ciosanego kamienia, którego powierzchnia wydaje się jej zimna jak lód Shakary. Zdjęto z niej śnieżnobiałą suknię i w zamian ubrano w bezkształtny, czarny habit. Związano jej stopy i dłonie, a usta zakneblowano brudną szmatą, żeby nie mogła krzyczeć.

Rurak poczekał, aż elfini całkiem przyjdzie do siebie. Potem sięgnął po czarodziejską różdżkę, podniósł się z alabastrowego tronu króla elfów i zszedł po stopniach. Groźnie pochylił się nad Alannah.

Patrzyła na niego przerażonymi oczami, równocześnie uświadamiając sobie wszystkie straszliwe rzeczy, jakie wydarzyły się w ostatnich godzinach przed jej zaślabnięciem. Przypomniła też sobie zamiary Ruraka. Chciała coś powiedzieć, ale z powodu knebla wydobyła z siebie tylko zduszony dźwięk.

- Zastanawiacie się, co się tutaj dzieje - odgadywał mag, zakreślając kościstą prawą ręką krąg obejmujący całą salę tronową. Podobnie jak skarbiec, komnata zamknięta była wysoką kopułą, przy ścianach stały poczerniałe posągi, a ciemność za szybami wąskich okien pozwalała domyślać się, że na zewnątrz zapadła już noc.

Ze sklepienia kapłała ta kleista, czarna maź, którą Alannah i jej towarzysze napotkali już na zewnątrz cytadeli, a pośrodku sali w podłodze ział okrągły otwór, otoczony niską balustradą. Przez ten otwór wpadał błękitny promień światła, biorący początek w najwyższym punkcie sklepienia sufitu.

Było to to samo światło, w którego blasku unosiła się korona elfów. Sala tronowa, wywnioskowała Alannah, znajduje się bezpośrednio nad skarbcem, dokładnie tak, jak to opisał Farawyn,

a otwór w podłodze prowadzi wprost do złota i szlachetnych kamieni...

Kiedy elfini rozglądała się, mag drwiąco się zaśmiał.

- Macie rację, kapłanko elfów. W dawnych czasach to miejsce było domem szczęścia i radości, pokoju i sprawiedliwości. Jakaś częśćka mnie dobrze to pamięta. Jeśli chodzi o szczęście i radość, nie byłbym taki pewien, ale pokój i sprawiedliwość zapanują tu znowu, skoro tylko Margok powróci pomiędzy żyjących.

Alannah nie mogła się dłużej powstrzymać. Wijąc się w więzach, chciała gwałtownie zaprotestować, lecz i tym razem dobyła z siebie jedynie kilka głuchych jęków.

- Czujecie jego obecność? - spytał Rurak. - Jego duch tu jest. Wszystko, czego mu brak, by wrócić z banicji, na którą niegdyś skazał go Farawyn, to energia życiowa elfa albo elficy ze szlachetnego rodu. Kiedy was zobaczyłem, Alannah, od razu wiedziałem, że to was los wyznaczył do tego zadania. W tej samej chwili, kiedy wy oddacie życie na tym ołtarzu, Ciemny Elf powróci i poprowadzi moce chaosu ku zwycięstwu.

- Mhm - znów mruknęła Alannah i gwałtownie potrząsnęła głową. Rurak zachichotał i skinął na kilku orków, trzymających się do tej pory na uboczu. Podeszli i głośno rechocząc, chwycili Alannah. Kapłanka z całych sił się broniła. Spętana i zakneblowana nie była oczywiście w stanie w żaden sposób przeciwstawić się poczwarom.

- Trzymajcie ją dobrze, brutalni przyjaciele - zwrócił się do *faihok'hai* Rurak. Potem spomiędzy fałd habitu dobył sztyletu, którego klinga była na elfią modłę wygięta, lecz całkowicie czarna. - Skoro tylko na niebie pojawi się księżyc, nadejdzie czas powrotu Margoka, a my wszyscy zostaniemy tysiącokrotnie nagrodzeni za naszą wierność.

Orkowie parsknęli; kiedy trafiała im się okazja, żeby mordować, ile dusza zapagnie, i podpalać, nie potrzebowali zapłaty.

W oczach Alannah można było dostrzec obrzydzenie, kiedy spoglądała na swoich oprawców.

- Nie patrzcie za bardzo z góry na moich pomocników - upomniał ją Rurak - są do was o wiele bardziej podobni niż sądzicie. Elfy i orkowie pochodzą z jednego pnia. Kiedy Margok nareszcie wróci, będzie dalej robił to, co kiedyś rozpoczął: nie będzie już dłużej elfów, orków, ludzi, krasnoludów i gnomów, ale wszyscy złączą się w jedną jedyną rasę, która zmieni oblicze Ładu i będzie posłuszna Władcy Ciemności...

Rozpacz dodała Alannah sił i udało jej się wypluć knebel, którym zatkano jej usta.

- Nie! - krzyknęła przerażona. - Tak nie wolno! To oznacza zagładę!

- Słusznie - powiedział Rurak i zaczął mamrotać w swoim języku formułę zaklęcia. Na jego dźwięk elfinię przebiegł po plecach zimny dreszcz...

Nagle z zewnątrz sali tronowej do środka dobiegły głośne krzyki, dały się słyszeć pośpieszne kroki, a noc dotychczas panująca po drugiej stronie wysokich okien, rozjaśniła się migotliwym światłem.

- Co się tu dzieje? - wrzasnął ostro Rurak i spojrzał na *fa-ihok'hai*. Nie otrzymał od nich odpowiedzi, za to drzwi sali tronowej otworzyły się i stanął w nich nie kto inny, jak Graishak. Ork ze stalową płytką w głowie podszedł bliżej, nie był już tak pewny siebie. - Mistrzu! - Jego krzyk odbił się echem od wysokiego sklepienia. - Wielki magu, wysłuchaj mnie!

- Co? - spytał niechętnie Rurak. - Czemu ośmielasz się przeszkadzać mi akurat teraz, niegodny robaku?

- Jestem robakiem, wiem - zapewnił Graishak i rzucił się przed magiem na kolana. - Nie gniewajcie się na mnie, dostojny mistrzu, choć przynoszę złe wieści.

- Złe wieści? O czym ty mówisz?

- Zaczął się atak na cytadelę.

- Atak? - Mag odrzucił kaptur habitu, odsłaniając łysą, kanciastą głowę. Skóra na niej tu i ówdzie była nadpsuta; przez dziury widać była gołą kość czaszki.

- To elfy i krasnoludy - lamentował Graishak. - Pod osłoną ciemności przeszli przez Wielką Bramę i zniemacka pojawili się przed cytadelą.

- Nonsens! - rozzłościł się Rurak. Od jego głosu zdrząło stęchłe, cuchnące zgnilizną powietrze. - Wygadujesz wierutne bzdury!

- Spójrzcie sami, mistrzu - zaproponował Graishak, wskazując czarną kulę, spoczywającą na trójnogu i wyglądającą zupełnie jak ta, którą Balbok nosił podczas wędrówki.

Rurak podszedł do niej, potarł ją kościstymi palcami i wymamrotał magiczne zaklęcie. Następnie z wnętrza kuli zaczęło wydobywać się światło, a czerń powierzchni zbladła. W kuli pojawiły się obrazy, najpierw niewyraźne i rozmyte, potem coraz wyraźniejsze. Ukazywały pochod elfów, z pochodniami w dłoniach ciągnących główną ulicą Tirgas Lan.

- Na mrocznego ducha Margoka! - krzyknął mag. - Jak do tego doszło? Skąd się tu wzięły te przekłete elfy?

- Nie wiem - wyznał ze skruchą Graishak.

- Ilu ich jest?

- Wielu - zabrzmiała bezradna odpowiedź.

Rurak westchnął, wiedział jednak, że orkowie mają problemy z posługiwaniem się liczbami.

- Jest ich więcej niż nas? - zapytał inaczej.

- Nie, mistrzu.

- To nie ma powodu do obaw. - Rurak uspokoił się nieco. - Wstań, głupku! I broń cytadeli! Do ostatniej kropli twojej czarnej krwi, jeśli to będzie konieczne! Żaden elf nie może wejść do tej sali, dopóki nie zakończymy ceremonii. Zrozumiałeś?

- *Korr.*

- Kiedy już wróci Margok, zgasi sługi światła swoją czar-
ną, magiczną siłą. Ale do tego czasu to ty, Graishaku, musisz
bronić cytadeli przed wrogami!

- Oczywiście, panie.

- To niespodziewany atak, przyznaję. Jednak nieważne,
jak elfy dowiedziały się o moich planach, i tak przybywają za
późno, by mnie powstrzymać. Wszystko jest przygotowane i
kiedy tylko blade światło księżyca przebiję się przez chmury,
sztylet Margoka przypieczętuje powrót mistrza na ten świat. Pan
orków powróci, a wy, moja droga - jego rozgorączkowane
wściekłością spojrzenie spoczęło na Alannah - wy wtedy umrze-
cie...

8. OINSOCHG!

Księżciu Loreto z Tirgas Dun zdawało się, że przebywa we śnie, a był to sen równie fascynujący, co koszmarne.

I choć znał historię Drugiej Wojny, i wiedział, jakiej tajemnicy strzeże Świątynia Shakary, co kryje zaklęty Las Trowna, to mimo wszystko stanął pod Wielką Bramą Tirgas Lan głęboko poruszony.

Przez cały dzień armia elfów szła tropem orków, przecinającym puszcę niczym szeroka przesieka. Z ostatnim promieniem słońca dotarli do owej wielkiej, kamiennej bramy, którą niegdyś zarygłował sam Farawyn.

Kiedy Loreto zobaczył, że Wielka Brama stoi dla nich otworem, miał na to tylko jedno wytłumaczenie: Alannah zdradziła tajemnicę Shakary - i to akurat orkom, najgorszym szumowinom *amber!*

Księżę Tirgas Dun i Najwyższy Miecznik Wysokiej Rady musiał przyznać sam przed sobą, że tak naprawdę nigdy nie wierzył w przepowiednię. Proroctwo Farawyna było czymś, co każdemu elfowi wpajano od najwcześniejszej młodości, jednak

przez setki lat tak zdecydowanie się tego trzymano, że naturalne było, iż kiedyś w końcu pojawiły się wątpliwości. Lorecie zdarzało się od czasu do czasu dawać wyraz tym wątpliwościom, wprawdzie zawsze potajemnie, jednak nie można było wykluczyć, że zaraził nimi arcykapłankę Shakary. Była w tym jakaś ironia losu, że teraz właśnie on miał przeszkodzić Alannah w zdradzeniu tajemnicy Tirgas Lan wrogom.

Jednakże wszystko wskazywało na to, że przybył za późno. Teraz i on zrozumiał, dlaczego mogli bez przeszkód przejść przez Las Trowna: wrota Tirgas Lan stały otworem, co zdejmowało klątwę Farawyna. Ale jak, zastanawiał się książę, ta brama może być otwarta, skoro poruszyć jej wrota może tylko wybraniec?

Kiedy tak filozofował, jego wojownicy wraz z krasnoludami powalili smukłe drzewa i zabrali się za sporządzenie z nich prowizorycznych drabin. Był to pomysł wodza armii, Ithela. Obawiał się, że orkowie zajęli starą królewską cytadelę w centrum Ukrytego Miasta i że się w niej zabarykadują, skoro tylko ujrzą armię elfów. Wtedy konieczny może okazać się szturm na twierdzę. Loreto uznał te przewidywania za trafne; o sobie zaś pomyślał, że okazał się naprawdę niezwykle mądrym i sprytnym Najwyższym Miecznikiem, uczyniwszy wodzem swej armii Ithela.

W końcu zapalono pochodnie i ustawiono się w nowym szyku. Konna straż przednia pod wodzą Ithela jako pierwsza przejechała przez stojącą otworem bramę miasta. Za nią ruszyła główna siła tysiąca elfich wojowników, wyposażonych po połowie w łuki i w miecze. W ich szeregach wmieszali się również Ortmar z Rumowiska i jego krasnoludy. Migotliwy blask pochodni rozproszył ciemność i oświetlał ulice miasta widma.

Książę Loreto jechał na czele głównych sił. Nigdy wcześniej nie był w Tirgas Lan, i tak naprawdę nigdy go - mimo wyrażanego

wobec Alannah powątpiewania w prorocstwo Farawyna - nie interesowało, czy miasto królów w ogóle istnieje. Zajmowanie się przeszłością nie mieściło się w jego filozofii, wolał kierować swoje dążenia i myśli ku przyszłości, którą zawsze wyobrażał sobie z dala od wszelkich spraw śmiertelników, na Dalekim Brzegu.

Jednak Daleki Brzeg był daleko, a statek, który miał go tam zanieść, wypłynął z portu bez niego. Zamiast na pokładzie tego okrętu, był teraz w Tirgas Lan, ciemną nocą dowodził armią, zaś woń zgnilizny i rozkładu unosząca się w powietrzu nie pozwalała spodziewać się niczego dobrego; czuło się tutaj zło. Loreto był wściekły na Alannah, że uciekając ze świątyni Shakary i wskazując łotrom drogę do Ukrytego Miasta, wpędziła go w to fatalne położenie. Książę elfów przysiągł sobie, że ukarze za to swoją dawną ukochaną...

Loreto i jego armia byli coraz bliżej cytadeli. We flankach zapłonęły nagle żółte promienie. Najpierw książę naliczył ich tuzin, ale z szybkością wichru ich ilość podwoiła się i potroiła - a potem wspięły się pionowo w ciemne niebo, znacząc na nim ogniste ślady.

Widok był fascynujący - aż nagle Loreto pojął, co to jest: ogniste strzały!

- Kryć się! - krzyknął przeraźliwie, na co piechurzy w ostatniej chwili skryli się za tarczami.

Płonące ładunki spadały, zraszając ulicę śmiertelnym deszczem. Kilku elfich wojowników, którzy za długo zwlekali, zostało trafionych tymi ognistymi strzałami - większości jednak udało się przed nimi umknąć. Kilka chwil później zamieszanie się skończyło, ale Loreto zauważył, że na krążgankach cytadeli sypie się już następny atak.

- Orkowie! - krzyknął ktoś skrzekliwym głosem. Był to nie kto inny jak sam dowódca armii - Ithel, który na czele straży przedniej pośpiesznie wracał do sił głównych. - To orkowie!

Cała armia! - Osadził swego szlachetnego konia obok jeszcze szlachetniejszego rumaka księcia Loreto i począł mówić zdyszczanym głosem: - Te łądaki są uzbrojone po zęby, panie, i jak się spodziewaliśmy, zajęły twierdzę!

- Wiedziałem! - syknął Loreto, a w następnym momencie na krenelażu cytadeli rozległ się wściekły ryk orków. Książę elfów wzdygnął się. Nie chciał tego, nie chciał walczyć, nie chciał ryzykować życia dla sprawy, w którą nie wierzył. Cóż go obchodzi, co stanie się ze światem śmiertelników? Niech Alanah zawiera sobie przymierze ze sługami mroku, co go to obchodzi, on i tak chce uchronić z ciasnoty świata śmiertelnych i znaleźć nową ojczyznę na Dalekim Brzegu.

- Co mam zrobić, książę Loreto? - Ithel chciał decyzji. - Dać rozkaz do ataku?

- Ataku? - Loreto ociągał się. Jasne, jakaś jego część, ta wychowana do obowiązkowości i posłuszeństwa, chciała ulec naleganiom wodza armii - za to druga postrzegająca walkę o *amber* jako dawno przegraną: po co ryzykować życie dla ratowania świata, który nie chce być uratowany?

- Nie - powiedział Loreto i pokręcił głową. - Nie będziemy atakować.

- Co? - Wódz armii wbił w niego wzrok z niedowierzaniem.

- Daj rozkaz do odwrotu, szlachetny Ithelu.

- Ale...

- Otrzymaliśmy zadanie uwolnić kapłankę Shakary z rąk porywaczy, ZANIM wskaże im drogę do Tirgas Lan. Najwyraźniej już na to za późno, zatem nie ma tu już dla nas nic do roboty.

- Ale książę Loreto! Nie możemy pozwolić, by te łotry okupowały miasto królów. Wiecie, czyj duch według starej legendy uwięziony jest w murach Tirgas Lan!

- I co? Oczekujecie, że poświęcę życie moich ludzi z powodu jakiejś starej bajki o duchach?

- Ale w pismach Farawyna...

- Wiem, co napisano w pismach Farawyna, wodzu Ithelu. Minio to nie zamierzam życia mojego i moich żołnierzy...

- Za pozwoleniem, książę Loreto - wszedł mu w słowo Ortmar z Rumowiska; dowódca krasnoludów słyszał wszystko i nie zamierzał tak po prostu zrezygnować ze skarbu. - Czy nie traktujecie tego zbyt lekko? Czy nie jest waszym świętym obowiązkiem strzec własnym życiem starego miasta królów?

- Jak śmiecie czynić mi zarzuty, panie krasnoludzie? - wybuchnął książę elfów. - Jakim prawem pozwalacie sobie orzekać, co jest moim obowiązkiem, a co nie?

- Prawem tego, kto jest gotów poświęcić krew swoją i swoich ludzi dla powstrzymania mocy mroku - pewnym głosem odparł Ortmar. - Syn Ortwina dał wam swoje słowo, że będzie u waszego boku walczył z fajdakami, i wy również daliście swoje słowo. Chcecie powiedzieć, że w dzisiejszych czasach słowo elfa nie ma żadnej wartości?

- Krasnolud ma rację, mój książę - Ithel poparł syna Ortwina. - Pomyślcie o waszej sławie, o szlachetności waszego imienia. Jeśli rozkażecie teraz odwrót, Wysoka Rada uzna to za tchórzostwo i niewypełnienie obowiązku, i nie pozwolą wam na wyjazd do Dalekiego Brzegu.

Loreto wciągnął głęboko powietrze, poczuł woń pożaru i śmierci. Podniosłe słowa krasnoluda nie zdołały zmienić jego decyzji, lecz napomnienie Ithela dało mu do myślenia. Wódz armii miał rację: jeśli bez walki pozostawi Tirgas Lan w mocy chaosu, odmówią mu prawa do podróży na Daleki Brzeg. Musi przynajmniej zachować pozory, że pragnie poświęcić wszystko dla odzyskania zajętej przez orków cytadeli i...

- Ogniste strzały! - zawołał ktoś, i znów posypał się grad ognistej broni, ciągnąc za sobą kłęby szarego dymu.

W bezpośrednim pobliżu Loreta padł trafiony w pierś młody elf. Upadł na ziemię, głośno chrypiąc, z wciąż płonąca strzałą wbita w podrygujące ciało.

Loreto poczuł narastającą w gardle kluczę.

- Więc dobrze - powiedział bezdźwięcznie. - Atakujemy!

- Straże! Straaaże! Natychmiast do mnie!

Rammar wrzeszczał tak głośno, że prawie załamywał mu się głos, choć zgiełk bitwy rozgrywanej u bram cytadeli nie docierał do lochów.

- Co to ma znaczyć? - zapytał przerażony Corwyn. - Czemu wzywasz strażę?

- Zamknij pysk! - odpalił szorstko Rammar. - Straż! Na flaki Kurula, chodźcie tu wreszcie! Mam coś ważnego do powiedzenia! Jest tu więzień, który chce uciec!

- Zdrajca! - krzyknął rozwścieczony Corwyn. - Nędzny ork! Wiedziałem, że nie można ci ufać!

- Trzeba było wcześniej się zastanowić - powiedział Rammar, nadal wiszący na łańcuchu głową w dół, potem znowu krzyknął: - Straże! Straaaże!

W końcu na korytarzu za kratą dało się słyszeć kroki. Pojawił się gnom wyznaczony do pilnowania więźniów - szkaradny i jak na swoją rasę niezwykle wysoki typ, z żółtymi kłami, wystającymi z zielonego pyska.

- Wreszcie - mruknął Rammar. - Najwyższy czas. Chodź tu, muszę ci powiedzieć coś ważnego!

- Zdrajca! - wściekał się Corwyn, szarpiąc łańcuchy. - Nędzna świnią!

Gnomowi chyba się podobało, że więźniowie się kłóczą, bo rozchichotał się, rad z cudzego nieszczęścia. Otworzył drzwi celi i wszedł z na poły uniesioną dzidą.

- Mam ważną wiadomość dla Graishaka - szybko paplał Rammar. - Ten tam człowiek planuje uciec z lochu i krwawo zemścić się na naszym ukochanym wodzu. I jeszcze chce uwolnić kapłankę elfów, ten jednooki lump!

Gnom najwyraźniej zrozumiał każde słowo i parsknął gniewnie. Odwrócił się do łowcy głów, by pomęczyć go czubkiem swej dzidy. Dźgał Corwyna, aż ten krzyknął.

- Odpokutujesz za to, orku! - pomstował. - Sam Kurul ześle ogniste pioruny, żeby przypalić ci twoją przeklętą *asar* i nie zostanie z ciebie nic poza cuchnącą, dopalającą się...

Więcej nie powiedział - gdyż w tym momencie do akcji wkroczył Balbok.

Chudy ork, który wisiał u sufitu z zamkniętymi oczami i wyglądał, jakby stracił przytomność, nagle wspiął się na łańcuchu, biorąc silny zamach całym ciałem - i poleciał wprost na gнома.

Zielony, który skupił akurat całą uwagę na Corwynie i właśnie znów chciał dźgnąć go dzidą, nie zauważył nadlatującego Balboka. A ten otworzył szeroko pysk - i z całej siły ugryzł!

Ostre jak nóż zęby orka przecięły włóknistą skórę i dotarły do żyłastego mięsa. Kiedy kły Balboka rozszarpały tętnicę wartownika, trysnęła jego zielona krew. Gnom zaskrzeczał jak oszalały, wrywając się, ale Balbok nie puszczał.

Huśtając się na łańcuchu tam i z powrotem, szarpał gнома i potrząsał nim jak żarłoczny drapieżnik swoim łupem. Smak ciepłej, niesolonej gnomiej krwi przyprawiał go prawie o wymioty, ale przemógł się i jeszcze mocniej zacisnął zęby, aż kark gнома pękł z makabrycznym chrzęstem. Skrzeczenie nagle ustało i strażnik bezwładnie zawisł w paszczy Balboka.

- Wreszcie - warknął Rammar. - Już myślałem, że będziesz się patyczkował do jutra, ty nędzny *umbalu*!

- Niezły z ciebie aktor, tłuściochu - powiedział z uznaniem Corwyn. - Przez chwilę nie byłem pewien, czy naprawdę nie zmieniłeś zdania.

- A żebyś wiedział, człowieku. My, orkowie, jesteśmy pełni niespodzianek.

- Najwyraźniej - mruknął Corwyn, patrząc na nieżywego gнома w paszczy Balboka. - Rzuć go teraz do mnie, długasie, żebym mógł wyciągnąć klucze.

- Mhm - mruknął Balbok, że się zgadza, i na nowo rozhuśtał się na łańcuchu, tym razem w kierunku Corwyna. Zwłoki wartownika wykorzystał, by wziąć jeszcze większy zamach, potem rzucił Corwynowi małego, zielonego niedorostka, celując tak dobrze, że człowiekowi udało się go schwycić skutymi nad głową rękami. Zdołał jakoś wyciągnąć pęk kluczy, zamocowany u paska gнома.

Nie było łatwo dłońmi śliskimi od własnej i gnomiej krwi wsunąć klucz w zamek kajdanków i je otworzyć - ale w końcu Corwyn był wolny i ledwie mógł pojąć własne szczęście.

- Hej! - krzyknął do niego Rammar, bezradnie bujając się u sufitu. - Nie zapomnisz o nas, *korr*?

- *Korr* - przytaknął Corwyn i poruszył kołowrót służący do spuszczenia łańcuchów. Rammar i Balbok uderzyli głowami o ziemię, przeklinając i złorzecząc, ale gdy Corwyn w końcu uwolnił ich z więzów i stanęli na chwiejnych nogach, zaraz się uspokoili.

- I co teraz? - spytał Balbok, rozcierając bolącą głowę.

- Do Alannah! - krzyknął Corwyn, biorąc bezpieczną dzidę gнома. - Ten mag planuje dla niej jakieś łajdactwo, ale ja do tego nie dopuszczę.

- To idź - zachęcił go Rammar. - Balbok i ja tymczasem przedostaniemy się do skarbcza.

- Nie ma mowy - sprzeciwił się Corwyn. - Trzymamy się razem, na wypadek, gdybyśmy natknęli się na hordę orków.

- Dobrze, więc chodźmy wszyscy do skarbcza - zdecydował Rammar. - O elfinię zatroszczymy się później.

- WTEDY będzie ZA PÓŹNO, nie dociera to do twojej pustej mózgowicy? - wydarł się na niego Corwyn. - Alannah potrzebuje naszej pomocy, nie możemy jej tak zostawić. W końcu to JEJ zawdzięczamy, że tu jesteśmy.

- Zgadza się - przyznał Balbok.

- Poza tym ten wasz Graishak też będzie przy niej - przekonywał dalej Corwyn, teraz już spokojnym tonem - a jeśli dobrze zrozumiałem, nie ja jeden mam z nim rachunki do uregulowania.

- Nie - przyznał Rammar i parsknął tak, że z jego nozdrzy buchnęła para. - Na pewno nie.

- Więc?

- Zatroszczymy się o elfinię - zgodził się Rammar. - A potem weźmiemy skarb...

Główna ulica Tirgas Lan drżała pod równomiernym krokiem elfów, maszerujących ku bramie cytadeli. Orkowie spuścili kratę, lecz nie zamknęli wrót - warcząca, szczerząca zęby zgraja, wywracająca żądnymi krwi oczami, tłoczyła się po drugiej stronie kraty i aż rwała się, by rzucić się na atakujących.

Książę elfów przekazał dowodzenie atakiem dowódcy wojsk Ithelowi, a sam kierował łucznikami. Sądził, że w ten sposób ma nieporównanie większą szansę na przeżycie czekającej ich walki.

- Strzały... teraz! - rozkazał i elfy wypuścili z cięciw smukłe strzały.

W odróżnieniu od orków nie używali płonących pocisków, dzięki czemu poczwary nie dostrzegły nadlatującej pod osłoną ciemności śmierci. Ostrzegł ich dopiero świst licznych strzał, brzmiały w powietrzu na chwilę przedtem, nim pierzasta śmierć setkami położyła ich trupem.

Loreto ze swego miejsca nie mógł poznać, jak wielu orków padło pod gradem strzał - ale po krzykach poczwarał, że nie jeden grot trafił celu. Może, miał cichą nadzieję, bitwę da się rozstrzygnąć na dystans...

Dowódca armii Ithel nie miał takich złudzeń, podobnie Ortmarr z Rumowiska. Naczelny wódz armii elfów i przywódca krasnoludów ramię w ramię zbliżali się do cytadeli na czele swoich ludzi - elfy zdyscyplinowane maszerowały falangą, za to krasnoludy beładnie rzuciły się naprzód z dzikim wrzaskiem, chcąc dotrzeć do długiego kroku towarzyszącej walki.

Orkowie na blankach przywitani ich ognistymi strzałami, które jednak w większości odbiły się od tarcz elfów albo zostały odrzucone toporami krasnoludów. Jednak raz po raz któraś z kiepsko wycelowanych orczych strzał przebijająca się przez osłonę atakujących - rozlegał się krzyk elfa trafionego w pierś albo szyję płonącym grotom.

Ich miejsce natychmiast zajmowali towarzysze, wypełniając luki w szeregach atakujących. Równym krokiem zbliżali się do muru, nie zważając na czekającego ich tam strasznego wroga. W końcu elfy i krasnoludy dotarły do bramy cytadeli.

Ithel uniósł miecz i donośnym głosem rzucił rozkaz. Natychmiast falanga jego żołnierzy podzieliła się. Osłaniając się tarczami przed lecącym z murów gradem strzał i kamieni, elfy ustawiły prowizoryczne drabiny szturmowe, zaś smukła kolumna, przed wiekami wyciosana z białego marmuru, zmieniona została w przygotowany naprędce taran.

Pod osłoną kolejnej chmary strzał wystrzelonych przez łuczniczków Loreto elfy natarły z kolumną na kratę, za którą kłębiła się zaśliniona zgraja orków. Dzielni wojownicy przedarli się przez zasłonę iskier i dymu, a prowizoryczny taran łupnął ze strasliwym impetem w przeszkodę. Krata zadrżała i kilku wspinających się na nią orków straciło oparcie i runęło na *saparak'hai*

swoich kompanów - lecz zardzewiały metal wytrzymał uderzenie.

Elfy cofnęły się i wzięły ponownie rozbieg. Niejeden z nich padł pod ciosami kamieni, miotanych na nich z krenelaża przez orków. Nie ustając w wysiłkach, elfy wciąż na nowo uderzały w kratę. Ich towarzysze próbowali szturmować cytadelę, wspinając się po murach. Ithel osobiście prowadził atak; błękitny pióropusz u jego hełmu powiewał przed oczami wojowników niczym sztandar.

Do orków na murach przyłączyło się również sporo gnomów. Przygarbione przycupnęły na blankach i wysyłały na atakujących krocie zatrutych strzał. Dzielni wojownicy tuzinami z krzykiem padali na ziemię. Nieugięty Ithel poganiał jednak swoich wojowników, sam też przykładając rękę, gdy trzeba było ustawiać prowizoryczne drabiny, i pierwszy wspinał się przeciw zaślinionym poczwárom.

Loreto zaś z bezpiecznej odległości obserwował bitwę na murach cytadeli. I choć brzydził się wojną i walką, nagle jego pierś wypełniła duma - duma z wojowników, tak mężnie rozdających ciosy w walce z wrogiem. Był pewien, że z pomocą Ithela, uda im się zdobyć twierdzę. Niech dowódca armii ryzykuje sobie swoje życie - i tak to on, Loreto, zbierze należną chwałę...

Ithel wchodził po drabinie na czele krasnoludów i elfów, świetlisty dziedzic Farawyna w drodze po zwycięstwo. Już wspinał się na koronę murów, gotowy do skoku przez blanki, już miał błyszczącym ostrzem miecza stawić czoło mocom chaosu - kiedy zardzewiałe żelźce orczego topora jednym ciosem odra- bało mu głowę od tułowia.

Loreto patrzył przerażony, jak hełm z błękitnym pióropuszem leci w bok, a pozbawiony głowy tułów Ithela pada w tył i zmiata z drabiny wszystkich, którzy szli za nim. W tym czasie na blankach cytadeli wyprostował się ork, który pozbawił wodza głowy - szkaradna, ordynarna postać, o oczach błyszczących szaleństwem,

z lewą połową czaszki zastąpioną przez połyskującą, stalową płytkę.

Poczwara ryknęła dziko i machnęła zakrwawionym toporem - Loreto miał uczucie, że wzrok obłąkańca, stojącego w bitewnym zgietku, skierowany jest wprost na niego.

- Na Dalekim Brzegu - wymamrotał cicho, a potem zdało się, że gardło ciemności otworzyło się i połknęło wojsko elfów.

Na krenelaże twierdzy przyniesiono wielkie kotły - i nim Loreto czy ktokolwiek inny zdołał krzyknąć ostrzeżenie albo wydać rozkaz odwrotu, na elfy trzymające taran wylała się wrząca smoła.

Rozległ się przeraźliwy krzyk wojowników. W następnej chwili na blankach ponownie zamigotał ogień i w dół poleciały płonące strzały. Plac przed bramą zmienił się w morze płomieni, gniewnie zalewające wszystko, co było w stanie dosięgnąć.

Książę widział wokół elfy zmienione w żywe pochodnie i krasnoluda, którego broda zajęta się ogniem. Jak on przeraźliwie krzyczał i rzeźił, gdy płomień pożerał jego twarz. Odór spalonego mięsa dotarł do nosa Loreta, sprawiając, że zrobiło mu się niedobrze. Oszołomiony patrzył, jak spadkobiercy Farawyna giną w ogniu.

Opanowała go panika i nie był w stanie pozbierać myśli. Wódz elfów stał nieruchomo. Dawno już nie było mowy o ataku, porządek armii rozsypał się. Jedni byli martwi, drudzy ranni wili się po ziemi, inni z krzykiem rzucili się do ucieczki. Tylko nieliczni trwali jeszcze na swoich pozycjach, ale i ich w końcu dosięgała śmierć w płonącej smole albo w gradzie strzał.

- Panie! - Do ucha Loreta dobiegł głos jakby z wielkiej dali. - Panie, co rozkażecie?...

Loreto potrzebował chwili, żeby rozpoznać stojącego przed sobą łucznika. Był to młodziutki, może siedemnasto- albo

osiemnastoletni chłopak, który pytająco patrzył na swego księcia.

- Co rozkażecie, panie? - powtórzył łucznik. - Nasi miecznicy i sprzymierzeńcy z królestwa krasnoludów są w potrzebie. Musimy uderzyć, panie, i dać wsparcie naszym towarzyszom broni!

- Dać wsparcie... - Bezdźwięczne echo z ust Loreta wydało się pozbawione sensu. Po całej tej masakrze, jakiej się przyglądał, nie myślał już o tym, by wspierać innych czy w ogóle chcieć jeszcze zmienić losy nierównej bitwy. Nie chciał skończyć jak Ithel, nie chciał stać się ofiarą barbarzyńskiego orka, którego topór nie znał respektu przed dostojnością i wiekiem elfiego dziedzictwa.

Wszystko, czego pragnął Loreto, to wsiąść na okręt do Dalekiego Brzegu - i w tym celu musiał przeżyć...

- Nie - powiedział, a jego głos zabrzmiał tak mocno i zdecydowanie, że zaskoczył nawet jego samego.

- Nie? - Młody łucznik uniósł brwi. - Co to znaczy, panie?

Loreto spojrział ku bramie, gdzie wciąż walczone i umierano. Ochrypy wrzask orków wypełniał noc, odpowiadały mu krzyki rannych i rozpaczliwe wołania walczących o życie.

- To znaczy, że bitwa jest przegrana - spokojnym głosem oznajmił księżę elfów. - Wycofujemy się.

9. OUNCHON-AIRUN

Przez wysokie okna do sali tronowej wpadał migotliwy blask płomieni, docierał tu również krzyk orków, brzęk broni i rżężenie umierających. Rurak Rzeźnik zdawał się tego jednak nie dostrzegać.

Stał z zamkniętymi oczami, zatopiony w głębokiej medytacji, mamrocząc coś w starym, zakazanym języku. Czarne ostrze magicznego sztyletu skierowane było na Alannah leżącą na ofiarnym ołtarzu, w mocnym, bezlitosnym chwycie strażników.

Faihok'hai tylko z niej szydzili. Wybuchali salwami śmiechu, kiedy rozpaczliwie wiała się w ich łapach. Z oczami szeroko otwartymi ze strachu wpatrywała się w klingę, groźnie się nad nią kołyszącą i w myślach beształa siebie za to, że porzuciła Shakarę i dawne życie. Dlaczego pragnęła odmiany, rozrywki i przygód? Lekkomyślnie zdradziła wszystko: teraz zamiast strzec powierzonej jej tajemnicy Targas Lan, to właśnie ona będzie ofiarą, która na nowo uwolni ducha Ciemnego Elfa. *Amber* NA

NOWO pograży się w mroku, a winę za to ponosi szlachetnej krwi kapłanka elfów...

Jej oczy napełniły się łzami żalu i rozpacz, w myślach błagała swoich przodków i kosmiczny porządek świata o przebaczenie za wszystko, co sprawiła, kierując się pychą i lekkomyślnością. Jednak drwiący śmiech orków i czarna klinga nad piersią zdawały się odpowiadać jej, że nie ma dla niej przebaczenia...

Nagle salę tronową wypełniło blade światło. Zza chmur wychylił się księżyc, jego nikię, zimne światło padło na Ukryte Miasto - i raptem salę przecięła pojawiająca się znikąd błyskawica.

Rechot orków nagle zamilkł.

- Kurul! Kurul! - mamrotały poczwary i w ich przekrwionych oczach widać było strach.

Lodowaty powiew powietrza przemknął przez starą salę tronową, przeniknął przez ubranie i skórę, sprawiając, że elfini przemarzła do szpiku kości. Nienaturalny wiatr powoli przeszedł w wicher i w starych murach rozszalała się burza. Alannah zdawało się, że w żalosnym wyciu wiatru słyszy dźwięczny, triumfujący śmiech - czy może się myliła?

Leżący tu od stuleci kurz, okruchy spróchniałego drewna, świec i małe kawałki kamieni wirowały wściekle podrywane porywistym orkanem, którego centrum znajdowało się na ołtarzu. Rurak pochylony nad kapłanką ze swoim czarnym sztyletem zdawał się stać w oku cyklonu; wiatr nawet go nie dotykał. Orkowie jednak w panice rozglądali się i dziko krzyczeli - by w końcu, gdy znów znikąd nadeszły jaskrawe błyskawice, rzucić się do ucieczki na łeb, na szyję. *Faihok'hai* może i byli najdzielniejszymi i najlepszymi wojownikami swego plemienia, ale kiedy sam Kurul okazywał swą moc i miotał ogniste pioruny, wtedy i oni ulegali panicznej trwodze.

Rurak nie zważał na nich. Miał nadal zamknięte oczy i mamrotał zbrodnicze zaklęcia. Alannah wątpiła, czy w ogóle zauważył, co dzieje się wokół niego. I w tej powszechnej panice dostrzegła szansę ucieczki. Spętana spróbowała stoczyć się z ołtarza, by ująć zabójczemu ostrzu, które w każdej chwili mogło się w niej zatopić.

Udało jej się obrócić i już miała zsunąć się z krawędzi kamiennego blatu - kiedy zdarzyło się coś niespodziewanego. Znow przez salę przemknęły pioruny, lecz tym razem skupiły się na klindze sztyletu uniesionego w jednej dłoni Ruraka, podczas gdy druga zaciskała na różdżce.

Z wielu stron równocześnie w czarne ostrze uderzyły jaskrawe promienie, zlewając się z nim w jedno - i błyskawica, nie jasna i rozżarzona, ale przeciwnie, w kolorze przerażającej czerni, strzeliła z ostrza broni i trafiła w Alannah. Elfini nagle nie była w stanie się poruszyć. Ogarnęła ją niszczycielska energia pioruna i wstrząsała nią drgawki.

- Nie! - wrzasnęła, przepełniona bólem i przerażona, gdyż było dla niej jasne, że to, co czuje, to moc Ciemnego Elfa.

Rurak otworzył oczy i patrzył na Alannah jak oszalały.

- Margoku! - wołał, przekrzykując świst i huk nawałnicy. - Władco ciemności, zjaw się!

- JAM JEST, MÓJ WIERNY SŁUGO! - odpowiedział jak echo głos, pozbawiony ciała i zdający się frunąć na skrzydłach orkanu. - CZYŃ SWOJĄ POWINNOŚĆ! ODBIERZ ŻYCIE, BYM JA MÓGŁ WRÓCIĆ DO ŚWIATA ŚMIERTELNYCH!

- Niech się stanie! - krzyknął Rurak i zamierzył się do uderzenia sztyletem w serce elfini...

Najszybciej, jak pozwalały im umęczone nogi, Rammar, Balbok i Corwyn biegli przez długie korytarze.

Dwaj orkowie byli jeszcze oszołomieni i mieli miękkie kolana po tym, jak wiele godzin wisieli u sufitu głowami w dół.

Również najemnik z trudem trzymał się na nogach po torturach, jakie zadał mu Graishak, a gałganek na jego twarzy wciąż był przesiąknięty świeżą krwią. Mimo to trójka niedobrych towarzyszy pośpiesznie posuwała się naprzód, gnana wolą zemsty na swoich dręczycielach i chęcią udaremnienia ich planów.

Ich jedynym uzbrojeniem była dzida gнома wartownika niesiona przez Corwyna. Orkowie musieli zdać się na swoje kły, pazury i pięści, gdyby przyszło im walczyć. Tym, że będą musieli zmierzyć się ze swymi współplemieńcami, Rammar i Balbok niewiele się trapił. Rurak i Graishak popełnili błąd, zdradzając ich - w takich sprawach orkowie nie znają się na żartach...

Po stromych, kręconych schodach wbiegli do cytadeli. Nie trudno było zorientować się, w jakim kierunku powinni iść - huk burzy i migotliwy poblask trzaskających piorunów przenikały korytarze starego królewskiego zamku, i nawet dla Balboka było jasne, że odpowiedzialny za to mógł być tylko Rurak.

- Ceremonia już się zaczęła - wychrypiał zadyszany Corwyn. - Musimy się pośpieszyć!

Biegli długim korytarzem. W pewnej chwili Rammar dostrzegł przez wąskie okno płonący na zewnątrz ogień i uzbrojone po zęby postacie, tłoczące się na krenelażach.

- Na zewnątrz trwa walka! - krzyknął do towarzyszy. - Ktoś atakuje cytadelę!

- Tym lepiej - mruknął Corwyn. - Przyda nam się każda pomoc przeciw tym nędznym lotrom...

Zbliżali się do końca korytarza - tym samym do miejsca, gdzie brał początek szalejący w zamku orkan. Taka burza nie mogła mieć naturalnego pochodzenia, Rammarowi i Balbokowi narosły na karku wszystkie włoski na karku, gdy uświadomili sobie, że mają do czynienia z magią.

Biegając, pokonywali lodowaty, stale wzmagający się wiatr. Drewniane drzwi na końcu korytarza zostały zniszczone przez orkan. Na wędrowców poleciał grad drzazg i roztrzaskanych kamieni. Musieli osłaniać twarze rękami, z trudem posuwając się krok po kroku naprzód.

Nagle drogę zagroziła im potężna postać z okapującymi śliną kłami, nabiegłymi krwią oczami i stalową płytką w czaszce.

Niespodziewanie z bocznego korytarza z zakrwawionym toporem wyszedł Graishak. Szczyrzył zęby. Migotliwa błyskawica wydobyła z ciemności jego szpetną gębę.

- A gdzie to się wybieracie? - spytał, szyderczo się uśmiechając.

- Do Ruraka - odpowiedział, krzywiąc się, Corwyn, któremu pierwszemu udało się pokonać szok.

- To idziemy w tym samym kierunku - oznajmił Graishak.
- Właśnie chciałem zanieść magowi wieść o naszym zwycięstwie...

- Jeszcze nie wygrałeś, żelazny mózdzku! - sprzeciwił się Corwyn i zaatakował go gnomią dzidą nasączoną trucizną, której nawet ork musiał się strzec.

Graishak instynktownie uchylił się i tym samym umożliwił im przejście do korytarza.

- Teraz! - krzyknął Corwyn do swoich orczych towarzyszy. - Biegnijcie najszybciej, jak potraficie! Uwolnijcie elfinę, nim będzie za późno!

Rammar rzucił się na łeb, na szyję, mijając Graishaka, ale Balbok jeszcze się ościągał.

- Biegniesz? - pogonił go Rammar. - Nie słyszałeś, co mówił człowiek?

- Odkąd to robimy, co każe jakiś człowiek? - wymamrotał w odpowiedzi Balbok, jednak mimo wszystko ruszył się i pobiegł za bratem.

- Odkąd dzięki niemu wciąż pozostajemy przy życiu - odpowiedział Rammar, pędząc dalej swoim świńskim truchtem, ale Balbok już deptał mu po piętach.

Graishak i łowca głów zostali w tyle i ruszyli na siebie, trzymając broń w gotowości. Dzida gнома przeciw ciężkiemu toporowi orka - Rammar bał się myśleć, jak skończy się ta walka.

- Uwolnijcie Alannah! - zawołał jeszcze za nimi łowca głów, nim minęli wyrwane z framugi, strzaskane drzwi.

Uderzył ich powiew wiatru, znacznie silniejszy niż na korytarzu. Weszli do obszernej sali, w której szalała trąba powietrzna. Mnóstwo przedmiotów unosiło się w powietrzu: kawałki drewna, metalowe świeczniki i wiele innych. Orkowie musieli wciągnąć głowy w ramiona i przygarbić się, by ustrzec się przed uderzeniem. Rozszalały orkan wirował wokół środka sali, gdzie w podłodze ział okrągły otwór i stał kamienny tron. Między nimi znajdował się ołtarz, na którym Rammar i Balbok dostrzegli Alannah.

Elfini nie była sama.

Pochylał się nad nią Rurak, ze sztyletem w jednej i czarodziejską różdżką w drugiej dłoni. Z ostrza broni wydobywał się promień, który swą głęboką czernią ogarniał kapłankę Shakary. Alannah zdawała się być niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Dokładnie wtedy, gdy orkowie wpadli do sali tronowej, czarno-książnik zamachnął się, by w jej serce wbić sztylet!

- *Douk* - ryknął Balbok z całej siły, katapultując się na długich nogach przez całą salę, nie zważając na szarpiący nim wiatr.

Ostry i zabójczy sztylet opadł, by położyć kres życiu elfini i tym samym pozwolić zaistnieć innemu życiu.

Jednak czarna klinga nie dosięgła Alannah.

Gnany własnym gniewem i przemożną ochotą, by napluć do *bru-mill* magowi, który tak zdradliwie ich potraktował, chudy

ork jednym szalonym susem przesadził odległość do maga i dosłownie w ostatniej chwili, gdy klinga Margoka już miała zanurzyć się w piersi kapłanki, odepchnął Ruraka.

A ten, stojąc z zamkniętymi oczami, zatopiony w mrocznych zakłęciach, nie spodziewał się ataku. Krzyknął i zatoczył się do tyłu wprost na tron elfów, jakby brał go bezprawnie w posiadanie. Czarodziejska różdżka, którą zaskoczony wypuścił z ręki, trzasnęła o podłogę.

Ponieważ jednak ostrze sztyletu nie było już skierowane w Alannah, czarny promień oderwał się od elfini i podrygując wokół, szukał nowego celu - i znalazł go!

Był nim sam Rurak, który już w następnej chwili został otoczony powłoką czarnej energii. Wstrząsany konwulsjami spadł ze stopni elfiego tronu, rżąc przy tym, jak ktoś płonący żywcem. Próbował dosięgnąć swojej różdżki, ale daremnie. Głośno krzyząc, wił się po podłodze.

- Ty katastrofo w orczej skórze - zawołał Rammar, gdy i on dotarł do kamienia ofiarnego. - Co żeś znowu narobił?

- J... ja nie wiem... - zająknął się Balbok.

Rammar mrugnął do niego.

- Dobra robota, bracie. Zabieramy elfinię i znikamy!

Kiedy Rammar tak mówił, znaczyło to oczywiście, że kapłankę ma nieść Balbok. Biedna, była nieprzytomna i miała poszarzałą cerę. Nadal pojedyncze wyładowania trzaskały wokół jej powabnej postaci, zgasły dopiero, gdy chudy ork uniósł ją i przerzucił sobie przez ramię - tak samo jak wtedy, gdy razem z bratem porywali ją ze świątyni Shakary. Wydawało się, że od tamtego czasu minęły wieki...

- Znikajmy stąd! - krzyknął Rammar i orkowie z trudem ruszyli do wyjścia, walcząc z niszczycielską burzą, która zdawała się przybierać na sile. Rammar uderzony w głowę spróchniała deska miotał przekleństwa. Balbok chwycił kandelabr, który w przeciwnym razie strzaskałby mu czaszkę. Długi na dobre cztery *knum'hai* świecznik miał szeroką okrągłą podstawę i w razie

potrzeby można go było użyć również jako broni, więc ork na razie go zatrzymał.

Gdy bracia dotarli do wyjścia, jeszcze raz odwrócili się i spojrzeli na maga, który rzeził jak opętany, a z jego wytrzeszczonych oczu strzelały czarne błyskawice.

- *Shnorsh* - mruknął Rammar. - Szybko, w nogi...

- I co, łowco głów? Masz już dość? - Szyderczy uśmiech na ohydnej paszczy Graishaka był tak szeroki, że dzielił jego oszpeconą bliznami gębę na połowy.

- Niedoczekanie twoje! - odpowiedział Corwyn, mimo że do ran, które zadano mu na torturach, dołączyły kolejne.

Wielokrotnie ledwie o włos uszedł wściekłym atakom wodza orków i kilka razy nie zdołał uniknąć muśnięcia ostrym jak nóż żeleźcem topora. Miał też kilka złamanych żeber, tam, gdzie Graishak dosięgnął go drzewcem swej broni. Do tego na jego prawym udzie ziała otworem głęboka rana, skutkiem czego Corwyn ledwie już trzymał się na nogach.

Łowca głów próbował ignorować to wszystko, zagryzając zęby, koncentrując się całkowicie na przeciwniku i pozwalając woli zemsty, by dodawała mu sił.

Wierzchem dłoni, jak już niezliczoną ilość razy, otarł krew z jedyne go pozostałego mu oka, mierząc orka wzrokiem pełnym nienawiści. Potem znowu zacisnął obie pięści na gnomiej dziedzie, aż zbieleły mu kostki u rąk.

- Boisz się? - spytał, rozkoszując się swoim pytaniem Graishak. Ork zamachnął się toporem, aż zagwizdało powietrze. Nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że w jego przekonaniu to on wyjdzie z tego pojedynku zwycięsko.

- Ciebie na pewno nie - odpowiedział przekornie Corwyn.
- Ty podstępnie zabiłeś kobietę, którą kochałem, i torturowałeś mnie dla przyjemności. Jesteś zepsutym, obrzydliwym łotrem, orku, i za to zginiesz!

- Co ty nie powiesz - zakpił Graishak. - A mnie się zdaje, że to twój zakrwawiony skalp zawiśnie za chwilę u mego pasa.

- Jesteś *asar'tul* - odpowiedział Corwyn i ponownie rzucił się do przodu, z czubkiem dzidy skierowanym w pierś orka. Oczywiście, mógł też rzucić dzidę, ale gdyby chybiła celu, zostałaby bezbronny, a to by oznaczało pewną śmierć.

Niespodziewany atak Corwyna poprowadzony ociężale i na chwiejnych nogach nie zrobił wrażenia na Graishaku. Wódz orków parsknął drwiąco, uchylając się przed nadlatującą dzidą, okręcił się przy tym wokół własnej osi i zadał łowcy głów cios trzonkiem topora.

Uderzenie trafiło człowieka w plecy i było tak mocne, że zatonął się w przód na czarną ścianę korytarza. Dzida gnoma złamała się, a jej nasączony trucizną czubek tylko o włos minął twarz najemnika.

- Powoli, łowco głów! - zadrwił Graishak. - Chcesz stracić również drugie oko? Byłoby szkoda. Chętnie bym je poddusił na wolnym ogniu i zjadł. Wiedziateś, że duszone ludzkie oczy smakują jak miód?

- Nie - skrzywił się w odpowiedzi Corwyn - ale zawsze byłem ciekaw, jak smakują duszone oczy orków...

Z tymi słowami chciał się wyprostować, by ponownie zaatakować. Ale Graishak doszedł najwidoczniej do wniosku, że ten nierówny pojedynek trwa już dostatecznie długo. Mając dość słabszego przeciwnika, ork rzucił się do przodu z dzikim parsaniem, brzmącym jak sapanie wściekłego warga i zamachnął toporem, chcąc rozplatać przeciwnika na dwie części.

Ostrze broni opadało już wprost na Corwyna, który zbyt wyczerpany, by jeszcze się przed nim uchylać, pogodził się już z losem i pocieszał, że oto niedługo spotka Marenę po drugiej stronie rzeki życia.

Spodziewał się, że topór bezlitośnie rozplata mu czaszkę - gdy nieoczekiwanie dobiegł go metaliczny dźwięk i zabójczy cios topora odparowano tuż nad głową łowcy.

Ten otworzył swoje jedyne oko i zobaczył, że tym, co uratowało mu życie, był żelazny kandelabr. Ów masywny przedmiot trzymał nie kto inny, jak Balbok. To nim odparł topór Graishaka.

- Ty! - krzyknął Graishak i ryknął wściekle. - Czemu ty jeszcze żyjesz? Czy mag nie poradził sobie z dwoma bezmózgi-
mi *umbal'hai*?

- Mag jest zajęty - odpowiedział Balbok. - Przegraliście obaj, ty śmierdzielu!

- Na wszystkie robaki w zgniłych trzewiach Torgasa! - wrzasnął Graishak, a jego i tak makabrycznie szkaradne rysy oszpecił jeszcze bardziej grymas wściekłości. - Odpokutujesz za to! Nikt bezkarnie nie nazywa mnie śmier...

Wódz orków przerwał w pół słowa. Kłujący ból przeszył go, zdając się rozrywać od środka. Na chwilę przestał zważać na swego pełzającego po ziemi ludzkiego przeciwnika, a ten wykorzystał tę nieuwagę i z całej siły wbił czubek pękniętej gnomiej dzidy wprost w brzuch Graishaka.

- Śmierdziel! - mruknął przekornie łowca głów.

Wytrzeszczonymi oczami, jakby miały mu zaraz wypaść z oczodołów, Graishak spojrział w dół na wystające mu z brzucha odłamane drzewce.

- T... trucizna gnomów - wyjąkał, uświadamiając sobie, że to oznacza dla niego śmierć. Z niedowierzaniem przeniósł wzrok najpierw na Corwyna, potem na Balboka, i w nagłym wybuchu niepohamowanej wściekłości zamachnął się toporem, by chociaż łowcę głów pociągnąć za sobą w mroczną czeluść Kurula.

Ale Balbok się tego spodziewał.

Ledwie Graishak odłonił się, unosząc ramię, chudy ork dolnym końcem kandelabru walnął w pierś swego zdradzieckiego

wodza. Graishak stracił równowagę i zatoczył się - a ork wzięł szeroki zamach i uderzył jeszcze raz!

Okrągła podstawa kandelabru trafiła wroga z całej siły w czaszkę. Rozległ się obrzydliwy trzask i tam, gdzie stalowa płytka łączyła się ze skórą i kośćmi, trysnął mózg - w ilości większej niż można by podejrzewać Graishaka.

Niczym rażony piorunem stał nadal, tępym wzrokiem gapiąc się na przeciwników. Przez chwilę wyglądało, jakby zamierzał, jak kiedyś, żyć dalej na przekór wszelkim prawom natury - potem topór wysunął mu się z łapy i brzęknął o podłogę, a zaraz za nim jego właściciel z roztrzaskanym łbem osunął się i leżał bez ruchu.

- Śmieszne - stwierdził Balbok, gdy wokół głowy Graishaka tworzyła się kałuża czarnej, orczej krwi - zawsze myślałem, że stalowy łeb może wytrzymać więcej...

- Chodźcie tu, wy dwaj! *Luark!*

To Rammar ich wołał. Gruby ork czaił się na podłodze w pewnym oddaleniu, obok nieprzytomnej Alannah, którą wcześniej położył tam Balbok.

- *Rushoum'dok kro'dok!* - krzyknął Rammar. - Ona chyba umiera!

- Nie! - Mimo wyczerpania i licznych ran Corwyn zdołał się podnieść. Pokuśtykał do leżącej bez życia elfini. Ujrzał potargane jasne włosy i ciało owinięte w czarny wór, naciągnięty na nią przez pacholców Ruraka. - Nie zniosę tego jeszcze raz! - zawołał, padając przy niej na kolana. - Nie wolno ci umierać, słyszysz?

Alannah nie poruszała się. Jej szara jak popiół twarz wyglądała, jakby uszło z niej całe życie.

- Musisz żyć! - zaklinał ją Corwyn. Ułożywszy sobie na łonie jej głowę, gładził zakrwawionymi dłońmi jej włosy. - Musisz żyć! Nie chcę cię stracić, jak straciłem Marenę! Nie przeżyję tego jeszcze raz, słyszysz? Nie wytrzymam!

Z pozostałego mu oka trysnęły łzy i spłynęły po policzku. Balbok i Rammar wymienili zatroskane spojrzenia.

- Żyj, słyszysz? Musisz żyć! - Corwyn przemawiał do Alannah, trzymając ją w ramionach, ale elfini nie poruszała się, a jej twarz wydawała się z każdą chwilą coraz bledsza. - Nie, nie! To nie może być prawda! Nie wolno ci umierać! - Corwyn mówił bez przerwy, drżąc na całym ciele z bólu i rozpacz, kołysząc jednocześnie w ramionach nieruchomą kapłankę.

W końcu Rammar dotknął jego ramienia.

- Już po wszystkim, łowco głów - powiedział cicho ork. - *Kriok'dok*. Ona nie żyje.

- NIEEEEE! - krzyknął Corwyn tak głośno, że głos mu się załamał, i odepchnął dłoń orka. - Nie jest martwa! Musi żyć, rozumiesz, ty wstrętny typie? Ona musi żyć, bo ja ją kocham!

Jakby to było cudowne zaklęcie, przełamujące moc zła i ratujące życie, Alannah nagle łapczywie złapała powietrze. Jej pierś uniosła się, a ona otworzyła oczy i pytająco spojrzała na Corwyna.

- Co?... Co?...

Człowiek z ogromną ulgą odetchnął i szybko otarł łzy z zakrwawionej twarzy.

- Ja... ja myślałem, że cię straciliśmy...

Alannah, jeszcze oszołomiona, patrzyła na niego dziwnym wzrokiem.

- A wybrańiec daruje życie tam, gdzie sięgnął już cień śmierci - zacytowała fragment tekstu z proroctwa Farawyna, którego przechowanie było jej zadaniem przez trzysta lat. - Uratowałeś mi życie, Corwynie - szepnęła. - Ty jesteś wybrańcem!

Corwyn potrząsnął głową i pomógł jej wstać, choć sam ledwie mógł utrzymać się na nogach.

- Na pewno nie - powiedział łagodnie. - Ja tylko... Ja nie mogłem wytrzymać myśli, że cię stracę.

- O czym ty mówisz? Jestem zdrajczynią - smutnym głosem powiedziała Alannah. - Nie jestem godna żyć dalej!

- Nie zgadzam się z tym - oznajmił Corwyn - bo cię kocham! - I bez uprzedzenia przycisnął usta do jej ust, a ona oddała mu namiętny, gorący pocałunek.

- Dobra, dobra, gołąbki - dobiegł ich głos Rammara. - Ślicznie, żeście się wreszcie zgruchali. Ale gdyby mnie ktoś pytał, to teraz nie jest dobry moment na robienie małych elfoludzików. Musimy postarać się stąd uciec, nim...

- Za późno! - powiedział głos o sile dudniącego grzmotu.

Rammar odwrócił się - i ku swemu przerażeniu zobaczył Ruraka.

Stał za nim w postrzępionej szacie. Miał miejscami zwęgloną skórę i nadpaloną długą brodę, a umazana krwią twarz zmieniła się w nieruchomą maskę, z której patrzyły na nich płomienne oczy.

I wtedy w czarnoksiężniku dokonana się makabryczna przemiana...

10. UR'KURUL LASHAR'HAI

To nie był regularny odwrót. Łucznicy elfów na łeb, na szyję biegli w dół główną ulicą Tirgas Lan, by jak najdalej znaleźć się od cytadeli opanowanej przez straszliwego przeciwnika.

Kiedy nieliczne elfy walczące jeszcze na murach zobaczyły, że ich towarzysze broni uciekają, opuściła ich odwaga i same rzuciły się do ucieczki - w czasie której plecy niejednego z nich dosięgła zatruta strzała gnomów.

- A dokąd to? - krzyknął grzmiącym głosem Ortmar z Rumowiska. Na szeroko rozstawionych nogach, z toporem w dłoniach, syn Ortwina stał niczym skała w rzece, nieruchomo na przekór rwącemu prądowi wodnych mas. - Nie chcecie zostać i walczyć? - wołał gniewnie, nie mogąc uwierzyć, że jego sen o wielkim skarbie pozostanie niespełniony. Podbiegło ku niemu dwóch jego ludzi, w pociętych hełmach, z osmalonymi brodami i wieloma krwawiącymi ranami.

- Dlaczego uciekacie? - naskoczył na nich. - Zostańcie łaskawie tutaj i walczcie! Bo każę Thaliniowi, żeby wam wszystkim poobcinał brody!

- Thalini nie żyje! - oznajmił mu jeden z krasnoludów. - Jeden ork obciął mu głowę i wetknął ją na włócznię.

- A Marwin? Ragnar? Edwin?

- Wszyscy martwi! - Brzmiała odpowiedź. I gdy jego ludzie mijali Ortmara, uciekając w panice, wreszcie i on pojął, że bitwa o Tirgas Lan jest przegrana. Posłał ostatnie tęskne spojrzenie ku murom, przed którymi wysoko strzelały płomienie, i zobaczył wzdłuż krenalaza głowy powbijane przez orków na włócznie. Na ten widok jego żołądek wykonał fikołka, wylewając całą zawartość na długą brodę swego właściciela, po czym syn Ortwina również rzucił się do ucieczki.

W tym momencie z terkotem otworzyła się krata zamykająca cytadelę i z bramy wypadła horda jazgoczących i wrzeszczących, uzbrojonych po zęby orków. Maszkary biegiem goniły uciekających - ich żądza krwi nie była jeszcze zaspokojona...

Twarz maga - poorana zmarszczkami jak stara, skórzana kurtka - w wielu miejscach pękała. Ciało pod nią psuło się i odpadało od kości, zaś oczy Ruraka rozplynęły się w brejowatą masę, powoli kapiącą z oczodołów - tak samo jak we śnie, który Rammar miał pierwszej nocy w Lesie Trowna.

Również ręce maga, które ten wyciągał, chcąc rysować w powietrzu formuły zaklęć i mamrocząc mroczne klątwy, rozpadły się na oczach wędrowców; cienka jak pergamin skóra rwała się, a spod rozkładającego się ciała wyjrzały białe kości.

W końcu czarnoksiężnik stał przed nimi niczym żywy szkielec, z którego tu i ówdzie zwisały kawałki zepsutego mięsa, a w pustych oczodołach żarzył się pomarańczowo-czerwony, migotliwy ogień.

- WY NAIWNIAKI! - sztychł grzmiącym głosem, a koścista szczeka klekotała przy otwieraniu i zamykaniu, lecz słowa nie pochodziły tak naprawdę z jego ust. Wędrowcy usłyszeli ten sam głos, który przyniesiony przez wiatr Alannah poznała już w sali tronowej. - CZY NAPRAWDĘ MYŚLELIŚCIE, ŻE ZDOŁACIE UCIEC PRZEDE MNĄ?

- To Margok! - pisnęła Alannah, gdy Corwyn pomagał jej stanąć na nogi. - Jego duch opętał maga!

- TAK WŁAŚNIE JEST - potwierdziła straszliwa postać. - ALE CIAŁO RURAKA JEST STARE, A CZAR, KTÓRY GO DOTYCHCZAS UTRZYMYWAŁ PRZY ŻYCIU, PRZESTAŁ DZIAŁAĆ. TO, CZEGO MI TRZEBA, TO ENERGIA ŻYCIOWA ELFA. TWOJA ENERGIA, KAPŁANKO.

- Nie ma mowy, kościotrupie! - odpowiedział zdecydowanie Corwyn. - Alannah należy do mnie!

- JAKIE TO WZRUSZAJĄCE, ŁOWCO GŁÓW - zadrwiło straszły. - I MYŚLISZ, ŻE TO MNIE POWSTRZYMA?

Margok zaśmiał się grzmiąco, a jego śmiech zdawał się wstrząsać fundamentami cytadeli. Potem uniósł kościste ramiona i wystrzelił z nich złowieszcze, czarne pioruny.

Corwyn odruchowo pociągnął Alannah na podłogę, sam jednak nie zdołał uniknąć trafienia przez błyskawicę. Krzyknął jak raniony mieczem. Również Rammar, który ze względu na swą otyłość nie był dostatecznie zwinny, został trafiony i ryknął jak oszalały; otoczyła go burza wyładowań czarnej energii.

W tym czasie Balbok, któremu udało się w porę usunąć z zagrożonej strefy, chwycił leżący bezpiecznie na podłodze topór Graishaka, z zamiarem odrąbania nim głowy maga.

- IDIOTA! - wrzasnął kościotrup i nim Balbok dotarł do przeciwnika, strzeliła ku niemu czarna błyskawica i rzuciła nim w tył. Jak trafiony maczugą trolla, Balbok poleciał w powietrze, wyładował twardo na ziemi, po czym przewrócił się.

- *Shnorsh!* - wydarł się Rammar. - Musimy uciekać, szybko uciekać!...

Nie sprzeciwił mu się nawet Corwyn, ruszyli więc biegiem wzdłuż korytarza, potykając się i powłócząc nogami - w kierunku sali tronowej.

Mag, śmiejąc się głośno, szedł za nimi na klekoczących kulach. Raz po raz miotał ciemne błyskawice, poganiając w ten sposób przed sobą wędrowców i chcąc ich wpędzić w pułapkę. Nie myśleli o tym, że z sali tronowej nie ma ucieczki, pragnęli po prostu uciec przed prześladowującym ich straszylem.

W sali tronowej nie szalała już burza. Wszędzie leżały rozrzucone odłamki drewna i okruchy kamieni. Rammar i Corwyn zrozpaczeni rozglądali się za drogą ucieczki, kiedy do starej królewskiej sali wszedł Margok. Władczym gestem kościstej dłoni zniósł działanie praw natury i wszystkie szczątki leżące wokół poderwały się, by ze świstem polecieć ku wejściu, które właśnie minął, i je zabarykadować.

Nie było stąd żadnej ucieczki.

Przyjaciele, którzy niegdyś byli wrogami, schronili się przy tronie elfów.

- SZKODA, ŻE NIE WIDZICIE SAMYCH SIEBIE - szydził Margok. - SIEDZICIE TAM W KUCKI I DRŻYCIE ZE STRACHU. DAJCIE SOBIE POWIEDZIEĆ, NAIWNIAKI, ŻE KRÓLESTWO ELFÓW JUŻ NIE ISTNIEJE. ZA TO WRÓCIŁEM JA, MARGOK MROCZNY, BY WZIĄĆ CO DO MNIE NALEŻY. LAD BĘDZIE MÓJ, I TYM RAZEM NIKT NIE ZDOŁA MNIE POWSTRZYMAĆ!

Mówiąc to, znów wykonał bogaty w skutki gest - Rammar stracił grunt pod nogami. Niepokonana siła porwała go w górę, ku sklepieniu. Krzyknął ze strachu i przerażenia, zrobił w powietrzu fikołka - rozrzucając na wszystkie strony skąpą zawartość swego żołądka.

- Dość tego, magu! Daj mu spokój! - zażądał Corwyn.

Zaś Balbok, wodząc wokół ponurym wzrokiem, z wyszczerzonymi zębami - zamachnął się i cisnął topór Graishaka w Margoka. Celował tak dobrze, że żeleźce powinno rozplątać go na pół - lecz o szerokość dłoni przed nim topór zatrzymał się w locie i po prostu zawisł w powietrzu.

- To WSZYSTKO? - spytał mag i roześmiał się. - CZY TO JEST WSZYSTKO, NA CO MOŻECIE SIE ZDOBYĆ PRZECIWI WIELKIEMU MARGOKOWI? WY GŁUPIE STWORZENIA! UMRZECIE WSZYSCY, A ŚWIAT O WAS ZAPOMNI. NIE MIAŁA SENSU WASZA DALEKA PODRÓŻ, NIE MIAŁY SENSU WASZE WYSIŁKI, BO TO JA, MARGOK, BĘDĘ TRIUMFOWAŁ. A TERAZ CHODŹ, ELFINI. DOPROWADŹMY DO KOŃCA TO, CO ROZPOCZĄŁ MÓJ WIERNY SŁUGA RURAK.

Tymi słowami mag dał spokój Rammarowi, który z hukiem spadł na ziemię i jak kamień wylądował nieprzytomny u stóp wielkiego posągu. Następnie owa nienaturalna siła, która przed chwilą kręciła orkiem w powietrzu, chwyciła Alannah i wyrwała ją z ramion Corwyna.

- Nie! - krzyknął łowca głów, próbując ją utrzymać.

Był jednak zbyt osłabiony, a moc maga zbyt wielka. Elfinię chwyciła niewidzialna dłoń i rzuciła do Margoka, czekającego z uśmiechem kościstej szczęki.

Nagle podłoga sali tronowej zadrżała. Jak przedtem w skarbcu, coś załomotało w głębinach cytadeli i w następnej chwili drżenie ziemi wstrząsnęło starą królewską salą, tak mocno, że zważyło Corwyna i Balboka z nóg. Tylko Rammar, leżący bez ruchu na podłodze u stóp wielkiego posągu, niczego nie zauważył.

- KTO TO BYŁ? - wyrwało się Margokowi.

- To strażnik, zbrodnicza kreaturo! - odpowiedziała mu Alannah, nadal unosząc się w powietrzu, na odległość wyciągniętej od Margoka ręki. - Spał przez setki lat. Obudziła go chciwość pewnego orka i przybędzie tu spełnić obowiązek nałożony na niego dawno temu.

- STRAŻNIK? - spytał mag, i choć na jego twarzy nie było mięsa ani skóry, przez chwilę malowało się na niej za niepokojenie. - JAKI STRAŻNIK? NIE PRZYPOMINAM SOBIE ŻADNEGO STRAŻNIKA...

Sala tronowa ponownie zadrżała, a z uszkodzonego przez burzę sufitu posypał się tynk i odłamki kamieni.

- Może go nie pamiętasz, ale on cię dobrze zna - krzyknęła Alannah. - Kiedyś, nim przyszły tu elfy, do niego należał cały kraj. Jako strażnik skarbu służył dawnym królom, ale ty go zdradziłeś.

- ALE TO NIEMOŻLIWE! - zawołał Margok, któremu zaświtało, o czym mówi elfini. - TO ZUPEŁNIE NIEMOŻLIWE. ON JUŻ NIE ŻYJE. SAM GO ZABIŁEM...

- Próbowałaś - odpowiedziała kapłanka. A wśród narastającego dudnienia i wstrząsów ledwie słychać było jej słowa. - Powinieneś być wiedzieć, że nie można zabić tego, co istnieje od początku dziejów. Może smok, który niegdyś strzegł skarbu Tirgas Lan, już nie żyje - ale mimo to wraca Dragnadh!

Z czeluści skarbcza dobiegł nagle niesamowity hałas. Dało się słyszeć jakieś brzęczenie, gruchotanie i metaliczne szelesty. Coś potwornego, zagrzebanego głęboko pod stosami nieprzebranych kosztowności - gnane pierwotną siłą - zaczęło przekopywać się ku powierzchni, rozrzucając przy tym bezładnie całe złoto.

- NIE! - wrzasnął przerażony Margok.

Wtem zgasł wpadający do szybu ze sklepienia słup błękitnego światła i dało się słyszeć parskanie, które zagłuszało nawet dochodzący z głębi rumor, z otworu buchnęła para. Balbok i Corwyn wymienili przerażone spojrzenia, nie wiedząc, co o tym sądzić.

Następnie coś z niesamowitym impetem uderzyło w podłogę sali tronowej. Wstrząs znów był tak silny, że zachwiały rzeźbami na ścianach. Balbok z trwogą patrzył, jak monument, u stóp

którego leżał jego nieprzytomny brat, poruszył się, grożąc zmiażdżeniem Rammara!

Przy kolejnym uderzeniu Balbok ruszył biegiem przed siebie. Sypały się na niego tynk i kamienie. Uciekając, rzucał trwożliwe spojrzenia na szyb, którego balustrada była już częściowo zwalona i wtedy zobaczył ogromną, kościstą łapę wyłaniającą się ze skarbca i zaciskającą na krawędzi otworu.

- *Shnorsh!* - wrzasnął i przyspieszył kroku, gdyż za łapą ukazała się druga, a to, co potem wysunęło się z jamy, było niewątpliwie największym i najstraszliwszym pyskiem, jaki Balbok widział w życiu: dwa puste oczodoły, obramowane błękitno świecącą czaszką, poniżej ogromna szczeka, a w niej zęby, z których każdy był tak wielki jak wyrosnięty gnóm.

Margok krzyknął zatrwożony - i w następnej chwili owa ogromna kreatura potężnym uderzeniem przebiła się przez podłogę sali tronowej! Ponieważ była większa od otworu, rozsadziła jego krawędź. Odłamki kamieni poleciały na wszystkie strony i Margok do obrony musiał użyć swojej magicznej siły. Zapomniał o elfini, w skutek czego spadła z krzykiem na podłogę. Natychmiast znalazł się przy niej Corwyn.

W deszczu złota i połyskujących szlachetnych kamieni z jamy wynurzył się Dragnadh i wznosił się pod sufit - była to ogromna, budząca trwogę postać, machająca skrzydłami, która z zabójczą siłą waliła wokół długim ogonem. Był to smok - tyle że jego skóry nie pokrywały łuski jak u gada; jego kości nie chroniło ani mięso, ani ścięgna. To, co zobaczyli Corwyn i Alannah, to ogromny szkielet stwora, otoczony błękitną poświatą, utrzymywany przy życiu wyłącznie magiczną siłą. W pewnym sensie stanowił on odpowiednik upiornego maga.

Margok na widok Dragnadha wrzasnął pełen nienawiści. Ci dwaj spotkali się już raz, przed wieloma setkami lat:

Podczas bitwy o Tirgas Lan stoczyli dramatyczną walkę nad wieżami i kopułami miasta. Wtedy, z tamtego starcia, Margok wyszedł zwycięsko, jednak najwyraźniej nie unicestwił swego przeciwnika...

Kilkoma silnymi uderzeniami skrzydeł Dragnadh wzbił się pod szczyt kopuły. Tam zatrzymał się na moment, jakby chciał się rozejrzeć pustymi oczodołami po sali tronowej. Na widok maga w postrzępionej szacie z niewidzialnych płuc wyrwał się ogłuszający, gniewny ryk.

Corwyn i Alannah, by nie ogłuchnąć, zasłonili uszy dłońmi. Natomiast mniej wrażliwy na hałas Balbok dotarł w tym momencie do brata. Ryczenie Dragnadha sprawiło wprawdzie, że gruby ork niemal zupełnie oprzytomniał, jednak nadal zdawał się nie wiedzieć, gdzie jest i co się stało. W ostatniej chwili Balbok chwycił go, poderwał w górę i, mimo znacznej wagi brata, odciągnął na bok; zaraz po tym, na skutek przenikliwego wycia Dragnadha, posąg w końcu się przewrócił i ogromna figura roztrzaskała się dokładnie tam, gdzie jeszcze przed chwilą leżał Rammar.

Tymczasem Margok otrząsnął się z szoku i wybuchnął głuchym, szyderczym śmiechem.

- A WIĘC JESZCZE ŻYJESZ, SMOKU! - krzyknął w górę ku sklepieniu kopuły. - DOPROWADŹMY ZATEM NASZA SPRAWĘ DO KOŃCA. NIE MOGĘ SIĘ DOCZEKAĆ!

Powiedziawszy to, uniósł kościste ramiona i strzelił czarnymi błyskawicami w Dragnadha. Na kilka chwil upiorne monstrum otoczyła ciemna aureola, z którą zdawał się walczyć elfi ogień, utrzymujący Dragnadha przy życiu. Z gardła stwora wydobyło się straszliwe wycie i zaczął on dziko walić kościstymi skrzydłami.

W końcu udało mu się uwolnić od niszczyielskiej mocy czarnych błyskawic. Jeszcze przez moment smok wisiał nieruchomo pod sklepieniem - potem złożył skrzydła jak drapieźny

ptak, który dostrzegł łup, i runął pionowo w dół. Margok, będący celem tego ataku, wrzasnął skrzekliwie. Jeszcze raz uniósł dłonie i strzelił czarną jak noc błyskawicą, nie wycelował jednak dokładnie i chybił Dragnadha.

- NIEEE! - ryknął mag z całej siły, na moment nim dosięgła go płomienna włócznia błękitnego ognia.

Z hukiem głośniejszym od grzmotów najsilniejszej burzy, ogień elfów pochłoniął Margoka. Mag krzyczał i machał wokół siebie rękami - nic to jednak nie pomagało. Jego kościste ciało stanęło w płomieniach i podobny do płonącej błękitnym ogniem pochodni Margok skakał dookoła, rycząc i miotając się jak oszalała, aż zbliżył się niebezpiecznie blisko do krawędzi szybu.

Kiedy Dragnadh rozpostarłszy potężne skrzydła, wzniósł się nad maga i posłał w niego kolejny ognisty promień, Margok zrobił krok w pustkę. Przerażliwie krzycząc, stracił równowagę i runął w dół, na złoto skarbcza.

Balbok i Rammar, kompletnie oszołomieni całym tym hukiem i szumem, wymienili tylko spojrzenia. Po czym zaczęli głośno wiwatować, nie zważając na Dragnadha nadal latającego nad otworem szybu. Jeśli upiorny smok widział orków, nie dawał tego po sobie poznać; jego uwagę przykuwały inne, ważniejsze sprawy. Na nowo wzbil się ku sklepieniu. Tym razem jednak nie zatrzymał się pod nim, ale znów zaczął miotać niszczącym ogniem.

Płomień sięgnął powały i rozsadził ją. Poleciał deszcz kamiennych odłamków, które roztrzaskały się o podłogę w sali tronowej. Między poszarpanymi krawędziami otworu pojawił się blady księżyc. Z zatrzęsającym rykiem Dragnadh wysunął się na zewnątrz i zniknął. Gdzie? To było orkom zupełnie obojętne.

- *Shnorsh* - powiedział cicho Balbok. - Co to takiego było?

- Czy ja wiem? - Rammar wzruszył ramionami. - Przy najmniej teraz wiemy, co znajdowało się za tą bramą, której kapłanka nie pozwoliła nam otwierać.

- I co teraz? - dopytywał się Balbok, patrząc na uszkodzony sufit.

- Jeszcze pytasz? - Rammar skrzywił się zuchwale, rozcierając bolącą głowę. - Ruszamy do skarbcza...

Na końcu głównej ulicy, w migotliwym blasku pochodni, pojawiła się Wielka Brama. Loreto odetchnął, gdyż za tą bramą znajdował się pogrążony w nocy las, który teraz, kiedy została z niego zdjeta kłątwa Farawyna, nie oznaczał już śmierci ani zniszczenia, ale bezpieczne schronienie.

Ulice Tirgas Lan rozbrzmiewały echem krzyku orków, które opuściwszy cytadelę, rzuciły się w pościg za uciekającymi elfami i krasnoludami. Raz po raz za uciekinierami padał grad strzał, i niejeden z nich kończył z upierzonym grotem w plecach. Tych, którzy byli ranni albo nie uciekali dość szybko, orkowie bezlitośnie wycinali w pień. Poczwary wciąż były żądne przemocy i krwi.

Serce Loreta podeszło mu do gardła i zastanawiał się, czy kiedykolwiek zobaczy Daleki Brzeg. Trwoga ścisłała mu krtań. Nie na wiele zdały się wbijane koniowi ostrogi, gdyż przed księciem elfów tłoczyła się cała masa uciekającej armii i w związku z tym nie było przejścia. Wojownicy w dzikiej panice przepychali się przez igielne ucho bramy.

Loreto oglądał się co chwilę i widział doganiającą ich coraz szybciej hordę orków. Maskary dopadły już ostatnich zbiegów i bez uprzedzenia wycinały wszystkich, co do jednego. Na ziemi zostawały same tułowia; głowy zamordowanych orkowie rzucali za elfami i krasnoludami, jakby chcieli im w ten sposób dać do zrozumienia, jaki czeka ich koniec.

Żądza krwi tych bestii nie znała granic i Loreto zrozumiał straszliwą prawdę, że mimo wszystkich starań, by utrzymać się

przy życiu, nigdy nie dotrze do Dalekiego Brzegu...

- Książę Loreto! Patrzcie!

To Elian wykrzyczał te słowa - młody łucznik wiernie trwający u boku swego nielojalnego pana. Drżącą dłonią wskazał w górę na cytadelę.

Coś z ogromną siłą wydostało się ze zwieńczonej wieżami kopuły. Coś, co wzbilo się do oświetlonych blaskiem księżyca chmur i tam zatrzymało na moment. Coś, co wyglądało jak...

- Dragnadh - szepnął Loreto i nie mógł uwierzyć, że rzeczywiście widzi na własne oczy tego stwora, którego przez całe życie uważał za mit i legendę. Potem powtórzył, tym razem krzycząc: - Dragnadh!

Kilku żołnierzy, którzy się zatrzymali, odwróciło się; ujrzeli ogromnego smoka, który mimo że miał jedynie kości, to emanował zatrważającą siłą. Przenikliwy ryk wydobył się z pustej piersi upiornego potwora, gdy spadał w dół na krenelaże cytadeli. Ziejąc mieniącym się błękitnym ogniem, runął wprost na setki rozwrzeszczanych orków.

- Dragnadh! Dragnadh!...

Coraz więcej elfów zamiast uciekać patrzyło w oszołomieniu na to, co dzieje się na murach twierdzy. Orkowie i gnomy z krzykiem skakali po blankach, ogarnięci zimnym ogniem, który żywcem ich pochłaniał. Od ich rżenia i okropnych wrzasków straszniejszy był tylko ryk Dragnadha po każdym z jego ataków. Smok wciąż na nowo wzbijał się, by niczym drapieżny ptak runąć w dół, przynosząc zniszczenie i śmierć poczwarom na krenelażach.

Loreto zamilkł ze zdziwienia.

Według legendy Dragnadh był kiedyś potężnym smokiem, ujarzmionym w pradawnych czasach przez króla elfów Sigwyna. Na jego gnieździe zbudowano miasto Tirgas Lan, a w zamian za to, że Sigwyn darował mu życie, smok strzegł królewskiego skarbu.

Złożył uroczyste ślubowanie, które - jak głosi legenda - obowiązywało go nawet po śmierci.

Powiadano, że smok zginął podczas ostatniej bitwy o Targas Lan...

Kiedy elfy i krasnoludy pojęły, że otrzymały niespodziewane wsparcie, i kiedy zobaczyły, jak ich bezlitośni wrogowie równie bezlitośnie zrzucani są z murów cytadeli, rozległy się głośnie wiwaty. Wznoszono triumfująco zaciśnięte pięści i broń ku nocnemu niebu.

Tymczasem twierdzę ogarnęły błękitne płomienie, po orkach nie było na blankach już ani śladu. Uderzając kościstymi skrzydłami, Dragnadh przeleciał nad murem i prychając, szybował wzdłuż głównej ulicy śladem orków, którzy gonili uciekające elfy i krasnoludy. Poczwary dawno zorientowały się, że przybył im nowy, potężny wróg, ale ich rozum był albo zbyt otepiały, albo za bardzo były ogarnięte żądzą krwi, by rzucić się do ucieczki. Szczercząc zęby, stawały do walki z Dragnadhem, aby po chwili dać się pożreć przez toczącą się ulicą, błękitną kulę płomieni.

Jeden po drugim orkowie padali ofiarą zimnego, smoczego ognia. Nie było ratunku. Kilku próbujących wziąć nogi za pas Dragnadh chwycił kościstymi łapami i rozerwał na strzępy. Na głównej ulicy Targas Lan dokonywała się przeraźliwa masakra, wszystko trwało zaledwie kilka chwil - kiedy minęły, nie żył już żaden ork ani gnom. Tam, gdzie dopiero co tłoczyły się setki poczwary, teraz popieleały czarne stosy, z których dobywał się straszliwy smród.

Dragnadh obejrzał swoje dzieło i zamruczał zadowolony. Potem skierował się ku elfom i krasnoludom.

Loreto zeszczywniał.

Jego radość z oglądania klęski orków była tak wielka, że nie przyszło mu do głowy, iż Dragnadh mógłby zaatakować samego

księcia i jego ludzi - w końcu są elfami i tym samym potomkami prawowitych władców tego miasta. Z drugiej strony, zaświtało teraz Loretowi, wdarli się do Tirgas Lan równie bezprawnie jak poczwary i wątpliwe było, czy Dragnadh potraktuje ich inaczej.

Elfy krzyknęły przerażone, kiedy koszmarny smok nadlatywał na kościstych skrzydłach. Leciał tuż nad ich głowami, wprost do Loreto.

Książę elfów żałował, że siedząc na koniu, wystaje z tłumu i jest widoczny z daleka. Było dla niego jasne, że już za późno na ucieczkę. Struchlały patrzył na prychającego potwora, który zatrzymał się zaledwie na długość włóczni od niego. Stwór utrzymywał się w powietrzu na skrzydłach, które rozpościerał i opuszczał na przemian. Swoje puste oczodoły, w których żarzył się błękitny ogień, skierował na Loreta.

Książę miał uczucie, jakby upiorna kreatura przejrzała go na wskroś, zaglądając na samo dno jego duszy. Patrzyli na siebie przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę. Potem Dragnadh wzbił się ponownie, by z gniewnym parsaniem wrócić do cytadeli. A Loreto pojął, co powinien zrobić.

- Do ataku! - rozkazał donośnym głosem i dobył miecza.
- Co? - zapytał zbity z tropu Eilan. - Ale, panie...
- Do ataku! - powtórzył Loreto i nawrócił konia. - Poczwary pokonane, Tirgas Lan jest nasze!

Powiedziawszy to, wbił ostrogi w boki konia i w szeregach zwycięzców utworzył się szpaler. Książę przejechał ze stukotem końskich kopyt, unosząc wysoko elfi miecz w kierunku twierdzy.

Przez chwilę jego ludzie ociągali się. Potem dowódcy oddziałów wydali rozkazy, by iść za nim, i wśród przenikliwego do szpiku kości wrzasku elfy pobiegły, a za nimi krasnoludy - tym

razem już nie w rozsypce, jak podczas ucieczki, ale pewni zwycięstwa mijali dopalające się szczątki orków.

A Dragnadh wrócił do cytadeli...

W skarbcu to, co wcześniej leżało na samym dole, teraz znalazło się na wierzchu.

Góry złota wznoszące się w obszernej sali spłaszczyły się, posągi i skrzynie zostały zasypane lawinami monet i szlachetnych kamieni, a pośrodku skarbcza ział ogromny krater - tędy Dragnadh wydostał się z głębin swej ostoi na powierzchnię.

Tym, że w skarbcu czuć śmierć i siarę, Rammar i Balbok się nie przejmowali. Zeskoczyli z poszarpanej krawędzi otworu w sali tronowej i amortyzując impet skoku ugięciem kolan, wyłądowali na złotych i srebrnych monetach.

Balbok zgarniał wszystko, co było w zasięgu jego łap, nie zważając na to, czy bierze drogocenne, czy mniej wartościowe kosztowności. Rammar za to dokładnie przyglądał się każdej monecie i diamentowi, pierścieniowi i łańcuchowi, nim zniknęły w kieszeni jego skórzanej kurtki. Nigdzie nie widział korony elfów, którą przez chwilę miał na skroniach i która mu się tak podobała. Zgasł promień błękitnego światła, na którym się unosiła, w związku z czym ork sądził, że drogocenny przedmiot leży gdzieś pogrzebany pod stosem klejnotów. Nie warto było go szukać w obliczu tych wszystkich pięknych rzeczy, czekających tylko, by je zabrać.

Orkowie nie przejmowali się już Corwynem i Alannah. Zdaniem Rammara dość już pomogli tym dwojgu; teraz niech radzą sobie sami.

Z oczami przesłoniętymi płomieniem pożądania i oślepienymi blaskiem złota oraz szlachetnych kamieni, bracia nie zauważyli,

jak z krateru podniosła się straszna postać. Nagle zagrzmiął porażający głos, jakby dochodził wprost z ochryplej gardzieli Kurla:

- WY NAIWNE BŁAZNY! KRADNIECIE ZŁOTO ELFÓW?

Przestraszony tłuścioch wypuścił z dłoni złotą kulę, która nie chciała zmieścić mu się do kieszeni. Balbok odwrócił się gwałtownie i ujrzał przed sobą Margoka lub - ściślej mówiąc - to, co zostało z niego po zetknięciu się ze smoczym ogniem.

Mag nie miał już stóp, na których mógłby stać, unosił się więc dwa *kum'hai* nad ziemią. Przedstawiał sobą makabryczny widok: jego szkielet był czarny i nadpalony, a w zwęglonej czaszce jedynym, co można było rozpoznać, były oczodoły, w których tlił się zabójczy ogień. Jego nogi kończyły się kikutami, ale miał jeszcze dłonie - jeśli można tak nazwać szerniałe, kościste i osobliwie ruchliwe paluchy. Zły duch Margoka trzymał go przy życiu, na przekór wszystkim prawom natury.

- Doprawdy, magu - warknął Rammar z bezczelnością, która zaskoczyła jego samego. - Zdarzało ci się już lepiej wyglądać.

- NIE NUDŹ MNIE BŁAHOSTKAMI - odpowiedział mu drwiąco Margok. - CZYŻBYŚ SADZIŁ, ŻE MNIE OBCHODZI, CO JAKAŚ GRUBA POCZWARA SĄDZI O MOIM WYGLĄDZIE? JA,

MARGOK, MAM MOC WAS UNICESTWIĆ!

Mówiąc to, unióśł jedno ze swoich kościstych ramion i ponownie strzelił z niego ciemną błyskawicą. Trafiłby Rammara, gdyby Balbok nie rzucił się przed niego. Chudy ork znów chwycił topór Graishaka i ustawił jego wielkie żeleźce jak tarczę między bratem a zabójczym piorunem. Grom z trzaskiem trafił w ostrze orczej broni. Zapalił się jej trzon w dłoniach Balboka, tak że musiał go puścić, i topór z brzękiem wylądował na monetach.

W konsekwencji orkowie stali bezbronni przed mocarnym magiem. Skamieniali jak posągi, nie ważąc się poruszyć, z obawy przed zabójczą, ciemną błyskawicą.

- CÓŻ - zaczął, delektując się własnymi słowami Margok - WIĘC JESTEŚCIE. PODJĘLIŚCIE WSZYSTKIE TE TRUDY Z JEDNEGO TYLKO POWODU: BY UMRZEĆ TU I TERAZ. ALE PO-CIESZCIE SIĘ, JEDEN Z WAS BĘDZIE POTEM ISTNIAŁ PRZY-NAJMNIEJ CIELEŚNIE.

- Dlaczego tylko jeden? - zapytał Rammar, starając się opanować trwożliwe drżenie głosu.

- BO TYLKO JEDNEGO Z WAS POTRZEBUJĘ, GŁUPCZE, ŻEBY UMIEŚCIĆ SWOJEGO DUCHA W JEGO CIELE. A KIEDY TAK SIĘ WAM OBU PRZYGLĄDAM, TO WIEM, KTÓREGO Z WAS DWÓCH WYBIORĘ.

- M... mnie? - spytał z nadzieją Rammar.

- OCZYWIŚCIE, ŻE TWOJEGO BRATA! - zagrzmiała odpowiedź. - JEST DUŻY I MOCNY I...

- I durnowaty - odpowiedział markotnie Rammar.

- ROZUMU NIE MUSI MIEĆ, GDYŻ TO MÓJ DUCH ZA-MIESZKA W JEGO CIELE. MARGOK POWRÓCI W POSTACI BALBOKA ORKA.

- A jeśli nie zechcę? - dopytywał się bezradnie Balbok.

- GŁUPIA POCZWARO! NIE MASZ WYBORU.

Mówiąc te słowa, mag-szkielec uniósł oba ramiona. Z wyprostowanych palców zaraz strzelał pioruny, które zabiją Rammara i przeniosą ducha Margoka w ciało Balboka...

Ogarnięci panicznym strachem orkowie nie zauważyli wielkiego cienia, który opuścił się do skarbcza przez otwór w sali tronowej. Bezgłośnie podleciał do Margoka i rozłożył skrzydła.

W tym momencie, gdy w oczodołach Margoka zapłonął żar i miał właśnie cisnąć niszczące pioruny, na maga rzucił się ogromny smok - i połknął go!

Był to Dragnadh, który wrócił, by ostatecznie zniszczyć zło w Tirgas Lan.

Z szalonym rykiem upiorny smok odrzucił łeb w tył, i w na pół otwartym pysku orkowie mogli zobaczyć maga rozpaczliwie próbującego się bronić. Miotając czarnymi błyskawicami i wykrzykując magiczne zaklęcia, miał nadzieję zniszczyć Dragnadha!

Jednak smok-upiór nie dawał się tak łatwo pokonać. Z jego piersi dobyły się grzmoty, a z gardzieli strzelił błękitny ogień, by spalić resztki maga. Jeszcze krótką chwilę orkowie widzieli niegodziwca - potem szczeka Dragnadha znów kłapnęła z łoskotem i Margok zniknął między morderczymi zębiskami.

Przez moment dało się słyszeć przenikliwy krzyk, który po chwili gwałtownie zamilkł. A to, co Dragnadh w końcu wypluł, w żaden sposób nie przypominało już Ciemnego Elfa, siejącego na Łądzie trwogę i spustoszenie.

Rammar i Balbok ujrzeni pogruchotane i zwęglone szczątki, jakie pozostały z Margoka. Jeśli jednak sądzili, że mogą odechnąć z ulgą, to ponownie się rozczarowali - gdyż teraz Dragnadh zwrócił uwagę na nich. Ogromny łeb pochylił się ku nim i paszcza, w której dopiero co został skruszony i zwęglony Margok, znów się rozwarła.

Bracia ze strachu zaczęli drżeć jak liście osiki. W swej bezradności przytulili się do siebie. Skoro nawet potężny Margok nie zdołał zwyciężyć Dragnadha, to tym bardziej im się to nie uda.

- R... Rammar? - spytał chudzielec.
- Tak, Balbok?
- Jest coś, o co już dawno chciałem cię zapytać.
- Tak? - Rammar zatrząsł się na całym ciele, kiedy z gardzieli smoka wydobył się grzmiący ryk, dokładnie taki sam, jak wcześniej.

- Jakie rzeczy? - Balbok zadał pytanie, na które odpowiedź pragnął poznać, nim runie w ciemną otchłań Kurula.

- O czym ty mówisz? - dopytywał się zaskoczony Rammar. - RZECZY?

- W lesie powiedziałeś mi, że nie wziąłem się z pękniętego wrzodu Kurula. I że jest jeszcze więcej rzeczy, o których mi opowiesz w odpowiednim czasie. Myślę, że ten czas właśnie nadszedł i możesz nie mieć już okazji wyjaśnić mi tego. A więc, jakie to rzeczy? - dopominał się ork.

Jednak i tym razem Balbok nie otrzymał odpowiedzi, gdyż Rammar zaczął ochryple wrzeszczeć, kiedy potwór gwałtownie zassał powietrze. Rammar zamknął oczy i trzęsąc się, oczekiwał makabrycznego młaśnięcia i zimnego, błękitnego ognia, który go pochłonie.

Ale nic takiego nie nastąpiło...

- *Ol'dok!* - zawołał srebrzysty głos. I kiedy Rammar otworzył oczy, smoka-upiora nigdzie nie było widać.

Dragnadh zniknął bez śladu i gdyby tu i ówdzie nie leżały żalodne szczątki maga, można by pomyśleć, że nigdy nie istniał.

Zamiast niego pojawili się nagle Corwyn i Alannah. Obydwójce wyglądali dość marnie i byli mocno poturbowani - lecz równocześnie nadzwyczaj szczęśliwi.

- Bez obaw, moi szkaradni przyjaciele - krzyknęła elfini, uśmiechając się do orków. - Już po wszystkim!

- Po wszystkim? - zdziwił się zbity z tropu Rammar. - Po wszystkim? Wystarczy tylko zawołać ZNIKAJ po orczeniu i już jest po wszystkim? Takie to proste?

- Jako dawna kapłanka Shakary znam magiczne zaklęcie, które potrafi zdjąć klątwę i unieszkodliwić Dragnadha - wyjaśniła mu Alannah z niewinnym uśmiechem.

- Aha - powiedział Rammar, któremu wciąż jeszcze trzęsły się kolana. - A czemu to magiczne zaklęcie jest po orczeniu?

- Jak już wiecie - wyjaśniła łagodnym tonem kapłanka - elfy i orkowie mają wspólne korzenie, podobnie rzecz ma się z ich językami. Farawyn i jego doradcy byli przekonani, że nikomu nie przyjdzie do głowy, iż zaklęcie unieszkodliwiające Dragnadha mogłoby pochodzić z mowy wroga.

- To prawda - zgodził się Balbok i wskazał na szczątki maga. - Margok w każdym razie na to nie wpadł.

- Czy to dlatego mówisz naszym językiem, elfini? - spytał Rammar.

- Tak - potwierdziła i potem jeszcze dodała: - Każda sprawa na tym świecie ma dwie strony, jedną jasną i drugą ciemną. Dobrze jest o tym nigdy nie zapominać.

Bracia spojrzeli na siebie.

- Elfie gadanie - orzekli potem jednocześnie.

- Musimy postarać się stąd zniknąć - nalegał Corwyn nadal ledwo żywy, choć jego rany przestały już krwawić. Rammar sądził, że sprawiła to elfini swoimi czarami.

- Dlaczego? - zapytała spokojnym głosem Alannah.

- Bo nie możemy być pewni, że mag nie wróci. - Łowca głów rozejrzał się nieufnie. - Ten niegodziwiec już raz przeżył smoczy ogień, czemu nie miałoby mu się udać po raz drugi?

- Bo jego ciało zostało zniszczone - zabrzmiała odpowiedź elfini. - Nie może wrócić.

Corwyn pokręcił głową.

- Nie rozumiem. Czy w bitwie o Tirgas Lan podczas Drugiej Wojny jego ciało nie zostało również zniszczone? Nie mówiłaś, że został spalony? A mimo to duch Margoka przetrwał wieki...

- Bo ciało Margoka było ciałem elfa - wyjaśniła, wzuwając ramionami Alannah. - I gdyby jego duch został znów przeniesiony do ciała elfa, wtedy przetrwałby i tym razem. Ale Rammar i Balbok przeszkodzili w już rozpoczętej ceremonii i duchowi Margoka nie pozostało nic innego, jak wskoczyć do jedyne go ciała, jakie miał pod ręką.

- Ciała Ruraka - domyślił się Rammar.

- Właśnie - potwierdziła Alannah. - Mag ze Stęchłej Marchii żył wiele wieków, ale był tylko człowiekiem. I kiedy jego śmiertelne ciało zostało zniszczone, umarł również Margok, i to ostatecznie, gdyż jego duch przebywał przecież w ciele Ruraka i tym samym podlegał prawom zwykłych śmiertelników.

Rammar i Balbok znów wymienili długie spojrzenie. Oba cisnęło się na usta jedyne słowo, jakie mogłoby wyjaśnić takie szaleństwo.

- Elfie czary.

Chcieli właśnie opuścić skarbiec, kiedy okazało się, że mają towarzystwo. Wędrowcy instynktownie cofnęli się, sądząc, że znów mają do czynienia z orkami i gnomami, które przeżyły ognisty atak Dragnadha. Ale to nie orkowie wtargnęli do przedziona skarbcza, ale elfy.

Było wśród nich również kilku krasnoludów...

- Skarb! - krzyknął jeden z nich, którego twarz Corwyn natychmiast rozpoznał mimo nadpalonej brody. - Znaleźliśmy go!... - Ortmar z Rumowiska, syn Ortwina, chciał od razu wspiąć się na balustradę i rzucić w migoczące bogactwo. Jednak elfy powstrzymały dowódcę krasnoludów, który miał na sobie czarną od sadzy zbroję.

Zamiast niego wystąpił elf, którego zbroja nie nosiła żadnych śladów walki, a jego szlachetny i nieco butny wygląd pozwalał się domyślać świetnego pochodzenia. Rammar i Balbok zauważyli, że Alannah zadrżała na jego widok.

- Loreto...

- Tak, Loreto - odpowiedział elf mocnym głosem. - Książę Tirgas Dun z rodu Byrchana, Najwyższy Miecznik Wysokiej Rady, który uwolnił Tirgas Lan z mocy chaosu!

By podkreślić wymowę swoich słów, uniósł w dłoni elfi miecz. Do wygiętej klingi nie kleiła się nawet odrobina czarnej orczej ani zielonej gnomiej krwi.

- Co ty tu robisz? - zapytała zmieszana Alannah; najmniej spodziewała się zobaczyć tutaj swego dawnego ukochanego. - Ha! - krzyknął Loreto triumfująco. - O to samo mógłbym spytać ciebie, zdrajczyń!

- Mogę wszystko wyjaśnić - zapewniła Alannah.

- Wątpię - odparł surowo książę elfów. - Wiem o twoich niegodziwych czynach, Alannah. Zdradziłaś wrogowi położenie Ukrytego Miasta i wydałaś Tirgas Lan na pastwę orków. Gdyby nie ja, zło zwyciężyłoby i wszystko, o co nasi przodkowie tak dzielnie walczyli, byłoby stracone.

- Ty? - Corwyn wmieszał się nie pytany. - Co ty wygadujesz? To smok-upiór pokonał Margoka i jego orczych polepczników.

Loreto zmierzył Corwyna pogardliwym spojrzeniem.

- Próbujesz być bezczelny, człowieku? - zapytał. - Kim ty w ogóle jesteś? I kto pozwolił ci zwracać się do mnie tak bezpośrednio?

- Corwyn moje imię - warknął jednooki łowca głów. - A mówię tak, jak mi się podoba. I śmiertelnie nienawidzę, kiedy ktoś przekreśla fakty.

- Zarzucasz mi kłamstwo? - powiedział ostro Loreto. - Drogo cię to będzie kosztować, człowieku. Jesteś tak samo zdrajcą, jak kapłanka i te dwie poczwary. Już ja zadbam o to, żeby spotkała was zasłużona kara. Kapitanie, aresztować ich!

- Tak jest, mój książę - potwierdził przyjęcie rozkazu oficer i dał znak kilku swoim żołnierzom, by poszli za nim. Zręcznie przeskoczyli balustradę i podeszli do czwórki wędrowców.

- Pojmać ich! - rozkazał Loreto i oznajmił donośnym głosem: - Zostaniecie oskarżeni o zdradę. A wszyscy wiedzą, jakie za to grożą sankcje!

- Nie, Loreto - zdecydowanie sprzeciwiła się Alannah. - Zarzut zdrady może dotyczyć mnie, ale nie moich towarzyszy.

Ten człowiek i ci dwaj orkowie to dzielni wojownicy, którzy przeciwstawili się złu i...

- ...i chcieli potem wzbogacić się na skarbie elfów - wszedł jej w słowo Loreto. - Wiem, co widziałem, Alannah. Nawet nie próbuj mnie przekabacić. Oswobodziciel Tirgas Lan nie zna ła-ski dla wroga!

- Dokładnie tak - poparł go zjadliwie Ortmar z Rumowiska. - Teraz dosięgnie cię sprawiedliwa kara, Corwynie! Już dość długo rabujesz własność uczciwych ludzi i uwodzisz ich córki!

Elfy zdecydowanie ruszyły w kierunku wędrowców. Alannah, która aż za dobrze wiedziała, że wojownicy jej ludu znakomicie opanowali sztukę walki mieczem, trwożliwie cofnęła się i pociągnęła za sobą Corwyna. Rammar i Balbok stali nadal, ustawili się nawet przed elfinią i człowiekiem, chcąc ich bronić.

- Co jest? - zabrzmiało szydercze pytanie Loreta. - Co wam, naiwne poczwary, tak spieszo do umierania?

- Ani trochę, spiczastouchy - odpowiedział przekornie Balbok. - Ale kapłanka uratowała nas, a łowca głów walczył u naszego boku. Jeśli chcesz ich dostać, twoje sługusy muszą najpierw uporać się z nami. Prawda, Rammar?

- Jeszcze jak prawda, Balbok - zgodził się grubszy. Sam nie mógł uwierzyć w to, co mówi. Co pchnęło go do tego, żeby wstawiać się akurat za jakąś elfinią i człowiekiem? Jego, który zawsze był na tyle mądry, by wycofać się, kiedy robiło się niebezpiecznie.

- Skoro sobie życzycie - odpowiedział znudzonym głosem Loreto i krzyknął do swoich wojowników: - Zmasakrujcie tych dwóch błaznów, jeśli koniecznie chcą, a potem aresztujcie kapłankę i człowieka!

- Nie! - krzyknęła błagając Alannah. - Uwierz mi, Loreto, ci dwaj nie są zwykłymi orkami. Udało im się otworzyć Bramę Farawyna!

- Naturalnie - odpowiedział Loreto. - Z twoją pomocą!
- Jak miałabym im w tym pomóc? Takich czarów nie potrafi nawet kapłanka Shakary. Orkowie otworzyli też Wielką Bramę Tirgas Lan! Los przeznaczył ich do wyższych celów!

- Do wyższych celów? Dwóch orków? - Loreto roześmiał się współczująco. - Obawiam się, droga Alannah, że czas, jaki spędziłaś w towarzystwie tych poczwarów, pomieszał ci rozum. Ale ja, jak wiesz, nie jestem bez serca. Oswobodziciel Tirgas Lan ofiaruje ci możliwość wyrażenia żalu za swoje postępowanie. Obiecuję ci, że odwiozę cię z powrotem do Tirgas Dun i zadbam o to, żebyś miała uczciwy proces przed Wysoką Radą. Pod warunkiem, że tu i teraz odżegnasz się od swoich niegodnych towarzyszy.

Alannah potrząsnęła głową.

- Nie mogę tego zrobić.

- Nie bądź śmieszna, Alannah, zaklinam cię...

Nagle rysy twarzy elfini stężały.

- Śmieszna? - powiedziała cicho. - Tak, byłam śmieszna, kiedy kochałam cię i wierzyłam, że jesteś wart mojej miłości, Loreto. Ale myliłam się co do ciebie. Nie nasze szlachetne pochodzenie, ale nasze dzieła czynią nas wyższymi istotami. W twoich oczach ci orkowie i ten człowiek może nie są nic warte, ja natomiast uważam ich za moich przyjaciół.

- Tych barbarzyńców? - krzyknął wyprowadzony z równowagi książę. - Nie możesz chcieć okryć się taką hańbą...

- Powiem ci więcej, Loreto - sprzeciwiła się Alannah i przytuliła się do Corwyna, który otoczył ją ramieniem. - Kocham tego śmiertelnika.

- Ty... go kochasz?

- Bardziej niż kiedykolwiek kochałam cię - zapewniła Alannah. - Corwyn ukazał mi nowe życie i nauczył, co naprawdę znaczą miłość i lojalność. Inaczej niż pewien książę elfów, który

używał wielkich słów, ale zamierzał tchórzliwie wymknąć się na Daleki Brzeg.

Rammar głośno prychnął, a Balbok nie mógł powstrzymać cichego chichotu, tak bardzo rozbawił ich sposób, w jaki Alannah przytarła nosa pyszałkowatemu przywódcy elfów. W oczach Rammara znalazło w końcu potwierdzenie tego, co podejrzewał od samego początku - że arcykapłanka Shakary miała w sobie więcej z orka niż skłonna była przyznać sama przed sobą.

Loreto jednak nie było ani trochę do śmiechu. Jego niezwykle blada twarz poczerwieniała, a wąskie oczy zaiskrzyły się gniewem.

- Dość! - ryknął wściekle. - Na coś takiego Oswobodziciel Tirgas Lan nie musi pozwalać! Naprzód, moi wojownicy! Brać ich, a jeśli będą stawiać opór, nie zostawić przy życiu żadnego z nich!

Elfy zdecydowanie skinęły głowami i ruszyły z mieczami w rękach ku nieuzbrojonym wędrowcom. Rammar szepnął: „ojj-ku”. Elfy zbliżyły się - i...

W skarbcu jaskrawo zamigotała wielobarwna błyskawica, która przez chwilę wszystkich oślepiła, potem znów zajaśniał promień błękitnego, elfiego światła, wpadający przez otwór z sali tronowej. A w tym blasku dochodzącym z krateru pozostawionego przez smoka-upiora, unosiła się korona elfów!

Wszyscy obecni: elfy, krasnoludy oraz czwórka przyjaciół - stali urzeczeni tym widokiem. Tym razem jednak korona Sigwy na nie zatrzymała się w środku komory, lecz szybowwała dalej, ku zebranym, zupełnie jakby szukała nowego właściciela, na którego skronie mogłaby opaść.

Rammar mimowolnie wyciągnął ku niej swoje krótkie palce, ale ona przesunęła się nad nim i jego bratem. Minęła również Ortmar z Rumowiska, który pożądlivym okiem lypał na kosztowności, którymi była wysadzana. Korona elfów zmierzała

wprost nie do kogo innego, jak do Loreta, któremu aż oczy za-
błyły do niej.

- Tak! - zawołał głośno. - Chodź do mnie, ozdobo królestwa elfów. Chodź do księcia Loreto, Oswobodziciela Tirgas Lan i Pogromcy Margoka, opuść się na jego skroń! To ja bowiem jestem wybrańcem zapowiadzanym przez prorocstwo, jedynym prawowitym dziedzicem tronu Sigwyna!

I Loreto w cichym oczekiwaniu zamknął oczy...

Korona jednak zmieniła kurs i oddaliła się od niego - teraz szybowwała wprost do Corwyna i Alannah.

Ku zaskoczeniu wszystkich opuściła się na głowę człowieka!

- C... co to ma znaczyć? - pytał zmieszany Corwyn.

- To znaczy, że jesteś wybrańcem - odpowiedziała Alannah, uwolniwszy się z jego objęć, by oddać mu należny szacunek.

- Ale... to niemożliwe. To jakaś pomyłka!

- Zdrada! - wybuchnął gniewem Loreto. - To sztuczka, podła sztuczka! Jakiego nędznego zaklęcia tym razem użyłaś, zdrajczyni?

- Tego samego, za pomocą którego przed chwilą ty chciałeś obwołać się królem Tirgas Lan - odparła Alannah. - Czy wątpiłbyś w wybór korony również wówczas, gdyby wybrała ciebie?

Większość elfów najwyraźniej uznała, że sprzeciw kapłanki jest uzasadniony, Loreto poznał to po ich markotnych spojrzeniach. Nawet Ortmar z Rumowiska patrzył na księcia elfów z powątpiewaniem.

- A... ale ten tam nie może być nowym królem Tirgas Lan! - sprzeciwił się Loreto. - To tylko niegodny człowiek, a do tego łowca głów.

- Gdzie w proroctwie Farawyna napisano, że wybraniec musi być elfem? - zapytała Alannah. - Wszyscy zawsze tak

zakładaliśmy i nawet sam Farawyn chyba tak sądził. Ale ja znam dokładnie każdą sylabę jego proroctwa, w końcu spędziłam trzy-sta lat na studiowaniu go wciąż na nowo. Taka jest więc tajemnica proroctwa Farawyna: nie elf jest tym, który zasiądzie na alabastrowym tronie i zjednoczy *amber*, ale człowiek. Albowiem do ludzi należy przyszłość!

- J... jesteś pewna? - spytał Corwyn, nadal wyglądając na zupełnie zbitego z tropu.

- Proroctwo Farawyna mówi prawdę, teraz się przekonałam - odpowiedziała mu z uśmiechem kapłanka, a potem skłoniła przed nim głowę i uklękła.

- Alannah, co...? - krzyknął zrozpaczony Loreto, nikt jednak nie chciał słuchać jego sprzeciwu.

Żołnierze, którzy jeszcze przed chwilą mieli zbrojnie rzucić się na Corwyna i jego towarzyszy, teraz pierwsi ugięli kolana przed nowym królem. Wojownicy na podeście poszli za ich przykładem: jeden po drugim przyklękali, by okazać cześć nowemu władcy *amber*. Nawet Ortmar, którego bystry krasnoludzi rozum podpowiedział mu, że trzeba krakać jak i wrony, padł na kolana.

- To co, my też? - Balbok rzucił na Rammara niepewne spojrzenie.

- Czemu nie? - tłusty ork westchnął i wzruszył ramionami.
- Zdaje mi się, że po wszystkim, co się zdarzyło, to już nie ma żadnego znaczenia.

I wtedy nawet dwaj orkowie skłonili głowy, okazując tym samym szacunek nowemu władcy Łądu.

Tylko jeden elf nadal stał prosto, jakby sparaliżowany od dumy i przekory.

Książę Loreto...

- Co jest, Loreto? - zapytała drwiąco Alannah. - Nie chcesz złożyć hołdu swojemu królowi?

- Mo... mo... mojemu królowi? - wyjąkał osłupiały książę elfów. - Człowiekowi?

- Ma koronę Sigwyna czy nie? - pytała dalej Alannah. - A tej koronie ślubowałeś wierność, jak zapewne pamiętasz.

Przychylny pomruk przebiegł szeregi elfich wojowników. Twarz Loreta pociemniała jeszcze bardziej, nawet myśl o Dalekim Brzegu nie mogła go już pocieszyć. Jako król *amber* byłby w stanie zaakceptować to, że spędzi wśród śmiertelnych jeszcze jakiś czas. Ale najwyraźniej nic z tego nie będzie.

Pokonany, pod gniewnymi spojrzzeniami żołnierzy, Loreto również ugiął kolano.

Corwyn stał jak rażony piorunem.

Patrząc swoim jedynym okiem na klęczący tłum, łowca głów wciąż nie mógł pojąć, co się dzieje. Zawsze był bezdomnym wagabundą, oferującym swe usługi tam, gdzie najlepiej za nie płacono. Dlaczego, do kroćset, akurat jego wybrano, by zasiadł na królewskim tronie?

Ale prawdę mówiąc, odkąd korona elfów osiadła na jego skroni, czuł wewnętrzną siłę i pewność, jakiej nigdy wcześniej nie miał - nawet wtedy, gdy żyła jeszcze Marena.

Corwyn miał wrażenie, jakby po długim błakaniu się dotarł wreszcie do domu. I w głębi serca czuł coś, co dotychczas było mu obce: wdzięczność.

Był wdzięczny Alannah za to, że pojawiła się w jego życiu. Przyłapał się i na tym, że był zobowiązany również wobec dwóch orków, z którymi wciąż się kłócił i sprzeczał, a w rzeczywistości przez cały czas byli jego najwierniejszymi sprzymierzeńcami. Dziękował jeszcze Marenie za to, że wskazała mu drogę.

Klątwa była zdjęta, zaczął się nowy czas.

11. UR'MOROR TULL

Nowy dzień zastał wszystko zmienione.

Jeszcze pod osłoną nocy w starym mieście królów dokonała się przemiana; wszechobecna dotychczas czerń, pokrywająca każdą wieżę, dom i mur w Tirgas Lan, teraz znikła i alabaster, granit oraz marmur znów promieniały dawnym blaskiem. Po kleistej mazi wewnątrz cytadeli, która była pozostałością po smoku, następnego ranka nie było ani śladu. Powrócił przepych minionych dni, a ulice i zaułki królewskiego miasta zdawały się tylko czekać, aż wypełni je nowe życie.

Nie była to jedyna zmiana, jaka zaszła w ciągu nocy: również Las Trowna, którego nieprzebyty gąszcz przez wieki ukrywał Tirgas Lan przed intruzami, teraz gdy słońce posłało swoje pierwsze promienie zza horyzontu, był inny. Nie dominowały w nim już bluszcze i liany ani obumarłe korzenie; uwolniony od prastarej klątwy, rozkwitł z nową obfitością. Gruby dach z liści

przepuszczał ciepłe światło słońca aż na ziemię, a mchy i porosty, poprzedniego dnia jeszcze grożące zdławieniem wszelkiego życia, ustępowały miejsca barwnym kwiatom, rozkwitającym o brzasku i rozsiewającym słodki zapach. Ulice starego imperium elfów, wcześniej skryte pod gęstymi zaroślami, znów pojawiły się nie stare i zmurszałe, ale takie, jakby ich budowniczowie dopiero co skończyli je budować.

To, na co po mroku nocy padło światło nowej ery, nie było już ruiną, ale dumnym miastem, które kiedyś stanowiło centrum i ozdobę całego Łądu - i teraz na powrót miało się tym stać.

Nie znikły jednak ślady walki o Tirgas Lan, niemożliwe do usunięcia elfimi czarami. Niezliczone, zwęglone ciała orków przykrywały główną ulicę i leżały w przylegających do niej zaułkach, a kiedy elfy rozpały ogień, żeby spalić na popiół szczątki wrogów, gorzki odór śmierci po raz ostatni snuł się po cytadeli.

Zniszczenia, jakich dokonał szalejący Dragnadh, przede wszystkim wielka dziura w sklepieniu, również przypominały o zawziętej walce, stoczonej zaledwie kilka godzin wcześniej wokół cytadeli i w jej wnętrzu. Teraz bitwa była skończona, a na alabastrowym tronie, z którego zarządzili władcy od Sigwyna po Farawyna, zasiadał nowy król. Pierwszy raz sprawował rządy w swoim nowym królestwie.

Corwyn ubrany był w szatę ofiarowaną mu przez elfy - białą, bogato zdobioną tunikę. Ledwo jego rany umyto i opatrzono leczniczymi maściami, od razu lepiej się poczuł. Tam, gdzie niegdyś znajdowało się jego lewe oko, dawny łowca głów założył skórzaną opaskę; utracone oko będzie mu zawsze przypominało, w jaki sposób zdobył władzę i na czym polegają jego obowiązki jako króla Tirgas Lan.

Ceremonii koronacyjnej nie urządzono. Korona sama zdecydowała, na czyjej głowie chce spocząć. Corwyn nadal ledwie

mógł pojąć wydarzenia minionej nocy, ale jako człowiek czynu podjął nowe wyzwanie.

Dwór, składający się z najlepszych i najszlachetniejszych kawalerów z elfiej armii, stał szerokim kołem i wyczekująco patrzył na nowego króla. To, że jest on człowiekiem, a nie elfem, zdawało się im nie przeszkadzać; ich tęsknota za sprawiedliwym i lojalnym władcą była daleko większa niż pycha.

Corwyn czuł, że spoczywają na nim wszystkie spojrzenia i wiedział, że musi coś powiedzieć. Nie był dobrym mówcą i do tego nie miał wiele czasu na przygotowanie właściwych słów. Mimo to, gdy przemówił, w jego głosie słychać było zdecydowanie:

- Wojownicy królestwa elfów, słuchajcie mnie! Zdziwiająca rzeczy się wydarzyły, których nie może pojąć żaden z nas. Człowiek, do tego taki, który z trudem sam siebie uznałby za godnego, został wybrany na nowego władcę Tirgas Lan. I wszystko, co może wam obiecać, to to, że poświęci się temu zadaniu ze wszystkich sił. Łądem nie będą dłużej rządziły wojna i nienawiść. Zawrzemy nowe przymierze, nie tylko elfy i ludzie, ale również wszyscy inni miłujący pokój. Roześlę posłańców w każdy najodleglejszy zakątek tego świata - do elfów, ludzi, krasnoludów i nawet do orków z wieścią, że moc Tirgas Lan znów promienieje jasnym blaskiem. Zaproszę dowódców, książęta i wodzów, by przybyli tu i spotkali się ze mną, żeby po latach wojny i chaosu do Łądu wróciły pokój i porządek, jakie panowały tu wcześniej.

Corwyn popatrzył po zebranych, niespokojny, czy jego mowa wywoła jakąś reakcję. Ale wojownicy elfów milczeli, co u nich jest znakiem jednomyślnej zgody.

- Aby przypieczętować to nowe przymierze – ponownie odezwał się Corwyn i uniósł się z alabastrowego tronu -wybieram Alannah, arcykapłankę Shakary, na królową Tirgas Lan. - Pytająco

spojrzał na Alannah, stojącą obok tronu, ubraną w śnieżnobiałą szatę, i dodał: - Zakładając oczywiście, że mnie ona zechce.

Elfini, po której wciąż jeszcze znać było cierpienia minionej nocy, odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem.

- Ona chce ciebie - zapewniła. - Ale nie jest ciebie godna. Ciężko zawiniła.

- Ale po stokroć odpokutowała - odpowiedział Corwyn. - Kocham cię, Alannah. I potrzebuję ciebie, bardziej niż powietrza do oddychania.

Pochylił się do przodu i wyciągnął ku niej dłoń, a ona weszła na stopnie prowadzące do tronu. Ceremoniał elfów zalecał w chwilach takich jak ta dostojny dystans - ale nowemu królowi Tirgas Lan było to obojętne. Wyprostował się, niespodziewanie objął Alannah i namiętnie ją pocałował.

Młody elfi wojownik o imieniu Elian wbrew zwyczajom swego ludu wydał głośny okrzyk na cześć nowej pary królewskiej. Do jego wiwatów przyłączyło się wiele elfów. W końcu Corwyn poprosił o ciszę.

- Wesele, jakiego jeszcze nie było na Łądzie, przypieczętuje nasz związek - zapowiedział. - Przedtem jednak osądzimy tych, którzy próbowali kosztem innych osiągnąć zyski dla siebie. Choć Margok jest pokonany, wyroki muszą być wydane. - Pownonnie usiadł na tronie i rozkazał: - Przeprowadzić więźniów!

Szeregi elfów rozstąpiły się i wprowadzono dwóch więźniów. Jednego wysokiego i chudego oraz drugiego małego i przysadzistego.

Oszczędzono im hańby i nie zakuto w kajdany, lecz gniewne spojrzenia, odprowadzające Loreta z Tirgas Dun i Ortmara z Rumowiska, nie pozostawiały wątpliwości, że wszelka próba ucieczki nie ma sensu.

- Ortmarze z Rumowiska, synu Ortwinu – rozpoczął mowę Corwyn. - Oskarża się ciebie o to, że jesteś przemytnikiem i

rabusiem, i że z nikczemnej chęci zysku okradałeś i zdradzałeś. Wiedząc, że w Tirgas Lan ukryte są nieprzebrane skarby, wkradłeś się w łaski przywódcy elfów i oszukałeś go. Czy chcesz powiedzieć coś na swą obronę?

Wokół małych oczu Ortmara zadrgały mięśnie. Synowi Ortwinowi nie brakowało elokwencji, i znalazłoby się to i owo, co chciałby powiedzieć łowcy głów. Był tylko jeden problem: Corwyn nie był już łowcą głów. A jeśli istniała jakaś cnota, którą Ortmar z Rumowiska posiadał w ilości większej niż inne, to była nią umiejętność milczenia we właściwym momencie. Uczynił więc z niej użytek i tylko gniewnie potrząsnął głową.

- Tak myślałem - odrzekł Corwyn. - Lecz jak słyszę, Ortmarze, ty i twoi ludzie dzielnie walczyliście w bitwie o Tirgas Lan. W godzinie trwogi, gdy inni na łeb, na szyję rzucili się do ucieczki, wy wykazaliście się odwagą i sercem. Mimo swej chciwości daliście się poznać jako godni przedstawiciele swego ludu. Dlatego pozwolę wam opuścić Tirgas Lan, odejdziecie jako wolne krasnoludy i wróćcie do swoich domów.

- M... możemy odejść? - z niedowierzaniem zapytał dowódca krasnoludów.

- Tak. Wróćcie w Góry Ostre i opowiecie waszemu ludowi, co się tu wydarzyło. Oczekuję, że król Królestwa Krasnoludów wyśle do mnie poselstwo. Milczenie między naszymi ludami trwało o wiele za długo.

- P... powiem mu wszystko - odpowiedział Ortmar i nisko się skłonił. Widać, że nie musiał się do tego szczególnie przymuszać. Człowiek zasiadający na alabastrowym tronie nie przypominał już dawnego łowcy głów, do którego syn Ortwin odczuwał nienawiść. - Czy mogę wyrazić prośbę, Wasza Wysokość?

- Czego chcesz? - powiedział Corwyn. - Mów.

- No cóż... - Krasnolud nerwowo skubał brodę. - Skarbiec Tirgas Lan jest pełen po brzegi, a skoro tak dzielnie walczyliśmy,

jak powiadacie, czy nie można by dla mnie i moich ludzi małej zapłaty...

- Nie przesadzaj, Ortmarze - ostrzegł Corwyn. - A teraz postaraj się zniknąć.

- Tak jest, Wasza Wysokość - odpowiedział krasnolud i szybko się wycofał, mówiąc sobie w duchu, że nowy król Tirgas Lan ma jednak sporo podobieństw z pewnym łowcą głów.

- Ortmar? - krzyknął jeszcze za nim Corwyn, kiedy krasnolud dotarł już do drzwi sali tronowej.

- Tak, królu? - Krasnolud odwrócił się.

- Nie tknąłem twojej córki.

Szeroki uśmiech przemknął przez brodatą twarz krasnoluda.

- Wiem - powiedział cicho.

Potem w towarzystwie wiernych towarzyszy, którzy mu jeszcze pozostali, opuścił salę tronową Tirgas Lan.

Teraz został już tylko Loreto. Spędził noc w mało wygodnej więziennej celi i stosownie do panujących w niej warunków wyglądał. Po jego zaczerwienionej twarzy wyraźnie było widać, że jak wielką hańbę uważa fakt, że musi tutaj stać.

- Księżę Loreto z Tirgas Dun - zaczął Corwyn. - Gdyby to ode mnie zależało, to po wszystkim, coście uczynili Alannah i swoim ludziom, wyzwałbym was na pojedynek. Męczyzna przeciw mężczyźnie. Zawsze myślicie tylko o własnej korzyści - to niegodne księcia, obojętne, czy jest nim człowiek, czy elf.

Wąskie usta Loreta rozchyliły się i wymamrotały kilka słów, żadne z nich nie było wypowiedziane dostatecznie głośno, żeby można je było zrozumieć.

- Mimo to - kontynuował Corwyn - nie pozwolę sobie na osądzanie księcia szlachetnego elfiego rodu. Niech Wysoka Rada Elfów dowie się, co zaszło tu, w Tirgas Lan i ona wyznaczy

Wam karę. Dlatego odeślę Was pod eskortą żołnierzy z powrotem do Tirgas Dun.

- I dobrze zrobisz, łowco głów! - pyszałkowato odpowiedział Loreto. - Bo już wkrótce ta niedorzeczna pomyłka się wyjaśni i odbierzemy ci koronę elfów, którą tak nikczemnie i niezgodnie z prawem sobie przywłaszczyłeś.

- Och, Loreto. - Alannah pokiwała smutno głową. - Nawet teraz, kiedy przegrałeś, wzbranasz się przed uznaniem prawdy. Król Corwyn nie sięgnął bezprawnie po koronę. On i nikt inny jest Wybrańcem, o którym mówi prorocstwo Farawyna. Będzie mądrym i sprawiedliwym władcą, gdyż w przeciwieństwie do ciebie, Loreto, zna życie i krew płynąca w jego żyłach jest bardziej szlachetna, niż twoja kiedykolwiek będzie.

- Co? - parsknął oburzony Loreto. - Na co ty sobie pozwalasz?...

- Przez całe życie sam siebie oszukiwałeś, Loreto, liczyłeś na dziedzictwo wywalczone przez innych, ich trudem i krwią. Mnie też zwiodłeś dobrymi manierami i pięknymi słowami. Jednak w bitwie o Tirgas Lan pokazałeś swoje prawdziwe oblicze. Nie tylko mnie zostawiłeś w potrzebie, lecz również tych, którzy podlegali twoim rozkazom, a wszystko po to, by ratować samego siebie. Dlatego nigdy nie pojedziesz do Dalekiego Brzegu, Loreto. Nigdy.

Zmierzyła księcia spojrzeniem, które nie wyrażało nienawiści ani zadowolenia, a tylko smutek i współczucie. Księżę nabrał głęboko powietrza i chciał coś odpowiedzieć, ale zmienił zdanie. W swoim przekonaniu nie musiał usprawiedliwiać się przed Alannah, a tym bardziej przed Corwynem; to, co ma do powiedzenia, powie przed Wysoką Radą Elfów.

Na znak Corwyna wystąpili strażnicy i wyprowadzili Loreta. Zaś elfy stojące wokół sali odwróciły się plecami do swego dawnego dowódcy - na znak wielkiej pogardy.

- Wszystko w porządku? - Corwyn spytał Alannah, patrzącą ze łzami w oczach za odchodzącym dawnym oblubieńcem.

Kapłanka elfów skinęła głową.

- W porządku - zapewniła go i spróbowała się uśmiechnąć.
- Kto by pomyślał? Proroctwo, w które wszyscy już wątpiliśmy, na koniec jednak się spełniło, choć zupełnie inaczej niż się spodziewaliśmy. Nie elf, ale człowiek zasiadł na tronie Tirtgas Lan, z pomocą dwóch orków, przeznaczonych do tego, by otworzyli bramę Ukrytego Miasta.

- Szalone, prawda? - uśmiechnął się Corwyn. - Elfie czary, powiedzieliby teraz pewnie Rammar i Balbok.

- Skoro już o nich mowa, gdzie oni są? Nie powinni być tutaj, kiedy pierwszy raz występujesz jako król?

- Już o świcie opuścili miasto - wzruszył ramionami Corwyn. - Orkowie najwyraźniej niewiele sobie robią z pożegnań.

- Odeszli? - Alannah ze smutkiem patrzyła na Corwyna. - Tak po prostu? Nie żądając zapłaty?

- Właśnie tak - skinął głową Corwyn. - Choć trochę nadłożyli drogi.

- Nadłożyli drogi?

Corwyn uśmiechnął się tak szeroko, że na krótką chwilę znów pojawił się łowca głów.

- Nadłożyli drogi przez królewski skarbiec...

EPILOG

Droga przecinająca Las Trowna wiodła wprost na zachód. Kiedy słońce wzniosło się wyżej i jego promienie przebiły dach z liści, Las wydał się całkiem odmieniony: życie kipiało wszędzie tam, gdzie poprzedniego dnia jeszcze nie było jego śladu. Stęchły odór zgnilizny ustąpił miejsca słodkiej woni kwiatów, a ptaki, które wróciły w nocy, radośnie świergotały wśród gałęzi drzew.

Zwykle Rammar brzydziłby się taką idyllą. Teraz jednak korpułentny ork był tak pełen szalonej radości, że nawet nie dostrzegł kipiącego wokół barwnego życia.

Wspólnie z Balbokiem wyteżzał siły w uprzęży, jaką na siebie założyli i na której ciągnęli po wyboistym bruku złoty, bojowy wóz, wyładowany po brzegi złotymi dzbanami i talerzami, srebrnymi kubkami i posągami oraz skrzyniami, na których przelewały się diamenty, szafiry i szmaragdy, w których załamywało się jaskrawe, słoneczne światło.

- Wiesz co, Rammar - powiedział powoli Balbok. - Nadal myślę, że należało pożegnać się z Corwynem i Alannah. W końcu to nasi przy...

- Nie wypowiadaj tego słowa! - przerwał mu brat. - Nawet o nim nie myśl! Orkowie nie mają przyjaciół, a co dopiero wśród elfów i ludzi. Chcesz zupełnie zrujnować naszą złą reputację? Wystarczy tego złego, że im w ogóle pomogliśmy i to pomimo tego, że jak zwykle wszystko przekreślali i przedstawiali inaczej niż było naprawdę. Zapewniam cię, nikt się nigdy nie dowie, że tak naprawdę to dwaj orkowie uratowali ten *sharnorshowaty* świat.

- To możliwe - przyznał zamyślony Balbok.

- Ale tym nie musimy się przejmować, bo sami zadbałiśmy o naszą nagrodę. Ten głupi łowca głów i jego przyjaciele - elfy - nawet nie zauważyli, jak przeciągaliśmy im ten wóz przed samym nosem.

- Skoro już wspomniałeś o ciągnięciu - wydyszał Balbok. - Może jednak nie powinienem był zabijać Graishaka.

- Czemu nie?

- Bo wtedy nie musielibyśmy sami ciągnąć tego wozu. Moglibyśmy zaprząć Graishaka do uprzęży, a sami siedzielibyśmy sobie wygodnie na złocie.

- *Douk* - sprzeciwił się Rammar, machając ręką - to już wolę sam wlec to złoto do domu. Pomyśl tylko, co powiedzą wszyscy w *balboug*, gdy wrócimy obładowani skarbem elfów.

- Oddadzą nam hołd - Balbok nie miał wątpliwości. - I pewnie zrobią mnie nowym wodzem.

- Ciebie? - Rammar łypnął okiem na brata. - Dlaczego akurat ciebie?

- Bo to ja zabiłem Graishaka - powiedział Balbok, nie namyślając się długo. - Według naszej tradycji będę nowym wodzem *balboug*.

- Hmm - mruknął Rammar. Trudno było temu zaprzeczyć.
- Ale wiesz co? - powiedział chudzielec.
- Co znowu?
- Powiem im, że zrobiliśmy to razem. Wtedy obaj będziemy wodzami. *Korr?*

- *Korr.*

W milczeniu dalej ciągnęli wyładowany złotem wóz drogą przez Las Trowna. W końcu Balbok znów się nieśmiało odezwał.

- Rammar?

- Tak, Balbok?

- Jest coś, czego nadal nie rozumiem.

Rammar westchnął, ale ponieważ brat chciał uczynić go współwodzem, tym razem poniechał zwymyślenia go od *umbali*.

- Czego chcesz się dowiedzieć? - spytał, zmuszając się do spokoju.

Balbok zwlekał chwilę.

- Jakie rzeczy? - zapytał wreszcie.

KONIEC

ZAŁĄCZNIK A

MOWA ORKÓW

Konstrukcja języka orków jest niezwykle prosta: jego zasady gramatyczne mogą być bez trudu przyswojone przez każdego zainteresowanego. Problemy stwarza natomiast wymowa. Z tej przyczyny ludzie, nawet zamaskowani bądź w przebraniu, są z reguły rozpoznawani przez orków po akcencie i muszą liczyć się z niebezpieczeństwem utraty zdrowia, a nawet życia.

Wojownicza kultura orków nie zna zawodu pisarza ani uczonego w piśmie, skutkiem czego nie zaowocowała żadnymi dokumentami historycznymi czy dziełami literackimi. Nawet uczeni orkowie, jakże nieliczni, nigdy nie spisali swojej wiedzy. Wywodząca się pierwotnie z języka elfickiego mowa orków, przekazywana wyłącznie ustnie, z biegiem stuleci uległa istotnym uproszczeniom. Językoznawstwo orków nie zna deklinacji ani koniugacji, zaś różne przypadki i czasy rozpoznać można

jedynie po kontekście, względnie po właściwej orkom *tougasg* (patrz niżej). Jedynym wyjątkiem jest dopełniacz tworzony przez poprzedzenie rzeczownika sylabą *uf-*. Słowa często uzupełniane są o dodatki istotnie zmieniające ich znaczenie, i tak na przykład przyrostek *-hai* tworzy liczbę mnogą {*umbal* - idiota; *umbal'hai* - dioci).

Jako że orkowie przywiązują dużą wagę do dokładnego określenia swojego stanu posiadania, tego rodzaju relacje również wyraża się przyrostkami, np. odpowiednio:

-'mo - „mój” *-'nur-* „twój”.

Rozróżnienia między przymiotnikiem a przysłówkiem, pojawiającego się w wyżej rozwiniętych językach ludzi, mowa orków nie zna zupełnie (ku ucieście orczej dziatwy). Zdanie składa się z prostej sekwencji odpowiednich słów. Zwyczajowo przyjmuje się kolejność: podmiot-orzeczenie-dopełnienie, jednak nie musi ona być koniecznie zachowana; różnice występują nawet między plemionami. Czasowniki - poza nielicznymi wyjątkami - tworzy się przez połączenie rzeczownika z końcówką *-'dok* (robić, czynić). Np. *koum'dok*, co w przekładzie oznacza: „pozbawić kogoś głowy”. Znaczenie utworzonych tak czasowników jest niejednoznaczne - czasem jest jasne na pierwszy rzut oka, jak w przypadku *gore dok* (śmiać się), innym razem wymaga pewnej interpretacji, jak w przypadku *lusedok*, co dosłownie przekłada się na „zachowywać się jak warzywo”, jednak w kontekście występującej u orków całkowitej abnegacji wegetarianizmu, należy rozumieć jako „być tchórzem”.

Liczby powstają przez utworzenie ciągu liczebników od zera do dziewięć:

zero	<i>oulla</i>
jeden	<i>an</i>
dwa	<i>da</i>
trzy	<i>ri</i>
cztery	<i>kur</i>
pięć	<i>kichg</i>
sześć	<i>sai</i>
siedem	<i>souk</i>
osiem	<i>okd</i>
dziewięć	<i>nou</i>

Również tutaj kolejność jest dowolna, więc na przykład przy *okd-an* powstaje zasadnicza niejasność, czy chodzi o liczbę osiemdziesiąt jeden czy osiemnaście. Ponieważ jednak liczyć potrafili jedynie nieliczni orkowie, nie mówiąc już o umiejętności rachowania, czynnik ten odegrał w historii orków mniejsze znaczenie niż można by się spodziewać. W mowie orków ilości podaje się najczęściej tylko jako *iomash* (dużo) albo *bougum* (mało).

Etymologię poszczególnych słów i pojęć należy w przypadku orków bardziej niż u innych ludów postrzegać w kontekście (występującego tylko śladowo) rozwoju kulturalnego. Nie jest więc przypadkiem, że modalny czasownik *dok*, słowo oznaczające picie *deok* oraz stanowcze zaprzeczenie *douk* wyrastają z tego samego rdzenia. Niektóre słowa mowy orków - choć sami orkowie nigdy by tego nie przyznali - zapożyczono z języków ludzi, jak na przykład *mochgstir* (mistrz), *smok* (dym), *birr* (piwo) lub *tounga* (język). Przyczyny tego zjawiska należy doszukiwać się przede wszystkim w sojuszu orków z ludźmi podczas Drugiej Wojny. Powinno nam dać do myślenia, że oznaczające „mord” orcze słowo *murt* również przejęte zostało od ludzi.

Ostatnia uwaga dotyczy występującego jedynie u orków rytuału *tougasg*, co w tłumaczeniu oznacza „nauczanie”.

Podczas rozmowy orkowie mają zwyczaj częstego akcentowania swojej wypowiedzi barwną gestykulacją, a nierzadko i ciosami pięści, co znacznie ułatwia zrozumienie. Ludziom, którzy poświęcili się studiowaniu mowy orków, odradza się jednak używania *tougasg* w konwersacji z orkami, a to ze względu na odmienną konstrukcję fizyczną. Następstwem mogą być znaczące uszkodzenia ciała. W przypadku nieprzestrzegania tej zasady zarówno autor, jak i wydawca nie ponoszą żadnej odpowiedzialności.

Poniżej alfabetyczna lista ważnych słów i wyrażen z języka orków:

<i>abhaim</i>	rzeka
<i>achgal</i>	strach
<i>achgor</i>	twierdzić
<i>achgosh</i>	twarz, oblicze
<i>Achgosh doukl</i>	Cześć! (dosł. „Nie podoba mi się twoja gęba”)
<i>achgosh'bai-bonn</i>	ludzie (dosł. „mlecznosi”)
<i>airun</i>	żelazo
<i>akras</i>	głód
<i>akras'dok</i>	odczuwać głód
<i>alhark</i>	róg
<i>an</i>	jeden
<i>anmosh</i>	późno
<i>ann</i>	w, przy, obok
<i>anois</i>	w górę
<i>aochg</i>	gość, towarzysz podróży
<i>aog</i>	śmierć (starcze osłabienie)
<i>artum</i>	kamień
<i>asar</i>	tyłek, dupa
<i>baish</i>	prowiant
<i>balbok</i>	głupi
<i>barkos</i>	czoło

<i>barrantas</i>	władza
<i>barrashd</i>	więcej
<i>bas</i>	śmierć (w walce)
<i>bhull</i>	piłka
<i>birr</i>	piwo
<i>blar</i>	pole bitwy
<i>blark</i>	ciepły, ciepło
<i>bios</i>	akcent
<i>bloshmu</i>	rok
<i>bochga</i>	łuk
<i>bodash</i>	starzec
<i>bog</i>	miękki, miętko
<i>bogash</i>	bagno
<i>bogash-chgul</i>	duch bagienny
<i>bog-uchg</i>	mięczak
<i>bokum</i>	duch
<i>bol</i>	miasto
<i>balboug</i>	wioska (ojczyzna orka)
<i>bonn</i>	mleko
<i>borb</i>	surowy, okrutny
<i>boub</i>	kobieta
<i>bougum</i>	mało
<i>bourtas</i>	pieniądze, skarb, bogactwo
<i>bourtas-koum</i>	pogłówny, premia
<i>boutash</i>	bestia
<i>brarkor</i>	brat
<i>bratash</i>	flaga
<i>bru</i>	zołądek
<i>bru-mill</i>	brzuchowstrząs (orcza potrawa narodowa)
<i>brunirk</i>	gnom
<i>bruurk</i>	wyrok, sąd
<i>buchg</i>	cios, kuksaniec
<i>bunta</i>	kartofel

<i>buol</i>	uderzenie
<i>buon</i>	żniwa
<i>buunn</i>	góra
<i>carrog</i>	skała, szczelina
<i>chgul</i>	ghul - błotny duch
<i>cour'dok</i>	handlować
<i>courd</i>	handel
<i>cudach</i>	pająk
<i>da</i>	dwa
<i>daorash</i>	otrucie
<i>darash</i>	dąb
<i>Darnachg!</i>	Do kroćset!
<i>darr</i>	ślepy
<i>deok</i>	napój, pić
<i>dhruurz</i>	mag
<i>diaomoun</i>	diament
<i>diloub</i>	spadek, testament
<i>diloub'dok</i>	zapisać coś w spadku
<i>dirk</i>	kłęska
<i>dlurk</i>	blisko
<i>dok</i>	robić, czynić
<i>doll</i>	łąka
<i>dorash</i>	ciemno
<i>douk</i>	nie lubię...
	(ogólne zaprzeczenie)
<i>dourg</i>	czerwony
<i>duliash</i>	część
<i>dunn</i>	mężczyzna
<i>durkash</i>	kraj, ląd
<i>duuchg</i>	lód
<i>eh</i>	on, to
<i>eugash</i>	bez
<i>eukior</i>	krzywda, niesprawiedliwość

<i>fachg</i>	arkusz
<i>faibok</i>	dziki, dziko
<i>faklor</i>	słownictwo
<i>fambor</i>	olbrzym
<i>faramb</i>	pusty, pusto
<i>fasash</i>	pustynia
<i>feusachg</i>	broda
<i>feusachg'bai-shrouk</i>	krasnoludy (dosł. „strzępobrodzi”)
<i>fhada</i>	długi, długo
<i>fhuun</i>	sam
<i>foisrashash</i>	informacja
<i>fouk</i>	widzieć
<i>fouksinnash</i>	widoczny, widzialny
<i>fouksinnash-douk</i>	niewidoczny, niewidzialny
<i>ful</i>	crew
<i>ful-birr</i>	piwo posokowe
<i>gaork</i>	wiatr
<i>g<*rg</i>	gorzki
<i>gargoun</i>	czosnek
<i>gloikas</i>	mądrość
<i>gobcha</i>	kowal
<i>gore</i>	śmiech
<i>gore'dok</i>	śmiać się
<i>gosgosh</i>	bohater
<i>goshda</i>	pułapka
<i>goshda'dok</i>	śmiać się
<i>gou</i>	do
<i>goulash</i>	księżyc
<i>goull</i>	obietnica
<i>granda</i>	brzydki, okropny
<i>gron</i>	nienawiść
<i>gruagash</i>	dziewica
<i>gubbirk</i>	prawie
<i>gurk</i>	głos
<i>gurk'dok</i>	krzyczeć

<i>huam</i>	jaskinia
<i>ih</i>	ona
<i>iodashu</i>	noc
<i>iomash</i>	dużo
<i>irk</i>	żreć
<i>isoun</i>	kura
<i>kagar</i>	szept
<i>kalash</i>	port
<i>kambanochg</i>	zmierzch, świt
<i>kaol</i>	wąski, wąsko
<i>karsok?</i>	dłaczego?
<i>kas</i>	noga
<i>kaslar</i>	mapa
<i>keol</i>	muzyka
<i>khumne</i>	pamięć
<i>khumne'dok</i>	rozmyślać
<i>kichg</i>	pięć
<i>kiod</i>	kradzież, rabunek
<i>kiodok</i>	kraść, rabować
<i>kionnoul</i>	świeca
<i>kionoum</i>	spotkanie
<i>kluas</i>	ucho (orka)
<i>knam</i>	żuć, trawić
<i>knum</i>	robak
<i>ko, k'</i>	kto
<i>kointash</i>	winny
<i>kointash douk</i>	niewinny
<i>koll</i>	las
<i>komanash</i>	myśliwy, polowanie
<i>Korr!</i>	Zgoda!
	(ogólne potwierdzenie)
<i>korrachg</i>	palec

<i>korzoul</i>	zamek
<i>koum</i>	głowa
<i>kourt</i>	sprawiedliwie, słusznie
<i>kourtas</i>	sprawiedliwość
<i>kriok</i>	koniec
<i>Kriok!</i>	Dość tego!
<i>kro</i>	śmierć (zadana przemocą)
<i>kro-buchg</i>	śmiertelny cios
<i>kroiash</i>	granica
<i>kroum</i>	cebula
<i>kudashd</i>	też
<i>kum</i>	zawierać
<i>kungash</i>	medycyna, lekarstwo
<i>kunnart</i>	niebezpieczeństwo
<i>kur</i>	cztery
<i>kuroush</i>	zaproszenie
<i>kuun</i>	obcy
<i>laochg</i>	wojownik
<i>larka</i>	dzień
<i>lashar</i>	płomień
<i>liosg</i>	ogień
<i>lish</i>	źle
<i>Lish-knam!</i>	Smacznego! (dosł. „Złego trawienia”)
<i>lorchg</i>	śląd, trop
<i>lorg</i>	znalezisko
<i>luark</i>	szybko
<i>luchga</i>	mały
<i>lum</i>	skok
<i>lus</i>	warzywa
<i>lus'dok</i>	być tchórzliwym, bać się (wrogów)
<i>lus-irk</i>	wegetarianin (dosł. „pożeracz warzyw”)

<i>lut</i>	rana
<i>luusg</i>	lenistwo
<i>madach-arralsh</i>	wilk
<i>madon</i>	poranek
<i>mainn</i>	zamiar
<i>malash</i>	pies
<i>mathum</i>	niedźwiedź
<i>mili</i>	psuć
<i>miot</i>	duma
<i>mochgstir</i>	mistrz
<i>moi</i>	ja
<i>moror</i>	władca
<i>mu</i>	jeśli
<i>mu ra...</i>	jeśli nie...
<i>muk</i>	świnia
<i>muk'dok</i>	plamić, zapaćkać (się)
<i>mur</i>	morze
<i>murt</i>	morderstwo, morderca
<i>nabosh</i>	sąsiad
<i>namhal</i>	wróg
<i>nokd</i>	zjawiać się
<i>nou</i>	dziewięć
<i>noud</i>	gniazdo
<i>nuarranash</i>	lament, wycie
<i>'nur</i>	twój
<i>ochdral</i>	historia
<i>ochgan</i>	gałąź
<i>oinsochg</i>	atak
<i>oir</i>	złoto
<i>oirkir</i>	wybrzeże
<i>oisal</i>	niski
<i>okd</i>	osiem
<i>ol</i>	powietrze
<i>oVdok</i>	zniknąć

<i>oik</i>	zły
<i>omhruut</i>	niezgoda
<i>orchgoid</i>	srebro
<i>ord</i>	młot
<i>order- sochgash</i>	młot bojowy (broń)
<i>orgoid</i>	pieniądz, zapłata
<i>ouash</i>	koń
<i>oulla</i>	nic, zero
<i>ounchon</i>	mózg
<i>pol</i>	błoto
<i>rabhash</i>	ostrzeżenie
<i>rammash</i>	gruby
<i>rark</i>	twierdza
<i>ri</i>	trzy
<i>rochgon</i>	wybór
<i>roub</i>	podróżować
<i>ruchg</i>	dolina, wąwóz
<i>rushoum</i>	wiara
<i>'s sabal</i>	i walka
<i>sai</i>	sześć
<i>saobh</i>	wściekłość, rozwścieczony
<i>saparak</i>	dzida (broń orków)
<i>sgark</i>	tarcza
<i>sgarkan</i>	lustro
<i>sgimilour</i>	natręt, intruz
<i>sgorn</i>	gardło
<i>sgudafhai</i>	wnętrznosci
<i>shnorsh</i>	gównno
<i>shron</i>	nos
<i>shrondok</i>	oddychać
<i>shrouk'dok</i>	kureczyć się
<i>shrouk-koum</i>	zasuszona głowa
<i>sioll</i>	piorun

<i>slaish</i>	miecz
<i>slichge</i>	droga
<i>slok</i>	jama
<i>slug</i>	łyk
<i>smok</i>	dym
<i>snagor</i>	wąż, gad
<i>snoushda</i>	śnieg
<i>sochgal</i>	świat
<i>sochgash</i>	wojna
<i>sochgoud</i>	strzała
<i>sochgoud's bochga</i>	strzała i łuk
<i>soubhag</i>	sokół
<i>souk</i>	siedem
<i>soukod</i>	kurtka, płaszcz
<i>soulbh</i>	szczęście
<i>spoikash</i>	podły
<i>sturk</i>	tkanina, materiał
<i>sul</i>	oko
<i>suVhai-coul</i>	elfy (dosł. „wąskie oczy”)
<i>suVhai-coul-boun</i>	elfia kobieta (pejoratywnie)
<i>tog</i>	rów, fosa
<i>togol</i>	budynek, dom
<i>tornoumouch</i>	grzmot
<i>tougasg</i>	nauczyciel, nauka
<i>toumpol</i>	świątynia
<i>tounga</i>	język
<i>tuachg</i>	topór
<i>tul</i>	dziura
<i>tuli</i>	powrót
<i>tur</i>	wieża
<i>tur dok</i>	uciekać, zwiać
<i>turus</i>	podróż
<i>tutourn</i>	upadek
<i>uchg</i>	jajo

<i>uchl-bhuurz</i>	potwór
<i>umbal</i>	idiota
<i>unnog</i>	okno
<i>unur</i>	honor, godność
<i>ufkurul lashar</i>	płomień Kurula
<i>ufkurulslok</i>	otchłań Kurula
<i>urku</i>	tutaj
<i>ush</i>	zainteresowanie
<i>uule</i>	inaczej, inne

ZAŁĄCZNIK B

BRU-MILL BALBOKA

Oto on - przepis na legendarny orczy brzuchowstrząs. Składniki tej wprost uwielbianej wśród orków potrawy różnią się nieco w zależności od *balboug*. Poniżej łaskawy czytelnik znajdzie ulubiony przepis Balboka:

SKŁADNIKI:

mięso jednego gнома (świeże)
1 pazur pełen tłustych larw (żywych)
4 knum'hai faszerowanych gnomich jelit
4 cebule, 2 ząbki czosnku i 1 strąk chili
5 par oczu ghuli
mączka z mielonych kości wargów
1 chochla zjełczalego tłuszczu trolla
1 dzban brunatnej mętnej wody (błotny bulion) sól i pieprz

PRZYGOTOWANIE

Na żelaznej patelni podgrzać tłuszcz trolla, potem dokładnie przesmażyć przyprawione solą i pieprzem mięso gнома. Gdy mięso jest gotowe, zdjąć je z patelni, a do powstałego soku pieczeniowego wmieszać starannie mączkę z kości wargów, smażyć, aż zbrązowieje. Uwaga ~ patelnia nie powinna się przy tym zbyt rozgrzać - tylko *umbal'hai* przypalają swój *bru-mill*. Dodać pokrojone na plasterki cebule, czosnek i posiekany strąk chili. Następnie przelać zawartość patelni do dużego kotła, dodać błotnego bulionu i ostrożnie mieszając, połączyć z sosem.

Stopniowo dodawać przysmażone mięso, larwy i drobno posiekane jelita gnomów, gotować na małym ogniu, aż mięso będzie miękkie, a sos zgęstnieje. Przyprawić pieprzem, żeby *bru-mill* solidnie palił w gardle. Krótko przed podaniem wrzucić oczy ghuli i chwilę podgrzewać, nie gotując. *Bru-mill* smakuje najlepiej jedzony na gorąco. Podawać z pikantnym chlebem. *Lish-knam!*

WSKAZÓWKA

Ludzie o mniej odpornym żołądku oraz ci, którym brak orczej odwagi do zdobycia oryginalnych składników, mogą zastąpić je jak następuje:

400 gram filetu z kurczaka

200 gram krewetek

2 pary wiedeńskich kielbasek

2 cebule, 2 ząbki czosnku i 1 strąk chili (łagodnej)

10 pomidorów „cherry”

1 filiżanka mąki

250 ml oleju roślinnego

1,5 l bulionu warzywnego lub drobiowego